OLIVER SACKS

STALE W RUCHU

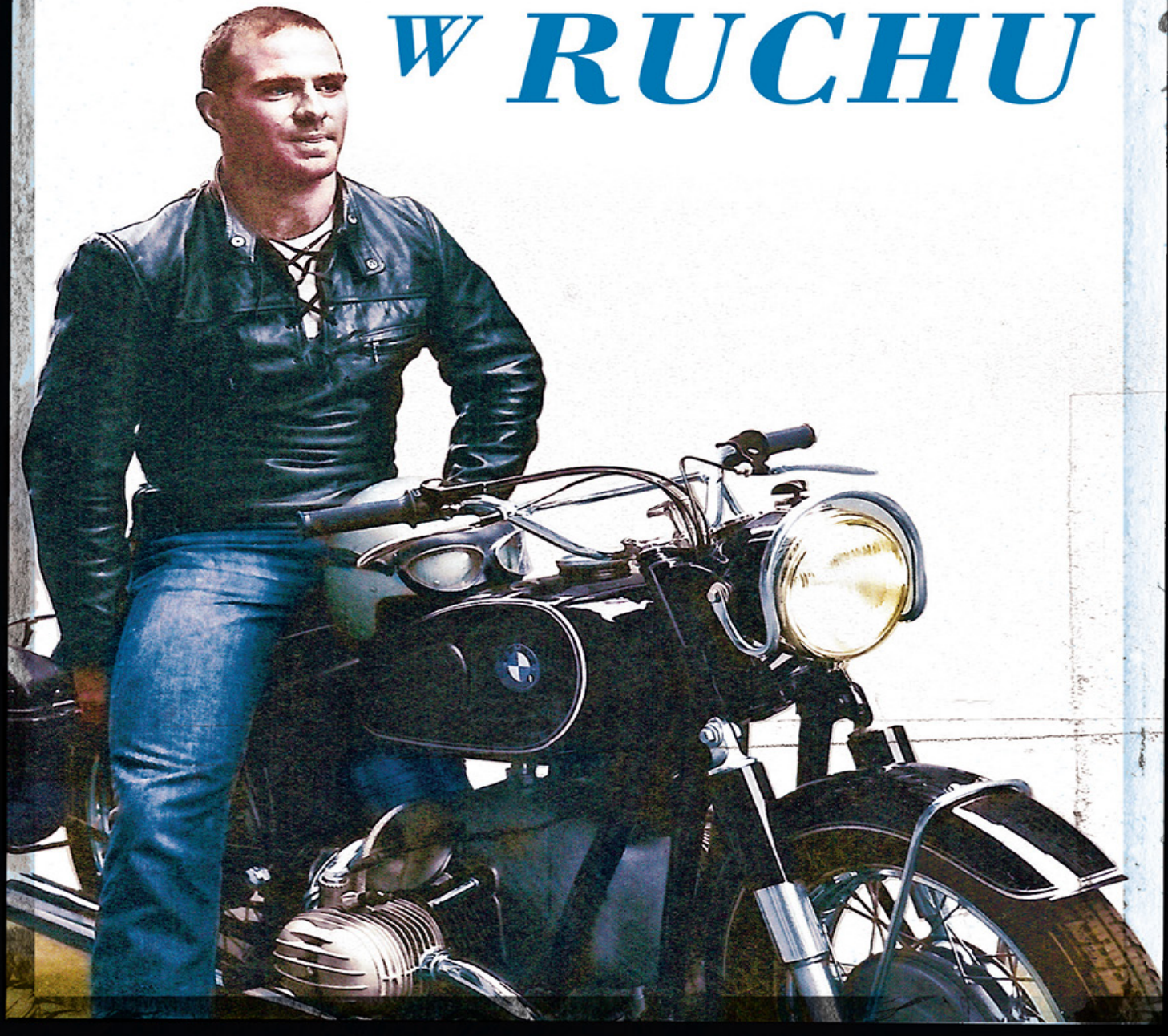

OLIVER SACKS

STALE W RUCHU

Tłumaczył
Jerzy Łoziński

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Oliver Sacks
Stale w ruchu

Tytuł oryginału
On the Move

ISBN 978-83-8116-019-3

Copyright © 2015, Oliver Sacks
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2015

Jacket images © Douglas White
Design by Stuart Wilson
Pan Macmillan Art Department

Redaktor
Robert Cichowlas

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Tłumacz pragnie podziękować dr. Włodzimierzowi Zychowi za konsultacje w zakresie terminologii medycznej

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Stale w ruchu
Opuszczam gniazdo
San Francisco
Muscle Beach
Poza zasięgiem
Przebudzenia
Byk w górach
Kwestia tożsamości
City Island
Podróże
Nowa koncepcja umysłu
Dom
Podziękowania
Fotografie

Dla Billy'ego

W życiu trzeba stale kroczyć do przodu,
ale zrozumieć je można,
tylko spoglądając wstecz.

Kierkegaard

Stale w ruchu

Kiedy jako mały chłopiec zostałem podczas wojny odesłany do szkoły z internatem, czułem się uwięziony i bezsilny, marząc o ruchu i sile, łatwości przemieszczania się i ponadludzkich zdolnościach. Na krótko mogłem tego zakosztować w snach, gdy fruwałem, a na inny sposób — gdy mogłem pojeździć konno w wiosce nieopodal szkoły. Uwielbiałem siłę i muskulaturę konia; ciągle jeszcze bez trudu mogę przywołać swobodę i radość jego ruchów, ciepło, słodki zapach siana.

Ale najbardziej kochałem motocykle. Ojciec miał przed wojną scott flying squirrela z wielkim, chłodzonym cieczą silnikiem oraz grzmiącą rurą wydechową, więc ja także pragnąłem mieć taką maszynę. Zlewały mi się ze sobą obrazy motocykli, samolotów i koni, podobnie jak obrazy motocyklistów, kowbojów i pilotów, którzy w mojej wyobraźni dysponowali niebezpieczną, ale jakże zachwycającą władzą nad swymi rumakami. Moje chłopięce fantazje karmiły się westernami i filmami o bohaterach walk powietrznych. Piloci ryzykowali życie w swych hurricane’ach i spitfire’ach, ale chroniły ich grube kurtki lotnicze, podobnie jak motocyklistów — kaski i skórzane kurtki.

Kiedy jako dziesięciolatek wróciłem do Londynu w roku 1943, lubiłem siadywać w oknie frontowego pokoju, wypatrując gnających ulicą motocykli i usiłując zidentyfikować model (gdy po wojnie łatwiej już było dostać benzynę, częściej dało się je zobaczyć). Znałem dobrych kilkanaście marek: AJS, Triumph, BSA, Norton, Matchless, Vincent, Velocette, Ariel, Sunbeam, a także rzadkie modele zagraniczne, jak BMW czy Indian.

Jako nastolatek, wraz z mającym takie same pasje kuzynem, udawałem się do Crystal Palace, aby oglądać wyścigi motocyklowe. Często łapałem okazję do Snowdonii, aby się powspinać, czy do Lake District, żeby popływać, i czasami podwoził mnie jakiś motocyklista. Bardzo mnie ekscytowała jazda na tylnym siodełku — podsycała ona tylko sny na jawie o smukłym, potężnym motorze, który będę kiedyś miał.

Miałem osiemnaście lat, gdy zdobyłem pierwszy motocykl: używanego bsa bantama z małym silnikiem dwusuwowym i — jak się okazało — kiepskimi hamulcami. Na pierwszą przejażdżkę udałem się do Regent's Park, co okazało się nader fortunnym pomysłem, który być może uratował mi życie, jako że, kiedy się właśnie rozpędzałem, gaźnik się zablokował, a hamulce nie były w stanie zatrzymać maszyny, lecz tylko nieco ją sparaliżowały. Regent's Park otacza szeroka aleja, więc zacząłem jeździć nią w kółko, wczepiwszy się w motocykl, którego nie mogłem zatrzymać. Wrzeszczałem i wydzierałem się, aby ostrzec spacerowiczów, ale po dwóch czy trzech okrążeniach wszyscy już ustępowali mi z drogi i dodawali otuchy, gdy tak gnałem przed siebie. Wiedziałem, że motocykl będzie musiał w końcu się zatrzymać, gdy zbraknie mu benzyny, no i wreszcie, po kilku rundach wokół parku, silnik zakaszlał i umilkł.

Matka była zdecydowanie przeciwna moim motocyklowym planom — spodziewałem się tego. Natomiast zdumiała mnie niezgoda ojca, który przecież sam jeździł na motorze. Oboje usiłowali mnie odwieść od mego zamiaru, kupując mi malutki samochodzik, Standard, rocznik 1934, który rozwijał wszystkiego siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Po prostu go znienawidziłem i pewnego dnia pod wpływem impulsu sprzedałem, a za uzyskaną sumę kupiłem bantama. Teraz pozostawało mi jeszcze przekonać rodziców do tego, że słabiutki samochód czy motocykl są niebezpieczne, gdyż brakuje im siły, aby wykaraskać się z kłopotliwej sytuacji, będę więc

o wiele bezpieczniejszy, posiadając większy, potężniejszy motocykl. Z oporami, ale zgodzili się i dołożyli do nortona.

Na tym pierwszym nortonie, o pojemności 250 cm3, kilka razy ledwie uniknąłem wypadku. Najpierw ze zbyt wielką prędkością zbliżałem się do czerwonego światła i widząc, że nie ma mowy, abym bezpiecznie zahamował czy skręcił, pojechałem po prostu przed siebie i jakimś cudem udało mi się przemknąć między mijającymi się pojazdami. Reakcja nastąpiła minutę później: pokonałem kolejną przecznicę, zatrzymałem motor przy krawężniku i... zemdlałem.

Za drugim razem było to wieczorem przy silnym deszczu, na krętej bocznej drodze. Jadący z naprzeciwka samochód nie zmienił świateł na światła mijania, więc byłem zupełnie oślepiony. Myślałem, że musi dojść do czołowego zderzenia, ale w ostatniej chwili „opuściłem” motocykl (komicznie neutralne określenie dla potencjalnie katastrofalnego manewru, któremu być może zawdzięczam życie). Maszyna poleciała w jedną stronę (nie uderzyła w samochód, ale została doszczętnie zgruchotana), a ja w drugą. Na szczęście byłem w kasku, wysokich butach, rękawicach i skórzanej kurtce, chociaż więc przejechałem jakieś dwadzieścia metrów po mokrej nawierzchni, ubranie tak mnie chroniło, że nie odniosłem nawet zadrapania.

Rodzice w szoku, ale zarazem szczęśliwi, że wyszedłem z tego w jednym kawałku, zaskakująco słabo protestowali przeciwko temu, bym dosiadł mocniejszego motocykla — tym razem był to Norton Dominator, o pojemności 600 cm3. Właśnie skończyłem Oksford i miałem przeprowadzić się do Birmingham, gdzie przez pierwsze sześć miesięcy 1960 roku miałem być lekarzem domowym, ostrożnie więc zauważyłem, że dzięki świeżo otwartej autostradzie M1 między Londynem a Birmingham i szybkiemu motocyklowi będę mógł przyjeżdżać do domu na każdy

weekend. Ponieważ w tych czasach na autostradach nie było ograniczeń prędkości, mogłem pokonać tę drogę w niewiele ponad godzinę.

W Birmingham poznałem grupę motocyklistów i poczułem smak jeżdżenia z innymi pasjonatami i dzielenia ich entuzjazmu, dotąd bowiem byłem samotnikiem. Wokół Birmingham nie było wielkiego ruchu, a ze szczególną przyjemnością jeździłem do Stratfordu, żeby zobaczyć, czy są jakieś spektakle Szekspira.

W czerwcu 1960 roku wybrałem się na TT (Tourist Trophy), wielki rajd motocyklowy, który odbywał się co roku na wyspie Man. Udało mi się wykombinować opaskę opieki medycznej, dzięki czemu miałem wstęp do boksów, gdzie mogłem spotkać zawodników. Wszystko starannie notowałem i w ogóle chciałem napisać powieść o rozgrywanym na wyspie Man wyścigu motocyklowym, jednak pomimo wielkich przygotowań nic z tego pomysłu nie wyszło [1].

*

W latach pięćdziesiątych na północnej obwodnicy Londynu nie obowiązywały żadne ograniczenia prędkości — co stanowiło nie lada pokusę dla miłośników szybkiej jazdy — a znajdowała się przy niej słynna kafejka Ace, którą najczęściej okupowali motocykliści uwielbiający szybkie maszyny. Aby wejść do elity Ton-Up Boys, trzeba było „robić tonę”, czyli wyciągać minimum sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Już nawet wtedy nie brakło motocykli, które potrafiły „robić tonę”, zwłaszcza jeśli się je odrobinę podrasowało, zredukowało obciążenie (włącznie z rurą wydechową) i używało wysokooktanowego paliwa. Bardziej ryzykowne było „dopalanie”, czyli ściganie się na bocznych drogach, i wystarczyło pokazać się w Ace, żeby prędzej czy później ktoś

rzucił ci wyzwanie. Natomiast nie akceptowano „gry w cykora”[2] — już w tych czasach na północnej obwodnicy bywały okresy bardzo gęstego ruchu.

Nigdy zatem nie grałem w „strachadło”, natomiast trochę popróbowałem „dopalania”. Mój „Dommie” miał lekko podrasowaną sześćsetkę, ale trudno było mu się równać z litrówkami vincentów, które cieszyły się znacznym uznaniem wśród elity Ace. Raz przejechałem się na vincencie, wydał mi się jednak strasznie niestabilny, zwłaszcza przy małych szybkościach — zupełnie inaczej niż mój norton, który miał ramę „featherbed” i cudownie trzymał się drogi, niezależnie od prędkości. (Zastanawiałem się, czy można by silnik vincenta zamontować na ramie nortona, i lata później miałem się dowiedzieć, że robiono takie „norviny”). Kiedy wprowadzono limity szybkości, nikt już nie „robił tony”, zabawa się skończyła i Ace przestała być tym miejscem, którym była kiedyś.

Kiedy miałem dwanaście lat, jeden z bystrych nauczycieli napisał w opinii: „Sacks zajdzie daleko, jeśli tylko nie posunie się za daleko”. W chłopięcych latach często posuwałem się za daleko w swych eksperymentach chemicznych, od których cały dom pełen był rozmaitych gazów, na szczęście jednak nigdy go nie spaliłem.

Lubiłem narty i mając szesnaście lat, z grupą kolegów ze szkoły pojechałem do Austrii, żeby trochę pozjeżdżać. Następnego roku wyprawiłem się z biegówkami do Telemarku. Jeździło się świetnie. Przed wejściem na pokład promu do Anglii kupiłem w sklepie wolnocłowym dwie litrowe butelki wódki i skierowałem się do odprawy. Norwescy celnicy poinformowali mnie, że jeśli o nich chodzi, mogę mieć ze sobą tyle butelek alkoholu, ile mi się podoba, ale do Anglii mogę wwieźć tylko jedną, zatem angielscy celnicy drugą mi odbiorą. Wsiadłem, przyciskając do

siebie obie butelki, i wraz z nimi udałem się na górny pokład. Dzień był pogodny, ale bardzo zimny, mając jednak na sobie wszystkie swoje narciarskie rzeczy, nie widziałem w tym żadnego problemu. Ponieważ nikt więcej nie poszedł w moje ślady, cały górny pokład był do mojej dyspozycji.

Miałem ze sobą książkę — wolno brnąłem wtedy przez *Ulissesa* — a na rozgrzewkę musiał mi wystarczyć alkohol. Ukołysany łagodnym, hipnotycznym kolebaniem statku, popijałem co jakiś czas z butelki i siedziałem zaabsorbowany lekturą. W pewnym momencie ze zdumieniem stwierdziłem, że łyczek po łyczku, nie wiadomo kiedy, opróżniłem pół butelki. Nie czułem żadnego efektu, dalej więc sączyłem wódkę, coraz bardziej zdumiony, jak szybko jej ubywa. Jakież było moje zdziwienie, kiedy uświadomiłem sobie, że cumujemy — tak się pogrążyłem w *Ulissesie*, że straciłem poczucie czasu. Butelka była zupełnie pusta. Ciągle nie czułem żadnych skutków, uznałem więc, że trunek musiał być słaby, pomimo napisu na etykiecie: „100 proof”. Niespodzianka czekała mnie dopiero wtedy, kiedy wstawszy, natychmiast poleciałem na twarz. „Co to się stało? — myślałem. — Czyżby pokład znienacka się zachybotał?” Podniosłem się i sytuacja natychmiast się powtórzyła.

Dopiero wtedy zaświtała mi myśl, że jestem pijany — bardzo, bardzo pijany — aczkolwiek alkohol najwyraźniej uderzył wprost do móżdżku, nie tykając całej reszty mózgu. Kiedy załoga zaczęła sprawdzać, czy nikt nie został na pokładzie, jeden z marynarzy złapał mnie na tym, jak usiłowałem się przemieścić, używając jako podpory kijków narciarskich. Zawołał kogoś do pomocy i we dwójkę sprowadzili mnie z promu. Zataczałem się wprawdzie setnie i budziłem sporą uwagę (w większości ludzie reagowali śmiechem), czułem jednak satysfakcję z tego, że zwyciężyłem system: opuszczałem Norwegię z dwiema butelkami, ale do kraju dotarłem z jedną.

Brytyjskiemu aparatowi celnemu nie udało się ograbić mnie z butelki, którą, jak sobie wyobrażałem, z chęcią by zagarnął.

Rok 1951 pełen był wydarzeń, niekiedy dość bolesnych. W marcu zmarła ciotka Birdie, dotąd nieustannie obecna w moim życiu, gdyż mieszkała z nami i wszystkich nas kochała bezwarunkowo. (Była małą kobietką o umiarkowanej inteligencji, czym odróżniała się od całej reszty rodzeństwa matki. Nie było jasne, co jej się przytrafiło w młodości — miała się uderzyć w głowę, ale była też mowa o wrodzonej niedoczynności tarczycy, dawniej zwięźle zwanej kretynizmem. Ani jedno, ani drugie nie miało dla nas żadnego znaczenia. Była po prostu ciotką Birdie, istotną częścią rodziny). Śmierć Birdie bardzo mnie przygnębiła i chyba dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak głęboko była wkomponowana w nasze życie. Kiedy kilka miesięcy wcześniej otrzymałem stypendium w Oksfordzie, to właśnie Birdie wręczyła mi telegram, obejmowała mnie i gratulowała, także trochę sobie przy tym popłakując, gdyż wiedziała, że teraz ja, najmłodszy z jej siostrzeńców, wyjadę z domu.

W Oksfordzie miałem się zjawić pod koniec lata. Skończyłem właśnie osiemnaście lat i ojciec uznał, że to najwłaściwszy moment, aby porozmawiać ze mną jak mężczyzna z mężczyzną, ojciec z synem. Mówiliśmy o kieszonkowym i w ogóle o pieniądzach, co nie stanowiło wielkiego problemu, gdyż nie miałem kosztownych potrzeb, a moją główną ekstrawagancją były książki. Na koniec ojciec wreszcie przeszedł do tego, co go najbardziej gnębiło.

— Wydaje się, że nie masz zbyt wielu koleżanek — powiedział. — Nie lubisz dziewczyn?

— Nie, nie mam z tym kłopotu — odrzekłem i chciałem jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

— Może wolisz chłopaków? — nie ustępował.

— Tak, fakt, ale wiesz... to tylko uczucie, nigdy niczego nie „robiłem” — oznajmiłem, po czym dodałem: — Tylko nic nie mów mamie, bo ona to kiepsko przyjmie.

Niestety, jednak powiedział i następnego ranka matka zeszła do kuchni z twarzą tak nachmurzoną, że jeszcze nigdy jej takiej nie widziałem.

— Jesteś sprośny — burknęła. — Żałuję, że cię w ogóle urodziłam.

Natychmiast wyszła i nie odzywała się do mnie przez kilka następnych dni. Kiedy przemówiła, nie nawiązywała już do tego, co usłyszała (nigdy już zresztą do tego nie powróciła), ale coś między nami się zmieniło. Matka, taka otwarta i uczynna w większości spraw, w tej sferze była nieugięta. Zawzięta, podobnie jak ojciec, czytelniczka Biblii, uwielbiała psalmy i Pieśń nad Pieśniami, ale przerażały ją okrutne wersy z Księgi Kapłańskiej: „Z mężczyzną nie złączaj się tak jako z niewiastą, albowiem to jest rzecz sprośna” [Biblia Tysiąclecia, 18,22].

Ponieważ rodzice byli lekarzami, mieli wiele medycznych książek, w tym także kilka poświęconych „patologiom seksualnym”, toteż już w wieku dwunastu lat poznawałem Krafft-Ebbinga, Magnusa Hirschfelda i Havelocka Ellisa, ale nie umiałem potraktować siebie jako taki „przypadek”, sprowadzający się do imienia i diagnozy. Koledzy ze szkoły wiedzieli, że jestem „jakiś inny”, już chociażby na tej podstawie, że wymigiwałem się z imprez, które zwykle kończyły się migdaleniem.

Zafascynowany chemią, a potem biologią, nie bardzo się orientowałem, co dzieje się wokół — i wewnątrz — mnie — a w szkole nikt mnie specjalnie nie pociągał (aczkolwiek spore wrażenie robiła na mnie stojąca na szczycie schodów pełnowymiarowa reprodukcja słynnej rzeźby wspaniale umięśnionego, nagiego Laokoona, który usiłuje ratować synów przed wężami). Wiedziałem, że sama myśl o homoseksualizmie niektórych

ludzi wręcz przerażała, i przypuszczałem, że tak jest w przypadku matki — stąd też moja prośba do ojca. Może nie powinienem w ogóle mu o tym wspominać. Generalnie uważałem, że moja seksualność nie powinna interesować nikogo poza mną samym, że wprawdzie żaden to sekret, ale w ogóle nie należy o niej rozmawiać. Moi najbliżsi przyjaciele, Eric i Jonathan, wiedzieli o niej, ale niemal wcale nie poruszaliśmy tego tematu, a Jonathan powiedział nawet, że uważa mnie za „aseksualnego".

Wszyscy jesteśmy tworami swego wychowania, kultury, swych czasów, musiałem więc wciąż pamiętać, że matka urodziła się w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, była wychowywana w duchu ortodoksyjnym, a w latach pięćdziesiątych XX wieku homoseksualizm traktowano w Anglii nie tylko jako perwersję, lecz także jako przestępstwo kryminalne. Musiałem też przypominać sobie, że seks to, podobnie jak religia i polityka, jedna z tych sfer, w których ludzie skądinąd racjonalni mogą dawać wyraz zupełnie nieracjonalnym uczuciom. Matka wcale nie chciała być okrutna, nie życzyła mi śmierci, natomiast, jak zdałem sobie sprawę, zaskoczona dała wyraz swym emocjom, ale potem albo żałowała swoich słów, albo zepchnęła je w najodleglejsze zakątki umysłu.

Cokolwiek sama o nich myślała, trapiły mnie przez większość późniejszego życia i odegrały znaczną rolę w tym, że nie potrafiłem bez poczucia winy, otwarcie i radośnie dawać wyrazu swojej seksualności.

Mój brat David i jego żona Lili przypuszczali, że za mój brak doświadczeń seksualnych może być odpowiedzialna nieśmiałość, zatem jakaś dobra kobieta, a także dobre pukanko mogłyby to trochę naprawić. Kiedy zatem upłynął mój pierwszy semestr w Oksfordzie, zabrali mnie na Boże Narodzenie 1951 roku do Paryża, nie tylko po to, abym się napatrzył — na Luwr, Notre Dame, wieżę Eiffla — lecz także dlatego, by

mnie zabrać do miłej dziwki, która wprawnie i cierpliwie pokaże mi i wyjaśni, na czym polega seks.

Wyszukano zatem prostytutkę w odpowiednim wieku i z odpowiednim doświadczeniem — David i Lili najpierw ją przeegzaminowali, tłumacząc, na czym polega sprawa — po czym wkroczyłem do jej pokoju. Byłem tak przerażony, że penis ze strachu kompletnie sflaczał, a jądra w popłochu usiłowały się wycofać w jamę podbrzusza.

Prostytutka — która przypominała mi jedną z ciotek — w jednej chwili oceniła sytuację. Dobrą angielszczyzną — to było jedno z kryteriów selekcji — powiedziała:

— Daj spokój, lepiej napijemy się herbaty.

Wyjęła akcesoria herbaciane i ciasteczka, nastawiła czajnik i spytała, czy mam jakąś ulubioną herbatę.

— Lapsang — odparłem. — Lubię jej wędzony zapach.

Szybko odzyskałem głos i rezon i całkiem miło rozmawialiśmy sobie przy wędzonej herbatce.

Zostałem u niej pół godziny, a gdy wyszedłem, brat i bratowa czekali niecierpliwie pod drzwiami.

— I jak było, Oliver? — spytał David.

— Okropnie — odrzekłem, otrzepując brodę z okruszków ciastek.

Gdy miałem czternaście lat, „rozumiało się samo przez się”, że zostanę lekarzem, tak jak rodzice i obaj moi starsi bracia.

Ja tymczasem wcale nie byłem przekonany, czy chcę zostać lekarzem. Przestałem już marzyć o karierze chemika, gdyż chemia daleko wykroczyła poza osiemnasto- i dziewiętnastowieczną chemię nieorganiczną, którą uwielbiałem najbardziej. Miałem chyba piętnaście lat, kiedy pod wpływem

nauczyciela biologii i *Ulicy Nadbrzeżnej* Steinbecka pomyślałem, że mógłbym zostać biologiem morskim.

Kiedy w Oksfordzie dostałem stypendium, stanąłem przed wyborem: trzymać się zoologii czy w ramach kursu przygotowawczego zgłębiać anatomię, biochemię i fizjologię? Szczególnie fascynowała mnie fizjologia zmysłów. W jaki sposób widzimy kolory, głębię, ruch? Jak to się dzieje, że w ogóle cokolwiek rozpoznajemy? Zainteresowania te pojawiły się bardzo wcześnie z racji nawiedzających mnie migren wzrokowych, gdyż za towarzyszącymi im lśniącymi zygzakami, w trakcie migrenowej aury zdarzało się, iż traciłem poczucie barwy, głębi, ruchu, a nawet niczego nie rozpoznawałem. Obraz rozpadał się przede mną, dekonstruował w sposób przerażający, ale i fascynujący, a potem w ciągu kilku minut na powrót się scalał i komponował.

Moje domowe laboratorium chemiczne służyło także jako ciemnia fotograficzna, a że szczególnie mnie interesowała fotografia barwna i stereoskopowa, więc to tylko pogłębiało ciekawość tego, w jaki sposób mózg konstruuje barwy i głębię. Ciekawiły mnie biologia morska i chemia, ale teraz chciałem zrozumieć, jak działa ludzki mózg.

*

Chociaż uważano mnie za błyskotliwego, nigdy nie byłem zbyt pewny siebie intelektualnie. Podobnie jak w przypadku dwóch najbliższych kolegów ze szkoły, Jonathana Millera i Erica Korna, dwiema moimi pasjami były nauki przyrodnicze i literatura. Bojaźnią napełniała mnie inteligencja ich obu i zastanawiałem się nad tym, dlaczego w ogóle się ze mną zadają. Tak czy owak wszyscy trzej dostaliśmy stypendia. Wtedy jednak zaczęły się moje trudności.

W Oksfordzie na początek trzeba było zdać egzamin wstępny, który w moim przypadku wydawał się formalnością, bo przecież miałem już otwarte stypendium. Tymczasem nie zdałem, podszedłem więc drugi raz i ponownie oblałem. Kiedy poległem trzeci raz, nasz opiekun, pan Jones, wziął mnie na bok i spytał:

— Sacks, znakomicie przeszedłeś testy stypendialne, więc dlaczego teraz ciągle się wykładasz na tym durnym egzaminie?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a on na to:

— W porządku, to twoja ostatnia szansa.

Spróbowałem więc czwarty raz i tym razem się udało.

W St. Paul’s School, do której chodziłem razem z Erikiem i Jonathanem, miałem znakomitą mieszankę sztuki i nauk przyrodniczych. Przewodniczyłem naszemu towarzystwu literackiemu, a zarazem byłem sekretarzem Field Club[3]. O takie połączenia w Oksfordzie było trudniej, gdyż wydział anatomii, laboratoria naukowe i Radcliffe Science Library skupiły się wokół South Parks Road, spory kawałek od uniwersyteckich sal wykładowych i college’ów. Ci, którzy oddawali się naukom przyrodniczym czy wstępowali na kurs przygotowawczy, byli oddzieleni nie tylko przestrzennie, lecz także towarzysko od reszty uniwersytetu.

Bardzo to odczułem podczas pierwszego oksfordzkiego semestru. Musieliśmy pokazywać naszym tutorom napisane prace, a ich przygotowanie wymagało spędzania wielu godzin w Radcliffe Science Library na czytaniu prac badawczych i recenzji, wydobywaniu z nich tego, co wydawało się najbardziej interesujące, a następnie na prezentowaniu tego we własny interesujący sposób. Zaczytywanie się w neurobiologii było ciekawe, a nawet pasjonujące — miałem wrażenie, że otwierają się przede mną rozległe nowe tereny — ale coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, czego zaczyna mi w życiu brakować. Z rzeczy bardziej uniwersalnych

przeczytałem tylko *Essays in Biography* Maynarda Keynesa i chciałem napisać coś podobnego, ale o bardziej klinicznym charakterze: chciałem przedstawić osoby z jakimiś szczególnymi słabościami czy silnymi stronami i pokazać, jak te cechy wpływały na ich życie. Mówiąc inaczej, miały to być biografie przypadków klinicznych.

Moim pierwszym (i w tym przypadku jedynym) bohaterem był Theodore Hook, na którego nazwisko natknąłem się, czytając biografię Sydneya Smitha, który należał do wielkich postaci epoki wiktoriańskiej. Także Hook był niezwykle inteligentny, dusza towarzystwa, starszy od Sydneya Smitha o dekadę, może dwie, a podobnie jak on miał niezwykłą wyobraźnię muzyczną. Powiadają, że skomponował ponad pięćset oper, siedząc przy fortepianie, improwizując i odśpiewując wszystkie partie. Były to dzieci chwili — zaskakujące, piękne i efemeryczne, gdyż improwizowane. Nigdy nie były powtarzane ani zapisywane, rychło więc ulegały zapomnieniu. Urzekły mnie opisy tego improwizacyjnego geniuszu Hooka. Jakiego typu umysł mógł na to pozwalać?

Zacząłem więc czytać o Hooku wszystko, co wpadło mi w ręce, włącznie z jego własnymi książkami, te jednak wydawały się osobliwie nudne i wymęczone w porównaniu z błyskotliwymi i szaleńczo pomysłowymi improwizacjami, o których opowiadano. Wiele nad nim rozmyślałem, a pod koniec Michaelmas term[4] na sześciu ściśle zapisanych stronach (w sumie jakieś cztery, pięć tysięcy słów) sporządziłem o nim esej.

Obecnie spoczywa w pudle, razem z innymi moimi wczesnymi tekstami. Kiedy dzisiaj go czytam, jestem pod wrażeniem potoczystości, erudycji, pompatyczności i pretensjonalności. W ogóle nie czuję w tym swojego pióra. Czy to dlatego, że złożyłem, zszyłem całą rzecz z materiałów zaczerpniętych z kilku źródeł, czy też z racji tego, że siliłem się na

przemądrzały, profesjonalny styl, który przyjąłem, chociaż byłem dopiero nieopierzonym osiemnastolatkiem?

Hook stanowił wyjątek. Większość tekstów poświęcona była problemom psychologii i co tydzień odczytywałem je tutorowi. Kiedy doszedłem do kwestii słuchu, tak mnie ona zafascynowała, że bez opamiętania czytałem i myślałem na ten temat, aż w końcu zbrakło mi czasu, żeby naprawdę napisać esej. W dniu prezentacji przyniosłem ze sobą plik papierów i udawałem, że z nich czytam, przewracając kolejne strony wraz z tym, jak rozwijałem temat. W pewnej chwili Carter (doktor C.W. Carter, mój tutor w Queen’s College) przerwał mi.

— Zaraz, zaraz, trochę nie nadążam. Mógłbyś przeczytać raz jeszcze?

Lekko zdenerwowany spróbowałem powtórzyć kilka ostatnich zdań, czemu Carter przysłuchiwał się ze zmarszczonymi brwiami.

— Daj, chciałbym rzucić okiem — polecił, a kiedy wręczyłem mu pustą stronicę, pokiwał głową. — Imponujące, Sacks, naprawdę imponujące. Ale w przyszłości wolałbym, żebyś jednak pisał swoje prace.

*

Jako student Oksfordu miałem wstęp nie tylko do Rad-cliffe Science Library, lecz także do Bodleian, wspaniałej biblioteki ogólnej, której początki sięgały roku 1602. To w Bodleian trafiłem na podniszczone i zapomniane teksty Hooka. Żadna inna biblioteka — z wyjątkiem British Museum — nie była w stanie udostępnić mi potrzebnych materiałów, a w zaciszu Bodleian wspaniale się pisało.

Ale ze wszystkich oksfordzkich bibliotek najbardziej lubiłem naszą, tę należącą do Queen’s College. Od razu dowiedzieliśmy się, że majestatyczny budynek biblioteki zaprojektował sam Christopher Wren,

w podziemiach zaś, pod gmatwaniną przewodów kanalizacyjnych i grzewczych, spoczywały na półkach klejnoty księgozbioru. Cóż to było za zupełnie nowe przeżycie: trzymać w rękach stare książki, inkunabuły! Ze szczególnym zachwytem przeglądałem bogato ilustrowane *Historiae animalium* z roku 1551 — w której to książce znajduje się między innymi sporządzony przez Albrechta Dürera słynny sztych nosorożca — a także czterotomowe dzieło Louisa Agassiza o rybach kopalnych. To właśnie tam zobaczyłem pierwsze wydania wszystkich dzieł Darwina, tam również zakochałem się w pracach sir Thomasa Browne'a, jego *Religio Medici*, *Hydriotaphia* czy *The Garden of Cyrus* (*The Quincunciall Lozenge*)[5]. Jakże absurdalne były niektóre z nich, ale jakże wspaniałym językiem napisane! A jeśli miało się już dość klasycznej grandilokwencji Browne'a, zawsze można było szukać odświeżenia w lapidarnym i dosadnym języku Swifta, którego wszystkie dzieła znajdowały się tu — rzecz jasna — w pierwszych wydaniach. Dorastałem pośród dziewiętnastowiecznej literatury, którą cenili moi rodzice, natomiast w katakumbach biblioteki Queen's wstąpiłem w krainę książek siedemnasto- i osiemnastowiecznych: Johnsona, Hume'a, Gibbona i Pope'a. Wszystkie te cuda były swobodnie dostępne: czekały nie w jakiejś odgrodzonej, zamykanej na klucz enklawie rzadkich pozycji, lecz ot tak, po prostu na półkach, spoczywające tam, jak sobie wyobrażałem, od chwili publikacji. To właśnie w lochach Queen's College wyrobiłem sobie zmysł historyczny i poczucie własnego języka.

*

Moja matka, chirurg i anatom, z góry przewidywała, że nazbyt jestem niezdarny, żeby podążyć za nią pierwszą ścieżką; oczekiwała więc przynajmniej, iż będę przodował na Oksfordzie w anatomii. Krajaliśmy

ciała, uczęszczaliśmy na wykłady, a po kilku latach trzeba było przystąpić do końcowego egzaminu. Kiedy wywieszono wyniki, zobaczyłem, że moja nota jest przedostatnia w grupie. Bardzo się bałem reakcji matki, uznałem więc, że w tej sytuacji zupełnie wskazanych jest kilka drinków dla kurażu. Skierowałem kroki do ulubionego pubu White Horse przy Broad Street, gdzie walnąłem cztery czy pięć pint ostrego cydru — nie tylko mocniejszego od większości piw, lecz także tańszego.

Kiedy napruty wytoczyłem się z knajpy, przyszedł mi do głowy pomysł tyleż szaleńczy, ile bezczelny — beznadziejny wynik egzaminu spróbuję zrekompensować tym, iż wystartuję do bardzo cenionej nagrody uniwersyteckiej: stypendium Theodore'a Williamsa z ludzkiej anatomii. Egzamin co prawda już się zaczął, ale z pijacką śmiałością wśliznąłem się do sali, zająłem jedno z wolnych miejsc i wpatrzyłem się w arkusz egzaminacyjny.

Należało odpowiedzieć na siedem pytań. Uchwyciłem się jednego („Czy różnice strukturalne pociągają za sobą różnice funkcjonalne?") i przez dwie godziny bez ani chwili przerwy pisałem na ten temat, korzystając z wszystkich elementów wiedzy zoologicznej i botanicznej, jakie wydawały mi się adekwatne w tym kontekście. Godzinę przed zakończeniem egzaminu wyszedłem, ignorując sześć pozostałych pytań.

Wyniki ogłosił weekendowy „The Times". Konkurs wygrałem ja, Oliver Wolf Sacks. Wszyscy oniemieli. Jak mógł zdobyć nagrodę Theodore'a Williamsa ktoś, kto zaliczył drugą od końca notę z egzaminu z anatomii? Ja natomiast nie byłem zdziwiony, gdyż w innej sekwencji powtórzyła się historia z moim oksfordzkim „wstępniakiem": kiepsko wypadam na egzaminach testowych, typu „tak — nie", natomiast w esejach naprawdę potrafię rozwinąć skrzydła.

Nagroda Theodore’a Williamsa wynosiła pięćdziesiąt funtów — całe pięćdziesiąt funtów! Nigdy w dotychczasowym życiu nie widziałem tylu pieniędzy naraz! Teraz udałem się nie do White Horse, lecz do księgarni Blackwella (drzwi w drzwi z pubem) i za czterdzieści cztery funty kupiłem dwanaście tomów *Oxford English Dictionary*, najbardziej przeze mnie wymarzoną i upragnioną książkę na świecie. W trakcie właściwych studiów medycznych miałem przeczytać słownik od deski do deski, a i dzisiaj lubię do snu przekartkować ten czy inny tom.

*

W Oksfordzie moim najbliższym przyjacielem był Kalman Cohen, młody logik matematyczny, stypendysta Rhodesa[6]. Nigdy wcześniej nie znałem żadnego logika i niesłychanie fascynowała mnie zdolność Kalmana do intelektualnego skupienia. Miałem wrażenie, że całymi tygodniami potrafi się bez przerwy koncentrować na jednym problemie, a pasjonowało go samo myślenie, ekscytował każdy jego akt, niezależnie od treści.

Wprawdzie byliśmy bardzo różni, ale jak się okazało, dobrze do siebie pasowaliśmy. Jego urzekały moje często dzikie skojarzenia, mnie — jego niesłychanie precyzyjny umysł. Zaznajomił mnie z Hilbertem i Brouwerem, gigantami logiki matematycznej, a ja z kolei zapoznałem go z Darwinem i wielkimi przyrodnikami XIX wieku.

Nauka kojarzy nam się z odkryciami, sztuka — z inwencją, ale czy jest jeszcze „trzeci świat”, świat matematyki, w którym występuje i jedno, i drugie? Czy liczby — na przykład pierwsze — istnieją w jakiejś wieczystej platońskiej dziedzinie? Czy też zostały wymyślone, jak sądził Arystoteles? Co począć z liczbami niewymiernymi, na przykład π? Czy z urojonymi, jak pierwiastek kwadratowy z –2? Nad problemami takimi

bezowocnie zastanawiałem się od czasu do czasu, ale dla Kalmana była to kwestia życia lub śmierci. Miał nadzieję, że platonizujący intuicjonizm Brouwera oraz arystotelesowski formalizm Hilberta są wprawdzie odmiennymi, ale komplementarnymi wizjami dziedziny matematyki.

Jak tylko zacząłem opowiadać o Kalu rodzicom, natychmiast pomyśleli o tym, jak daleko jest od rodziny, i zaprosili go, żeby spędził u nas w Londynie spokojny weekend przy domowych potrawach. Generalnie rodzicom bardzo przypadł do gustu, ale matka była oburzona, kiedy nazajutrz rano znalazła prześcieradło pokryte atramentowymi zapiskami. Kiedy jej wyjaśniałem, że jako geniusz miał zwyczaj wykorzystywać między innymi pościel do pracy nad nową teorią logiki matematycznej (tutaj odrobinę przesadziłem), miejsce oburzenia zajęła bojaźń, dlatego też uznała, że prześcieradło trzeba zatrzymać jak je zapisał, bez prania czy prasowania, na wypadek gdyby podczas następnych odwiedzin Kalman chciał zajrzeć do swoich notatek. Z dumą pokazała je także Seligowi Brodetsky’emu — który na studiach w Cambridge zyskał tytuł Senior Wrangler, najlepszego absolwenta matematyki, a był jedynym znanym jej specjalistą w tej dziedzinie (a także zagorzałym syjonistą).

Kalman skończył Reed College w Oregonie — znanym, jak mnie poinformował, ze znakomitych uczniów — a matematykę ukończył tam z najlepszym od lat wynikiem. Powiedział o tym tak obojętnie, jakby chodziło o prognozę pogody. Taki był stan faktyczny i tyle. Mnie chyba także uważał za błyskotliwego, pomimo jawnego braku porządku i logiczności w moich myślach, a ponieważ był zdania, że osoby błyskotliwe powinny wiązać się ze sobą, aby płodzić błyskotliwe dzieci, więc w tej intencji umówił mnie z inną amerykańską stypendystką Rhodesa, panną Isaac. Rael Jean była osobą spokojną i nierzucającą się w oczy, ale z umysłem ostrym jak diament (zdaniem Kala), przez całą kolację

prowadziliśmy więc bardzo abstrakcyjną rozmowę i rozstaliśmy się w przyjaźni, ale już nigdy więcej się nie spotkaliśmy. Kalman zaś nigdy więcej nie starał się znaleźć mi partnerki.

W 1952 roku nasze pierwsze wspólne z Kalmanem letnie wakacje spędziliśmy, podróżując autostopem przez Francję i Niemcy, a nocując w schroniskach młodzieżowych. Gdzieś po drodze nabawiliśmy się wszy, musieliśmy więc ostrzyc głowy na zero. Nasz bardzo elegancki kolega z Queen's College, Gerhart Sinzheimer, zaprosił nas, byśmy zatrzymali się u jego rodziców w domu nad jeziorem Titisee w Schwarzwaldzie, gdzie i on spędzał lato. Kiedy brudni i łysi zjawiliśmy się tam, na dodatek opowiadając o wszawicy, obu nam kazano się wykąpać, ubrania zaś oddano do odkażenia. Po krótkiej i dosyć sztywnej wizycie u eleganckich Sinzheimerów skierowaliśmy się do Wiednia (który był dla nas przede wszystkim miastem z *Trzeciego człowieka*), gdzie spróbowaliśmy wszystkich znanych ludziom trunków.

*

Dyplomu wprawdzie nie robiłem z psychologii, ale czasami bywałem na wykładach na wydziale psychologii. To tutaj po raz pierwszy zobaczyłem J.J. Gibsona, odważnego teoretyka i eksperymentatora w dziedzinie psychologii widzenia, który z gościnnymi wykładami przyjechał do Oksfordu z Uniwerytetu Cornella. Gibson właśnie opublikował swoją pierwszą książkę, *The Perception of the Visual World*, i był zachwycony, dając nam eksperymentować ze specjalnymi okularami, które odwracały (w jednym oku lub w obu) to, co normalnie widzimy. Trudno o coś bardziej dziwacznego niż widzenie świata do góry nogami, ale jednak po kilku

dniach mózg się przyzwyczajał i reorientował widzialny świat (tyle że kiedy zdjęło się okulary, ten wydawał się odwrócony).

Fascynowały mnie też iluzje wzrokowe, gdyż pokazywały, jak bezsilne wobec deformacji percepcyjnych są intelektualne pojmowanie, refleksja, a nawet zdrowy rozsądek. Okulary Gibsona dowodziły, że umysł jest w stanie skorygować zniekształcenia optyczne, podczas gdy iluzje wzrokowe wskazywały, że nie jest w stanie sobie poradzić ze zniekształceniami percepcyjnymi.

Richard Selig. Było to sześćdziesiąt lat temu, a ja ciągle widzę twarz Richarda i jego postać — poruszał się jak lew — kiedy w 1953 roku po raz pierwszy zobaczyłem go przed Magdalen College. Zaczęliśmy rozmawiać, co — jak przypuszczam — było jego inicjatywą, gdyż ja byłem zbyt nieśmiały, aby zapoczątkować jakąkolwiek znajomość, a tu dodatkowo onieśmielała mnie jego uroda. W trakcie tej pierwszej rozmowy dowiedziałem się, że jest nie tylko stypendystą Rhodesa, lecz także poetą, a przed przyjazdem do Oksfordu wykonywał w Stanach Zjednoczonych rozmaite dorywcze prace. Nawet jeśli uwzględnić różnicę wieku (miał dwadzieścia cztery lata, podczas gdy ja tylko dwadzieścia), wiedział o świecie nieporównanie więcej nie tylko ode mnie, lecz także od zdecydowanej większości tych, którzy szli na uniwersytet bezpośrednio po szkole, nie zakosztowawszy po drodze normalnego życia. Dostrzegł we mnie coś interesującego i szybko się zaprzyjaźniliśmy, a nawet więcej — gdyż się w nim zakochałem, po raz pierwszy w życiu.

Zakochałem się w jego twarzy, ciele, umyśle, poezji, we wszystkim, co się z nim wiązało. Bardzo często pokazywał mi świeżo napisane wiersze, a ja z kolei dawałem mu do oceny moje eseje fizjologiczne. Nie sądzę, bym jako jedyny się w nim kochał. Byli też inni, mężczyźni i kobiety, o czym

decydowały jego wielka uroda, wielkie talenty, witalność i radość życia. Chętnie opowiadał o sobie, o znajomości z poetą Theodore’em Roethkem, przyjaźni z licznymi malarzami, a także o roku, kiedy on sam oddawał się malowaniu, aż wreszcie zdał sobie sprawę z tego, że chociaż może mieć bardzo różne talenty, to jednak jego prawdziwą pasją jest poezja. Bardzo często całymi miesiącami nosił w głowie obrazy, słowa, wersy, przetwarzając je świadomie i nieświadomie, aż wreszcie tworzył z nich jakiś wiersz albo całkowicie z nich rezygnował. Publikował utwory w „Encounter”, „The Times Literary Supplement”, „Isis” i „Granta”, a wielkim propagatorem jego twórczości był Stephen Spender. Myślę, że był geniuszem; ewentualnie geniuszem dopiero wzrastającym.

Wyprawialiśmy się na długie spacery, podczas których rozmawialiśmy o poezji i nauce. Lubił słuchać moich entuzjastycznych tyrad na temat chemii i biologii, podczas których gdzieś ulatywał mój wstyd. Wiedziałem wprawdzie, że go kocham, ale bardzo się bałem to wyznać; słowa matki o „sprośności” utwierdzały mnie w przekonaniu, że nie wolno mi o tym mówić. Ale z jakiegoś tajemniczego powodu miłość, a zwłaszcza miłość do kogoś takiego jak Richard, była dla mnie źródłem radości i dumy, któregoś więc dnia, czując, jak serce podchodzi mi do gardła, powiedziałem mu, że go kocham, choć zupełnie nie wiedziałem, jak zareaguje. Przygarnął mnie, ujął za ramiona i powiedział:

— Wiem. Ze mną jest inaczej, ale bardzo cenię twoją miłość i na swój sposób także cię kocham.

Nie czułem się odrzucony, nie miałem złamanego serca. Powiedział to, co musiał, w możliwie najdelikatniejszy sposób. Nasza przyjaźń trwała, łatwiejsza teraz dzięki temu, że porzuciłem pewne bolesne i beznadziejne pragnienia.

Myślałem, że będzie to przyjaźń na całe życie, niewykluczone, że z nim było podobnie. Któregoś dnia przyszedł do mnie zaniepokojony. Zauważył obrzęk w jednej pachwinie, którym zrazu się nie przejął, przekonany, że sam ustąpi, tymczasem ten rósł i stawał się coraz bardziej nieprzyjemny.

— Szykujesz się na medycynę — powiedział — więc obejrzyj to.

Zdjął spodnie i majtki: w lewej pachwinie zobaczyłem opuchliznę wielkości jajka, twardą w dotyku. Natychmiast pomyślałem o raku, powiedziałem więc Richardowi:

— Musisz iść z tym do lekarza. Nie zwlekaj, konieczna może być biopsja.

Biopsja guza wykazała mięsaka limfatycznego. Richardowi powiedziano, że być może czeka go nie więcej niż dwa lata życia. Obwieściwszy mi to, już nigdy się do mnie nie odezwał. Ponieważ byłem pierwszym, który uznał, że guz może być śmiertelnie niebezpieczny, prawdopodobnie stałem się dla niego zwiastunem czy symbolem śmierci.

W czasie, który mu pozostał, chciał żyć jak najpełniej. Poślubił irlandzką harfistkę i pieśniarkę Mary O’Harę, wyjechał z nią do Nowego Jorku i zmarł piętnaście miesięcy później. W ostatnich miesiącach napisał wiele ze swych najpiękniejszych wierszy.

W Oksfordzie egzaminy końcowe zdaje się po trzecim roku. Zostałem, żeby się przygotować, i po raz pierwszy poczułem się dość osamotniony, gdyż niemal wszyscy z mojego roku wyjechali.

Po tym, jak otrzymałem stypendium Theodore’a Williamsa, zaproponowano mi asystenturę badawczą na wydziale anatomii, ale nie zgodziłem się pomimo szacunku do anatomii, a także podziwu dla znakomitego i — mimo tej znakomitości — otwartego i przyjaznego Wilfrida Le Gros Clarka.

Le Gros Clark był wspaniałym nauczycielem, który prezentował ludzką anatomię w perspektywie ewolucjonistycznej, a w tym czasie był znany z demaskacji fałszerstwa z Piltdown[7]. Odrzuciłem jego propozycję, gdyż byłem pod wrażeniem serii wykładów z historii medycyny wygłoszonej przez uniwersyteckiego specjalistę od ludzkiego pożywienia H.M. Sinclaira.

Zawsze pasjonowała mnie historia i nawet w czasach chłopięcej fascynacji chemią starałem się dowiedzieć wszystkiego na temat życia i osobowości wielkich chemików, a także kontrowersji i konfliktów, które często towarzyszyły nowym odkryciom i teoriom. Intrygowało mnie to, jak rozwijała się chemia jako zbiorowe przedsięwzięcie konkretnych ludzi. A teraz, na wykładach Sinclaira, ożywała przede mną historia fizjologii, jej idei i jej badaczy.

Przyjaciele, a także mój tutor w Queen's ostrzegali mnie, starali się uchronić przed tym, co uważali za poważny błąd. Owszem, słyszałem o nim różne plotki — nic konkretnego, tyle tylko że jest „dziwny" i wyizolowany na uniwersytecie, a także że władze uczelni chciały zamknąć jego laboratorium — ale tak czy owak obstawałem przy swoim.

Swój błąd zrozumiałem natychmiast, gdy tylko znalazłem się w LHN — Laboratory of Human Nutrition [Pracownia Żywienia Człowieka].

Sinclair miał encyklopedyczną wiedzę — przynajmniej w sferze historii — i kazał mi się zająć czymś, o czym miałem niejasne pojęcie, coś kiedyś tylko zasłyszawszy. Tak zwany „bimbirowy paraliż" pojawił się w czasach prohibicji. Gdy alkohol stał się nielegalny, ludzie lubiący wypić szukali ratunku między innymi w alkoholowym ekstrakcie z jamajskiego imbiru — zwanego *jake* — był powszechnie dostępny jako „napój uspokajający"[8]. Kiedy władze zorientowały się, że może on być tak wykorzystywany, kazały do niego dodawać bardzo nieprzyjemnie smakujący fosforan tri-o-

krezylu (TOCP). Pijaków to nie zraziło, lecz wkrótce okazało się, że TOCP to bardzo groźna, chociaż działająca powoli substancja neurotoksyczna. W momencie kiedy to sobie uświadomiono, już ponad pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów doznało poważnych i często nieodwracalnych uszkodzeń układu nerwowego, prowadzących do porażenia kończyn, co nierzadko objawiało się charakterystycznym, łatwo rozpoznawalnym „bimbirowym chodem".

Ciągle nie wiedziano, w jaki właściwie sposób TOCP powoduje takie uszkodzenia neurologiczne, chociaż pojawiały się sugestie, że szczególnie narusza mielinowe osłonki nerwów, na co, jak oznajmił Sinclair, nie było żadnego antidotum. Polecił mi, bym opracował zwierzęcy model tej choroby, co przy mojej miłości do bezkręgowców natychmiast kazało mi pomyśleć o dżdżownicach, które miały wielkie mielinowane włókna nerwowe odpowiadające za ich zdolność do raptownego zwijania się w przypadku skaleczenia czy zagrożenia. Nerwy te łatwo było badać, a dżdżownic można było mieć tyle, ile się chciało. Dżdżownice, myślałem, mogę uzupełnić kurczakami czy żabami.

Kiedy przedyskutowaliśmy mój projekt, Sinclair ewakuował się do wypełnionego książkami gabinetu i stał się praktycznie nieosiągalny — nie tylko dla mnie, lecz także dla wszystkich z LHN. Reszta to byli wprawni badacze, radzi, że nikt im się do niczego nie wtrąca i mogą robić swoje. Ja tymczasem byłem nowicjuszem, rozpaczliwie potrzebującym rady i wskazówek. Usiłowałem skontaktować się z Sinclairem, ale po kilkakrotnych próbach uznałem, że to beznadziejne.

Praca szła źle od samego początku. Nie miałem pojęcia, jakie powinno być stężenie TOCP, z czym je podawać, czy mam je słodzić, aby zneutralizować naturalną gorycz. Dżdżownice i żaby na początku gardziły moimi delicjami z TOCP, kurczaki natomiast pożerały wszystko, co nie

było szczególnie atrakcyjnym widokiem. Pomimo ich wszystkożerności, dziobania i gdakania zacząłem je lubić, czerpać dumę z ich hałaśliwości i wigoru, a także interesować się ich swoistymi zwyczajami i cechami. Po kilku tygodniach TOCP zaczął skutkować i nóżki kurcząt słabły. Na tym etapie, podejrzewając, że TOCP może działać podobnie jak gazy paraliżujące (które hamują neuroprzekaźnik acetylocholinę), połowie częściowo sparaliżowanych ptaków podałem jako antidotum leki antycholinergiczne. Ponieważ pomyliłem się z dawką, wszystkie udało mi się uśmiercić, a tymczasem kurczęta z drugiej grupy słabły coraz bardziej, na co z trudem mogłem patrzeć. Koniec badania wyznaczyła dla mnie chwila, gdy mój ulubiony ptak — bez imienia, tylko numer 4304, niezwykle łagodny i spokojny — żałośnie popiskując, padł na ziemię z obiema nóżkami sparaliżowanymi. Po uśmierceniu go chloroformem na ołtarzu nauki stwierdziłem zniszczenie osłonek mielinowych nerwów obwodowych, a także aksonów. Bardzo podobne były wyniki sekcji zwłok ludzkich ofiar TOCP.

Stwierdziłem też, że TOCP likwidował u dżdżownic raptowne zwijanie się, nie naruszając zdolności do innych ruchów: niszczył tylko mielinowane włókna nerwowe, nie naruszając bezmielinowych. W sumie jednak uznałem, że moje poszukiwanie zakończyło się fiaskiem i że nigdy nie zostanę badaczem przyrodniczym. Napisałem barwny i dość osobisty raport badawczy i wraz z tym chciałem wymazać ze swego życia cały ten niefortunny epizod.

Przygnębiony tym zdarzeniem i osamotniony, jako że przyjaciele uniwersyteccy się rozjechali, znalazłem się w stanie spokojnej, ale jednak rozedrganej desperacji. Ulgę dawał mi tylko wysiłek fizyczny, więc co wieczór udawałem się na długi bieg po dróżce nad Isis[9]. Po około

godzinie biegu pływałem i nurkowałem, a potem, lekko zmarznięty, biegłem z powrotem do swojego mieszkania naprzeciw Christ Church. Jadłem jakąś zimną kolację (nie byłem teraz w stanie przełknąć kurczaka), a potem pisałem długo w noc. Notatki te, które nazywałem sobie „szlafmycówkami", były nerwowymi, bezowocnymi próbami nakreślenia pewnego typu filozofii, recepty na życie, nazwania celu, do którego warto zmierzać.

Mój tutor w Queen's, który usiłował mnie powstrzymać przed współpracą z Sinclairem, zorientował się w moim stanie (co mnie zdumiało, ale także dodało mi otuchy, gdyż nie byłem dotąd pewien, czy w ogóle pamięta o moim istnieniu) i swoimi niepokojami podzielił się z moimi rodzicami. Wspólnie uznali, że najlepiej będzie wyciągnąć mnie z Oksfordu i umieścić w jakimś przyjaznym, pomocnym otoczeniu, gdzie będę ciężko pracował fizycznie od rana do wieczora. Rodzice uznali, że warunki te najlepiej spełnia kibuc, a i mnie — chociaż nie miałem żadnych ciągotek religijnych czy syjonistycznych — spodobał się ten pomysł. W taki oto sposób wyprawiłem się do En ha-Szofet, „anglosaskiego" kibucu koło Hajfy, gdzie miałem się porozumiewać po angielsku do czasu, gdy — jak sądzono — zacznę biegle mówić po hebrajsku.

Lato 1955 roku spędziłem w kibucu. Dano mi do wyboru: mogłem pracować przy pielęgnacji drzew albo z kurczakami. Ponieważ te ostatnie mnie przerażały, zdecydowałem się na drzewa. Wstawaliśmy przed świtem, wspólnie jedliśmy śniadanie, a potem udawaliśmy się do pracy.

Zdumiały mnie wielkie misy z siekaną wątróbką do każdego posiłku, także śniadania. W kibucu nie było bydła i nie pojmowałem, jak te kurczaki były w stanie dostarczyć dziesiątek kilogramów wątróbki, którą spożywaliśmy codziennie. Kiedy w końcu spytałem, ze śmiechem mi wyjaśniono, że tym, co brałem za wątróbkę, były w istocie siekane

bakłażany, których nigdy nie smakowałem w Anglii. Byłem w przyjaznych stosunkach ze wszystkimi. Rozmawialiśmy, ale nie zaprzyjaźniłem się z nikim. Kibuc pełen był rodzin, czy raczej stanowił jedną superrodzinę, w której wszyscy rodzice czuwali nad wszystkimi dziećmi. Wyróżniałem się tym, że nie zamierzałem urządzać sobie życia w Izraelu (w przeciwieństwie do mych licznych kuzynów). Nie bardzo sobie radziłem z luźnymi pogawędkami, a przez pierwsze dwa miesiące, pomimo intensywnych zajęć w *ulpan,* nauczyłem się bardzo niewiele hebrajskiego. I nagle w dziesiątym tygodniu zacząłem znienacka rozumieć i wypowiadać frazy hebrajskie. Ciężka fizyczna praca i otoczenie przyjaznych, rozumnych ludzi stanowiły prawdziwą odtrutkę na samotne, dręczące miesiące w laboratorium Sinclaira, kiedy tak strasznie zamykałem się w swojej głowie.

Był też wspaniały efekt fizyczny. Udałem się do kibucu jako blady, nieporadny studwudziestokilogramowy grubas; kiedy zaś opuszczałem go trzy miesiące później, miałem tego ciała trzydzieści kilogramów mniej, ale w pewnym głębokim sensie czułem się w nim bardziej zadomowiony.

Kiedy wyjechałem z kibucu, przez kilka tygodni podróżowałem po innych częściach Izraela, aby poczuć ducha tego młodego, idealistycznego, oblężonego państwa. Na zakończenie sederu, uroczystej wieczerzy spożywanej w święto Pesach, zawsze mówimy: „W przyszłym roku — w Jerozolimie” i oto wreszcie na własne oczy zobaczyłem miasto, w którym na tysiące lat przed Chrystusem Salomon wzniósł swoją świątynię, tyle że Jerozolima była w tym czasie podzielona i nie dało się wejść do Starego Miasta.

Widziałem stary port w Hajfie, który pokochałem, Tel Awiw, kopalnie miedzi na pustyni Negew — podobno słynne kopalnie króla Salomona. Fascynowało mnie to, co czytałem o kabalistycznym judaizmie —

a zwłaszcza jego kosmogonii — więc w trakcie owej podróży, w pewnym sensie pielgrzymki, skierowałem się do Safedu, gdzie w XVI wieku żył i nauczał Izaak Luria.

Następnie przyszedł czas na właściwy cel wyprawy: Morze Czerwone. Ejlat miało wówczas kilkuset mieszkańców i było skupiskiem szałasów i baraków (dzisiaj całe jego wybrzeże skrzy się od frontonów hotelowych, a zamieszkuje je pięćdziesiąt tysięcy ludzi). Praktycznie całymi dniami pływałem pod wodą, po raz pierwszy też nurkowałem z aparatem tlenowym, dość jeszcze wtedy prymitywnym. (Był już o wiele wygodniejszy i poręczniejszy, kiedy kilka lat później wyrabiałem w Kalifornii licencję płetwonurka).

Znowu, jak na początku w Oksfordzie, nawiedziły mnie wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście chcę zostać lekarzem. Zacząłem się bardzo pasjonować neurofizjologią, ale ogromnie też pociągała mnie biologia morska, szczególnie morskie bezkręgowce. Czy nie można by tych zainteresowań połączyć, na przykład uprawiając neurofizjologię bezkręgowców, a zwłaszcza badając układy nerwowe głowonogów, tych prawdziwych geniuszy pośród bezkręgowców? [10]

Jakaś cząstka mnie chciała już na całe życie pozostać w Ejlacie, żeby pływać, nurkować, baraszkować w morskich głębinach, oddając się biologii morskiej i neurofizjologii bezkręgowców. Rodzice jednak się niecierpliwili, już zbyt długo leniuchowałem w Izraelu, a skoro zostałem „wyleczony”, należało wracać do medycyny, do kliniki w Londynie, do pracy z pacjentami. Ja tymczasem miałem jeszcze jedną rzecz do zrobienia, której wcześniej nie brałem pod uwagę. Miałem dwadzieścia dwa lata, myślałem — nareszcie dobrze wyglądający, opalony, szczupły, ale ciągle prawiczek.

Byłem w Amsterdamie z Erikiem kilka razy. Zachwycaliśmy się muzeami i Concertgebouw (tam po raz pierwszy usłyszałem po holendersku *Petera Grimesa* Benjamina Brittena), uwielbialiśmy kanały biegnące wzdłuż ścian wysokich domów ze schodkami, stary Hortus Botanicus, piękną siedemnastowieczną synagogę portugalską, Rembrandtplein z kafejkami na wolnym powietrzu, surowe śledzie, kupowane i jedzone na ulicy, a przede wszystkim ogólną atmosferę serdeczności i otwartości, która wydawała się swoista dla tego miasta.

Teraz jednak, czując jeszcze na sobie wodę Morza Czerwonego, postanowiłem jechać do Amsterdamu sam, przede wszystkim aby się rozprawiczyć. Świetnie, ale jak się do tego zabrać? Nie ma na ten temat żadnych podręczników. Może potrzeba mi drinka, w porządku, kilku drinków, żeby trochę podtopić wstydliwość, moje lęki i płaty czołowe.

Nieopodal dworca był całkiem miły bar przy Warmoesstraat, do którego często zachodziliśmy z Erikiem, żeby co nieco wychylić. Teraz jednak, gdy znalazłem się tu sam, było to spore co nieco: holenderski dżin, aby nabrać holenderskiej odwagi [11]. Piłem do chwili, gdy bar zaczął rozmazywać mi się w oczach, a dźwięki falować, raz głośniejsze, raz cichsze. Nie zdawałem sobie właściwie z tego sprawy, ale kiedy wstałem, z trudem mogłem utrzymać się na nogach, a kolebałem się tak, iż barman powiedział: „*Genoeg!* Starczy!” i spytał, czy dam radę bez pomocy dotrzeć do hotelu. Odparłem, że tak, bo hotel mam po drugiej stronie ulicy, i wytoczyłem się na zewnątrz.

Musiał mi się urwać film, gdyż następnego ranka ocknąłem się nie w swoim, lecz cudzym łóżku. Poczułem miły zapach parzonej kawy, po czym pojawił się w szlafroku mój gospodarz — mój wybawiciel — z filiżanką w ręku.

Zobaczył mnie pijanego w trupa na chodniku, jak potem oznajmił, zabrał do domu i... przeleciał.

— Fajnie było? — spytałem.

— Tak — zapewnił.

Bardzo fajnie, było mu tylko przykro, że ja byłem tak napruty, że nic nie czułem.

Pogadaliśmy przy śniadaniu — o moich seksualnych lękach, zahamowaniach, o opresyjnej i groźnej sytuacji w Anglii, gdzie relacje homoseksualne traktowano jako przestępstwo.

— W Amsterdamie jest zupełnie inaczej — oznajmił.

Stosunki homoseksualne między poczytalnymi dorosłymi były akceptowane, nie uważano ich ani za nielegalne, ani za obrzydliwe czy patologiczne. Było wiele barów, kawiarni i klubów, gdzie geje mogli się spotykać (nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktoś używał słowa *gay* w tym znaczeniu). Z chęcią mnie do nich zaprowadzi albo może dać mi adresy, żebym sam zakosztował.

— Nie ma potrzeby — znienacka stał się bardzo poważny — upijać się do nieprzytomności, a potem leżeć w rynsztoku. To bardzo żałosne, nawet niebezpieczne zachowanie. Mam nadzieję, że już nigdy tak nie postąpisz.

W trakcie tej rozmowy płakałem z ulgi; czułem, jakby ktoś zdjął mi z barków — albo przynajmniej ogromnie zmniejszył — gigantyczne brzemię, brzemię przede wszystkim samooskarżenia.

W roku 1956, po czwartym roku Oksfordu oraz przygodach izraelskich i holenderskich, wróciłem do domu i rozpocząłem studia medyczne. W ciągu około trzydziestu miesięcy przebrnąłem przez medycynę ogólną, chirurgię, ortopedię, pediatrię, neurologię, psychiatrię, dermatologię,

choroby zakaźne i inne specjalności oznaczone tylko akronimami: GI, GU, ENT, OB/GYN[12].

Ku swemu zaskoczeniu (a wielkiej radości matki) szczególnie upodobałem sobie położnictwo. W tym czasie dzieci przychodziły na świat w domu (i ja, podobnie jak moi bracia, urodziłem się w domu). Opiekę nad porodem sprawowały głównie położne, my zaś, studenci medycyny, byliśmy ich pomocnikami. Niekiedy w środku nocy odzywał się telefon, operatorka szpitala podawała mi nazwisko i adres, niekiedy dorzucając: „Tylko szybko!”.

Ja i położona zajeżdżaliśmy na rowerach pod wskazany dom i biegliśmy do sypialni, a czasami do kuchni, jeśli dziecko wygodniej można było przyjąć na kuchennym stole.

Mąż i rodzina znajdowali się za ścianą, nadstawiając uszu w oczekiwaniu na pierwszy krzyk dziecka. Fascynował mnie zawarty w tym ludzki dramat, rzeczywistość, której nie czuło się podczas pracy w szpitalu. Była to dla nas jedyna szansa, aby sprawić coś poza jego murami.

W trakcie studiów medycznych nie byliśmy szczególnie obciążeni wykładami czy zajęciami teoretycznymi, nauka odbywała się głównie przy łóżku pacjenta, a polegała na uważnym słuchaniu, wydobyciu od pacjenta „aktualnego wywiadu” i stawianiu właściwych pytań, aby można było wpisać wszystkie szczegóły. Uczono nas, jak korzystać z oczu i uszu, dotyku, jak obmacywać, a nawet wąchać. Wyczuwanie pulsu, opukiwanie klatki piersiowej, naciskanie na jamę brzuszną i wszystkie inne formy cielesnego kontaktu z pacjentem były nie mniej ważne niż słuchanie go i rozmawianie z nim. Ustanawiał głęboką, cielesną więź; dłonie potrafią stawać się narzędziami terapeutycznymi.

*

Dyplom otrzymałem trzynastego grudnia 1958 roku i miałem przed sobą dwa tygodnie wolnego, gdyż moja praca w Middlesex Hospital zaczynała się dopiero pierwszego stycznia[13]. Byłem podniecony, ale i zdumiony, że jednak w końcu jestem lekarzem, że mi się to udało (nie spodziewałem się tego i w snach zdarza mi się jeszcze niekiedy trwać na niekończących się studiach). Tak, podniecony, ale zarazem przerażony. Byłem przekonany, że wszystko będę robił nie tak, jak należy, wyjdę na głupka, a wszyscy będą patrzeć na mnie jak na beznadziejnego, może nawet niebezpiecznego fuszera. Pomyślałem, że może jakaś dorywcza praca na miejscu przez te dwa tygodnie dzielące mnie od stawienia się w Middlesex doda mi trochę wiary w siebie i pewności. Faktycznie, udało mi się znaleźć takie zajęcie w leżącym kilka kilometrów od Londynu St. Albans, w szpitalu, w którym podczas wojny moja matka pracowała na ostrym dyżurze chirurgicznym.

Pierwszej nocy wezwano mnie o pierwszej do dziecka z zapaleniem oskrzeli. Zbiegłem do swojego pierwszego pacjenta, czteromiesięcznego niemowlaka, który miał zsiniałe usta, wysoką gorączkę oraz gwałtowny świszczący oddech. Czy uda się nam — mnie i pielęgniarce — go uratować? Czy była jakaś nadzieja? Siostra, widząc, jak jestem roztrzęsiony, zaczęła mi pomagać i kierować mną. Chłopczyk nazywał się Dean Hope, a my jakoś absurdalnie i zabobonnie uznaliśmy to za dobry omen, jak gdyby samo nazwisko — Nadzieja — mogło zaszachować los. Czuwaliśmy przy nim całą noc, a kiedy pojawił się szary zimowy brzask, życiu Deana nic już nie groziło.

*

Pierwszego stycznia zacząłem pracę w Middlesex Hospital. Middlesex cieszył się doskonałą reputacją, aczkolwiek nie był tak wiekowy jak Barts, londyński Szpital Świętego Bartłomieja, powstały jeszcze w XII wieku. W Barts studiował medycynę mój starszy brat, David. Middlesex, w tym kontekście młodzieniaszek, gdyż założony został w 1745 roku, w moich czasach miał siedzibę w dość nowym budynku, pochodzącym z końca lat dwudziestych XX wieku. Najstarszy brat, Marcus, pobierał nauki w Middlesex, więc teraz poniekąd szedłem w jego ślady.

Przez pierwsze sześć miesięcy pracowałem na internie, następne pół roku — na wydziale neurologicznym, gdzie moimi szefami byli Michael Kremer i Roger Gilliatt, wspaniała, ale komicznie wręcz niedobrana para.

Kremer był grzeczny, przystępny, szarmancki, z osobliwym, krzywym uśmiechem na wargach — nie jestem pewien, na ile wynikającym z ironicznego poglądu na świat, a na ile będącym pozostałością dawnego porażenia nerwu twarzowego. Można było odnieść wrażenie, że cały swój czas przeznacza dla podległych mu stażystów i pacjentów.

Gilliatt był znacznie mniej sympatyczny: ostry, niecierpliwy, drażliwy, impulsywny, pełen (jak często mi się zdawało) furii, która w każdej chwili może eksplodować. My, stażyści, mieliśmy wrażenie, że jeden niedopięty guzik może spowodować u niego wybuch złości. Miał krzaczaste, groźne, czarne jak smoła brwi — które podwładnych utrzymywały w stanie nieustannego lęku. Gilliatt, który, ciągle jeszcze trzydziestolatek, świeżo został mianowany konsultantem jako jeden z najmłodszych w Anglii[14], co jeszcze bardziej onieśmielało w kontaktach z nim. Za odwagę na polu bitwy został podczas wojny odznaczony Military Cross, dalej też nosił się jak żołnierz. Panicznie bałem się Gilliatta, a kiedy pytał mnie o coś, trwoga

niemal zupełnie mnie paraliżowała. Z wieloma moimi kolegami, jak się później dowiedziałem, działo się podobnie.

Kremer i Gilliatt mieli zupełnie odmienne podejście do pacjentów. U Gilliatta wszystko musiało odbywać się metodycznie: nerwy czaszkowe (spróbuj pominąć choćby jeden!), układ ruchowy, układ czuciowy itd. w ustalonym porządku, od którego nie mogło być odchyleń. Nigdy nie pozwalał na to, by coś — powiększona źrenica, drganie pęczkowe, brak odruchu brzusznego czy cokolwiek innego — przyciągnęło uwagę poza kolejnością[15]. Dla niego stawianie diagnozy oznaczało systematyczną realizację algorytmu.

Gilliatt był przede wszystkim naukowcem, neurofizjologiem z wykształcenia i temperamentu. Można było odnieść wrażenie, iż męczy go konieczność zajmowania się pacjentami (i stażystami), aczkolwiek później miałem się dowiedzieć, że stawał się zupełnie inną osobą — życzliwą i pomocną — w kontaktach ze studentami należącymi do koła naukowego. Jego prawdziwą pasję stanowiły badania nad elektrofizjologicznym podłożem zaburzeń czynności nerwów obwodowych oraz unerwienia mięśni, a z czasem stał się światowym ekspertem w tych kwestiach.

Kremer natomiast ogromnie polegał na intuicji. Pamiętam, jak kiedyś przedstawił diagnozę świeżo przyjętego pacjenta, ledwie tylko wkroczyliśmy na oddział. Dojrzał go już z odległości trzydziestu metrów, w podnieceniu chwycił mnie za ramię i szepnął na ucho: „Zespół Verneta”. To niezwykle rzadka przypadłość, byłem więc zdumiony, że potrafił ją rozpoznać z takiej odległości na pierwszy rzut oka.

Kremer i Gilliatt niezmiennie przywodzili mi na myśl zestawienie rozumowania oraz wyczucia znajdujące się na początku *Myśli* Pascala[16]. Kremer kierował się nade wszystko wyczuciem, intuicją, w mgnieniu oka

ogarniał całość, widząc nawet więcej, niż był w stanie wysłowić. Gilliatt był przede wszystkim analitykiem, każdy element rozważał oddzielnie, ale dostrzegając ich głębokie antecedensy i konsekwencje.

Natychmiast dostrzegało się zasadniczą sympatię czy empatię Kremera; wydawało się, że czyta w umysłach ludzi intuicyjnie, błyskawicznie wyczuwa ich lęki i nadzieje. Obserwował ich ruchy i postawę niczym reżyser przedstawienia oglądający aktorów. Jeden z moich ulubionych jego artykułów nosił tytuł *Sitting, Standing and Walking* [Siedzenie, stanie i chodzenie]. Chociażby ten tekst pokazywał, jak wiele Kremer pojmował, jeszcze zanim przystąpił do właściwego badania neurologicznego, jeszcze zanim pacjent w ogóle otworzył usta.

Kiedy w piątkowe popołudnie diagnozował pacjentów spoza szpitala, był w stanie przyjąć nawet trzydziestu, każdego obdarzając całkowitą, skupioną, pełną wrażliwości uwagą. Pacjenci go kochali i niezmiennie podkreślali, że już sama jego nasycona życzliwością obecność działała na nich kojąco.

Kremer bardzo interesował się życiem swoich stażystów i utrzymywał z nimi kontakt jeszcze długo po tym, jak odchodzili swoimi drogami. Udzielał mi rad w związku z moim wyjazdem do Ameryki, dał kilka listów polecających, a dwadzieścia pięć lat później, po lekturze *Stanąć na nogi*, przysłał mi poruszający list [17].

Z Gilliattem miałem mniej kontaktów — wydaje się, że obaj byliśmy dość nieśmiali — kiedy jednak w roku 1973 ukazały się *Przebudzenia*, zaprosił mnie, abym wpadł do niego na Queen Square. Teraz zupełnie nie budził dawnego lęku, ba, wykazywał takie ciepło intelektualne i emocjonalne, jakiego się w ogóle po nim nie spodziewałem. W następnym roku znowu mnie zaprosił, aby pokazać mi film dokumentalny o pacjentach z *Przebudzeń*.

Byłem bardzo przygnębiony, kiedy Gilliatt zmarł na raka — był ciągle dość młody i bardzo produktywny, gdy zaatakował go nowotwór — i gdy Kremer, niezmiennie towarzyski, rozmowny, przyjmujący pacjentów jeszcze długo po tym, jak znalazł się na „emeryturze", na skutek udaru doznał afazji. Obaj bardzo korzystnie na mnie wpłynęli, aczkolwiek na zdecydowanie odmienne sposoby: Kremer nauczył mnie obserwacji i szacunku dla intuicji. Dzięki Gilliattowi zaś nigdy nie zapominam o fizjologicznych mechanizmach. Dzisiaj, pięćdziesiąt lat później, wspominam ich obu ze wzruszeniem i wdzięcznością.

Zajęcia przygotowawcze z anatomii i fizjologii w Oksfordzie w najmniejszym stopniu nie przygotowały mnie do tego, czym naprawdę jest medycyna. Kontakt z pacjentami, słuchanie ich, usiłowanie, by odtworzyć (lub przynajmniej wyobrazić sobie) ich doświadczenia i sytuacje, troska o nich, odpowiedzialność za nich — to wszystko stanowiło dla mnie coś zupełnie nowego. Pacjenci byli rzeczywistymi, nierzadko pełnymi pasji jednostkami, które stawały przed rzeczywistymi problemami i niekiedy prawdziwie dramatycznymi wyborami. Nie chodziło jedynie o diagnozę i kurację; pojawiały się, bywało, kwestie o wiele poważniejsze i głębsze: związane z jakością życia i pytaniem, czy w pewnych sytuacjach jest ono warte kontynuacji.

Bardzo mocno mnie to ugodziło, kiedy podczas mojego stażu w Middlesex na oddział ogólnomedyczny przyjęto Joshuę, młodego mężczyznę, pływaka jak ja, którego trapiły dziwne, tajemnicze bóle w nogach. Na podstawie pierwszych badań krwi postawiono wstępną diagnozę, a przed dalszymi badaniami wypuszczono go na weekend do domu. W sobotni wieczór imprezował z rówieśnikami, między innymi studentami medycyny, z których jeden zainteresował się, dlaczego chłopak

znalazł się w szpitalu. Joshua odparł, że nie wie, ale w każdym razie dostał jakieś pigułki, które pokazał pytającemu, a ten, widząc na etykiecie 6MP (6-merkaptopuryna), wykrzyknął: „Chryste, to musisz mieć naprawdę ostrą białaczkę!”.

Joshua z weekendowej przepustki wrócił zrozpaczony i natychmiast zaczął wypytywać, czy to pewna diagnoza, czy kuracja może pomóc, co go właściwie czeka. Badanie szpiku kostnego potwierdziło rozpoznanie białaczkowe, usłyszał więc, że lekarstwa mogą odrobinę odwlec moment śmierci, ale czeka go ona w przeciągu roku, może wcześniej.

Po południu zobaczyłem, jak Joshua wdrapuje się na balustradę balkonu — oddział znajdował się na drugim piętrze. Rzuciłem się, chwyciłem go i wciągnąłem z powrotem, tłumacząc, na ile potrafiłem, że nawet w takiej sytuacji ciągle warto żyć. Z ociąganiem — moment decyzji minął — Joshua pozwolił się zaprowadzić na oddział.

Bóle rychło zaczęły się nasilać, nie ograniczając się już tylko do nóg, ale obejmując też ręce i tułów. Było oczywiste, że powodują je nacieki białaczkowe włókien czuciowych wnikające do rdzenia kręgowego. Nic nie pomagały leki przeciwbólowe, aczkolwiek chłopakowi podawano w iniekcjach coraz silniejsze opiaty, aż wreszcie przyszła pora na heroinę. Z bólu zaczął krzyczeć za dnia i w nocy, a jedynym już rozwiązaniem był podtlenek azotu. Ledwie jednak kończyło się znieczulenie, Joshua ponownie zaczynał krzyczeć.

— Nie powinieneś był mnie powstrzymywać — powiedział mi — ale domyślam się, że musiałeś tak postąpić.

Udręczony bólem umarł kilka dni później.

W Londynie w latach pięćdziesiątych XX wieku nie było ani łatwo, ani bezpiecznie jawnie praktykować homoseksualizm, gdyż groziło

to poważnymi karami, więzieniem czy — jak w przypadku Alana Turinga — chemiczną kastracją poprzez przymusowe wstrzykiwanie estrogenu. Opinia publiczna była w swych ocenach i postawach równie nieubłagana jak prawo. Homoseksualistom trudno było się spotykać. Owszem, istniały gejowskie kluby i puby, ale nieustannie były obserwowane i najeżdżane przez policję. Wszędzie, zwłaszcza w publicznych parkach i toaletach, kręcili się prowokatorzy w cywilu, próbujący uwodzić nieostrożnych czy beztroskich na ich zgubę.

Co prawda, tak często, jak mogłem, odwiedzałem takie „otwarte” miasta jak Amsterdam, jednak w Londynie nie miałem odwagi szukać partnerów seksualnych, tym bardziej że ciągle mieszkałem w domu pod czujnym okiem rodziców.

Niemniej w 1959 roku, kiedy w Middlesex Hospital odbywałem staż na internie i neurologii, wystarczyło pójść Charlotte Street, przekroczyć Oxford Street i byłem już na Soho Square. Kawałek dalej — w dół Frith Street — docierałem na Old Compton Street, gdzie dosłownie wszystko można było wynająć lub kupić. W Coleman’s mogłem dostać swoje ulubione cygara hawańskie — taka „torpeda” Bolivar starczała na cały wieczór, więc na szczególne okazje pozwalałem sobie na taki zbytek. W tamtejszych delikatesach można było dostać makowiec i nigdy już potem nie jadłem ciasta równie wilgotnego i pysznego. Był też sklepik z gazetami i papeterią, na którego szybach naklejano erotyczne ogłoszenia, dyskretnie wieloznaczne — wszystko inne byłoby zbyt niebezpieczne — ale dla zainteresowanych oczywiste.

Autorem jednego był chłopak, który obwieszczał, że kocha motocykle i wszystko, co się z nimi wiąże, do czego dołączył swoje imię, Bud — niekoniecznie prawdziwe — oraz numer telefonu. Bałem się zbyt długo wpatrywać, a co dopiero mówić o zapisaniu numeru, ale moja fotograficzna

wówczas pamięć bezbłędnie go zarejestrowała. Nigdy w życiu nie odpowiadałem na ogłoszenia — nawet do głowy mi to nie przyszło — teraz jednak, niemal po roku abstynencji — nie byłem w Amsterdamie od zeszłego grudnia — zdecydowałem się zadzwonić do tajemniczego Buda.

Ostrożnie pogawędziliśmy trochę, koncentrując się głównie na motocyklach. Bud miał bsa gold stara, dużego jednocylindrowca o pojemności 500 cm3, z obniżonymi połówkami kierownicy, ja — swojego nortona dominatora 600. Umówiliśmy się w kafejce motocyklowej i stamtąd mieliśmy się wybrać na przejażdżkę. Mieliśmy się rozpoznać po swoich maszynach i strojach: skórzanych kurtkach, spodniach, butach i rękawicach.

Spotkaliśmy się, podaliśmy sobie ręce, pochwaliliśmy nawzajem swoje motory i wyruszyliśmy na objazd południowego Londynu. Urodzony i wychowany na północnym zachodzie stolicy, tutaj czułem się zagubiony, więc prowadził Bud. Wydawał mi się niesłychanie powabny: odziany w czarną skórę król szos na swym stalowym rumaku.

Na kolację pojechaliśmy do jego mieszkania w Putney: dość puste, ledwie kilka książek, za to mnóstwo czasopism i akcesoriów motocyklowych. Wszędzie na ścianach zdjęcia maszyn i kierowców, ale także (czego się nie spodziewałem) zrobione przez Buda piękne fotografie podwodne. Okazało się, że jest też pasjonatem nurkowania, którego ja posmakowałem w Morzu Czerwonym. Mieliśmy więc kolejne pole wspólnych (w latach pięćdziesiątych niezbyt częstych) zainteresowań. Bud miał także wiele sprzętu do nurkowania, a było to jeszcze przed neoprenem, nosiło się więc suche skafandry z grubej, ciężkiej gumy.

Wychyliliśmy piwo, a potem zupełnie nieoczekiwanie Bud powiedział:

— Chodźmy do łóżka.

Nie usiłowaliśmy dowiedzieć się o sobie czegokolwiek więcej. Nic nie wiedziałem o Budzie: gdzie pracuje, nawet jakie ma nazwisko. On równie niewiele wiedział o mnie, ale intuicyjnie i bezbłędnie wiedzieliśmy, czego chcemy, jak możemy sprawić przyjemność sobie i jeden drugiemu.

Nie trzeba było później rozwodzić się nad tym, jak bardzo cieszyliśmy się ze spotkań, jak bardzo chcieliśmy się znowu zobaczyć. Miałem się przenieść na pół roku do Birmingham, aby odbyć staż na chirurgii, ale to nie był wielki problem. Mogłem w sobotę na motorze skoczyć do Londynu, aby przenocować u rodziców, a popołudnie spędzić z Budem, natomiast nazajutrz rano pojeździć razem z nim. Uwielbiałem te wyprawy w rześkie niedzielne poranki, zwłaszcza jeśli zostawiałem swojego nortona i siadałem za Budem na tylnym siodełku, tak w niego wczepiony, iż niekiedy wydawaliśmy się sobie jednym skórzanym zwierzakiem.

Nie byłem wtedy pewien swojej przyszłości. Mój staż kończył się w czerwcu 1960 roku i mogli mnie wezwać do wojska (pobór został odroczony na czas studiów oraz stażu).

Wiele nad tym myślałem, lecz o niczym nie wspomniałem Budowi, ale w czerwcu napisałem do niego, że dziewiątego lipca, w swoje urodziny, wyjeżdżam z Anglii do Kanady i mogę już nie wrócić. Nie przypuszczałem, że bardzo się tym przejmie — byliśmy kumplami na motorach i w łóżku, ale, jak sądziłem, niczym więcej. Nigdy nie rozmawialiśmy o swoich uczuciach. Tymczasem Bud w odpowiedzi przysłał mi namiętny, bolesny list. Pisał, że czuje się porzucony, płakał, czytając to, co mu napisałem. Byłem wstrząśnięty. Zbyt późno uświadomiłem sobie, że musiał się we mnie zakochać, a teraz ja łamałem mu serce.

---

[1] Z prowadzonego wówczas dziennika wynika, że nosiłem się z zamiarem napisania aż pięciu powieści, w tym nie tylko motocyklowej, lecz także pamiętnika z mojej chemicznej

młodości. Tych książek nigdy nie napisałem, natomiast czterdzieści pięć lat później ukazały się wspomnienia (*Uncle Tungsten: Memories of a Chemical Boyhood* — „Wujek Wolfram: wspomnienia z chemicznego dzieciństwa").

[2] *Playing chicken* — gra polegająca na tym, że dwóch motocyklistów jedzie z przeciwnych stron wprost na siebie, a ten, który pierwszy zboczy z toru, zostaje „cykorem" (*chicken*) — przyp. tłum.

[3] Było to kółko biologiczne — przyp. tłum.

[4] Pierwszy semestr akademicki na uczelniach anglosaskich, którego nazwa pochodzi od dnia Michała Archanioła; semestr ten jednak tylko zaczyna się około 29 września, a trwa do Bożego Narodzenia — przyp. tłum.

[5] Sir Thomas Browne, 1605–1682, erudyta i uczony o bardzo różnorodnych zainteresowaniach i znacznym talencie poetyckim, z jakim przedstawiał swą wizję świata, między innymi nastawioną na tolerancję dla cudzych poglądów — przyp. tłum.

[6] Prestiżowe, ufundowane w roku 1902 stypendium imienia Cecila Johna Rhodesa, mające umożliwić starannie wyselekcjonowanym obcokrajowcom studia na uniwersytecie oksfordzkim — przyp. tłum.

[7] W roku 1912 poszukiwacz amator, Charles Dawson, przedstawił fragmenty czaszki, żuchwy i kilka zębów nieznanego hominida (tzw. człowieka z Piltdown), który miał być „brakującym ogniwem" między małpą a człowiekiem. W roku 1953 Le Gros Clark, Kenneth Oakley i Joseph Weiner w biuletynie brytyjskiego Muzeum Historii Naturalnej ujawnili, że szczątki nie tylko są znacznie młodsze, niż sugerowano, lecz także na dodatek jedynie czaszka pochodzi od człowieka, i to z czasów średniowiecza — przyp. tłum.

[8] *Jake paralysis* — „samogon" jest tylko jednym ze znaczeń słowa *jake*, gdyż można je rozumieć także jako: 1) strażak; 2) ekstrakoleś; 3) w porzo — przyp. tłum.

[9] Isis — nazwa Tamizy na odcinku oksfordzkim — przyp. tłum.

[10] Kiedy w roku 1949 zdawałem maturę, z zoologii odpytywał mnie wielki badacz, J.Z. Young, który odkrył olbrzymie aksony neuronowe u kałamarnic. To właśnie badanie owych aksonów kilka lat wcześniej pozwoliło nam po raz pierwszy naprawdę zrozumieć, jaka jest elektryczna i chemiczna podstawa przewodnictwa nerwowego. Young każde lato spędzał w Neapolu, badając zachowania i mózgi ośmiornic. Zastanawiałem się, czy nie powinienem nawiązać współpracę z nim, jak mój rówieśnik z Oksfordu, Stuart Sutherland.

[11] *Dutch courage* — określenie na odwagę pijanego — przyp. tłum.

[12] Polskie odpowiedniki: gastroenterologia, andrologia i urologia, laryngologia oraz położnictwo i ginekologia — przyp. tłum.

[13] W Stanach Zjednoczonych używa się nazwy *internship*. W Anglii lekarzy w pierwszym roku pracy po otrzymaniu dyplomu nazywa się *housemen*, w drugim — *registrars* (amerykańskie *residents*).

[14] Było to znakomite osiągnięcie, chociaż mnie zawsze w takich sytuacjach przypominało się, że moja matka zyskała ten stopień w wieku dwudziestu siedmiu lat.

[15] Valentine Logue, ich kolega ze znajdującego się piętro wyżej oddziału neurochirurgii, zwykł pytać młodych lekarzy, czy spostrzegają coś „nienormalnego" w jego twarzy — i dopiero wtedy zauważaliśmy, iż jest coś dziwnego z jego oczyma: jedna źrenica była dużo większa od drugiej. Bez końca spieraliśmy się, jaka jest tego przyczyna, ale sam Logue nigdy nam tego nie wyjaśnił.

[16] Autor ma najpewniej na myśli paragrafy 22 i 23 — por. B. Pascal, *Myśli*, tłum. T. Żeleński (Boy), PAX, Warszawa 1983, s. 30–31 — przyp. tłum.

[17] Kremer pisał: „Poproszono mnie, bym zobaczył pewnego kłopotliwego pacjenta z oddziału kardiologicznego. Miał migotanie przedsionków, a wielki czop zatorowy spowodował porażenie lewostronne. Poproszono, bym go zbadał, ponieważ regularnie wypadał w nocy z łóżka, a kardiolog nie potrafił odkryć, jaka jest tego przyczyna. Kiedy zapytałem go, co się stało, odparł całkiem otwarcie, że gdy budzi się w nocy, zawsze odkrywa leżącą obok niego martwą, zimną, owłosioną nogę. Nie rozumie, skąd się ona tam bierze, ale nie może też tego tolerować, więc za pomocą zdrowej ręki i nogi wypycha ją z łóżka, i — naturalnie — za nią spada cała reszta jego ciała.

Był doskonałym przykładem całkowitej utraty świadomości porażonej kończyny, ale — co interesujące — nie mogłem nakłonić go do tego, by powiedział, czy jego własna noga była z nim w łóżku, czy nie; do tego stopnia zajmowała go nieprzyjemna obca noga, która tam leżała".

Ten fragment listu przytoczyłem, gdy podobny przypadek („Mężczyzna, który wypadł z łóżka") opisałem w *Mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* [tłum. B. Lindenberg, Zysk i S-ka, Wydawnictwo, Poznań 2008, s. 88].

Opuszczam gniazdo

Czytane w dzieciństwie książki Fenimore’a Coopera i oglądane westerny napełniły mnie romantyczną wizją Ameryki i Kanady. Surowa, otwarta przestrzeń amerykańskiego Zachodu, sportretowana w książkach Johna Muira i na zdjęciach Ansela Adamsa obiecywała nieskrępowanie, wolność i luz, których nie było w Anglii, ciągle jeszcze dochodzącej do siebie po wojnie.

Jak długo studiowałem w Anglii medycynę, konieczność odbycia przeze mnie służby wojskowej pozostawała odroczona, wraz jednak z ukończeniem stażu miałem się zgłosić do poboru. Nie była to dla mnie wizja pociągająca (chociaż memu bratu, Marcusowi, wojsko się podobało, a znajomość arabskiego sprawiła, iż wysyłano go do Tunezji, Cyranejki i Afryki Północnej), dlatego wybrałem rozwiązanie bardziej atrakcyjne — chciałem jako doktor zgłosić się do Służby Kolonialnej, a trzy lata służby zastępczej spędzić w Nowej Gwinei. Tyle że działalność kolonialna Wielkiej Brytanii kurczyła się, a możliwość odbycia takiej zastępczej służby znikła, zanim jeszcze skończyłem studia. Miałem więc iść do wojska w sierpniu, na kilka miesięcy przed likwidacją obowiązkowej służby wojskowej.

Postanowiłem wyjechać z Anglii między innymi dlatego, że nie można już było ubiegać się o atrakcyjny egzotyczny wyjazd w ramach Służby Kolonialnej oraz że miałem być jednym z ostatnich regularnych poborowych. Zarazem jednak czułem jakiś moralny obowiązek i te sprzeczne uczucia sprawiły, że po przyjeździe do Kanady zgłosiłem się na

ochotnika do Royal Canadian Air Force. (Zachwyciła mnie fraza Audena o lotniczym „uśmiechu w skórze”[18]). Służba w Kanadzie, kraju Commonwealthu, była akceptowana jako ekwiwalent służby wojskowej w Anglii, co było istotne, gdybym miał kiedyś wrócić do ojczyzny.

Ale opuszczałem Anglię także z innych przyczyn, podobnie jak mój brat Marcus, który dziesięć lat wcześniej wyjechał do Australii. W latach pięćdziesiątych XX wieku bardzo dużo osób o znakomitych kwalifikacjach — zarówno mężczyzn, jak i kobiet — w ramach drenażu mózgów wyjeżdżało z Anglii, gdyż tak trudno było o pracę na uczelni i poza nią, że (jak zaobserwowałem podczas swego neurologicznego stażu pierwszego stopnia w Londynie) ludzie świetnie się zapowiadający całe lata musieli trawić na podrzędnych stanowiskach, nie mogąc się doczekać niezależności i odpowiedzialności. Myślałem, że w Ameryce, z jej o wiele pojemniejszym i mniej sztywnym systemem opieki zdrowotnej, znajdzie się miejsce dla mnie. Podobnie jak Marcusowi, także i mnie doskwierało uczucie, że w Londynie jest zbyt wielu doktorów Sacksów: moja matka, ojciec, brat David, wuj, trzech krewniaków — i wszyscy walczą o miejsce w zatłoczonym medycznym światku Londynu.

Dziewiątego lipca, w swoje dwudzieste siódme urodziny, wyleciałem do Montrealu, gdzie spędziłem kilka dni, wizytując krewnych, odwiedzając Montreal Neurological Institute oraz nawiązując kontakty z RCAF. Oznajmiłem, że chcę zostać pilotem, ale po przeprowadzeniu kilku testów i rozmów uznano, że z moim wykształceniem fizjologicznym lepiej nadam się do pracy badawczej. Najdłużej rozmawiał ze mną wysoko postawiony w hierarchii doktor Taylor, który zaprosił mnie do siebie na weekend; na jego koniec, widząc moje wahanie, powiedział:

— Jest pan bez wątpienia utalentowany i z chęcią zobaczylibyśmy pana u nas, natomiast nie jestem pewien pańskiej motywacji. Czy nie lepiej, żeby

pan przez trzy miesiące pojeździł trochę, pozastanawiał się? I jeśli nie zmieni pan swej obecnej decyzji, proszę się ze mną skontaktować.

Doznałem wielkiej ulgi: z nagłym poczuciem wolności i lekkości na duszy postanowiłem jak najwięcej wycisnąć z tej trzymiesięcznej laby.

Wyprawiłem się w podróż przez Kanadę i, jak zawsze w takich sytuacjach, prowadziłem dziennik. Z trasy wysyłałem do rodziców tylko krótkie listy i dopiero kiedy stanąłem na wyspie Vancouver, miałem okazję napisać coś dłuższego.

Usiłując dać rodzicom obraz Calgary i Dzikiego Zachodu, puściłem trochę wodze wyobraźni; nie jestem pewien, czy prawdziwe Calgary było istotnie tak fascynujące, jak je opisałem:

> W Calgary właśnie się skończył doroczny spęd bydła, więc ulice pełne są bezrobotnych kowbojów w dżinsach i skórzanych kamizelkach, którzy całymi dniami przesiadują z kapeluszami nasuniętymi na czoło. Ale Calgary ma także trzysta tysięcy mieszkańców, to miasto w rozkwicie. Ropa naftowa ściągnęła tu ryzykantów, inwestorów oraz inżynierów. Stary Zachód znalazł się w cieniu rafinerii i fabryk, urzędów i drapaczy chmur... Są też ogromne złoża rudy uranu, złota i srebra, ale także metali nieszlachetnych; w knajpach można zobaczyć, jak z ręki do ręki wędrują pakieciki ze złotym pyłem, a także ludzi, pod których opalenizną i brudnymi skafandrami kryje się szczere złoto.

Potem wróciłem do uciech podróży.

> Canadian Pacific Railroad pojechałem do Banff, nie mogąc się ani na chwilę oderwać od ruchomego okna wystawowego, jakim jest kolej. Z bezkresnych prerii wjechaliśmy, przez cały czas lekko się wspinając, na porośnięte niskimi krzewami podnóże Gór Skalistych. Stopniowo powietrze robiło się coraz chłodniejsze, a krajobraz coraz bardziej stromy: wzniesienia stawały się pagórkami, a te — szczytami, stale wyższymi i bardziej poszarpanymi z każdym kolejnym kilometrem. Z trudem posapując, pełzliśmy dnem doliny, a nad nami wypiętrzały się wielkie góry,

z wierzchołkami pokrytymi śniegiem. Powietrze było tak czyste, że dało się dostrzec szczyty odległe o wiele kilometrów, a gdy spojrzałem w tył, miałem wrażenie, że zostawione za nami góry pochylają się nad naszymi głowami.

Z Banff ruszyłem głębiej w kanadyjskie Góry Skaliste, a z dokładnie prowadzonego dziennika wykroiłem poniższy kawałek.

KANADYJSKA LABA: 1960

Ależ ruch w interesie: w niecałe dwa tygodnie pokonałem ponad pięć tysięcy kilometrów!

A teraz cisza i spokój, jakich nigdy jeszcze nie zaznałem w życiu. Niebawem ruszam dalej — i być może już nie spocznę.

Leżę na hali wysoko w górach, niemal trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Wczoraj pochodziłem trochę po okolicy z trzema botaniczkami z Calgary, szczupłymi i twardymi jak Amazonki, i od nich dowiedziałem się nazw wielu kwiatów.

Na łące dominują wielkie dmuchawce, które wraz z porannym słońcem prostują się i ulatniają. Indiańskie pędzle[19], od barwy bladokremowej do intensywnego cynobru; kielichowate pełniki, waleriany i skalnice. Gnidosze i cuchnące pchłopędy[20] (śliczne na przekór nazwom). Rzadko kwitnące arktyczne jeżyny i truskawki. Dzikie truskawki o trójdzielnych listkach, w które chwytają lśniące krople rosy. Sercowata arnika, kanadyjskie storczyki, pięciorniki i orliki. Lilie lodowe — i przetaczniki. Niektóre skały pokryte są porostami, z daleka skrzącymi się niczym wielka masa drogocennych kamieni, inne porastają rozchodniki, które radośnie pstrykają pod naciskiem palca.

Znajdujemy się znacznie powyżej piętra wysokich drzew; jest tu mnóstwo krzewów — wierzby i jałowce, czernice

i szeferdie kanadyjskie — a granicę lasu wyznaczają modrzewie o niewinnie białych pniach i pierzastych gałęziach.

Żyją tu susły, szczekuszki, wiewiórki, pręgowce, niekiedy w cieniu skały zaczai się świstak. Sroki, gajówki, strzyżyki i drozdy. Mnóstwo niedźwiedzi, czarnych i brunatnych, chociaż grizli zdarzają się bardzo rzadko. W niższych partiach łosie. Zobaczyłem cień wielkiego skrzydła na tarczy słonecznej i natychmiast wiedziałem, że to orzeł Gór Skalistych.

Im wyżej, tym bardziej życie ubożeje, wszystko staje się jednolicie szare, aż wreszcie mchy i porosty ponownie stają się królami stworzenia.

Wczoraj dołączyłem do Profesora, jego rodziny i przyjaciela, Starego Szeryfa, którego nazywał „bratem” — i faktycznie wyglądali jak bracia, chociaż byli tylko starymi przyjaciółmi. Pojechałem z nimi na wielki górski płaskowyż, który był tak wysoko, że mogliśmy spojrzeć z góry na kłębiące się cumulusy.

— Człowiek nic tutaj nie zmienił! — krzyczał Profesor. — Co najwyżej poszerzył ścieżki kozic.

Nie znajdowałem słów dla poczucia, którego zresztą nigdy wcześniej nie doznałem, że jesteśmy tak daleko od innych ludzi, sami, a dokoła tylko puste kilometry kwadratowe. Jechaliśmy w milczeniu, gdyż mówienie byłoby absurdalne. Miałem wrażenie, że znaleźliśmy się na samym szczycie świata. Potem konie, ostrożnie stawiając kopyta między kamieniami, zaczęły schodzić w kierunku polodowcowych jezior o dziwnych nazwach: Sphinx, Scarab i Egypt. Za nic sobie mając ostrzeżenia, zdjąłem przepocone ubranie i skoczyłem w krystalicznie czystą wodę tego ostatniego, po czym zacząłem płynąć na plecach. Po jednej stronie wznosiły się góry Pharaoh — ich stare oblicza naznaczone gigantycznymi hieroglifami

— ale wszystkie inne były bezimienne i jeśli chodzi o mnie, może już tak zostać.

W drodze powrotnej mijaliśmy wielką nieckę polodowcową, wypełnioną gładką moreną.

— Pomyślcie tylko! — wykrzyknął Profesor. — Ta wielka misa na głębokość stu metrów była wypełniona lodem. A gdy nie będzie już nas ani naszych dzieci, w szlamie będą się rozwijać nasiona i kiedyś nad tymi kamieniami wyrośnie las. Oto macie przed sobą jedną scenę wielkiego geologicznego dramatu, przeszłość i przyszłość zawarte w teraźniejszości, którą widzicie, wciśnięte w czas jednego ludzkiego pokolenia, czas objęty ludzką pamięcią.

Wpatrywałem się w Profesora, w jego maciupeńką postać w zestawieniu z wysoką na dwieście pięćdziesiąt metrów ścianą z kamienia i lodu, absurdalną w podniszczonym kapeluszu i sfatygowanych spodniach, a przecież władczą i pełną godności. Potężne lodowce i strumienie, korzące się jednak wobec dumnego insekta, który ogarniał je wzrokiem i pojmował.

Profesor był znakomitym kompanem. Na płaszczyźnie czysto praktycznej nauczył mnie rozpoznawać cyrk lodowcowy i różne odmiany moren, odróżniać ślady łosia od tropu niedźwiedzia, orientować się, jakie są ślady buszowania jeżozwierza. Pokazał mi, jak uważnie wpatrywać się w ziemię, aby wykryć teren grząski czy niebezpieczny z jakiegoś innego powodu, jak zapamiętywać szczegóły okolicy, aby się nie zgubić, jak zważać na złowieszcze chmury soczewkowate, które niosły ze sobą dzikie zamiecie. Ale jego wiedza była gigantyczna, zupełnie jakby znał się na wszystkim. Rozprawiał na temat prawa i socjologii, polityki, biznesu i reklamy, medycyny, psychologii i matematyki.

Nie znałem dotąd nikogo, kto byłby tak za pan brat ze wszystkimi aspektami swego otoczenia: fizycznym,

społecznym, ludzkim, a wszystko jeszcze wzbogacone szyderczą refleksją nad działaniem własnego umysłu i własnymi motywacjami, co każdemu jego słowu nadawało bardzo osobisty charakter.

Poznałem go poprzedniego wieczoru i powierzyłem mu historię mej ucieczki od rodziny i z kraju, a także wątpliwości co do tego, czy dalej trzymać się medycyny.

— Zawód, który sobie wybrałem! — zawołałem z goryczą. — Inni to za mnie zrobili, a tymczasem teraz chciałbym tylko wędrować i pisać. Chyba na rok zostanę drwalem!

— Daj spokój! — lakonicznie ripostował Profesor. — To tylko strata czasu. Jedź do Stanów i obejrzyj ich uczelnie medyczne, uniwersytety. Stany są idealne dla ciebie. Nikt cię tam nie będzie przestawiać z kąta w kąt. Jesteś dobry, awansujesz. Jesteś kiepski, szybko się połapią. Jeśli tylko masz czas, podróżuj, ile możesz i jak możesz, ale rób to porządnie, tak jak ja. Zawsze czytam o historii i geografii miejsca, a potem zastanawiam się nad tym. W tych kategoriach oceniam miejscowych, zawsze widzę ich wkomponowanych w społeczną tkankę czasu i miejsca. Powiedzmy: prerie. Nie masz po co ich oglądać, jeśli nie znasz historii osadników, nie wiesz, jak działały prawa i religie w różnych okresach, nie rozumiesz problemów ekonomicznych, kłopotów z porozumiewaniem się, efektów, jakie miały kolejne odkrycia surowców mineralnych.

Odpuść drwali, jedź do Kalifornii. Obejrzyj sekwoje. Misje. Yosemite. Zawadź o Palomar — to zawsze wielkie doświadczenie dla mądrego człowieka[21]. Rozmawiając kiedyś z Hubble’em, stwierdziłem, że ogromnie dużo wie o prawie. Wiedziałeś, że zanim zajął się gwiazdami, był prawnikiem? I koniecznie jedź do San Francisco! To jedno z dwunastu najbardziej interesujących miast na świecie. Kalifornia to kraina gigantycznych kontrastów: niesamowitego bogactwa i obrzydliwej nędzy, ale

nietrudno tam o coś pięknego i interesującego. No ale zaraz, bo chyba chciałeś coś powiedzieć?

— Spłukałem się z pieniędzy.

— Pożyczę ci, ile będziesz chciał, a oddasz mi, kiedy będzie ci wygodnie.

W tym momencie Profesor znał mnie od godziny.

Profesor i Szeryf kochali Góry Skaliste i od dwudziestu lat odwiedzali je każdego lata. Kiedy wracaliśmy od strony jeziora Egypt, zjechaliśmy z drogi i zanurzyliśmy się w las, aż wreszcie dotarliśmy do niskiej, ciemnej chatynki, na pół zakopanej w ziemi. Profesor wygłosił krótki, pasjonujący wykład:

— To było schronienie Billa Peyto. Oprócz nas jeszcze trzy osoby na świecie wiedzą, gdzie to jest, gdyż oficjalna wersja głosi, że wszystko spłonęło. Peyto był koczownikiem i mizantropem, wielkim myśliwym, obserwatorem przyrody i ojcem niezliczonych bękartów. Od niego nazwę wzięły jedno jezioro i jeden szczyt górski. W roku 1926 zaatakowała go jakaś powoli rozwijająca się choroba, aż nadszedł moment, gdy nie mógł już liczyć tylko na siebie. Zdziczały, legendarny samotnik, o którym wszyscy słyszeli, jednak nikt go nie widział — zjechał do Banff, ale wkrótce potem zmarł.

Przyjrzałem się z bliska ciemnej, butwiejącej norze. Drzwi były uchylone, na nich odczytałem ledwie już widoczny napis: WRACAM ZA GODZINĘ. W środku znalazłem trochę naczyń kuchennych, stare konserwy, jakieś próbki minerałów (miał malutką kopalnię talku), fragmenty dziennika i numery „Illustrated London News” z lat 189O–1926. Wycinek z ludzkiego życia dokonany przez okoliczności. Pomyślałem o *Marie Celeste*. Już wieczór, a ja cały dzień spędziłem, wylegując się na tej wielkiej łące, pogryzając źdźbła trawy i gapiąc się na

góry i niebo. Dużo myślałem i sporo zapisałem w dzienniku.

W domu w taki letni wieczór zachodzące słońce rozpłomienia malwy, świerszcze cykają w ogrodzie. Dzisiaj jest piątek, a to znaczy, że matka zapala świece szabasowe, ochraniając płomień dłońmi i mrucząc słowa modlitwy, której nigdy nie poznałem. Ojciec nałoży myckę i wznosząc w górę wino, będzie dziękował Bogu za jego dary.

Powiał lekki wiatr, burząc wreszcie zastygłą nieruchomość dnia i wprawiając w drżenie trawę i kwiaty. Czas wstać i się ruszyć, zbierać się stąd i znowu wyjść na drogę. Czyż nie przyrzekałem sam sobie, że niedługo będę w Kalifornii?

Skoro zaliczyłem już samolot i pociąg, dalszą część podróży na zachód chciałem pokonać autostopem — i niemal natychmiast zostałem wciągnięty do walki z ogniem. Oto, co pisałem rodzicom:

W Kolumbii Brytyjskiej nie padało już od ponad trzydziestu dni i wszędzie szaleją pożary lasów (pewnie już o tym czytaliście). Ogłoszono stan wyjątkowy i komisja leśna może wcielić do straży pożarnej każdego, kogo uzna za pożytecznego. Mnie to doświadczenie bardzo się podobało i cały dzień spędziłem w lesie w towarzystwie podobnych do mnie dorywczych strażaków, uganiając się z wężami do pomp i usiłując się na coś przydać. Niestety, widzieli we mnie pożytek tylko przy jednym pożarze — a szkoda, gdyż kiedy popijaliśmy już piwo nad jego żarzącymi się resztkami, czułem, jak piersi rozpiera mi duma z tego, że wspólnie pokonaliśmy żywioł.

O tej porze roku Kolumbia Brytyjska wydaje się nawiedzona: z powodu dymu z niezliczonych ogni niebo jest niskie i purpurowe nawet w południe, a powietrze otępiająco gorące i nieruchome. Odnosi się wrażenie, że ludzie pełzną i wloką się jak w zwolnionym tempie, nigdy nie gaśnie poczucie zagrożenia. We wszystkich kościołach trwają modły o deszcz — a któż by zgadł, jakie jeszcze zabiegi są w tej intencji podejmowane prywatnie.

> Każdej nocy uderza gdzieś piorun i w płomieniach stają kolejne hektary cennego drewna albo też dochodzi do samorzutnego zapłonu, na pozór bez przyczyny, co przypomina liczne centra nowotworowe w zagrożonej części ciała.

Nie chcąc raz jeszcze zostać rzuconym do walki z pożarem — owszem, jeden dzień mi się podobał, ale całkowicie mi to wystarczyło — wsiadłem do autobusu Greyhound, aby pokonać około trzystu kilometrów dzielących mnie od Vancouver.

Z portu popłynąłem na wyspę Vancouver, gdzie zatrzymałem się w hoteliku B&B w Qualicum Beach (bardzo mi się podobała nazwa miejscowości, gdyż na myśl przywodziła dziewiętnastowiecznego biochemika Thudichuma, a także kwiat *Colchicum*, zimowit). Kilka dni odpoczywałem tu od wędrówki i sporządziłem liczący osiem tysięcy słów list do rodziców, który kończyłem słowami:

> Pacyfik jest ciepły (jakieś dwadzieścia stopni) i rozleniwiający po lodowcowych jeziorkach. Dzisiaj poszedłem na ryby z miejscowym okulistą. Nazywa się North, kiedyś był w Marys i w National[22], teraz ma praktykę w Victorii. Powiada, że wyspa Vancouver to „kawałek nieba, który się gdzieś tu zaplątał” — i chyba ma trochę racji: lasy, góry, jeziora i ocean... Złapałem sześć łososi — jeden właśnie wyciąga mi żyłkę z kołowrotka; biorą jak oszalałe, srebrzyste cuda, które jutro będę miał na śniadanie.

„Za dwa lub trzy dni ruszam do Kalifornii — dodałem — najpewniej autobusem Greyhound, gdyż bardzo źle odnoszą się tu do autostopowiczów i niekiedy rozstrzeliwują ich na miejscu”.

*

Do San Francisco dotarłem w sobotę wieczorem, a na kolację zabrali mnie przyjaciele, których poznałem jeszcze w Londynie. Następnego ranka pojechaliśmy przez most Golden Gate, by wzdłuż sosnowych zboczy góry Tamalpais dotrzeć do przypominającego katedrę Muir Woods. W bojaźliwym milczeniu wpatrywałem się w sekwoje i to właśnie wtedy uznałem, że chciałbym całą resztę życia spędzić w San Francisco, w jego zachwycającym otoczeniu.

Tymczasem trzeba było załatwić niezliczoną ilość rzeczy: wyrobić zieloną kartę, znaleźć jakąś pracę — a więc szpital, który będzie chciał mnie zatrudnić, na razie nieformalnie i nic mi nie płacąc, dopóki nie będę miał zielonej karty; trzeba było ściągnąć wszystkie moje rzeczy z Anglii: ubrania, książki, papiery oraz (co nie mniej ważne) wiernego nortona. Potrzebowałem najróżniejszych dokumentów i potrzebowałem pieniędzy.

W listach do rodziców mogłem być liryczny i poetycki, teraz jednak chodziło o praktyczność i pragmatyzm. Gigantyczny list z Qualicum Beach zakończyłem podziękowaniami:

> Jeśli pozostanę w Kanadzie, to tylko wtedy, gdy dostanę dobrą płacę i dużo wolnego czasu. Wówczas będę w stanie nie tylko trochę odłożyć, lecz także zwrócić jakąś cząstkę pieniędzy, którymi tak hojnie mnie obdarzaliście przez dwadzieścia siedem lat. Co się tyczy innych nienamacalnych i niedających się wyliczyć rzeczy, które od Was uzyskałem, to mogę je zwrócić tylko w ten sposób, że wieść będę w miarę szczęśliwe i pożyteczne życie, pozostając z Wami w kontakcie i odwiedzając Was, kiedy tylko będzie to możliwe.

A tu raptem tydzień później wszystko się zmieniło. Już nie w Kanadzie, już nie rozważając związania się z RCAF, ba, w ogóle już nie myśląc o powrocie do Anglii, wysłałem do rodziców kolejny list, w którym

z lękiem, poczuciem winy, ale też stanowczo powiadomiłem o swojej decyzji. Wyobrażałem sobie ich gniew i pretensje, jakie będą mieli do mnie: czyż raptownie — może nawet ukrywając swoje intencje — nie porwałem się na coś zbyt wielkiego, obracając się plecami do nich, przyjaciół, rodziny, całej Anglii?

Odpowiedzieli z godnością, ale nie ukrywali też swego żalu z powodu naszego rozstania. Zrobili to w słowach, które szarpią mi serce nawet teraz, po pięćdziesięciu latach, zwłaszcza w przypadku matki, gdyż rzadko mówiła o swoich uczuciach.

13 sierpnia 1960 roku

Kochany Oliverze!

Bardzo dziękuję za wszystkie Twoje listy i kartki. Przeczytałam je wszystkie, dumna z Twojej literackiej sprawności, szczęśliwa, że taką radość sprawia Ci wyjazd, zarazem jednak pełna bólu i żalu z racji Twojej przedłużającej się nieobecności. Kiedy się urodziłeś, ludzie gratulowali nam i powtarzali: ale wspaniała rodzina, czterech synów! I gdzie teraz wszyscy jesteście? Czuję się bardzo samotna i opuszczona. Dom zamieszkany jest przez widma. Przechodzę z jednego pokoju do drugiego i coraz cięższe staje się brzemię opuszczenia.

Ojciec pisał w trochę innym duchu: „Dość już przyzwyczailiśmy się do względnie pustego domu na Mapesbury”, ale i on dołączył postscriptum:

Kiedy piszę, że przyzwyczailiśmy się do pustego domu, jest to, rzecz jasna, tylko w połowie prawdziwe. Nie muszę chyba dodawać, że przez cały ten czas bardzo nam Ciebie brakuje. Brak nam Twojej wesołości, Twoich kolizji z lodówką czy drabiną, gry na pianinie, tego, jak goluteńki dźwigasz u siebie ciężary, Twoich nagłych wypadów o północy na nortonie. Cała chmara takich wspomnień, wykrzesanych przez Twoją żywotną osobowość, pozostanie tutaj z nami. Kiedy wsłuchujemy się w ten opustoszały dom, serce nam się kraje i czujemy wielką stratę. Rozumiemy

jednak, że szukasz swojej drogi przez świat — i to do Ciebie musi należeć ostateczna decyzja!

Ojciec pisał o „pustym domu”, matka: „Gdzie teraz wszyscy jesteście? Dom zamieszkany jest przez widma”.

Tymczasem ktoś jednak w domu pozostał, a był to mój brat, Michael. Od najwcześniejszych lat był w pewnym sensie „dziwnym” synem. Zawsze czymś się wyróżniał, z trudem nawiązywał kontakty, nie miał przyjaciół, zdawało się, że w znacznym stopniu żyje w swoim własnym świecie.

Światem naszego starszego brata, Marcusa, od najwcześniejszych lat były języki — w wieku szesnastu lat mówił już biegle kilkoma. Światem Davida była muzyka; bez trudu mógłby zostać profesjonalnym muzykiem. Moim światem była nauka, natomiast nikt z nas nie miał pojęcia, jaki jest świat Michaela. A przecież był niezwykle inteligentny, nieustannie czytał, odznaczał się znakomitą pamięcią; miałem wrażenie, że wiedzę o świecie bardziej chce czerpać z książek niż z „rzeczywistości”. Najstarsza siostra matki, ciotka Annie, która przez czterdzieści lat kierowała szkołą w Jerozolimie, uważała go za tak niezwykłego, iż to jemu zostawiła ogromną bibliotekę, pomimo że ostatni raz widziała go w roku 1939, kiedy miał zaledwie jedenaście lat.

Mnie i Michaela ewakuowano z Londynu na początku wojny i spędziliśmy osiemnaście miesięcy w Braefield, obrzydliwej szkole z internatem w Midlands, którą prowadził sadystyczny dyrektor, za największą przyjemność w życiu uważający łojenie po pośladkach zależnych od niego chłopców[23]. (To tam Michael nauczył się na pamięć *Nicholasa Nickleby’ego* i *Davida Copperfielda*, aczkolwiek nigdy naszej szkoły nie porównał do Dotheboys ani naszego dyrektora nie zestawiał z Dickensowskim potworem — panem Creakle’em).

W roku 1941 trzynastoletni Michael poszedł do następnej szkoły z internatem, Clifton College, gdzie był bezlitośnie prześladowany. W *Uncle Tungsten* tak opisywałem pierwszą psychozę Michaela:

> Mieszkająca wtedy u nas ciotka Len podejrzała, jak półnagi Michael wychodził z łazienki. „Spójrzcie tylko na jego plecy!” — powiedziała do rodziców. „Nic tylko siniaki i szramy! Jeśli tak wygląda jego ciało, to aż strach pomyśleć, co się dzieje w głowie”. Rodzice, najwyraźniej zdziwieni, powiedzieli, że nie zauważyli niczego podejrzanego; sądzili, że Michaelowi podoba się szkoła, nie ma z nią żadnych problemów i wszystko jest „w porządku”.
>
> Niedługo potem, kiedy Michael miał piętnaście lat, pojawiła się u niego psychoza. Miał wrażenie, że zamyka się wokół niego świat magiczny, ale i złowrogi. Wierzył, że jest „wybrańcem chłostającego Boga”, jak to ujmował, że skupia się na nim uwaga „sadystycznej opatrzności”. W tym samym czasie pojawiły się mesjanistyczne wyobrażenia: jeśli go torturowano i bito, to dlatego, że był (czy też mógł być) Mesjaszem, na którego czekaliśmy od tak dawna. Rozdarty między natchnieniem a udręką, fantazją a rzeczywistością, czując, że wariuje (albo że już jest szaleńcem), Michael nie znał już snu ani odpoczynku, wpadał do domu i z niego wybiegał, głośno łomocząc butami, rzucając na wszystkie strony płomienne spojrzenia, krzycząc na otaczające go zjawy.
>
> Wtedy zacząłem się bać jego i o niego, zacząłem się lękać upiorów, które stawały się dlań realnością. Czy to, co działo się z Michaelem, także i mnie czeka w przyszłości? To właśnie wtedy założyłem swoje laboratorium w domu i zatykając uszy, zacząłem się w nim zamykać przed szaleństwem Michaela. Nie, nie był mi wcale obojętny, bardzo mu współczułem, na poły wiedziałem, przez co przechodzi, ale chciałem stworzyć i zachować dystans, otoczyć się własnym światem nauki, tak abym nie został wessany w Michaelowy chaos, obłęd, krąg zwidów i urojeń.

Na rodziców miało to wpływ dewastujący: byli zdezorientowani, zagubieni, przerażeni, dogłębnie przejęci. Owszem, mieli na to słowo —

„schizofrenia” — ale dlaczego dopadła ona właśnie Michaela, i to w tak wczesnym wieku? Czy wszystko to było efektem prześladowań w Clifton? Czy też miał to zakodowane w genach? Nigdy nie wydawał się normalnym dzieckiem, był dziwny, niepokojący, może nawet „schizoidalny”, zanim jeszcze pojawiła się psychoza. A może — co było dla rodziców najbardziej bolesną możliwością — stanowiło to konsekwencję ich zachowań czy zaniedbań wobec niego? Czy jednak chodziło o naturę czy kulturę, złą chemię czy złe wychowanie — medycyna z pewnością może mu pomóc. Jako szesnastolatek Michael został przyjęty do szpitala psychiatrycznego i poddany terapii dwunastu „szokowych” zastrzyków z insuliny, w efekcie czego poziom cukru we krwi spadł mu tak nisko, że trzeba było podawać glukozę. W roku 1944 tak zabierano się do schizofrenii; w razie nieskuteczności tego leczenia dalej czekały wstrząsy elektryczne i lobotomia. Dopiero za osiem lat miały się pojawić leki przeciwpsychotyczne.

Czy to w efekcie poinsulinowych śpiączek hipoglikemicznych, czy też z powodu naturalnego dla schizofrenii procesu rozdwojenia osobowości — tak czy owak kiedy trzy miesiące później Michael wrócił ze szpitala, nie był już psychotyczny, ale głęboko poruszony, czuł, że być może nigdy już nie wróci do normalnego życia. W szpitalu przeczytał *Dementia Praecox: or the Group of Schizophrenias* Eugena Bleulera.

Marcus i David chodzili do oddalonej o kilka minut spacerem od domu dziennej szkoły na Hampstead, więc Michael tam kontynuował naukę. Nie było bezpośrednio oczywiste, czy psychoza coś w nim zmieniła. Rodzice woleli sądzić, że wszystko jest problemem „medycznym”, stanem, z którego się wychodzi. Michael natomiast zupełnie inaczej podchodził do swojej psychozy, gdyż był zdania, że otworzyła mu oczy na sprawy, o których nigdy dotąd nie myślał — a zwłaszcza na ucisk i wyzysk

światowej klasy robotniczej. Zaczął czytać komunistycznego „The Daily Workera” i odwiedzać komunistyczną księgarnię przy Red Lion Square. Pochłaniał dzieła Marksa i Engelsa, których uważał za proroków — jeśli nie mesjaszów — nowej epoki w dziejach świata.

Kiedy Michael miał siedemnaście lat, Marcus i David mieli już za sobą szkołę medyczną. Michael ani myślał zostać lekarzem, po uszy miał już też nauki. Chciał p r a c o w a ć, nie byli bowiem robotnicy solą ziemi? Jeden z pacjentów ojca prowadził dużą kancelarię księgową w Londynie i powiedział, że z chęcią zatrudni Michaela jako praktykanta rachunkowości albo też w każdej innej roli, która będzie mu odpowiadać. Michael bardzo jasno wiedział, co chce robić: jako goniec będzie dostarczał paczki i listy zbyt ważne i pilne, aby powierzać je poczcie. Był w tej roli niesłychanie dokładny, stanowczo nastawał na to, aby każda powierzona mu przesyłka dotarła do rąk tylko i wyłącznie wskazanej osoby. Uwielbiał chodzić po Londynie, a godziny przerwy obiadowej spędzać — jeśli pogoda na to pozwalała — na ławce parkowej i czytać „The Daily Workera”. Wyznał mi kiedyś, że dostarczane przez niego przesyłki, na pierwszy rzut oka bagatelne, mogą zawierać ukryte, tajne znaczenie, zrozumiałe tylko dla odbiorców — i właśnie dlatego nie mógł ich wręczać komukolwiek innemu. Jasne, innym najpewniej wydaje się, że jest prostym gońcem z prostymi rzeczami do przekazania, było jednak zupełnie inaczej. Nikomu innemu tego nie powiedział — miał świadomość, że zabrzmiałoby to co najmniej dziwnie, jeśli nie wręcz szaleńczo. Co więcej, zaczynał podejrzewać, że rodzice, starsi bracia i w ogóle cała lekarska profesja nastawieni są na to, by dewaluować czy „medykalizować” wszystko, co myśli lub robi, zwłaszcza wtedy, gdy pojawił się choćby cień mistycyzmu — natychmiast bowiem diagnozowali to jako objawy psychozy. Na szczęście ciągle miał młodszego brata, dwunastolatka, który nie dał się

jeszcze zmedykalizować i dlatego potrafił uważnie i z sympatią słuchać wszystkiego, co mówił, nawet jeśli do końca tego nie rozumiał.

I w latach czterdziestych, i pięćdziesiątych — nadal byłem wtedy w szkole — psychoza i złudzenia Michaela nie mijały. Niekiedy były tego zapowiedzi; nie żeby mówił: „Potrzebna mi pomoc”, ale robił coś nieoczekiwanego, na przykład ciskał poduszkami albo zrzucał popielniczkę na podłogę gabinetu psychiatry (od początków psychozy znajdował się pod jego opieką). Znaczyło to: „Tracę nad sobą kontrolę, zabierzcie mnie do szpitala”.

Ale nie zawsze tak było. Niekiedy bez żadnych zapowiedzi zaczynało się stadium gwałtownego podniecenia, krzyków, tupania, halucynacji — w trakcie jednej z takich sytuacji cisnął w ścianę pięknym, starym zegarem mojego pradziadka ze strony matki — a wtedy i rodzice, i ja byliśmy przerażeni. Przerażeni i niesłychanie zakłopotani: jak mogliśmy zapraszać przyjaciół, krewnych, kolegów, kogokolwiek do domu, w którym Michael wściekał się i awanturował na piętrze? I co o tym będą myśleć ich pacjenci? Przecież i matka, i ojciec mieli w domu swoje gabinety. Także Marcus i David nie palili się do tego, aby zapraszać przyjaciół do czegoś, co wyglądało jak dom wariatów. W ten sposób nasze życie skaziło poczucie wstydu, stygmatyzacji, sekretności, które złączyło się z troską o stan Michaela.

Dlatego z wielką ulgą witałem weekendy i ferie spędzane poza Londynem, gdyż poza wszystkim innym odrywałem się w ten sposób od Michaela i jego — niekiedy nieznośnej — obecności. A przecież nadal zdarzały się chwile, gdy błyskał urok jego charakteru, wrażliwość, poczucie humoru, wtedy zaś docierało do nas, że nawet przy atakach szału gdzieś pod warstwą schizofrenii kryje się prawdziwy Michael, zdrowy i łagodny.

*

Kiedy w 1951 roku matka dowiedziała się o moim homoseksualizmie i powiedziała: „Żałuję, że cię w ogóle urodziłam”, przemawiały przez nią — chociaż nie wiem, czy wtedy to sobie uświadamiałem — i strach, i oskarżenie. Strach matki, która bała się, że po tym, jak jednego syna zabrała jej schizofrenia, teraz drugiego odbiera homoseksualizm — „zboczenie” uważane za wstydliwe, stygmatyzujące i mogące naznaczyć resztę życia oraz je zniszczyć. Byłem jej ukochanym synem, w dzieciństwie jej „mądralą” i „szczeniaczkiem”, a teraz „jednym z t y c h” — co stanowiło wielkie brzemię dokładające się do schizofrenii Michaela.

Dla Michaela i milionów innych schizofreników sytuacja zmieniła się — na lepsze i na gorsze — około roku 1953, kiedy dostępny stał się pierwszy neuroleptyk, lek w Anglii występujący jako Largactil, w USA zaś jako Thorazine. Leki przeciwpsychotyczne są w stanie łagodzić halucynacje i złudzenia, pozytywne symptomy schizofrenii, może nawet im zapobiegać — ale odbywało się to wielkim kosztem dla indywidualności. Po raz pierwszy dostrzegłem to w 1956 roku, kiedy wróciwszy do Londynu po miesiącach spędzonych w Izraelu i Holandii, zobaczyłem Michaela zgarbionego i powłóczącego nogami.

— Wygląda, jakby miał Parkinsona! — powiedziałem rodzicom.

— Tak — potwierdzili — ale po largactilu jest znacznie spokojniejszy. Już od roku nie miał psychozy.

Trapiło mnie jednak to, jak czuje się Michael. Był przygnębiony symptomami parkinsonizmu — dawniej był świetnym piechurem — ale jeszcze bardziej doskwierały mu psychiczne skutki leków.

Mógł nadal pracować, ale utracił mistyczne poczucie, które nadawało głębokie znaczenie doręczaniu przesyłek. Nie widział już świata tak wyraźnie i jasno jak przedtem, wszystko wydawało mu się teraz „obłe”. „To tak, jakby mnie powoli zabijali” — zakończył [24].

Kiedy Michaelowi zmniejszono dawkę largactilu, ustąpiły symptomy parkinsonizmu, a co ważniejsze, powróciło mu nieco dawnego wigoru i mistycznych odczuć; jednak kilka tygodni później znowu rozkwitła pełnoobjawowa psychoza.

W roku 1957, teraz już jako student medycyny interesujący się mózgiem i umysłem, zadzwoniłem do psychiatry Michaela i spytałem, czy moglibyśmy porozmawiać. Doktor N. — rzetelny, wrażliwy lekarz, który Michaela poznał prawie czternaście lat wcześniej, gdy pojawiły się pierwsze oznaki psychozy — także był zaniepokojony nowymi problemami, które spotykał u wielu swych pacjentów leczonych largactilem. Miareczkował ten środek, usiłując znaleźć dawkę w sam raz: ani za małą, ani za dużą, tyle że, jak mi wyznał, niewielkie wiązał z tym nadzieje.

Zastanawiało mnie, czy przy schizofrenii nie zostają wytrącone z równowagi struktury mózgowe odpowiedzialne za percepcję (lub projekcję) sensów, znaczeń oraz intencjonalności, układy leżące u podstaw poczucia zdumienia czy tajemniczości, zachwytu nad pięknem sztuki i nauki; wytrącone zaś z równowagi — produkują świat umysłowy nasycony emocjami i zniekształceniami. Struktury te uległy, by tak rzec, decentracji, a teraz wszelkie próby ich poskramiania, tłumienia mogły konkretną osobę z jej patologicznych wyżyn zepchnąć w głębiny otępienia, co było rodzajem śmierci umysłowej.

Brak u Michaela sprawności towarzyskich, a także codziennych umiejętności (nie potrafił przyrządzić sobie nawet filiżanki herbaty)

wymagał podejścia wyrozumiałego i odpowiednio „egzystencjalnego”. Leki przeciwpsychotyczne słabo, a właściwie w ogóle nie oddziaływały na negatywne symptomy schizofrenii — wycofanie, stępienie afektu — które, jeśli występują uporczywie, chronicznie, mogą być bardziej zniechęcające i podkopujące chęć życia niż jakikolwiek z pozytywnych symptomów. Wtedy przestaje chodzić tylko o kurację, gdyż stawką staje się życie sensowne i godziwe — wówczas myśleć trzeba o różnych sposobach wsparcia, o wspólnocie, szacunku do siebie i szacunku ze strony innych. Problem Michaela nie był kwestią czysto „medyczną”.

*

Podczas londyńskich studiów medycznych mogłem i powinienem się starać być bardziej kochający i pomocny. Powinienem był zabierać Michaela do restauracji, teatrów, na filmy i koncerty (czego sam nie robił). Powinienem był wyjechać z nim nad morze albo gdzieś w głąb kraju. Nie robiłem tego jednak i jeszcze teraz, sześćdziesiąt lat później, czuję gorący wstyd z tego powodu, że okazałem się złym bratem, który nie podtrzymał go wtedy, kiedy tego bardzo potrzebował.

Nie wiem, jaka byłaby reakcja Michaela, gdybym przejawiał więcej inicjatywy. Wiódł życie ściśle kontrolowane i limitowane, za nic nie chcąc od niego odchodzić.

Teraz, gdy działały na niego środki uspokajające, było już ono mniej burzliwe, ale moim zdaniem coraz bardziej ubogie i ogołocone. Nie czytał już „The Daily Workera”, nie zachodził do księgarni przy Red Lion Square. Kiedyś żył w poczuciu przynależności do pewnej wspólnoty, dzielenia z innymi marksistowskiej perspektywy. Teraz jednak, gdy pasja wygasła, był coraz bardziej osamotniony, pozostawiony tylko sobie. Ojciec miał

nadzieję, że moralnego i duchowego wsparcia może mu udzielić synagoga, która odrodzi w Michaelu poczucie przynależności. W młodości był dość religijny — po bar micwie nosił cyces, codziennie nakładał filakterie, kiedy mógł, to szedł do bóżnicy — ale i ta pasja w nim wygasła. Przestał interesować się synagogą, a i ona, obejmująca wciąż kurczącą się wspólnotę — coraz więcej londyńskich Żydów emigrowało albo asymilowało się — przestała się nim interesować.

Lektury Michaela, kiedyś czytającego intensywnie i łapczywie — czyż to nie jemu ciotka Annie zostawiła całą swą wielką bibliotekę? — skurczyły się dramatycznie. Niemal całkowicie porzucił książki, do gazet zaglądał sporadycznie.

Uważam, że pomimo — a może właśnie na skutek — leków przeciwpsychotycznych pogrążał się w stanie beznadziejności i apatii. Przeżył chwilowy przypływ nadziei, kiedy w roku 1960 R.D. Laing wydał swą znakomitą książkę *Podzielone „ja”* [25] — bo oto był lekarz, psychiatra, który uważał schizofrenię nie za chorobę, lecz za pewien całościowy, może nawet uprzywilejowany sposób bycia. Chociaż sam Michael czasami nazywał nas — resztę, cały świat nieschizofreniczny — „normalnymi zgnilcami” (ileż było wściekłości w tej dosadnej frazie!), to jednak szybko znużył się tym, co nazywał „romantyzmem” Lainga, i znowu począł siebie uznawać za odrobinę niebezpiecznego wariata.

Kiedy w wieku dwudziestu siedmiu lat opuszczałem Anglię, robiłem to po części po to, aby uciec od mego tragicznego, pogrążonego w beznadziei, źle leczonego brata. Może jednak w trochę innym sensie była to próba, aby schizofrenię i inne zaburzenia mózgowo-umysłowe zgłębić u moich własnych pacjentów i na mój własny sposób.

---

[18] *Laughter in leather* — w poemacie prozą i wierszem *The Orators* — przyp. tłum.

[19] *Indian paintbrush, Castilleja linariaefolia* — kwiat będący symbolem stanu Wyoming — przyp. tłum.

[20] *Stinking fleabane — Pluchea foetida* — przyp. tłum.

[21] Na szczycie góry Palomar znajduje się należące do Caltechu obserwatorium astronomiczne — przyp. tłum.

[22] Dwa szpitale londyńskie: St. Mary’s Hospital i National Hospital for Neurology and Neurosurgery — przyp. tłum.

[23] Bardziej szczegółowo pisałem o szkole i jej wpływie na nas w *Uncle Tungsten*.

[24] Kiedy lata później pracowałem w Bronx State Hospital, u setek pacjentów ze schizofrenią obserwowałem poważne zaburzenia ruchowe i słyszałem od nich podobne skargi na stan umysłu po silnych dawkach thorazine, a potem leków nowej kategorii, zwanych butyrofenonami, na przykład haloperidolu.

[25] R.D. Laing, *Podzielone „ja”: egzystencjalistyczne studium zdrowia i choroby psychicznej*, tłum. M. Karpiński, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1995.

San Francisco

Znalazłem się w San Francisco, mieście, o którym marzyłem od lat. Nie miałem jednak zielonej karty, więc nie mogło być mowy o legalnym zatrudnieniu i zarabianiu pieniędzy. Pozostawałem w kontakcie z Michaelem Kremerem, moim szefem na neurologii w Middlesex (zdecydowanie popierał moje próby ominięcia wojska, teraz bowiem, jak powiedział, „była to kompletna strata czasu"). Kiedy zaś wspomniałem o tym, że rozmyślam nad podróżą do San Francisco, zasugerował, bym poszukał w Mount Zion Hospital jego kolegów neurochirurgów — Granta Levina i Berta Feinsteina. Byli pionierami chirurgii stereotaktycznej — techniki, która pozwalała bezpośrednio i bezpiecznie wprowadzić igłę do małych, inaczej niedostępnych obszarów mózgu [26].

Kremer napisał list polecający, więc kiedy spotkałem się z Levinem i Feinsteinem, zgodzili się wziąć mnie nieoficjalnie. Zaproponowali, żebym pomagał oceniać stan pacjentów przed operacją i po niej. Nie mogli dać mi pensji, gdyż nie miałem zielonej karty, funkcjonowałem więc dzięki ich dwudziestodolarówkom. (Dwadzieścia dolarów to było wtedy sporo forsy; średni motel kosztował trzy dolary za noc, do niektórych parkomatów ciągle jeszcze wrzucało się drobniaki).

Levin i Feinstein obiecali, że za kilka tygodni znajdą mi jakiś pokój do mieszkania w szpitalu, a na razie, kiepsko stojąc z pieniędzmi, postanowiłem zatrzymać się w YMCA. Powiedziano mi, że sporo miejsca mają w Embarcadero, naprzeciwko Ferry Building. Nie było tu luksusów,

budynek już troszkę kruszał, ale za to było przyjemnie i przyjaźnie, toteż zamieszkałem w małym pokoiku na szóstym piętrze.

O dwudziestej trzeciej dwadzieścia ktoś lekko zapukał do drzwi.

— Proszę — powiedziałem, gdyż drzwi nie były zamknięte.

Na to zaś głowę wstawił młody mężczyzna, a na mój widok zawołał:

— Och, przepraszam, musiałem pomylić pokój!

— Na pewno? — spytałem, sam nie wierząc własnym uszom. — Nie wejdziesz?

Niepewnie rozejrzał się, ale potem wszedł, zamykając za sobą drzwi. Tak zapoznałem się z życiem w Y., które polegało na ciągłym otwieraniu się i zamykaniu drzwi. Niektórzy z moich sąsiadów, zauważyłem, potrafili mieć do pięciu gości jednej nocy. Miałem niezwykłe, nieznane dotąd poczucie wolności. To nie Londyn, nie Europa, to Nowy Świat, gdzie bez żadnych ograniczeń mogłem robić, co chciałem.

Kilka dni później otrzymałem wiadomość, że w Mount Zion mają dla mnie pokój i przeniosłem się do szpitala, co nie przeszkodziło jednak moim wizytom w Y.

*

Przez kolejne osiem miesięcy pracowałem dla Levina i Feinsteina, mój oficjalny staż miał się zacząć dopiero w lipcu.

Levin i Feinstein różnili się od siebie tak, jak to tylko możliwe: Grant Levin — powolny i roztropny, Feinstein — pełen pasji i zawziętości. Niemniej znakomicie się uzupełniali jak moi londyńscy szefowie neurologiczni, Kremer i Gilliatt (i jak moi szefowie na chirurgii w Queen Elizabeth Hospital w Birmingham, Debenham i Brooks).

Już jako chłopca intrygowało mnie takie uzupełnianie się partnerów. W dniach fascynacji chemią czytałem o współpracy Kirchhoffa i Bunsena oraz o tym, jak wspieranie się ich odmiennych umysłowości było nieodzowne do odkrycia spektroskopii. W Oksfordzie z wypiekami na twarzy czytałem słynny artykuł Jamesa Watsona i Francisa Cricka o DNA, a potem dowiadywałem się, jak różnymi osobami obaj byli. A w trakcie mojego monotonnego stażu w Mount Zion miałem się zaczytywać w informacjach o innej parze trudnych na pozór do pogodzenia współpracowników, Davidzie Hubelu i Torstenie Wieselu, którzy w niesłychany, przepiękny sposób otwierali fizjologię widzenia.

Oprócz Levina i Feinsteina oraz ich asystentów i pielęgniarek oddział zatrudniał inżyniera i fizyka — razem było nas dziesięcioro — często też odwiedzał nas fizjolog, Benjamin Libet [27].

Szczególnie dobrze zapamiętałem pacjenta, o którym tak pisałem w liście do rodziców w listopadzie 1960 roku:

> Czy pamiętacie opowiadanie Somerseta Maughama o mężczyźnie, który w efekcie czaru rzuconego nań przez odtrąconą irlandzką dziewczynę doznaje fatalnego ataku czkawki? [28] Jeden z naszych pacjentów, baron kawowy, po zapaleniu mózgu, przez sześć dni po operacji miał nieustającą czkawkę, której nie udało się zahamować przy użyciu ani zwykłych, ani całkiem niezwykłych metod. Obawiam się, że będzie to trwało, jeśli nie uda nam się jakoś zablokować nerwu przeponowego. Zaproponowałem, żeby wypróbować dobrego hipnotyzera — zastanawiam się, czy to podziała. Macie w tym jakieś doświadczenia?

Moją sugestię potraktowano sceptycznie (sam byłem pełen wątpliwości), skoro jednak nic nie skutkowało, Levin i Feinstein zgodzili się wezwać hipnotyzera. Ku naszemu zdumieniu potrafił podporządkować sobie pacjenta, a następnie wydać mu posthipnotyczną komendę: „Kiedy pstryknę palcami, zbudzisz się i nie będziesz już miał czkawki”.

Tak też się stało: pacjent zbudził się bez czkawki i więcej już ona nie powróciła.

*

W Kanadzie prowadziłem dziennik, ale zarzuciłem go, ledwie znalazłem się w San Francisco, a powróciłem do niego wówczas, gdy znowu znalazłem się w drodze; natomiast ciągle pisałem długie, szczegółowe listy do rodziców. W lutym 1961 roku informowałem ich, że na konferencji w UCSF (University of California, San Francisco) zobaczyłem dwóch swoich idoli — Aldousa Huxleya i Arthura Koestlera.

> Po obiedzie Aldous Huxley miał wspaniałe wystąpienie na temat edukacji. Nigdy wcześniej go nie widziałem i teraz byłem zdumiony jego wzrostem oraz strasznym wychudzeniem. Obecnie jest już niemal zupełnie ślepy, nieustannie mruga powiekami za swymi grubymi szkłami i zaciska przed nimi pięści (co mnie zdumiało, ale teraz przypuszczam, że chciał dzięki temu wyraźniej widzieć twarze). Ma długi tułów, spływające na ramiona włosy, ciemnoszarą cerę, obwisłą skórę, która bardzo niedokładnie odtwarza układ kości twarzy. Kiedy w wielkim skupieniu się nachylał, przywodził na myśl medytujący szkielet Vesaliusa. Natomiast wspaniały umysł jest w stanie tak znakomitym jak zawsze, a kiedy wspomagały go dowcip, ciepło, pamięć i elokwencja, zebrani niejeden raz zrywali się na równe nogi z owacjami... I wreszcie Arthur Koestler o procesie twórczym: cudowna analiza, ale tak słabo słyszalna, że połowa publiczności wyszła. Nawiasem mówiąc, Koestler wygląda jak Kaiser, poniekąd jak wszyscy nauczyciele hebrajskiego na świecie, i mówi tak jak oni. (Kaisera, naszego nauczyciela hebrajskiego, pamiętam z naszego domu od najwcześniejszych lat). Amerykanie nie mają zmarszczek, a znużona twarz Koestlera była nimi zryta wręcz ostentacyjnie, tak naznaczona bruzdami udręki oraz inteligencji, że w mnogości gładkich obliczy wydawała się wręcz nieprzyzwoita.

Grant Levin, mój życzliwy i wielkoduszny szef, nie tylko dla wszystkich pracowników oddziału neurochirurgii załatwił bilety na konferencję „Kontrolowanie umysłu”, lecz także często rozprowadzał wśród nas bilety na musicale, przedstawienia teatralne i inne wydarzenia kulturalne w San Francisco — a było to menu tak bogate, że jeszcze bardziej kochałem to miasto. Zobaczywszy Pierre’a Monteux i orkiestrę symfoniczną San Francisco, pisałem do rodziców:

> Dyrygował (zawsze o takt przed orkiestrą, miałem wrażenie), a w programie znalazły się *Symfonia fantastyczna* Berlioza (scena egzekucji zawsze przypomina mi tę posępną operę Poulenca[29]); *Dyl Sowizdrzał*; *Gry* Debussy’ego (wspaniała rzecz, mógł ją napisać młody Strawiński) i jakaś nonsensowna miniaturka Cherubiniego. Monteux, już prawie dziewięćdziesięcioletni, ma wspaniałą gruszkowatą sylwetkę, nieustannie podskakuje i kołysze się, a do tego ma jeszcze melancholijny francuski wąs, trochę jak Einstein. Publiczność wręcz oszalała na jego punkcie, częściowo, jak myślę, w charakterze przeprosin (sześćdziesiąt lat wcześniej syczeli na niego), a wtedy poważny wiek staje się dodatkowym argumentem. Jakkolwiek z tym było, przyznaję, że ekscytująca jest myśl o tych niezliczonych próbach i premierach, przygnębiających porażkach, dudniących miliardach nut, jakie musiały się przetoczyć przez ten wiekowy umysł w trakcie jego dziewięćdziesięciu lat.

W tym samym liście wspominam o swoistym doświadczeniu, jakim był dla mnie wyjazd na festiwal do Monterey.

> Bardzo dziwne było spotkanie z gospodarzem. Powiedzieli: „Jest tam” i zaprowadzili mnie do łazienki. Tutaj zobaczyłem chrystusową postać: facet z brodą zadartą w paroksyzmie bólu, klepiący się po pośladkach pod gorącym prysznicem. Nie wątpię, że równie zaskakujący i alarmujący dla niego musiał być mój widok: w czarnej, błyszczącej skórze, prosto z motocykla. Miał bolesne ropnie wokół odbytu, które mu brutalnie naciąłem igłą wysterylizowaną nad zapałką. Trysnęła ropa, rozległ się ryk, a po nim zapanowała cisza: facet zemdlał. Kiedy się ocknął, było już z nim

znacznie lepiej, a ja poczułem radość praktyka: oto sprawny chirurg, który przynosi ulgę cierpiącemu artyście. Podczas późniejszej zwariowanej imprezy bitników wstała młoda dziewczyna w okularach i zaczęła recytować wiersze na temat ich ciał.

W Anglii wystarczyło otworzyć usta, a człowiek już był zaklasyfikowany (robotnicy, klasa średnia, klasa wyższa, cokolwiek), a chociaż nie był to system oficjalny, to przecież pozostawał równie sztywny i nienaruszalny jak system kastowy w Indiach. Amerykę wyobrażałem sobie jako społeczeństwo bezklasowe, krainę, w której każdy — niezależnie od urodzenia, koloru skóry, religii, wykształcenia czy profesji — mógł traktować innych jak bliźnich, bratnie istoty; krainę, w której profesor mógł zwrócić się do szofera bez przełamywania żadnych barier czy tabu.

Przez chwilę czułem powiew takiej demokracji i równości, kiedy w latach pięćdziesiątych jechałem przez Anglię motocyklem. Wydawało się, że nawet w sztywnej Anglii skraca dystans, w każdym wyzwala pewien luz i życzliwość. „Fajna maszyna” — ktoś mówił i to był początek rozmowy. Motocykliści byli przyjacielskim narodkiem. Na drodze machaliśmy do siebie, w kafejkach łatwo zagadywaliśmy jeden do drugiego. W wielkim społeczeństwie tworzyliśmy romantyczną społeczność bezklasową.

Zorientowawszy się, że bez sensu byłby przewóz motocykla z Anglii statkiem, postanowiłem, że sprawię sobie nowy: crossowego nortona atlasa, którym mogłem zjechać z szosy i rozbijać się po bocznych drogach oraz górskich ścieżkach. Mogłem go trzymać na dziedzińcu szpitala.

Znalazłem grupę podobnych pasjonatów. Spotykaliśmy się w każdy sobotni ranek, po czym przez most Golden Gate wjeżdżaliśmy na wąską, pachnącą eukaliptusami drogę, która serpentynami prowadziła na górę

Tamalpais, a następnie mknęliśmy górską granią, po lewej mając Pacyfik, a potem szerokimi zakosami zjeżdżaliśmy, żeby zjeść razem brunch na Stinson Beach (od czasu do czasu w Bodega Bay, którą niedługo miał rozsławić film Hitchcocka *Ptaki*). Wsiadało się rankiem na motocykl, żeby żyć intensywniej, tak czuć na twarzy, na całym ciele powiew wiatru, jak to możliwe tylko na motocyklu. Osadziły się te jazdy w pamięci z nieznośnym niemal czarem, a ich nostalgiczne wspomnienia niezmiennie przynoszą zapach eukaliptusów.

W ciągu tygodnia najczęściej sam jeździłem po San Francisco, ale pewnego razu podjechałem do zupełnie odmiennej od wypasionej i szanownej gromadki ze Stinson Beach grupy. Hałaśliwi i rozdokazywani motocykliści siedzieli na swoich maszynach, wychylając piwo z puszek i zaciągając się papierosami. Z bliska zobaczyłem na ich kurtkach logo Hells Angels, ale było już za późno, żeby zawrócić, więc zatrzymałem się przy nich i rzuciłem: „Hello”. Zaintrygowały ich moja śmiałość oraz angielski akcent, podobnie jak i fakt, że jestem lekarzem, o czym się zaraz dowiedzieli. Z miejsca mnie zaakceptowali, bez poddawania żadnym wstępnym rytuałom, bo uznali, ze jestem równy i nie mam uprzedzeń, a jako lekarz mogłem się przydać w razie jakiejś kontuzji — i parę razy istotnie zwracali się do mnie z takimi sprawami. Nie brałem jednak udziału w ich rajdach ani w żadnych innych imprezach, a nasz luźny, nieoczekiwany — tyleż dla mnie, ile dla nich — związek spokojnie się zakończył, kiedy rok później opuściłem San Francisco.

*

O ile dwanaście miesięcy, które upłynęły pomiędzy moim wyjazdem z Anglii a rozpoczęciem oficjalnego stażu w Mount Zion, były pełnych

przygód, zaskoczeń i ekscytacji, o tyle sam staż — po kilka tygodni na ogólnym, chirurgii, pediatrii itd. — okazał się nie tylko monotonny i nudny, lecz także frustrujący, gdyż wszystko to samo robiłem jeszcze w Anglii. Wszystko to wydawało mi się jedynie biurokratyczną stratą czasu, ale wszyscy zagraniczni dyplomowani lekarze musieli, niezależnie od swego dotychczasowego wykształcenia, przejść dwuletni staż.

Miało to jednak także i dobre strony: mogłem za darmo spędzić jeszcze jeden rok w moim ukochanym San Francisco, szpital bowiem zapewniał wikt i mieszkanie. Znajdujący się w tej samej co ja sytuacji koledzy z całych Stanów stanowili grupę bardzo zróżnicowaną i utalentowaną. Mount Zion cieszył się świetną reputacją, co w połączeniu z perspektywą rocznego pobytu w San Francisco było bardzo pociągające dla świeżo mianowanych doktorów, setki więc z nich ubiegały się tu o staż, a szpital mógł wybierać najlepszych.

Szczególnie zbliżyłem się do Carol Brunett, niezmiernie utalentowanej czarnoskórej dziewczyny z Nowego Jorku, która biegle mówiła w wielu językach. Pewnego razu oboje mieliśmy pomagać przy skomplikowanej operacji brzusznej, przy czym wszystko sprowadzało się do trzymania rozwieraczy i podawania chirurgom narzędzi. Nie zamierzali nam niczego pokazywać ani niczego nas uczyć i jeśli nie liczyć rzucanych od czasu do czasu komend: „Kleszcze, szybko!”, „Mocniej ten rozwieracz!”, zupełnie nas ignorowali. Dużo natomiast mówili między sobą, aż w pewnym momencie przeskoczyli na jidysz, żeby wymienić kilka wstrętnych pogardliwych uwag na temat czarnoskórej stażystki w sali operacyjnej. Carol nadstawiła uszu i odpowiedziała im w płynnym jidysz. Obaj chirurdzy zaczerwienili się i operacja nagle stanęła w miejscu.

— Nigdy nie słyszeliście *schwartze* mówiącej w jidysz? — dorzuciła Carol i elegancko dygnęła.

Miałem wrażenie, że instrumenty wypadną im z rąk. Zaambarasowani zaczęli przepraszać Carol i aż do czasu, kiedy skończyła się nasza tura chirurgiczna, odnosili się do niej z szacunkiem. (Zastanawialiśmy się potem, czy ten epizod — a także uznanie Carol za osobę oraz wyrazy szacunku dla niej — pozostawił w nich jakiś trwalszy ślad).

*

W weekendy najczęściej nie miałem dyżurów, dosiadałem więc motocykla, żeby eksplorować Kalifornię Północną. Fascynowała mnie historia miejscowej gorączki złota, a szczególną sympatią darzyłem autostradę 49 i malutką, widmową mieścinę, Copperopolis, przez którą przejeżdżałem w drodze do Mother Lode.

Niekiedy nad oceanem, przez północne lasy sekwoi jechałem do Eureki, a potem do jeziora Crater w Oregonie (był to czas, gdy nie przerażało mnie pokonanie tysiaca kilometrów za jednym zamachem). W tym też roku, skądinąd wypełnionym monotonnymi zajęciami stażowymi, odkryłem cuda Yosemite i Doliny Śmierci, a także po raz pierwszy odwiedziłem Las Vegas, które — jeśli akurat powietrze było czyste — z odległości osiemdziesięciu kilometrów skrzyło się niczym pustynny miraż.

Chociaż jednak zawierałem w San Francisco nowe przyjaźnie, poznawałem atrakcje miasta, a podczas weekendów robiłem dalekie wypady, to jako neurolog niewiele korzystałem — czy raczej niewiele b y m skorzystał, gdyby Levin i Feinstein nie zapraszali mnie na fachowe konferencje i nie pozwalali kontaktować się z ich pacjentami.

Chyba w 1958 roku mój stary przyjaciel, Jonathan Miller, dał mi świeżo wydany tomik wierszy Thoma Gunna *The Sense of Movement* ze

słowami: „Musisz poznać Thoma, na pewno ci się spodoba”. Wiersze pochłonąłem i postanowiłem, że jeśli kiedyś znajdę się w Kalifornii, przede wszystkim postaram się spotkać z Thomem Gunnem.

W San Francisco natychmiast zacząłem się o niego rozpytywać i dowiedziałem się, że jest w Anglii, gdyż dostał stypendium w Cambridge. Wrócił po kilku miesiącach i spotkałem go na jakiejś imprezie. Ja miałem dwadzieścia siedem lat, on trzydzieści kilka, różnica wieku nie była zatem wielka, ale od razu poczułem jego dojrzałość i pewność siebie: świadomość tego, kim jest, jak jest utalentowany i co robi. Miał już za sobą dwie wydane książki, ja jeszcze żadnej; traktowałem go jak nauczyciela i mentora (ale nie jako wzorzec, gdyż nasze sposoby pisania bardzo się od siebie różnią). W porównaniu z nim czułem się nieuformowany jak zarodek. Podenerwowany napomknąłem, że chociaż bardzo podziwiam jego wiersze, to jeden z nich, *The Beaters*, zaniepokoił mnie swoją sadomasochistyczną tematyką. Thom wydawał się zaambarasowany i z lekką przyganą w głosie powiedział: „Nie wolno mylić poezji z poetą”[30]. Jechałem na swoim terenowym nortonie i rozpędziwszy się co nie miara na Filbert, nagle znalazłem się w powietrzu, jakbym był skoczkiem narciarskim. Maszyna skok zniosła świetnie, ale mną nieźle zatrzęsło i wszystko mogło się skończyć bardzo niedobrze. Kiedy dzwoniłem do Thoma, serce mi jeszcze łomotało jak szalone.

Zaprosił mnie do siebie, poczęstował piwem i spytał, dlaczego mi tak zależało na spotkaniu. Odparłem całkiem po prostu, że niektóre z jego wierszy poruszały coś głęboko we mnie. Thomowi to nie wystarczało. Zapytał, które konkretnie. Pierwszym z jego wierszy, który czytałem, był *On the Move*; „A jako motocyklista — mówiłem — nie mogłem nań nie zareagować”, podobnie jak wiele lat wcześniej na mały liryczny utwór Lawrence’a *The Road*. Lubiłem także jego wiersz *The Unsettled*

Motorcyclist's Vision of His Death [Wizja śmierci nawiedzająca wytrąconego z równowagi motocyklistę], gdyż byłem przekonany, że podobnie jak Lawrence także i ja zginę na motocyklu.

Nie jestem pewien, co w tamtej chwili dostrzegł we mnie Thom, w każdym razie wyczułem w nim wielkie osobiste ciepło oraz delikatność połączoną z niesłychaną integralnością intelektualną. Nie był zdolny do kluczenia czy oszukiwania, ale jego bezpośredniości zawsze towarzyszyła również — byłem o tym przekonany — osobliwa czułość.

Thom niekiedy pokazywał mi rękopisy nowych wierszy. Uwielbiałem nasycającą je energię: związanie, okiełznanie rozpasanej namiętności przez ścisłą, poddaną surowej kontroli formę poetycką. Spośród tych jego nowych utworów najbardziej chyba lubiłem *The Allegory of the Wolf Boy (At tennis and at tea / Upon the gentle lawn, he is not ours, / But plays us in a sad duplicity)* [Na korcie i przy herbacie / Na miękkiej trawie, nie jest z nas / Ale nas odgrywa w swej smutnej dwoistości]. Korespondowało to z dwoistością, którą wyczuwałem w sobie i o której po części myślałem jako o potrzebie posiadania innej osobowości za dnia i innej w nocy. Za dnia byłem uprzejmym doktorem Sacksem w białym fartuchu, ale wieczorem zamieniałem biały uniform na motocyklową skórę, by anonimowo, ukradkiem jak wilk wymykać się ze szpitala i gnać ulicami albo serpentynami wspinać się na górę Tamalpais, mknąć w świetle księżyca drogą do Stinson Beach lub Bodega Bay. Dwoistość ta wiązała się również z tym, że na drugie imię miałem Wolf i tak zwracali się do mnie Thom i motocyklowi kumple, podczas gdy dla kolegów lekarzy byłem Oliverem. W październiku 1961 roku Thom sprezentował mi egzemplarz nowej książki, *My Sad Captains*, z dedykacją: „Wolfowi Boyowi (jakiekolwiek alegorie zbędne!) z *alles gute* i podziwem od Thoma".

*

W lutym 1961 roku napisałem rodzicom, że mając zieloną kartę, jestem *bona fide* imigrantem — „cudzoziemskim rezydentem długoterminowym” — dlatego też chciałem wystąpić o amerykańskie obywatelstwo, co nie wymagało rezygnacji z brytyjskiego[31].

Wspomniałem też o tym, że niedługo będę musiał zdawać egzaminy mające sprawdzić, czy rzeczywiście zagraniczni lekarze spełniają standardy wykształcenia przedmedycznego oraz medycznego.

W styczniu pisałem do rodziców, że rozważam „odbycie pomiędzy egzaminami a rozpoczęciem stażu wielkiej podróży po Stanach i ponownie przez Kanadę, może nawet zawitam na Alaskę, w sumie zdaje się jakieś piętnaście tysięcy kilometrów. Będzie to niepowtarzalna okazja, aby zwiedzić kraj, a także obejrzeć inne uniwersytety”.

Teraz, kiedy miałem już za sobą egzaminy i dysponowałem bardziej odpowiednią maszyną — zamieniłem nortona atlasa na używane bmw R69 — byłem gotów do drogi.

Wolny czas bardzo się skurczył i nie mogło już być mowy o Alasce. Znowu pisałem do rodziców:

> Na mapie pociągnąłem czerwoną linię: Las Vegas, Dolina Śmierci, Wielki Kanion, Albuquerque, Carlsbad Caverns, Nowy Orlean, Birmingham, Atlanta, Blue Ridge Parkway do Waszyngtonu, Filadelfii, Nowego Jorku i Bostonu, potem przez Nową Anglię do Montrealu, odskok na Quebec. Toronto, wodospad Niagara, Buffalo, Chicago, Milwaukee. Bliźniacze Miasta, potem w górę do parków narodowych Glacier i Waterton, w dół do Yellowstone, Bear Lake, Salt Lake City — i z powrotem do San Francisco. 13 tysięcy kilometrów — 50 dni — 400 dolarów. Jeśli uda się uniknąć: udaru słonecznego, odmrożenia, aresztowania, trzęsienia ziemi, zatrucia pokarmowego i mechanicznych nieszczęść — cóż, powinien to być najlepszy czas w moim życiu! Następny list już z drogi.

Kiedy opowiedziałem Thomowi o moich planach podróżnych, zasugerował, że powinienem prowadzić dziennik — utrwalić swoje doświadczenia, „odkrywanie Ameryki” — a potem mu go przysłać. Byłem w trasie dwa miesiące i zapełniłem kilka notatników, które jeden po drugim słałem do Thoma. Zdaje się, że podobały mu się moje opisy ludzi i miejsc, niespodzianek i zdarzeń; chwalił mój dar obserwacji, aczkolwiek niekiedy nabijał się z moich „sarkazmu i groteski”.

Jeden z tych dzienników nosił tytuł *Podróżuj radośnie*.

PodróżUj radośnie (1961)

Kilka kilometrów na północ od Nowego Orleanu motor wysiadł. Podprowadziłem go do jakiegoś cholernego parkingu i zacząłem grzebać w silniku. Leżę tak sobie na grzbiecie, aż tu nagle szóstym, sejsmicznym zmysłem wyczuwam odległy dygot, jakby dalekie trzęsienie ziemi. Sunęło ku mnie — najpierw turkot, potem łomot, w końcu ryk, kulminujący w skowycie hamulców pneumatycznych i przeraźliwym klaksonie. Sparaliżowany zerknąłem w górę i zobaczyłem największą ciężarówę, jaką kiedykolwiek widziałem na oczy, prawdziwego lewiatana szos. Zuchwały Jonasz wystawił głowę z kabiny i wrzasnął do mnie z wysokości:

— Mogę pomóc?

— Padł na amen — ja na to. — Pękła jakaś ośka albo coś takiego.

— Dupa blada — zauważył grzecznie. — Jak się to rozpierdzieli, to ci nogi pourywa. Na razie.

Zrobił wieloznaczny grymas i znowu wymanewrował swym potworem na szosę.

Jechałem przed siebie i wkrótce opuściłem bagniste niziny Delty. Jeszcze chwila i byłem w Missisipi. Droga wiła się to w tę, to w tamtą stronę, kapryśna

i niespieszna, mijając gęste lasy i otwarte pastwiska, sady i łąki, przekraczając dobre pół tuzina poprzecznych rzek, wkraczając do farm i wiosek oraz je opuszczając — wszystko spokojne i nieruchome w porannym słońcu.

Wystarczyło jednak, że wjechałem do Alabamy, a motocyklowi gwałtownie się pogorszyło. Wsłuchiwałem się we wszystkie zmiany dźwięku, głowiłem nad hałasami równie złowrogimi co niezrozumiałymi. Jedno było pewne: maszyna szybko się rozpadała, ale w swym ignoranckim fatalizmie uznałem, że w żaden sposób nie mogę odmienić jej losu.

Jakieś osiem kilometrów za Tuscaloosa silnik zakaszlał i zatarł się. Złapałem za sprzęgło, ale jeden z cylindrów już dymił koło nogi. Zeskoczyłem i ułożyłem motocykl płasko na ziemi, a następnie z czystą białą chusteczką w dłoni stanąłem na skraju szosy.

Słońce opuszczało się po nieboskłonie, powiał lodowaty wietrzyk, ruch zdecydowanie zamierał.

Właściwie pożegnałem się już z nadzieją i tylko czysto mechanicznie wymachiwałem chusteczką, kiedy nagle z niedowierzaniem zobaczyłem, że zatrzymuje się przy mnie ciężarówka. Wyglądała znajomo. Zmrużyłem oczy i odczytałem rejestrację: 26539, Miami, FLA. Tak, to ona: wielka ciężarówa, która zatrzymała się przy mnie rano.

Puściłem się do niej biegiem, a tymczasem kierowca wysiadł z kabiny i kiwnął głową w kierunku motocykla:

— To co, spieprzyłeś go do reszty, tak?

Z kabiny wyskoczył jeszcze chłopak i razem udaliśmy się na oględziny wraka.

— Mógłbyś mnie na holu zaciągnąć do Birmingham?

— Wała, prawo nie pozwala. — Podrapał się w szczecinę na podbródku, a potem puścił oko. — Spróbujmy go wpierdzielić pod budę.

Napinając się i stękając, podnieśliśmy ciężką maszynę i umieściliśmy ją na skrzyni, a potem zabezpieczyliśmy linami między meblami i skryliśmy pod workami przed ciekawskim wzrokiem.

Szofer wdrapał się do kabiny, w ślad za nim chłopak, ja na końcu, a potem — w tej kolejności — usadowiliśmy się w szerokim fotelu. Kierowca lekko kiwnął głową i przeszedł do formalnej prezentacji:

— To mój partner od kółka, Howard. A ty?

— Wolf.

— Mogę ci mówić Wolfie?

— Spoko, nie ma sprawy. A ty?

— Mac. Jasne, każdy z nas to Mac[32], ale ja jestem prawdziwy. O, spójrz tu, na ramieniu.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu i tylko ukradkowo zerkaliśmy na siebie.

Mac wyglądał na trzydziestkę, z granicą błędu pięć lat w obie strony. Twarz miał pełną wigoru, czujną i przystojną, prosty nos, stanowcze usta i przycięty wąsik. Śmiało mógłby być oficerem brytyjskiej kawalerii, na scenie lub ekranie mógłby zagrać w jakimś romantycznym epizodzie. Takie było moje pierwsze wrażenie.

Jak każdy kierowca ciężarówki, nosił bejsbolówkę z emblematem, a także koszulkę z nazwą firmy ACE TRUCKERS, INC. Na ramieniu miał opaskę GRZECZNOŚĆ I BEZPIECZEŃSTWO GWARANTOWANE, a spod zakasanego rękawa wyzierało imię MAC otoczone gotowym do walki pytonem.

Howarda uznałbym za szesnastolatka, gdyby nie głębokie bruzdy wokół ust; nieustannie rozchylone wargi odsłaniały duże, żółte zęby, nieregularne, lecz silne, i zaskakująco masywne dziąsła. Oczy miał tak delikatnie niebieskie, jak to się zdarza u zwierzęcych albinosów. Był wysoki i mocno zbudowany, ale poruszał się niezgrabnie.

Po dłuższej chwili zwrócił ku mnie głowę i wpatrzył się we mnie swymi bladymi oczyma zwierzęcia. Najpierw dobrą minutę spoglądał mi prosto w oczy, potem spojrzenie objęło resztę mej twarzy, widoczną część ciała, kabinę samochodu, a także drogę monotonnie przesuwającą się za szybą. Wraz z tym, jak uwaga poszerzała zasięg, słabła jej intensywność, aż wreszcie jego twarz powlokła się dawną nieobecną sennością. W efekcie doznałem najpierw niepokoju, a potem zaskoczenia. Z nagłym poczuciem strachu i współczucia uzmysłowiłem sobie, że Howard był niedorozwinięty.

Mac w ciemności prychnął krótkim śmiechem.

— To jak, myślisz, że dobra z nas para?

— To się okaże — odparłem. — Jak daleko mnie podrzucisz?

— Na koniec świata, a w każdym razie do Nowego Jorku. Będziemy tam we wtorek, najdalej w środę.

Znowu umilkł, ale po kilku kilometrach spytał nieoczekiwanie:

— Słyszałeś kiedyś o procesie Bessemera?

— Tak. W szkole, na chemii.

— A o Johnie Henrym, czarnuchu kilofiarzu? No to mieszkał on właśnie tutaj. Jak zrobili maszynę, żeby wbijał szpikulce w dno rzeki, to, mówią, że tu już żaden człowiek nie da rady. Więc czarni się założyli i ściągnęli swojego najmocniejszego. Mówią, że ramię to miał na pół metra. Złapał za młotek do każdej łapy, a zasuwał sto razy szybciej od tej maszyny. A potem się położył i umarł. Tak, tak, brachu. To stalowy kraj.

Dokoła nic tylko złomowiska, wraki samochodów, bocznice kolejowe, warsztaty hutnicze. W powietrzu brzęk stali, jakby całe Bessemer było jedną wielką kuźnią czy zbrojownią. Na szczytach kominów ogniste płomienie z hurkotem wylatujące z pieców.

Przedtem tylko raz widziałem miasto oświetlane przez płomienie: miałem siedem lat i w 1940 roku patrzyłem na Londyn podczas nalotów.

Kiedy już minęliśmy Bessemer i Birmingham, Mac zaczął więcej opowiadać o sobie.

Kupił ciężarówkę za pięćset dolarów gotówką, a resztę — dwadzieścia tysięcy — spłacił w przeciągu roku. Mógł wziąć do piętnastu ton ładunku i jechać wszędzie — Kanada, Stany, Meksyk — gdzie tylko są porządne drogi i pieniądze do zarobienia. W ciągu dziesięciu godzin pracy średnio przejeżdżał ponad sześćset kilometrów; czasami zdarzało mu się jednym ciągiem jechać dłużej, ale było to nielegalne. Siedział już za kółkiem dwanaście lat, a w parze z Howardem jeździli od sześciu miesięcy. Miał trzydzieści dwa lata, mieszkał na Florydzie, miał żonę i dwoje dzieci, a rocznie zarabiał trzydzieści pięć tysięcy dolarów.

Ze szkoły uciekł w wieku dwunastu lat, a że wyglądał poważniej, to dostał pracę komiwojażera. Jako siedemnastolatek wstąpił do policji, trzy lata później całkiem nieźle znał się już na broni. Doszło wtedy do strzelaniny — mało nie zginął, gdy facet z bliska wypalił mu w twarz, więc mając dość, został kierowcą, chociaż ciągle był honorowym członkiem policji Florydy, na poświadczenie czego co roku dostawał jednego dolara.

— Brałeś kiedyś udział w strzelaninie? — spytał.

— Nie.

I dobrze, ale on sam nie zliczyłby, ile to było razy — i w policji, i za kółkiem. Jakbym zajrzał pod fotel, znalazłbym tam „przyjaciela kierowcy”; wszyscy w drogę zabierali broń, chociaż kiedy nie trzeba strzelać, najlepsza jest struna fortepianowa. Wystarczy zarzucić ją kolesiowi na szyję, a ten już nic nie zrobi. Lekko ściągniesz, główka odpada, zupełnie jakbyś kroił ser.

Nie miałem wątpliwości, że w jego głosie zabrzmiała prawdziwa uciecha.

Woził już wszystko, od dynamitu po owoce opuncji, ostatnio ograniczył się do mebli, aczkolwiek tą nazwą obejmował wszystko, co ktoś może mieć w czterech ścianach. Wiózł teraz wyposażenie siedemnastu domów — włącznie z czterystoma kilogramami ciężarów należących do atlety, który wynosił się z Florydy; ze zrobionym w Niemczech fortepianem, ponoć najlepszym na świecie; z dziesięcioma telewizorami (jeden wyjęli na wczorajszym postoju i pooglądali sobie telewizję) oraz zabytkowym łóżkiem z baldachimem.

Łóżko przywołało na jego wargi nostalgiczny uśmiech i zaczął opowiadać o swoich seksualnych podbojach. Zdawało się, że kiedykolwiek i gdziekolwiek się udał, wszędzie odnosił wielkie sukcesy, ale szczególną sympatią darzył cztery kobiety: dziewczynę z L.A., która raz uciekła z nim, schowawszy się na skrzyni, dwie damy z Wirginii, które sypiały z nim razem i od lat obsypywały go ciuchami oraz kasą, a także nimfomankę z Mexico City, która w jedną noc mogła zaliczyć dwudziestu facetów i ciągle wołała o więcej.

Kiedy tak się rozgrzewał, znikły resztki skromności: zaprezentował się jako znakomity jebaka i gawędziarz. Boży podarunek dla samotnej niewiasty.

W trakcie tego recitalu Howard, który zastygł jakby w stuporze, nadstawił uszu i przejawił oznaki zainteresowania. Widząc to, Mac najpierw go rozchmurzył, a potem zaczął się z niego nabijać. Dzisiaj wieczorem, oznajmił, zamierza ściągnąć do kabiny laskę i zamknie z nią Howarda na całą noc, a jak chłopak zasłuży, to może mu nawet załatwi prawdziwą kurwę (co w jego ustach zabrzmiało: „kuuuurrrwę”). Howard, zaczerwieniony i poruszony, dyszał z podniecenia, aż wreszcie rzucił się wściekle na Maca.

Kiedy zmagali się w kabinie, na pół poważnie, a na pół żartem, kierownica latała jak szalona, a samochodem rzucało po szosie.

Ale pomiędzy ciosami i chwytami Mac także edukował Howarda.

— Co jest stolicą Alabamy, Howard?

— Montgomery, zapluty skurwysynu.

— Taaak, racja. Nie zawsze największe miasta są stolicami. A tam rosną pekany, a tam, patrz...

— Wal się, gówno mnie obchodzą! — prychnął Howard, ale obrócił się, żeby spojrzeć.

Godzinę później zatrzymaliśmy się na parkingu dla ciężarówek gdzieś pośrodku pustkowia Alabamy, gdyż Mac zadecydował, że tu przenocujemy. Miejsce nazywało się Travel Happy.

Weszliśmy do środka na kawę. Mac usiadł z grzecznym postanowieniem, że dalej mnie jeszcze trochę pozabawia „fajnymi kawałkami", których miał niewyczerpany i niewybredny zasób, ale o wiele gorszych od jego osobistych doświadczeń. Spełniwszy tę przyjacielską powinność, dołączył do gromadki skupionej wokół szafy grającej.

Kierowcy ciężarówek zawsze w sobotni wieczór robią, co mogą, żeby tego właśnie dnia stanąć na parkingu. Zwłaszcza tutejsza szafa cieszy się niejaką sławą, gdyż ma wspaniałą kolekcję szosowych piosenek i ballad, prawdziwej epiki jazdy: dzikiej, rubasznej, melancholijnej i smętnej, ale zawsze pełnej energii, rytmu i tej swoistej ekscytacji, która znamionuje poezję ruchu i bezkresnych dróg.

Kierowcy cężarówek to z reguły samotnicy. Zdarza się jednak — jak chociażby w dusznej i zatłoczonej przydrożnej kafejce, kiedy słuchają po raz nie wiadomo który tego samego kawałka ryczącego z grającej szafy — że nagle, bez specjalnych słów i gestów, coś ich od

wewnątrz przemienia i z bezwładnego tłumu stają się dumną wspólnotą: każdy z nich nadal jest anonimowy i przejazdem, a przecież identyfikuje się ze wszystkimi dookoła, z tymi, którzy byli przed nim, a także tymi wszystkimi, których utrwaliły piosenki i ballady.

Tego wieczoru również Mac i Howard byli wraz z innymi wzruszeni i dumni, nieświadomie pokonując samych siebie i zatapiając się w ponadczasowej wspólnocie.

Koło północy Mac gwałtownie podskoczył, a potem chwycił Howarda za kołnierz.

— W porzo, kolego, trzeba poszukać sobie miejsca na drzemkę. — Spojrzał na mnie. — Odmówisz modlitwę kierowców, zanim walniemy w kimę?

Podał mi wyciągniętą z notesika pomiętą kartkę, a ja wyprostowałem ją i przeczytałem na głos:

O, Panie, bądźże łaskaw dla mojej wyprawy,
Bo robię ją dla forsy, a nie dla zabawy,
Nie pozwól, by się z koła zrobił kapeć miękki,
Chroń silnik od zatarcia i innej udręki.
Trzymaj także ode mnie z dala policjantów,
Bo nie jadę za szybko i nie robię kantów,
Niedzielnych szoferzyków usuń mi sprzed maski,
Jak i damy za kółkiem — proszę, nie skąp łaski.
A kiedy się przebudzę w cuchnącej kabinie,
Niech jajek oraz kawy zapach na mnie spłynie,
Kawa niech będzie mocna, a dziewczyny chętne,
Kelnerki niech uśmiechy ślą do mnie ponętne.
Drogi niech będą lepsze, a tańsza benzyna,
Tu Twej łaskawości zda się niezła krzyna,
A jeśli to błaganie nie zda Ci się marnym,
Będziesz miał wielbiciela na asfalcie czarnym.

Mac z kocem i poduszką ułożył się w kabinie, Howard wcisnął się w jakąś niszę między meblami, ja za

motocyklem zrobiłem sobie posłanie z worków (niepodobna było dopchać się do załadowanego na przód skrzyni łóżka z baldachimem).

Zamknąłem oczy, ale to sprawiło, że czujne stały się uszy. Mac i Howard szeptali do siebie, używając solidnej ściany ciężarówki jako membrany. Kiedy i ja przyłożyłem do niej głowę, zacząłem słyszeć jeszcze inne dźwięki — żarty, brzęk butelek, odgłosy kopulacji — dochodzące z otaczających nas ciężarówek. Leżałem zadowolony w ciemności, niczym w akwarium dźwięków, do wtóru których smacznie zasnąłem.

Jak w całej Ameryce, także w Travel Happy niedziela była dniem odpoczynku. Nade mną oświetlona szyba, wokół zapach siana, worków i skórzanej kurtki, która posłużyła mi za poduszkę. Przez krótką chwilę wyobrażałem sobie, że jestem w jakiejś wielkiej stodole, potem w jednej chwili przypomniałem sobie, gdzie naprawdę się znajduję.

Usłyszałem dźwięk lejącej się wody, który rozpoczął się znienacka, a kończył leniwie i niechętnie, zwieńczony dwoma malutkimi salwami. „Ktoś się odlewa na ścianę samochodu, NASZEGO samochodu” — pomyślałem w nieoczekiwanym przypływie dumy współwłaściciela. Wygrzebałem się spod worków i na paluszkach podszedłem do drzwi. Dymiąca struga ciągnąca się po kołach do ziemi była widomym świadectwem przestępstwa, tyle że sprawca zdążył się oddalić.

Była siódma rano. Usiadłem na stromych stopniach do kabiny i zacząłem gryzmolić w moim dzienniku podróży. Cień padł na kartkę, podniosłem wzrok i rozpoznałem kierowcę, który mignął mi kilka razy w zadymionej kafejce. John, jasnowłosy Lotario[33] z Mayflower Transit Co.; być może to on obsikał nasz samochód. Pogadaliśmy chwilę; opowiedział mi, że kiedy wczoraj wyjeżdżał

z Indianapolis — nasz najbliższy przystanek — nieźle tam śnieżyło.

Kilka minut później z samochodu wygrzebał się inny kierowca, niski i gruby, w kwiecistej koszuli z napisem „Tropicana Orange Juice Co. Fla.”. Do połowy była rozpięta, ukazując włochaty, tłusty bandzioch.

— Chryste, ale tu zimno — mruknął. — W Miami wczoraj było trzydzieści.

Z wolna gromadzili się wokół mnie inni; potoczyła się rozmowa o celach i trasach, górach, oceanach, równinach, lasach i pustyniach, o śniegu, gradzie, piorunach i cyklonach, a wszystko napotkane w ciągu jednego jedynego dnia. Tego dnia — jak każdego innego — zebrał się w Travel Happy cały świat rozmaitych i osobliwych doświadczeń podróżnych.

Poszedłem na tył naszej ciężarówki i przez na wpół uchylone drzwi zobaczyłem Howarda śpiącego w swojej niszy. Rozchylił usta, ale i powieki — co dostrzegłem ze zdziwieniem — miał nie do końca zamknięte. Błysnęła mi myśl, że może umarł we śnie, ale wtedy dostrzegłem unoszącą się w oddechu pierś, a także lekki ruch tułowia.

Godzinę później zbudził się rozczochrany i rozchełstany Mac, który wygramolił się z kabiny i z wielką kosmetyczką w ręku udał się w kierunku sanitariatu postojowego, skąd po kilku minutach wrócił czyściutki i gładziutki, a także schludnie ubrany, aby dzień święty święcić.

Widząc, że zmierza do kawiarni, przyłączyłem się do niego.

— A jak z Howardem? — spytałem. — Zbudzić go?

— Nie. Dzieciak wstaje później.

Odniosłem wrażenie, że Mac chce ze mną porozmawiać, bez towarzystwa swego kumpla.

— Jakbym mu pozwolił, przekimałby cały dzień — mruknął znad śniadania. — Jest w porządku, ale niezbyt rozgarnięty.

Spotkał Howarda pół roku wcześniej — dwudziestotrzyletniego włóczęgę — i zrobiło mu się go żal. Chłopak przed dziesięciu laty uciekł z domu, a ojciec — bankier dobrze znany w Detroit — robił niewiele, aby go skłonić do powrotu. Howard wałęsał się bez celu to tu, to tam, łapiąc jakieś dorywcze roboty, czasami żebrząc, czasami kradnąc i unikając kościołów oraz więzień. Na krótko znalazł się nawet w wojsku, ale szybko go zwolniono jako ograniczonego umysłowo.

Mac któregoś dnia wziął go z drogi i „zaadoptował". Zabierał go teraz w każdy kurs: pokazywał kraj, uczył pakować i rozmieszczać ładunek, a także tego, jak rozmawiać i jak się zachowywać, i płacił mu regularnie. Kiedy na koniec obecnej trasy wrócą na Florydę, Howard będzie mieszkał z Makiem i jego rodziną, w której zyskał sobie status młodszego brata.

Sączyliśmy drugą kawę, kiedy twarz Maca spochmurniała.

— Obawiam się, że długo już ze mną nie pojeździ. Może i ja długo już nie posiedzę za kółkiem.

Powiedział, że przed kilkoma tygodniami miał dziwny „wypadek": bez żadnego ostrzeżenia nagle pociemniało mu w oczach, a samochód wylądował w polu. Ubezpieczenie zapłaciło odszkodowanie, ale uparli się, że musi przejść badania lekarskie. Niemniej niezależnie od ich wyniku, nie zgadzali się, żeby miał współpartnera w kabinie.

Mac obawiał się tego, co musiała też podejrzewać firma ubezpieczeniowa — że chwilowe „zaćmienie" spowodowała epilepsja, że zatem diagnoza medyczna będzie oznaczała dla niego koniec jazdy ciężarówkami. Najwyraźniej przeczucie kazało mu rozglądać się za jakąś dobrą robotą w ubezpieczeniach w Nowym Orleanie.

W tym momencie wszedł Howard, więc Mac szybko zmienił temat.

Po śniadaniu Mac i Howard usiedli na zużytej oponie i zaczęli rzucać kamieniami do celu. Chaotycznie rozmawialiśmy o najróżniejszych sprawach, aby sobie urozmaicić spokojne niedzielne nieróbstwo. Po kilku godzinach obaj znudzili się i wdrapali z powrotem do kabiny, żeby uciąć sobie drzemkę.

Wziąłem ze skrzyni kilka worków i ułożyłem się do opalania między potłuczonymi butelkami, skórkami po parówkach, resztkami jedzenia, puszkami po piwie, zużytymi prezerwatywami i gigantycznymi stertami porwanych i pomiętych strzępów papieru. Gdzieniegdzie na tym śmietnisku sterczały między odpadami łodygi dzikiej cebuli lub lucerny.

Kiedy tak leżałem, to drzemiąc, to pisząc, myśli często krążyły wokół jedzenia. Co jakiś czas tęsknie spoglądałem na stadko kurczaków dziobiących w pyle i przypominało mi się, jak Mac, obiecująco chichocząc, wycelował w nie wcześniej „pomocnika kierowcy” (nader skutecznie wyglądający automat) i krzyknął:

— Drób dziś na obiad!

Mniej więcej co godzinę wstawałem, żeby rozprostować nogi i w kawiarni skonsumować cztery kawy i lody orzechowe, co ostatecznie doprowadziło mnie tego dnia do dwudziestu ośmiu pierwszych i siedmiu drugich.

Wiele wizyt składałem też w toalecie sanitariatu, gdyż spróbowane poprzedniego wieczoru pikantne papryczki Maca wywołały u mnie intensywną biegunkę.

W niewielkim pomieszczeniu jest pięć automatów z kondomami, co wydaje się interesującym przykładem tego, jak komercjalizacja ściga człowieka nawet w sferze jego najintymniejszych poczynań. Piękne te produkty („elektronicznie zwijane, pakowane w celofan,

trwałe, czułe i przezroczyste” — jak je entuzjastycznie zachwalano) kosztowały pół dolara za trzy sztuki, co niezręcznym pismem, ale zręcznym wydobyciem „lalki” [*doll*] z „dolara” poprawiono na „Trzy na lalę” [*Three for a doll*]. Był także automat o nazwie Prolong, który udostępniał maść znieczulającą, aby — jak reklamowano — „zapobiec przedwczesnemu wytryskowi”, niemniej John, nasz blond Lotario, który okazał się chodzącym kompendium informacji erotycznych, powiada, że znacznie lepsza jest maść na hemoroidy, gdyż Prolong jest tak mocny, iż w końcu nie wiesz: doszedłeś już czy nie.

W trakcie popołudnia Mac znienacka oznajmił, że zostanie w Travel Happy na jeszcze jedną noc. Uczynił to z pełnym satysfakcji, rozmyślnie tajemniczym uśmiechem — najpewniej dogadał się z Sue albo Nell na wieczorną schadzkę w kabinie. W atmosferze takiego podejrzenia Howard zachowywał się jak pies w rui. Podejrzewałem (co Mac potwierdził), że, wbrew chwackim minom i gestom, nigdy jeszcze nie był z dziewczyną. Mac co jakiś czas organizował mu chętną panienkę, niemniej Howard — o tak niespożytej wyobraźni — w zetknięciu z rzeczywistością stawał się bojaźliwy i nerwowy, tak że za każdym razem wszystko ostatecznie kończyło się klapą.

Wróciłem do pisania i kawy. Co jakiś czas dla rozprostowania nóg robiłem sobie spacer, obserwując chrapiących w kabinach kierowców i porównując ich oblicza i pozy.

O czwartej dwadzieścia na wschodzie niepewnie i niewyraźnie zaświtało. Jeden z kierowców obudził się i poszedł do sanitariatu, żeby się odlać. Po powrocie obejrzał ładunek, wdrapał się do kabiny i zatrzasnął drzwiczki. Hałaśliwie włączył silnik i powoli wytoczył się z parkingu. Inne ciężarówki dalej w ciszy spały.

O piątej nieśmiały brzask został przepłoszony przez drobny deszczyk. Zapiał jakiś obskubany kogut, w trawie zaczęły buszować insekty.

O szóstej kafejka napełnia się zapachem grzanek, masła, bekonu i jajek. Nocna zmiana kelnerek zbiera się, życząc mi powodzenia w mojej podróży po Ameryce. Pojawia się dzienna zmiana: uśmiechają się, widząc mnie przy stole, który okupowałem cały dzień wczorajszy.

Mogę tu teraz wchodzić i wychodzić, kiedy chcę, nie muszę niczego zamawiać. Przez ostatnie trzydzieści godzin wypiłem ponad siedemdziesiąt filiżanek kawy, a takie osiągnięcie skłania do pewnych bonifikat.

Ósma — Mac i Howard pojechali z facetami z Mayflower do miejscowego Colemana, żeby pomóc im rozładować furę. Dzisiaj wszystko toczy się w innym tempie, gdyż bez słowa zrezygnowali ze śniadania i nie robili toalety. Wielka kosmetyczka Maca musi poczekać na następny weekend.

Wczołgałem się do właśnie opuszczonej przez Maca kabiny — powietrze jeszcze było ciepłe i wilgotne od jego snu — okryłem się jego starym, zużytym kocem i zasnąłem w jednej chwili. O dziesiątej zbudziła mnie nagła kanonada deszczu o dach, ale Maca i Howarda nie było.

Ostatecznie wrócili koło południa, ociężali, rozchełstani, przemoczeni od rozładunku w deszczu.

— Chryste! — powiedział Mac. — Ale mi dało popalić! Dobra, zjedzmy coś i za godzinę jesteśmy na szosie.

Było to trzy godziny temu, a ciągle siedzimy. Nic tylko palą, przechwalają się, dowcipkują i flirtują, jakby rozpościerało się przed nimi tysiąc lat. Wściekły z niecierpliwości wycofałem się ze swoimi notatkami do kabiny. John Lotario próbował mnie uspokajać.

— Wyluzuj, bracie! Jak Mac mówi, że w środę będzie w Nowym Jorku, to będzie, nawet jakby siedział tutaj do

wtorku wieczorem.

Po czterdziestu spędzonych tu godzinach czuję się na parkingu jak u siebie w domu. Poznałem wielu facetów, ich sympatie i antypatie, wiem, co ich śmieszy, a co denerwuje. Także i oni mnie znają — a przynajmniej tak sądzą — i pobłażliwie wołają na mnie „Doc” albo „Profesor”.

Znam wszystkie wozy: ich tonaż, co wiozą, ich rekordy i awarie, ich oznaczenia.

Znam wszystkie kelnerki w Travel Happy: Carol, szefowa, strzeliła mi z polaroidu zdjęcie między Sue a Nell; jestem na nim nieogolony i oślepiony fleszem. Umieściła je między innymi fotkami, wprowadzając mnie w ten sposób do wielotysięcznego braterstwa jej „kumpli”, którzy zawijają tu, przemierzając kraj to w tę, to w drugą stronę.

— A ten tutaj — powie kiedyś, w przyszłości jakiemuś klientowi oglądającemu jej ekspozycję — to „Doc”. Ekstrafacet, no może tylko trochę dziwny. Jeździł z Makiem i Howardem, masz ich tam. Ciekawe, myślę czasami, co z nim.

---

26 Stwierdzono, że niewielkie ingerencje w określone obszary mózgu (na przykład wstrzyknięcie alkoholu albo zamrożenie ich), nieszkodzące pacjentowi, mogą przerwać nadaktywny obwód odpowiedzialny za liczne symptomy parkinsonizmu. Tę stereotaktyczną chirurgię niemal zupełnie zarzucono wraz z pojawieniem się w roku 1967 L-dopy — teraz jednak znowu wraca ona do łask, dzięki wprowadzaniu elektrod i wykorzystaniu głębokiej stymulacji w innych częściach mózgu.

27 To właśnie w Mount Zion Libet wykonał swe zaskakujące eksperymenty, w których uczestników poproszono, aby zacisnęli pięść czy wykonali inną dobrowolną czynność; okazywało się, że ich mózgi rejestrowały „decyzję” mniej więcej sekundę przedtem, zanim jakiekolwiek postanowienie zostało podjęte. Uczestnicy więc mieli poczucie, że wykonali jakieś poruszenie zupełnie świadomie i z własnej woli, a tymczasem ich mózgi podejmowały decyzję dużo wcześniej.

[28] Chodzi o opowiadanie *Na statku* ze zbioru *Kropla malajskiej krwi* (tłum. J. Sujkowska, Diossa, Gliwice 1993) — przyp. tłum.

[29] *Dialogi karmelitanek* Francisa Poulenca, w których zgilotynowanych zostało szesnaście zakonnic — przyp. tłum.

[30] Interesujące jest jednak to, że kiedy w roku 1994 ukazały się *Collected Poems* Thoma, to ten jeden utwór pochodzący z *The Sense of Movement* został pominięty.

[31] Zamiar był jak najbardziej szczery, ale minęło pięćdziesiąt lat, a ja ciągle nie jestem obywatelem USA. Bardzo podobnie było z moim bratem w Australii. Znalazł się tam w 1950 roku, ale obywatelstwo otrzymał dopiero pół wieku później.

[32] W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie tak tytułuje się każdego nieznanego mężczyznę — przyp. tłum.

[33] Postać z *Don Kichota* — przyp. tłum.

Muscle Beach

Kiedy wreszcie w czerwcu 1961 roku dotarłem do Nowego Jorku, pożyczyłem od kuzyna pieniądze i kupiłem nowy motocykl BMW R60, najbardziej spolegliwy ze wszystkich modeli BMW. Dość już miałem użerania się z używanymi maszynami, jak mój dawny R69, który jakiś idiota czy zbrodniarz zaopatrzył w złe tłoki, które się zatarły w Alabamie.

Po kilku dniach w Nowym Jorku zaczęła mnie znowu wzywać otwarta droga. W trakcie powolnego, pełnego wydarzeń powrotu do Kalifornii pokonałem tysiące kilometrów. Szosy były cudownie puste, a kiedy jechałem przez Dakotę Południową czy Wyoming, całymi godzinami nie widziałem żywej duszy. Szum silnika, jazda bez najmniejszego wysiłku nadały podróży magiczny, senny charakter.

Motocyklista i maszyna stapiają się w jedno, motocykl tak się dostosowuje do propriocepcji, ruchów i postury prowadzącego, że staje się posłuszny jak część ciała. Motor i kierowca stanowią jedną, nierozdzielną istotę, podobnie jak dzieje się z jeźdźcem i koniem, a co jest zupełnie niemożliwe z samochodem.

Do San Francisco dotarłem pod koniec czerwca, w samą porę, by skórę motocyklisty zamienić na biały kitel stażysty w Mount Zion Hospital.

Podczas długiej podróży, gdy odżywiałem się chaotycznie i nieregularnie, straciłem na wadze, ponieważ jednak — jeśli tylko trafiła się okazja — nie uciekałem od ćwiczeń fizycznych, to kiedy w czerwcu w Nowym Jorku dosiadałem nowego motocykla, byłem w całkiem niezłej formie, ważąc poniżej stu kilogramów. Niemniej wróciwszy do San

Francisco, uznałem, że muszę trochę „przypakować” (jak mówią kulturyści), żeby się zmierzyć z rekordem w ciężarach, który — jak sądziłem — znalazł się w moim zasięgu. Przybierać na wadze nie było w Mount Zion szczególnie trudno, gdyż dla stażystów były tu darmowe podwójne cheeseburgery i wielkie shaki mleczne. Ponieważ dzienną rację ustaliłem sobie na pięć podwójnych cheeseburgerów i pół tuzina shake’ów, a do tego ostro trenowałem, więc szybko z kategorii półciężkiej (do stu kilogramów) przeniosłem się do ciężkiej (do stu dwudziestu kilogramów), a z niej do superciężkiej (bez limitu). Jak o wszystkim, także i o tym poinformowałem rodziców, którzy byli nieco tym faktem skonsternowani — co odrobinę mnie zdziwiło, gdyż ojciec nie należał do cherlaków i ważył ponad sto dwadzieścia kilogramów[34].

Dźwigałem już trochę ciężary podczas studiów medycznych w Londynie w latach pięćdziesiątych. Należałem do żydowskiego klubu sportowego Maccabi, gdzie rywalizowaliśmy z innymi klubami w trzech konkurencjach ciężarowych: uginanie ramienia ze sztangielką, wyciskanie na ławce i przysiad.

Inaczej wyglądały konkurencje olimpijskie: wyciskanie, rwanie i podrzuty — do naszej małej siłowni przychodzili ciężarowcy światowej klasy. Jednym z nich był Ben Helfgott[35], kapitan brytyjskiej drużyny ciężarowej na igrzyskach olimpijskich w 1956 roku. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy; nawet teraz, po osiemdziesiątce, jest niezwykle silny i ruchliwy[36]. Próbowałem konkurencji olimpijskich, ale nie bardzo mi to wychodziło.

Oprócz Maccabi trenowałem też czasami w londyńskiej Central YMCA, gdzie sekcją ciężarową kierował Ken McDonald, który reprezentował na olimpiadzie Australię[37]. Szczególnie silną miał dolną część ciała, a zwłaszcza uda: w przysiadzie to była klasa światowa. Podziwiałem go,

gdy kucał z ciężarem. Sam także bardzo chciałem mieć takie uda i krzyż — które są niezwykle istotne w przysiadzie i przy podrzucie. Ken szczególnie lubił martwy ciąg przy sztywnych nogach, co jest wyjątkowo szkodliwe dla kręgosłupa, gdyż całe obciążenie przejmuje wtedy odcinek lędźwiowy, a nie — jak powinno być — nogi. Kiedy rozwijałem się pod jego okiem, zaproponował, żebyśmy obaj wystąpili w pokazie atletycznym, próbując bić swoje rekordy życiowe. Ken uniósł trzysta pięćdziesiąt kilogramów, mnie udało się dźwignąć tylko dwieście sześćdziesiąt, niemniej nagrodzono mnie oklaskami, a ja przez chwilę czułem radość i dumę, że jako nowicjusz mogłem jednak towarzyszyć Kenowi przy jego próbie ustanowienia rekordu. Radość była krótkotrwała, gdyż po kilku dniach dół pleców rozbolał mnie tak bardzo, że ledwie mogłem się ruszyć czy nabrać powietrza, i zacząłem się zastanawiać, czy nie pękły mi żebra. Rentgen nie wykazał żadnych uszkodzeń, ból ustąpił po paru dniach, ale przez następne czterdzieści lat miały mnie nie opuszczać dotkliwe bóle pleców (z jakiejś racji ustąpiły, gdy skończyłem sześćdziesiąt pięć lat — czy może należałoby powiedzieć: zastąpiła je rwa kulszowa).

Mój podziw dla metod Kena rozciągnął się też na jego specjalnie wymyśloną dla atletów, głównie płynną dietę. Z rana zjawiał się z butlą o pojemności kilku litrów, pełną gęstej, lepkiej mikstury z melasy, mleka, różnorodnych witamin i drożdży. Postanowiłem go naśladować, zapomniałem jednak o tym, że jeśli tylko dać drożdżom trochę czasu, to cukier zacznie fermentować. Wyjęta z torby gimnastycznej flaszka złowieszczo bulgotała; ani chybi zaczęła się fermentacja. Przygotowałem miksturę kilka godzin wcześniej, podczas gdy Ken (jak później mi powiedział) robił to tuż przed wyjściem na trening. Ponieważ zawartość butelki była ewidentnie pod ciśnieniem, poczułem niejaki lęk, jakbym nagle znalazł się w posiadaniu bomby. Pomyślałem, że jeśli zacznę otwierać ją

ostrożnie, nastąpi powolna dekompresja, ledwie jednak ruszyłem zakrętkę, tę wyrwało mi z ręki i cała kleista, czarna (a także odrobinę alkoholizowana) maź trysnęła w powietrze niczym gejzer, rozbryzgując się po szatni. Miejsce wstępnych śmiechów i dowcipów zajęła wściekłość. Stanowczo zabroniono mi wnosić do szatni cokolwiek innego niż woda.

*

Central YMCA w San Francisco miało bardzo dobrą sekcję ciężarową. Kiedy zjawiłem się tam pierwszy raz, wzrok mój zatrzymał się na stojaku do wyciskania w leżeniu, na którym spoczywało prawie dwieście kilogramów. W Maccabi nikt nawet nie zbliżył się do takiego wyniku, a ja w Y. nie widziałem nikogo, kto mógłby się porwać na taki ciężar — a w każdym razie nikogo do chwili, gdy do sali wtoczył się (miał odrobinę krzywe nogi) niski, ale za to szeroki w barach, piersiasty, siwowłosy goryl, ułożył się na ławce i w charakterze rozgrzewki parę razy wycisnął ciężar. Potem zaczął dodawać krążki, aż wreszcie doszedł do około dwustu pięćdziesięciu kilogramów. Miałem ze sobą polaroid, więc zrobiłem mu zdjęcie podczas chwili odpoczynku, a potem zaczęliśmy rozmawiać. Okazał się bardzo miły. Nazywał się Karl Norberg, był Szwedem, całe życie pracował w porcie, teraz miał już siedemdziesiąt lat. Fenomenalnie silny był z natury, jedyne jego ćwiczenie stanowiło dźwiganie pak i beczek na nabrzeżu. Zdarzało się, że zarzucał sobie na bark ciężar, którego „normalni” ludzie nie mogli nawet ruszyć z ziemi.

Zainspirowany przez Karla do zmierzenia się z większymi ciężarami, postanowiłem się skupić na tym, w czym już byłem dobry, czyli na przysiadzie. Trenując intensywnie — a nawet obsesyjnie — w małej salce w San Rafael, doszedłem do tego, że co 5 dni robiłem 5 serii po

5 przysiadów z 555 funtami (około dwudziestu kilogramów). Lubiłem tę sekwencję cyfr, chociaż inni trochę się podśmiewali z „Sacksa i jego piątek”. Na dobrą sprawę to, że jestem bardzo dobry, uświadomiłem sobie dopiero wtedy, gdy jeden z kolegów zaproponował mi, żebym wziął udział w biciu rekordu Kalifornii w przysiadzie z ciężarem. Poszedłem niezbyt pewny siebie, jakaż więc była moja radość, kiedy ustanowiłem rekord, przysiadając i powstając z blisko trzystoma kilogramami na barkach. To była przepustka do świata ciężarowców, w których kręgu rekord jest tak traktowany jak w świecie akademickim publikacja w renomowanym czasopiśmie albo książka.

*

Na wiosnę 1962 roku kończył się mój staż w Mount Zion, a staż drugiego stopnia w UCLA miał się zacząć pierwszego lipca, niemniej musiałem wcześniej odwiedzić Londyn. Nie widziałem rodziców od dwóch lat, matka niedawno złamała biodro, byłem więc rad z tego, że mogę się zjawić w domu zaraz po jej operacji. Mama z wielkim hartem ducha zniosła wypadek, zabieg chirurgiczny oraz późniejsze tygodnie bólu i rehabilitacji. Chciała też wracać do swoich pacjentów, jak tylko odstawi kule.

Nasze kręte schody, z zużytymi chodnikami i ruszającymi się gdzieniegdzie deskami, były bardzo niebezpieczne dla rekonwalescentki, dlatego kiedy tylko chciała, znosiłem ją i wnosiłem — dawniej nie podobało jej się moje dźwiganie ciężarów, teraz bardzo była zadowolona z mojej siły — i wyjazd opóźniałem do chwili, aż mogła już sama wspiąć się po stopniach [38].

Na UCLA stażyści drugiego stopnia mieli co tydzień „prasówkę”: czytaliśmy najnowsze artykuły z neurologii i dyskutowaliśmy nad nimi. Niekiedy wprawiałem grupę w zmieszanie, kiedy mówiłem, że powinniśmy się także interesować tekstami naszych dziewiętnastowiecznych poprzedników, nasze doświadczenia z pacjentami porównując z ich obserwacjami i przypuszczeniami. Inni uważali to za archaizm. Mamy tak niewiele czasu, że nie ma sensu marnować go na jakieś „przestarzałe kwestie”. Taką postawę dawało się też wyczytać w większości studiowanych przez nas pozycji. Bardzo rzadko pojawiała się wzmianka o czymś, co wydarzyło się więcej niż pięć lat temu, zupełnie jakby neurologia nie miała żadnej historii.

Dla mnie było to rozczarowujące, gdyż myślę w kategoriach narracyjnych i historycznych. Kiedy jako chłopak oszalałem na punkcie chemii, pożerałem wręcz książki na temat jej historii, ewolucji idei, biografii moich ulubionych chemików. Dla mnie chemia miała swój wymiar historyczny i ludzki.

Nie inaczej było, kiedy moje zainteresowania z chemii przesunęły się na biologię. Tutaj najbardziej zafascynował mnie, oczywiście, Darwin, ale przeczytałem nie tylko *O powstawaniu gatunków* i *O pochodzeniu człowieka*, nie tylko *Podróż na okręcie „Beagle”*, lecz także jego prace botaniczne, łącznie z *Coral Reefs* oraz *Earthworms*. Ale najbardziej ze wszystkiego podobała mi się jego autobiografia.

Eric Korn miał bardzo podobną pasję, dlatego ostatecznie porzucił akademicką zoologię, aby zostać antykwariuszem specjalizującym się w darwinianach i dziewiętnastowiecznym przyrodoznawstwie. (Księgarze i naukowcy z całego świata konsultowali się z nim ze względu na niezwykłą wiedzę o Darwinie i jego czasach, bardzo się też przyjaźnił ze

Stephenem Jayem Gouldem. To Erica poproszono — nie mógłby się tego podjąć nikt inny — by zrekonstruował w Down House bibliotekę Darwina).

Ja nie byłem bibliofilem, kiedy więc kupowałem książki czy inne teksty, to tylko po to, aby je czytać, a nie się z nimi obnosić. Dlatego też Eric odkładał dla mnie książki porwane lub uszkodzone, takie, którym brakowało okładki czy strony tytułowej, tymi bowiem nie interesował się żaden kolekcjoner, natomiast ja mogłem sobie pozwolić na ich kupienie. Kiedy zacząłem się zajmować neurologią, Eric zdobył dla mnie *Manual* Gowersa z 1888 roku i *Wykłady* Charcota, a także dużo mniej znanych, ale znakomitych oraz inspirujących pozycji z XIX wieku. O wielu z nich wspominam w książkach, które sam potem napisałem.

*

Niezwykle mnie zainteresowała jedna z pierwszych pacjentek, z którymi zetknąłem się w UCLA. Nie jest niczym dziwnym, kiedy ktoś w trakcie zasypiania ma mimowolne skurcze mięśni, jednak ta młoda kobieta miała znacznie poważniejsze drgawki kloniczne, gdyż w reakcji na światło migoczące z określoną częstotliwością dostawała konwulsji, a niekiedy pełnych napadów epileptycznych. W jej rodzinie dolegliwość ta występowała od pokoleń. Wraz z kolegami — Chrisem Herrmannem i Mary Jane Aguilar — napisałem o niej swój pierwszy artykuł (wydrukowany w „Neurology”), a zafascynowany drgawkami klonicznymi, a także różnymi warunkami i sytuacjami, w jakich występowały, napisałem o nich wszystkich niedużą książeczkę, którą zatytułowałem *Myoclonus*.

Kiedy w roku 1963 Charles Luttrell, neurolog znany ze swych znakomitych prac na ten temat, odwiedził UCLA, opowiedziałem mu, jak pasjonuję się tymi kwestiami, a także wyznałem, że byłbym wdzięczny,

gdyby zechciał ocenić moją rozprawkę. Zgodził się, więc wręczyłem mu rękopis, który nie miał kopii. Minął tydzień, drugi, trzeci, po sześciu nie posiadałem się już z niecierpliwości i napisałem do doktora Luttrella. Odpowiedziano mi, że umarł. Napisałem list z kondolencjami do jego żony, pisząc także, jakim darzyłem go podziwem, ale wydawało mi się niestosowne, by w tej sytuacji domagać się zwrotu manuskryptu. W końcu nigdy tego nie zrobiłem i rękopis już do mnie nie powrócił. Nie mam pojęcia, czy dalej istnieje; najpewniej został wyrzucony do śmieci, może jednak nadal spoczywa w jakiejś zapomnianej szufladzie.

*

W roku 1964 w klinice neurologicznej UCLA zobaczyłem udręczonego młodego mężczyznę, Franka C. Kiedy miał dziewiętnaście lat, pojawiły się nieustanne, z czasem nasilające się drgawki głowy i kończyn, do których ostatnio dołączyły wyrywające go ze snu potężne drgawki całego ciała. Próbował środków uspokajających, ponieważ jednak nie pomagały, w desperacji zaczął ostro pić. Opowiadał, że u jego ojca takie same objawy pojawiły się, gdy ten miał dwadzieścia czy dwadzieścia kilka lat, wpędziły go w depresję i alkoholizm, a w wieku trzydziestu siedmiu lat popełnił samobójstwo. Frank był teraz w tym właśnie wieku i, jak mówił, świetnie mógł sobie wyobrazić, jak się czuł jego ojciec. Obawiał się, że i on może się posunąć do podobnie rozpaczliwego kroku.

Był już w szpitalu pół roku wcześniej, kiedy pojawiały się różne diagnozy — pląsawica Huntingtona, encefalopatyczna choroba Parkinsona, choroba Wilsona — żadna jednak nie została potwierdzona, tak więc Frank i jego dziwna choroba pozostawali zagadką. Pamiętam, jak spoglądałem na

jego głowę, myśląc: „Co tam się dzieje w środku? Ach, jakbym chciał obejrzeć jego mózg”.

Pół godziny po tym, jak Frank opuścił klinikę, wbiegła na salę pielęgniarka z krzykiem: „Doktorze Sacks, pana pacjent właśnie został zabity przez ciężarówkę, śmierć na miejscu”. Natychmiast zrobiono autopsję i dwie godziny później trzymałem w rękach mózg Franka. Czułem się dziwnie, ale przede wszystkim czułem się winny. Czyżby moja chęć spojrzenia na ten mózg mogła odegrać jakąś rolę w tym fatalnym wypadku? Zarazem nie potrafiłem odegnać od siebie podejrzenia, że Frank ostatecznie zdecydował się położyć kres swoim udrękom i rozmyślnie rzucił się pod ciężarówkę.

Jego mózg miał normalną wielkość i nie wykazywał żadnych poważnych odkształceń, ale kiedy kilka dni później badałem jego wycinki pod mikroskopem, zobaczyłem, że aksony nerwowe są bardzo obrzmiałe i tworzą blade, poskręcane kuliste twory i rdzawobrązowe przebarwienia, pochodzące od złogów żelaza, w istocie czarnej, gałce bladej i jądrach podwzgórza — a więc tych partiach mózgu, które są odpowiedzialne za ruch — i w żadnych innych.

Nigdy dotąd nie spotkałem się z tak nasilonym obrzękiem ograniczonym do aksonów nerwowych czy aksonów oddzielonych: nic takiego nie towarzyszyło pląsawicy Huntingtona ani żadnej innej ze znanych mi chorób. Niemniej spotkałem się ze zdjęciami takiego obrzęku, gdyż dwóch niemieckich patologów — Hallervorden i Spatz — wzbogaciło nimi w roku 1922 opis bardzo rzadkiej choroby, która w młodości zaczynała się od nienormalnych tików, ale rozwijając się, powodowała rozlegle symptomy neurologiczne, prowadząc do demencji i ostatecznie śmierci. Obserwowali tę chorobę u pięciu sióstr, u których sekcja zwłok wykazała obrzęk

aksonów oraz pęczki aksonów odłączonych, a także brązowawe przebarwienie w gałce bladej oraz w istocie czarnej.

Wyglądało zatem na to, że Frank cierpiał na chorobę Hallervordena-Spatza, a jego tragiczna śmierć pozwoliła nam zobaczyć jej neuronalne podłoże we wczesnej fazie rozwojowej. Zaintrygowała mnie osobliwość tej patologii, która ograniczała się do aksonów, nie tykając ciał neuronów i osłonek mielinowych.

Rok wcześniej trafiłem na artykuł neuropatologów z Uniwersytetu Columbia, Davida Cowena i Edwina Olmsteada, którzy opisali występującą u małych dzieci pierwotną chorobę aksonów, która mogła się ujawnić w drugim roku życia, a w fatalne stadium wkraczała w siódmym roku życia dziecka. W przeciwieństwie jednak do choroby Hallervordena-Spatza, w której zniekształcenia aksonów ograniczały się do niewielkich, chociaż ważnych partii mózgu, w dziecięcej dystrofii aksonalnej (jak Cowen i Olmstead nazwali zidentyfikowane przez siebie schorzenie) obrzęki aksonów i ich fragmentacja występowały na dużych obszarach.

Zastanawiałem się, czy istnieją jakieś zwierzęce modele dystrofii aksonów, i okazało się — co za traf! — że dwóch ludzi z naszego oddziału neuropatologii właśnie tym się zajmuje[39]. Jeden z nich, Stirling Carpenter, badał szczury trzymane na diecie ubogiej w witaminę E. Traciły one kontrolę nad tylnymi łapami i ogonami, gdyż sygnały od nich pochodzące były blokowane z powodu zniszczenia aksonów drogi czuciowej rdzenia kręgowego i w czuciowych jądrach mózgowia. Wprawdzie aksony były tu niszczone w skali zupełnie innej niż w przypadku choroby Hallervordena-Spatza, może jednak zyskiwaliśmy wgląd w mechanizm patogenezy.

Drugi z kolegów z UCLA, Anthony Verity, zajmował się ostrym zespołem neurologicznym, który można było wywołać u zwierząt laboratoryjnych, podając im toksyczny związek azotu iminodipropionitrile

(IDPN)[40]. Myszy po otrzymaniu tej substancji stawały się nieprawdopodobnie podniecone, kręciły się w kółko albo biegały do tyłu, przy czym miały mimowolne drgawki oraz pojawił się wytrzeszcz oczu, nawiedzał je priapizm; a także stwierdzano u nich wielkie zmiany aksonów, ale tylko w tych częściach mózgu, które odpowiadały za podniecenie.

Takie podniecone i nieprzerwanie aktywne myszy nazywano niekiedy „myszami walcującymi”, ale to obrazowe określenie nie oddaje intensywności syndromu. Spokojny zazwyczaj oddział neuropatologii napełniały teraz piski roznamiętnionych gryzoni. Chociaż zatrute IDPN myszy były tak różne od pozbawionych witaminy E szczurów, które ciągnęły za sobą rozpostarte tylne łapy, a także od cierpiących na chorobę Hallervordena-Spatza ludzi, wydawało się, że ich wspólnym mianownikiem jest ciężkie uszkodzenie aksonów.

Czy można było wysnuć jakikolwiek rozsądny wniosek z przypuszczalnego faktu, że tak odmienne zespoły chorobowe u ludzi i zwierząt są powodowane przez taką samą dystrofię aksonów, aczkolwiek dokonującą się w odmiennych regionach układu nerwowego?

Kiedy przeniosłem się do Los Angeles, szybko zaczęło mi brakować niedzielnych porannych eskapad na Stinson Beach w towarzystwie przyjaciół motocyklistów, gdyż teraz znowu stałem się jeźdźcem podejmującym gigantyczne samotne rajdy. Jak tylko wyrwałem się w piątek z pracy, siodłałem swego wierzchowca — niekiedy myślałem o motocyklu jak o koniu — i ruszałem do Wielkiego Kanionu, od którego dzieliło mnie ponad trzysta kilometrów, ale prostej jak strzelił Route 66. Jechałem przytulony do baku; silnik miał wprawdzie tylko trzydzieści koni mechanicznych, ale jeśli przyjąłem taką pozycję, mogłem rozwinąć do stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W świetle reflektora — albo księżyca,

jeśli był w pełni — droga uciekała szybko pod przednim kołem, a mnie czasami nawiedzały dziwne przywidzenia i iluzje. Niekiedy wydawało mi się, że zakreślam linie po kuli ziemskiej, innym razem wisiałem nieruchomo w powietrzu, a cały glob w ciszy przekręcał się pode mną. Jedyne postoje robiłem na stacjach benzynowych, gdzie napełniałem bak, prostowałem nogi i wymieniałem kilka słów z pracownikiem. Jeśli udało mi się rozwinąć maksymalną prędkość, docierałem do Wielkiego Kanionu na czas, aby zobaczyć wschód słońca.

Bywało, że zatrzymywałem się w niewielkim motelu nieopodal Kanionu, gdzie ucinałem sobie drzemkę, ale najczęściej spałem na świeżym powietrzu w śpiworze. Niekiedy było to ryzykowne, i to nie tylko z powodu kojotów czy insektów. Pewnej nocy pojechałem Route 33, odludną drogą z Los Angeles do San Francisco, a kiedy się zatrzymałem, śpiwór rozłożyłem na czymś, co w mroku wydawało się poletkiem miękkiego mchu. Oddychając czystym, pustynnym powietrzem, spałem świetnie, ale z rana okazało się, że legowisko zrobiłem sobie na polu zarodników grzybowych, którymi inhalowałem się przez całą noc. Były to *Coccidioides*, słynne grzyby charakterystyczne dla Doliny Kalifornijskiej, które mogą wywoływać najróżniejsze skutki, od lekkich kłopotów z oddychaniem aż po tak zwaną „grypę dolinową”, a niekiedy nawet ciężkie zapalenie płuc lub zapalenie opon mózgowych. W związku z tym rozwinęła się u mnie skórna reakcja na grzyby, szczęśliwie jednak bez objawów.

Weekendy spędzałem, włócząc się po Wielkim Kanionie albo niekiedy po Oak Creek Canyon, z jego cudownymi czerwieniami i purpurami. Czasami jechałem do widmowego miasta Jerome (dopiero jakieś trzydzieści lat później zaczęli je nawiedzać turyści), a raz nawet odwiedziłem grób Wyatta Earpa, jednej z romantycznych postaci Starego Zachodu. Do Los Angeles wracałem w niedzielę wieczorem, aby dzięki

młodzieńczemu wigorowi w poniedziałek o ósmej rano zjawić się na obchodzie na oddziale neurologii bez żadnych oznak tego, że w trakcie weekendu pokonałem blisko tysiąc sześćset kilometrów.

*

Wielu ludzi — bardziej może w Stanach niż w Europie — ma coś przeciwko motocyklistom i motocyklom — swego rodzaju fobię czy irracjonalną nienawiść, która popycha ich do działania.

Po raz pierwszy doświadczyłem tej wrogości w 1963 roku, kiedy wolniutko jechałem Bulwarem Zachodzącego Słońca, rozkoszując się pięknym dniem i rozmyślając o swoich sprawach. W lusterku zobaczyłem samochód za sobą, dałem więc znak kierowcy, żeby mnie wyprzedził. Przyspieszył, ale będąc na mojej wysokości, nagle odbił w bok, tak że aby uniknąć kolizji, musiałem gwałtownie się uchylić. Nawet nie przyszło mi do głowy, że było to rozmyślne; uznałem, że kierowca jest pijany albo niekompetentny. Wyprzedziwszy mnie, samochód zwolnił, co zrobiłem i ja, ale wtedy dał mi znak, abym pojechał przodem. Przyspieszyłem, a on zjechał na środek drogi i tylko milimetry dzieliły mnie od bocznego zderzenia. Tym razem nie mogło być wątpliwości co do intencji.

Nigdy nie wszczynałem bójek, nigdy nikogo nie atakowałem, jeśli sam nie stałem się przedmiotem ataku. Rozsierdzony tą potencjalnie morderczą napaścią, postanowiłem się zrewanżować. Trzymałem się jakieś sto metrów za samochodem, nie rzucając się w oczy kierowcy, w każdej chwili gotów przyspieszyć, kiedy zatrzyma się na światłach. Tak się stało na Westwood Boulevard. Bezgłośnie — miałem naprawdę cichą maszynę — podjechałem od strony kierowcy z zamiarem wybicia mu szyby albo przynajmniej zadrapania lakieru na karoserii. Szyba była opuszczona i widząc to,

chwyciłem faceta za nos i wykręciłem z całej siły. Zawył, a kiedy ruszałem, miał całą twarz we krwi. Był zbyt zszokowany, aby zareagować w jakikolwiek sposób, a ja odjechałem w poczuciu, że nie przesadziłem, odpowiadając na atak na moje życie.

Drugi taki incydent wydarzył się, kiedy jechałem do San Francisco rzadko uczęszczaną Route 33, którą bardzo lubiłem z powodu — jak już wspomniałem — niewielu innych pojazdów. Jechałem około stu dziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy we wstecznym lusterku zobaczyłem samochód lecący dobre sto czterdzieści. Facet miał całą szerokość drogi, żeby mnie wyprzedzić, podobnie jednak jak tamten z Los Angeles, próbował mnie zepchnąć. Udało mu się na tyle, że zjechałem na miękkie pobocze, ale jakimś cudem zdołałem zachować równowagę, więc tylko wzbiłem chmurę kurzu i już po chwili byłem znowu na szosie. Mój prześladowca wyprzedził mniej o kilkaset metrów, a ja, kierowany bardziej wściekłością niż strachem, wyrwałem z bagażnika statyw (z wielkim zapałem fotografowałem pejzaże, zawsze więc miałem ze sobą aparat, trójnóg, bardziej profesjonalny statyw itd.). Zacząłem wywijać nim nad głową niczym szalony pułkownik w końcowej scenie *Doktora Strangelove'a*. Musiałem wyglądać niepokojąco i groźnie, gdyż kierowca przyspieszył. Ja także dodałem gazu i wyciskając z silnika, ile się dało, zacząłem go doganiać. Koleś ponownie usiłował mnie wymanewrować, zwalniając, a potem zajeżdżając mi drogę to z jednej strony, to z drugiej, kiedy jednak nie udało mu się mnie spławić, znienacka zjechał do niewielkiej mieściny Coalinga — co było błędem, gdyż tam wpadł w plątaninę wąskich uliczek i na koniec utknął w ślepym zaułku. Zeskoczyłem z motocykla (a było mnie dobre sto dwadzieścia kilogramów) i nadal wymachując statywem, rzuciłem się w kierunku samochodu. W środku zobaczyłem dwie pary nastolatków — czworo przerażonych

ludzi — ale na widok ich młodości, bezradności i trwogi statyw po prostu wypadł mi z ręki.

Wzruszyłem ramionami, podniosłem z ziemi oręż, wróciłem do motocykla i przepuściłem ich obok siebie. Myślę, że w tym durnym, potencjalnie niesłychanie groźnym pojedynku wszyscy w jakiejś chwili poczuliśmy strach o życie, bliskość śmierci.

*

Kiedy rozbijałem się na motorze po Kalifornii, zawsze miałem ze sobą nikona F z zestawem obiektywów. Szczególnie lubiłem model makro, który pozwalał robić zbliżenia kwiatów, kory drzew, porostów i mchów. Miałem też aparat Linhofa 4×5 z masywnym statywem. Cały ten sprzęt, owinięty śpiworem, był chroniony od zadrapań i wstrząsów.

Jeszcze jako chłopiec poznałem magię wywoływania zdjęć i robienia odbitek, gdyż moje małe laboratorium chemiczne z ciemnymi kotarami mogło służyć za ciemnię. Teraz magia powracała na UCLA, gdzie wydział neuropatologii miał wspaniale wyposażoną ciemnię. Wprost uwielbiałem patrzeć, jak obrazy wyłaniają się kawałek po kawałku, gdy poruszam papierem w tacce z kąpielą. Najbardziej lubiłem zdjęcia krajobrazów, a w swoich weekendowych wyprawach motocyklowych często inspirowałem się magazynem „Arizona Highways” ze wspaniałymi pracami Ansela Adamsa, Eliota Portera i innych fotografów, którzy stali się moimi idolami.

Znalazłem sobie mieszkanie nieopodal Muscle Beach w Venice, zaraz na południe od Santa Monica. W Muscle Beach mieszkało wielu znanych ludzi, a między nimi Dave Ashman i Dave Sheppard, ciężarowcy olimpijczycy. Ashman, policjant, skromnością i trzeźwością sądu wyróżniał

się w świecie pakerów, entuzjastów sterydów, pijaków i zarozumialców. (Przyjmowałem w tym czasie różne ekscytujące substancje, ale nigdy nie sięgnąłem po sterydy). Mówiono o nim, że nie ma sobie równych, jeśli chodzi o przysiad ze sztangą przed sobą, który jest o wiele trudniejszy, gdyż korzystając z siły mięśni piersiowych, trzeba mieć znakomite wyczucie równowagi. Pewnego niedzielnego popołudnia zjawiłem się na platformie ciężarowej w Venice Beach, a Dave ocenił nowicjusza jednym spojrzeniem i zaproponował pojedynek w przysiadzie przednim. Nie mogłem zignorować wyzwania, jeśli nie chciałem wyjść na mięczaka czy tchórza, odrzekłem więc: „Dobra!” głosem, który miał być pewny siebie i stanowczy, ale zabrzmiał dość piskliwie. Szliśmy równo aż do dwustu dwudziestu kilogramów, ale kiedy sądziłem, że to już koniec, on zaproponował dwieście pięćdziesiąt. Rzadko kiedy próbowałem wcześniej takich przysiadów, tymczasem ku swemu zdziwieniu, podołałem i temu ciężarowi. Dave powiedział, że to jest jego limit, ale ja za podszeptem chełpliwej ambicji poprosiłem o dwieście sześćdziesiąt. Także i teraz powstałem, chociaż miałem wrażenie, że oczy wyskoczą mi z orbit, a wolałem nawet nie myśleć o ciśnieniu krwi w głowie. Po tym wyczynie zostałem zaakceptowany w Muscle Beach i zyskałem przydomek Doktor Przysiad.

W ogóle w Muscle Beach nie brakowało siłaczy. Mac Batchelor, właściciel baru, w którym wszyscy się spotykaliśmy, miał największe i najbardziej mocarne ręce, jakie widziałem, i był niekwestionowanym mistrzem świata w kładzeniu na rękę, a chociaż sam tego nigdy nie widziałem, ludzie zapewniali, że potrafi zgiąć w dłoni srebrną dolarówkę. Niemal jak półbogów traktowano dwóch gigantów — Chucka Ahrensa i Steve’a Merjaniana, którzy trzymali się nieco na uboczu Muscle Beach. Chuck potrafił wycisnąć jedną ręką stusiedemdziesięciopięciokilogramową

sztangielkę, a Steve wymyślił nową konkurencję — wyciskanie na pochyłej ławce. Każdy z nich ważył niemal sto czterdzieści kilogramów, prezentowali imponujące bicepsy i torsy, a kiedy wsiedli do swojego „chrabąszcza”, wydawało się, że nic więcej nie uda się już do niego wcisnąć.

Jakkolwiek Chuck i tak był olbrzymem, chciał być jeszcze roślejszy i znienacka, ledwie mieszcząc się w drzwiach, zjawił się na neuropatologii UCLA. Oznajmił mi, że ciekawi go hormon wzrostu, czy mógłbym mu zatem pokazać, gdzie znajduje się przysadka. Dokoła miałem sporo mózgów w formalinie, więc wydobyłem jeden, aby zaprezentować Chuckowi znajdującą się u podstawy mózgu, a mającą wielkość groszku przysadkę. „A, tutaj” — powiedział Chuck i zadowolony zebrał się do odejścia, ja jednak poczułem zaniepokojenie. Co takiego zamierzał? Czy na pewno dobrze zrobiłem, pokazując mu, gdzie szukać przysadki? Natychmiast w wyobraźni zobaczyłem, jak po nocy nawiedza laboratorium neuropatologii, wyjmuje mózgi — odrobina formaliny na pewno go nie odstraszy — i wydłubuje z nich przysadki, zbierając je jak — dla przykładu — jeżyny, albo zaczyna ciąg zdumiewających morderstw, których ofiary będą znajdowane z rozłupanymi czaszkami, wyrwanymi mózgami i wyssanymi z nich przysadkami.

Był też Hal Connolly, złoty medalista olimpijski w rzucie młotem[41], którego często widziałem na sali gimnastycznej Muscle Beach. Miał niemal sparaliżowane jedno ramię, które zwisało bezwładnie z dłonią wygiętą do tyłu. Jako neurolog natychmiast rozpoznałem niedowład Erba. Jest on efektem naciągnięcia podczas porodu splotu ramiennego, gdy płód wychodzi bokiem i trzeba go wyciągać za ramię. Jedno ramię Hala było zatem bezużyteczne, ale za to drugie należało do rekordzisty świata. Wyczyny sportowe Connolly’ego stanowiły wspaniałą lekcję siły woli oraz

pokonywania ułomności. Coś podobnego widywałem u pacjentów UCLA, którzy mając niewielki pożytek z ramion na skutek porażenia mózgowego, nauczyli się pisać czy grać w szachy stopami.

W Muscle Beach robiłem wiele zdjęć, starając się uchwycić jego atmosferę, charakterystyczne typy ludzkie i ulubione lokale, z czym szedł w parze pomysł, aby napisać książkę o tej miejscowości i utrwalić ludzi oraz miejsca, sceny i wydarzenia charakterystyczne dla tego osobliwego świata, którym było Muscle Beach w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Nie wiem, czy ostatecznie udałoby mi się tak spleść opisy i portrety werbalne z fotografiami, kiedy bowiem opuszczałem UCLA, wszystkie zdjęcia zrobione w latach 1962–1965 wraz ze szkicami i notatkami spakowałem do wielkiej walizki, która gdzieś zaginęła. Na UCLA nikt nie miał pojęcia, co się z nią stało, żadnej wiążącej informacji nie otrzymałem z urzędów pocztowych w Los Angeles i Nowym Jorku. Tak to z wyjątkiem kilkunastu fotografii, które jakoś przetrwały, straciłem wszystkie pozostałe, jakie robiłem przez trzy lata mieszkania obok plaży, niemniej lubię sobie wyobrażać, że walizka gdzieś jednak istnieje i kiedyś jeszcze do mnie powróci.

*

Jim Hamilton był jednym z dźwigających ciężary atletów z Muscle Beach, ale bardzo różnił się od pozostałych. Na jego wielkiej głowie włosy skręcały się w loki, a ponieważ miał również kędzierzawą brodę i bujne wąsy, to — jeśli nie liczyć czubka nosa i głęboko osadzonych, roześmianych oczu — niewiele było widać z jego twarzy. Miał szerokie bary, piersi jak beczułki, a brzuch rozmiarów falstaffowskich. Jeśli zaś chodzi o wyciskanie w leżeniu, niewielu miał sobie równych na plaży.

Chodząc, utykał, gdyż jedną nogę miał krótszą od drugiej i na całej długości poznaczoną bliznami chirurgicznymi. Opowiedział mi, że w wyniku wypadku motocyklowego doznał licznych skomplikowanych złamań i ponad rok leżał w szpitalu. Miał wtedy osiemnaście lat, właśnie skończył szkołę. Był to bardzo trudny czas samotności i bólu, z którymi udało mu się jakoś poradzić, gdyż nieoczekiwanie dla niego samego odkrył w sobie niezwykły pociąg do matematyki. W szkole jej nie znosił, teraz zaś nie mógł się oderwać od książek dotyczących teorii gier. Osiemnaście miesięcy wymuszonej bezczynności cielesnej — rekonstrukcja strzaskanej nogi wymagała kilkunastu operacji — było czasem wielkiej i niesłychanie fascynującej aktywności umysłowej, gdy z poczuciem swobody i mocy zanurzył się w uniwersum matematyki.

Jim nie miał najmniejszego pojęcia, co będzie robił po szkole, kiedy jednak opuszczał szpital, dysponował już takimi umiejętnościami matematycznymi, że został zatrudniony jako programista w Rand Corporation. Niewielu znajomych i kompanów do wypitki z Muscle Beach wiedziało o tych zainteresowaniach Jima.

Jim nie miał żadnego stałego adresu. Kiedy przeglądam naszą korespondencję z lat sześćdziesiątych, widzę kartki wysyłane z moteli w Santa Monica, Van Nuys, Venice, Brentwood, Westwood, Hollywood i dziesiątek innych miejsc. Nie mam pojęcia, jaki adres miał wpisany w prawie jazdy; nie wykluczam, że mogło to być Salt Lake City: pochodził ze znakomitej, wywodzącej się wprost od Brighama Younga rodziny mormońskiej.

Jimowi łatwo było przenosić się z motelu do motelu czy nawet spać w samochodzie, gdyż swój niewielki majątek — trochę ciuchów, a poza tym książki — trzymał w Rand, gdzie też czasami nocował. Dla ich superkomputerów ułożył wiele programów do gry w szachy, które

sprawdzał, rozgrywając z nimi partie. Szczególnie lubił to robić po dużej dawce LSD; był zdania, że jego gra staje się wtedy bardziej nieprzewidywalna, przepojona natchnieniem.

Oprócz kolegów z Muscle Beach Jim miał jeszcze inny krąg znajomych, tak jak on, pasjonatów matematyki. Niczym słynny węgierski matematyk, Paul Erdös, potrafił wpadać do nich w środku nocy, kilka godzin spędzić na burzy mózgów, a potem na jakiejś sofie przespać do rana.

Zanim poznałem Jima, weekendy niekiedy spędzał w Las Vegas, gdzie obserwował rozgrywki blackjacka i z czasem opracował strategię, która gwarantowała niewielkie, ale jednak stałe wygrane. Wziął trzymiesięczny urlop w Rand, zameldował się w hotelu w Las Vegas i od rana do nocy grał w blackjacka. Z niewielkich, ale stałych wygranych uzbierało się w końcu ponad sto tysięcy dolarów, całkiem niezła suma pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku. Wtedy jednak odwiedziło go dwóch smutnych i rosłych dżentelmenów, którzy mu zakomunikowali, iż fakt jego nieustanych wygranych został odnotowany, niewykluczone, że ma jakąś „metodę”, tak czy owak, czas już najwyższy, aby opuścił miasto. Rozumiejąc ich punkt widzenia, Jim jeszcze tego samego dnia wyjechał z Vegas.

Jim miał wtedy wielki, brudny, ongiś biały kabriolet, pełen pustych kartonów po mleku i innych śmieci. W trakcie jazdy wypijał co najmniej cztery litry dziennie, a opróżnione pojemniki ciskał po prostu za siebie. Bardzo do siebie przylgnęliśmy w tłumie mięśniaków. Lubiłem wypytywać Jima o jego pasje — logikę matematyczną, teorię gier i gry komputerowe — on z kolei interesował się moimi. Kiedy się wreszcie dorobiłem małego domku w Topanga Canyon, często mnie odwiedzał ze swoją przyjaciółką, Kathy.

*

Jako neurolog byłem profesjonalnie zainteresowany stanami mózgu, umysłu i tego typu rzeczami, między innymi stanami wzbudzanymi i modyfikowanymi przez narkotyki. Na początku lat sześćdziesiątych XX wieku gwałtownie zaczęło przybywać wiedzy o substancjach psychoaktywnych i ich wpływie na neuroprzekaźniki, a jej ustalenia chciałem wypróbować na sobie samym. Takie doświadczenia, myślałem, mogą mi pomóc zrozumieć to, co przeżywają niektórzy z moich pacjentów.

Kilkoro przyjaciół z Muscle Beach namawiało, żebym spróbował, jak na mnie podziała artane, o którym wiedziałem tylko tyle, że jest lekiem podawanym parkinsonikom. „Nawet po dwudziestu tabletkach będziesz po części wszystko kontrolował, ale wrażenie jest zupełnie osobliwe”. Oto jak opisałem to w *Halucynacjach*:

> Pewnego więc niedzielnego poranka odliczyłem dwadzieścia pastylek, wsadziłem do ust, popiłem dużym łykiem wody i usiadłem, czekając na efekt. [...] Wyschło mi w ustach, powiększyły się źrenice, miałem kłopoty z czytaniem, ale to wszystko. Żadnych efektów psychicznych — cóż za rozczarowanie! Nie wiedziałem dokładnie, czego oczekiwałem, ale z całą pewnością oczekiwałem *czegoś*.
>
> Nastawiałem w kuchni czajnik, kiedy usłyszałem pukanie do frontowych drzwi. Jim i Kathy, przyjaciele, którzy często zaglądali w niedzielę przed południem. „Właźcie, otwarte!”, krzyknąłem. Kiedy sadowili się w saloniku, spytałem: „Może wam zrobić jajka?”. Jim chciał sadzone, Kathy wolała jajecznicę. Kiedy podsmażałem szynkę i robiłem jajka, rozmawialiśmy, gdyż kuchnię od pokoju oddzielały tylko niskie drzwiczki wahadłowe. Pięć minut później zawołałem: „Dobra, już gotowe!”, postawiłem ich porcje na tacy, ale kiedy wszedłem do pokoju, był kompletnie pusty. Ani Jima, ani Kathy, najmniejszego śladu, że w ogóle tutaj byli. Poczułem się tak zaskoczony, że taca mało nie wyleciała mi z rąk.

Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że obecność Jima i Kathy oraz ich głosy mogą być nierzeczywistymi halucynacjami. Prowadziliśmy, jak zawsze, zwykłą, przyjazną pogawędkę. Ich głosy były takie same jak zawsze; aż do chwili, kiedy naparłem na drzwiczki i wszedłem do zupełnie pustego pokoju, nic nie wskazywało na to, że cały ich udział w rozmowie sprokurował mój mózg.

Byłem nie tylko zaszokowany, lecz także przestraszony. Przy LSD i innych narkotykach wiedziałem, co się dzieje. Świat wyglądał inaczej, ja się w nim czułem inaczej, wszystko przemawiało za tym, że to swoiste, ekstremalne doświadczenie. Ale moja „rozmowa" z Jimem i Kathy nie miała w sobie nic szczególnego, była zupełnie trywialna, nic nie wskazywało na jej halucynacyjność. Przyszły mi do głowy rozmowy schizofreników z ich „głosami", ale przy schizofrenii szydzą one albo grożą, natomiast nie podejmują pogawędki na temat jajek na szynce i pogody.

„Uwaga, Oliver, powiedziałem sobie, musisz uważać. To już nie może się więcej powtórzyć". Zamyślony, powoli zjadłem jajka, które sobie przyrządziłem (nie wzgardziłem także porcjami Jima i Kathy), po czym postanowiłem udać się na plażę, żeby zobaczyć prawdziwych Jima, Kathy i resztę przyjaciół, a także trochę się wykąpać[42].

*

Jim stanowił ważną część mego życia w Kalifornii Południowej — widywaliśmy się dwa, trzy razy tygodniowo — i okropnie mi go brakowało, kiedy przeniosłem się do Nowego Jorku. Po roku 1970 jego zainteresowanie grami komputerowymi (włącznie z wojennymi) rozszerzyło się na komputerową animację w filmach science fiction, co nie pozwalało mu się ruszyć z Los Angeles.

Kiedy w 1972 roku odwiedził mnie w Nowym Jorku, robił wrażenie zdrowego i szczęśliwego. Przepełniała go nadzieja na przyszłość, chociaż nie był pewien, czy będzie to Kalifornia, czy Ameryka Południowa (kilka

lat spędził w Paragwaju, który na tyle mu się podobał, że kupił tam sobie ranczo).

Powiedział mi, że od dwóch lat nie wypił nawet kieliszka, co mnie szczególnie uradowało, gdyż zdarzały mu się nagłe alkoholowe ciągi, z których jeden zakończył się zapaleniem trzustki.

Był właśnie w drodze do Salt Lake City, gdzie miał spędzić trochę czasu z rodziną. Trzy dni później Kathy zadzwoniła do mnie, żeby poinformować o śmierci Jima. Rzucił się w jakąś alkoholową balangę, znowu doszło do zapalenia trzustki, ale tym razem pojawiła się martwica gruczołu oraz rozległe zapalenie otrzewnej. Miał raptem trzydzieści pięć lat [43].

Pewnego dnia 1963 roku postanowiłem trochę poszaleć na falach przy Venice Beach. Nieźle wiało, nikogo więcej nie było w wodzie, ale ja w poczuciu swej siły (i — co tu ukrywać — znakomitości) uznałem, że sam świetnie dam sobie radę. Porzucało mną trochę — co było zabawne — ale potem wypiętrzyła się nade mną ogromna fala. Próbowałem zanurkować pod nią, ale przewróciło mnie na grzbiet, a następnie zacząłem koziołkować, nie mając nad tym żadnej kontroli. Nie wiedziałem, dokąd niesie mnie fala, aż nagle zorientowałem się, że jeszcze chwila, a miotnie mną o brzeg. Takie zdarzenia są najczęstszą przyczyną łamania sobie karku na wybrzeżu Pacyfiku — teraz zdążyłem przynajmniej wyciągnąć prawe ramię. Impet uderzenia wybił mi bark, ale dzięki temu ocaliłem życie. Z jedną ręką bezwładną nie byłem w stanie płynąć na tyle szybko, aby umknąć następnemu grzywaczowi, który już wzbierał za pierwszym. W ostatniej chwili złapała mnie para mocarnych ramion, które wyciągnęły mnie w bezpieczne miejsce. Był to Chet Yorton, bardzo silny młody kulturysta. Kiedy znalazłem się już kawałek od wody — a straszliwie cierpiałem z powodu wystającej w zupełnie niewłaściwym miejscu główki

kości ramiennej — Chet wraz z trzema zaprzyjaźnionymi atletami chwycili mnie: dwóch w biodrach, dwóch za ramię, i pociągnęli tak, że bark z chrzęstem wrócił na właściwe miejsce. Chet wygrał potem konkurs Mister Universum i jeszcze jako siedemdziesięciolatek imponował wspaniałą muskulaturą. Ja nie zaszedłbym tam, gdzie teraz jestem, gdyby wtedy w 1963 roku nie wyciągnął mnie z wody [44]. Ledwie staw został nastawiony, ból w barku znikł, ale natychmiast poczułem bóle w różnych miejscach górnych kończyn i klatki piersiowej. Wsiadłem na motocykl i pojechałem na ostry dyżur UCLA, gdzie okazało się, że złamałem rękę i kilka żeber.

*

Niektóre weekendy spędzałem na dyżurze w UCLA, inne zaś, aby dorobić do mojej skromnej pensji, przeznaczałem na nocne dyżury w Doctors Hospital w Beverly Hills. Przy jednej z takich okazji zobaczyłem Mae West, która zjawiła się tu na jakąś niewielką operację. (Nie poznałem jej twarzy, gdyż tych nigdy nie zapamiętuję, natomiast głos — kto mógłby nie poznać tego głosu?). Trochę porozmawialiśmy, a kiedy przyszedłem się z nią pożegnać, zaprosiła mnie do swej rezydencji w Malibu. Powiedziała, że lubi mieć wokół siebie młodych atletycznych mężczyzn, a ja do dziś żałuję, iż nie skorzystałem z tego zaproszenia.

Zdarzyła się sytuacja, gdy moja siła okazała się użyteczna na oddziale neurologicznym. Badaliśmy pole widzenia u pacjenta cierpiącego na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych spowodowane przez kokcydioidomikozę, a także początki wodogłowia. W trakcie badania pacjent znienacka postawił oczy w słup i dostał zapaści. „Wklinowywał się” — tym skromnym terminem określa się przerażającą sytuację, kiedy pod wpływem wzmożonego ciśnienia wewnątrzczaszkowego migdałki

móżdżku i pień mózgu są wypychane przez otwór wielki w podstawie czaszki. Wystarczy kilka sekund, aby „klinowanie” miało fatalne skutki. Zorientowawszy się w mig, co się dzieje, chwyciłem pacjenta i odwróciłem go głową do dołu; migdałki móżdżku i pień mózgu powróciły do czaszki, a ja miałem poczucie, że wyrwałem nieszczęśnika z paszczy śmierci.

Inna pacjentka z oddziału, niewidoma i sparaliżowana, umierała na rzadkie schorzenie zwane *neuromyelitis optica* albo zespołem Devica. Kiedy dowiedziała się, że mam motocykl i mieszkam w Topanga Canyon, wyraziła bardzo szczególne ostatnie życzenie: abym przewiózł ją na motocyklu po serpentynach drogi wiodącej przez kanion. Pewnej niedzieli zjawiłem się w szpitalu z trzema kolegami ciężarowcami, którzy pomogli mi znieść pacjentkę i bezpiecznie ją umocować na tylnym siedzeniu. Dałem jej zaznać spokojnej przejażdżki po Topanga. Kiedy wróciłem, nastrój w szpitalu był taki, że myślałem, iż z miejsca zostanę wywalony. Wstawili się jednak za mną koledzy — i pacjentka — i skończyło się wszystko na surowym upomnieniu. Byłem swego rodzaju rarogiem — czy ozdobnikiem — na oddziale neurologii jako jedyny stażysta — drugiego stopnia, ale jednak stażysta — który publikował teksty fachowe, więc nie wykluczam, że ocaliło mi to głowę nie tylko w tej, lecz także jeszcze w paru innych sytuacjach.

*

Niekiedy zastanawiam się, dlaczego tak uparcie trzymałem się dźwigania ciężarów. Przypuszczam, że kierowała mną motywacja niespecjalnie oryginalna. Nie byłem pięćdziesięciokilogramowym cherlakiem z ogłoszenia na kurs kulturystyki, byłem natomiast kolesiem nieśmiałym, niepewnym, łatwo ulegającym cudzym wpływom. Ciężary dały mi siłę —

znaczną siłę, nic jednak nie zmieniły w moim charakterze, który pozostał taki, jaki był. A jak w przypadku każdego nadmiaru, także za tę przesadę trzeba było zapłacić. Ćwicząc przysiady, ponad miarę rozwinąłem mięśnie czworogłowe ud, co uczyniło je podatnymi na urazy; a moje wyczyny przysiadowe nie pozostały bez wpływu na to, że w roku 1974 naderwałem ścięgno jednego czworogłowca, a w 1984 drugiego. Kiedy za drugim razem leżałem w szpitalu, smętnie spoglądając na długi gips na mej nodze, odwiedził mnie Dave Sheppard, mocarny Dave, przyjaciel z czasów Muscle Beach. Powoli i z wyraźnym bólem wszedł do mego pokoju. Miał bardzo poważny artretyzm obu bioder i czekała go całkowita ich wymiana. Patrzyliśmy na siebie — dwóch facetów, którzy swe ciała podniszczyli, dźwigając ciężary.

— Ależ byliśmy durniami — powiedział Dave, a ja tylko pokiwałem głową na znak zgody.

Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia, gdy na początku 1961 roku zobaczyłem go w siłowni Central Y. w San Francisco. Na imię miał Mel, po grecku „miód” albo „słodki”. Ledwie je wypowiedział, natychmiast w głowie uruchomił się ciąg słów o tym samym trzonie: *mellify*, *melliferous*, *mellifluous*, *mellivorous* — „posmarować miodem”, „miododajny”, „miodopłynny”, „miodożerny”.

— Piękne imię — powiedziałem. — Ja nazywam się Oliver.

Miał krzepki, atletyczny tułów, potężne bary i uda oraz gładką, mlecznobiałą skórę. Powiedział, że ma dziewiętnaście lat, jest marynarzem — jego okręt USS „Norton Sound” miał bazę w San Francisco — i kiedy tylko mógł, przychodził potrenować w Y. Ja także wtedy ostro trenowałem, szykując się do bicia rekordu w przysiadzie, a nasze sesje czasami zbiegały się.

Kiedy po ćwiczeniach wzięliśmy już prysznic, odwoziłem Mela motocyklem na okręt. Miał miękką, brązową kurtkę ze skóry jeleniej — sam ustrzelił rogacza, jak mi powiedział z dumą, w swej rodzinnej Minnesocie — a ja dałem mu zapasowy kask, który zawsze ze sobą woziłem. Pomyślałem, że stanowilibyśmy niezłą parę. Poczułem leciutki dreszcz, kiedy chwycił mnie mocno w pasie („To mój pierwszy raz na motocyklu” — powiedział).

Przez rok — czas mego stażu w Mount Zion — sporo ze sobą przebywaliśmy. Razem wyskakiwaliśmy na weekend motorem, kempingowaliśmy, pływaliśmy w stawach i jeziorach, niekiedy się siłowaliśmy. Dla mnie było w tym erotyczne napięcie. Czy dla Mela również? Erotyczne było napieranie na siebie ciał, ale nie zawierał się w tym jawny element seksualny i nie sądzę, by jakikolwiek zewnętrzny obserwator widział w naszych zmaganiach coś więcej niż tylko zapasy dwóch młodych mężczyzn. Obaj byliśmy dumni z naszych sześciopaków, z ochotą rywalizowaliśmy w brzuszkach z leżenia, po sto i więcej w jednej serii. Mel siadał na moich nogach i żartobliwie pukał mnie za każdym razem w brzuch, ja to samo robiłem z nim.

Byłem przy tym seksualnie podniecony, przypuszczam, że nie inaczej było z Melem. Rzucał: „Chodź, poprzewracamy się” albo: „Będziemy siadać”, co samo w sobie nie miało nic jawnie seksualnego. Z jednej strony były to ćwiczenia atletyczne, z drugiej zarazem czerpaliśmy inną przyjemność, ale jak na razie nigdy nie posunęliśmy się dalej.

Czułem jego płochliwość, może nie do końca uświadamiany strach przed seksualnym kontaktem z innym mężczyzną, ale wiedziałem też, że darzy mnie wielką sympatią, która, pozwalałem sobie na nadzieję, może pokonać ów strach. W każdym razie musiałem być bardzo ostrożny.

Nasz idylliczny i w pewnym sensie niewinny miesiąc miodowy, przepełniony teraźniejszą przyjemnością i wyzbyty myśli o przyszłości, trwał cały rok, kiedy jednak zbliżało się lato roku 1962, musieliśmy poczynić jakieś plany.

Melowi kończyła się służba w marynarce — poszedł do niej od razu po szkole — a teraz miał nadzieję na to, że przyjmą go do college'u. Ja miałem się udać do Los Angeles, żeby zacząć staż w UCLA, postanowiliśmy więc, że znajdziemy wspólne mieszkanie w kalifornijskim Venice, w pobliżu Venice Beach i Muscle Beach, gdzie obaj moglibyśmy trenować. Pomogłem Melowi wypełnić formularze zgłoszenia do Santa Monica College i kupiłem mu używany motocykl BMW, bliźniaka mojej maszyny. Nie chciał przyjmować ode mnie podarunków czy pieniędzy i postarał się o pracę w fabryce dywanów, niedaleko naszego mieszkania.

Nie było ono wielkie: pokoik i niewielka kuchnia. Spaliśmy na oddzielnych łóżkach, a resztę pomieszczenia wypełniały książki, czasopisma i teksty, które pisałem od lat. Mel miał bardzo niewiele własnych rzeczy.

Poranki były bardzo przyjemne. Z ochotą jedliśmy śniadanie, wypijaliśmy kawę, a potem rozchodziliśmy się: Mel do dywanów, a ja na UCLA. Po pracy spotykaliśmy się w sali treningowej Muscle Beach, a potem szliśmy do plażowej kafejki Sida, gdzie gromadzili się wszyscy ciężarowcy. Raz w tygodniu szliśmy do kina, a parę razy w tygodniu Mel sam wypuszczał się na przejażdżkę motocyklem.

Natomiast problematyczne okazały się wieczory: trudno było mi się skupić, gdy miałem świadomość cielesnej obecności Mela, a także jego męskiego, samczego zapachu, za którym przepadałem. Mel lubił być masowany, układał się więc na łóżku twarzą do materaca i prosił o masaż. Siadałem na nim okrakiem, wylewałem mu na plecy olej, który

stosowaliśmy, żeby utrzymać w dobrym stanie nasze kurtki motocyklowe, a następnie z wolna ugniatałem jego kształtne, potężne mięśnie pleców. Bardzo to lubił, wyraźnie odprężał się i rozluźniał pod dotykiem moich rąk, a ja wręcz uwielbiałem tę czynność, która przywodziła mnie na skraj orgazmu. Ów skraj wystarczał — zawsze można było udawać, że nic szczególnego się nie stało. Ale pewnego razu nie udało mi się zapanować nad sobą i trysnąłem mu nasieniem po plecach. Poczułem, jak cały zesztywniał, po czym bez słowa wstał i poszedł do łazienki.

Przez całą resztę wieczoru nie odezwał się do mnie. Było oczywiste, że posunąłem się za daleko. (Znienacka przypomniały mi się słowa matki oraz że MEL to inicjały mojej matki — Muriel Elsie Landau).

Następnego ranka Mel oznajmił szorstko:

— Muszę się wynieść, znaleźć sobie inne miejsce.

Powiedział mi, że przed kilkoma tygodniami, podczas jednego ze swych wypadów motocyklowych, poznał młodą kobietę — młodą jak młodą, miała już dwoje dzieci — która zachęcała, aby u niej zamieszkał. Wtedy w imię przyjaźni nie zamierzał z tego skorzystać, teraz jednak czuł, że musi się ze mną rozstać, chociaż miał nadzieję, iż mimo wszystko pozostaniemy „dobrymi kumplami”.

Nigdy jej nie widziałem, ale czułem, że zabrała mi Mela. Wspominając Richarda sprzed dziesięciu lat, zastanawiałem się, czy jestem skazany na to, że gustować będę tylko w „normalnych” mężczyznach.

Czułem się bardzo samotny i porzucony, gdy Mel mnie opuścił, i to wtedy w ramach rekompensaty sięgnąłem po narkotyki. Wynająłem stojący na uboczu, u końca nieasfaltowanej drogi domek w Topanga Canyon i podjąłem mocne postanowienie, że odtąd będę mieszkał sam [45].

*

W istocie kontaktowaliśmy się z Melem przez następne piętnaście lat, ale zawsze naszym spotkaniom towarzyszyło jakieś niedopowiedzenie i napięcie — chociaż chyba bardziej odpowiedzialny za to był Mel, który ciągle miał kłopoty ze swoją seksualnością i któremu brakowało cielesnego kontaktu ze mną, gdyż jeśli chodzi o seks z nim, to porzuciłem wszystkie iluzje i wszystkie nadzieje.

Pełne wieloznaczności było też nasze ostatnie spotkanie. Odwiedziłem w roku 1978 San Francisco, a Mel na tę okoliczność przyjechał z Oregonu. W sposób dla niego nietypowy wydawał się podenerwowany i nalegał, abyśmy razem poszli do łaźni. Nigdy dotąd tam nie byłem, a zupełnie mi nie odpowiadały gejowskie łaźnie San Francisco. Kiedy rozebraliśmy się, zobaczyłem, że nieskazitelna dawniej skóra Mela teraz była pokryta brązowymi plamami w tonacji *café au lait*.

— Tak — powiedział, widząc mój wzrok — to nerwiakowłókniakowatość, ma ją także mój brat. Pomyślałem, że powinieneś to zobaczyć.

Objąłem Mela i zapłakałem. Natychmiast przypomniał mi się Richard Selig i jego mięsak limfatyczny. Czyżby mężczyźni, których kochałem, byli skazani na straszliwe choroby? Pożegnaliśmy się, a uścisk ręki na odchodne był dość formalny. Nigdy już więcej nie zobaczyliśmy się ani nie pisaliśmy do siebie.

W trakcie naszego „miesiąca miodowego” marzyłem o tym, że będziemy żyć razem, może nawet do późnej starości. Sam miałem wtedy ledwie dwadzieścia osiem lat. Dzisiaj mam ich osiemdziesiąt, staram się poskładać swoją autobiografię i kiedy myślę teraz o Melu, naszym byciu razem, o tych dawnych lirycznych, niewinnych dniach, zastanawiam się, co się z nim później działo; czy żyje (nerwiakowłókniakowatość, czyli zespół

Recklinghausena, to choroba nieprzewidywalna), a jeśli tak, to czy przeczyta te słowa, a wtedy bardziej przyjaźnie pomyśli o naszych żarliwych młodzieńczych, pogmatwanych duszach.

O ile delikatne odtrącenie ze strony Richarda Seliga („Ze mną jest inaczej, ale bardzo cenię twoją miłość i na swój sposób także cię kocham”) nie sprawiło, bym czuł się odrzucony i załamany, o tyle pełna odrazy reakcja Mela głęboko mnie poruszyła, oznaczała bowiem (tak w każdym razie wtedy to czułem), że muszę porzucić jakiekolwiek nadzieje na prawdziwą miłość. Popchnęło mnie to do badania, jakich satysfakcji mogą mi dostarczyć wywoływane narkotykami fantazje i przyjemności.

W trakcie dwóch lat w San Francisco prowadziłem nieszkodliwe podwójne życie, podczas weekendów zamieniając biały kitel lekarski na skórzaną kurtkę i dosiadając motocykla, teraz jednak wkraczałem w sferę bardziej mrocznej i niebezpiecznej dwulicowości. Od poniedziałku do piątku bez reszty oddawałem się swoim pacjentom w UCLA, ale w te weekendy, gdy motocykl odstawiałem na bok, wypuszczałem się w podróże wirtualne, których wehikułem były konopie, nasiona powoju czy LSD. Tego sekretu z nikim nie dzieliłem, nikomu o nim nie wspominałem.

Pewnego dnia jeden z przyjaciół zaoferował mi „specjalnego” jointa, chociaż nie tłumaczył, co w nim jest takiego specjalnego. Wziąłem nerwowego sztacha, potem drugiego, a dalej wręcz łapczywie wypaliłem resztę, łapczywość zaś wzięła się stąd, że efekt był tak intensywnie rozkoszny, niemal orgazmiczny, jak nigdy się to nie zdarzało przy konopiach. Kiedy spytałem, co było w tym joincie, usłyszałem, że amfetamina.

Nie wiem, w jakim stopniu skłonność do uzależnienia jest uwarunkowana genetycznie, a w jakim zależy od okoliczności i stanu

umysłu, wiem natomiast, że od tamtego wieczoru na następne cztery lata uzależniłem się od nasyconych amfetaminą papierosów. W uniesieniu amfetaminowym nie było miejsca na sen czy jedzenie, wszystko bowiem musiało się podporządkować stymulowaniu mózgowych centrów przyjemności.

To właśnie wtedy, kiedy zmagałem się z uzależnieniem od amfetaminy — od „doprawionej" marihuany szybko przeszedłem do przyjmowanej doustnie lub dożylnie metamfetaminy — przeczytałem o przeprowadzanych przez Jamesa Oldsa eksperymentach ze szczurami, którym wprowadzano elektrody do mózgowych centrów nagrody (jądra półleżącego i innych głębokich struktur podkorowych), a które naciskając dźwignię, mogły stymulować te obszary. Robiły to z taką intensywnością i usilnością, że zdychały z wyczerpania. Kiedy już wszedłem na ścieżkę amfetaminy, czułem się jak jeden ze szczurów Oldsa. Dawki stale rosły, a puls i ciśnienie krwi sięgały skrajnych wartości. Był to stan ciągłego nienasycenia, nigdy nie miałem dość. Ekstaza amfetaminowa była bezmyślna i zupełna — poza tym nie potrzebowałem niczego ani nikogo, aby „dopełnić" przyjemności — jej kompletność była kompletnością ekstatycznej pustki. W niej rozpływały się wszystkie inne motywy, cele, zainteresowania, pragnienia.

Niewiele zastanawiałem się nad tym, jak to wpływa na moje ciało i najpewniej mózg. Z Muscle Beach i Venice Beach znałem sporo ludzi, którzy zmarli po przedawkowaniu amfetaminy, sam miałem dużo szczęścia, że nie dostałem ataku serca czy wylewu. Igrałem ze śmiercią, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy.

W pracy zjawiałem się w poniedziałek rano — roztrzęsiony i chorobliwie wręcz pragnący snu — ale nie sądzę, żeby ktokolwiek przypuszczał, iż w trakcie weekendu odbywałem podróże międzygwiezdne czy też byłem sprowadzony na poziom pobudzanego elektrycznie szczura. Kiedy pytano,

co robiłem podczas weekendu, odpowiadałem, że „wyjeżdżałem”, ale nikt chyba się nie domyślał charakteru tych wojaży.

*

W tym momencie miałem już kilka artykułów wydrukowanych w czasopismach neurologicznych, ale chciałem czegoś więcej: wystąpienia na zbliżającej się dorocznej konferencji Amerykańskiej Akademii Neurologii (AAN).

Korzystając z pomocy znakomitego fotografa oddziałowego, Toma Dolana — przyjaciela, który podobnie jak ja pasjonował się biologią morską i bezkręgowcami — od fotografii zachodnich pejzaży zwróciłem się do wewnętrznych krajobrazów neuropatologii. Robiliśmy, co tylko było w naszej mocy, aby jak najlepiej przedstawić mikroskopijny wygląd obrzękniętych aksonów przy chorobie Hallervordena-Spatza, niedostatku witaminy E u szczurów oraz faszerowaniu myszy IDPN. Sporządziliśmy wielkie klisze i zbudowaliśmy specjalną kabinę projekcyjną, aby iluminować je od tyłu, a zdjęciom towarzyszyły nasze komentarze. Całe miesiące zabrało montowanie tego wszystkiego, pakowanie i ostatecznie zainstalowanie na wiosennej konferencji AAN w Cleveland. Nasz pokaz zgodnie z moimi oczekiwaniami okazał się prawdziwym hitem. Ja, zazwyczaj wstydliwy i stropiony, teraz z zapałem ściągałem ludzi na naszą ekspozycję, rozpływając się nad pięknem zdjęć oraz pasjonującym aspektem tego, że nasze trzy dystrofie aksjonalne, tak odmienne na poziomie klinicznym i topograficznym, okazywały się tak podobne na poziomie pojedynczych aksonów i komórek.

Pokaz ten był sposobem na przedstawienie siebie amerykańskiej wspólnocie neurologów, powiedzenie: „Hej, to ja, spójrzcie, co robię”,

podobnie jak cztery lata wcześniej mój rekord Kalifornii w przysiadzie z ciężarem był sposobem na zaprezentowanie się wspólnocie ciężarowców z Muscle Beach.

Kiedy w czerwcu 1965 roku mój staż zbliżał się do końca, nawiedzał mnie strach, że mogę zostać bez pracy, tymczasem prezentacja przypadków dystrofii aksjonalnej zaowocowała propozycjami z całych Stanów, włącznie z dwiema szczególnie cennymi z Nowego Jorku: jedna od Cowena i Olmsteada na Uniwersytecie Columbia, a druga od Roberta Terry'ego, wybitnego neuropatologa zatrudnionego w Albert Einstein College of Medicine. Zafascynowały mnie pionierskie prace Terry'ego, kiedy w roku 1964 odwiedził UCLA, aby zademonstrować swoje najnowsze mikroskopowe ustalenie w związku z chorobą Alzheimera, gdyż w tym czasie ogromnie interesowały mnie choroby degeneracyjne układu nerwowego, czy to występujące w młodości — jak w przypadku choroby Hallervordena-Spatza — czy na starość — jak w przypadku choroby Alzheimera.

Mógłbym zapewne zostać na UCLA i mieszkać w swym domu w Topanga Canyon, czułem jednak, że potrzebny jest mi ruch, a zwłaszcza przenosiny do Nowego Jorku. Miałem wrażenie, że za bardzo upodobałem sobie Kalifornię, pogrążyłem się w łatwym, ospałym życiu, by już nie wspominać o rosnącym uzależnieniu od narkotyków. Potrzebowałem jakiegoś nowego, stabilnego miejsca, w którym mógłbym się pogrążyć w pracy, a może nawet odkryć czy stworzyć swoją prawdziwą tożsamość, mój własny głos. Poza zainteresowaniem dystrofią aksjonalną — w czym specjalizowali się Cowen i Olmstead — chciałem robić coś jeszcze, w jakiś nowy, ścisły sposób połączyć neuropatologię z neurochemią. Einstein był zupełnie nowym college'em, który sponsorował interdyscyplinarne badania

w tych dziedzinach — splecionych dzięki geniuszowi Saula Koreya — dlatego też ostatecznie przyjąłem tę propozycję [46].

*

Podczas trzech lat w UCLA pracowałem ciężko, ostro grałem i nie brałem żadnych urlopów. To prawda, że co jakiś czas udawałem się do szefa, groźnego, chociaż uprzejmego Augustusa Rose'a, z prośbą o kilka dni wolnego, ale on zawsze odpowiadał: „Dla ciebie, Sacks, każdy dzień jest wolny", a ja ulegałem i wracałem na tory starej rutyny.

Tak czy owak dalej podczas weekendów robiłem wypady motocyklowe, często jeżdżąc do Doliny Śmierci, niekiedy do Anza-Borrego, gdyż kochałem pustynię. Zdarzało się, że jechałem do Baja California, aby poczuć dotyk zupełnie innej kultury, aczkolwiek droga, zwłaszcza za Ensenadą, była bardzo wyboista. Zanim z UCLA przeniosłem się do Nowego Jorku, pokonałem na motocyklu ponad sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów. Około roku 1965 na drogach, szczególnie na wschodzie, robiło się coraz tłoczniej i nigdy już później nie miałem takiej przyjemności z jazdy motorem, mknięcia po drodze, takiego poczucia wolności i radości jak wtedy w Kalifornii.

Zastanawiam się czasami nad tym, dlaczego aż pięćdziesiąt lat spędziłem w Nowym Jorku, kiedy prawdziwą satysfakcję czerpałem z pobytu na zachodzie, a zwłaszcza na południowym zachodzie USA. Dzisiaj z Nowym Jorkiem wiążą mnie liczne nici — pacjenci, studenci, przyjaciele, psychoanalityk — ale nigdy nie pociągał mnie tak jak Kalifornia. Podejrzewam, że moja nostalgia wiąże się nie tylko z miejscem, lecz także z młodością i z bardzo odmiennymi czasami, kiedy czułem miłość i mogłem powiedzieć: „Przyszłość mam dopiero przed sobą".

[34] Jeśli tylko jedzenie było pod ręką, ojciec jadł bez ustanku, ale jeśli nie było, przez cały dzień potrafił nie włożyć niczego do ust — i ze mną jest podobnie. Ponieważ nie mam wewnętrznych hamulców, muszę zadbać o zewnętrzne. Ustaliłem sobie pory posiłków i bardzo nie lubię odstępować od tych reguł.

[35] Urodził się w 1929 roku w Pabianicach. Był kapitanem drużyny brytyjskich ciężarowców także na igrzyskach w Rzymie w 1960 roku — przyp. tłum.

[36] Osiągnięcia Helfgotta są tym bardziej godne uwagi, że przeżył obozy koncentracyjne w Buchenwaldzie i Theresienstadt.

[37] W 1952 roku w Helsinkach — przyp. tłum.

[38] Niestety, złamała biodro w bardzo niefortunnym miejscu, gdyż utrudniony został dopływ krwi do główki kości udowej, w efekcie czego rozwinęło się niedokrwienne upośledzenie nerwów obwodowych powodujące silny, ustawiczny ból. Matka ze stoickim samozaparciem dalej przyjmowała pacjentów i z niczego w swoim życiu nie rezygnowała, ból jednak tak ją postarzył, że kiedy znowu przyjechałem do Londynu w 1965 roku, po trzech latach wydawała się starsza o dekadę.

[39] Nie był to, oczywiście, czysty przypadek. Artykuł opublikowany w roku 1963 opisywał, jak niedostatek witaminy E u szczurów powoduje zmiany w ich aksonach, a z kolei artykuł o rok późniejszy informował o podobnych zmianach u myszy, którym podano IDPN (iminodipropionitrile). Wyniki te trzeba było powtórzyć w innych laboratoriach — i to właśnie robili moi koledzy z UCLA.

[40] IDPN i inne pokrewne związki powodują niezwykłe pobudzenie i nadaktywność nie tylko u ssaków, lecz także u ryb, świerszczy, a nawet pierwotniaków.

[41] W 1956 roku; ponadto startował na trzech kolejnych olimpiadach, zajmując miejsce ósme w roku 1960, szóste w 1964, a w roku 1968 nie zakwalifikował się do finału — przyp. tłum.

[42] O. Sacks, *Halucynacje*, tłum. J. Łoziński, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2014, s. 134–136.

[43] Nosiłem się z nadzieją, że być może uda się pośmiertnie wydać jakieś matematyczne prace Jima, wzorem *The Foundations of Mathematics* F.P. Ramseya (które opublikowano po jego śmierci w wieku dwudziestu sześciu lat). Okazało się jednak, że Jim należał do osób zafascynowanych przede wszystkim rozwiązaniem problemu, dlatego też równanie, formułę czy diagram logiczny pisał na odwrocie koperty, którą potem gdzieś wyrzucał.

[44] Tamten wypadek powinien był mnie nauczyć ostrożności w morskich kąpielach oraz tego, że szczególnie groźne są bardzo wysokie fale, które potrafią się pojawić nie wiadomo skąd nawet przy zupełnie spokojnej powierzchni wody. Miałem potem jeszcze dwa

podobne wypadki. Pierwszy wydarzył się na Westhampton Beach na Long Island. Tutaj fala naderwała znacznie moje ścięgna mięśni podkolanowych po lewej stronie i znowu musiał ratować mnie znajomy — mój stary przyjaciel, Bob Wasserman. Drugi miał miejsce na kostarykańskim wybrzeżu Pacyfiku, kiedy to beztrosko płynąłem sobie na plecach.

Teraz zdecydowanie boję się fal i najbardziej lubię pływać w jeziorach albo rzekach o spokojnym nurcie, aczkolwiek nadal uwielbiam nurkowanie i płetwonurkowanie, którego nauczyłem się w roku 1956 na spokojnych wodach Morza Czerwonego.

45 Kilka lat później Topanga Canyon miał się stać mekką muzyków, malarzy i najróżniejszych hippisów, ale na początku lat sześćdziesiątych był słabo zamieszkany i bardzo spokojny. Domki na końcu piaszczystych dróżek — takie jak mój — były porozrzucane daleko od siebie, a pitną wodę, dowożoną cysternami o pojemności pięciu tysięcy litrów, musiałem przechowywać w kadziach.

46 Korey, człowiek niesłychanie dalekowzroczny, przewidywał powstanie zunifikowanej neurobiologii na długo przed tym, zanim w ogóle powstał ten termin. Nigdy go nie poznałem, gdyż w młodym wieku tragicznie zginął w roku 1963, ale to jego dziedzictwem jest bliska współpraca wszystkich „neurolaboratoriów” w Einstein (jak i wszystkich klinicznych oddziałów neurologicznych).

Poza zasięgiem

We wrześniu 1965 roku przeniosłem się do Nowego Jorku, aby realizować program badawczy z neurochemii i neuropatologii w Albert Einstein College of Medicine. Nie pożegnałem się z nadzieją na to, że zostanę prawdziwym, szanowanym naukowcem, chociaż moje badania w Oksfordzie skończyły się niefortunnie i powinny być przestrogą przed dalszymi próbami. Powinny, ale nie były.

Kiedy przybyłem do Nowego Jorku, pełen pasji Robert Terry, którego znakomite mikroskopowe badania nad chorobą Alzheimera tak mnie poruszyły, gdy przedstawiał ich wyniki na UCLA, był na urlopie naukowym i w jego zastępstwie oddziałem neuropatologii kierował Ivan Herzog, miły emigrant węgierski o spokojnym charakterze, który swoim błądzącym kolegom okazywał niezwykłą tolerancję i cierpliwość.

W roku 1966 przyjmowałem już bardzo duże dawki amfetaminy i uległem... psychozie? manii? nadpobudliwości? straciłem wszelkie hamulce? Nie wiem doprawy, którego z tych określeń użyć, wiem natomiast, że stanowi, w którym się wtedy znajdowałem, towarzyszyła ogromna wrażliwość węchowa, a także wielkie rozhasanie umiarkowanych zazwyczaj możliwości wyobraźni i pamięci.

W każdy wtorek mieliśmy odpytywankę, podczas której Ivan kazał nam na podstawie mikrofotografii rozpoznawać niezwykłe przypadki neuropatologiczne. Byłem w tym zwykle bardzo słaby, aż pewnego wtorku Ivan zaprezentował kilka zdjęć, mówiąc:

— To bardzo rzadka sytuacja, nie sądzę, byście dali sobie radę.

Kiedy krzyknąłem:

— *Microglioma!* — wszyscy spojrzeli na mnie zdumieni, gdyż najczęściej w ogóle się nie odzywałem, ja natomiast ciągnąłem: — Tak, w światowej literaturze opisana tylko sześć razy.

I podałem szczegóły, a Ivan przypatrywał mi się, chichocząc.

— Skąd to wiesz? — spytał.

— Po prostu o tym czytałem — odrzekłem, chociaż byłem nie mniej zdumiony niż on, gdyż nie miałem najmniejszego pojęcia jak — i kiedy — mogłem tak gładko i nieświadomie przyswoić sobie tę wiedzę. Był to przykład owego pobudzenia amfetaminowego.

*

Podczas stażu w UCLA bardzo interesowałem się rzadką, często dziedziczną chorobą: lipidozą, która polega na gromadzeniu się w komórkach mózgowych nadmiernych ilości tłuszczu. Bardzo podnieciło mnie odkrycie, że owe lipidy mogą się również gromadzić w komórkach nerwowych ścian jelitowych. Dałoby się więc może zdiagnozować takie choroby, zanim jeszcze pojawią się jakiekolwiek symptomy, robiąc biopsję nie mózgu, lecz odbytnicy, co jest procedurą o wiele mniej traumatyczną. (Pierwszą taką wzmiankę znalazłem w „British Journal of Surgery”). Do takiej diagnozy zupełnie wystarczyłby jeden otłuszczony neuron. Zastanawiałem się, czy także inne choroby — na przykład choroba Alzheimera — mogą powodować zmiany w neuronach jelitowych i być dzięki temu wcześnie zdiagnozowane. Opracowałem, a potem zastosowałem technikę „oczyszczenia” ścianki odbytnicy tak, że stawała się niemal przezroczysta, a na tym tle wyraźnie odcinały się zabarwione błękitem metylenowym komórki nerwowe, co pod niewielkim

powiększeniem pozwalało śledzić dziesiątki neuronów i zwiększało możliwość wykrycia nieprawidłowości. Przekonywałem siebie i mojego szefa, Ivana, że obserwując slajdy, moglibyśmy w komórkach nerwowych odbytnicy wykrywać sploty nerwowe lub ciała Lewy'ego, które wydawały się swoiste dla chorób Alzheimera czy Parkinsona. Bardzo wiele spodziewałem się po naszych odkryciach, które stanowiłyby prawdziwy przełom w technikach diagnostycznych. W roku 1967 zaprezentowaliśmy konspekt referatu, który chcieliśmy przedstawić na najbliższej konferencji American Academy of Neurology.

Teraz jednak wszystko zaczęło się komplikować. Potrzeba nam było więcej biopsji odbytniczych, a tymczasem nie mogliśmy ich uzyskać.

Nie będąc w stanie kontynuować swoich badań, stanęliśmy przed problemem, czy wycofać zgłoszony już konspekt. Zdecydowaliśmy się tak nie robić, w nadziei, że jeśli ktoś je podejmie, przyszłość rozstrzygnie o ich użyteczności. Tak też się stało: „odkrycie", które miało upamiętnić moje nazwisko w dziejach neuropatologii, okazało się artefaktem.

*

Mieszkałem w Greenwich Village i jeśli tylko nie było głębokiego śniegu, do pracy w Bronxie jechałem motocyklem. Nie miałem sakw motocyklowych, ale solidny bagażnik z tyłu pozwalał przymocować wszystko, co potrzebne, elastycznymi taśmami.

Mój projekt neurochemiczny polegał na wydzieleniu mieliny — substancji tłuszczowej, która osłania długie włókna nerwowe, pozwalając na szybsze przewodzenie przez nie impulsów nerwowych. Wśród licznych, otwartych wówczas pytań było i takie: czy wyekstrahowana mielina bezkręgowców różni się co do struktury i składu od mieliny kręgowców?

Na zwierzęta eksperymentalne wybrałem dżdżownice. Zawsze czułem do nich sympatię, gdyż mają wielkie, szybko przewodzące włókna nerwowe z otoczkami mielinowymi, w efekcie czego w momencie zagrożenia potrafią gwałtownie skracać swoje człony, wykonywać raptowne, znaczne poruszenia. (To właśnie z tego powodu dekadę wcześniej zdecydowałem się na dżdżownicach śledzić niszczące mielinę efekty TOCP).

W ogrodzie college'u dokonałem prawdziwej hekatomby dżdżownic, gdyż potrzebowałem ich tysięcy, aby otrzymać liczącą się ilość mieliny. Czułem się jak Maria Curie, która potrzebowała ton uranitu do tego, aby otrzymać decygram czystego radu. Stałem się specjalistą w wykrawaniu jednym szybkim cięciem pnia nerwowego i zwojów mózgowych, a potem rozgniatania ich w gęstą, bogatą w mielinę zawiesinę, którą trzeba było następnie poddać frakcjonowaniu i odwirowywaniu.

Prowadziłem staranne zapiski w swoim dużym, zielonym notatniku, który czasami zabierałem do domu, aby wieczorem pozastanawiać się nad problemami. Okazało się to fatalnym pomysłem, gdyż pewnego ranka, spiesząc się do pracy — po tym, jak zaspałem — zapomniałem odpowiednio zabezpieczyć na bagażniku swój bezcenny, zawierający efekty dziewięciomiesięcznej pracy notatnik. Byłem właśnie na Cross Bronx Expressway, gdy w pewnym momencie wysunął się spod zbyt luźnej opaski i sfrunął z motocykla. Zjechawszy na bok, widziałem, jak stronica po stronicy jest rozrywany przez mknące pojazdy. Raz czy dwa chciałem skoczyć mu na ratunek, ale przy tej intensywności i szybkości ruchu byłaby to próba szaleńcza. Pozostało mi tylko przypatrywać się bezradnie, jak zeszyt zostaje unicestwiony.

W laboratorium pocieszałem się myślą, że pozostała mi przecież mielina: analizując ją pod mikroskopem elektronowym, mogę odtworzyć przynajmniej niektóre z utraconych danych. W trakcie następnych tygodni

udało mi się wykonać kawał dobrej roboty i poczułem wracający, pomimo paru niefortunnych wypadków, optymizm, kiedy w laboratorium przy immersji olejowej nieopatrznie tak dokręciłem obiektyw, że zniszczyłem kilka niepowtarzalnych próbek.

Co gorsza, zwłaszcza z punktu widzenia mego szefa, udawało mi się okruchy hamburgera umieścić nie tylko na stole laboratoryjnym, lecz także w centryfudze, której używałem do odwirowania próbek mielinowych.

Następnie otrzymałem cios ostateczny: straciłem mielinę. Znikła bez śladu — nie mogę wykluczyć, że omyłkowo wyrzuciłem ją do śmieci — i efekt dziesięciomiesięcznych ekstrakcji został utracony, jeśli nie liczyć kilku żałosnych próbek.

Zwołano zebranie: nikt nie kwestionował moich talentów, ale nikt też nie zamierzał tuszować moich wad. W sposób taktowny, ale stanowczy szefowie powiedzieli: „Sacks, stanowisz zagrożenie dla laboratorium. Lepiej idź i zajmij się pacjentami, bo wtedy szkody będą mniejsze”. Taki był niesławny początek mojej kariery klinicznej [47].

Anielski pył — cóż za urocza, kusząca nazwa. Zwodnicza także, gdyż efekty „pyłu” mogą być dalekie od uroczych. Ponieważ w latach sześćdziesiątych bardzo ostro ćpałem, byłem gotów przyjąć niemal wszystko, a jeden z mych przyjaciół, znając moją nienasyconą, niebezpieczną ciekawość, zaprosił mnie na „imprezę” z anielskim pyłem na strychu w East Village.

Spóźniłem się odrobinę, więc kiedy dotarłem, impreza była już w toku, gdy zaś otworzyłem drzwi, zobaczyłem widok tak nierealny i dziwaczny, że w zestawieniu z nim herbatka u Szalonego Kapelusznika była esencją roztropności i stosowności. Kilkanaście osób, niektóre z wybałuszonymi oczyma, miało twarze pokryte purpurowymi rumieńcami, parę się

zataczało. Jakiś facet z przenikliwym wrzaskiem skakał po meblach; nie wykluczam, że uważał się za szympansa. Inny iskał swą sąsiadkę, zdejmując jej z ramion wyimaginowane insekty. Kolejny załatwił się na podłogę i grzebał w odchodach, wskazującym palcem kreśląc w nich wzory. Dwoje gości trwało w katatonicznym bezruchu, ktoś wykrzywiał się i coś paplał, a to, co płynęło z jego ust, przypominało schizofreniczną „sałatę słowną". Natychmiast zadzwoniłem na pogotowie i wszyscy imprezowicze zostali zabrani do Bellevue; niektórzy na kilka tygodni pozostali w szpitalu. Byłem ogromnie rad, że się spóźniłem, i w efekcie sam nie spróbowałem anielskiego pyłu.

*

Gdy później jako neurolog pracowałem w Bronx State Hospital, widziałem wiele osób, które anielski pył (fencyklidyna, PCP) wprowadził w stany podobne do schizofrenicznych, a trwające niekiedy miesiącami. Niektórzy mieli też napady padaczkowe, a u licznych jeszcze po roku od przyjęcia anielskiego pyłu obserwowałem bardzo odbiegające od normy encefalogramy. Jeden z moich pacjentów zamordował swoją dziewczynę, gdy oboje byli pod wpływem PCP, ale zupełnie nie pamiętał swojego czynu. (Całą tę zawiłą i tragiczną historię, a także jej nie mniej zawiłe i tragiczne następstwa opisałem lata później w *Mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*[48]).

W latach pięćdziesiątych XX wieku PCP wprowadzono do użytku medycznego jako środek znieczulający, ale około roku 1965 zrezygnowano z niego z powodu koszmarnych skutków ubocznych. Większość halucynogenów działa przede wszystkim na serotoninę, jeden z wielu neuroprzekaźników mózgowych, tymczasem PCP, podobnie jak ketamina,

upośledza przewodnictwo zależne od glutaminy i jest o wiele groźniejsza od innych halucynogenów, a ma także bardziej długotrwałe efekty. Wiadomo, że w mózgach szczurów może powodować uszkodzenia strukturalne, ale także zmiany chemiczne [49].

Lato roku 1965 było dla mnie szczególnie trudne i niebezpieczne, gdyż miałem przed sobą trzy nieuporządkowane miesiące między skończeniem w UCLA a rozpoczęciem u Einsteina.

Sprzedałem mój niezawodny model BMW R60 i na kilka tygodni pojechałem do Europy, gdzie w fabryce BMW w Monachium kupiłem nowy, skromniejszy model R50. Najpierw pojechałem na nim do Gunzenhausen, niewielkiej wioski pod Monachium, żeby zobaczyć groby mych przodków, którzy nazywali się Gunzenhausen, a niektórzy z nich bywali rabinami.

Później udałem się do mego od dawna ulubionego miasta na kontynencie, Amsterdamu, gdzie przed dziesięcioma laty straciłem dziewictwo i zostałem wprowadzony w gejowskie życie. Spotkałem się z niektórymi dawnymi znajomymi, a na jednej z kolacyjek poznałem młodego niemieckiego reżysera teatralnego, Karla. Elegancko ubrany i elokwentny, z pasją i kompetentnie mówił o Bertolcie Brechcie, którego liczne sztuki wystawiał. Wydał mi się uroczy i interesujący, ale niezbyt atrakcyjny w sensie seksualnym i wracając do Londynu, w ogóle o nim nie myślałem.

Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy kilka tygodni później otrzymałem od niego pocztówkę z propozycją, abyśmy się spotkali w Paryżu. (Matka zobaczyła kartkę i zapytała o nadawcę; aby uprzedzić jej podejrzenia, odparłem: „Od dawnego przyjaciela” i na tym poprzestaliśmy).

Bardzo mnie to zaproszenie zaintrygowało. Udałem się do Paryża szosą i promem, zabierając na niego mój nowy motocykl. Karl znalazł wygodny pokój hotelowy z wielkim podwójnym łożem. Długi weekend paryski poświęciliśmy na zwiedzanie miasta i uprawianie seksu. Wziąłem ze sobą woreczek z amfetaminą i przed pójściem do łóżka połknąłem około dwudziestu tabletek. Rozgrzany podnieceniem i pożądaniem, których nie czułem przed amfetaminą, byłem tak bardzo namiętny, że zdumiony moim nienasyceniem Karl spytał, co we mnie wstąpiło. „Amfetamina” — odparłem i pokazałem mu pudełeczko. Zaciekawiony wziął jedną pigułkę, spodobało mu się, więc sięgnął po następną, następną i następną, aż wreszcie podobnie jak ja stał się tak nabuzowany, jakby się znalazł w orgazmatronie Woody’ego Allena[50]. Po nie wiem ilu godzinach dokazywania rozłączyliśmy się, chwilę odpoczęliśmy i znowu wzięliśmy się do dzieła.

To, że mogliśmy się tarzać jak dwa zwierzaki w rui, nie było może specjalnie zaskakujące, jeśli zważyć na okoliczności i amfetaminę, nie oczekiwałem natomiast, że w efekcie tego doświadczenia zakochamy się w sobie.

Wróciwszy w październiku do Nowego Jorku, zacząłem pisać do Karla namiętne listy miłosne, a odpowiedzi były nie mniej gorące. Idealizując jeden drugiego, snuliśmy plany długiego, pełnego miłości, twórczego życia razem — Karl spełni się jako artysta teatralny, ja jako naukowiec.

Potem jednak uczucie zaczęło słabnąć. Obaj zaczynaliśmy zadawać sobie pytanie, czy to nasze wspólne doświadczenie było rzeczywiste, autentyczne, jeśli zważyć na to, jak potężnym afrodyzjakiem potrafi być amfetamina. Czułem się wręcz upokorzony samym tym podejrzeniem: czy coś równie wzniosłego jak miłość można sprowadzić do czystej fizjologii?

W listopadzie miotaliśmy się między wątpliwością a afirmacją, z jednej skrajności popadając w drugą. W grudniu było już po miłości: nie żałując dziwnego szału, który nas ogarnął, ani nie wypierając się go, straciliśmy zapał do dalszej korespondencji. W ostatnim liście do niego odnotowałem: „Pamiętam dziką, intensywną, irracjonalną radość... która całkowicie się rozpłynęła”.

Trzy lata później Karl napisał mi, że zamieszka w Nowym Jorku. Bardzo byłem ciekaw, jak będzie wyglądać nasze ponowne spotkanie teraz, kiedy przestałem brać narkotyki.

Miał małe mieszkanie przy Christopher Street, nieopodal rzeki; kiedy do niego wszedłem, poczułem dziwny zapach gęstego od dymu powietrza. Karl, tak kiedyś elegancki, był nieogolony, zapuszczony, nieświeży. Na podłodze leżał brudny materac, na półce nad nim walały się puste opakowania po pastylkach. Nigdzie nie widziałem książek, świadectwa jego dawnych pasji literackich i teatralnych. Miałem wrażenie, że przestał się interesować kwestiami intelektualnymi i kulturalnymi. Został dealerem, rozmawiać chciał tylko o narkotykach i o tym, jak LSD zbawi świat, oczy miał zamglone i pełne fanatycznego błysku. Byłem tym wszystkim zaskoczony i wstrząśnięty. Co się stało z tym subtelnym, utalentowanym erudytą, którego poznałem trzy lata wcześniej?

Czułem się przerażony, ale po części także winny. Czy to nie ja wprowadziłem go w narkotyki? Czy nie byłem w jakiejś mierze odpowiedzialny za upadek tak wspaniałego niegdyś człowieka? Nigdy już więcej go nie zobaczyłem. W latach osiemdziesiątych usłyszałem, że chory na AIDS wrócił do Niemiec, aby tam umrzeć.

Podczas gdy ja ciągle jeszcze odbywałem staż w UCLA, Carol Burnett, moja przyjaciółka z Mount Zion, wróciła do Nowego Jorku na staż

pediatryczny drugiego stopnia. Po moich przenosinach do Nowego Jorku znowu nawiązaliśmy przyjacielskie kontakty. W niedzielne poranki często spotykaliśmy się w Barney Greengrass („Królu Jesiotra”) na brunchu z wędzonej ryby. Carol, wychowana na Upper West Side, od dawna chodziła do Barney Greengrass, gdzie nauczyła się płynnie mówić w potocznym jidysz, przysłuchując się rozmowom w sklepie i restauracji.

W listopadzie 1965 roku codziennie brałem duże dawki amfetaminy, a ponieważ nie mogłem po nich zasnąć, faszerowałem się każdej nocy sporymi porcjami leku o działaniu uspokajająco-nasennym, jakim jest wodzian chloralu. Pewnego dnia w kawiarni doznałem nieprawdopodobnych halucynacji, które pojawiły się znienacka, a które tak opisałem w *Halucynacjach*:

> Kiedy mieszałem w filiżance, jej zawartość nagle zrobiła się zielona, a potem purpurowa. Zdumiony poderwałem głowę i zobaczyłem, że klient płacący przy kasie ma głowę niczym słoń morski. W panice rzuciłem pięć dolarów na ladę i wybiegłem, żeby po przeciwnej stronie ulicy wsiąść do autobusu. Tu wszyscy pasażerowie mieli głowy białe i gładkie niczym jajka. Skrzyły się na nich wielkie oczy przypominające wielopłaszczyznowe ślepia owadów, poruszające się nie płynnie, lecz raptownymi skokami, co jeszcze bardziej wzmogło moje poczucie strachu i wyobcowania. Wiedziałem, że mam halucynacje albo jakieś dziwaczne zaburzenia wzrokowe, ale nie będąc w stanie powstrzymać tego, co działo się w moim mózgu, musiałem przynajmniej zewnętrznie zapanować nad sobą — i na widok potworów i wytrzeszczonych ślepiów nie wpadać w panikę, nie wrzeszczeć, nie ulegać katatonii[51].

Gdy wysiadłem z autobusu, wszystkie budynki kołysały się, falowały niczym flagi na silnym wietrze. Zadzwoniłem do Carol.

— Carol — powiedziałem, jak tylko podniosła słuchawkę. — To już koniec. Dostałem świra, jestem obłąkany. Zaczęło się rano, a teraz pogarsza

się z każdą chwilą.

— A co wziąłeś, Oliver? — spytała.

— Nic i to mnie najbardziej przeraża.

Carol milczała chwilę, a potem spytała:

— A co właśnie przestałeś brać?

— Jasne! To właśnie to! — zawołałem. — Brałem wielkie ilości wodzianu chloralu, który wczoraj wieczorem mi się skończył.

— Aleś ty durny, Oliver. Zawsze musisz przesadzić — zawyrokowała Carol. — Masz *delirium tremens*.

Carol siedziała przy mnie, pielęgnowała mnie, pomogła znieść cztery dni delirium, gdy fale halucynacji przypływały i odpływały, grożąc tym, że albo mnie zaleją, albo porwą ze sobą, ona zaś na szczęście była jedynym stałym punktem w świecie chaotycznym i potrzaskanym.

Następnym razem zadzwoniłem do niej w panice trzy lata później, kiedy wieczorem bez żadnego powodu poczułem się lekko zamroczony, lekki i osobliwie podniecony. Nie mogłem zasnąć, a na dodatek zaalarmowało mnie to, że na skórze widziałem plamki, które na moich oczach zmieniały barwę. Wynajmowałem wówczas mieszkanie u dzielnej i czarującej starszej damy, która od lat zmagała się ze sklerodermią, bardzo rzadką chorobą, w efekcie której skóra twardnieje i kurczy się, deformując kończyny — co niekiedy nawet prowadzi do ich amputacji. Marie cierpiała na nią od ponad pięćdziesięciu lat; z dumą oznajmiła mi, że profesja medyczna nie zna dłużej żyjącej osoby ze sklerodermią. W środku nocy, kiedy wydało mi się, że skóra zmienia swój charakter, stając się twarda i tłusta, przeszyła mnie myśl: także ja mam sklerodermię, ale w postaci galopującej. Nigdy wcześniej nie słyszałem o czymś takim. Sklerodermię uważa się za jedną z najbardziej „opieszałych” chorób, ale przecież zawsze musi być jakiś pierwszy przypadek czegoś wcześniej nieznanego — nie można więc

wykluczyć, że i ja zaskoczę świat medyczny jako pierwszy na świecie przykład sklerodermii w postaci ostrej.

Zadzwoniłem zatem do Carol, która przybyła mnie obejrzeć, w ręce trzymając czarną torbę. Ledwie mnie zobaczyła — miałem wysoką gorączkę, a na skórze wysypkę — powiedziała:

— Oliver, ty idioto, masz przecież ospę wietrzną. Kontaktowałeś się ostatnio z kimś chorującym na półpaśca?

Odrzekłem, że tak: dokładnie dwa tygodnie temu badałem starego znajomego z Beth Abraham.

— *Experientia docet* — oznajmiła sentencjonalnie. — Teraz już wiesz, ale dzięki sobie, a nie książkom, że półpasiec i ospę wywołuje ten sam wirus.

Błyskotliwa, mądra, uczynna Carol, która walczyła u siebie z cukrzycą, a u innych z przesądami co do zasadności uprawiania medycyny nie tylko przez kobiety i kolorowych — z czasem została dyrektorką Mount Sinai. W tej funkcji niemało przyczyniła się do tego, że lekarki i lekarzy, niezależnie od koloru skóry, zaczęto szanować i traktować tak, jak na to zasługiwali. Nigdy nie zapomniała tamtego epizodu z chirurgami z Mount Zion.

*

W Nowym Jorku ćpałem coraz więcej, po części z powodu historii z Karlem, a po części dlatego, że praca w Einsteinie nie szła mi najlepiej, ale przede wszystkim z racji tego, iż czułem, że nie powinienem był się ubiegać o stypendium badawcze. W grudniu 1965 roku niekiedy przez kilka dni z rzędu nie zjawiałem się w pracy, symulując chorobę. Amfetaminę brałem nieustannie, a jadłem bardzo niewiele, traciłem więc na wadze —

w trzy miesiące ubyło mi prawie trzydzieści pięć kilogramów — i ledwie mogłem znieść widok w lustrze mej wynędzniałej twarzy.

Ostatniego dnia roku, w chwili otrzeźwienia między amfetaminowymi ekstazami, powiedziałem sobie: „Oliver, nie przeżyjesz roku, jeśli ktoś ci nie pomoże. Potrzebna ci szybko zewnętrzna interwencja”. Czułem, że u źródeł mego uzależnienia i autodestrukcji leżą jakieś bardzo głębokie problemy psychiczne i że jeśli nie zajmę się nimi, będę nieustannie powracał do narkotyków i ostatecznie wykończę sam siebie.

Mniej więcej rok wcześniej, jeszcze w Los Angeles, Augusta Bonnard, przyjaciółka rodziny, sama będąca psychoanalityczką, zasugerowała, że powinienem się zwrócić do kogoś o pomoc. Z ociąganiem udałem się do poleconego przez nią psychoanalityka, doktora Seymoura Birda. Gdy spytał: „Co pana do mnie sprowadza, doktorze Sacks?”, odpowiedziałem: „Niech pan się skontaktuje z doktor Bonnard — to ona powiedziała, że powinienem do pana przyjść”.

Byłem nie tylko pełen oporów, lecz także na dodatek najczęściej na haju. Pod wpływem amfetaminy bardzo łatwo być układnym i sympatycznym, wydaje się też, że wszystko postępuje z cudowną szybkością, co z tego jednak, skoro nie pozostają żadne, najmniejsze nawet ślady.

Teraz, na początku roku 1966, było zupełnie inaczej: sam musiałem znaleźć sobie w Nowym Jorku specjalistę, wiedząc, że bez pomocy nie przetrwam. Z początku nader podejrzliwie odnosiłem się do doktora Shengolda, gdyż był bardzo młody. Jakże od kogoś niewiele starszego ode mnie mam oczekiwać doświadczenia życiowego, wiedzy, pewności diagnozy i terapii? Rychło się jednak przekonałem, że była to osoba wyjątkowego formatu i charakteru, ktoś, kto potrafił pokonać moje zasieki obronne, nie dać się zwieść mojej układności, a zarazem czuł, że będę w stanie nie tylko znieść intensywną analizę oraz wyzwalane przez nią silne

i wieloznaczne uczucia związane z psychoanalitycznym przeniesieniem, lecz także z nich skorzystać.

Tyle że Shengold od początku postawił sprawę jasno: gotów jest zająć się mną tylko wtedy, kiedy odstawię narkotyki. Zażywanie ich, powiedział, usuwa mnie poza zasięg sprawczości analizy, dlatego nie będzie mnie przyjmował, dopóki nie przestanę brać. Bird może myślał to samo, ale nie powiedział tego głośno, podczas gdy Shengold za każdym razem stanowczo powtarzał ten wymóg. Byłem przerażony wizją, że znajdę się oto „poza zasięgiem", ale jeszcze bardziej tym, że utracę Shengolda w sytuacji, gdy ciągle bywałem na pół psychotyczny po amfetaminie, której jeszcze nie odstawiłem. Myśląc o Michaelu, mym bracie schizofreniku, spytałem Shengolda, czy także ja mam schizofrenię. „Nie" — odparł. Czy zatem mam „tylko nerwicę"? „Nie" — brzmiała odpowiedź.

Zostawiłem tę kwestię, obaj ją zostawiliśmy i tak trwa zostawiona od czterdziestu dziewięciu lat.

*

Rok 1966 był ponury, gdyż zacząłem się zmagać z narkotykami, próbując je odstawić, ale także i z tego względu, że moje prace badawcze nic nie dawały, a ja uświadamiałem sobie, że najpewniej nic też nie dadzą i że w ogóle nie mam w sobie zadatków na badacza naukowego.

Pomyślałem, że będę szukał satysfakcji w ćpaniu tak długo, jak długo nie znajdę satysfakcjonującej albo przynajmniej twórczej pracy. Bardzo dla mnie istotne było znalezienie czegoś pełnego sensu, a tym stały się kontakty z pacjentami.

Wystarczyło, że w październiku 1966 roku zacząłem pracę kliniczną, a natychmiast poczułem się lepiej. Pacjenci okazali się fascynujący, a ja się

o nich troszczyłem. Wystawiałem na próbę swoje umiejętności kliniczne i terapeutyczne, ale przede wszystkim doświadczałem poczucia autonomii i odpowiedzialności, które były mi odmówione, dopóki pozostawałem stażystą. Teraz mniej ciągnęło mnie do narkotyków, co także poprawiało moje perspektywy, jeśli chodzi o korzystanie z psychoanalizy.

Miałem jeszcze jeden przypływ narkotykowego ciągu w lutym 1967 roku, paradoksalnie jednak i w odróżnieniu od wszystkich wcześniejszych przypadków, tym razem narkotykowy haj miał twórczy aspekt i wyraźnie pokazał, co powinienem zrobić: napisać wartą przeczytania książkę o migrenach, a potem może i następne. Na haju zyskałem nie jakieś niewyraźne poczucie możliwości, lecz bardzo wyraźną wizję przyszłej pracy neurologicznej i utrwalania jej efektów w książkach — i ta wizja już ze mną pozostała.

Nigdy potem nie sięgnąłem po amfetaminę, aczkolwiek niekiedy odczuwałem silną pokusę (umysł osoby uzależnionej od narkotyków czy alkoholu zmienia się na całe życie, a możliwość powrotu do nałogu nigdy nie wygasa). Dzięki temu już nie znalazłem się „poza zasięgiem”, więc i psychoanaliza nie była zagrożona.

Po wielokroć myślałem, że ocaliło mi to życie. W roku 1966 przyjaciele nie sądzili, że dociągnę do trzydziestu pięciu lat, a i ja, mówiąc szczerze, nie bardzo w to wierzyłem. Jednak dzięki psychoanalizie, dobrym przyjaciołom, satysfakcji z pracy klinicznej i pisania, a także — nade wszystko — szczęściu, na przekór wszystkim oczekiwaniom przekroczyłem osiemdziesiątkę.

Już od ponad pięćdziesięciu lat dwa razy w tygodniu widuję doktora Shengolda. Nie odeszliśmy od dawnych formalności, on zawsze jest „doktorem Shengoldem”, ja „doktorem Sacksem”, ale to właśnie one pozwalają na swobodę komunikacji. To samo zresztą czuję w kontaktach

z mymi pacjentami. Mogą mi mówić różne rzeczy, a ja stawiać pytania, które byłyby nie do wyobrażenia w normalnych relacjach towarzyskich. A od doktora Shengolda nauczyłem się, jak uważnie słuchać i dzięki temu docierać do tego, co wymyka się słowom czy nawet świadomości.

Wielką ulgę stanowiło dla mnie to, że we wrześniu 1966 roku wyrwałem się z laboratorium i zacząłem kontaktować się z realnymi osobami, pacjentami kliniki bólów głowy w Bronxie. Zrazu myślałem, że będę się tam zajmował jedynie dolegliwościami głowy, ale rychło stwierdziłem, że sytuacja może być nieporównanie bardziej skomplikowana — szczególnie przy pacjentach z tak zwaną klasyczną migreną, która może powodować nie tylko silne bóle, lecz także bardzo różnorodne symptomy tworzące coś na kształt encyklopedii neurologicznej.

Wielu z nich opowiadało mi, że byli już u internisty, ginekologa, okulisty czy kogo tam jeszcze, ale nie wysłuchano ich z uwagą. To pozwoliło mi poczuć, co jest nie w porządku z amerykańską medycyną — opierała się coraz bardziej na specjalistach, natomiast coraz rzadziej zdarzali się troskliwi lekarze pierwszego kontaktu, tacy jak mój ojciec czy dwaj starsi bracia. Ja wcale nie czułem się jakimś niezwykłym specjalistą od migreny, ale właśnie lekarzem ogólnym, do którego ci ludzie powinni byli trafić w pierwszej kolejności. Moja zawodowa odpowiedzialność, czułem, polega na tym, aby ich wypytać o wszystkie aspekty życia.

Pewien młody mężczyzna skarżył się na „okropne” bóle głowy, które nawiedzały go w każdą niedzielę. Opisywał migotliwe zygzaki, które widział przed atakiem bólu, nietrudno więc było zdiagnozować klasyczną migrenę. Oznajmiłem mu, że mamy na to lekarstwa i jeśli tylko, widząc zygzaki, włoży pod język tabletkę ergotaminy, najpewniej uniknie bolesnego ataku. Tydzień później zadzwonił do mnie bardzo

podekscytowany. Ergotamina podziałała i bóle się nie pojawiły. Na koniec powiedział: „Niech pana Bóg błogosławi, doktorze”, a ja pomyślałem: „No, no, czy medycyna nie jest w końcu prosta?”.

Nie odezwał się podczas następnego weekendu, więc ja zadzwoniłem, żeby spytać, jak się czuje. Odrzekł bezbarwnym głosem, że owszem, tabletka znowu była skuteczna, ale potem zgłosił dziwną pretensję: że się nudzi. Przez ostatnie piętnaście lat każda niedziela wiązała się z migreną, przychodziła rodzina, znajdował się w centrum zainteresowania — i teraz brakowało mu tego wszystkiego.

Tydzień później zadzwoniła do mnie przerażona siostra pacjenta, mówiąc, że podano mu tlen i adrenalinę, gdyż miał ostry atak astmy. W jej głosie wyczułem sugestię, że to ja mogłem być winny, gdyż w jakiś sposób „rozhuśtałem łódkę”. Kiedy później zatelefonowałem do chłopaka, usłyszałem od niego, że w dzieciństwie cierpiał na ataki astmy, które następnie „zastąpiła” migrena, a ja, skupiony na obecnych symptomach, nie rozpytywałem o wcześniejszą historię jego chorób.

— Możemy jakoś zaradzić astmie — zasugerowałem.

— Nie — powiedział. — Wtedy przyplącze się coś innego... Czy to możliwe, że mnie jest jakoś „potrzebna” choroba w niedzielę?

To pytanie kompletnie mnie zaskoczyło, ale odrzekłem:

— Musimy o tym porozmawiać.

Przez następne dwa miesiące dyskutowaliśmy nad jego rzekomą potrzebą, aby w niedzielę być chorym, a w tym czasie migreny stawały się coraz mniej natarczywe, aż wreszcie w jakimś stopniu w ogóle zanikły. Dla mnie była to ważna lekcja tego, że nieświadome motywacje mogą sprzymierzyć się z fizjologicznymi skłonnościami oraz że dolegliwości i jej leczenia nie można odrywać od całego kontekstu życia pacjenta.

Innym pacjentem kliniki bólów głowy był młody matematyk, który również cierpiał na niedzielne migreny. Zaczynał się denerwować w środę, w czwartek było jeszcze gorzej, a w piątek wręcz nie mógł pracować. W sobotę czuł się udręczony, a w niedzielę przychodziła straszliwa migrena, która przemijała po południu. Bywa, że kiedy migrena ustępuje, nękana nią osoba lekko się poci czy wydziela całe litry bladego moczu, zupełnie jakby dochodziło do *katharsis* na poziomie i fizjologicznym, i emocjonalnym. Kiedy mojego pacjenta opuszczały migrena i napięcie, czuł się odświeżony, spokojny i twórczy — i już w niedzielny wieczór, a potem cały poniedziałek i wtorek był w stanie poświęcić się matematyce. Niemniej od środy wszystko znów zaczynało się powtarzać.

Okazało się, że podając mu leki i lecząc go z migreny, leczę go także... z matematyki, rozrywając ów osobliwy tygodniowy cykl choroby i cierpienia, ale potem zdrowia i kreatywności.

Nie było dwóch pacjentów z taką samą migreną, a wszyscy okazywali się niezwykli. Praca z nimi stanowiła moje prawdziwe czeladnictwo medyczne.

*

Szefem kliniki był cieszący się znacznym uznaniem, Arnold P. Friedman. Sporo napisał na temat bólów głowy, a klinikę — pierwszą tego rodzaju — prowadził od ponad dwudziestu lat. Mam wrażenie, że mnie lubił. Uważał mnie za błyskotliwego i chyba widział we mnie swego rodzaju protegowanego. Odnosił się do mnie bardzo przyjaźnie, kierował do mnie więcej pacjentów niż do kogokolwiek innego, odrobinę podwyższył mi pensję, a nawet zapoznał ze swoją córką i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie widzi we mnie ewentualnego zięcia.

I wtedy doszło do straszliwego zdarzenia. Spotykałem się z nim w sobotnie poranki i informowałem o interesujących pacjentach, których miałem w trakcie tygodnia. W pewną sobotę, na początku roku 1967, opowiedziałem o pacjencie, u którego migrenę poprzedzały nie migotliwe zygzaki — co jest najczęstszą sytuacją — lecz bóle brzucha i wymioty. Wspomniałem też o kilku innych pacjentach, którzy od bólów głowy przechodzili do bólów brzucha i odwrotnie, i że dlatego zastanawiałem się, czy może nie należało przywrócić do życia starego terminu wiktoriańskiego „migrena brzuszna”. Ledwie to powiedziałem, Friedman zmienił się nie do poznania. Spurpurowiał i wrzasnął:

— Jak pan śmie mówić o jakiejś migrenie brzusznej?! To jest klinika bólów głowy. Słowo „migrena” pochodzi od *hemicrania*, a to znaczy: ból głowy! Nie pozwalam mówić o migrenie bez bólów głowy!

Zaskoczony, wycofałem się pospiesznie (ale właśnie dlatego na samym początku książki, którą potem napisałem, podkreśliłem, że ból głowy nigdy nie jest jedynym objawem migreny, a cały rozdział drugi *Migreny* w całości poświęciłem przypadkom migreny bez takiego bólu), ale na razie był to tylko mały wybuch. Do większego doszło w lecie 1967 roku.

W *Halucynacjach* opisałem, jak w lutym 1967 roku w swego rodzaju amfetaminowym olśnieniu od deski do deski przeczytałem wydaną w roku 1873 książkę Edwarda Liveinga *On Megrim* i postanowiłem napisać jej odpowiednik z końca lat sześćdziesiątych XX wieku, w którym chciałem wykorzystać także swoje doświadczenia.

W lecie 1967 roku, mając już za sobą rok pracy w klinice bólów głowy, wyjechałem na urlop do Anglii i ku swemu wielkiemu zdumieniu w ciągu kilku tygodni napisałem swoją książkę o migrenie. Stało się to zupełnie nagle, bez żadnych wcześniejszych planów.

Wysłałem Friedmanowi telegram, że sam nie wiem jak, ale jakoś napisała mi się książka, którą pokazałem w brytyjskim wydawnictwie Faber & Faber (wcześniej opublikowali książkę mojej matki), i gotowi są ją wydać [52]. Miałem nadzieję, że mu się spodoba, i że może napisze do niej przedmowę. Tymczasem otrzymałem odpowiedź: „Stop! Zatrzymać wszystko!”.

Kiedy wróciłem do Nowego Jorku, Friedman wcale nie wydawał się przyjazny, był raczej wściekły. Niemal wyrwał mi z rąk rękopis, krzycząc:

— Za kogo pan się uważa, żeby pisać książkę o migrenie? Co za bezczelność!

— Przepraszam — bąknąłem — tak to mi jakoś wyszło.

Powiedział, że przedstawi mój tekst do recenzji jednemu z największych specjalistów w sprawach migreny.

Reakcja ta była dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Kilka dni później zobaczyłem, jak asystent Friedmana robi fotokopie mojego manuskryptu, ale nie przykładałem do tego większej wagi. Po trzech tygodniach Friedman wręczył mi list od recenzenta, z którego wcześniej usunął wszystko, co mogłoby zdradzić jego tożsamość. Nie było w tym liście żadnej rzeczowej, konstruktywnej krytyki, natomiast roiło się w nim od osobistych, niekiedy bardzo zjadliwych uwag na temat stylu, w jakim napisana jest książka, a także jej autora. Kiedy powiedziałem o tym Friedmanowi, ten odpalił: „Przeciwnie, ma całkowitą rację! To książka nic niewarta, same w niej śmieci i nic więcej!”. Następnie oznajmił mi, że w przyszłości nie będę miał dostępu do własnych notatek na temat pacjentów, gdyż wszystko będzie starannie zamknięte. Ostrzegł mnie też, abym nie próbował niczego robić z tą książką, bo inaczej nie tylko mnie wyleje, lecz także zadba o to, żebym nie dostał żadnej neurologicznej posady w Ameryce. W tym czasie

kierował sekcją bólów głowy American Neurological Association i rzeczywiście — bez jego rekomendacji nigdzie by mnie nie zatrudniono.

O groźbach Friedmana powiadomiłem rodziców, licząc na ich wsparcie, tymczasem ojciec odpowiedział w sposób moim zdaniem tchórzliwy: „Z tym człowiekiem lepiej nie zadzieraj, bo może zrujnować ci życie”. Na kilka miesięcy — należących do najgorszych w moim życiu — musiałem więc stłumić swoje uczucia i dalej przyjmowałem pacjentów w klinice, ale w czerwcu 1968 roku uznałem, że dłużej już tego nie zniosę. Umówiłem się z dozorcą, że wpuści mnie wieczorem do kliniki. Zabrałem wszystkie swoje notatki i pomiędzy północą a trzecią nad ranem skopiowałem wszystko, co tylko się dało, a potem oznajmiłem Friedmanowi, że muszę na dłużej wyjechać do Londynu. Natychmiast zareagował na to pytaniem:

— Zamierza pan znowu coś robić z tą swoją książką?

— Nie mogę inaczej — odrzekłem.

— To będzie pański ostatni wyczyn!

Lecąc do Anglii, dosłownie aż trząsłem się z niepokoju, a po tygodniu otrzymałem telegram zwalniający mnie z pracy w klinice. To jeszcze bardziej pogłębiło moje zdenerwowanie, ale potem znienacka nawiedziło mnie zupełnie inne uczucie: „Teraz masz to już nareszcie z głowy i możesz robić, co ci się podoba”.

*

Mogłem więc teraz swobodnie pisać, zarazem jednak miałem poczucie, że nieuchronnie zbliża się wyznaczony mi termin, a ja, niezadowolony już ze swego rękopisu, postanowiłem wszystko napisać od nowa. Był pierwszy września i powiedziałem sobie: „Jeśli do dziesiątego września nie dostarczę Faberowi skończonego rękopisu, palnę sobie w łeb”. I w takim nastroju

przystąpiłem do pisania. Po dniu, może dwóch rozwiało się poczucie zagrożenia, a jego miejsce zajęła radość pisania. Nie zażywałem już narkotyków, niemniej był to czas uniesienia i wielkiej energii. Miałem wrażenie, jakby mi książkę ktoś dyktował, wszystko samo się układało szybko i automatycznie. W nocy spałem kilka godzin i na dzień przed wyznaczonym terminem, dziewiątego września, zaniosłem książkę do Faber & Faber. Biura mieli przy Great Russell Street, tuż obok British Museum, więc po oddaniu rękopisu zaszedłem do niego. Oglądając wystawiane tam dzieła ludzkich rąk — naczynia, rzeźby, narzędzia, a przede wszystkim książki i manuskrypty, które przetrwały swoich twórców — miałem poczucie, że także i ja coś stworzyłem. Może skromnego i niewielkiego, ale z racji własnej realności i egzystencji mogącego trwać, kiedy mnie już nie będzie.

Poczucie, że dokonałem czegoś rzeczywistego i wartościowego, nigdy już potem nie nawiedziło mnie z taką siłą jak przy pierwszej książce, którą pisałem na przekór groźbom Friedmana (i własnym). Wracałem do Nowego Jorku pełen radości, a nawet błogości. Gdyby nie nieśmiałość, krzyczałbym wszem wobec: „Alleluja”. Zamiast tego co wieczór chodziłem na koncerty — opery Mozarta i Fischer-Dieskaua śpiewającego Schuberta — czując, jak rozpiera mnie pasja życia.

W trakcie tych podniecających, ekscytujących sześciu jesiennych tygodni roku 1968 ciągle pisałem w przekonaniu, że mógłbym książkę o migrenie uzupełnić bardziej precyzyjnymi opisami wzorców geometrycznych widzianych w aurze migrenowej, a także pewnymi deliberacjami nad tym, co się wtedy może dziać w mózgu. Przesłałem owe dodatki Williamowi Gooddy’emu, angielskiemu neurologowi, który poprzedził książkę pięknym wstępem, ale odpisał mi: „Nie, zostaw ją taką, jaka jest, gdyż jest dobra. A do tych myśli będziesz jeszcze wielokrotnie powracał w przyszłych

latach”[53]. Rad jestem, że uchronił książkę przed mą wręcz maniakalną w tym czasie niecierpliwością i chęcią mówienia o wszystkim.

Z moim redaktorem ciężko pracowaliśmy nad przygotowaniem do druku ilustracji i bibliografii, aż wszystko było gotowe na wiosnę roku 1969. Kiedy jednak także następny rok minął bez publikacji, czułem rosnącą frustrację i wściekłość. W końcu uznałem, że muszę mieć agenta literackiego, a kiedy Innes Rose, która podjęła się tej funkcji, zaczęła wywierać nacisk na wydawcę, książka ukazała się wreszcie w styczniu 1971 roku (aczkolwiek na karcie tytułowej jako rok wydania podany jest 1970).

Udałem się do Londynu na czas publikacji. Zatrzymałem się, jak zwykle, na Mapesbury numer 37, a w dniu wydania ojciec, trzymając w rękach numer „The Times”, wszedł do mej sypialni blady i roztrzęsiony, aby rzec z trwogą w głosie:

— Jesteś w gazetach...

W numerze istotnie była bardzo miła recenzja, która *Migrenę* nazwała, zdaje się, książką „wyważoną, kompetentną i błyskotliwą”. Dla ojca jednak zupełnie się to nie liczyło: dopuściłem się rzeczy zupełnie niestosownej, jeśli nie przestępstwa, skoro znalazłem się „w gazetach”. W tych czasach w Anglii można było zostać wykreślonym z rejestru lekarzy za popadnięcie w któreś z „czterech A”: *alcoholism*, *addiction* [uzależnienie], *adultery* [cudzołóstwo] i *advertising* [reklamiarstwo], ojciec zaś obawiał się, że recenzja *Migreny* w prasie popularnej może być podciągnięta pod to ostatnie wykroczenie. On sam nigdy „nie rzucał się w oczy” (albo tak przynajmniej o sobie sądził). Znali go (i kochali) pacjenci, znali go rodzina i przyjaciele, ale nie „szeroki świat”. Ja przekroczyłem pewną granicę, co napełniało go niepokojem. Nie będę ukrywał, że i ja w tym czasie miałem podobne uczucia, skoro zdarzało mi się wówczas słowo *publish*

[publikować] czytać jako *punish* [karać]. Miałem wrażenie, że jeśli coś opublikuję, uczynię powszechnym, to zostanę ukarany — a jednak musiałem to zrobić i ten konflikt rozdzierał mnie wewnętrznie.

Dla mojego ojca dobre imię, *szem tow*, szacunek ze strony innych były najważniejsze, znacznie ważniejsze od jakichkolwiek sukcesów w świecie czy zaszczytów. Był bardzo skromny, wręcz przesadnie samokrytyczny. Bagatelizował to, że poza wszystkimi innymi zaletami był znakomitym diagnostykiem i specjaliści często odsyłali do niego najbardziej skomplikowane przypadki, wiedząc, iż ma niezwykłą zdolność wysunięcia zupełnie nieoczekiwanego rozpoznania[54]. Wystarczała mu jednak jego praca i był z niej bardzo zadowolony, gdyż określała jego miejsce w świecie, gwarantowała reputację i dobre imię. Miał też nadzieję, że cokolwiek będą robić jego synowie, dbać będą o dobre imię i nie splamią nazwiska Sacks.

Ojciec, zrazu tak przerażony recenzją w „The Times", stopniowo zaczął się przekonywać do mojego statusu jako autora, kiedy przychylne wzmianki pojawiły się także w prasie medycznej. Ostatecznie „British Medical Journal" i „The Lancet" zostały założone XIX wieku przez lekarzy dla lekarzy. Myślę, iż teraz zaczął uważać, że napisałem dobrą książkę i miałem rację, walcząc o nią, nawet jeśli kosztowało to mnie posadę (a może i możliwość pracy jako neurolog w Ameryce, jeżeli potęga Friedmana była współmierna do jego gróźb).

Matce książka podobała się od samego początku i wtedy po raz pierwszy od wielu lat poczułem, że rodzice są po mojej stronie, gdyż uznali, że ich szalony, zbieszony syn, po latach występków i wariactw, wyszedł w końcu na ludzi i że może ostatecznie coś jednak z niego będzie.

Ojciec, który w swój charakterystyczny, umniejszający jego samego sposób zwykł się przedstawiać jako „mąż znakomitej ginekolog, Elsie

Landau” albo jako „stryj Abby Ebana”, teraz zaczął mówić o sobie: „ojciec Olivera Sacksa” [55].

Myślę, że chyba nie doceniałem ojca, tak jak on sam deprecjonował siebie. Zaskoczył mnie, ale i głęboko poruszył list, który parę lat po śmierci ojca otrzymałem od naczelnego rabina Anglii, Jonathana Sacksa (żadnych więzów pokrewieństwa):

> Znałem pańskiego zmarłego ojca. Kiedyś siedzieliśmy obok siebie w *szuł*... Był prawdziwym cadykiem, zawsze myślałem o nim jako o jednym z tych trzydziestu sześciu „tajemnych sprawiedliwych”, których dobroć podtrzymuje świat.

Nawet teraz, wiele lat po jego śmierci, ludzie piszą mi lub mówią o wielkim sercu ojca, którego pacjentami byli (oni, niekiedy rodzice, niekiedy dziadkowie) przez siedemdziesiąt lat jego lekarskiej praktyki. Inni niepewnie pytają, czy jestem spokrewniony z Sammym Sacksem, jak powszechnie był nazywany w Whitechapel. A ja jestem dumny i szczęśliwy, że mogę to potwierdzić.

*

Kiedy *Migrena* już się ukazała, otrzymałem pełne zdziwienia listy od kilku kolegów pytających, dlaczego wcześniejsze wersje niektórych rozdziałów opublikowałem pod pseudonimem A.P. Friedman. Odpowiadałem, że nic takiego nie robiłem, a z indagacjami winni się zwrócić do doktora Friedmana w Nowym Jorku. Friedman głupio zaryzykował, gdyż zakładał, że zgodnie z jego nakazem nie wydam książki, kiedy więc mimo wszystko ujrzała światło dzienne, musiał poczuć, że znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Nigdy już się do niego nie odezwałem i nigdy więcej go nie zobaczyłem.

Mam wrażenie, że zagrało w nim złudne poczucie własności, że miał się za posiadacza nie tylko problemu migreny, lecz także kliniki i wszystkich jej pracowników, dlatego uważał za słuszne i sprawiedliwe, że przywłaszcza sobie ich myśli i efekty ich pracy. Ta bolesna — po obu stronach — opowieść nie jest bynajmniej niezwykła. Starsza osoba, jakby ojciec, i młodsza, jakby syn w sferze nauki, widzą, jak role się odwracają i syn zaczyna górować nad ojcem. Coś takiego wydarzyło się między Humphrym Davym i Michaelem Faradayem. Davy zrazu na wszystkie możliwe sposoby zachęcał Faradaya, a potem na wszystkie możliwe sposoby próbował zablokować jego karierę. Coś takiego wydarzyło się także między astrofizykiem, Arthurem Eddingtonem, a jego błyskotliwym młodym protegowanym, Subrahmanyanem Chandrasekharem. Nie jestem Faradayem ani Chandrasekharem, ale i Friedman nie był Davym czy Eddingtonem, myślę jednak, że tak samo, chociaż na niższym poziomie, wyglądała dynamika relacji między nami.

Helena Penina Landau, ciotka Lennie, urodziła się w roku 1892, dwa lata przed moją matką. Trzynaścioro dzieci mojego dziadka i jego drugiej żony utrzymywało bliskie kontakty i intensywnie korespondowało, gdy znaleźli się daleko od siebie, ale szczególnie związane ze sobą, i to przez całe życie, były ciotka Lennie i matka.

Cztery z siedmiu sióstr — Annie, Violet, Lennie i Doogie — kierowały szkołami [56]. (Moja matka, Elsie, została lekarzem; była jedną z pierwszych kobiet chirurgów w Anglii). Lennie była nauczycielką na East Endzie w Londynie, zanim w latach dwudziestych XX wieku założyła Jewish Fresh Air School for Delicate Children. („Delikatność” mogła oznaczać wszystko: od autyzmu po astmę czy najnormalniejszą „nerwowość”). Szkoła mieściła się w Delamere Forest w Cheshire, a ponieważ niełatwo było wymawiać

„Fresh Air Home and School” czy akronim JFAS, więc wszyscy nazywaliśmy ją po prostu „szkoła Delamere”. Uwielbiałem ją odwiedzać i wchodzić między „delikatne” dzieci, które dla mnie wcale nie wydawały się specjalnie delikatne. Każde z nich (nawet ja, gość) dostawało otoczony niskim murkiem z cegieł metr kwadratowy, na którym mogło sadzić, co tylko chciało. Lubiłem krzątać się w ogródku z ciotką i innymi nauczycielami z Delamere Forest — w pamięci szczególnie mi utkwiły skrzypy — i pływać w niegłębokim stawie Hatchmere („błogie wspomnienie Hatchmere” — napisała kiedyś ciotka, już długo po opuszczeniu Delamere). Kiedy w straszliwych latach wojennych ewakuowano mnie do Braefield, strasznie pragnąłem, żeby było to właśnie Delamere.

Lennie przeszła na emeryturę w 1959 roku, po czterdziestu latach w Delamere, a pod koniec lat sześćdziesiątych znalazła mieszkanko w Londynie — ja jednak wyjechałem już do Kanady i USA. W latach pięćdziesiątych wymieniliśmy kilka listów, ale dopiero kiedy odgrodził nas ocean, zaczęliśmy pisać do siebie długie, częste listy.

W maju 1955 roku Lennie przysłała mi dwa listy. Pierwszy był odpowiedzią na egzemplarz efemerycznego (padło po pierwszym numerze) czasopisma „Seed”, które z kilkoma przyjaciółmi założyłem na trzecim roku Oksfordu.

„W »Seed« wszystko bardzo mi się podobało — pisała — poczynając od projektu okładki, a dalej idąc: poprzez luksusowy papier, piękny druk i wyczucie słowa wszystkich Twoich współpracowników — czy w kwestiach poważnych, czy zabawnych... Czy poczujecie się dotknięci, jeśli powiem, że jesteście cudownie młodzi (i, rzecz jasna, pełni wigoru)?”

Ten list, podobnie jak wszystkie inne, miał nagłówek: „Kochany Bol!” (niekiedy „Boliver”), podczas gdy w przypadku rodziców było to: „Drogi

Oliverze!”. Owego przymiotnika używała nie ot tak sobie. Czułem, że istotnie bardzo mnie kocha, a ja to uczucie odwzajemniałem; była to miłość bez żadnych niedomówień czy zastrzeżeń. Nic, co powiedziałem, nie mogło jej zaszokować czy odepchnąć. Wydawało się, że jej życzliwość, wyrozumiałość i wielkoduszność nie znają granic.

Ze swoich podróży przysyłała mi widokówki. „Teraz pławię się w słonecznych promieniach w ogrodzie Griega — pisała w roku 1958 — i spoglądam na magiczny fiord. Nic dziwnego, że to go inspirowało do takiej muzyki. (Jaka szkoda, że Ciebie tu nie ma. Na wieczorkach jest spora grupa miłych młodzieńców... Stanowimy dość okrzesaną gromadkę ludzi różnych płci i w różnym wieku)”.

Trzeba trafu, że w roku 1958 także i ja udałem się do Norwegii, gdzie zatrzymałem się na małej wysepce, Krokholmen, w fiordzie Oslo. „Otrzymawszy twoją idylliczną kartkę z Krokholmen — pisała Lennie — strasznie zapragnęłam, żebyś mógł się u mnie zjawić i zostać Piętaszkiem dla swojego Robinsona Crusoe”. Zakończyła, życząc mi wszystkiego najlepszego na moje grudniowe finały.

*

Rok 1960 był rokiem głębokich zmian dla nas obojga. Lennie po czterdziestu latach prowadzenia szkoły opuściła Delamere i wyjechała z Anglii. Ja miałem dwadzieścia siedem lat, ona — sześćdziesiąt siedem, a przecież oboje czuliśmy, że dla każdego z nas zaczyna się nowy etap życia. Lennie postanowiła, że wyruszy w podróż dookoła świata, zanim osiedli się w Londynie, a ja już w Kanadzie otrzymałem jej list ze statku „Strathmore”.

„Jutro zawijamy do Singapuru — pisała. Przez kilka dni po opuszczeniu Perth eskortowały nas nie tylko delfiny, lecz także cudowne albatrosy, które z głośnym łopotem skrzydeł wdzięcznie nurkują i wzbijają się wzwyż”.

Kiedy w październiku zacząłem pracować w San Francisco, pisała: „Bardzo mnie uradował Twój list... Z pewnością znalazłeś lepsze niż poprzednio wyjście dla Twego niespokojnego ducha badawczego... Tęsknię za Tobą”. Przekazując wiadomości od matki, dodała: „Jej ulubionym zajęciem domowym w dalszym ciągu jest sporządzanie paczek dla Ciebie”.

W lutym 1961 roku pisała o problemie z moim bratem, Michaelem: „Nigdy jeszcze nie widziałam Michaela w stanie tak alarmującym jak teraz. Poczułam niesmak wobec siebie samej, kiedy moje współczucie zamieniło się w odrazę i strach, a zaciekła nadopiekuńczość Twojej matki jakby sugerowała (mam nadzieję, że w żaden sposób nie ujawniłam swoich uczuć), że wszyscy są nie w porządku, z wyjątkiem Michaela”.

Lennie, podobnie jak ciotka Annie, bardzo lubiła Michaela. Kiedy był chłopcem, podziwiała jego intelekt, znosiła mu wszystkie książki, jakich tylko zapragnął. Teraz jednak była zdania, że moi rodzice zaciekle negowali powagę — czy nawet niebezpieczeństwo — sytuacji. „W ostatnich tygodniach, zanim poszedł do Barnet — (szpitala psychiatrycznego) — bałam się o ich życie. Bolesne, przeklęte życie”. Miał trzydzieści dwa lata.

Po długich poszukiwaniach (mieszkania w Londynie były drogie, a Lennie nigdy się nie przelewało — „Pieniądze się mnie nie trzymają, podobnie jak ciebie”) Lennie znalazła odpowiadające jej miejsce na Wembley. „Wydaje mi się, że całkiem by Ci się spodobało to moje mieszkanko. Cieszę się, że mam wreszcie własny dom, co w jakiejś części rekompensuje mi utratę Delamere. W chwili, kiedy piszę, kwitną migdałowce, które mam za oknami, są też krokusy, przebiśniegi, trochę wczesnych żonkili, a nawet zięba udaje, że już wiosna”.

Teraz, gdy znajdowała się w Londynie, łatwiej było chodzić do teatru. „Jutro wieczorem mam iść na *Dozorcę* Harolda Pintera... Ci nowi, młodzi pisarze nie używają wypolerowanych, gładkich fraz mojej generacji, ale mają coś prawdziwego do powiedzenia i mówią to z pasją”. Tak jak radowało ją moje pokolenie, tak teraz cieszyła się z pokolenia swoich ciotecznych wnuków, a zwłaszcza dzieci mojego brata, Davida.

*

W maju 1961 roku wysłałem jej rękopis *Kanadyjskiej laby: 1960*, a także innego dziennika (*99*), opisującego nocną podróż z San Francisco do Los Angeles. To były moje pierwsze „kawałki”: skupione na własnej osobie i mało utemperowane, miałem jednak nadzieję, że kiedyś będę mógł je opublikować.

„Dostałam te zdumiewające wyjątki z Twojego dziennika — pisała Len. — Po prostu mnie zatkało: nie żartuję, czułam, że mam fizyczne kłopoty z oddechem”. Fragmenty te pokazałem tylko Thomowi Gunnowi, więc entuzjazm ciotki Len — niecofający się też przed krytyką — był dla mnie niezwykle istotny.

Lennie szczególną sympatią darzyła Jonathana Millera i jego żonę, Rachel, gdyż byli bardzo w jej typie. Jonathan, pisała, „pozostaje nieskażonym, prostym, wyrafinowanym, błyskotliwym, kochanym — po prostu geniuszem, jak Ty... Kiedy pewnego popołudnia byliśmy razem na Mapesbury, ucięliśmy sobie długą pogawedkę... To wprost niewiarygodne, jak wszystko, co robi, potrafi zmieścić w tym swoim jednym życiu”.

Bardzo podobały się jej zdjęcia Kalifornii, które ode mnie dostawała. Zawsze zabierając na swoje wyprawy motocyklowe aparat, mogłem utrwalać kalifornijskie pejzaże. „Ależ piękne! — pisała. — Zupełnie jak

greckie scenerie, które ujrzałam podczas rozpaczliwie krótkiej wizyty, kiedy wracałam do domu z Australii... Uważaj tylko na tego swojego rumaka!”

Kiedy na początku roku 1962 przesłałem Len tekst *Podróżuj radośnie*, podobał się jej, choć uznała, że nazbyt liberalnie podchodzę do „kurew” i „gówien” kierowców. Mnie wydawało się to egzotyczne — w Anglii nigdy nie wykraczaliśmy poza „pedała” — Len jednak uważała, że staje się to „nudne, kiedy się czyta to tak często”.

W listopadzie 1962 roku pisała: „Twoja mama znowu zaczęła operować — (wcześniej w tym roku złamała biodro) — co bardzo ją cieszy, gdyż wreszcie skończyła się jej frustracja. Twój tata to niezmiennie ta sama kochana, szalona, niechlujna osoba, która gdziekolwiek się ruszy, wszędzie zostawia okruchy swej dobroci w postaci okularów, strzykawek, notesików itd. A skrzętne i chętne ręce zbierają je i podsuwają, jakby to był dla nich największy zaszczyt na świecie”.

Lennie była zachwycona, że mam prezentować referat na zjeździe neurologicznym — mój pierwszy wypad na akademickie terytorium, ale wyznała: „wcale nie jestem zachwycona, że znowu tyle ważysz; świetny z Ciebie facet, kiedy jesteś normalny”.

Gdy kilka miesięcy później wspomniałem jej, że pogrążyłem się w depresji, odpisała: „Wiem, jak to jest, wszyscy od czasu do czasu na to cierpimy. Ale teraz daj już spokój. Tak wiele za Tobą przemawia: wspaniały umysł, urok, prezencja, poczucie humoru — no i całe to nasze stadko, które w Ciebie wierzy”.

Wiara Len we mnie była ważna od najwcześniejszych lat, gdyż rodzice — jak mi się wydawało — niewielką pokładali we mnie wiarę, a i we mnie samym była ona mała i krucha.

Kiedy zacząłem wychodzić z depresji, wysłałem Lennie paczkę z książkami, a chociaż zarzuciła mi „ekstrawagancję”, dalej pisała: „W każdym razie najserdeczniejsze podziękowania dla mojego ulubionego siostrzeńca”. (To mi się bardzo spodobało, gdyż Lennie była z pewnością moją ulubioną ciotką). „Wyobraź sobie, jak wygodnie usadowiona przy kominku z Cox's Orange Pippin w ręku zanurzam się w eleganckim bogactwie Henry’ego Jamesa, by znienacka stwierdzić, że jest już nieźle nad ranem”. List był miejscami nieczytelny: „Nie, to nie starcza nieporadność, tylko usiłuję przywyknąć do nowego wiecznego pióra, gdyż straciłam swoje dawne drogocenne, pięćdziesięcioletnie”.

Zawsze pisała wiecznym piórem o szerokiej stalówce (jak czynię i ja pięćdziesiąt lat później). „Kochany Bolu! — kończyła. — Niechże Ci się szczęści!”

*

„Czytałam o Twojej walce z falami, ty postrzelony szaleńcze” — napisała w 1964 roku, kiedy jej opowiedziałem, jak wielka fala na Venice Beach wybiła mi bark i jak uratował mnie przyjaciel Chet.

Miała nadzieję, że prześlę jej jakieś swoje artykuły neurologiczne, „z których nie zrozumiem ani słowa, ale promienieć będę miłosną dumą z faktu, że autorem jest mój zabawny, znakomity i w ogóle zachwycający siostrzeniec”.

I tak pisywaliśmy do siebie przez jakieś siedem, osiem lat. Opowiedziałem jej o opuszczeniu Kalifornii, podzieliłem się z nią pierwszymi nowojorskimi wrażeniami.

> To naprawdę wspaniałe miasto, bogate, ekscytujące, nieograniczone wszerz i w głąb. Trochę pod tym względem przypomina Londyn, aczkolwiek zarazem są to zupełnie inne miasta. Nowy Jork jest upstrzony różnicami,

> wibruje nimi, jak wibruje światłami metropolia widziana w nocy z samolotu. Prawdziwa mozaika cech i ludzi, dat i stylów, jakby gigantyczna układanka urbanistyczna, podczas gdy Londyn o wiele bardziej ma charakter miasta powstałego, w którym teraźniejszość, warstwa czasowa po warstwie, przejrzyście nakłada się na złogi przeszłości, niczym w Troi Schliemanna czy w przekroju geologicznym. Jednak przy całej tej swojej olśniewającej zdolności syntezy jest Nowy Jork osobliwie staromodny, archaiczny. Wielkie filary „El" to kolejowa fantazja z lat osiemdziesiątych XIX wieku, rakowaty ogon budynku Chryslera to wytwór czysto edwardiańskiej pychy. Nie mogę patrzeć na Empire State Building, nie widząc jednocześnie, jak po ścianie wspina się King Kong. East Bronx to jak Whitechapel z lat dwudziestych (zanim dokonała się diaspora na Golders Green).

Len z kolei informowała mnie o wydarzeniach rodzinnych, przeczytanych książkach i obejrzanych sztukach, a zwłaszcza o jej dalekich pieszych wyprawach. Mając siedemdziesiąt lat, pozostała zagorzałą piechurką, a teraz miała czas na to, by eksplorować dzikie zakątki Irlandii, Szkocji i Walii.

Przychodziły nie tylko listy, lecz także paczki z blue vinny — uwielbianym przeze mnie i stawianym wyżej od stiltona pleśniowym serem z pewnej farmy mlecznej w Dorset. Jakże mnie zachwycały owe owiane leciutkim aromatem przesyłki, które nadchodziły co miesiąc, każda z ćwiartką krążka blue vinny. Lennie zaczęła mi je przysyłać jeszcze w czasach oksfordzkich i nie przestała tego robić po upływie piętnastu lat.

W 1966 roku poinformowała mnie, że matka miała drugą operację biodra. „Mama miała okropny tydzień... tata był przez cały czas bardzo przygnębiony". Wszystko jednak poszło dobrze — mama najpierw poruszała się o kulach, potem o lasce — i w następnym miesiącu Lennie pisała: „Jej hart ducha i determinacja są niewiarygodne". (Moim zdaniem wszystkie siostry Landau miały niewiarygodny hart ducha i determinację).

Kiedy na początku roku 1967 przeczytałem książkę Liveinga *On Megrim* i postanowiłem sam napisać o migrenie, natychmiast poinformowałem

o tym Lennie. Była poruszona. Jeszcze gdy byłem chłopcem, czuła że mógłbym i powinienem zostać pisarzem. Nie omieszkałem jej powiadomić o reakcji Friedmana na mój rękopis, a także o opinii ojca, iż nie powinienem się stawiać przełożonemu, na co Lennie z charakterystyczną dla pań Landau klarownością i dosadnością odpowiedziała w październiku 1967 roku: „Ten Twój doktor Friedman wydaje się bardzo nieszczególnym facetem, ale nie daj mu zajść sobie za skórę. Musisz wierzyć w siebie i tyle”.

*

Na jesieni roku 1967 rodzice zatrzymali się w Nowym Jorku, wracając ze swej wyprawy do Australii, dokąd pojechali odwiedzić mego najstarszego brata, Marcusa, i jego rodzinę. Ciągle zamartwiali się o mnie, ale teraz mogli zobaczyć na własne oczy, że dobrze funkcjonuję jako lekarz, lubię swoich pacjentów i jestem przez nich lubiany — mój brat, David, który był w Nowym Jorku kilka miesięcy wcześniej, donosił im, że jestem „uwielbiany” przez pacjentów — a także opisuję mych niezwykłych pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu, z którymi miałem teraz do czynienia. Kilka miesięcy później Lennie pisała mi: „Twoja mama i tata wrócili do domu całkowicie uspokojeni tym, że zobaczyli swą najstarszą i najmłodszą pociechę w ich domowych gniazdach”, a przy okazji dodała, że Marcus przysłał jej z Australii list, w którym z „liryczną ekstazą” rozpływał się nad swoją córeczką.

W roku 1968 nad Ameryką wisiało widmo wojny wietnamskiej i rozpoczął się coraz intensywniejszy pobór do wojska. Także mnie wezwano na rozpoznawczy wywiad, ale udało mi się przekonać mych rozmówców, że nie nadaję się do armii.

„Jakąż wszyscy czujemy ulgę, że pozostaniesz cywilem — pisała Len. — Wojna wietnamska z każdym dniem staje się coraz bardziej przerażająca, sieć coraz bardziej się zaciska... Co sądzisz o tym błocku zalewającym świat (ale i o zdarzających się dobrych chwilach)? Proszę, dawaj mi znać, jak się czujesz i co się z Tobą dzieje”.

---

47 Być może nigdy tak naprawdę nie liczyłem na sukcesy badawcze. Kiedy w roku 1960 w liście do rodziców mówiłem o wątpliwościach, jakie mnie trapiły w związku z badaniami fizjologicznymi w UCLA, pisałem: „Wydaje mi się, że jestem zbyt porywczy, rozkojarzony, niezręczny, a nawet nieskrupulatny, abym był dobrym badaczem. Tak naprawdę lubię tylko rozmawiać... czytać i pisać”. Do czego dodałem cytat z właśnie otrzymanego listu od Jonathana Millera, który w związku z sobą, Erikiem i mną pisał: „Podobnie jak Wells jestem zachwycony perspektywami badań naukowych, ale ich realność mnie paraliżuje. W istocie sprawnie i gracko poruszamy się tylko w sferze idei i słów, a nasze umiłowanie nauki jest czysto literackie”.

48 Por. *Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, tłum. B. Lindenberg, rozdz. 19, „Morderstwo”, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2008, s. 214–219.

49 Można by przypuszczać, że rekreacyjne użycie anielskiego pyłu zakończy się w latach sześćdziesiątych XX wieku, a tymczasem kiedy spoglądam do ostatnich danych Drug Enforcement Administration [Urzędu ds. Kontroli Substancji Psychoaktywnych], widzę, że jeszcze w roku 2010 ponad pięćdziesiąt tysięcy nastolatków przywieziono na ostry dyżur szpitalny po przyjęciu PCP.

50 W *Śpiochu* — przyp. tłum.

51 *Halucynacje*, dz. cyt., s. 144–145.

52 Jeden z redaktorów w Faber poczynił jednak osobliwą uwagę: „To się czyta podejrzanie łatwo. Trzeba ją sprofesjonalizować”.

53 W rzeczy samej w roku 1992 poszerzyłem książkę, pod wpływem po części wystawy sztuki migrenowej, a po części rozmów z przyjacielem, Ralphem Siegelem, matematykiem i neurobiologiem. (Dwadzieścia lat później, w roku 2012, na kwestie aury migrenowej spojrzałem z innej perspektywy, pisząc *Halucynacje*).

54 W 1972 roku tatę odwiedził nasz kuzyn, Al Capp, który miał różne niepokojące objawy konsternujące jego lekarzy. Ojciec na niego spojrzał, kiedy podawali sobie ręce, i spytał:

— Bierzesz hydralazynę? (lek często wtedy stosowany na nadciśnienie krwi).

— Tak — odparł zdziwiony Al.

— Masz powodowany przez nią uporczywy liszaj rumieniowaty — wyjaśnił ojciec. — Efekty wywoływane przez ten lek na szczęście ustępują, ale musisz go odstawić, jeśli nie ma się to skończyć fatalnie.

Al był przekonany, że niebywała intuicja ojca ocaliła mu życie.

55 To szło w obie strony. W zamieszczonym w „The Jewish Chronicle” nekrologu ojca Abba Eban napisał: „Pamiętam, jak w 1967 roku, kiedy wracając po wojnie sześciodniowej z Narodów Zjednoczonych, zawadziłem o Londyn, taksówkarz na czerwonym świetle zawołał do kierowcy stojącej obok nas taksówki: »Ej, wiesz, kogo tutaj mam? Bratanka doktora Sacksa!«. Tym uznaniem nie czułem się w żaden sposób umniejszony. Wprost przeciwnie: czułem się dumny z wuja Sama, który z kolei całymi tygodniami powtarzał tę historię z charakterystyczną dla siebie przesadą”.

56 Annie Landau, najstarsza, w 1899 roku porzuciła wygody Londynu na rzecz Palestyny. Nikogo tam wprawdzie nie znała, ale wyjechała z mocnym postanowieniem, aby stworzyć w Jerozolimie rozbudowany system edukacyjny dla Angielek żydowskiego pochodzenia — które, w większości ubogie analfabetki, jeśli nie miały dostępu do wykształcenia, zmuszone były do jak najwcześniejszego zamążpójścia lub prostytucji. Nie mogły zyskać lepszej orędowniczki od mojej ciotki, której namiętna walka o kobiecą edukację potrafiła pokonać wszystkie przeszkody kulturowe i polityczne. Słynne były jej przyjęcia, na których spotykali się Żydzi, Arabowie, chrześcijanie, przedstawiciele władz brytyjskich, a szkoła, którą kierowała przez czterdzieści pięć lat, znacznie wpłynęła na kształtowanie się współczesnej Jerozolimy. (Historię Annie Landau i jej szkoły — Evelina de Rothschild School — opisała Laura S. Schor w swej książce *The Best School in Jerusalem: Annie Landau’s School for Girls, 1900–1960*).

Przebudzenia

Na jesieni 1966 roku zacząłem odwiedzać pacjentów w Beth Abraham, związanym z Albert Einstein College of Medicine, szpitalu dla osób przewlekle chorych. Szybko zorientowałem się, że pośród pół tysiąca przebywających tam pacjentów jest około, rozmieszczonych po różnych oddziałach, osiemdziesięciorga takich, którzy przetrwali zdumiewającą epidemię śpiączkowego zapalenia mózgu — choroby, która przetoczyła się przez świat na początku lat dwudziestych XX wieku. Śpiączka zabiła błyskawicznie wiele tysięcy ludzi, ale ci, którzy — wydawało się — wyzdrowieli, zaczynali później, niekiedy po kilku dekadach, wykazywać dziwne objawy postencefalityczne. Wielu z nich głęboko zastygało w stanach charakterystycznych dla parkinsonizmu, inni trwali w pozach katatonicznych, świadomi wprawdzie, ale ze świadomością trwającą w postaci, w jakiej zmroziła ją choroba, zamykając w określonych partiach mózgu. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy się dowiedziałem, że niektórzy z nich pozostają w takim stanie od trzydziestu, a nawet czterdziestu lat. W istocie szpital w ogóle został otwarty w roku 1920 właśnie po to, aby przyjąć pierwsze ofiary śpiączkowego zapalenia mózgu.

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku na całym świecie szpitale budowano lub dostosowywano dla takich pacjentów. Jeden z nich, Highlands Hospital w północnym Londynie, zrazu wzniesiono jako szpital zakaźny w postaci dziesiątek pawilonów rozrzuconych na wielu hektarach terenu, ale ostatecznie stał się przystanią dla niemal dwudziestu tysięcy osób porażonych śpiączkowym zapaleniem mózgu. Pod koniec lat

trzydziestych większość z nich jednak zmarła, a sama choroba — niegdyś zajmująca pierwsze strony gazet — została niemal zapomniana. W literaturze medycznej znalazło się bardzo niewiele wzmianek o dziwnych objawach pozapalnego uszkodzenia mózgu, które mogły się pojawiać z opóźnieniem kilku dziesięcioleci.

Pielęgniarki, znające dobrze tych pacjentów, były przekonane, że pod ich zastygłym wyglądem kryły się nietknięte umysły i osobowości, które zostały jakby zamknięte, uwięzione. Zaobserwowały także, iż pacjentom mogą się przydarzać przelotne, bardzo krótkie chwile wyzwolenia z ich skamieniałości; muzyka potrafiła ich rozbudzać i pozwalała tańczyć, chociaż nie potrafili chodzić ani śpiewać, chociaż nie mogli mówić. Co więcej, zdarzały się przypadki, że niektórzy spontanicznie i znienacka poruszali się, i to z błyskawiczną szybkością, co nazywa się *kinesia paradoxa*.

Zafascynowała mnie rozmaitość postaci choroby, która nigdy nie była taka sama u dwóch pacjentów, która mogła przyjąć właściwie dowolną formę — i dlatego całkiem słusznie została nazwana „fantasmagorią” przez jednego z badających ją w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Jej syndromy mogły objąć wielki zakres zakłóceń występujących na każdym poziomie układu nerwowego, lepiej niż jakiekolwiek inne schorzenie pokazując, jak zorganizowany jest ten układ, jak mózg i ludzkie zachowania funkcjonują na swych najbardziej podstawowych poziomach.

Kiedy przechodziłem między moimi pacjentami dotkniętymi śpiączkowym zapaleniem mózgu, czułem się jak przyrodnik w dżungli tropikalnej czy nawet w dżungli prehistorycznej, mogłem bowiem obserwować pradawne, jeszcze przedludzkie zachowania: iskanie się, drapanie, lizanie, ssanie, dyszenie i w ogóle wielki repertuar dziwnych zachowań oddechowych oraz dźwiękowych. Były to zachowania

„przedpotopowe”, darwinowskie pozostałości minionych czasów wywołane z fizjologicznego limbusu przez stymulację pierwotnych układów pnia mózgu — najpierw naruszonych i uwrażliwionych przez śpiączkowe zapalenie, a teraz na nowo „przebudzonych” przez L-dopę [57].

Półtora roku poświęciłem na ich obserwację i notowanie spostrzeżeń, do tego niekiedy jeszcze filmowałem chorych i nagrywałem ich, dzięki czemu przestali być dla mnie tylko pacjentami, a stali się ludźmi. Liczni spośród nich zostali porzuceni przez rodziny i nie znali nikogo poza personelem medycznym. Dopiero kiedy dokopałem się do ich kart choroby z lat dwudziestych i trzydziestych, mogłem potwierdzić diagnozę, że wszyscy przeszli przez tę samą chorobę. Wtedy zwróciłem się do dyrektora szpitala z prośbą, czy nie moglibyśmy ich wszystkich umieścić na jednym oddziale, żywiłem bowiem nadzieję, że w ten sposób może się uformować jakaś wspólnota.

Od samego początku odnosiłem wrażenie, że mam do czynienia z jednostkami, które znalazły się w zupełnie niezwykłym stanie i niezwykłej sytuacji, których nigdy wcześniej nie opisano. Już po kilku tygodniach od poznania ich w roku 1966 zacząłem przemyśliwać napisanie o nich książki, którą opatrzyć chciałem zaczerpniętym od Londona tytułem *Mieszkańcy otchłani*. Z takim ujęciem dynamiki choroby i życia, z takim spojrzeniem na organizm czy podmiot, że walczy o przeżycie w warunkach czasami najdziwniejszych i najbardziej posępnych, nie tylko nie spotkałem się podczas studiów i stażów, lecz także nie znajdowałem go we współczesnej literaturze medycznej. Wystarczyło jednak, że zacząłem poznawać pacjentów postencefalitycznych, a jasno dostrzegłem prawdziwość takiego podejścia. Pogardliwa postawa większości moich kolegów („Gdzie jak gdzie, ale w szpitalu dla przewlekle chorych nie znajdziesz niczego interesującego”) okazała się zupełnie bezpodstawna: to

właśnie taki szpital jest idealną sytuacją do obserwowania tego, jak rozwija się całe życie.

*

Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku ustalono, że mózg parkinsonika charakteryzuje się niedostatkiem neuroprzekaźnika, jakim jest dopamina, co sugerowało, że można przywrócić mu „normalność” poprzez zwiększenie jej poziomu. Efekty prób uzyskania tego dzięki podawaniu L-dopy (prekursora dopaminy) w dawkach miligramowych były niejednoznaczne do czasu, aż George Cotzias zaczął uzyskiwać niezwykłe efekty terapeutyczne, gdy z wielką odwagą grupie pacjentów dotkniętych chorobą Parkinsona podawał dozy tysiąc razy większe. Kiedy w lutym 1967 roku poinformował o tych rezultatach, perspektywy parkinsoników zmieniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: dotąd mogli się spodziewać jedynie upokarzającego i rosnącego zniedołężnienia, teraz zaś ich los mógł się zupełnie odmienić za sprawą nowego leku. W tej atmosferze powszechnej ekscytacji także ja zastanawiałem się, czy L-dopa może pomóc moim — zupełnie innym — pacjentom.

Czy powinienem podawać L-dopę moim pacjentom z Beth Abraham? Wahałem się. Przecież nie mieli oni typowej choroby Parkinsona, lecz zaburzenia postencefalityczne o wiele bardziej złożone, ostre i niezwykłe. Jak na lek zareagują ludzie dotknięci tak odmienną chorobą? Czułem, że muszę być ostrożny, może nawet przesadnie. A jeśli za sprawą L-dopy uaktywnią się problemy neurologiczne, jakie niektórzy z nich mogli mieć we wczesnych stadiach choroby, zanim zastygli w parkinsonizmie?

W roku 1967 z pewnym lękiem zwróciłem się do Drug Enforcement Admininistration (DEA) o licencję badawczą, która pozwoliłaby mi

stosować L-dopę, lekarstwo wtedy jeszcze tylko eksperymentalne. Na licencję przyszło mi czekać kilka miesięcy. Z różnych przyczyn dopiero w marcu 1969 roku mogłem spróbować dziewięćdziesięciodniowej, podwójnie ślepej próby z sześcioma pacjentami. Połowa z nich miała dostawać placebo, ale ani oni, ani ja nie wiedzieliśmy, kto otrzymuje prawdziwy środek.

Po kilku tygodniach efekty L-dopy były oczywiste i spektakularne. W sytuacji dokładnie pięćdziesięcioprocentowego braku rezultatu było oczywiste, że placebo nie działało. Z czystym sumieniem nie mogłem go dalej podawać i postanowiłem, że L-dopę będzie mógł dostać każdy pacjent, który się na to zdecyduje [58].

Na początku reakcje wszystkich pacjentów były bardziej niż pozytywne: tego lata doszło do zdumiewającego, radosnego „przebudzenia", gdy życie w nich wprost eksplodowało po dekadach niemal letargu.

Ale potem niemal u wszystkich zaczęły się kłopoty, gdyż nie tylko pojawiły się „efekty uboczne" L-dopy, lecz także nastąpiły nagłe i nieprzewidywalne fluktuacje w reakcji na L-dopę oraz wrażliwości na nią. Niektórzy pacjenci odmiennie odpowiadali na lekarstwo przy każdym jego podaniu. Odnosiło się wrażenie, że u wielu z nich nie ma stanu pośredniego między zbyt małą a zbyt dużą ilością L-dopy.

Myślałem o Michaelu i jego problemach ze środkami uspokajającymi (które tłumiły układ dopaminowy, podczas gdy L-dopa go aktywowała, kiedy próbowałem miareczkować lek dla moich pacjentów) i dochodziłem do wniosku, że istnieją pewne nieprzekraczalne granice skuteczności podejścia medycznego, kiedy mamy do czynienia z mózgiem, którego układy utraciły swoją zwykłą elastyczność [59].

*

Gdy byłem na stażu w UCLA, neurologię i psychiatrię prezentowano jako dwie dziedziny niemal ze sobą niepowiązane, kiedy jednak potem zetknąłem się z rzeczywistymi pacjentami, często byłem i psychiatrą, i neurologiem. Takie poczucie było szczególnie silne w kontaktach z pacjentami cierpiącymi na migrenę, a jeszcze bardziej się pogłębiło przy chorych po śpiączkowym zapaleniu mózgu, gdyż ci mieli całe miriady zaburzeń i „neurologicznych", i „psychiatrycznych": parkinsonizm, drgawki kloniczne, pląsawica, tiki, dziwne kompulsje, natręctwa, obsesje, nagłe „kryzysy" i wybuchy pasji. Czysto neurologiczne albo czysto psychologiczne podejście do takich pacjentów prowadziło donikąd, trzeba było je ze sobą połączyć.

Chorzy na śpiączkowe zapalenie mózgu przez dziesiątki lat znajdowali się w stanie zawieszenia: pamięci, percepcji, świadomości. I oto wracali do pełnej świadomości i mobilności. Czy podobnie jak Rip Van Winkle poczują się anachroniczni w świecie, który nie zważając na nich, rozwijał się w tym czasie?

Gdy podawałem tym pacjentom L-dopę, ich „przebudzenia" były nie tylko cielesne, lecz także intelektualne, percepcyjne, emocjonalne. Takie całościowe przebudzenie czy całościowa animacja stały w sprzeczności z dominującymi w neuroanatomii lat sześćdziesiątych XX wieku koncepcjami, gdyż układy motoryczne, intelektualne i afektywne lokowała ona w zupełnie oddzielnych i niekomunikujących się ze sobą częściach mózgu. Wykształcony na tych koncepcjach anatom we mnie powiadał: „To niemożliwe. Do takich »przebudzeń« dojść nie może i już!".

Rzecz jednak w tym, że one następowały.

DEA domagał się, abym wypełnił standardowy kwestionariusz, wyliczając symptomy i reakcje na lek, tymczasem to, co się działo, było tak

skomplikowane w kategoriach i neurologicznych, i ludzkich, że owe kwestionariusze nie były w stanie oddać rzeczywistości, z którą miałem do czynienia. Podobnie jak niektórzy pacjenci, także ja czułem potrzebę prowadzenia codziennych szczegółowych zapisów. Teraz nieustannie miałem przy sobie magnetofon i aparat, a potem także małą kamerę Super 8 mm. Skoro wiedziałem, że to, co widzę, może się już nigdy nie powtórzyć, koniecznie trzeba to było zachować na taśmie.

Niektórzy pacjenci spali przez większość dnia, natomiast bardzo aktywnie spędzali noc, a to znaczyło, że w istocie musiałem być w pogotowiu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Brakowało mi snu, to prawda, ale dzięki temu miałem poczucie bliskości z nimi. Poza tym pełniłem stały dyżur nocny dla wszystkich pięciuset pacjentów Beth Abraham. Mogło tu chodzić o opiekę nad kimś z nagłym niedomaganiem serca, o odesłanie kogoś innego na ostry dyżur czy zarządzenie sekcji zwłok w przypadku śmierci. W nocy, rzecz jasna, gotowi na wezwanie byli najróżniejsi lekarze, ale uznawszy, że może być i ze mnie pożytek na permanentnym dyżurze nocnym, zgłosiłem się do tego na ochotnika.

Dyrekcji Beth Abraham niezwykle to się spodobało i zaproponowano mi w bardzo umiarkowanej cenie mieszkanie w domu tuż obok szpitala, gdzie dotąd rezydował doktor, na którego właśnie wypadał dyżur. Właściwie odpowiadało to wszystkim: większość lekarzy nie znosiła nocnych dyżurów, a mnie bardzo pasował fakt, że mieszkam tak blisko swoich pacjentów. Często wpadali, aby o nich podyskutować, pracownicy szpitala: psycholodzy, opiekunowie społeczni, fizjoterapeuci, logopedzi, terapeuci muzyczni. Niemal każdego dnia toczyliśmy płodne, ekscytujące rozmowy o bezprecedensowych zdarzeniach, których byliśmy świadkami, co od wszystkich z nas wymagało bezprecedensowego podejścia.

James Purdon Martin, znakomity londyński neurolog, który zdecydował się na emeryturze obserwować postencefalitycznych pacjentów w Highlands Hospital i pracować z nimi, w roku 1967 opublikował znaczącą książkę o nieprawidłowościach ich postawy i utrzymywania równowagi. We wrześniu 1969 roku wyprawił się specjalnie do Nowego Jorku, aby obejrzeć moich pacjentów, co musiało być dla niego niełatwe, gdyż był już po siedemdziesiątce. Zafascynowany ich reakcją na L-dopę, powiedział, że niczego podobnego nie widział od bolesnych dni sprzed półwiecza, gdy szalała epidemia. „Musi pan to wszystko bardzo szczegółowo opisać” — rzekł na koniec.

W 1970 roku istotnie zacząłem pisać o śpiączkowym zapaleniu mózgu w formie, którą zawsze bardzo lubiłem: listu do redakcji. W jednym tygodniu przesłałem cztery listy wydawcy „The Lancet” i natychmiast zaakceptowano je do druku. To jednak nie spodobało się mojemu szefowi w Beth Abraham. „Jak może pan publikować to w Anglii? Jest pan tutaj, w Ameryce, proszę więc coś napisać do »The Journal of the American Medical Association«. Ale nie żadne opowiastki o pojedynczych przypadkach, tylko solidny statystyczny opis wszystkich pacjentów i ich stanu”.

Tak więc w lecie 1970 roku w liście do „JAMA” przedstawiłem swoje rezultaty, opisując sumaryczne efekty L-dopy podawanej przez rok sześćdziesięciorgu pacjentom. Niemal wszyscy, podkreślałem, z początku mieli się bardzo dobrze, ale niemal wszyscy też potem wymykali się spod kontroli i wkraczali w stany skomplikowane, dziwaczne i nieprzewidywalne. Nie można tego, pisałem, uważać za „efekty uboczne”, lecz trzeba uznać za integralną część rozwijającej się całości.

„JAMA” opublikował mój tekst, o ile jednak listy wysłane do „The Lancet” wywołały sporo pozytywnych reakcji kolegów, o tyle odpowiedzią

na list do „JAMA” była osobliwa, dość zatrważająca cisza.

Została przerwana po kilku miesiącach, gdy cała rubryka listów w „JAMA” przeznaczona została na nader krytyczne, a czasami wręcz gniewne wypowiedzi rozlicznych moich kolegów. Dominował taki mniej więcej ton: „Sacks najwidoczniej upadł na głowę. My mieliśmy do czynienia z rzeszami pacjentów, a przecież nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego”. Jeden z mych nowojorskich kolegów oznajmił że widział ponad setkę parkinsoników na L-dopie, ale nigdy nie pojawiły się opisywane przeze mnie skomplikowane reakcje. Odpisałem mu: „Szanowny doktorze M.! Piętnaścioro pańskich pacjentów jest teraz pod moją opieką w Beth Abraham. Nie zechciałby pan czasem odwiedzić ich i zobaczyć, co u nich?”. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Odnosiłem wrażenie, że niektórzy z moich kolegów umniejszają negatywne efekty L-dopy. Jeden z nich stwierdził wprost, że nawet gdybym miał rację, nie powinienem był tego listu publikować z uwagi na jego „negatywny wpływ na atmosferę optymizmu, która jest nieodzowna dla terapeutycznej reakcji na L-dopę”.

Uważałem, że to nie w porządku ze strony redakcji „JAMA”, iż wydrukowała te ataki, nie dając mi możliwości odpowiedzenia na nie w tym samym numerze. Chciałem bowiem wskazać na wielką wrażliwość pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu, która sprawiała, że wcześniej i bardziej dramatycznie reagowali na L-dopę niż osoby cierpiące na chorobę Parkinsona. To z tego powodu w ciągu dni czy tygodni mogłem śledzić efekty L-dopy, których koledzy zajmujący się parkinsonikami nie widzieli przez lata.

Ale była też jeszcze głębsza kwestia. W liście do „JAMA” nie tylko pod znakiem zapytania postawiłem coś, co zrazu wydawało się bardzo prostą kwestią: podajemy lekarstwo i kontrolujemy jego skutki. Podałem

w wątpliwość samą przewidywalność, gdyż przypadkowość wprowadziłem jako istotny i niezbywalny element stałego podawania L-dopy.

Wiedziałem, że dostąpiłem bardzo rzadkiej sposobności, wiedziałem, że mam do zakomunikowania coś ważnego, ale tutaj natrafiałem na bardzo istotną trudność: jak pozostać wiernym swoim doświadczeniom, a zarazem nie naruszać reguł medycznej „publikowalności" oraz akceptacji kolegów. Najostrzej to odczułem, gdy długi artykuł, jaki napisałem o śpiączkowym zapaleniu mózgu i o reakcjach na L-dopę, został odrzucony przez „Brain", najstarsze i najbardziej poważane czasopismo neurologiczne.

W roku 1958, kiedy byłem jeszcze studentem medycyny, do Londynu przyjechał wielki sowiecki neuropsycholog, A.R. Łuria, aby wygłosić odczyt o rozwoju zdolności językowych u pewnej pary bliźniąt jednojajowych. Jego zdolność obserwacji, głębia teoretycznego namysłu oraz czysto ludzkie ciepło wręcz mnie olśniły.

W roku 1966, po przyjeździe do Nowego Jorku, przeczytałem dwie książki Łurii — *Zaburzenia wyższych czynności korowych...* oraz *Human Brain and Psychological Processes* [Mózg ludzki a procesy psychiczne]. Ta druga, przedstawiająca pełny opis historii pacjentów z uszkodzonymi płatami czołowymi, napełniła mnie niekłamanym podziwem [60].

W roku 1968 przeczytałem kolejną *O pamięci, która nie miała granic*. Przez pierwsze trzydzieści stron sądziłem, że mam do czynienia z powieścią, ale potem zorientowałem się, że to opis przypadku chorobowego, najgłębszy i najbardziej szczegółowy, jaki kiedykolwiek dotąd czytałem, opis pełen dramatycznej mocy, emocjonalności i strukturalnego uporządkowania — jak powieść.

Łuria, który zyskał międzynarodowe uznanie jako twórca neuropsychologii, był przekonany, że jego bogate ludzkie opowieści są nie

mniej ważne niż wielkie traktaty neuropsychologiczne. Podejście Łurii — zakładające naraz klasyczność i romantyzm, naukowość i narrację — stało się także moim, a jego „książeczka”, jak ją nazywał (*O pamięci...* liczy sto sześćdziesiąt stron[61]), zmieniła środek ciężkości i ukierunkowanie mojego życia, stając się wzorcem nie tylko dla *Przebudzeń*, lecz także dla wszystkiego, co miałem jeszcze napisać.

W lecie roku 1969, mając za sobą pracę po osiemnaście godzin na dobę, wyczerpany, ale i podniecony, udałem się do Londynu, gdzie zainspirowany „książeczką” Łurii przez sześć tygodni siedziałem w domu rodziców i napisałem dziewięć opowieści, które później znalazły się w *Przebudzeniach*. Kiedy zaproponowałem je wydawnictwu Faber & Faber, odpowiedzieli, że nie są zainteresowani.

Napisałem też liczący czterdzieści tysięcy słów esej o postencefalitycznych tikach i zachowaniach, do którego chciałem dołączyć rozprawę o podkorowych funkcjach u człowieka, która miała odpowiadać podobnej rozprawie Łurii. Także i to nie interesowało Fabera.

Kiedy w roku 1966 po raz pierwszy zjawiłem się w Beth Abraham, znajdowały się w nim, obok mniej więcej osiemdziesięciorga pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu, także setki osób cierpiących na inne schorzenia neurologiczne: młodsi — ze stwardnieniem zanikowym bocznym (ALS), jamistością rdzenia, chorobą Charcota-Mariego-Tootha, starsi — z parkinsonem, wylewami, guzami mózgu czy demencją starczą (w tym czasie termin „choroba Alzheimera” był zarezerwowany dla rzadkich przypadków wczesnej demencji).

Kierownik neurologii u Einsteina poprosił, abym wykorzystując to niezwykłe zgromadzenie pacjentów, wprowadził jego studentów medycyny w problemy neurologii. Było za każdym razem ośmioro, dziewięcioro studentów medycyny na tyle zainteresowanych neurologią, by przez dwa

miesiące przychodzić w piątkowe popołudnia (organizowałem też inne sesje dla tych ortodoksyjnych studentów, którzy nie mogli się zjawić w piątek). Dowiadywali się nie tylko o zaburzeniach neurologicznych, lecz także o tym, na czym polega instytucjonalizacja i jak się żyje z chronicznym schorzeniem. Tydzień po tygodniu od zaburzeń obwodowego układu nerwowego i rdzenia kręgowego przechodziliśmy do zaburzeń pnia mózgu i móżdżku, a potem do zaburzeń ruchowych, by wreszcie dojść do zaburzeń percepcji, mowy, myśli i osądu.

Zawsze zaczynaliśmy od nauki przy łóżku pacjenta, przy którym gromadziliśmy się, aby wysłuchać jego historii, zadawać mu pytania i go zbadać. Zazwyczaj trzymałem się z boku, nie ingerując, ale zawsze dbając o to, aby chory był traktowany z szacunkiem, grzecznością i pełną uwagą.

Pokazywałem studentom wyłącznie tych pacjentów, których dobrze znałem i którzy zgodzili się na to, aby być wypytywani i badani przez młodych ludzi. Niektórzy byli po prostu urodzonymi nauczycielami. Na przykład Goldie Kaplan, która miała rzadką dziedziczną chorobę rdzenia kręgowego, mówiła studentom: „Zamiast wykuwać z podręczników, co to jest syringomyelia, zapamiętajcie mnie. Obejrzyjcie to wielkie oparzenie na lewym ramieniu, którego nabawiłam się, gdy oparłam się o kaloryfer, nie czując gorąca ani bólu. Zapamiętajcie też, jak krzywo siedzę i jakie mam problemy z mową, gdyż jama w rdzeniu zaczyna sięgać pnia mózgu. Ja jestem ucieleśnieniem syringomyelii i dlatego mnie zapamiętajcie!”. I tak robili, a niektórzy, pisząc do mnie jeszcze wiele lat później, wspominali Goldie i mówili, że ciągle mają w oczach jej obraz.

Po trzech godzinach oglądania pacjentów robiliśmy przerwę na herbatę w moim małym, zagraconym gabinecie, którego ściany obwieszone były przypinanymi przeze mnie artykułami, notatkami, refleksjami, wykresami o rozmiarach plakatu. Następnie, jeśli pogoda na to pozwalała,

przechodziliśmy na drugą stronę ulicy, do ogrodu botanicznego, gdzie siadaliśmy pod drzewem i zaczynaliśmy rozmawiać o filozofii i życiu w ogóle. W ciągu tych dziewięciu piątkowych popołudni poznaliśmy się nawzajem całkiem nieźle.

W pewnym momencie oddział neurologii polecił mi, abym urządził studentom egzamin i ich ocenił. Zrobiłem, czego ode mnie chciano, i wszystkim postawiłem notę A. Kierownik był oburzony. „Jak to możliwe, żeby wszyscy dostali A? — spytał gniewnie. — Czy to jakiś dowcip?”

Odparłem, że nie, że nie ma w tym żadnego żartu, po prostu im lepiej poznawałem studentów, tym bardziej każdy z nich stawał się dla mnie niepowtarzalny. W tej sytuacji moje A nie były próbą zadeklarowania jakiejś sztucznej równości, lecz znakiem akceptacji swoistości każdego ze studentów. Podobnie jak w przypadku pacjentów, czułem, że niepodobna żadnego ze studentów zredukować do cyfry czy wyniku testu. Jakże miałbym ich ocenić, gdybym nie oglądał ich w wielu różnych sytuacjach, gdybym nie przyglądał się ich takim niemierzalnym cechom, jak empatia, troska, odpowiedzialność, zdolność wyważonego sądu?

W efekcie przestano mnie prosić o ocenianie studentów.

Zdarzało się niekiedy, że przez dłuższy czas miałem pod opieką pojedynczego studenta medycyny. Niedawno odwiedził mnie jeden z nich, Jonathan Kurtis, i opowiedział, że teraz, po czterdziestu latach, z całych studiów pamiętał już tylko trzy miesiące spędzone ze mną. Niekiedy prosiłem go, żeby udał się do pacjentki cierpiącej na, powiedzmy, stwardnienie rozsiane i spędził z nią kilka godzin, po czym miał mi złożyć możliwie jak najbardziej szczegółowy raport nie tylko o jej problemach neurologicznych i tym, jak stara się z nimi żyć, lecz także o jej osobowości, zainteresowaniach, rodzinie, historii życia [62].

Potem dyskutowaliśmy o pacjentce czy pacjencie i bardziej ogólnie o jej (jego) schorzeniach, następnie sugerowałem dalsze lektury. Jonathana zaskoczyło to, że odsyłałem go do klasycznych, często dziewiętnastowiecznych ujęć. Nikt inny, mówił Jonathan, nie robił czegoś takiego w trakcie jego studiów, a jeśli nawet ktoś wspomniał o dawnych tekstach, te były pogardliwie określane jako „starocie", coś przedawnionego, nieistotnego, co może być interesujące już tylko dla historyka.

*

Sprzątaczki, wartownicy, sanitariusze i pielęgniarki w Beth Abraham (podobnie jak we wszystkich szpitalach) pracowali długie godziny za nędzne wynagrodzenie, więc w roku 1972 lokalny oddział ich związku zawodowego 1199[63] wezwał do strajku. Wiele osób zatrudnionych od wielu lat w Beth Abraham przywiązało się do pacjentów. Kiedy rozmawiałem z niektórymi z nich, gdy stali w pikiecie, opowiadając o tym, jacy czują się rozdarci, gdy opuszczają swych podopiecznych, nie mogli się powstrzymać od łez.

Bardzo się lękałem o niektórych pacjentów, zwłaszcza tych unieruchomionych, którym należało zmieniać pozycję na łóżkach, aby zapobiec odleżynom, a także przeprowadzać z nimi ćwiczenia, aby nie pozwolić na zesztywnienie stawów. Niekiedy wystarczał jeden dzień nieruchomego leżenia bez ćwiczeń, aby wyzwolić progres choroby, a wszystko wskazywało na to, że strajk może potrwać tydzień albo i dłużej.

Zacząłem dzwonić po studentach, wyjaśniając im sytuację i pytając, czy nie mogliby pomóc. Zgodzili się zwołać zebranie samorządu, żeby przedyskutować sprawę. Oddzwonili dwie godziny później, przepraszając,

ale samorząd uznał, że nie mogą jako grupa wystąpić w roli łamistrajków. Indywidualnie każdy mógł jednak postąpić zgodnie ze swym sumieniem, dlatego też dwóch zadeklarowało chęć pomocy.

Przeprowadziłem ich przez pikietę — strajkujący zgodzili się nas przepuścić — i przez następne cztery godziny przewracaliśmy chorych w pościeli, zginaliśmy ich kończyny w stawach, troszczyliśmy się o ich toaletę, po czym pierwszą parę zastąpiła druga. Była to niesłychanie wyczerpująca, całodobowa praca, która pozwoliła nam poczuć, jak ciężko codziennie harował cały personel pielęgniarski i utrzymujący porządek na oddziałach, niemniej udało nam się zapobiec odparzeniom skóry i innym problemom, na które narażonych zostało ponad pół tysiąca pacjentów.

Po dziesięciu dniach udało się dojść do porozumienia w sprawie warunków pracy i płac, pracownicy wrócili na sale szpitalne, ale kiedy tego ostatniego dnia szedłem do samochodu, na rozbitej przedniej szybie znalazłem kartkę: „Kochamy pana, doktorze Sacks, ale stał się pan łamistrajkiem”. Autor poczekał jednak do końca strajku, pozwalając mnie i studentom zadbać o pacjentów[64].

Wraz z tym, jak człowiek się starzeje, lata zaczynają zlewać się ze sobą, niemniej w mojej pamięci rok 1972 jest klarownie wyróżniony. Poprzednie trzy lata były niesłychanie intensywne, gdyż był to czas przebudzeń pacjentów, a następnie dramatycznego komplikowania się choroby. Nie sądzę, by takie doświadczenie dane było komuś dwa razy w życiu, nie każdy zazna go choćby raz. Jego doniosłość i głębia, intensywność i skala były takie, iż czułem, że muszę dać mu jakiś wyraz, ale nie mogłem sobie wyobrazić, jaka forma byłaby najodpowiedniejsza — forma, która pozwoliłaby połączyć naukowy obiektywizm z intensywnością współodczuwania, moją bliskością z pacjentami, a także z cudownością (a

niekiedy tragizmem) tego, co się wydarzyło. Wkraczałem w rok 1972, czując głęboką frustrację, ogromną niepewność, czy kiedykolwiek uda mi się wszystkim elementom tego doświadczenia nadać organiczną spójność i formę.

Nadal to Anglię uważałem za swoje właściwe miejsce, a dwanaście lat spędzonych w Stanach wydawało mi się tylko dłuższą wizytą. Miałem wrażenie, że muszę wrócić do domu i tam spróbować pisać. „Dom” znaczył wiele rzeczy: Londyn, duży, rozległy dom przy Mapesbury, w którym się urodziłem i w którym moi rodzice, teraz już sześćdziesięcioletni, dalej mieszkali z Michaelem, ale także Hampstead Heath, gdzie bawiłem się w dzieciństwie.

Postanowiłem zrobić sobie letni urlop, wynająć mieszkanie na skraju Hampstead Heath — gdzie miałem pod bokiem spacerowe ścieżki, grzybne lasy, ukochane stawy do pływania, a skąd równie blisko było na ulicę Mapesbury. W czerwcu rodzice mieli obchodzić złote gody, na które planowała zjechać cała rodzina: nie tylko trzej moi bracia, lecz także rodzeństwo rodziców oraz ich krewni i powinowaci.

Miałem jeszcze jeden powód, aby znaleźć się blisko rodziców: matka była urodzoną gawędziarką; swoich przyjaciół, pacjentów, studentów i kolegów uwielbiała raczyć opowieściami medycznymi. Przedstawiała je także moim braciom i mnie od naszych najwcześniejszych lat, a chociaż niektóre z tych historii brzmiały ponuro i przerażająco, to jednak zawsze były w nich podkreślane niezwykłe cechy charakteru i zalety pacjentów. Także ojciec znakomicie opowiadał o różnych przypadkach medycznych, a obojgu rodzicom udało się wyrobić w nas wszystkich wrażliwość na bogactwo życia oraz przekazać nam to osobliwe połączenie nastawienia klinicznego i narracyjnego. Wydaje się, że to im zawdzięczam pasję

literacką, pasję do tworzenia nie fikcji czy poezji, lecz do utrwalania i opisywania zdarzeń.

Matkę zafascynowały moje opowieści o pacjentach po śpiączkowym zapaleniu mózgu, a także o tym, jak budzili się po otrzymaniu L-dopy, a potem za jej sprawą popadali w tarapaty. Naciskała na mnie, abym opisał ich historie, a w lecie 1972 roku oznajmiła stanowczo: „Teraz masz swoją chwilę! Do roboty!”.

Każdego ranka spacerowałem i pływałem w Heath, po popołudniu pisałem lub dyktowałem historie składające się na *Przebudzenia*, a wieczorem schodziłem Frognal do Mill Lane i stamtąd szedłem na Mapesbury numer 37, gdzie odczytywałem matce najświeższy fragment. To ona czytywała mi w dzieciństwie, dzięki jej lekturom po raz pierwszy zetknąłem się z Dickensem, Trollope’em, D.H. Lawrence’em, a teraz ja czytałem jej: chciała usłyszeć w narracyjnej formie to, o czym wcześniej dowiedziała się ode mnie częściowo i we fragmentach. Słuchała bardzo uważnie, emocjonalnie, ale także pełna krytycznej czujności płynącej z jej wyczucia tego, co jest klinicznie prawdziwe. Z mieszanymi uczuciami tolerowała meandry mych opowieści, uboczne refleksje, ale najważniejsze dla niej było to, czy całość „brzmi prawdziwie”. „To nie brzmi prawdziwie” — krzywiła się czasami, ale potem coraz częściej pojawiały się komentarze: „Tu dobrze utrafiłeś. Teraz to brzmiało prawdziwie”.

W pewnym sensie więc wspólnie tego lata pisaliśmy *Przebudzenia*, a ja miałem poczucie czasu czarownie zakrzepłego, wydartego codziennej rutynie, poświęconego tylko i wyłącznie na tworzenie.

Z mieszkania przy Hampstead Heath można też było dojść spacerem do gabinetu Colina Haycrafta na Gloucester Crescent. Pamiętam, jak zobaczyłem Colina w 1951 roku, kiedy ja zaczynałem studia w Queen’s, a on już je kończył. Niski, energiczny, w swojej studenckiej todze, mający

Gibbonowską pewność siebie i posturę, zarazem jednak zwinny i szybki, jak mówiono, był równie sprawny w squashu, jak i w nauce. Widywałem go wprawdzie, ale poznaliśmy się dopiero dwadzieścia lat później.

Pierwszych dziewięć historii przypadków z *Przebudzeń* opisałem już w lecie 1969 roku, ale wydawnictwo Faber & Faber je odrzuciło, co było wtedy dla mnie wielkim ciosem i sprawiło, że w ogóle zwątpiłem, czy uda mi się kiedyś zasiąść do nich raz jeszcze[65]. Odłożyłem maszynopis na bok, a potem gdzieś go zgubiłem.

Tymczasem Colin Haycraft prowadził już wtedy liczące się wydawnictwo Duckworth, które siedzibę miało naprzeciwko domu Jonathana Millera. Pod koniec 1971 roku Jonathan, widząc moje rozterki, kopię tekstu, o której istnieniu zupełnie zapomniałem, pokazał Colinowi. Opowieści na tyle spodobały się Haycraftowi, że chciał, abym kontynuował pisanie. Z jednej strony bardzo mi to pochlebiło, ale też mnie przestraszyło. Colin delikatnie naciskał, ja się opierałem, wtedy on na chwilę ustępował, by za jakiś czas ponowić próbę. Był nienachalny, z wyrozumiałością traktował mój opór, co liczyło się tym bardziej, że przez pół roku nie mogłem się zdecydować.

Czując, że jest mi potrzebny jakiś silniejszy bodziec, Colin, pod wpływem intuicji, którą się często w życiu kierował, oddał otrzymaną od Jonathana kopię do złożenia. Zrobił to w czerwcu — bez żadnego uprzedzenia, bez żadnych konsultacji ze mną. Był to czyn nie tylko wielkoduszny, lecz także ekstrawagancki, nie miał bowiem żadnej gwarancji, że cokolwiek jeszcze napiszę, a że działo się to na długo przed nastaniem składu komputerowego, więc wiązało się ze znacznymi kosztami. Dla mnie był to dowód jego wiary we mnie, ale także tego, iż rzeczywiście wierzył, że może powstać dobra książka.

Postarałem się o stenografkę, gdyż wybiegając po schodach z piwnicy, wyrżnąłem głową w górną futrynę drzwi i nabawiłem się urazu kręgosłupa szyjnego, co między innymi sprawiło, że nie mogłem utrzymać pióra w prawej ręce. Zmusiłem się do codziennej pracy i dyktowania, tyle że ten obowiązek coraz bardziej stawał się przyjemnością, więc i oddawałem mu się coraz intensywniej. „Dyktowanie" nie jest tu najlepszym określeniem. Z kołnierzem ortopedycznym na szyi sadowiłem się na sofie, przeglądałem notatki, a potem opowiadałem historię stenografce, śledząc wyraz jej twarzy w trakcie pisania. Jej reakcje odgrywały kluczową rolę, mówiłem nie do maszyny, lecz do osoby, było to jak odwrócona relacja z Szeherezadą. Każdego ranka przynosiła mi tekst pięknie przepisany, a ja wieczorem odczytywałem go matce.

Niemal każdego dnia przekazywałem też Colinowi maszynopis, który następnie omawialiśmy niesłychanie szczegółowo. Tego lata wiele godzin spędziliśmy w jednym pomieszczeniu, a przecież z naszych listów wynika, że dalej trzymaliśmy się formalnych reguł, on zawsze był dla mnie „Panem Haycraftem", ja dla niego zawsze „Doktorem Sacksem". Trzydziestego sierpnia 1972 roku pisałem:

> Drogi Panie Haycraft!
>
> Załączam pięć dalszych opowieści. W sumie jest ich na razie szesnaście, zajmują 240 stron, co oznacza jakieś 50 do 60 tysięcy słów... Myślę nad dodaniem jeszcze czterech przypadków... ale to zależy, oczywiście, od Pańskiej opinii w tej sprawie...
>
> W opowieści usiłowałem uciec od suchej terminologii i stylistyki medycznej, ale sukces jest umiarkowany. Ma Pan całkowitą rację, mówiąc o foremności sztuki i bezforemności życia; być może powinienem wszystkie te historie wyraźniej nakreślić i nadać im większą jedność tematyczną, ale wszystko jest tak skomplikowane jak na kobiercach. To w jakiejś mierze dopiero surowa ruda, którą inni (może i ja) muszą dopiero później uszlachetnić.

Z wyrazami najwyższego szacunku
Oliver Sacks

Tydzień później pisałem:

Drogi Panie Haycraft!

Siedziałem kilkanaście dni nad wstępem... który niniejszym załączam. Mam wrażenie, że dobre rozwiązanie zaczynam dostrzegać dopiero wtedy, kiedy już popełnię wszystkie możliwe błędy i wyczerpię wszystkie opaczne ścieżki... Muszę jak najrychlej z Panem porozmawiać... gdyż Pan zawsze pomaga mi wygramolić się z trzęsawiska.

W lecie 1972 roku Mary-Kay Wilmers, sąsiadka Colina na Gloucester Crescent oraz redaktorka „The Listener”, tygodnika wydawanego przez BBC, zaproponowała, abym napisał artykuł o moich pacjentach i ich „przebudzeniach”. Nie dość, że nikt wcześniej nie zamawiał u mnie artykułu, to jeszcze „The Listener” cieszył się wielkim poważaniem, poczułem się więc i zaszczycony, i podekscytowany — oto pierwsza okazja, bym całym swoim doświadczeniem podzielił się z szeroką publicznością! A na dodatek, zamiast cenzorskich ograniczeń, które napotykałem w czasopismach neurologicznych, dawano mi szansę na to, bym swobodnie, nie krępując się, przedstawił to, co od tak dawna gromadziłem, wręcz dusiłem w sobie.

Następnego ranka na jednym posiedzeniu napisałem artykuł i przez gońca wysłałem go Mary-Kay. Ale po południu nawiedziły mnie wątpliwości i zadzwoniłem do niej, by powiedzieć, że chyba jednak mogłem wykonać to lepiej. Odparła na to, że artykuł w tej formie, w której jej wysłałem, jest dobry, jeśli jednak chcę jeszcze coś dodać lub poprawić, ona z chęcią to przeczyta. „Ale moim zdaniem tekst nie wymaga poprawek — oznajmiła z naciskiem. — Jest klarowny, dobrze się go czyta, z radością opublikujemy go w obecnej formie”.

Ja tymczasem miałem poczucie, że nie powiedziałem wszystkiego, co chciałem, i było ono na tyle silne, że nie chciałem już ulepszać dawnego teksu, lecz napisałem go od nowa, i to w zupełnie innym stylu. Także i ten podobał się Mary-Kay. Powiedziała, że oba można opublikować w ich obecnej postaci.

Tyle że nazajutrz rano, znowu niezadowolony, napisałem trzeci szkic, a po południu czwarty. W trakcie tygodnia przesłałem Mary-Kay w sumie dziewięć wersji. Oznajmiła, że teraz wyjeżdża do Szkocji, a po drodze spróbuje jakoś je połączyć. Wróciła po kilku dniach i oświadczyła, że jej próba się nie powiodła. Wszystkie wersje były tak różne, jakby każdą pisano z innej perspektywy. Nie były równoległe, lecz, jak to ujęła, względem siebie „poprzeczne". Musiałem się zdecydować na którąś, a jeśli nie będę w stanie, ona to zrobi za mnie. Ostatecznie wybrała siódmą (a może szóstą) wersję i tę opublikowała w numerze „The Listener" dwudziestego szóstego października 1972 roku.

*

Odnoszę wrażenie, że odkrywam swoje myśli dzięki pisaniu, w t r a k c i e pisania. Zdarza się czasami, że tekst układa się bez problemu, najczęściej jednak to, co piszę, wymaga wiele pracy redakcyjnej, gdyż tę samą myśl mogę wyrazić na wiele różnych sposobów. W połowie zdania mogą mnie nawiedzić jakieś uboczne myśli czy skojarzenia, które prowadzą do nawiasów, zdań podrzędnych, przypisów o długości akapitu. Nigdy nie używam jednego przymiotnika, jeśli szóstka innych wydaje mi się lepsza, a na dodatek mocniejsza. Intensywność rzeczywistości jest wyzwaniem, któremu staram się sprostać, uciekając się do (by użyć określenia Clifforda Geertza) „gęstego opisu". Wszystko to pociąga za sobą problemy

organizacyjne. Gubię się niekiedy w potoku myśli, które staram się wszystkie uwzględnić, a tymczasem kreatywna gorączka domaga się także chłodnej głowy i trzeźwej oceny.

Podobnie jak Mary-Kay, także Colin wybierał między różnymi wersjami, przycinając tu i tam moją rozbuchaną prozę, a także domagając się spójności. Zdarzało się, że wskazywał jakiś akapit ze słowami: „To tutaj nie pasuje — przewracał kilka stron i mówił: — A tutaj jak najbardziej". Wtedy natychmiast wiedziałem, że ma zupełną rację, tyle że ja sam nie potrafiłem tego dostrzec.

Colin nie tylko pomagał mi „wygramolić się z trzęsawiska"; dawał mi emocjonalne wsparcie, kiedy natrafiałem na jakąś przeszkodę albo kiedy zaufanie do siebie po chwilowym wzlocie malało niemal do zera.

19 września, 1972 r.

Drogi Panie Haycraft!

Zdaje się, że dopadł mnie jeden z tych jałowych okresów głębokiej depresji, kiedy można tylko albo znieruchomieć, albo chodzić w kółko. Idiotyczność sytuacji polega na tym, że trzeba mi już jedynie trzech dni solidnej pracy, żeby skończyć książkę, ale w tej chwili nie mam pewności co do tego, czy jestem w stanie się na to porwać.

Znajduję się właśnie w nastroju takiej niepewności i poczucia winy, że nie mogę znieść samej myśli, iż na podstawie *Przebudzeń* mógłby zostać zidentyfikowany któryś z pacjentów czy sam szpital. Może to jedna z przyczyn, dla których nie mogę się zdecydować na zamknięcie książki.

Było już po Święcie Pracy[66], Ameryka wróciła do krzątaniny i ja także musiałem wracać do codziennych zajęć w Nowym Jorku. Skończyłem następne jedenaście opowieści, ciągle jednak nie miałem pomysłu na to, jak zakończyć całą książkę.

Od 1969 roku zajmowałem mieszkanie tuż obok Beth Abraham, ale już w październiku nagle wezwał mnie dyrektor szpitala i powiedział, że muszę się wyprowadzić, aby zrobić miejsce jego starej, niedomagającej matce. Odrzekłem, że współczuję jej, ale jak rozumiem, mieszkanie przeznaczone jest dla pełniących dyżur lekarzy szpitalnych i że w takim charakterze przebywałem tam przez ostatnie trzy i pół roku. Odpowiedź ta wyraźnie zirytowała dyrektora, który oznajmił, że skoro podważam jego autorytet, powinienem opuścić nie tylko wspomniane mieszkanie, lecz także szpital. Tak oto za jednym zamachem utraciłem: pracę, pensję, pacjentów oraz przystań domową. (Co prawda, nieoficjalnie dalej odwiedzałem pacjentów do roku 1975, kiedy formalnie zostałem znowu zatrudniony w Beth Abraham).

Mieszkanie, pełne moich rzeczy, włącznie z pianinem, wydawało się ogołocone, kiedy ich zabrakło, ale właśnie w tym opustoszałym pomieszczeniu odebrałem 13 listopada telefon od mego brata, Davida, że nasza matka nie żyje. W trakcie wycieczki do Izraela — a konkretnie: spaceru po pustyni Negew — dostała ataku serca.

Najbliższym samolotem poleciałem do Anglii i wraz z braćmi poniosłem jej trumnę do grobu. Zastanawiałem się, jak będę się czuł w trakcie sziwy. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak zniosę siedzenie cały tydzień na niskim stołku wraz z innymi żałobnikami, przyjmowanie strumienia odwiedzających i nieustanne rozmowy, rozmowy o zmarłej. Tymczasem okazało się, że to dzielenie emocji i wspomnień było głębokim, istotnym i poruszającym doświadczeniem, podczas gdy w samotności myśl o śmierci matki mogłaby mnie zmiażdżyć.

Raptem pół roku wcześniej udałem się do neurolog z Columbii, doktor Margaret Seiden, po tym, jak wybiegając z piwnicy, uderzyłem głową w belkę i uszkodziłem kręgosłup szyjny. Zbadawszy mnie, spytała, czy

moją matką jest „pani Landau”, a kiedy potwierdziłem, oznajmiła, że była jedną z jej studentek. Ponieważ zdecydowanie się u niej nie przelewało, więc matka opłaciła za nią szkołę medyczną. Dopiero kiedy na pogrzebie mamy poznałem jej dawnych studentów, dowiedziałem się, jak wielu z nich pomagała — i nierzadko polegało to na opłaceniu całych studiów. Matka nigdy mi nie opowiadała (nie sądzę zresztą, by mówiła o tym komukolwiek innemu), w jakim stopniu pomagała niezamożnym studentom. Zawsze uważałem ją za oszczędną, a nawet skąpą, a tu dowiadywałem się o jej wielkoduszności. Dopiero poniewczasie zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że miała takie cechy charakteru, o których nie miałem pojęcia.

Jej starszy brat, wuj Dave (nazywaliśmy go wujem Wolframem; to on w dzieciństwie zaciekawił mnie chemią), wiele mi opowiadał o wcześniejszych latach mamy, a były to historie fascynujące, rozbrajające, a niekiedy bardzo śmieszne. Pod koniec tygodnia powiedział:

— Jak będziesz znowu w Anglii, zajrzyj do mnie, żebyśmy ucięli sobie pogawędkę. Jestem już ostatnim z rodziny, który pamięta twoją matkę jako dziecko [67].

Szczególnie poruszył mnie widok tak licznych pacjentów i studentów matki, a także to, jak żywo, emocjonalnie i z humorem ją wspominali. Zyskałem oto możliwość, aby ich oczyma widzieć ją jako lekarkę, nauczycielkę i gawędziarkę, a ich opowieści przypominały mi, że przecież i ja jestem lekarzem, nauczycielem i narratorem, i że właśnie to przez lata coraz bardziej nas zbliżało, dodając nowy wymiar do naszego związku. Poczułem, że jako ostatni hołd dla niej muszę dokończyć *Przebudzenia*. Z każdym kolejnym dniem żałoby rósł mój spokój, a ja tak wyraziście stanąwszy wobec alegorycznej granicy między życiem i śmiercią, niezwykle ostro zaczynałem widzieć, co się naprawdę liczy.

Śmierć matki była dla mnie najboleśniejszą stratą w życiu, oznaczała bowiem zerwanie najgłębszej, a w pewnym sensie chyba także najbardziej realnej mojej relacji. Wieczorem w łóżku nie byłem teraz w stanie czytać nic innego niż Biblię czy *Medytacje* Donne'a.

Kiedy skończyła się formalna żałoba, pozostałem w Londynie i wróciłem do pisania, ale nad wszystkim dominowała myśl o życiu i śmierci matki oraz *Medytacje* Donne'a. I w tym nastroju, w poczuciu, jakiego wcześniej nie znałem, napisałem ostatnią, najbardziej alegoryczną część *Przebudzeń*.

*

Colin nie tylko klarował i łagodził moje nastroje, lecz także czuwał nad wszystkimi — niekiedy tak zawiłymi, że przywodzącymi na myśl wędrówki po labiryncie — poprawkami, aż wreszcie w grudniu książka była ostatecznie skończona. Niedobrze się czułem na Mapesbury, kiedy nie było tu już matki, więc ostatni miesiąc pisania spędzałem głównie w biurach Duckworth w budynku Old Piano Factory, chociaż wieczorami szedłem do domu, żeby zjeść kolację z tatą i Lennie. (Michael, czując, że po śmierci matki pogłębia się jego psychoza, sam udał się do szpitala). Colin dał mi malutki pokoik w wydawnictwie, a ponieważ moja pasja, żeby zmieniać czy poprawiać to, co już napisałem, była wtedy ogromna, umówiliśmy się, że każdą napisaną stronę będę bezzwłocznie wsuwał pod drzwiami. W tym czasie obok krytycznej oceny równie mocno potrzebowałem wsparcia i spokojnego, niemal domowego zacisza.

W grudniu zatem książka była napisana [68]. Colin otrzymał ostatnią stronę i nadszedł czas, by wracać do Nowego Jorku. Czując, że książka jest ukończona, zamówiłem taksówkę na lotnisko, ale już w samochodzie uzmysłowiłem sobie, że pominąłem coś niesłychanie istotnego, bez czego

cała struktura się rozpadała. Czym prędzej dopisałem brakujący fragment i tak rozpoczął się dwumiesięczny okres pospiesznego uzupełniania książki o przypisy. Było to na długo przed erą faksów, niemniej do lutego 1973 roku pocztą ekspresową przesłałem Colinowi ponad czterysta przypisów.

Lennie pozostała w kontakcie z Colinem, który coraz bardziej skarżył się jej, że nieustannie „dłubię” w rękopisie i zalewam go z Nowego Jorku poprawkami, co sprawiło, że bardzo surowo mnie upomniała: „Dość już, niczego więcej nie poprawiaj ani niczym nie uzupełniaj!”.

Mnie Colin powiedział:

— Wszystkie przypisy są fascynujące, ale w sumie są trzy razy dłuższe od samej książki i ją przytłoczą. Mogę się zgodzić najwyżej na kilkanaście.

— Dobrze — przystałem na jego propozycję. — Niech pan je wybierze.

Na co Colin odparł sprytnie:

— Nie, pan to musi zrobić, gdyż inaczej będzie pan miał do mnie pretensje.

I dlatego w pierwszym wydaniu *Przebudzeń* znalazło się tylko kilkanaście przypisów. W ten sposób Lennie i Colin uratowali książkę przed moim niepohamowaniem.

Jak na ironię, to nie kto inny jak Colin kilka miesięcy później zaproponował, aby opóźnić trochę publikację, żeby niektóre fragmenty mogły się ukazać w „The Sunday Times”, na co się nie zgodziłem, gdyż chciałem książkę mieć w rękach przed swoimi urodzinami w lipcu. Kończyłem właśnie czterdzieści lat i chciałem móc powiedzieć: „Dobrze, mam czterdziestkę na karku, młodość już za mną, ale czegoś jednak dokonałem: napisałem tę książkę”. Colin uważał, że to irracjonalne, ale widząc, w jakim jestem stanie ducha, dotrzymał pierwotnej daty wydania: koniec czerwca. (Potem wspomniał, że Gibbon bardzo zabiegał o to, aby

ostatni tom *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego* ukazał się na jego urodziny).

Studiując w Oksfordzie, a potem często go odwiedzając w latach pięćdziesiątych XX wieku, od czasu do czasu widywałem W.H. Audena. Był w Oksfordzie wizytującym profesorem poezji, a rano udawał się do Cadena Cafe, gotów nawiązać rozmowę z każdym. Pomimo jego uprzejmości, ja byłem zbyt nieśmiały, aby do niego podejść, ale w roku 1967 spotkaliśmy się w Nowym Jorku na jakimś koktajl party.

Ponieważ zaprosił mnie do siebie, czasami zaglądałem na herbatę do jego mieszkania przy St. Mark's Place. Była to bardzo dobra pora na rozmowę, gdyż o czwartej kończył pracę, a jeszcze nie zaczynał wieczornego tankowania. Pił bardzo ostro, aczkolwiek z naciskiem podkreślał, że nie jest alkoholikiem, tylko pijakiem. Na moje pytanie, na czym polega różnica, odpowiedział: „Alkoholikowi po kieliszku albo dwóch zmienia się osobowość, ale pijak może wychylić, ile chce. Ja jestem pijakiem". Nie wylewał z pewnością za kołnierz. Niezależnie od tego, czy kolację miał u siebie, czy gdzieś indziej, kończył jeść o dwudziestej pierwszej trzydzieści, zabierając też ze stołu wszystkie butelki. Bez względu na to, ile wypił, nazajutrz o szóstej rano zasiadał do pracy. (Orlan Fox, jego przyjaciel, przez którego się poznaliśmy, mówił, że to najmniej leniwy człowiek ze wszystkich, jakich zna).

Wystan, podobnie jak ja, wychował się w lekarskim domu. Jego ojciec, George Auden, pracował w Birmingham, a był lekarzem wojskowym podczas wielkiej epidemii śpiączkowego zapalenia mózgu. (Doktor Auden szczególnie interesował się tym, jak choroba zmienia osobowość dzieci, i opublikował na ten temat kilkanaście artykułów). Wystan uwielbiał rozmawiać o medycynie i miał słabość do lekarzy. (W *Epistle to a Godson*

znalazły się cztery wiersze dedykowane lekarzom, między innymi i mnie). Wiedząc o tym, zaproponowałem w 1969 roku, żeby odwiedził Beth Abraham i zobaczył moich postencefalitycznych pacjentów. (Potem napisał wiersz *Old People's Home*, ale nigdy nie byłem pewien, czy chodziło o Beth Abraham, czy o inny dom starców).

W 1971 roku napisał bardzo piękną recenzję *Migreny*, co bardzo mnie ucieszyło, ale odegrał też ważną rolę, gdy pisałem *Przebudzenia*, gdyż powiedział: „Będziesz musiał wyjść poza kliniczny żargon... Bądź metaforyczny, bądź mistyczny, nie hamuj się".

*

Na początku 1972 roku Wystan postanowił wyjechać ze Stanów, aby ostatnie dni spędzić w Anglii i Austrii. Początek tej zimy był dla niego bardzo nieprzyjemny, gdyż nie tylko czuł się chory i osamotniony, lecz także miał mieszane myśli, jeśli chodzi o opuszczenie Ameryki, w której żył od tak dawna i którą tak głęboko pokochał.

Po raz pierwszy otrząsnął się z tego nastroju przygnębienia dwudziestego pierwszego lutego, w dzień swoich urodzin. Zawsze je lubił, jak w ogóle wszystkie uroczystości, a te były szczególnie ważne i poruszające. Kończył sześćdziesiąt pięć lat, miały to być jego ostatnie urodziny amerykańskie, więc wydawca zorganizował specjalne przyjęcie, na którym spotkało się niezwykłe grono jego przyjaciół, starych i młodych. (Pamiętam, że obok niego siedziała Hannah Arendt). Dopiero wtedy w pełni doceniłem, jak bogatą osobowością był Wystan, z jak różnymi ludźmi potrafił pozostawać w przyjaźni. Otoczony przez życzliwych ludzi promieniał, wydawał się zupełnie u siebie w domu. A przynajmniej tak to wyglądało: nigdy nie

widziałem go szczęśliwszym. Tyle że zarazem wszystko przenikał smutek pożegnania — coś się kończyło.

Tuż przed jego ostatecznym wyjazdem pomagałem mu wraz z Orlanem Foxem sortować i pakować książki, co było niezłą harówą. Kiedy po kilku godzinach solidnego wysiłku spoceni siedliśmy przy piwie, jakiś czas nie odzywaliśmy się, aż wreszcie Wystan wstał i zwrócił się do mnie: „Weź sobie jakąś książkę czy jakieś książki, cokolwiek chcesz". Widząc moje graniczące z paraliżem stropienie, rzekł: „Dobrze, ja zadecyduję. Oto moje ulubione książki, a przynajmniej dwie z nich".

Z tymi słowami wręczył mi swoje libretto do *Czarodziejskiego fletu* oraz bardzo sfatygowany tom listów Goethego, który przyniósł ze stolika przy łóżku, a który pełen był emocjonalnych uwag, notatek i komentarzy [69].

Z końcem tygodnia — była to sobota, piętnastego kwietnia 1972 roku — razem z Orlanem odwiozłem Wystana na lotnisko. Zjawiliśmy się na nim trzy godziny przed odlotem, gdyż Wystan był obsesyjnie punktualny i zawsze przerażała go myśl, że mógłby nie zdążyć na pociąg czy samolot. (Kiedyś opowiedział mi sen, który często się powtarzał. Bardzo rozgorączkowany spieszył się, żeby zdążyć na pociąg, czując, że zależy od tego wszystko, całe jego życie. Przeszkody mnożyły się jedna za drugą, aż wreszcie pozostał mu już tylko milczący paniczny krzyk. I wtedy znienacka orientował się, że jest już za późno: nie zdążył na pociąg, ale w końcu to wcale nie jest ważne, po czym nawiedzała go ulga graniczą z błogością; doznawał ejakulacji i budził się z uśmiechem na twarzy).

Przyjechaliśmy zatem wcześnie i tych kilka godzin spędziliśmy na rozmowie wędrującej tędy i owędy. Dopiero później, kiedy już wyjechał, zrozumiałem, że przy wszystkich swych niejasnościach i meandrach rozmowa krążyła w istocie wokół jednej kwestii. Było to pożegnanie: z nami, z tymi trzydziestoma trzema latami — połową jego życia — które

spędził w Stanach (tylko na pół żartobliwie określał siebie jako transatlantyckiego Goethego). Na chwilę przed wezwaniem do samolotu podszedł do nas jakiś zupełnie obcy mężczyzna i powiedział:

— Pan musi być Wystanem Audenem... To był dla nas zaszczyt, sir, że mogliśmy pana gościć w naszym kraju. Ilekroć pan tu powróci, będzie pan witany jako gość honorowy i przyjaciel. — Wyciągnął rękę i zakończył słowami: — Do widzenia, panie Auden. Niech pana Bóg błogosławi.

Wystan zaś serdecznie uścisnął podaną mu dłoń. Był bardzo poruszony tym zdarzeniem, w oczach miał łzy. Spytałem go, czy takie spotkania zdarzały mu się często.

— Nawet jeśli często — odpowiedział — to nigdy nie powszednieją. Jest w nich prawdziwa miłość.

Kiedy wylewny nieznajomy dyskretnie się wycofał, spytałem Wystana, jakie jest jego doświadczenie świata: wydaje mu się wielki czy mały.

— Ani taki, ani taki — odrzekł. — Przytulny, przytulny. — A półgłosem dorzucił: — Jak dom.

Nie powiedział nic więcej, bo też nic więcej nie było do powiedzenia. Zagrzmiał bezosobowy głośnik, więc Wystan ruszył do odprawy pokładowej. Tuż przed nią zatrzymał się i ucałował nas obu pocałunkiem boskiego ojca żegnającego się z synami, pocałunkiem błogosławieństwa i rozstania. Nagle wydał mi się straszliwie stary i kruchy, a zarazem tak nobliwy jak gotycka katedra.

*

Kiedy w lutym 1973 roku byłem w Anglii, zawadziłem o Oksford, aby odwiedzić Wystana, który mieszkał wtedy w Christ Church. Chciałem dać mu szczotki *Przebudzeń* (prosił o nie, a poza nim widzieli je tylko Colin

i ciotka Lennie). Dzień był piękny, zamiast więc jechać taksówką ze stacji, postanowiłem się przejść. Trochę mi to zabrało czasu, kiedy więc zobaczyłem Wystana, ten kołysał w ręku zegarek i powiedział:

— Spóźniłeś się siedemnaście minut.

Sporo czasu zabrała nam dyskusja o artykule w „Scientific American", który bardzo poruszył Wystana. Gunther Stent napisał *Prematurity and Uniqueness in Scientific Discovery*, na który Auden odpowiedział, kontrastując intelektualne historie nauki i sztuki (jego tekst ukazał się w numerze lutowym z 1973 roku).

Kiedy wróciłem do Nowego Jorku, dostałem list od Wystana — krótki, bardzo, bardzo miły, datowany na dwudziestego pierwszego lutego („moje urodziny", podkreślił):

> Drogi Oliverze!
>
> Bardzo dziękuję za czarujący list. Przeczytałem *Przebudzenia* i uważam je za arcydzieło, którego Ci gratuluję. Moja jedyna uwaga brzmi: jeśli chcesz, żeby przeczytali je także laicy — jak powinni zrobić — powinieneś dołączyć słowniczek używanych przez Ciebie terminów technicznych.
>
> Z wyrazami miłości
>
> Wystan

Rozpłakałem się, otrzymawszy list Audena. Oto wielki pisarz, który nie zwykł prawić komplementów ani komunałów, nazwał moją książkę „arcydziełem". Czy jednak była to tylko „literacka" ocena? Miały *Przebudzenia* także jakąś wartość naukową? Chciałem w to wierzyć.

Później tej wiosny Wystan znowu do mnie napisał, informując, że „serce jest jakby odrobinę nadaktywne", oraz wyrażając nadzieję, że odwiedzę w Austrii dom, w którym mieszkał z Chesterem Kallmanem. Z jakichś przyczyn nie mogłem pojechać do niego tego lata, czego głęboko żałuję, gdyż zmarł dwudziestego dziewiątego września.

W dniu ukazania się *Przebudzeń*, dwudziestego ósmego czerwca 1973 roku, „The Listener” opublikował wspaniałą recenzję książki autorstwa Richarda Gregory’ego, a także mój artykuł o Łurii (poproszono mnie o recenzję *Świata utraconego i odzyskanego*, co ja wykorzystałem jako okazję do całościowej oceny dzieł Łurii). W następnym miesiącu, ku swemu zachwytowi, dostałem list od samego Łurii.

Opisywał potem, jak mając dziewiętnaście lat, otrzymał list od Freuda (który nie miał pojęcia, że pisze do nastolatka), kiedy założył w Kazaniu dumnie się zwące Towarzystwo Psychoanalityczne. I tak jak on był niegdyś podniecony listem od samego Freuda, tak ja teraz czułem się, trzymając w ręku list od Łurii.

Bardzo mi dziękował za artykuł i szczegółowo odniósł się do wszystkich podniesionych przeze mnie kwestii, w bardzo taktownych, ale zarazem jednoznacznych słowach dając do zrozumienia, że jego zdaniem poważnie się w nich mylę [70].

Kilka dni później nadszedł kolejny list od Łurii, który otrzymał od Richarda egzemplarz *Przebudzeń*:

> Drogi doktorze Sacks!
>
> Dostałem *Przebudzenia* i natychmiast je z wielką przyjemnością przeczytałem. Zawsze uważałem, a nawet byłem pewien, że dobry kliniczny opis przypadków chorobowych ma wielkie znaczenie w medycynie, a zwłaszcza w neurologii i psychiatrii. Na nieszczęście, talent opisowy, tak powszechny u wielkich dziewiętnastowiecznych neurologów i psychiatrów, jest teraz w zaniku, niewykluczone, iż na skutek fundamentalnie błędnego przekonania, że urządzenia mechaniczne i elektryczne mogą zastąpić badanie osobowości. Pański znakomity przykład pokazuje, że ta ważna tradycja szczegółowego badania przypadków może znowu odżyć, i to z jakim wspaniałym skutkiem! Bardzo, bardzo dziękuję za tę wspaniałą książkę!
>
> A.R. Łuria

Zawsze podziwiałem Łurię jako twórcę neuropsychologii i „romantycznej nauki”[71]. Jego list nie tylko sprawił mi radość, lecz także był rodzajem intelektualnego wsparcia, jakiego wcześniej nie zaznałem.

Dziewiątego lipca 1973 roku obchodziłem czterdzieste urodziny. Byłem w Londynie, *Przebudzenia* właśnie się ukazały, urodzinową kąpiel urządziłem sobie w jednym ze stawów w Hampstead Heath, w którym ojciec zanurzył mnie, gdy miałem ledwie kilka miesięcy.

Dopłynąłem do jednej z boi i chwyciwszy się jej, podziwiałem okolicę — mało jest piękniejszych miejsc do pływania — kiedy poczułem, że ktoś mnie łapie pod wodą. Gwałtownie się wzdrygnąłem, a intruz wynurzył się na powierzchnię: przystojny młodzieniec z figlarnym uśmiechem.

Odwzajemniłem uśmiech i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że studiuje na Harvardzie i po raz pierwszy jest w Anglii. Szczególnie zachwycił go Londyn, każdego dnia zwiedza go i ogląda, a wieczorem idzie do teatru albo na koncert. Nocami jednak czuje się bardzo samotny. Miał wracać do Stanów za tydzień. Przyjaciel wyjechał na jakiś czas z miasta i zostawił mu mieszkanie. Może bym go odwiedził?

Zrobiłem to z radością, bez swoich normalnych zahamowań i lęków; szczęśliwy, że jest tak przystojny, że to on wystąpił z inicjatywą, że był tak prostolinijny i bezpośredni, zachwycony faktem, że właśnie miałem urodziny, mogłem więc i jego, i nasze spotkanie potraktować jako prezent.

Poszliśmy do niego, kochaliśmy się, zjedliśmy obiad, po południu udaliśmy się do Tate, a wieczorem do Wigmore Hall, żeby na koniec znowu wylądować w łóżku.

Spędziliśmy razem wspaniały tydzień — dni pełne zdarzeń, intymne noce; szczęśliwy, świąteczny tydzień miłości — ale potem musiał wracać do Stanów. Nie było żadnych dramatów rozstania: lubiliśmy jeden

drugiego, dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie, ale kiedy skończył się nasz tydzień, rozstaliśmy się bez bólu i obietnic.

Bardzo dobrze, że nie miałem zdolności jasnowidza, gdyż po tym miłym urodzinowym flircie przez następnych trzydzieści pięć lat miałem nie uprawiać seksu [72].

Na początku 1970 roku „The Lancet” opublikował moje cztery listy do redakcji, w których opisywałem swoich pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu i ich reakcję na L-dopę. Zakładałem, że przeczyta je tylko garstka zainteresowanych kolegów po fachu, jakież więc było moje zdziwienie, kiedy miesiąc później siostra jednej z pacjentek, Rose R., pokazała mi egzemplarz nowojorskich „Daily News”, które nie tylko przedrukowały jeden z moich listów, lecz także nawet go wyróżniły, opatrując tytułem. Wymachując gazetą, spytała:

— I to ma być tajemnica lekarska?

Chociaż na podstawie opisu w owym liście tylko najbliżsi znajomi czy krewni mogli rozpoznać, o kogo chodzi, byłem równie zaszokowany jak ona. Nawet nie przyszło mi do głowy, że „The Lancet” może udostępnić listy jakiemuś innemu czasopismu, a byłem przekonany, że czasopisma fachowe mają bardzo ograniczony krąg odbiorców.

W połowie lat sześćdziesiątych napisałem kilka bardziej profesjonalnych tekstów — dla takich periodyków jak „Neurology” czy „Acta Neuropathologica” — i nigdzie poza tym się nie ukazały. Teraz jednak z „przebudzeniami” moich pacjentów wkraczałem na znacznie szerszą scenę, a to znaczyło, że staję przed bardzo delikatnymi i często niejednoznacznymi problemami tego, co można, a czego nie można powiedzieć.

Nie mógłbym, rzecz jasna, napisać *Przebudzeń* bez zachęty i pozwolenia ze strony pacjentów, którzy mając poczucie, że zostali porzuceni przez społeczeństwo, wykluczeni z niego i zapomniani, chcieli, aby ich historie stały się szerzej znane. Niemniej po epizodzie z „Daily News” wahałem się, czy wydawać książkę w Stanach Zjednoczonych. Lecz jedna z pacjentek, która dowiedziała się o angielskim wydaniu, napisała do Colina i dostała od niego egzemplarz. W ten sposób sprawa została przesądzona.

*

W przeciwieństwie do *Migreny*, która zyskała pochlebne oceny wśród zwyłych czytelników i w kręgach medycznych, *Przebudzenia* spotkały się z osobliwym powitaniem. Nie tylko były bardzo dobrze oceniane w prasie niespecjalistycznej, lecz także na dodatek otrzymałem w 1974 roku Hawthornden Prize, przyznawaną w kategorii „literatury imaginacyjnej”, co mnie prawdziwie zachwyciło, gdyż w ten sposób znalazłem się na liście laureatów obok Roberta Gravesa i Grahama Greene'a, by nie wspomnieć o Jamesie Hiltonie, autorze *Zaginionego horyzontu*, książki, którą zachwycałem się jako chłopiec.

Tymczasem żaden z kolegów po fachu nawet się nie zająknął. Żadne z medycznych czasopism nie zamieściło recenzji, aż wreszcie w styczniu 1974 roku redaktor dość efemerycznego czasopisma „The British Clinical Journal” napisał, iż jego zdaniem dwa najdziwniejsze wydarzenia ubiegłego roku w Anglii to wydanie *Przebudzeń* oraz brak jakiejkolwiek medycznej reakcji, co nazwał „osobliwą niemotą” profesji [73].

Tak czy owak pięciu znakomitych pisarzy wskazało *Przebudzenia* jako książkę roku i w grudniu 1973 roku Colin wydał przyjęcie zarówno, by uczcić wydanie książki, jak i z okazji Bożego Narodzenia. Wzięło w nim

udział wiele osób, o których wcześniej słyszałem i które podziwiałem, ale nigdy nie tylko nie poznałem, lecz także nawet nie miałem na to nadziei. Zjawił się na przyjęciu ojciec, który powoli wychodził z rocznej żałoby po śmierci matki, a widok tylu znakomitości był dla niego — mającego tyle wątpliwości co do publikacji — bardzo budujący. Dla mnie, czującego się zagubionym i nieznanym, wszystkie te pochwały i komplementy były zaskoczeniem. Jonathan Miller, który też był na przyjęciu, powiedział: „No, teraz jesteś już sławny”.

Mówiąc szczerze, nie bardzo wiedziałem, co to znaczy, gdyż nigdy czegoś takiego od nikogo nie słyszałem.

*

Pojawiła się w Anglii jedna recenzja, która mnie rozdrażniła, chociaż pod wieloma względami wydawała się pozytywna. Pacjenci występowali oczywiście pod pseudonimami, także Beth Abraham otrzymał pseudonim. Nazwałem go Mount Carmel i umieściłem w fikcyjnej miejscowości Bexley-on-Hudson. Recenzent napisał: „To zdumiewająca książka, tym bardziej że Sacks pisze o nieistniejących pacjentach, którzy w nieistniejącym szpitalu cierpią na nieistniejącą chorobę — gdyż w latach dwudziestych XX wieku nie było światowej epidemii śpiączki”. Kiedy pokazałem tę recenzję niektórym z pacjentów, ci zareagowali: „Musisz nas pokazać, bo ludzie nie uwierzą tej książce”.

Dlatego zacząłem pytać wszystkich pacjentów, co by powiedzieli na poświęcony im film dokumentalny. Wcześniej zachęcali mnie do napisania książki: „Nie wahaj się, opowiedz o wszystkim, bo inaczej nikt się nie dowie”, a teraz mówili: „Nie wahaj się, sfilmuj nas. Daj nam samym opowiedzieć o sobie”.

Nie byłem jednak pewien, czy godzi się pokazywać pacjentów na ekranie. To, co dzieje się między nimi a lekarzem, jest poufne i nawet pisanie o tym stanowi w pewnym sensie złamanie zasad, ale przy pisaniu można zmieniać personalia, miejsca oraz różne inne detale. Przy filmie dokumentalnym takie maskowanie jest niemożliwe, gdyż film ujawnia twarze, głosy, szczegóły życia, tożsamość.

Takie miałem wątpliwości, ale kiedy skontaktowało się ze mną kilku producentów filmów dokumentalnych, największe wrażenie zrobił na mnie Duncan Dallas z Yorkshire Television — zwłaszcza z uwagi na to, jak wiedzę naukową łączył z prawdziwie ludzką wrażliwością. Duncan odwiedził Beth Abraham we wrześniu 1973 roku i spotkał się z każdym z pacjentów. Wielu ropoznawał na podstawie ich historii w *Przebudzeniach*. „Znam panią (pana) — zwracał się do niektórych. Zupełnie jakbyśmy się już kiedyś spotkali”.

Pytał także: „A gdzie terapeutka muzyczna? Ona wydaje mi się tutaj najważniejszą osobą”. Miał na myśli Kitty Stiles, niezwykle utalentowaną terapeutkę. W tych czasach terapia muzyczna była w ogóle czymś niezwykłym — nawet jeśli ktoś uważał, że muzyka może mieć jakieś skutki, to traktował je absolutnie marginalnie — natomiast Kitty, która w Beth Abraham pracowała od lat pięćdziesiątych XX wieku, wiedziała, że najróżniejsi pacjenci mogą bardzo silnie reagować na muzykę i nawet ci, którzy ulegli śpiączkowemu zapaleniu mózgu, chociaż często nie są w stanie rozpocząć ruchu świadomie, potrafią, jak my wszyscy, nieświadomie reagować na rytm [74].

Niemal wszyscy pacjenci lgnęli do Duncana, czując, że przedstawi ich obiektywnie i z dyskretną wrażliwością, nie popadając ani w przesadę medyczną, ani w nadmierny sentymentalizm. Wystarczyło, że zobaczyłem, jak szybko narodziły się wzajemne zrozumienie i wzajemny szacunek, bym

zgodził się na kręcenie filmu i już w następnym miesiącu Duncan zjawił się ze swoją ekipą. Niektórzy z pacjentów, rzecz jasna, nie chcieli być filmowani, większość jednak uważała, iż to ważne, aby pokazać ich jako ludzkie istoty, którym przyszło żyć w ogromnie dziwnym świecie.

Duncan wykorzystał niektóre fragmenty filmów kręconych przeze mnie kamerą Super 8 mm w roku 1969, kiedy utrwalałem przebudzenia pacjentów po L-dopie, a potem najróżniejsze ich tarapaty. Dołączył do tego kręcone na żywo rozmowy z chorymi, którzy oceniali tamte zdarzenia i opisywali, jak wygląda ich obecne życie po tym, gdy na tak długo byli wykluczeni ze świata.

Przebudzenia w tej wersji zostały pokazane w Anglii na początku 1974 roku. To jedyna dokumentalna opowieść o ostatnich żyjących ofiarach zapomnianej epidemii oraz o tym, jak ich życie przemieniło się na chwilę dzięki nowemu lekowi, a przede wszystkim także o tym, jak głęboko ludzkimi istotami pozostali na przekór turbulencjom losu.

---

57 Macdonald Critchley w swej biografii Williama R. Gowersa, wiktoriańskiego neurologa (i botanika amatora), pisze, że dla niego „choroba neurologiczna była jak flora tropikalnej dżungli”. Także ja, podobnie jak Gowers, spoglądam niekiedy na swoich pacjentów z ich swoistymi zaburzeniami niczym na odmienne i niezwykłe istoty, odmienne i niezwykłe formy życia.

58 Mniej więcej w tym czasie miałem rozmowę z szefem Einsteina, Labe�em Scheinbergiem.

— Ilu masz pacjentów na L-dopie? — spytał.

— Trzech, sir — odpowiedziałem skwapliwie.

— Daj spokój, Oliver — rzekł Labe. — Ja mam ich trzystu.

— Tak, ale ja o każdym z moich pacjentów dowiedziałem się sto razy więcej — odpaliłem, dotknięty jego sarkazmem.

Ogląd zbiorczy jest potrzebny — szczególnie tam, gdzie chodzi o sprawy całych populacji — ale potrzeba też spojrzenia konkretnego, szczegółowego, osobistego, gdyż niepodobna ustalić natury i wpływu żadnego stanu neurologicznego, jeśli nie uwzględni się indywidualnego stanu pacjentów.

59 W sierpniu 1969 roku o „przebudzeniu" moich pacjentów poinformował „The New York Times" w długim, opatrzonym ilustracjami artykule Israela Shenkera. Opisał między innymi to, co ja nazwałem efektem jo-jo u niektórych moich pacjentów — nagłe oscylacje skutków lekarstwa, zjawisko, które moi koledzy opisali dopiero dobre kilka lat później, nazwawszy je efektem „włączania i wyłączania". Chociaż L-dopa została przedstawiona jako „cudowny środek", ja w słowach zacytowanych w artykule podkreślałem, że koniecznie trzeba brać pod uwagę całość życia oraz sytuacji pacjentów i nie można się skupiać wyłącznie na tym, jak lekarstwo wpływa na ich mózgi.

60 Ale i lękiem, gdyż czytając, nie mogłem się opędzić od myśli: a gdzie tu w ogóle miejsce dla mnie? Łuria zobaczył już, powiedział, napisał i pomyślał wszystko, co ja kiedykolwiek powiem, napiszę czy pomyślę. Tak mnie to sfrustrowało, że przedarłem książkę na pół (musiałem kupić dwa nowe egzemplarze: jeden dla biblioteki, drugi dla siebie).

61 W polskim wydaniu (tłum. J. Przesmycka, PWN, Warszawa 1970) niewiele ponad sto — przyp. tłum.

62 Nie wykluczam, że w jakimś stopniu wpłynęło na mnie to, co William James napisał o swoim nauczycielu, Louisie Agassizie, który „zwykł zamykać ucznia bez żadnych książek do pomocy w pokoju pełnym skorup żółwi, langust czy ostryg, a wypuszczał dopiero wtedy, gdy delikwent wyśledził wszystkie prawdy zamknięte w tych obiektach".

63 Pełna nazwa: 1199: The National Health Care Workers' Union — przyp. tłum.

64 Inaczej miało być podczas strajku w 1984 roku, gdy pikieta nie przepuszczała nikogo przez czterdzieści siedem dni. Przysporzyło to cierpień wielu pacjentom. W liście poinformowałem ojca, że trzydziestu z nich zmarło z powodu braku dostatecznej opieki, chociaż usiłowały im pomóc osoby tymczasowo zatrudnione i pracownicy administracyjni.

65 Raymond Greene z wydawnictwa Heinemann (który pochlebnie zrecenzował *Migrenę*, kiedy się ukazała) chciał zamówić u mnie książkę o parkinsonizmie, „taką jak *Migrena*". Była to dla mnie zarazem zachęta i przeszkoda, gdyż nie chciałem powtarzać samego siebie. Czułem, że potrzebna była zupełnie inna książka, ale nie miałem pojęcia, jaka miałaby być.

66 W USA to pierwszy poniedziałek września — przyp. tłum.

67 Kiedy jednak po kilku miesiącach przyleciałem do Londynu, wuj Dave był już śmiertelnie chory. Odwiedziłem go w szpitalu, ale okazał się zbyt słaby, aby dłużej rozmawiać. Było to więc, niestety, moje pożegnalne spotkanie z wujem, który

w dzieciństwie okazał się dla mnie ważnym mentorem, a ja już nie dowiedziałem się od niego, jaka była moja matka jako dziewczynka.

68 Wraz ze śmiercią matki i zakończeniem *Przebudzeń* (wtedy jeszcze sprawa tytułu nie była przesądzona) poczułem silną potrzebę czytania i oglądania sztuk Ibsena, gdyż wydawało mi się, że mówi wprost do mnie, i to jedynym głosem, jaki byłem w stanie znieść.

Ledwie znalazłem się w Nowym Jorku, natychmiast zacząłem wyszukiwać wszystkie spektakle Ibsenowskie, ale nigdzie nie mogłem trafić na dramat, który chciałem obejrzeć przede wszystkim: *Gdy się zbudzimy spośród zmarłych*. Kiedy wreszcie w połowie stycznia dowiedziałem się, że sztuka grana jest przez niewielki teatr na północy Massachusetts, natychmiast tam wyruszyłem, chociaż pogoda była parszywa, a droga zdradliwa. Nie było to najlepsze przedstawienie, co nie przeszkadzało mojej silnej identyfikacji z targanym poczuciem winy rzeźbiarzem Rubekiem. To wtedy zdecydowałem się na tytuł: *Przebudzenia*.

69 Swoją aparaturę stereo i wszystkie płyty — długogrające, niektóre jeszcze wykonujące 78 obrotów na minutę — zostawił w Nowym Jorku, prosząc, żebym „miał na nie oko”. Trzymałem je potem wiele lat, często odtwarzając, aczkolwiek coraz trudniej było o lampy do wzmacniacza. Na koniec, w roku 2000, przekazałem je archiwum Audena w New York Public Library.

70 Charakter listu zmieniał się w dalszej części, w której Łuria opowiadał niezwykłą historię swego spotkania z Pawłowem. Wyglądający jak Mojżesz starzec (Pawłow był wtedy po osiemdziesiątce) przedarł pierwszą książkę Łurii na pół i cisnął mu pod nogi, krzycząc: „I wy nazywacie siebie naukowcem!”. Epizod ten Łuria przedstawił z taką żywością, że wydobył wszystkie jego komiczne, ale i budzące strach aspekty.

71 Por. *Przebudzenia*, tłum. P. Jaśkowski, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2011, s. 296.

72 Kiedy w roku 2007 zaczynałem pięcioletni kontrakt jako profesor neurologii na Columbii, musiałem przejść wywiad medyczny, aby móc pracować w szpitalu. Towarzyszyła mi Kate, moja przyjaciółka i asystentka, a prowadząca wywiad pielęgniarka w pewnym momencie spytała:

— Teraz chciałabym panu zadać osobiste pytanie. Czy chce pan może, żeby pani Edgar przy tym nie było?

— Nie trzeba — odparłem. — Nie mam przed nią żadnych prywatnych tajemnic. — A ponieważ przypuszczałem, że chce mnie spytać o życie seksualne, to nie czekając na pytanie, wypaliłem: — Nie uprawiałem seksu od trzydziestu pięciu lat.

— Och, biedaku! — zareagowała pielęgniarka. — Trzeba będzie coś z tym zrobić.

Wszyscy roześmieliśmy się, szczególnie kiedy się okazało, że chciała mnie zapytać o numer ubezpieczenia.

73 Dopiero kilka lat później owe dziwne, niestabilne stany, jakie zaobserwowałem u moich pacjentów postencefalitycznych, zostały odnotowane u „normalnych” parkinsoników traktowanych L-dopą. Ze względu na stabilniejszy układ nerwowy efektów można było nie dostrzegać u nich przez lata (podczas gdy u ofiar śpiączkowego zapalenia mózgu pojawiały się w ciągu tygodni lub miesięcy).

74 W roku 1978 Kitty zdecydowała się odejść na emeryturę. Wszyscy sądziliśmy, że osiągnęła normalny wiek sześćdziesięciu pięciu lat, tymczasem dowiedzieliśmy się, że na przekór jej wyglądowi i żywotności ma już lat dziewięćdziesiąt (czy to muzyka była odpowiedzialna za jej młodzieńczość?). Zastąpiła ją młoda i energiczna Connie Tomaino, dyplomowana terapeutka muzyczna, która zaczęła wprowadzać, szeroko zakrojony program terapii muzycznej. W ramach niego badała, jakie podejście muzyczne jest najbardziej odpowiednie dla pacjentów z demencją, jakie dla chorych z amnezją, a jakie dla afatyków. Przez wiele lat współpracowałem z Connie, która ciągle jest w Beth Abraham, obecnie jako dyrektorka Institute for Music and Neurologic Function.

Byk w górach

Po śmierci matki wróciłem do wietrznego Nowego Jorku. Wylany właśnie z Beth Abraham, nie miałem gdzie mieszkać, nie miałem pracy, nie miałem liczących się zarobków.

Raz w tygodniu występowałem jednak jako konsultant w klinice neurologicznej Bronx Psychiatric Center, potocznie zwanej Bronx State. Najczęściej badałem pacjentów, u których rozpoznano schizofrenię czy stany maniakalno-depresyjne, a ja miałem stwierdzić, czy nie towarzyszą temu jakieś dolegliwości neurologiczne. Podobnie jak u mego brata, Michaela, osoby przyjmujące środki uspokajające często miały zaburzenia ruchowe (parkinsonizm, dystonię, późną dyskinezę itd.), które utrzymywały się jeszcze długo po odstawieniu leków. Liczni pacjenci powtarzali mi, że śmiało mogliby żyć ze swoimi zaburzeniami mentalnymi, ale nie ruchowymi, o które ich przyprawialiśmy.

Zdarzali się jednak pacjenci, których symptomy sugerujące psychozę czy schizofrenię były spowodowane bądź zaostrzone przez schorzenia neurologiczne. Na oddziałach Bronx State spotkałem pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu, którego albo w ogóle nie zdiagnozowano, albo zdiagnozowano błędnie, a także osoby z guzami mózgu czy chorobami degeneracyjnymi.

Zajmowało mi to raptem kilka godzin tygodniowo i przynosiło bardzo niewiele pieniędzy. Widząc moją sytuację, dyrektor Bronx State, Leon Salzman (wspaniały człowiek, autor znakomitej książki o osobowości obsesyjnej), zaproponował mi pracę w szpitalu na pół etatu. Przypuszczał,

że szczególnie mnie zainteresuje oddział 23, na którym trzymano młodych pacjentów z najróżniejszymi problemami (autyzm, zapóźnienie rozwojowe, alkoholowy zespół płodowy, stwardnienie guzowate, schizofrenia o wczesnym początku itd.).

Autyzm nie był wtedy szczególnie gorącym tematem, ale mnie bardzo interesował, przyjąłem więc propozycję. Z początku podobała mi się praca na tym oddziale, chociaż zarazem bardzo mnie przygnębiała. Neurolodzy może częściej od innych specjalistów mają do czynienia z tragicznymi przypadkami osób cierpiących na nieuleczalne, uporczywe choroby, które mogą powodować straszliwe cierpienia. Tutaj oprócz wrażliwości, empatii i współczucia konieczna była zdolność dystansowania się, aby nazbyt nie utożsamiać się z pacjentami.

Ale oddział 23 miał też tak zwaną politykę modyfikacji zachowań, w ramach której stosowano system nagród i kar, a pośród tych ostatnich były też „kary terapeutyczne”. Nienawidziłem sposobu, w jaki traktowano niektórych pacjentów, zamykając ich w izolatkach, głodząc lub unieruchamiając. Między innymi przypominało mi to, jak mnie traktowano w dzieciństwie, gdy w internacie byłem razem z innymi chłopcami karany przez kapryśnego i sadystycznego dyrektora — a wtedy na przekór samemu sobie utożsamiałem się z pacjentami.

Obserwowałem ich uważnie, współczułem im i próbowałem jako lekarz wyzwolić ich pozytywne możliwości. Ilekroć było to osiągalne, usiłowałem wciągnąć ich w moralnie neutralną rzeczywistość gry. Z bliźniakami Johnem i Michaelem, sawantami kalendarzowymi i rachunkowymi, gra polegała na szukaniu wspólnego dzielnika albo liczb pierwszych. Z José, graficznie uzdolnionym autystycznym chłopakiem, była to rzeczywistość rysunków i sztuk plastycznych, podczas gdy z Nigelem — autystycznym i najpewniej opóźnionym w rozwoju niemową — kluczem stała się

muzyka. Przetransportowałem na oddział 23 moje stare pianino, a kiedy na nim grałem, zbiegali się wokół niego Nigel i inni młodzi pacjenci. Jeśli muzyka podobała się Nigelowi, wykonywał osobliwe, skomplikowane tańce (w jednym z raportów konsultacyjnych nazwałem go „Niżyńskim-idiotą").

Na Steve'a, także niemego i autystycznego, jak magnes działał stół bilardowy, który znalazłem w szpitalnej piwnicy i przeniosłem na oddział. W błyskawicznym tempie nauczył się uderzeń, a chociaż całymi godzinami wystawał sam przy stole, najwyraźniej lubił grać ze mną. Na ile mogłem się zorientować, było to dla niego jedyne zachowanie uwzględniające inną osobę. Jeśli nie zajmował się bilardem, był nadaktywny, nieustannie w ruchu, nieustannie podnoszący i eksplorujący przedmioty na pół kompulsywnie, a na pół zabawowo, co często można zaobserwować u osób z zespołem Tourette'a czy zaburzeniami płatów czołowych.

Zafascynowany tymi pacjentami zacząłem o nich pisać już na początku roku 1974. Do kwietnia miałem skończone dwadzieścia cztery opowieści, co, pomyślałem, zupełnie wystarczy na niewielką książkę.

Był to oddział zamknięty, a jako taki okazywał się szczególnie trudny dla Steve'a. Siadał czasami przy oknie czy przeszklonych drzwiach, marząc o tym, aby znaleźć się na zewnątrz, dokąd personel nigdy go nie wyprowadzał. „Ucieknie — mówili. — Jak tylko będzie miał możliwość, zaraz da drapaka".

Bardzo mi go było szkoda, a chociaż nic nie mówił, czułem ze sposobu, w jaki na mnie patrzył i odnosił się do mnie przy stole bilardowym, że ode mnie by nie uciekł. Porozmawiałem z kolegą — psychologiem z Bronx Developmental Services, dziennej poradni, w której także miałem cotygodniowe konsultacje — a ten, obejrzawszy Steve'a, zgodził się, że we dwóch bezpiecznie możemy wyjść z nim na zewnątrz. Z tym pomysłem

poszedłem do doktora Taketomo, szefa oddziału 23, który starannie wszystko rozważywszy, zgodził się, mówiąc: „Jeśli weźmiecie go, to będziecie za niego odpowiadać, dlatego musicie zadbać, żeby wrócił bezpiecznie i zdrowo”.

Steve był zdumiony, kiedy wyszliśmy z oddziału, ale chyba rozumiał, że gdzieś się wypuszczamy. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do odległego o dziesięć minut nowojorskiego ogrodu botanicznego. Steve kochał rośliny, a że był maj, bez kwitł na potęgę. Zachwyciły go trawiaste dolinki i rozległość wolnej przestrzeni. W pewnej chwili zerwał kwiat, przyjrzał mu się i wypowiedział pierwsze słowo, jakie ktokolwiek z nas od niego usłyszał:

— Dmuchawiec.

Dosłownie nas zamurowało, gdyż nie podejrzewaliśmy, że Steve jest w stanie rozpoznać jakikolwiek kwiat, a co dopiero nazwać go. Spędziliśmy w ogrodzie około pół godziny, a z powrotem jechaliśmy wolno, żeby Steve mógł się przyjrzeć tłumom i sklepom przy Allerton Avenue, pulsowaniu życia, od którego tak był odcięty na oddziale 23. Przez chwilę opierał się przed wejściem do szpitala, ale miałem wrażenie, iż rozumie, że będą jeszcze kolejne spacery.

Wydawało się, że personel, który jednogłośnie był przeciwny wycieczce i prorokował, że wszystko skończy się katastrofą, wydawał się wściekły, kiedy opisywaliśmy, jak dobrze Steve się zachowywał w ogrodzie, jaki był szczęśliwy i że wypowiedział pierwsze słowo. W każdym razie wszyscy patrzyli na nas ponuro.

Zawsze unikałem dużych środowych spotkań personelu, ale dzień po naszej wyprawie ze Steve’em doktor Taketomo nastawał, abym przyszedł. Bałem się tego, co mogę usłyszeć, a jeszcze bardziej tego, co mogę powiedzieć, a obawy te okazały się uzasadnione.

Główny psycholog szpitalny oznajmił, że moja koncepcja „gier” niezwiązanych z zewnętrznymi nagrodami i karami torpedowała dobrze obmyślony program modyfikacji zachowań, który realizowano z powodzeniem. W odpowiedzi nie tylko broniłem wartości gry i zabawy, lecz także skrytykowałem model nagradzania i karania. Moim zdaniem, mówiłem, oznacza to tak monstrualne musztrowanie pacjentów w imię nauki, że chwilami graniczy to z sadyzmem. Moje oświadczenie nie spotkało się z życzliwym przyjęciem i całe posiedzenie zakończyło się gniewnym milczeniem.

Dwa dni później Taketomo wezwał mnie i powiedział:

— Pojawiły się plotki, że wykorzystuje pan seksualnie młodych pacjentów.

Zaszokowany odparłem, że coś takiego nigdy by mi nawet nie przyszło do głowy. Uważałem pacjentów za swoich podopiecznych, za których jestem odpowiedzialny, i mając nad nimi przewagę jako terapeuta, nigdy bym jej nie wykorzystał na ich szkodę. Z rosnącym gniewem dorzuciłem:

— Może wie pan o tym, że kolega i biograf Freuda, Ernest Jones, jako młody neurolog pracował w Londynie z dziećmi opóźnionymi w rozwoju i mającymi zaburzenia umysłowe do chwili, gdy zaczęto plotkować, że wykorzystuje je seksualnie. Na skutek tych pogłosek musiał opuścić Anglię i udać się do Kanady.

— Owszem, wiem — odparł Taketomo. — Napisałem biografię Ernesta Jonesa.

W pierwszym odruchu chciałem wykrzyczeć mu prosto w twarz: „Ty kurewski durniu, czemuś mnie w to wpakował?!”, ale nie zrobiłem tego. Zdaje się, iż był zdania, że jako mediator stara się zapewnić kulturalną dyskusję.

Udałem się do Leona Salzmana i przedstawiłem mu całą sytuację. Był bardzo miły, współczuł mi, uważał jednak, że najlepiej będzie, jeśli opuszczę oddział 23. W gigantycznym, nawet jeśli irracjonalnym poczuciu winy z powodu tego, że porzucam pacjentów, ostatniego wieczoru dwadzieścia cztery napisane opowieści cisnąłem w ogień. Czytałem, że Jonathan Swift w przypływie desperacji rzucił rękopis *Podróży Guliwera* w płomienie, z których wyciągnął go jego przyjaciel, Alexander Pope. Byłem jednak sam, bez żadnego Pope'a, który uratowałby moją książkę.

Dzień po tym, jak opuściłem szpital, Steve uciekł z niego, wspiął się na Throgs Neck Bridge, ale na szczęście schwycono go, zanim zdążył skoczyć. To uświadomiło mi, że moje nagłe, wymuszone opuszczenie pacjentów było dla nich co najmniej równie trudne i niebezpieczne jak dla mnie.

Rozstawałem się z oddziałem 23 pełen poczucia winy, wyrzutów sumienia i wściekłości. Winy, gdyż pozostawiałem pacjentów, wyrzutów sumienia, gdyż zniszczyłem książkę, wściekłości, gdyż mnie zniesławiono. Oskarżenia były fałszywe, ale sprawiły, że poczułem się okropnie, zacząłem więc myśleć, by to, co na temat prowadzenia oddziału wypowiedziałem w kilku niefortunnych słowach na środowym zebraniu, wyjawić teraz całemu światu w demaskatorskiej książce, którą chciałem zatytułować „Oddział 23".

Zaraz po opuszczeniu oddziału wyjechałem do Norwegii, uznałem bowiem, że to dobre, spokojne miejsce na pisanie mojej diatryby. Tymczasem czekał mnie ciąg następujących jeden po drugim, coraz cięższych wypadków. Najpierw, daleko wypłynąwszy łódką na Hardangerfjord, jeden z największych w Norwegii fiordów, na skutek swej niezdarności straciłem wiosło. Jakoś zdołałem wrócić, mając do dyspozycji

tylko jedno, ale zabrało to wiele godzin i raz czy dwa zwątpiłem, czy w ogóle się uda.

Nazajutrz wyruszyłem na małą wycieczkę górską: samotnie i nikogo nie informując, dokąd się wybieram. U stóp podejścia zobaczyłem znak z norweskim napisem, który znaczył: „Uwaga, byk!” i z malutkim rysunkiem, na którym byk wyrzucał w powietrze człowieka, co uznałem za wyraz norweskiego poczucia humoru, bo kto trzyma byki w górach.

Szybko zapomniałem o tym rysunku, ale kiedy kilka godzin później nonszalancko wychodziłem sobie zza wielkiego głazu, nagle znalazłem się oko w oko z wielkim bykiem leżącym w poprzek ścieżki. „Przestrach” jest zbyt łagodnym słowem na określenie tego, co poczułem, trwoga zaś spowodowała osobliwą halucynację, gdyż wydawało mi się, że pysk byka wypełnia cały wszechświat. Bardzo ostrożnie, jakby mi właśnie przyszło do głowy, żeby w tym miejscu zakończyć wycieczkę, odwróciłem się i zacząłem schodzić, ale potem nagle zawiodły mnie nerwy, panika wzięła górę i puściłem się biegiem po błotnistej, śliskiej dróżce. Za sobą usłyszałem głośny tupot i ciężki oddech (goniący mnie byk?) i nagle — zupełnie nie wiem jak — znalazłem się u stóp wzgórza z nogą groteskowo podwiniętą pod siebie.

W skrajnych sytuacjach możliwe są dziwne rozkojarzenia. Moja pierwsza myśl brzmiała, że ktoś miał wypadek, bardzo nieprzyjemny, i dopiero potem sobie uświadomiłem, że tym kimś jestem ja. Spróbowałem wstać, ale noga się ugięła niczym pasemko spaghetti — była zupełnie bezwładna. Zbadałem kończynę bardzo profesjonalnie, jak ortopeda prezentujący uraz grupie studentów. „Jak państwo widzą, ścięgno mięśnia czworogłowego zupełnie zerwane, rzepkę da się poruszyć to w jedną, to w drugą stronę, kolano można w ogóle obrócić, o, proszę”. Wrzasnąłem przy tym, co skomentowałem: „Pacjent reaguje krzykiem”, znowu dopiero

teraz uświadamiając sobie, że nie jestem bynajmniej profesorem demonstrującym zranionego pacjenta, lecz właśnie zranionym pacjentem. Jako laseczki spacerowej używałem parasola, teraz więc odłamałem rączkę, a jego korpusu użyłem jako łubka, przytwierdzając go do nogi paskami materiału, które oderwałem z anoraka. Teraz zacząłem opuszczać się po stoku, podpierając się od tyłu na rękach. Robiłem to zrazu bardzo delikatnie i cicho, gdyż bałem się, że byk może być gdzieś w pobliżu.

Przeżyłem bardzo wiele emocji, kiedy tak dźwigałem w dół siebie i swą bezużyteczną nogę. Nie zobaczyłem bynajmniej rozwijającej się przede mną taśmy życia, natomiast przewinęło się wiele, bardzo wiele wspomnień, niemal wszystkie dobre, piękne — wspomnienia letnich popołudni, bycia kochanym, otrzymywania podarunków, ale i radości, że mogłem się czymś odwdzięczyć. Najważniejsze, myślałem, że napisałem jedną dobrą książkę, ba, wielką książkę, wtedy jednak uświadomiłem sobie, że używam czasu przeszłego dokonanego, a wówczas pojawił się w głowie i nieustannie powracał wers z wiersza Audena: „I niechaj wszystko, co na koniec pomyślisz, będzie bez reszty podzięką” [75].

Minęło niemal osiem godzin, a ja byłem w stanie bliskim szoku. Noga bardzo napuchła, ale na szczęście nie krwawiła. Niedługo będzie ciemno, temperatura już spadała. Nikt mnie nie szukał, bo nikt nie wiedział, gdzie jestem. Nagle usłyszałem jakieś głosy. Spojrzałem w górę i na grani zobaczyłem dwie postacie: mężczyzny ze strzelbą i obok kogoś wyraźnie od niego mniejszego. Zeszli na dół i mnie wyratowali, a ja potem uznałem, że ocalenie od niemal pewnej śmierci jest prawdopodobnie jednym z najsłodszych doświadczeń w życiu.

*

Przewieziono mnie samolotem do Anglii, gdzie po czterdziestu ośmiu godzinach zoperowano zerwane ścięgno mięśnia czworogłowego, a także poszarpany mięsień. Minęły jednak dwa tygodnie czy więcej od operacji, a ja nie tylko nie mogłem poruszyć chorą nogą, lecz nawet jej nie czułem. Wydawała się obca, nie należała do mnie, co napełniało mnie zdziwieniem i głębokim stropieniem. Zrazu pomyślałem, że w efekcie znieczulenia musiałem doznać wylewu do mózgu. Potem przyszło mi na myśl, iż może to przypadek histerycznego porażenia. Okazało się, że nie potrafię klarownie wyjaśnić, co się ze mną dzieje, chirurgowi, który mnie operował, a on rzekł tylko: „Jest pan wyjątkowy, panie Sacks. O niczym takim wcześniej nie słyszałem”.

Ostatecznie wraz z tym, jak odbudowywały się nerwy, mięsień czworogłowy odżył — najpierw w postaci fascykulacji, drobniutkich drgnięć pęczków włókien w mięśniu dotąd bezwładnym i nieczułym, potem zdolności do tego, by świadomie lekko go kurczyć, a następnie napinać (ponieważ przez poprzednie dwanaście dni był jak galareta), aż wreszcie uniesienia nogi, co wymagało poruszenia biodrem, aczkolwiek był to ruch nieciągły, słaby i szybko powodujący zmęczenie.

To był moment, w którym zabrano mnie do pokoju zabiegowego, aby zdjąć gips i usunąć szwy. Po zdjęciu gipsu noga wydawała się zupełnie obca, nie „moja”, zupełnie jak woskowy model z muzeum anatomicznego, a wyciągania szwów w ogóle nie czułem.

Z nowym opatrunkiem na nodze zostałem zawieziony na oddział fizjoterapeutyczny, aby mnie tam postawiono i mną pomaszerowano. Używam takiej dziwnej biernej konstrukcji, ponieważ sam zapomniałem, jak się aktywnie staje i chodzi. Postawionego na stopy, usiłującego na nich stanąć, nagle zalały mnie zmieniające się obrazy lewej nogi: wydawała się

to bardzo długa, to znów bardzo krótka; to chudziutka, to bardzo masywna. Zabrało minutę czy dwie, zanim obrazy te nabrały względnej stabilności. Wyobrażałem sobie, że mój układ proprioceptywny przekalibrowywał się, dostosowując do strumienia informacji sensorycznych i pierwszych kaszlących informacji motorycznych z nogi, która od dwóch tygodni była pozbawiona czucia i ruchu. Kiedy próbowałem nią poruszyć, czułem się, jakbym sterował kończyną robota: z rozmysłem, eksperymentalnie, każdym krokiem z osobna. I wtedy znienacka „usłyszałem" z halucynacyjną siłą wspaniały, rytmiczny pasaż z koncertu skrzypcowego Mendelssohna. (Jonathan Miller przyniósł mi do szpitala taśmę, więc ciągle jej słuchałem). Okazało się, że z tą muzyką w głowie jestem w stanie iść, odzyskać (jak to określają neurolodzy) „kinetyczną melodię" chodzenia. Kiedy owa wewnętrzna muzyka urywała się na kilka chwil, przystawałem i ja. Aby być w ruchu, potrzebowałem Mendelssohna. Wystarczyła jednak godzina, bym odzyskał płynny, automatyczny chód i odtąd nie było mi już potrzebne wyobrażenie muzycznego akompaniamentu.

Dwa dni później przeniesiono mnie do Caenwood House, dawnej hrabiowskiej siedziby w Hampstead Heath, w której dziś znajduje się sanatorium. Spędziłem tam miesiąc niezwykle intensywnego życia towarzyskiego. Odwiedzili mnie nie tylko tata i Lennie, lecz także bracia: David (który załatwił mi transport lotniczy z Norwegii i natychmiastowe przyjęcie do szpitala w Londynie), a nawet Michael. Przychodzili kuzyni, kuzynki, krewniacy, krewniaczki, sąsiedzi, koledzy z *szuł* i niemal codziennie obaj moi starzy przyjaciele, Jonathan i Eric. Wszystko to — w połączeniu z poczuciem, że uratowano mnie od śmierci, a na dodatek codziennie staję się bardziej mobilny i niezależny — nadało tygodniom spędzonym w sanatorium osobliwie odświętny charakter.

Tata przychodził niekiedy po swych porannych konsultacjach (miał wprawdzie osiemdziesiątkę, ale ciągle mnóstwo pracy). Nagle zależało mu na odwiedzaniu w Caenwood wiekowych parkinsoników i śpiewaniu z nimi piosenek z czasów I wojny światowej; chociaż wielu z nich ledwie potrafiło wypowiedzieć pojedyncze słowa, mogli śpiewać, kiedy już raz ojciec ich do tego nakłonił. Popołudniami zjawiała się Lennie. Całymi godzinami siedzieliśmy i gawędziliśmy w miękkim październikowym słońcu. Kiedy stałem się już bardziej ruchliwy i kule zastąpiła laska, szliśmy do miejscowych herbaciarni na Hampstead czy w Highgate Village.

Zdarzenie z nogą nauczyło mnie w jedyny chyba możliwy sposób, jak czyjeś ciało i przestrzeń wokół są mapowane w mózgu i jak owo ośrodkowe mapowanie może zostać głęboko naruszone przez uszkodzenie kończyny, zwłaszcza jeśli towarzyszą mu jej unieruchomienie i zamknięcie w opatrunku. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tak wyraźnie własnej kruchości i śmiertelności. W dawnych czasach szaleństw na motocyklu pozwalałem sobie na skrajną brawurę; przyjaciele powtarzali, że jeżdżę tak, jakbym był nieśmiertelny czy niezniszczalny. Od norweskiego wypadku i otarcia się o śmierć — strach i oględność wkroczyły w mojej życie i na dobrą sprawę nigdy już mnie nie opuściły, czasami słabsze, czasami silniejsze. Beztroskie życie zastąpiła niejaka ostrożność. Czułem, że tak oto skończyła się młodość i wkroczyłem w wiek średni.

Niedługo po wypadku Lennie zorientowała się, że być może powstanie o nim książka. Bardzo lubiła widzieć mnie pochylonego nad notesem z piórem w ręku. („Żebyś się nie ważył sięgać po długopis!” — ostrzegała, a jej cudownie czytelne, okrągłe litery zawsze wychodziły spod wiecznego pióra).

Colina bardzo zaniepokoiła wiadomość o pechowym zdarzeniu, ale zafascynowany wysłuchał mojej opowieści o tym, jak do niego doszło i co

się ze mną działo w szpitalu. „Znakomity materiał! — zawołał. — Musisz o tym napisać!”. A po chwili zastanowienia dodał: „Tak to brzmi, jakbyś już pisał książkę”. Kilka dni później przyniósł mi atrapę książki, którą przygotował (okładka i siedemset stron czystego, kredowego papieru), żebym miał w czym pisać na szpitalnym łóżku. Byłem zachwycony tak wielkim notatnikiem — nigdy w życiu nie miałem większego — i starannie opisywałem w nim swoją niezamierzoną podróż do neurologicznego czyśćca i z powrotem. (Inni pacjenci, widząc mnie z tym ogromnym notatnikiem, powtarzali: „Cholerny szczęściarz — my po prostu chorujemy, a on będzie miał o tym książkę”). Colin często się zjawiał, aby sprawdzić postępy — mojej książki i mojej rekonwalescencji — często przychodziła też jego żona, Anna, która przynosiła owoce i wędzonego pstrąga.

Książka miała traktować o utracie i odzyskaniu kończyny. Ponieważ poprzednią nazwałem *Przebudzenia*, teraz myślałem o tytule „Odrodzenie” bądź czymś podobnym.

Szybko jednak zaczęły się wyłaniać przede mną problemy, których wcześniej nie znałem, gdyż teraz, pisząc, musiałem na nowo przeżywać wypadek, pasywność zmory związanej z byciem pacjentem, a co więcej, odsłonić swoje bardzo intymne przeżycia w sposób, o którym mowy być nie mogło w moich bardziej „doktorskich” publikacjach.

Nie były to jedyne kłopoty. Reakcje na *Przebudzenia* zachęciły mnie, ale także trochę speszyły. Auden i inni powiedzieli to, o czym ledwie śmiałem pomyśleć: że była to ważna książka, ale jeśli tak, to jakże mam raz jeszcze dokonać czegoś podobnego? Zarazem skoro *Przebudzenia*, z całym bogactwem ich klinicznych obserwacji, zostały zignorowane przez moich kolegów, to czego miałem się spodziewać po książce poświęconej szczególnym i bardzo osobistym doświadczeniom jednej jedynej osoby, którą byłem ja?

W maju 1975 roku miałem gotowy pierwszy szkic „Odrodzenia” (za radą Jonathana Millera zmieniłem potem tytuł na *Stanąć na nogi*) i podobnie jak Colin sądziłem, że rzecz bardzo szybko powinna być gotowa do publikacji. Ba, Colin był o tym tak przekonany, że zamieścił tę pozycję w swoim katalogu wydawniczym na rok 1976/1977. Ponieważ Millerowie wyjechali na sierpień do Szkocji, pozwolili mi korzystać z ich londyńskiego domu, który znajdował się tak blisko mieszkania Colina, jak to tylko możliwe, gdyż dokładnie naprzeciw. Czy można było sobie wyobrazić bardziej obiecującą sytuację? A tymczasem, o ile bliskość Colina okazała się tak korzystna w przypadku *Przebudzeń*, tym razem stało się odwrotnie. Pisałem zawsze rano, popołudnia wykorzystywałem na spacery i pływanie, a wieczorami koło siódmej, ósmej przychodził Colin. Był już wtedy po kolacji, do której najczęściej sporo wypijał, stawał się więc zwykle podekscytowany, drażliwy i kłótliwy. Sierpniowe wieczory były gorące i duszne, ponadto może coś go irytowało w rękopisie czy we mnie, gdyż ja z kolei czułem się tego lata spięty i niepewny siebie. Brał napisaną przeze mnie stronę, czytał zdanie lub akapit, a potem natychmiast zaczynał krytykować: ton, styl, treść. Znęcał się niemiłosiernie nad każdym zdaniem, każdą myślą, a przynajmniej tak mi się wydawało. Miałem wrażenie, że nie znajduję nic z jego dawnego humoru i życzliwości, a ich miejsce zajęła krytyka tak surowa, że aż cierpła mi skóra. Trudno się więc dziwić, że po takiej wieczornej sesji miałem ochotę porwać na strzępy efekt całodziennej pracy, a sama książka wydawała mi się chybionym pomysłom, nad którym nie warto dalej pracować.

Lato 1975 roku kończyło się zatem pod złym znakiem, co źle rokowało, jeśli chodzi o przyszłość (aczkolwiek muszę przyznać, że już nigdy potem Colin nie był taki napastliwy). Tak czy owak *Stanąć na nogi* nie powstało w tym roku.

Lennie zaczynała się o mnie martwić: *Przebudzenia* były skończone, ze *Stanąć na nogi* były kłopoty, a ja nie miałem żadnego innego pomysłu, który by mnie fascynował. „Mam gorącą nadzieję, że rychło trafi się odpowiednia dla ciebie praca, a jestem też przekonana, że niezależnie od tego, czy jesteś w nastroju, czy nie, koniecznie musisz pisać". Dwa lata później dodała: „Daj już sobie spokój z tą książką o nodze i bierz się za następną".

*

W trakcie kolejnych kilku lat miało powstać sporo wersji *Stanąć na nogi*, każda dłuższa i bardziej skomplikowana od poprzedniej. Także listy, które słałem Colinowi, były niezwykle długie: jeden — z 1978 roku — liczył pięć tysięcy słów, a dołączone do niego postscriptum — dwa tysiące.

Pisałem także do Łurii, który cierpliwie i mądrze odpowiadał na moje epistoły. Wreszcie, widząc, jak się bez końca szamoczę z myślami o książce, przysłał mi lakoniczny telegram: „DO ROBOTY!".

W ślad za depeszą nadszedł list, w którym napisał o „echu uszkodzeń nerwowych w układzie ośrodkowym" i ciągnął: „Odkrywa Pan zupełnie nowy obszar (...) Proszę koniecznie opublikować swoje obserwacje, może w ten sposób uda się Panu jakoś przyczynić do zmiany »weterynaryjnego« podejścia do schorzeń nerwów obwodowych i utorowania drogi do głębszej, bardzo humanistycznej medycyny".

Pisanie jednak ciągnęło się i ciągnęło, w czym niebagatelną rolę odgrywał fakt, że nieustannie niszczyłem to, co napisałem — a *Stanąć na nogi* okazało się boleśniejsze i trudniejsze od wszystkiego, co stworzyłem dotychczas. Wielu moich przyjaciół (a zwłaszcza Eric), mając wrażenie, że

zaczynam z wolna popadać w obsesję, namawiało mnie, żebym dał sobie spokój.

W 1977 roku odwiedził Nowy Jork mój dawny mentor neurologiczny z UCLA, Charlie Markham. Bardzo go lubiłem i dobrze wspominałem czas spędzony pod jego kierunkiem na badaniu zaburzeń ruchu. Po obiedzie zaczął mnie wypytywać o pracę, po czym zawołał:

— W takim razie jesteś bezrobotny! — Kiedy odparłem, że mam co robić, spytał: — No dobrze, jakie masz stanowisko?

(On otrzymał właśnie katedrę neurologii na UCLA).

— Robię to, na czym polega medycyna — odparłem, co Charlie zbył jednak prychnięciem i lekceważącym gestem.

To, na czym polega medycyna, zacząłem czuć w latach „przebudzeń" moich pacjentów, kiedy mieszkałem tuż obok szpitala, czasami spędzałem z nimi po dwanaście, piętnaście godzin dziennie, z chęcią ich u siebie witałem, niektórzy z nich, bardziej aktywni, zachodzili do mnie w niedzielę rano na kakao, niektórych zabierałem do nowojorskiego ogrodu botanicznego, który leżał naprzeciw szpitala. Kontrolowałem podawane im leki i ich dawki, śledziłem ich często niestabilne stany neurologiczne, ale przede wszystkim starałem się najlepiej, jak potrafiłem, pomóc im żyć pełnią życia — taką pełnią, na jaką pozwalały ich cielesne ograniczenia. Czułem, że jądrem moich poczynań jako lekarza było odblokowanie życia tych, którzy przez wiele lat trwali unieruchomieni i ograniczeni murami szpitalnymi.

Chociaż teraz nie miałem żadnego stanowiska w Beth Abraham ani nic mi tam nie płacono, regularnie odwiedzałem szpital. Zbyt bliscy byli mi pacjenci, abym mógł zerwać z nimi całkowicie kontakt, co nie stało na przeszkodzie temu, że zacząłem widywać pacjentów w innych miejscach:

nowojorskich domach opieki, od Staten Island po Brooklyn i Queens[76]. W ten sposób zostałem perypatetycznym neurologiem.

W niektórych z tych miejsc, ogólnie określanych mianem „ośrodków", byłem świadkiem tego, jak człowieczeństwo może być bez reszty podporządkowane medycznej arogancji zbrojnej w technikę. Niekiedy były to przypadki zaniedbań rozmyślnych i kryminalnych: pacjentami nikt się nie interesował całymi godzinami, a jeśli już się interesował, to tylko po to, aby ich dręczyć fizycznie czy umysłowo. W jednym z owych „ośrodków" spotkałem pacjenta ze złamanym biodrem, który ignorowany przez personel cierpiał, leżąc w kałuży uryny. Poznałem domy opieki, w których troszczono się o pacjentów, ale tylko w ramach podstawowej opieki medycznej. Tym, którzy trafiali do takich domów, potrzebne były sens życia, tożsamość, godność, szacunek do siebie, a także jakiś stopień autonomii, tę jednak potrzebę ignorowano i lekceważono; opieka była czysto mechaniczna i medyczna.

Takie domy opieki jawiły mi się jako równie straszliwe jak oddział 23, a w pewnym sensie także bardziej dręczące, bo nie mogłem się opędzić od myśli, czy nie stanowią one „modelowych" zapowiedzi przyszłości.

Zupełne przeciwieństwo owych „ośrodków" znalazłem w domach dla starców prowadzonych przez siostry małe ubogich.

Po raz pierwszy usłyszałem o nich, będąc jeszcze chłopcem, gdyż oboje moi rodzice byli konsultantami w londyńskich domach zakonu: ojciec jako lekarz ogólny, matka jako chirurg. Ciotka Lennie niezmiennie powtarzała: „Oliver, jeśli będę miała wylew czy z innego powodu stanę się niedołężna, umieść mnie u małych sióstr, u nich jest najlepsza na świecie opieka".

Domy sióstr ubogich koncentrują się na życiu, na tym, aby ich podopiecznym zapewnić życie na tyle pełne treści, na ile pozwalają ich ograniczenia i potrzeby. Niektórzy są po wylewach krwi do mózgu,

niektórzy cierpią na demencję czy parkinsonizm, niektórzy mają choroby „internistyczne” (raka, rozedmę płuc, dolegliwości sercowe itd.), niektórzy są niewidomi czy głusi, a są też tacy, którzy wprawdzie cieszą się niezłym zdrowiem, ale osamotnieni i porzuceni tęsknią za ludzkim ciepłem i kontaktem ze wspólnotą.

Prócz opieki medycznej siostry małe zapewniają wszelką inną możliwą terapię: fizyczną, czynności codziennych, językową, muzyczną, a także (jeśli trzeba) psychoterapię i poradę. Oprócz tego dbają o (nie mniej terapeutyczne) takie zajęcia, jak uprawianie ogrodu czy gotowanie. Niektórzy z mieszkańców są przypisani do pewnych ról — na przykład pomagają w pralni czy grają na organach w kaplicy — inni troszczą się o konkretne zwierzęta. Częste są wyprawy do muzeum, na wyścigi konne, do teatru czy parku. Ci z lokatorów, którzy mają rodziny, mogą podczas weekendów jeść z nimi posiłki i zostawać u nich na święta. Domy są często odwiedzane przez dzieci z pobliskich szkół, które spontanicznie nawiązują kontakty z ludźmi starszymi od nich o siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat i nierzadko z chęcią podtrzymują te emocjonalne związki. Religia jest ważna, ale niekonieczna: nie ma wspólnych modlitw, kazań, ewangelizacji, żadnego przymusu religijnego. Nie wszyscy też mieszkańcy są osobami wierzącymi, aczkolwiek same zakonnice są głęboko religijne; bez takiego głębokiego zaangażowania trudno sobie wyobrazić tak intensywną opiekę[77].

Może (kto wie nawet, czy nie musi) pojawić się trudny okres związany z zamianą własnej siedziby na dom wspólny, ale zdecydowana większość tych, którzy zostają przyjęci do domu sióstr małych, potrafi sama też przyłożyć się do tego, aby wieść życie sensowne i radosne — niekiedy bardziej niż przez ostatnie lata — gdyż wiedzą, że wszystkie ich problemy

medyczne będą rozsądnie obserwowane i traktowane, a kiedy nadejdzie czas, będą mogli umrzeć spokojnie i godnie.

Wszystko jest kontynuacją starej tradycji opieki i troski, którą małe siostry podtrzymują od lat czterdziestych XIX wieku, a która sięga działań Kościoła w średniowieczu (co w poruszający sposób Victoria Sweet opisała w *God's Hotel*), ale wzbogacone jest o najlepsze elementy, które może zaoferować współczesna medycyna.

Chociaż więc wspomniane ośrodki rozczarowały mnie na tyle głęboko, że szybko przestałem do nich zaglądać, małe siostry bardzo mnie inspirują i uwielbiam odwiedzać prowadzone przez nie domy. W niektórych z nich bywam się już od ponad czterdziestu lat.

Na początku roku 1976 otrzymałem list od Jonathana Cole'a, który studiował medycynę w Middlesex w Londynie. Pisał, jak bardzo podobały mu się *Migrena* i *Przebudzenia*. Wspomniał, że zanim podjął pracę w klinice, przez rok zajmował się w Oksfordzie neurofizjologią zmysłów, a na koniec spytał, czy mógłby u mnie spędzić swój trwający mniej więcej dwa miesiące okres przeznaczony na wybór specjalizacji. „Chciałbym — pisał — obserwować metody, jakie Pan stosuje na swoim oddziale, a także uczestniczyć we wszystkich zajęciach, jakie Pan prowadzi".

Ogromnie mi się spodobało i bardzo mi pochlebiło to, że zwraca się do mnie student ze szpitala, w którym ja sam niemal dwadzieścia lat wcześniej pobierałem nauki medyczne, musiałem jednak autora wyprowadzić z błędnych przekonań na temat mojej pozycji zawodowej i możliwości takiego uczenia, jakiego oczekują studenci medycyny. Dlatego odpisałem:

Drogi Panie Cole!

Bardzo Panu dziękuję za list z dwudziestego siódmego lutego i przepraszam, że tak długo zwlekałem z odpowiedzią, ale mówiąc szczerze, nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Zacznijmy od tego, że w skrócie wyjaśnię Panu moją sytuację.

Nie kieruję żadnym oddziałem.

Nie pracuję na żadnym oddziale.

Jestem tułaczem, a utrzymuję się — dość marnie i nieregularnie — z dorywczych zajęć to tu, to tam.

Kiedy pracowałem na pełny etat w Beth Abraham, często przyjmowałem studentów zastanawiających się nad specjalizacją i zawsze dla obu, jak myślę, stron było to nie tylko przyjemne, lecz także korzystne.

Teraz jednak nie mam ani stanowiska, ani stabilnych źródeł utrzymania, ani nawet domu. W tej sytuacji nie mogę Panu zaoferować żadnego formalnego nauczania ani niczego, co by się liczyło w instytucjonalnej ocenie Pańskich studiów.

Natomiast nieoficjalnie widzę bardzo wielu, i to bardzo różnych pacjentów w klinikach i domach opieki, wiele się od nich dowiaduję i w miarę możliwości im pomagam; pozwalam sobie sądzić, że każda taka sytuacja daje możliwość uczenia nie tylko siebie, lecz także innych. Każdy pacjent, którego spotykam, jest dla mnie pełen życia, a zainteresowanie mu poświęcone również mi przynosi korzyść. Nigdy się nie zdarzyło, aby jakiś pacjent nie nauczył mnie czegoś nowego czy nie wyzwolił we mnie nowych uczuć lub nowego ciągu myśli, a wydaje mi się, że każdy, kto mi towarzyszy w takich sytuacjach, uczestniczy w przygodzie i się do niej przyczynia. (Uważam bowiem całą neurologię za swego rodzaju przygodę).

Proszę mi napisać, jak się układają Pańskie sprawy. Powtórzę, że byłbym zachwycony, gdyby się Pan zdecydował na mój nieformalny, dorywczy, perypatetyczny tryb funkcjonowania, natomiast nie jestem tak „ustawiony”, abym mógł wystąpić w roli formalnego nauczyciela.

Z najlepszymi życzeniami i podziękowaniami

Oliver Sacks

Urządzanie wszystkiego i organizacja funduszy zabrały ponad rok, ale na początku 1977 roku Jonathan mimo wszystko do mnie przyjechał.

Myślę, że obaj byliśmy trochę podenerwowani. Nie miałem wprawdzie żadnej sformalizowanej „pozycji”, niemniej byłem autorem *Przebudzeń*, z kolei Jonathan w Oksfordzie prowadził badania z neurofizjologii zmysłów, bardziej więc ode mnie był zaznajomiony z najnowszym językiem i najnowszymi ustaleniami fizjologii. Zapowiadało się nowe, dla nas obu bezprecedensowe doświadczenie.

Bardzo szybko okazało się, że mamy wspólne jedno głębokie zainteresowanie, obu nas bowiem fascynował „szósty zmysł”: propriocepcja. Nieświadome, niewidoczne poczucie, o którym zasadnie można powiedzieć, że jest silniejsze od każdego z pięciu pozostałych zmysłów, a nawet od nich wszystkich razem wziętych. Można być ślepym i głuchym jak Helen Keller, a mimo to prowadzić niesłychanie bogate życie, gdyż propriocepcja jest kluczowa dla poczucia własnego ciała, ułożenia i ruchu kończyn, ba, kluczowa wręcz dla poczucia własnej egzystencji. Jak miałby przetrwać człowiek pozbawiony propriocepcji?

Takie pytanie najczęściej w ogóle się nie pojawia, gdy życie toczy się normalnie. Propriocepcja zawsze jest wprawdzie obecna, ale nienatarczywie, delikatnie sterując każdym naszym ruchem. Nie jestem pewien, czy w ogóle zacząłbym myśleć o propriocepcji, gdyby nie ów wypadek, o którym (właśnie wtedy, gdy Jonathan przyleciał do Nowego Jorku) z wielkimi kłopotami starałem się napisać książkę, a który, byłem przekonany, spowodował załamanie propriocepcji tak głębokie, że bez spojrzenia nie wiedziałem nie tylko, gdzie jest noga, lecz także, czy w ogóle jest, gdyż wcale nie czułem jej jako „swojej”.

Trzeba trafu, że właśnie mniej więcej w czasie przylotu Jonathana moja przyjaciółka i koleżanka, Isabelle Rapin, skierowała do mnie młodą kobietę, która w efekcie zakażenia wirusowego straciła wszelką propriocepcję i wrażenia dotykowe poniżej szyi[78]. Wtedy, w 1977 roku,

Jonathan nie mógł wiedzieć, jak bardzo w przyszłości wplecie się w jego życie inny pacjent znajdujący się w takiej samej sytuacji.

Odwiedzając ze mną nowojorskie domy opieki — i te prowadzone przez siostry małe, i inne — Jonathan poznawał bardzo różnych pacjentów. Zwłaszcza jeden bardzo nam utkwił w pamięci: cierpiący na zespół Korsakowa mężczyzna, którego ułomność pamięci zmuszała do nieustannej konfabulacji. W ciągu trzech minut „pan Thompson” (jak go później nazwałem) potrafił mnie (ubranego w biały kitel lekarski) zidentyfikować jako klienta z jego delikatesów, starego przyjaciela, z którym miał się wybrać na wyścigi, koszernego rzeźnika i sprzedawcę ze stacji benzynowej, a dopiero potem — przy niewielkiej pomocy — zgadywał, że jestem lekarzem[79]. Zaśmiewałem się, gdy od jednej błędnej identyfikacji czy konfabulacji przeskakiwał do następnej, a Jonathan (jak mi to potem wyznał) był zszokowany tym, że — jak sądził — szydziłem z pacjenta, odprężył się jednak i także przyłączył do wesołości, kiedy sam pan Thompson, żywiołowy Irlandczyk, zaczął się śmiać z wymysłów swej korsakowowej wyobraźni.

Odwiedzając pacjentów, zwykle zabierałem ze sobą kamerę, a Jonathan był wręcz zafascynowany użyciem wideo i możliwością natychmiastowego odtwarzania nagrań (samo wideo było w tym czasie rzadkością, a tym bardziej jego wykorzystanie w szpitalach). Szczególne wrażenie robiła na nim obserwacja, jak pacjenci — na przykład z chorobą Parkinsona — nieświadomi swej tendencji do tego, by przyspieszać ruchy czy odchylać się w jedną stronę, śledząc na filmie swoją postawę czy chód, sami uczyli się, jak korygować owe ułomności.

Kilka razy zabrałem Jonathana do Beth Abraham, gdzie szczególnie chciał obejrzeć pacjentów, o których czytał w *Przebudzeniach*. Jak mi mówił, bardzo go intrygowało to, że mogłem opisywać tych chorych,

a nawet ich filmować, a mimo to być przez nich traktowany jak lekarz godny zaufania, a nie ktoś, kto ich wykorzystuje czy zdradza. Musiał o tym pamiętać, kiedy osiem lat później spotkał Iana Watermana, który miał zmienić jego życie.

Ian, podobnie jak Christina — bezcielesna kobieta — cierpiał na wyniszczającą neuropatię zmysłową. Był krzepkim dziewiętnastolatkiem, kiedy wirus znienacka pozbawił go wszelkiej propriocepcji poniżej głowy. W tej rzadkiej sytuacji większość ludzi jest w stanie co najwyżej ledwie kontrolować swe kończyny; muszą albo się czołgać, albo poruszać na wózku. Tymczasem Ian znalazł wiele zaskakujących sposobów radzenia sobie ze swoją ułomnością, dzięki czemu pomimo głębokich deficytów neurologicznych mógł prowadzić w miarę normalne życie.

Większość tego, co u reszty z nas odbywa się automatycznie, bez potrzeby świadomej kontroli, u Iana musi być poddane obserwacji i takiej kontroli. Kiedy siedzi, musi pilnować, aby trzymać się prosto, inaczej bowiem padnie do przodu, iść może tylko wtedy, kiedy usztywni kolana i nie spuszcza wzroku z celu. Swój brak „szóstego zmysłu” propriocepcji Ian musi rekompensować wzrokiem. Owo skupienie i koncentracja uwagi bardzo mu utrudniają robienie dwóch rzeczy naraz. Może stać lub mówić, ale żeby mówić, stojąc, musi się na czymś oprzeć. Może się wydawać normalny, ale wystarczy, by znienacka zgasło światło, a nieuchronnie upadnie na ziemię.

Między Jonathanem a Ianem wytwarzała się przez lata coraz głębsza więź łącząca lekarza z pacjentem, badacza z badanym, a także w coraz większym stopniu — relacja koleżeńsko-przyjacielska. W trakcie owej trwającej już od ponad trzydziestu lat współpracy Jonathan napisał o Ianie dziesiątki artykułów naukowych oraz znakomitą książkę *Pride and a Daily Marathon* (obecnie pracuje nad jej dalszym ciągiem) [80].

Niewiele przydarzyło mi się rzeczy bardziej poruszających od obserwowania tego, jak mój student, Jonathan, staje się znakomitym lekarzem, fizjologiem i pisarzem (jest dziś autorem czterech książek i ponad stu artykułów).

Po przenosinach do Nowego Jorku w 1965 roku nadal objeżdżałem na motocyklu boczne drogi, aby wyszukiwać odpowiednie miejsca na weekendowy odpoczynek. Kiedy którejś niedzieli jechałem przez Catskills, natknąłem się na stary drewniany hotel, który malowniczo przycupnął nad jeziorem: Lake Jefferson Hotel. Należał do bardzo uprzejmej pary niemiecko-amerykańskiej, Lou i Berthy Gruppów, z którymi nader rychło się zaprzyjaźniłem. Szczególnie ujęła mnie ich wyrozumiałość dla mojego motocykla, który pozwalali mi trzymać w holu. Miejscowi szybko przyzwyczaili się do tego i na widok motocykla mówili: „O, znowu jest nasz doktor”.

Szczególnie lubiłem sobotnie wieczory spędzane w starym barze, pełnym barwnych, gawędzących i popijających postaci oraz zdjęć z czasów świetności hotelu, a więc lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Sporo rzeczy napisałem w niewielkiej alkowie obok baru, gdzie mogłem zaszyć się, niewidziany przez innych, ale rozgrzewany wibrującym obok życiem.

Po kilkunastu takich weekendach zawarliśmy z Gruppami umowę, że będę wynajmował pokój w piwnicy hotelu, mogąc zjawiać się i znikać, kiedy będę chciał, a także trzymać na miejscu swoje rzeczy (a więc przede wszystkim maszynę do pisania i sprzęt do nurkowania). Za pokój i możliwość korzystania z kuchni oraz baru musiałem płacić raptem dwieście dolarów miesięcznie.

W Lake Jeff prowadziłem życie zdrowe i niemal mnisze. Z motocykla zrezygnowałem na początku lat siedemdziesiątych — ruch drogowy

w Nowym Jorku wydawał mi się coraz bardziej niebezpieczny, a jazda na motorze przestawała sprawiać mi przyjemność — zawsze jednak miałem na dachu samochodu uchwyt na rower i w długie letnie dni jeździłem na nim godzinami. Często zatrzymywałem się przy starej wytwórni cydru, która znajdowała się w pobliżu hotelu, i brałem dwie dwulitrowe butle mocnego jabłecznika, które zawieszałem na kierownicy. Uwielbiam cydr, który sączony stopniowo i symetrycznie — łyk z jednej butli, łyk z drugiej — nawadniał mnie i utrzymywał na lekkim rauszu przez cały dzień pedałowania.

Niedaleko hotelu znajdowała się też stajnia i czasami tam udawałem się w sobotni poranek, aby kilka godzin pojeździć na wielkim perszeronie, który miał tak szeroki grzbiet, iż zdawało mi się, że dosiadam słonia. Byłem wtedy tęgi, ważyłem ponad sto dwadzieścia kilogramów, ale koń jakby w ogóle nie odczuwał mojego ciężaru, gdyż należał do rasy, która dźwigała rycerzy i królów w pełnej zbroi. Henryk VIII miał ważyć wraz z pancerzem ponad dwieście dwadzieścia kilogramów.

Jednak absolutnie największą przyjemność sprawiało mi pływanie w jeziorze, na którym mógł się czasem zdarzyć wędkarz w łódce, nie było natomiast czyhających na roztargnionego pływaka motorówek czy narciarzy wodnych. Lake Jeff Hotel najlepsze czasy miał już za sobą; rozbudowany pomost pływacki, łódki, szatnie i hangary butwiały w spokoju i ciszy. Beztroskie pływanie bez żadnego ponaglania i poczucia strachu bardzo mnie odprężało i pobudzało umysł. Przelatywały mi przez głowę pojedyncze myśli, obrazy, niekiedy nawet całe akapity, a ja co jakiś czas musiałem podpływać do brzegu, aby zanotować je w żółtym notatniku, który czekał na stoliku turystycznym. Żałując czasu na wycieranie się, podbiegałem do niego i ociekając wodą, zapisywałem na kartkach pomysły.

Z Erikiem Kornem poznaliśmy się już w kołyskach — tak nam przynajmniej mówiono — i przez prawie osiemdziesiąt lat pozostaliśmy najbliższymi przyjaciółmi. Często podróżowaliśmy razem. W roku 1979 popłynęliśmy promem do Holandii, gdzie na wypożyczonych rowerach objechaliśmy kraj, kończąc w naszym ulubionym mieście, czyli Amsterdamie. Ja nie byłem w Holandii już od kilku lat — mieszkający w Anglii Eric odwiedzał ją o wiele częściej — byłem więc kompletnie zaskoczony, kiedy zupełnie otwarcie zaproponowano nam w kawiarni zioło. Siedzieliśmy sobie przy stoliku, kiedy podszedł do nas młodzieniec, który z profesjonalną wprawą otworzył przed nami coś w rodzaju portfela zawierającego około tuzina próbek różnych gatunków marihuany i haszyszu. Ich posiadanie i użycie w umiarkowanych ilościach było w Holandii lat siedemdziesiątych XX wieku legalne.

Kupiliśmy z Erikiem torebeczkę, ale potem zapomnieliśmy wypalić, a nawet o tym, że w ogóle ją mamy. W Hadze, skąd mieliśmy wracać do Anglii, stanęliśmy przed celnikiem, który zaczął nam stawiać tradycyjne pytania. Kupowaliśmy coś w Holandii? Na przykład trunki? Tak, odparliśmy, dżin. Papierosy? Nie, nie palimy. Marihuanę? A, tak, zupełnie o niej zapomnieliśmy!

— W takim razie pozbądźcie się jej, panowie — poradził celnik — zanim dotrzecie do Anglii, gdyż tam jej posiadanie jest nielegalne.

Pomyśleliśmy więc, że pozbędziemy się marihuany, puszczając parę dymków na pokładzie.

Troszkę więc wypaliliśmy, a resztę cisnęliśmy za burtę. Nie wykluczam, że mogło to być więcej niż troszkę; nie paliliśmy już maryśki od lat, a ta była mocniejsza, niż przypuszczaliśmy.

Po kilku minutach ruszyłem na spacer i znalazłem się przy sterowni, która jaśniejąc światłami w gęstniejącym zmierzchu, wyglądała wręcz

baśniowo. W środku, za kołem sterowym, zobaczyłem kapitana, a obok niego mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, zafascynowanego uniformem, mosiężnymi i szklanymi instrumentami oraz morzem, które rozstępowało się przed dziobem statku. Ponieważ drzwi nie były zamknięte, wszedłem do środka bez żadnych protestów ze strony obecnych i zająłem miejsce przy drugim boku kapitana. Ten demonstrował nam, jak się steruje statkiem, objaśniał instrumenty, odpowiadał na liczne pytania, które mieliśmy ja i chłopiec. Tak nas to zaabsorbowało, że straciliśmy poczucie czasu i ze zdumieniem przyjęliśmy informację, że na horyzoncie widać już Harwich na angielskim wybrzeżu. Chłopiec poszedł szukać rodziców, a ja Erica.

Kiedy go znalazłem, był niemal nieprzytomny z niepokoju, a na mój widok prawie załkał z ulgi.

— Gdzie się podziewałeś?! — zawołał. — Szukałem cię wszędzie, myślałem, że mogłeś wypaść za burtę. Dzięki Bogu, że żyjesz!

Odparłem, że wspaniale spędziłem czas w sterowni u kapitana, ale poruszony intensywnością jego słów i wyrazu twarzy powiedziałem:

— Więc się martwiłeś, naprawdę martwiłeś się o mnie!

— Pewnie! Jak mogłeś w to wątpić? — obruszył się Eric.

Tymczasem mnie wcale niełatwo było uwierzyć, że ktoś się mną przejmuje; myślę, że nader często nie uświadamiałem sobie troski pacjentów o mnie. Dopiero teraz, kiedy czytam ich listy, które do mnie słali od czasu, gdy pięćdziesiąt lat temu przybyłem do Ameryki, widzę, jak bardzo się zamartwiali.

I nie tylko oni. Czy owa wyimaginowana obojętność ze strony innych była projekcją czegoś, czego mnie brakowało lub co zostało we mnie zduszone? Kiedyś słuchałem radiowej audycji poświęconej pamiętnikom i wspomnieniom tych, którzy podobnie jak ja podczas II wojny światowej

byli ewakuowani i najwcześniejsze lata spędzili z dala od rodzin. Prowadzący podkreślał, jak świetnie przystosowali się do tak bolesnych, traumatycznych lat dzieciństwa. „Owszem — zgodził się jeden z nich — ale mam kłopoty z trzema »z«: związkami, zbiorowością i zaufaniem”. W jakimś stopniu dotyczy to także mnie.

We wrześniu 1978 roku wysłałem Lennie dalsze części rękopisu *Stanąć na nogi*. Odpisała, że teraz to może być naprawdę „pogodna, roztańczona” książka, i z ulgą przyjęła moje słowa, że przestaję być nią udręczony. Na koniec listu zachowała bardziej posępną informację.

> Wybieram się teraz do szpitala, gdyż mój miły i dobry chirurg jest zdania, że czas już zrobić poważną operację mojej durnej przepukliny rozworu przełykowego i przełyku. Tata i David nie wydają się zachwyceni, ale ja ufam mu całkowicie.

To był ostatni list, który otrzymałem od Len. W szpitalu sprawy potoczyły się nie najlepiej. W zamierzeniu prosta operacja prawie zakończyła się wytrzewieniem. Dowiedziawszy się o tym, uznała, że nie warto żyć, będąc skazaną na dożylne odżywianie i postępujący nowotwór. Postanowiła nie jeść, przyjmowała tylko wodę. Ojciec nalegał, aby obejrzał ją psychiatra, ten jednak oznajmił: „Nigdy nie widziałem zdrowszej osoby. Trzeba uszanować jej decyzję”.

Kiedy tylko się o tym dowiedziałem, natychmiast poleciałem do Anglii i przy łóżku coraz bardziej słabnącej Lennie spędziłem wiele pięknych, chociaż ogromnie smutnych dni. Miała coraz mniej sił, ale nieustannie pozostawała całkowicie sobą. Gdy musiałem już wracać do Stanów, przez cały ranek zbierałem w Hampstead Heath liście z najróżniejszych drzew, po czym jej zaniosłem. Zachwycona nazywała je kolejno jeden po drugim i powiedziała, że przypominają jej czasy Delamere Forest.

Ostatni list wysłałem jej pod koniec 1978 roku; nie wiem, czy zdołała go przeczytać.

Najdroższa Len!

My wszyscy tak gorąco wierzyliśmy, że w tym miesiącu zobaczymy, jak wracasz do zdrowia, niestety, miało być inaczej!

Serce rozdzierają mi wieści o Twojej słabości, Twoim nieszczęściu, a teraz o tym, że chcesz umrzeć. Ty, która zawsze tak kochałaś życie, która tak wiele osób natchnęłaś siłą i otuchą, teraz nie tylko potrafisz spojrzeć śmierci w twarz, lecz także ją wybrać z pogodą i dzielnością, zmieszanymi, oczywiście, z żalem przemijania. Nam, mnie, o wiele trudniej jest pogodzić się z myślą o tym, że Cię stracimy. Byłaś dla mnie jedną z najdroższych osób na świecie.

Na przekór wszystkiemu pozwalam sobie wierzyć, że jednak oprzesz się temu nieszczęściu i powrócisz do radosnej pełni życia. Jeśli jednak tak się nie stanie, muszę Ci podziękować, raz jeszcze i po raz ostatni, za to, że byłaś, że byłaś sobą!

Kochający Cię

Oliver

W normalnych kontaktach towarzyskich jestem nieśmiały. Nie potrafię beztrosko gawędzić, mam wielkie kłopoty z rozpoznawaniem ludzi (ułomność ta towarzyszyła mi przez całe życie, ale teraz jeszcze się zaostrzyła wraz z pogorszeniem wzroku), niewiele wiem o najnowszych rewelacjach politycznych, społecznych czy erotycznych, gdyż mało mnie one interesują. Na dodatek mam ostatnio kłopoty ze słuchem, co jest delikatnym określeniem pogłębiającej się głuchoty. Z tego powodu najchętniej siadam w kącie, mając nadzieję, że nikt nie będzie na mnie zwracał uwagi. Szczególnie często zdarzało się to w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy szedłem do jakiegoś gejowskiego baru, żeby zawrzeć znajomość, ale zaszywałem się w kącie i wychodziłem po godzinie

samotny, smutny, a zarazem z jakąś osobliwą ulgą. Wystarczy jednak, że czy to na imprezie, czy w jakiejś innej sytuacji spotkam kogoś o podobnych (najczęściej naukowych) zainteresowaniach jak ja — wulkany, meduzy, fale grawitacyjne — a natychmiast podejmuję ożywioną dyskusję (aczkolwiek kilka chwil po jej zakończeniu mogę nie poznać rozmówcy).

Prawie nigdy nie rozmawiam z ludźmi na ulicy, ale kiedy jakiś czas temu było zaćmienie Księżyca i wyszedłem na dwór z malutkim teleskopem o dwudziestokrotnym powiększeniu, a wszyscy wydawali się niepomni niezwykłego zdarzenia rozgrywającego się na niebie, zatrzymywałem różne osoby, mówiąc: „Proszę tylko spojrzeć, co się dzieje z Księżycem!” i wciskając im teleskop do rąk. Ludzie, skonfundowani taką natarczywością, ale także zaintrygowani moim niekłamanym entuzjazmem, przykładali teleskop do oczu, prychali ze zdziwienia i zwracali mi instrument ze słowami: „Dzięki, że dał mi pan spojrzeć” albo „Ej, ekstra, że mi pan pokazał”.

Po drugiej stronie parkingu naprzeciw mojego domu zobaczyłem kobietę, która zaciekle kłóciła się z jego strażnikiem. Podchodzę do nich i mówię: „Przestańcie na chwilę i zerknijcie tylko na Księżyc”. Zaskoczeni umilkli, podając sobie teleskop, obejrzeli zaćmienie, podziękowali i bezzwłocznie znowu przystąpili do kłótni.

Coś podobnego wydarzyło się kilka lat później, gdy pisząc *Uncle Tungsten*, pracowałem nad rozdziałem o spektroskopii. Bardzo lubiłem wtedy chodzić po ulicach z kieszonkowym spektroskopem i spoglądając przezeń na różne źródła światła, podziwiać ich linie spektralne: świetliście złote lamp sodowych, czerwone neonów, zawiłe linie lamp halogenowo-rtęciowych czy luminoforów ziem rzadkich. Kiedy mijałem znajdujący się po sąsiedzku bar, urzekło mnie bogactwo różnorodnych świateł wewnątrz, przytknąłem więc swój spektroskop do okna, natychmiast jednak się

zorientowałem, że gościom nie spodobało się to, że — jak uznali — ktoś ich podgląda przez jakiś dziwny instrument, dlatego śmiało wkroczyłem do środka — był to bar dla gejów — i powiedziałem: „Dość już gadania o seksie. Spójrzcie tutaj na coś naprawdę interesującego”.

Zapadła głucha cisza, ale i teraz mój niemal dziecięcy entuzjazm przeważył — spektroskop zaczął przechodzić z rąk do rąk i tym razem wywołując syknięcia oraz okrzyki podziwu, ale kiedy już wszyscy się tym nasycili, zwrócili mi instrument z podziękowaniem, po czym wrócili do rozmów o seksie.

Jeszcze przez kilka lat zmagałem się z książką o moim norweskim wypadku i jego konsekwencjach, aż wreszcie rękopis *Stanąć na nogi* przesłałem Colinowi w styczniu 1983 roku. Każdy rozdział starannie przepisany był na kartkach innej barwy, a całość liczyła ponad trzysta tysięcy słów. Colina rozmiar tekstu rozwścieczył, a prace redakcyjne trwały praktycznie przez cały rok 1983. Ostateczna wersja stanowiła jedną piątą pierwotnej obojętności i miała wszystkiego pięćdziesiąt osiem tysięcy słów.

Tak czy owak poczułem wielką ulgę z powodu tego, że wreszcie wyprawiłem książkę do Colina. Nie mogłem wyzbyć się uczucia, że wypadek z roku 1974 tylko czeka, żeby się powtórzyć, i że na pewno tak się stanie, jeśli w pewien sposób go nie egzorcyzmuję przez opisanie wszystkiego w książce. Skoro zaś już się to dokonało, nie groziła mi już powtórka. Tyle że nieświadomość jest bardziej podstępna, niż można podejrzewać, i dziesięć dni później — na Bronxie było akurat zimno i mroźno — udało mi się upaść tak niezgrabnie, że wszystko niemal dokładnie się powtórzyło.

Zajechałem na stację benzynową na City Island, wręczyłem sprzedawcy kartę kredytową i pomyślałem, że wyjdę na chwilę, aby się rozprostować.

Ledwie wysiadłem z samochodu, pośliznąłem się na oblodzonym fragmencie asfaltu i kiedy sprzedawca powrócił z pokwitowaniem, znalazł mnie leżącego na ziemi, ale do połowy skrytego pod samochodem.

— A pan co tam robi? — zapytał.

— Zażywam kąpieli słonecznej — odparłem zgryźliwie.

— Dobrze już, dobrze. Co się stało?

— Złamałem rękę i nogę.

— Znowu pan żartuje.

— Tym razem już nie, lepiej niech pan wezwie pogotowie.

Kiedy przywieziono mnie do szpitala, stażysta na oddziale chirurgii spytał, co znaczą litery, które miałem zapisane na wierzchu ręki (ZCB).

— Chodzi o pacjentkę z halucynacjami, ma zespół Charles'a Bonneta, właśnie do niej jechałem [81].

— No cóż, doktorze Sacks — skonstatował młody lekarz — teraz to pan jest pacjentem.

*

Kiedy Colin dowiedział się, że leżę w szpitalu — tam otrzymałem korektę *Stanąć na nogi* — powiedział: „Oliver, nie ma takiej rzeczy, której byś nie zrobił dla jednego przypisu”.

Stanąć na nogi rodziło się od 1977 do 1982 roku, część powstawała przy okazji mych pływackich eskapad do Lake Jeff. Jim Silberman, mój amerykański wydawca, był zdegustowany, kiedy otrzymał tę część. Po pierwsze, oznajmił, od trzydziestu lat nie dostawał już rękopisów, ale ten na dodatek wyglądał, jakby powstawał pod prysznicem. Trzeba go było nie tyle przepisać, ile odcyfrować. Tekst przesłał jednej ze swych dawnych redaktorek, Kate Edgar, która teraz pracowała na zlecenia w San Francisco.

Mój pokryty rozmazanymi plamami manuskrypt z niedokończonymi zdaniami, strzałkami, skreśleniami i ich unieważnieniami powrócił ślicznie przepisany i opatrzony mądrymi uwagami redakcyjnymi. Napisałem do pani Edgar, gratulując jej tego, jak świetnie się spisała z bardzo trudnym rękopisem, a także sugerując, by skontaktowała się ze mną, jeśli wróci jeszcze na Wschodnie Wybrzeże.

Istotnie wróciła rok później, w roku 1983, by odtąd być już stale moją redaktorką i współpracowniczką. Wcześniej doprowadzałem Mary-Kay i Colina do szału swoimi mnożącymi się szkicami, ale przez ostatnie trzydzieści lat mam szczęście, że to Kate rozwikłuje, destyluje i zszywa w spójną całość moje projekty i projekciki. (Co więcej, przy wszystkich następnych książkach pomagała mi w zbieraniu do nich materiałów: rozmawiała z pacjentami, słuchała moich opowieści, razem ze mną uczyła się języka migowego i odwiedzała laboratoria chemiczne).

---

75 *A Lullaby* (1973), jeden z ostatnich wierszy Audena — przyp. tłum.

76 Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych jakiś czas spędziłem też w klinice alzheimerowskiej w Einsteinie, dzięki czemu na podstawie obserwacji pacjentów sporządziłem pięć długich historii choroby. Rękopis przesłałem mojemu dawnemu szefowi z Einsteina, Bobowi Katzmanowi, który tymczasem zaczął kierować wydziałem neurologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Moje historie gdzieś się zawieruszyły: oto kolejna możliwa książka, która podobnie jak *Myoclonus* nigdy nie ujrzała światła dziennego.

77 Nierzadko pojawiają się niezwykłe dylematy, przy których siostry małe wykazują ogromną głębię wrażliwości moralnej i jasność osądu. Jednej z ich podopiecznych, chorej na parkinsona Florze D., bardzo pomogła L-dopa, ale wywołała u niej też równie konsternujące sny. Nie jest niczym niezwykłym, że po L-dopie chorym przydarzają się erotyczne sny czy nocne zmory, ale Flora w swych nieobyczajnych snach współżyła z własnym ojcem. Czuła się ogromnie winna i przerażona, do chwili gdy o wszystkim opowiedziała jednej z sióstr, która odparła na to: „Nie możesz odpowiadać za sny, które przychodzą w nocy. Co innego ze śnieniem na jawie”. Oto bardzo wyraźne moralne rozróżnienie, całkowicie zgodne z różnicami fizjologicznymi.

78 Jej historię kilka lat później opowiedziałem w rozdziale zatytułowanym „Bezcielesna kobieta” w książce *Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*.

79 Pana Thompsona opisałem w innym rozdziale tej samej książki — „Kwestia tożsamości”.

80 Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku przedstawiłem Jonathana mojej przyjaciółce, Marshy Ivins, astronautce, która odbyła pięć lotów kosmicznych (opowiadała mi, że na orbicie czytała „Bezcielesną kobietę”). Zastanawialiśmy się, jak Ian dawałby sobie radę w kosmosie. Najłatwiej to sprawdzić, powiedziała znająca się na rzeczy Marsha, umieszczając go w popularnie zwanym Vomit Comet, treningowym samolocie astronautów, który stromo się wznosząc, a potem opadając, na krótko przenosi pasażerów od przeciążenia 2 g do 0 g. Większość z nich czuje się najpierw ogromnie ociężała, a potem nieważka, Ian nie doznał ani jednego, ani drugiego.

81 Chciałem opisać jej przypadek i włączyć go do *Mężczyzny, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, ale ostatecznie do zespołu Charles�a Bonneta wróciłem dopiero dwadzieścia pięć lat później w *Halucynacjach*.

Kwestia tożsamości

Chociaż pisanie *Stanąć na nogi* zabrało mi niemal dekadę, to przecież w tym czasie interesowałem się także wieloma innymi rzeczami, a jedną z najważniejszych pośród nich był zespół Tourette’a.

W roku 1971 ponownie skontaktował się ze mną Israel Shenker, dziennikarz z „The New York Times”, który w lecie 1969 roku odwiedził Beth Abraham i opublikował długi artykuł o pierwszych efektach L-dopy. Teraz chciał się dowiedzieć, co potem stało się z pacjentami.

Wielu, odparłem, przeżyło „przebudzenie” spowodowane L-dopą, ale niektórzy zaczęli później reagować na nią dziwnie i w sposób niejednolity. Przede wszystkim, mówiłem, pojawiły się u nich tiki. Bardzo wielu zaczęło wykonywać nagłe konwulsyjne ruchy nosem czy znienacka dla siebie samych przeklinać. Podejrzewałem, że może to być efektem gwałtownej aktywacji mechanizmów podkorowych, które zostały zniszczone przez pierwotną chorobę, a teraz były drażnione przez nieustanną stymulację L-dopą. Podzieliłem się z Shenkerem myślą, że u niektórych pacjentów postencefalitycznych owe tiki i nieoczekiwane okrzyki przypominały rzadką chorobę zwaną zespołem Gillesa de la Tourette’a. Ja wprawdzie nie zetknąłem się dotąd z nikim, kto cierpiałby na tę chorobę, ale sporo o niej czytałem.

Shenker ponownie odwiedził szpital, aby obejrzeć pacjentów i porozmawiać z nimi. Jeszcze przed północą pobiegłem do kiosku przy Allerton Avenue, aby jak najwcześniej dostać egzemplarz gazety.

Shenker bardzo umiejętnie niuansował opis tego, co nazwał „zdumiewającą topografią tików". Odnotował, iż jedna z pacjentek potrafiła tik polegający na zaciskaniu powieki przekształcić w tik zaciskania dłoni, a z kolei inna mogła powstrzymać tiki, koncentrując się na pisaniu na maszynie czy szydełkowaniu.

Po ukazaniu się artykułu zacząłem otrzymywać wiele listów od ludzi, którzy opisywali swoje najróżniejsze tiki, oczekując opinii medycznej. Uważałem, że nie powinienem ich przyjmować, bo wtedy w pewnym sensie zbijałbym profity z artykułu gazetowego. (Nie mogę wykluczyć, że było to echo wcześniejszej reakcji ojca z tego roku na recenzję *Migreny* w „The Times"). Jednak z jednym ekspansywnym i fascynującym młodzieńcem się spotkałem. Ray pełen był konwulsyjnych tików, tego, co sam nazywa „tikową zgrywą" i „zgrywnym tikowaniem" (siebie przedstawiając jako „tikujący jajcarz Ray"[82]). Niesłychanie mnie zafascynowało to, co się z nim działo. Nie tylko jego gwałtowne jak ogień tiki, lecz także chyżość jego myśli i żartów oraz sposoby na radzenie sobie z tourette'em. Miał dobrą pracę i udane małżeństwo, ale nie mógł iść ulicą, nie zwracając na siebie powszechnej uwagi; już jako pięciolatek ściągał spojrzenia bądź to rozbawione, bądź oburzone.

Ray myślał niekiedy, że jego tourette'owa osobowość („pan T.", jak ją określał) jest różna od „realnej" jaźni — zupełnie jak Frances D., normalnie powściągliwa i pełna rezerwy dama po śpiączkowym zapaleniu mózgu, która czuła, że po L-dopie zyskuje „zwariowaną jaźń", całkowicie odmienną od jej ucywilizowanej „realnej" osobowości.

Tourette'owa jaźń czyniła Raya impulsywnym i nieokiełznanym, a zarazem obdarzała go niezwykłą szybkością riposty i w ogóle reakcji. Najczęściej wygrywał w ping-ponga, nie tyle jednak dzięki niezwykłej technice, ile za sprawą ogromnej szybkości, a także niedających się

przewidzieć serwów i returnów. (Podobnie było z pacjentami postencefalitycznymi, którzy we wczesnej fazie choroby, zanim ogarnęły ich parkinsonizm i katatonia, byli nadruchliwi i nadpobudliwi; w tym stanie potrafili wygrywać w piłkę nożną z zaprawionymi graczami). Fizjologiczna zwinność i impulsywność Raya w połączeniu z muzykalnością pozwalały mu znakomicie improwizować na perkusji.

Myślałem, że nigdy więcej nie zobaczę czegoś takiego jak to, czego doświadczyłem w lecie i na jesieni roku 1969 z pacjentami po śpiączkowym zapaleniu mózgu. Poznawszy Raya, uświadomiłem sobie, że zespół Tourette'a był chyba równie rzadkim, ale i równie bogatym (bo też i na różne sposoby spokrewnionym) przedmiotem obserwacji.

Następnego dnia po rozmowie z Rayem miałem wrażenie, że na ulicach Nowego Jorku zobaczyłem trzy osoby z tym samym zespołem, a nazajutrz jeszcze dwie. Bardzo mnie to zaskoczyło, gdyż wówczas zespół Tourette'a opisywano jako niezwykle rzadki, występujący z częstotliwością jednej, dwóch osób na milion, teraz jednak zaczynałem podejrzewać, że musi się on zdarzać tysiące razy częściej. Byłem ślepy na te symptomy, myślałem, ale czas spędzony z Rayem wyostrzył, by tak rzec, moje neurologiczne oko tak, że zacząłem dostrzegać Tourette'a.

Sądząc, że musi być wiele takich osób jak Ray, zacząłem fantazjować o tym, jak dobrze byłoby ich zebrać, aby zobaczyli swe pokrewieństwo fizjologiczne i psychiczne, a może nawet zorganizować ich w jakieś zrzeszenie czy bractwo. Na wiosnę 1974 roku dowiedziałem się, że moja fantazja jest już rzeczywistością, jako że dwa lata wcześniej grupa rodziców, których dzieci miały zespół Tourette'a, założyła Towarzystwo Chorych z Zespołem Tourette'a (Tourette Syndrome Association — TSA), teraz jednak należało już do niego około dwudziestu dorosłych tourette'owców.

Wcześniej, w 1973 roku, poznałem dziewczynkę z zespołem Tourette’a, której ojciec, psychiatra i współzałożyciel TSA, zaprosił mnie na jedno ze spotkań.

Osoby z zespołem Tourette’a są często niezwykle podatne na hipnozę oraz sugestię, a także zdolne do bezwiednych powtórzeń i imitacji. Podczas tego pierwszego spotkania TSA, w którym uczestniczyłem, w pewnej chwili na parapecie otwartego okna usiadł gołąb, rozprostował skrzydła, potrząsnął nimi, a potem je stulił. Przede mną siedziało siedmioro, może ośmioro tourette’owców, mogłem więc obserwować, jak poruszają ramionami i łopatkami, naśladując gołębia czy też siebie nawzajem.

Pod koniec 1976 roku na spotkaniu TSA zaczepił mnie młodzieniec, John P., i powiedział:

— Jestem największym tourette’owcem na świecie. Nigdy jeszcze nie widział pan tak skomplikowanego zespołu Tourette’a jak u mnie. Mogę panu opowiedzieć o nim rzeczy, których nie usłyszy pan od nikogo innego. Czy chce pan mieć mnie za obiekt badawczy?

Odrobinę mnie skonsternowała ta osobliwa mieszanina pretensjonalności i samokrytycyzmu, niemniej zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w moim gabinecie, a potem zadecydujemy, czy warto podtrzymywać kontakty. Nie wydawał mi się osobą, która potrzebuje pomocy czy kuracji, natomiast zapowiadał się jako fascynujący obiekt studiów.

Szybkość oraz zawiłość jego tików i werbalizacji nasunęły mi pomysł, że dobrze będzie mieć w gabinecie kamerę wideo, wypożyczyłem więc najbardziej wówczas poręczny aparat Sony Portapak (ważył około dziesięciu kilogramów).

Odbyliśmy dwie sesje zapoznawcze i okazało się, że John nie przesadzał. Nigdy dotychczas nie spotkałem się z tak zawiłym i ostrym obrazem tego, z czym przyszło mu żyć, nigdy też nie czytałem o niczym choćby

zbliżonym, dlatego w myślach ochrzciłem Johna „supertourette'owiec". Bardzo byłem rad, że włączyłem kamerę wideo, gdyż niektóre z jego tików i niezwykłych zachowań trwały ledwie ułamki sekund, przy czym bywało, że dwa czy więcej występowały jednocześnie. Było tego za wiele, aby wszystkie mogło dostrzec nieuzbrojone oko, ale dzięki rejestracji mogłem potem film odtwarzać w zwolnionym tempie, nawet klatka po klatce. Co więcej, mogłem to robić w towarzystwie Johna, który mógł mi opowiadać, co myślał czy czuł przy konkretnym tiku — miałem więc nadzieję, że umożliwi to analizę tików trochę podobną do analizy snów. A jeśli to tiki są „królewską drogą" do nieświadomości?

Potem pożegnałem się z tą nadzieją, gdyż miałem wrażenie, że większość tików i podobnych zachowań (drgawki, podskoki, okrzyki) jest efektem odruchowych lub spontanicznych wyładowań z pnia mózgu lub ciała prążkowanego, miały więc uwarunkowanie biologiczne, a nie psychologiczne. Były tu też jednak oczywiste wyjątki, zwłaszcza koprolalia, czyli kompulsywne i konwulsyjne używanie wyrażeń nieprzyzwoitych czy obelżywych (a także ich motoryczny ekwiwalent: kopropraksja, równie mimowolne wykonywanie obscenicznych gestów). John lubił ściągać na siebie uwagę, prowokować czy nawet oburzać innych; przymus testowania tego, jak silne są bariery społeczne, nienaruszalne granice własności, nie jest rzadki pośród ludzi z zespołem Tourette'a.

Szczególnie intrygował mnie osobliwy dźwięk, który John często wydawał do wtóru tikom. Kiedy go nagrałem i odtworzyłem, mocno spowalniając, odkryłem, że jest to faktycznie niemieckie słowo — *verboten!*[83] — z powodu tikowej raptowności skondensowane do niezrozumiałego odgłosu. Kiedy powiedziałem o tym Johnowi, wyjaśnił, że jego mówiący po niemiecku ojciec tak go karcił, kiedy jako dziecko

dostawał tików. Kopię taśmy wysłałem Łurii, który był wręcz zafascynowany i nazwał to „uwewnętrznieniem głosu ojca jako tik”.

Coraz silniejsze było moje podejrzenie, że tiki i podobne do nich zachowania są ulokowane gdzieś pomiędzy mimowolnymi a intencjonalnymi, pomiędzy odruchami a działaniami, że ich pochodzenie jest podkorowe, ale czasami zyskują — czy to świadomie, czy nieświadomie — sens oraz intencjonalność.

Pewnego letniego dnia, kiedy John był w moim gabinecie, przez otwarte okno wleciał motyl. John śledził jego nierównomierny, zygzakowaty lot, gwałtownymi, urywanymi drgnięciami poruszając głową i oczyma, czemu towarzyszył strumień zachęt i gróźb: „Chcę cię pocałować, chcę cię zabić” — powtarzał, co wkrótce skróciło się do: „pocałować cię, pocałować, pocałować, zabić cię”. Po około dwóch, trzech minutach — wydawało się, że jak długo motyl fruwa, John nie jest w stanie powstrzymać swych zachowań — rzuciłem żartobliwie: „Taki jesteś na tym skoncentrowany, że mógłbyś nie zauważyć, iż motyl usiadł ci na nosie”.

Ledwie to powiedziałem, a jeden natychmiast chwycił się za czubek nosa i zaczął nim targać, jakby chciał z niego zerwać gigantycznego motyla, który tam przysiadł. Zastanawiałem się, czy jego niezwykle żywa wyobraźnia tourette’owca przeskoczyła w halucynację, produkując urojonego motyla tak percepcyjnie realnego, jakby naprawdę istniał. Było to coś jak nocna zmora, która w pełni świadomie rozegrała się na moich oczach.

Bardzo intensywnie pracowałem z Johnem przez pierwsze trzy miesiące 1977 roku, czego efektem było poczucie zaskoczenia, odkrywania oraz intelektualnej ekscytacji — najbardziej intensywne od lata 1969 roku, kiedy pacjenci po śpiączkowym zapaleniu mózgu „budzili się” pod wpływem L-dopy. Znowu odżyła we mnie myśl, która błysnęła po spotkaniu Raya, że

muszę napisać książkę o zespole Tourette’a i ludziach nim dotkniętych. Chciałem centralną jej postacią uczynić Johna, opisując może prawdziwy, a może skomponowany „jeden dzień z życia” kogoś z superzespołem Tourette’a.

Po tak zachęcającym początku uznałem, że nader pożyteczne byłoby pełne studium przypadku chorobowego, musiałem jednak przestrzec Johna przed tym, że będzie ono istotne z punktu widzenia badawczego, natomiast nie mogę obiecać żadnych korzyści terapeutycznych. Studium to byłoby więc podobne do *O pamięci, która nie miała granic* Łurii czy *Objaśniania marzeń sennych* Freuda (obie książki miałem nieustannie na podorędziu podczas naszej „analizy zespołu Tourette’a”).

John odwiedzał mnie w każdą sobotę, a ja każdą sesję nagrywałem na dwóch aparatach: jeden skierowany był na twarz i ręce Johna, drugi z większej odległości filmował nas obydwóch.

Jadąc do mnie w sobotni poranek, John często zatrzymywał się we włoskim sklepie, gdzie kupował sobie kanapkę i colę. Sklep był popularny i zawsze pełen klientów, których John potrafił zaskakująco opisać czy raczej odtworzyć. Będąc pod wrażeniem Balzaka, zacytowałem Johnowi jego sentencję: „Mam w głowie całe społeczeństwo”. „Ze mną jest tak samo, tylko że w formie imitacji” — odparł John.

Owe ciągłe, bezwiedne imitacje i mimikry często miały posmak karykatury czy szyderstwa, co nierzadko ściągało na Johna zdumione lub oburzone spojrzenia, które on z kolei znowu odgrywał, kopiował. Kiedy opisywał mi i inscenizował w gabinecie takie zdarzenia, zacząłem myśleć, że może powinienem wyjść w świat razem z Johnem, aby obejrzeć tego typu sytuacje na własne oczy[84]. Bardzo się wahałem, czy to uczynić, nie chciałem bowiem, aby zbyt był świadomy, że przez cały czas jest obserwowany (czy filmowany, gdybym wziął ze sobą kamerę), ani też

nadmiernie komplikować naszych tradycyjnych sobotnich spotkań. Z drugiej strony myślałem, że byłoby to bardzo cenne, gdyby ktoś utrwalił dzień lub tydzień z życia takiego supertourette'owca, gdyż byłoby to znakomite antropologiczne czy etologiczne uzupełnienie klinicznych i fenomenologicznych obserwacji w gabinecie.

Skontaktowałem się z ekipą robiącą antropologiczne filmy dokumentalne — właśnie wróciła z kręcenia materiału o plemieniu z Nowej Gwinei — a jej uczestników zaintrygowała perspektywa takiej medycznej antropologii, tyle że za tydzień zdjęć chcieli pięćdziesiąt tysięcy dolarów, których nie miałem, gdyż nawet przez rok tyle nie zarabiałem.

Napomknąłem o tym Duncanowi Dallasowi (wiedziałem, że Yorkshire Television sponsoruje niekiedy filmy dokumentalne), na co ten powiedział: „A gdybym tak ja go sobie obejrzał?". Zjawił się u mnie kilka tygodni później i przyznał, że nie widział jeszcze nikogo takiego jak John, który, ocenił, potrafił zaprezentować siebie bardzo wyraziście i sprawnie. Duncan chciał nakręcić o nim pełny film dokumentalny, a pomysł ten zachwycił Johna, który widział dokumentalne *Przebudzenia*. Teraz jednak ja byłem mniej entuzjastyczny, nieco skonfundowany nadmierną ochotą i nadmiernymi oczekiwaniami ze strony Johna. Ja wolałem kontynuować spokojną, badawczą pracę z nim, podczas gdy on widział już siebie jako głównego bohatera filmu dokumentalnego.

Wcześniej mówił mi, że lubi „występować", urządzać „sceny", być w centrum uwagi, potem jednak unika ponownego pojawienia się w miejscu, w którym doszło do jego „przedstawienia". Jak może zareagować na to, że jego „sceny" czy „występy" — ekshibicjonistyczne, ale wyrastające z tików — zostaną utrwalone na taśmie filmowej i zyskają formę, której nie będzie w stanie usunąć? Podczas rekonesansu Duncana wszystko to starannie omówiliśmy we trójkę. Duncan nieustannie powracał

do tego, że John może przyjechać do Anglii i kontrolować powstawanie filmu na wszystkich jego etapach.

Film nakręcono w lecie 1977 roku. John był w szczytowej formie: pełen tików i nieoczekiwanych zachowań, błaznujący, improwizujący, imitujący, gdy miał publiczność, a w innych chwilach mówiący z rozwagą, poważnie i w sposób często bardzo poruszający, jak wygląda życie kogoś takiego jak on. Wszyscy mieliśmy wrażenie, że w efekcie powstanie dokument bardzo wyważony, a zarazem głęboko ludzki.

Po skończeniu filmu powróciliśmy z Johnem do naszych spokojnych sesji, ale widziałem, że pojawiło się w nim osobliwe napięcie, jakaś rezerwa, której wcześniej nie dostrzegałem, a kiedy zaproszono go do Londynu, aby nadzorował produkcję filmu, odmówił.

Film pokazano w brytyjskiej telewizji na początku 1978 roku, wzbudził znaczne, bardzo pozytywne zainteresowanie i sprawił, że na Johna spłynęła lawina listów od ludzi, którzy go podziwiali i współodczuwali z nim. Na początku był bardzo dumny i z chęcią pokazywał film przyjaciołom i sąsiadom, stopniowo jednak rosło jego niezadowolenie, a potem gniew, który ostatecznie zwrócił się przeciwko mnie, gdyż — jak zarzucał mi John — „sprzedałem” go mediom (zapominał najwyraźniej, że sam był jednym z tych, którzy nastawali na nakręcenie filmu, a ja doradzałem ostrożność). Zaczął się domagać, aby film wycofano i nigdy już go nie pokazywano, co więcej tym samym zakazem chciał objąć sporządzone przeze mnie taśmy wideo (których było już w tym momencie ponad sto). Jeśli ktokolwiek gdziekolwiek wyświetli jeszcze film, jeśli kiedykolwiek zostanie ujawniona któraś z taśm, przyjdzie, oznajmił, i mnie zabije. Byłem głęboko poruszony i zaskoczony tym wszystkim — także, nie ukrywam, przestraszony — w każdym razie podporządkowałem się jego żądaniom i film nigdy więcej nie został publicznie wyświetlony.

Ale i to go nie zadowoliło. Zaczął wydzwaniać do mnie z groźbami, które zrazu ograniczyły się do dwóch słów: „Pamiętaj Tourette'a", wiedział bowiem dobrze, że znam historię Gillesa de la Tourette'a, którego pacjentka zraniła w głowę [85].

W tej sytuacji nie mogłem pokazać swoim kolegom lekarzom żadnych notatek, jakie poczyniłem w związku z Johnem, co było tym bardziej frustrujące, iż czułem, że to niesłychanie cenny materiał, który mógł rzucić nowe światło nie tylko na liczne aspekty zespołu Tourette'a, lecz także na rzadko badane aspekty neurobiologii i w ogóle ludzkiej natury. Miałem poczucie, że na podstawie pięciu sekund nagrania wideo mógłbym napisać całą książkę, ale nigdy tego nie zrobiłem.

Ba, wycofałem nawet z „The New York Review of Books" poświęcony Johnowi artykuł, który był już na etapie ostatniej korekty, bałem się jednak, że jego publikacja dodatkowo go wzburzy.

Więcej zrozumiałem na jesieni roku 1977, gdy na konferencji psychiatrów pokazano dokumentalne *Przebudzenia*, ale projekcję nieustannie ktoś przerywał. Okazało się, że to siostra Johna. Kiedy rozmawialiśmy później, oznajmiła, że sam dokument i w ogóle pokazanie na ekranie takich pacjentów były dla niej „szokujące". Była przerażona, że jej brat może zostać pokazany w telewizji; takich ludzi jak on, dodała, nie wolno wystawiać na widok publiczny. Zbyt późno zaczynałem pojmować głębię ambiwalencji Johna, jeśli chodzi o filmowanie: z jednej strony kompulsywnie pragnął być widziany i pokazywany, chciał odsłaniać siebie, z drugiej chciał się ukryć przed spojrzeniami.

W roku 1980, żeby oderwać się od moich bezpłodnych zmagań z książką o nodze i konsekwencjach wypadku, napisałem tekst o Rayu, uroczym, dowcipnym, opanowanym przez tiki człowieku, którego

znałem i obserwowałem już od niemal dziesięciu lat. Nie byłem pewien, jak Ray zareaguje na moje pisanie o nim, więc spytałem, co sądzi o publikacji takiego tekstu, i zaproponowałem, że mógłbym mu go przeczytać.

— Nie, w porządku — powiedział. — Nie musi pan tego robić.

Kiedy nalegałem, zaprosił mnie do siebie na obiad, abym potem jemu i żonie przeczytał, co napisałem. W trakcie lektury nieustannie miał tiki i drgawki, a w jednym momencie nie wytrzymał:

— No, tu to już pan przesadził.

Przerwałem, wyciągnąłem czerwony ołówek i spytałem:

— Co mam wykreślić? Proszę powiedzieć.

— Nie, nie — Ray na to — niech pan czyta dalej. — A kiedy doszedłem do końca, mruknął: — Wszystko właściwie jest prawdziwe, ale niech pan nie wydaje tego tutaj, tylko w Londynie.

Jonathanowi Millerowi tekst się podobał i przekazał go Mary-Kay Wilmers, która (wraz z Karlem Millerem, szwagrem Jonathana) niedawno założyła „London Review of Books”.

Opowieść o tikującym jajcarzu Rayu — historia osoby, która pomimo nękających ją schorzeń neurologicznych żyje pełnią życia — różniła się od wszystkiego, co dotąd napisałem, więc jej ciepłe przyjęcie bardzo mnie zachęciło do napisania następnych takich opowieści.

*

W roku 1983 Elkhonon Goldberg, przyjaciel i kolega, który studiował w Moskwie u Łurii, spytał, czy nie poprowadziłbym razem z nim w Albert Einstein College of Medicine seminarium o nowej dziedzinie neuropsychologii, którą zapoczątkował Łuria.

Jedno z posiedzeń poświęcone było agnozjom — pozbawionym sensu percepcjom lub zaburzonemu postrzeganiu — a kiedy w pewnej chwili Goldberg zwrócił się do mnie z pytaniem, czy mógłbym podać przykład agnozji wzrokowej, natychmiast przyszedł mi do głowy jeden z moich pacjentów, nauczyciel muzyki, który przestał wzrokowo rozpoznawać swoich uczniów (i wszystkich innych ludzi). Opisywałem, jak doktor P. poklepywał szczyty hydrantów wodnych czy parkometrów, biorąc je za główki dziecięce, czy przyjaźnie zwracał się do mebli i dziwił się, że nie odpowiadają. Powiedziałem nawet, że pewnego razu doktor P. uznał głowę żony za kapelusz. Studenci rozumieli wprawdzie powagę neurologicznego schorzenia, ale wobec komizmu sytuacji nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

Dotąd nie myślałem o wykorzystaniu notatek, jakie poczyniłem w związku z doktorem P., ale kiedy teraz przywołałem to wspomnienie, wieczorem usiadłem i napisałem *O mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, po czym wysłałem do „London Review of Books”, niemniej nawet do głowy mi nie przyszło, że może to być tytułowe opowiadanie całej książki.

*

W lecie 1983 roku wyjechałem na miesiąc do Blue Mountain Center, położonego nad jeziorem ośrodka dla artystów i pisarzy. Mogłem pływać do woli, a zabrałem ze sobą także rower górski. Nigdy dotąd nie znalazłem się jeszcze w tak szczególnym gronie i teraz rozkoszowałem się nim, łącząc dni samotnie spędzane na pisaniu i rozmyślaniu z wieczorami, kiedy z ożywieniem dyskutowaliśmy przy kolacji.

Tymczasem przez pierwsze dwa tygodnie spędzone w ośrodku nie tylko czułem się zablokowany, lecz także zmagałem się z silnym bólem. Przeszarżowałem na rowerze i zaczęły mi doskwierać plecy. Szesnastego dnia przypadkiem sięgnąłem po dzienniki Luisa Buñuela i natknąłem się w nich na zdanie, w którym dawał wyraz strachowi, że straci pamięć i poczucie tożsamości, jak było na starość z jego otępiałą matką. Zdanie to ożywiło we mnie wspomnienie Jimmiego, cierpiącego na amnezję marynarza, z którym kontaktowałem się w latach siedemdziesiątych XX wieku. Natychmiast wziąłem się do roboty i przez bite dwanaście godzin pisałem o Jimmiem, aby koło północy skończyć „Zagubionego marynarza". A potem od dnia siedemnastego do trzydziestego nie napisałem już nic. Kiedy po powrocie pytano mnie, czy pobyt w Blue Mountains był produktywny, nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć: miałem jeden dzień niezwykle twórczy, pozostałe dwadzieścia dziewięć było bezpłodnych.

Tekst pokazałem Bobowi Silversowi z „The New York Review of Books". Podobał mu się, ale zapytał, o dziwo: „A czy mógłbym zobaczyć pańskie notatki o tym pacjencie?". Przejrzał moje zapiski sporządzane przy każdej wizycie Jimmiego i powiedział: „Wiele jest tu rzeczy bardziej żywych i bezpośrednich od tego, co mi pan dał. Nie byłoby lepiej, gdyby pan dołączył także niektóre ze swych notatek, żebyśmy mieli pełniejszy obraz pańskiej reakcji na pacjenta, a także pańskie refleksje z perspektywy czasu?"[86]. Posłuchałem jego rady i tekst ukazał się w postaci artykułu w lutym 1984 roku. Bardzo mnie to zachęciło i w ciągu następnych osiemnastu miesięcy wysłałem Silversowi kolejne pięć opowieści, które w ten sposób stworzyły zaczątek *Mężczyzny, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*. Pomoc Boba, jego przyjaźń, niewyczerpana gotowość do troskliwych i konstruktywnych uwag redakcyjnych są legendarne; kiedyś zadzwonił do mnie do Australii z pytaniem, czy mam coś przeciwko temu,

aby przecinek zastąpił średnikiem. Gdyby nie jego namowy, wiele z moich tekstów nigdy by nie powstało.

Publikowałem więc pojedyncze artykuły, jedne w „The New York Review of Books”, inne w takich czasopismach jak „The Sciences” i „Granta”, nie podejrzewając nawet zrazu, że cokolwiek może je łączyć, Colin i Jim Silberman, mój amerykański wydawca, byli zdania, że są utrzymane w podobnym tonie i przebija przez nie podobna wrażliwość, ja jednak wcale nie byłem pewien, czy istotnie może z nich powstać książka.

W ostatnie cztery dni roku 1984 napisałem cztery teksty, które miały potem zamykać *Mężczyznę, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, i nawet myślałem, że można by z nich złożyć broszurkę pod tytułem „Świat prostych umysłów”.

W następnym miesiącu odwiedziłem przyjaciela, Jonathana Muellera, który pracował w rządowym szpitalu dla weteranów w Los Angeles. Kiedy chodziliśmy po Presidio, gdzie znajduje się szpital, opowiedział mi o tym, jak go fascynuje zmysł zapachu, a wtedy ja odwzajemniłem mu się dwiema historiami. Jedna traktowała o pacjencie, który na skutek kontuzji głowy całkowicie i permanentnie utracił zmysł węchu i wymyślał sobie (albo miał pozytywne halucynacje) na przykład zapach kawy, kiedy widział ją parzoną. Bohaterem drugiej opowieści był student medycyny, u którego używana w nadmiarze amfetamina spowodowała niezwykłe wyczulenie na zapachy (chodziło w rzeczywistości o moje doświadczenie, ale w *Mężczyźnie*... wystąpiłem jako „Stephen D.”). Następnego ranka, po bardzo długim posiłku w wietnamskiej restauracji, spisałem obie historie i pod wspólnym tytułem „Podszyty psem” przesłałem wydawcy. Dotąd miałem wrażenie, że *Mężczyźnie*... ciągle czegoś brakuje, a „Podszyty psem” wypełniał tę lukę.

Naszło mnie teraz poczucie spełnienia i wolności. Skończyłem książkę z „opowieściami klinicznymi”, byłem wolnym człowiekiem i mogłem pozwolić sobie na prawdziwe wakacje, których nie zaznałem — miałem wrażenie — od kilkunastu lat. Za podszeptem impulsu zdecydowałem się odwiedzić Australię, gdzie nigdy jeszcze nie byłem, a w Sydney mieszkał z żoną i dziećmi mój brat, Marcus. Spotkałem się z nimi, kiedy w 1972 roku przyjechali na złote gody naszych rodziców, ale potem już ich nie widziałem. Poszedłem w San Francisco na Union Square, gdzie miał swoje biuro Qantas, pokazałem paszport i oznajmiłem, że chcę najbliższym samolotem udać się do Sydney. Nie ma sprawy, odparli, jest dużo wolnych miejsc; czasu miałem tylko tyle, aby wrócić do hotelu, zabrać swoje rzeczy i natychmiast jechać na lotnisko.

Nigdy wcześniej tak długo nie leciałem, ale czas płynął szybko, gdy zagłębiłem się w dzienniku, a czternaście godzin później lądowaliśmy w Sydney. Kiedy krążyliśmy nad miastem, rozpoznałem słynny most i budynek opery. W kontroli paszportów pokazałem swój dokument i już chciałem iść dalej, kiedy oficer spytał:

— A pańska wiza?

— Wiza?! — powtórzyłem. — Jaka znowu wiza? Nikt mi nie wspominał o żadnej wizie!

Jeszcze chwilkę temu oficer był uprzejmy i miły, teraz jednak nagle stał się poważny i surowy. Co mnie sprowadza do Australii, spytał ostro. Czy jest ktoś, kto pokryje koszty mego pobytu? W hali lotniska czeka na mnie brat z rodziną, odparłem. Kazano mi usiąść i poczekać, aż brat zostanie odnaleziony, co potwierdzi prawdziwość moich słów. Ostatecznie otrzymałem tymczasową wizę na dziesięć dni, ale ostrzeżono, żebym już nigdy tak nie postępował, gdyż zostanę bezzwłocznie odesłany do Stanów.

Dziesięć spędzonych w Australii dni napełniło mnie radością odkrywania: brata, którego ledwie znałem (Marcus, dziesięć lat ode mnie starszy, wyjechał do Australii w roku 1950), bratowej, Gay, dzięki której natychmiast poczułem się jak u siebie w domu (podzielała moje zainteresowanie minerałami i roślinami, pływaniem i nurkowaniem), a także bratanka i bratanicę, którzy dopiero poznawali swego (w ich oczach dość egzotycznego) stryja.

Z Marcusem udało mi się (na czym bardzo mi zależało) nawiązać kontakt bliższy, niż kiedykolwiek miałem z braćmi w Anglii. Niemożliwe to było z Davidem, tak bardzo różnym ode mnie — elegancki, czarujący, towarzyski — niemożliwe było z pogrążonym w odmętach schizofrenii Michaelem. Natomiast z Marcusem — spokojnym, wykształconym, mądrym i pełnym osobistego ciepła — natychmiast połączyła mnie głęboka więź.

Zakochałem się też w Sydney, a później w tropikalnym gąszczu Daintree oraz Wielkiej Rafie Koralowej w Queensland. Wszystko to było piękne i niesamowite. Poznając absolutnie niezwykłą florę i faunę Australii, przypominałem sobie, jak Darwin, zdumiony tutejszymi roślinami i zwierzętami, zapisał w dzienniku: „Działać musieli najwidoczniej dwaj różni Stwórcy”.

*

Po wszystkich wzlotach i kryzysach naszej współpracy z Colinem przy *Przebudzeniach* i *Stanąć na nogi* teraz nasze kontakty stały się prostsze i łatwiejsze. W porównaniu z męczarniami związanymi z publikacją *Stanąć na nogi*, przygotowanie *Kapelusza* (jak zaczęliśmy między sobą tytułować książkę) przebiegało wręcz gładziutko. Różne fragmenty *Kapelusza* były

już wcześniej publikowane, a Colin, przysposabiając je do książki, jednocześnie radził, jak podzielić ją na cztery części, każdą poprzedzoną oddzielnym wstępem.

Wydał *Mężczyznę, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* w listopadzie 1985 roku, raptem pół roku po skompletowaniu rękopisu; edycja amerykańska została wydana w styczniu 1986 roku, w umiarkowanym nakładzie piętnastu tysięcy egzemplarzy.

Stanąć na nogi nie sprzedawało się najlepiej, nikt więc nie spodziewał się, że teraz ten zbiór neurologicznych opowieści odniesie sukces komercyjny, ale już po kilku tygodniach Summit musiało robić dodruk, a niedługo później drugi. Wieść o książce rozchodziła się z ust do ust, a w kwietniu, kompletnie nieoczekiwanie, znalazła się na liście bestsellerów „New York Timesa". Sądziłem, że to albo pomyłka, albo chwilowy kaprys, tymczasem przez dwadzieścia sześć tygodni pozostawała w czołówce bestsellerów.

Bardziej niż te „zaszczyty" bestsellerowe zdumiała mnie i poruszyła fala listów napływających między innymi od ludzi, którzy mieli problemy opisane w *Kapeluszu* — trudność z rozpoznawaniem twarzy, muzyczne halucynacje — nigdy się jednak nie przyznawali do nich przed nikim, nawet przed samym sobą. Inni z kolei dopytywali o opisane przeze mnie osoby.

„Jak się miewa Jimmie, zagubiony marynarz? — pytali. Proszę go ode mnie pozdrowić". Jimmie był dla nich rzeczywisty jak i inne postacie występujące w książce. Serca i umysły czytelników poruszyła realność ich sytuacji, a także walka z nią. Czytelnicy przedstawiali sobie, że to oni są Jimmiem, podczas gdy skrajne i tragiczne sytuacje bohaterów *Przebudzeń* umykały wyobraźni, nawet przepojonej największą sympatią.

Jeden z recenzentów uznał, że specjalizuję się w sprawach „dziwacznych” i „egzotycznych”, chociaż moje wrażenie było dokładnie przeciwne. Opisane przypadki traktowałem jako „przykłady” — bardzo mi odpowiadało powiedzenie Wittgensteina, że książka mogłaby składać się tylko z przykładów — i miałem nadzieję, że poprzez przedstawienie sytuacji szczególnie ostrych, można odmalować nie tylko to, co znaczy choroba neurologiczna, lecz także kluczowe i często w ogóle nieoczekiwane aspekty organizacji i pracy mózgu.

*

Chociaż Jonathan Miller powiedział mi po wydaniu *Przebudzeń:* „Teraz jesteś już sławny”, wcale tak nie było. Książka została wprawdzie nagrodzona w Anglii i cieszyła się tam uznaniem, ale w USA niemal jej nie zauważono (jedyną recenzję zamieścił w „Newsweeku” Peter Prescott), tymczasem ogromna popularność *Kapelusza* sprawiła, że chcąc nie chcąc, stałem się osobą publiczną.

Miało to oczywiście swoje zalety. Znienacka zyskałem kontakty z ogromną liczbą ludzi, dzięki czemu mogłem pomagać, ale mogłem także zaszkodzić. Odtąd niczego już nie mogłem napisać anonimowo. Przy pierwszych trzech książkach — *Migrenie*, *Przebudzeniach* i *Stanąć na nogi* — nie myślałem właściwie o czytelnikach, teraz potrzebowałem większej samoświadomości.

Już wcześniej miewałem od czasu do czasu odczyty, ale po *Kapeluszu* spadła na mnie lawina zaproszeń i najróżniejszych propozycji. Jak wspomniałem wyżej, chcąc nie chcąc, stałem się osobą publiczną, chociaż z natury jestem samotnikiem i w dalszym ciągu uważam, że najlepsza, a w

każdym razie najbardziej twórcza moja cząstka ma taki charakter — tyle że teraz coraz trudniej było o samotność, twórcze odosobnienie.

Natomiast koledzy neurolodzy trzymali się nieco na uboczu i nie podzielali wszystkich zachwytów, do czego, jak przypuszczam, dołączyła się niejaka podejrzliwość. Najwyraźniej, myślano, chciałem być „popularnym" pisarzem, a „popularność" oznaczała tyle, że nie można było traktować mnie serio. Skądinąd wcale tak się nie działo i znajdowali się także koledzy, który uważali *Kapelusz* za przykład solidnej pracy neurologicznej, podanej w klasycznej formie narracyjną — niemniej świat medyczny zachowywał w większości dawne milczenie.

W lipcu 1985 roku, na kilka miesięcy przed publikacją *Kapelusza*, poczułem, jak powraca dawne zainteresowanie zespołem Tourette'a. Starczyło kilka dni, by cały notatnik wypełnił się zapiskami, a ja zacząłem dostrzegać możliwość powstania nowej książki. Byłem wówczas w Anglii, a nowe pomysły i nowa pasja ze szczególną siłą nawiedziły mnie w samolocie w trakcie powrotu do Ameryki, ale dzień czy dwa po wylądowaniu pojawiła się nowa fascynacja, gdyż listonosz dostarczył mi przesyłkę z „The New York Review of Books", a w niej egzemplarz prezentującej historię głuchoty i języka migowego książki Harlana Lane'a *When the Mind Hears*. Do książki dołączony był list Boba Silversa, który pytał, czy nie napisałbym recenzji, i dodawał: „Nigdy na poważnie nie zastanawiałeś się nad językiem, a tutaj nareszcie będziesz miał okazję".

Nie bardzo chciałem być odrywany od książki o zespole Tourette'a, z której pomysłem się nosiłem. Po raz pierwszy myśl taka pojawiła się w 1971 roku, kiedy poznałem Raya, ale wtedy miałem w Norwegii wypadek z nogą, a potem doszło do kontaktów z Johnem. Obawiałem się, że w poprzek mym zamysłom legnie kolejna przeszkoda, a sama książka

Harlana Lane’a zafascynowała mnie i oburzyła. Przedstawiała dzieje głuchych, ich wyjątkową, bogatą kulturę, który oparta jest na języku widzianym, migowym, a także stawała się częścią debaty na temat tego, czy ludzie pozbawieni słuchu winni być kształceni w swoim języku, czy też należy ich zmuszać do „oralizmu”, co nierzadko jest decyzją dla nich katastrofalną.

Dawniej wszystkie moje zainteresowania wyrastały bezpośrednio z praktyki medycznej, tymczasem obecnie na przekór swej woli miałem się zagłębić w historię głuchoty, kulturę ludzi niesłyszących oraz naturę języka migowego, z czym wcześniej nie miałem w ogóle do czynienia. Tak czy inaczej odwiedziłem kilka okolicznych szkół dla głuchoniemych i poznałem dzieci pozbawione słuchu. Zainspirowany książką Nory Ellen Groce *Everyone Here Spoke Sign Language* odwiedziłem też miasteczko na Martha’s Vineyard, gdzie przed wiekiem niemal jedna czwarta populacji była głucha od urodzenia, ale nikt tam nie uważał ich za głuchych: byli po prostu farmerami, urzędnikami, nauczycielami, siostrami, braćmi, wujami, ciotkami.

W roku 1985 nie było już w miasteczku ani jednej głuchej osoby, ale starsi mieszkańcy, słyszący, dobrze pamiętali swoich pozbawionych słuchu krewnych i sąsiadów, dalej zresztą między sobą używali niekiedy języka migowego, przez lata bowiem społeczność przyzwyczaiła się do stosowania go, gdyż był dostępny dla wszystkich: i słyszących, i niesłyszących. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie zaprzątałem sobie głowy kwestiami kulturowymi, więc teraz ogromnie zaintrygowała mnie wizja całej wspólnoty przyjmującej taki sposób życia.

Kiedy odwiedziłem Uniwersytet Gallaudeta w Waszyngtonie — jedyny na świecie uniwersytet dla osób głuchych i niedosłyszących — i mówiłem o upośledzeniach głuchych, jeden ze studentów odpowiedział migami: „A

dlaczego pan siebie nie uważa za upośledzonego migowo?”[87]. Było to nader interesujące odwrócenie perspektywy, gdyż oto stałem przed kilkuset studentami, którzy wszyscy biegle porozumiewali się na migi, a jedynym niemową, niczego nierozumiejącym i skazanym na tłumacza, byłem ja. Coraz bardziej zagłębiałem się w kulturę głuchych, a moja recenzja książki, rozbudowana do bardziej osobistego eseju, ukazała się w „The New York Review of Books” na wiosnę 1986 roku.

Sądziłem, że na tym skończyła się moja wyprawa do świata głuchych, podróż fascynująca, ale krótka.

Któregoś letniego dnia 1986 roku zatelefonował do mnie młody fotograf, Lowell Handler, który używał techniki stroboskopowej, aby utrwalić chorych na zespół Tourette’a w trakcie tiku. Czy mógłby do mnie zajrzeć i pokazać mi swoje portfolio? Temat ten szczególnie go interesuje, powiedział, gdyż sam ma zespół Tourette’a. Spotkaliśmy się tydzień później. Jego portrety zrobiły na mnie wielkie wrażenie i zaczęliśmy rozważać możliwość współpracy, która polegałaby na podróży po kraju, spotykaniu ludzi z zespołem Tourette’a oraz utrwalaniu ich życia w tekstach i na fotografiach.

Obaj słyszeliśmy opowieści o wspólnocie menonitów w miasteczku w Albercie, gdzie niezwykle często występował zespół Tourette’a. Roger Kurlan i Peter Como, neurolodzy z Rochester, kilkunastokrotnie odwiedzali La Crete, aby naszkicować mapę genetycznego rozkładu choroby, a niektórzy z dotkniętych nią mieszkańców zaczęli miejscowość nazywać żartobliwie Tourettesville. Nikt jednak nie prowadził szczegółowych badań nad konkretnymi osobami w La Crete ani nad tym, co to znaczyło cierpieć na tourette’a w takiej zwartej religijnej społeczności.

Lowell wyruszył na rekonesans do La Crete, a potem zaczęliśmy planować dłuższą wyprawę, gdyż między innymi musieliśmy się postarać o sfinansowanie podróży, a także wywołanie dużej ilości materiału filmowego. Ja wystąpiłem do Fundacji Guggenheima o wyłożenie środków na, jak to nazwałem, „neuroantropologiczne" badanie zespołu Tourette'a, i otrzymałem trzydzieści tysięcy dolarów, Lowella zaś wspomógł tygodnik „Life" — wtedy jeszcze kwitnący i sławny ze swego dziennikarstwa fotograficznego.

W lecie 1987 roku zakończyliśmy przygotowania do wyprawy do La Crete. Lowell był obładowany aparatami i obiektywami, ja notesami i piórami. Była to pod wieloma względami niezwykła podróż, która między innymi poszerzyła moje spojrzenie na zespół Tourette'a, a także na ludzkie reakcje na niego. Pozwoliła mi także zrozumieć, jak bardzo ta, mająca przecież źródła neurologiczne, choroba może być modyfikowana przez kontekst i kulturę, w tym przypadku przez bardzo pomocną wspólnotę religijną, która akceptowała chorobę, uznając ją za zrządzenie boskie. Jak może wyglądać życie tourette'owców, zastanawialiśmy się, w bardziej niż zwykle przychylnym otoczeniu. Aby to stwierdzić, postanowiliśmy odwiedzić Amsterdam [88].

W drodze do Amsterdamu zatrzymaliśmy się z Lowellem w Londynie, po części dlatego, że chciałem odwiedzić ojca w jego dziewięćdziesiąte drugie urodziny, a po części dlatego, że ukazała się właśnie edycja *Mężczyzny, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* w miękkiej okładce i otrzymałem zaproszenie, abym w BBC World Service opowiedział o zespole Tourette'a. Po wywiadzie miała mnie do hotelu odwieźć taksówka, w której zobaczyłem niezwykłego kierowcę. Nieustannie podskakiwał, twarz poruszały mu tiki, w trakcie jazdy pokrzykiwał i przeklinał, a kiedy musieliśmy stanąć na czerwonym świetle, porzucił

swoje miejsce i wskoczył na maskę samochodu, by chwilę później wrócić za kierownicę, zanim światło zmieniło się na zielone. Nie mogłem się nadziwić przemyślności redaktorów BBC, którzy wiedząc o tym, że będę mówił o zespole Tourette’a, postarali się o taksówkę, którą prowadził mężczyzna z tą właśnie chorobą. Byłem także jednak zdziwiony, że szofer musiał wiedzieć, dlaczego właśnie jego wybrano, a nawet słówkiem o tym nie napomknął.I przez kilka minut o tym nie wspomniałem, aż wreszcie niepewnie spytałem, od jak dawna ma swoją dolegliwość.

— Jaką dolegliwość? — zapytał ze złością. — Nic mi nie dolega!

Zacząłem przepraszać, mówiąc, że nie chciałem go obrazić, ale jestem lekarzem, a jego zachowanie sprawiło, iż zacząłem się zastanawiać, czy nie ma choroby nazywanej zespołem Tourette’a. Pokręcił gwałtownie głową i powtórzył, że nie ma żadnej choroby i że nawet jeśli zdarzają mu się jakieś nerwowe ruchy, to ani nie przeszkodziły mu być sierżantem w armii, ani nie przeszkadzają w niczym innym. W tej sytuacji już nic na ten temat nie mówiłem, ale kiedy zajechaliśmy na miejsce, kierowca spytał, jak dokładnie nazywa się choroba, o której wspomniałem.

— Zespół Tourette’a — powiedziałem oraz podałem mu nazwisko i adres koleżanki z Londynu, neurolog, mówiąc, że to bardzo sympatyczna, wyrozumiała osoba, która ma jednocześnie wielkie doświadczenie, jeśli chodzi o kontakty z tourette’owcami.

*

Towarzystwo chorych z zespołem Tourette’a stale się rozrastało od założenia w roku 1972, a w całych Stanach (ba, na całym świecie) rozkwitały podobne zrzeszenia. W roku 1988 TSA zorganizowało pierwszy krajowy zjazd i w hotelu w Cincinnati zjawiło się ponad dwustu ludzi

z zespołem Tourette’a. Ci zwłaszcza, którzy nigdy dotąd nie spotkali się z podobnymi do siebie, odczuwali, że mogą się od innych „zarazić” ich tikami, co wcale nie było pozbawione podstaw, gdyż na spotkaniach ludzi z tourette’em dochodzi niekiedy do „rozchodzenia się” tiku. Kiedy przed kilku laty zobaczyłem w Londynie mężczyznę z tikiem spluwania i opowiedziałem to innemu tourette’owcowi w Szkocji, ten natychmiast splunął i zawołał: „I po co mi pan o tym mówił?”.

Aby uczcić zjazd, gubernator Ohio ogłosił w całym stanie tydzień wiedzy o zespole Tourette’a, ale zdaje się, że nie wszyscy o tym słyszeli. Jeden z uczestników zjazdu, Steve B., nie tylko mający drgawki, lecz także kompulsywnie przeklinający, wszedł do Wendy’s na hamburgera. Kiedy czekał na jedzenie, miał kilka podrygów, jak również wykrzyknął kilka obscenicznych słów, co sprawiło, że właściciel kazał mu wyjść, mówiąc: „Tutaj nie będziesz rzucał mięsem”.

— Nic na to nie mogę poradzić — odrzekł Steve. — Mam zespół Tourette’a. — Pokazał restauratorowi broszurkę informacyjną i dodał: — Jest właśnie w waszym stanie tydzień wiedzy o zespole Tourette’a, nie słyszał pan?

— Nic mnie to nie obchodzi — właściciel na to. — Wezwałem już policję, więc albo wychodzisz, albo cię zaraz zapuszkują.

Steve wrócił oburzony do hotelu i wszystko nam opowiedział, a już po chwili znalazłem się w otoczeniu dwustu tourette’owców, z pasją tikujących i krzyczących. Powiadomiliśmy media, prasa Ohio natychmiast podchwyciła historię i przypuszczam, że w Wendy’s nigdy już nic takiego się nie powtórzy. Była to jedyna sytuacja, gdy brałem udział w jakiejś demonstracji, jeśli nie liczyć innej, która też miała miejsce w 1988 roku.

W marcu tego roku nieoczekiwanie zadzwonił Bob Silvers, z pytaniem o to, czy słyszałem o rebelii głuchych. Studenci Uniwersytetu Gallaudeta protestowali przeciwko mianowaniu rektorem osoby słyszącej. Zdecydowanie woleli kogoś głuchego, kto biegle posługiwałby się amerykańskim językiem migowym, zabarykadowali się więc na kampusie, uniemożliwiając wstęp na uczelnię. Ponieważ byłem parę razy na Uniwersytecie Gallaudeta, mówił Bob, czy nie przyjechałbym do Waszyngtonu, żeby załagodzić sytuację? Zgodziłem się, a do towarzystwa zaprosiłem Lowella, żeby robił zdjęcia.

Protest pod hasłem „Chcemy głuchego rektora” trwał ponad tydzień, a jego kulminacją był marsz na Kapitolu (Uniwersytet Gallaudeta został założony i ufundowany przez Kongres). Szybko przestałem być bezinteresownym obserwatorem, kiedy bowiem robiłem na uboczu notatki, jedna z głuchych studentek chwyciła mnie za rękę i zamigała: „Chodź, przecież jesteś z nami”. Przyłączyłem się więc do ponad dwóch tysięcy protestujących studentów, a esej, który następnie zamieściłem w „The New York Review of Books”, był moim pierwszym w życiu „reportażem”.

Stan Holwitz z University of California Press (tam w USA ukazała się *Migrena*) zasugerował, że moje dwa teksty o głuchych układają się w całkiem zgrabną książeczkę, co mi się nawet spodobało, ale czułem, że w takim razie powinienem napisać jeszcze coś, co spinałoby obie części, jakieś bardziej ogólne uwagi o języku i układzie nerwowym. Nawet nie podejrzewałem, że to właśnie ta część będzie największą partią książki, która ostatecznie otrzymała tytuł *Zobaczyć głos*.

Stanąć na nogi, które ukazało się w Anglii w maju 1984 roku, otrzymało wiele przychylnych recenzji, ale cieniem położyła się na nich bardzo

krytyczna opinia poety, Jamesa Fentona, która bardzo głęboko mnie przygnębiła i na ponad trzy miesiące pogrążyła w niejakiej depresji.

Kiedy jednak później w tym roku pojawiła się amerykańska edycja, byłem zachwycony wspaniałą, nieszczędzącą mi pochwał recenzją w „The New York Review of Books", która dodała mi takiego animuszu i wiary w siebie, że w nagłej erupcji pisarskiej weny w kilka tygodni napisałem dwanaście tekstów, kompletując w ten sposób *Mężczyznę, który pomylił swoją żonę z kapeluszem.*

Autorem recenzji był Jerome Bruner, postać legenda, jeden z apostołów kognitywnej rewolucji w psychologii w latach pięćdziesiątych XX wieku. W owych czasach dominacji głoszonego przez B.F. Skinnera i innych behawioryzmu, zasadą było szukanie bodźca i reakcji, a więc naocznych, publicznych przejawów behawioru. Skinner nie dopuszczał istnienia czegoś takiego jak „umysł", który Bruner i jego koledzy chcieli znowu przywrócić do życia.

Bruner blisko przyjaźnił się z Łurią, z którym bardzo wiele łączyło go duchowo. W autobiografii *In Search of Mind* Bruner opisuje, jak w latach pięćdziesiątych XX wieku spotkał w Rosji Łurię. Pisał: „Pogląd Łurii na rolę języka we wczesnym rozwoju człowieka był bardzo podobny do mojego, nie inaczej też było z innymi jego pasjami".

Podobnie jak Łuria, Bruner nalegał na to, aby obserwować nabywanie języka przez dzieci nie w laboratorium, lecz w ich naturalnym otoczeniu, a w *Child's Talk* bardzo wzbogacił i rozszerzył naszą wiedzę o uczeniu się języka.

W lingwistyce lat sześćdziesiątych XX wieku — w efekcie rewolucyjnych prac Noama Chomsky'ego, który twierdził, że w mózg wbudowany jest „instrument nabywania języka" — wielki nacisk kładziono na syntaktykę. Taka wizja mózgu, zaprogramowanego na przyswajanie

języka i dlatego przyswajającego go, sama z siebie ignorowała społeczne źródła języka oraz jego fundamentalną rolę w porozumiewaniu się. Bruner argumentował, że niepodobna odrywać gramatyki od znaczenia, czyli treści komunikacyjnej, był bowiem zdania, że syntaktyka, semantyka i pragmatyka językowa ściśle się ze sobą wiążą.

To właśnie prace Brunera pozwoliły mi myśleć o języku w kategoriach nie tylko lingwistycznych, lecz także społecznych, co było kluczowe dla rozumienia języka migowego i kultury głuchych.

Jerry był dobrym przyjacielem pod różnymi względami, a także przewodnikiem i swego rodzaju mentorem. Miałem wrażenie, że jego ciekawość i wiedza nie mają granic. Nigdy nie spotkałem człowieka z umysłem bardziej pojemnym i przenikliwym, ale także dociekliwym i zawsze gotowym kwestionować swoje dotychczasowe pewniki (pamiętam, jak kiedyś przerwał w połowie zdania, by rzec: „Nie, nie jestem już przekonany o tym, co przed chwilą powiedziałem"). Ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a wydaje się, że jego możliwości umysłowe się nie zmniejszają.

*

Chociaż obserwowałem u swych pacjentów utratę zdolności mowy — różne formy afazji — niczego właściwie nie wiedziałem o tym, jak uczą się języka dzieci. Darwin przedstawił rozwój języka i umysłu małego dziecka w swym pięknym tekście *Biographical Sketch of an Infant* (przy czym tytułowym niemowlakiem był jego pierworodny syn), ja jednak nie miałem dzieci, które mógłbym obserwować, a nikt z nas przecież nie ma osobistych wspomnień z tego kluczowego okresu, gdy w wieku dwóch, trzech lat

nabywa się języka. Koniecznie chciałem się więcej dowiedzieć na ten temat.

Jedną z osób, z którymi najbardziej zaprzyjaźniłem się w Einstein College, była Isabelle Rapin, pochodząca ze Szwajcarii neurolog-pediatra, która szczególnie interesowała się chorobami neurodegeneracyjnymi i zaburzeniami rozwojowymi układu nerwowego w dzieciństwie. Także ja kiedyś się tym zajmowałem i napisałem artykuł o zwyrodnieniu gąbczastym (chorobie Canavan) u bliźniaków jednojajowych.

Oddział neuropatologii raz w tygodniu organizował sekcje mózgu i podczas jednej z nich — wkrótce po rozpoczęciu pracy w Einsteinie — poznałem Isabelle[89]. Byliśmy parą — mogłoby się zdawać — bardzo niedobraną: Isabelle, myśląca bardzo precyzyjnie i ściśle, oraz ja: niezdarny, niedbały, pełen dziwnych skojarzeń i umysłowych slalomów, tymczasem od początku przypadliśmy sobie do gustu i pozostaliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi.

Podobnie jak sobie, także i mnie Isabelle nigdy nie pozwalała na niefrasobliwe, przesadzone, nieuzasadnione stwierdzenia. „Chcę dowodu” — zawsze powtarzała. W ten sposób była moim sumieniem naukowym i uchroniła mnie od wielu kompromitujących wpadek. Jeśli jednak widziała, że stoję na solidnym gruncie, nalegała, bym swoje obserwacje przedstawił prosto i jasno, tak aby można było je analizować i nad nimi debatować — to od niej wyszły inspiracje do napisania wielu moich artykułów i książek.

Często robiłem motocyklowe wypady do weekendowego domku Isabelle nad brzegiem Hudson, ona zaś, Harold i czwórka ich dzieci uznali mnie za członka rodziny. Całe weekendy spędzałem na rozmowach z Isabelle i Haroldem, niekiedy zabierałem ich dzieciaki na przejażdżkę motocyklową albo pływałem z nimi w rzece. W lecie 1977 roku prawie miesiąc spędziłem w ich stodole, pracując nad nekrologiem Łurii[90].

Kiedy kilka lat później zacząłem myśleć i czytać o głuchocie i języku migowym, spędziłem u Isabelle intensywne trzy dni, podczas których przez wiele godzin wprowadzała mnie w język migowy i swoistą kulturę głuchych, którą obserwowała przez wiele lat, mając do czynienia z niesłyszącymi dziećmi. Ze szczególną siłą wryły mi się cytowane przez nią słowa mistrza Łurii, Lwa Wygotskiego:

> Jeśli niewidome lub głuche dziecko osiąga ten sam poziom rozwoju co dziecko normalne, osiąga to w inny sposób, inną drogą, innymi narzędziami. Dla pedagoga zaś szczególnie ważne jest to, aby zdawał sobie sprawę z wyjątkowości drogi, którą musi poprowadzić takie dziecko. Klucz do owej oryginalności stanowi fakt, że upośledzenie deficytu musi zostać wyrównane przez nadmiar kompensacji.

Gigantyczne osiągnięcie, jakim jest uczenie się języka, wydaje się stosunkowo proste w przypadku dzieci słyszących i następuje niemal automatycznie, może natomiast być ogromnie trudne dla dzieci niesłyszących, zwłaszcza jeśli nie mają styczności z językiem wizualnym.

Głusi, mówiący na migi rodzice będą na migi „paplać” do swych dzieci, tak jak rodzice słyszący robią to na głos; w taki to dialogowy sposób dzieci przyswajają sobie język. Umysł dziecka jest szczególnie nastawiony na naukę języka w ciągu pierwszych trzech, czterech lat, obojętne, czy będzie to język mówiony, czy język znaków. Jeśli jednak w tym krytycznym okresie dziecko nie przyswoi sobie żadnego języka, później może się to okazać bardzo trudne. Dlatego głuche dziecko głuchych rodziców będzie wzrastać, „mówiąc” znakami, ale głuche dziecko słyszących rodziców może wzrastać bez żadnego w ogóle języka, chyba że dostatecznie wcześnie znajdzie się w migowej społeczności.

Dla wielu dzieci, które widzieliśmy z Isabelle w szkole dla głuchoniemych na Bronxie, nauka czytania z warg i języka mówionego

wymaga ogromnego, trwającego lata wysiłku poznawczego, ale nawet potem zrozumienie i użycie języka często jest znacznie poniżej przeciętnego. Widziałem, jak katastrofalne mogą być kognitywne i społeczne efekty tego, że nie zyskuje się płynności językowej (Isabelle napisała o tym szczegółową rozprawę).

Z racji moich zainteresowań układami percepcyjnymi szczególnie zajmowała mnie kwestia, co się dzieje w mózgu osoby głuchej od urodzenia, a zwłaszcza takiej, której pierwszym językiem jest migowy. Dowiedziałem się, że według najnowszych badań u osób głuchych od urodzenia kora, która u osób pozbawionych tego defektu byłaby słuchowa, została „przeprogramowana” na cele wizualne, a zwłaszcza na obsługiwanie języka migowego. W porównaniu z osobami słyszącymi głusi są „hiperwizualni”, co widać już w pierwszym roku życia, ale wrażliwość ta pogłębia się wraz z przyswajaniem znaków.

W tradycyjnym ujęciu każda część kory mózgowej miała być predeterminowana do obsługiwania poszczególnych zmysłów czy do innych funkcji. Przypuszczenie, że poszczególne części kory mogą obsługiwać różne funkcje, oznaczało, że musi być ona o wiele bardziej plastyczna i mniej wstępnie zaprogramowana, niż wcześniej sądzono. Stawało się coraz bardziej oczywiste, między innymi dzięki obserwacji głuchych, że wyższe funkcje mózgowe są kształtowane przez jednostkowe doświadczenie na drodze selekcji i wzmacniania leżących u podstaw tych funkcji struktur neuronowych.

Wydawało mi się to niesłychanie ważne, gdyż domagało się zupełnie nowego spojrzenia na mózg.

---

82 Pozwalam sobie tutaj odejść od tłumaczenia B. Lindenberg — przyp. tłum.

83 Zakazane, zabronione — przyp. tłum.

84 Opisałem to w *Mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, ale już sam tytuł rozdziału, „Opętana”, zapowiada, że ukryłem tożsamość Johna P., gdyż przedstawiłem go jako starszą kobietę („po sześćdziesiątce”).

85 Kobieta zresztą cierpiała nie na zespół Tourette’a, lecz na erotyczną fiksację, która, jak widać chociażby na przykładzie Johna Lennona, może prowadzić do morderstwa. Rana spowodowała u Tourette’a połowicze porażenie i afazję.

86 Kiedy ukazał się „Zagubiony marynarz”, otrzymałem list od Normana Geschwinda, jednego z najbardziej oryginalnych i twórczych neurologów amerykańskich. Ogromnie podekscytowany kontaktem z nim, natychmiast odpisałem, ale na tym korespondencja się urwała, gdyż Geschwind miał katastrofalny wylew krwi do mózgu. Liczył sobie wprawdzie tylko pięćdziesiąt osiem lat, ale miał znakomity dorobek.

87 Bardzo chciałem móc się porozumiewać z głuchymi w ich własnym języku, chociaż jednak razem z Kate zapisaliśmy się na kursy amerykańskiego języka migowego (ASL), nie pokonałem swej zasadniczej trudności w uczeniu się innych języków i nigdy nie byłem w stanie pokazać więcej niż kilka słów i fraz.

88 W książce, która ukaże się niebawem, opisuję bardziej szczegółowo nasze podróże po Kanadzie i Europie, a także przez Stany Zjednoczone.

89 Owe sekcje były bardzo popularne; ściągały między innymi klinicystów, którzy chcieli sprawdzić słuszność swoich diagnoz. Dobrze zapamiętałem sytuację, gdy dokonywano autopsji mózgów pięciorga pacjentów, u których za życia rozpoznano stwardnienie rozsiane, a tymczasem okazało się, że we wszystkich przypadkach była to mylna diagnoza.

90 We wrześniu 1977 roku ciotka Len podziękowała mi za telegram urodzinowy („Wielkim ciepłem napełnił moje osiemdziesięciopięcioletnie serce”), po czym dodała: „Bardzo nas przygnębiła wiadomość o śmierci profesora Łurii. Dla ciebie musiał to być wielki cios, dobrze wiem, jak sobie ceniłeś jego przyjaźń. Czy to ty napisałeś nekrolog w »Timesie«?”. (Istotnie, tak było).

City Island

Chociaż porzuciłem Zachodnie Wybrzeże dla Nowego Jorku w roku 1965, to pozostawałem w bliskim kontakcie z Thomem Gunnem i odwiedzałem go przy każdej wizycie w San Francisco. Mieszkał teraz w starym domu z Mikiem Kitayem oraz — na ile mogłem się zorientować — z jeszcze czterema, pięcioma osobami. Były tam, rzecz jasna, tysiące książek — Thom czytał uważnie, namiętnie, nieprzerwanie — ale także kolekcja reklam piwa sięgająca jeszcze lat osiemdziesiątych XIX wieku, było w bród płyt, była też kuchnia pełna intrygujących przypraw i zapachów. Zarówno Thom, jak i Mike uwielbiali gotować, a cały dom miał urzekającą atmosferę nasyconą przez osobowości, sympatie i idiosynkrazje ludzi, którzy się tu zjawiali i stąd znikali. Będąc samotnikiem, delektowałem się tymi odblaskami życia wspólnotowego, które wydawało mi się pełne przychylności i zgody. (Musiały też być i konflikty, ale o nich najczęściej mało wiedziałem).

Thom, znakomity piechur, przemierzył wszystkie wzgórza otaczające San Francisco. Nigdy nie widziałem go w samochodzie czy na rowerze, przede wszystkim chodził, a czynił to tak jak Dickens, obserwując i chłonąc wszystko, aby wcześniej czy później wykorzystać do swego pisania. Lubił wędrować także po Nowym Jorku. Kiedy tam przyjeżdżał, wsiadał na Staten Island Ferry, jechał pociągiem w jakieś zapomniane miejsce albo po prostu chodził. Zwykle jadaliśmy w restauracji, chociaż raz sam spróbowałem przyrządzić jedzenie (Thom przyjmował wtedy leki przeciwhistaminowe i czuł się na zbytnim „rauszu”, żeby wyjść). Żaden ze

mnie kucharz, więc wszystko poszło nie tak. Curry eksplodowało, pokrywając mnie żółtym pyłem, który to incydent musiał zapaść Thomowi w pamięć, kiedy bowiem w roku 1984 wysłał mi wiersz *Yellow Pitcher Plant*, dedykacja brzmiała: „Szafranoworękiemu Sacksowi od Zawianego Gunna” [91].

W dołączonym liście pisał:

> Jakże miło było Cię widzieć, o Szafranoworęki! Mogłem wyglądać na otumanionego lekami, ale w głębi ducha byłem uważny i skupiony. Dużo myślałem o tym, co mówiłeś o anegdocie i narracji. Sądzę, że żyjemy w wirze anegdot. (...) Większość z nas komponuje swoje życie w narracje. (...) Zastanawiam się, skąd się bierze ta pasja do komponowania siebie.

*

Nigdy nie wiadomo, jak potoczy się rozmowa. Tamtego dnia czytałem Thomowi część nieopublikowanego jeszcze tekstu o panu Thompsonie, cierpiącym na amnezję pacjencie, który nieustannie musiał na nowo tworzyć siebie i swój świat. Każdy z nas, pisałem, konstruuje i przeżywa „narrację”, jest przez nią określany. Thoma fascynowały historie pacjentów, więc często mnie wyciągał na opowieści o nich (przy czym nie było to specjalnie trudne). Kiedy przeglądam naszą korespondencję, w jednym z pierwszych listów znajduję na przykład taki fragment: „Świetnie było się spotkać w ostatni weekend; od tego czasu i ja, i Mike nieustannie myślimy o fantomowych kończynach”. A w innym: „Dobrze pamiętam, jak rozprawiałeś o bólu. To także będzie świetna książka”. (Niestety, nigdy nie powstała).

Thom wprawdzie zaczął mi przysyłać swoje teksty (zawsze z urzekającymi, pomysłowymi dedykacjami), mogłem mu się jednak odwzajemniać dopiero od *Migreny*, która ukazała się na początku 1971

roku. Odtąd strumienie prezentów płynęły w obie strony, regularnie też do siebie pisaliśmy (moje listy liczyły często po kilkanaście stron, podczas gdy jego były bardziej zwięzłe i treściwe, często mieściły się na kartce pocztowej). Od czasu do czasu dyskutowaliśmy też o samym pisaniu, o przypływach i odpływach weny, o iluminacjach i chwilach mroku, które wszystkie zdawały się nieodzownymi składowymi procesu twórczego.

W 1982 roku poinformowałem go, że po ośmiu latach wydawało się, iż nadchodzi wreszcie kres niemal nieznośnym już opóźnieniom, przerwom i zniechęceniom przy komponowaniu *Stanąć na nogi*. Thom odpisał:

> Zawsze zżymałem się na to, że nie obdarzasz nas *Stanąć na nogi*; może jednak w końcu dotrze do nas w zmienionej postaci. (...) Jestem w tej chwili trochę rozleniwiony. Wydaje się, że mam jakiś taki wzorzec: kiedy kończę jeden manuskrypt, następuje czas bez jakiegokolwiek koherentnego pisania, dalej pojawia się myśl o czymś nowym i przez następne kilka lat dochodzi do nagłych wybuchów aktywności, aż na koniec jawi się całościowa wizja nowej książki i wtedy bywa, że dokonuję zupełnie nieoczekiwanych odkryć dotyczących mego tematu (tematów). Doprawdy dziwna jest ta psychologia pisania. W sumie podejrzewam, że lepiej, by nie działo się ono zbyt łatwo: myślę, że w sumie zastoje, poczucie paraliżu, czas, kiedy sam język wydaje się oporny, sztywny, pomagają mi, gdyż przez kontrast uwydatniają to, z jaką energią rozgrywa się „przyspieszenie", gdy już do niego dochodzi.

Dla Thoma kluczowe było to, aby miał czas dla siebie; poezji nie można było ponaglić, musiała się wyłonić sama z siebie. Chociaż więc uwielbiał pracę nauczyciela (i był uwielbiany przez studentów), zajęcia na Berkeley ograniczał do jednego semestru w roku. Stanowiło to jego główne źródło dochodów, oprócz przygodnych wywiadów czy jakichś tekstów zamówionych. „Zarabiam — pisał Thom — mniej więcej połowę tego co kierowca autobusu czy zamiatacz ulicy, ale taki jest mój wybór, gdyż wolę

leniuchować, niż pracować na pełen etat”. Nie sądzę, by bardzo się przejmował niedostatkiem pieniędzy; nie był rozrzutny (aczkolwiek hojny dla innych), wydawał się z natury oszczędny. (Jego sytuacja finansowa nieco się poprawiła w 1992 roku, kiedy dostał MacArthur Award. Dzięki nagrodzie mógł więcej podróżować i odrobinę sobie pofolgować także w innych kwestiach).

Bardzo często pisywaliśmy do siebie o książkach, które nas obu zafascynowały lub które, jak przypuszczaliśmy, mogą zafascynować drugiego. („Najlepszym od lat nowym poetą, na jakiego się natknąłem, jest Rod Taylor... niesamowity pisarz, czytałeś go?” Nie czytałem, natychmiast jednak kupiłem *Florida East Coast Champion*). Nasze gusta nie zawsze się pokrywały; zdarzyła się książka, która mnie zachwyciła, Thom jednak skrytykował ją z taką pasją i pogardą, iż cieszyłem się, że słowa te nie wyszły poza prywatną korespondencję. (Jak Auden, Thom rzadko recenzował rzeczy, które mu się nie podobały, dlatego jego recenzje były najczęściej pochlebne[92]. Ta życzliwość i wyważenie sądu szczególnie mi się podobały w *The Occasions of Poetry*).

Thom był o wiele bardziej wyrazisty od mnie, gdy chodziło o wzajemną ocenę naszych prac. Mnie podobały się niemal wszystkie jego utwory, ale rzadko próbowałem je analizować, Thom natomiast bardzo się starał dokładnie wskazać dostrzegane przez siebie słabości i mocne strony tego, co mu wysyłałem. Na początku bardzo lękałem się jego krytyki, ale od 1971 roku, kiedy przekazałem mu *Migrenę*, niecierpliwie czekałem na jego opinie i bardziej je ceniłem od innych.

W latach osiemdziesiątych wysłałem mu kilkanaście tekstów przygotowujących *Mężczyznę, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*. Niektóre z nich bardzo mu się podobały (zwłaszcza „Autysta-artysta”

i „Bliźniacy”), ale jeden, „Christmas”, nazwał „katastrofą”. (Ostatecznie zgodziłem się z nim i tekst trafił do kosza).

Największe jednak wrażenie zrobił na mnie list, jaki otrzymałem od niego w 1973 roku po wysłaniu *Przebudzeń*. Thom zestawiał w nim bowiem to, jaki byłem, gdyśmy spotkali się po raz pierwszy, z tym, kim się stałem.

> *Przebudzenia* są zresztą znakomite. Pamiętam, jak kiedyś, w latach sześćdziesiątych, mówiłeś mi, jaką książkę chciałbyś napisać: żeby była dobra od strony naukowej, ale także, aby po prostu dobrze się ją czytało. Teraz na pewno Ci się to udało. (...) Wspominałem także dzienniki z podróży, które mi przysyłałeś. Od razu widać było, że masz talent, ale wyraźnie Ci czegoś brakowało, i to czegoś bardzo ważnego — nazwij to, jak chcesz: empatią, wrażliwością czy jeszcze inaczej. I mówiąc szczerze, szkoda mi było, że nigdy nie będziesz dobrym pisarzem, bo nie bardzo wiedziałem, jak można by się owej cechy nauczyć. (...) Właśnie ów brak empatii ograniczał ostrość Twojej obserwacji. (...) Nie wiedziałem jednak, że rozwój owej wrażliwości może się u niektórych osób opóźnić aż do trzydziestki. To, czego Ci wówczas brakowało, teraz wręcz znakomicie organizuje *Przebudzenia*, ale co więcej, organizuje też Twój styl, sprawiając, że jest tak wciągający i zróżnicowany. (...) Ciekaw jestem, czy wiesz, co się stało. Po prostu długa praca z pacjentami czy otwarcie się, w którym pomógł kwas, a może zakochanie się w kimś (nie samo zauroczenie). A może wszystkie trzy rzeczy naraz.

List ten ogromnie mnie poruszył, ale też nie mogłem przestać o nim myśleć, a nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć Thomowi. Owszem, kochałem się — i odkochiwałem — i w jakimś sensie byłem zakochany: w pacjentach (to rodzaj miłości-sympatii, która otwiera człowiekowi oczy). Nie sądziłem też, by kwas, którego istotnie sporo przyjmowałem, odegrał jakąś rolę w tym, że otworzyłem się na innych, chociaż wiedziałem, że u Thoma była ona istotna[93]. (Zaintrygowało mnie jednak, że L-dopa, którą

podawałem chorym po śpiączkowym zapaleniu mózgu, dawała niekiedy efekty podobne do tych, których ja doświadczałem po LSD i innych narkotykach). Zarazem czułem, że kluczowa dla mego rozwoju była psychoanaliza (której intensywnie się poddaję od roku 1966).

Kiedy Thom pisał o opóźnieniu rozwoju wrażliwości do trzydziestki, nie mogłem się opędzić od myśli, czy chodzi mu także o siebie i o zmianę, która wyraźnie dokonała się w nim i w jego poezji, a którą widać w *My Sad Captains* (w momencie wydania miał trzydzieści dwa lata). O tomiku tym pisał później: „Dzieli się na dwie części. Pierwsza jest kulminacją mego dawnego stylu: metrycznego, racjonalnego, ale może zaczynającego stopniowo być bliższym ludzkim sprawom. W drugiej części ten wątek nasila się jeszcze (...) a nowa forma w sposób niemal konieczny domagała się nowej treści".

Miałem dwadzieścia pięć lat, kiedy pierwszy raz przeczytałem *The Sense of Movement*, a tym, co do mnie przemówiło w tych wierszach obok piękna obrazów i perfekcyjności formy, było nietzscheańskie niemal wyeksponowanie woli. Kiedy będąc już pod czterdziestkę, zacząłem pisać *Przebudzenia*, bardzo głęboko się zmieniłem, podobnie jak Thom. Teraz te nowe jego wiersze, bardziej zróżnicowane tematycznie i przepojone inną wrażliwością, silniej do mnie przemawiały, obaj zaś byliśmy radzi, że nietzscheański etap mamy już za sobą. W latach osiemdziesiątych, kiedy obaj zaczynaliśmy być pięćdziesięciolatkami, wiersze Thoma, nigdy nietracące formalnej doskonałości, nabierały swobody i czułości, w czym musiała odegrać rolę utrata przyjaciół. Kiedy Thom przesłał mi *Lament*, pomyślałem, że nie napisał dotąd wiersza równie mocnego i równie przejmującego.

Bardzo lubiłem występującą w wielu wierszach Thoma wrażliwość historyczną, pamięć o poprzednikach. Niekiedy była jawna jak w *Poem*

after Chaucer (który przysłał mi w 1971 roku na kartce noworocznej), o wiele częściej jednak pozostawała ukryta. Sprawiało to, że niekiedy myślałem, iż Thom rzeczywiście był Chaucerem, Donne'em, lordem Herbertem, który znalazł się w Ameryce, w San Francisco, pod koniec XX wieku. Ta świadomość przodków, poprzedników, stanowiła istotny wątek jego utworów, często też robił aluzje do innych wierszy czy poetów albo wręcz ich cytował. Nie było u niego zaciekłej walki o „oryginalność", chociaż, oczywiście, wszystko, z czego korzystał, ulegało przetworzeniu. Oto, co Thom pisał na ten temat w eseju autobiograficznym:

> Pisarstwo jest bardzo istotnym składnikiem mego życia, aczkolwiek jestem dość wtórnym poetą. Uczę się, ile mogę, od każdego, od kogo mogę. Bardzo wiele czerpię ze swych lektur, gdyż bardzo poważnie je traktuję. To ważna część mojego doświadczenia, a ono jest podstawą całej mojej poezji. Nie przepraszam za to, że jestem wtórny. (...) To, aby być wyjątkową osobowością poetycką, nigdy mnie specjalnie nie interesowało i głęboko solidaryzuję się ze wspaniałą uwagą Eliota, że sztuka jest ucieczką od osobowości.

Kiedy spotykają się dawni przyjaciele, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że będą rozmawiać głównie o przeszłości. Thom i ja wzrastaliśmy w północno-wschodnim Londynie, na czas wojny ewakuowano nas z miasta, bawiliśmy się w Hampstead Heath, piliśmy w Jack Straw's Castle, obaj byliśmy produktami swoich rodzin, szkół, czasów i kultur. To tworzyło dodatkową więź między nami i niekiedy skłaniało do dzielenia się wspomnieniami. Ale jeszcze bardziej połączyło nas to, że wyzwalając się od ciężaru przeszłości, obaj poszukaliśmy nowej ziemi, którą była Kalifornia lat sześćdziesiątych XX wieku. Puściliśmy się w podróż, ciągi zmian i przekształceń, których biegu niepodobna było do końca przewidzieć i kontrolować, znajdowaliśmy się w nieustannym ruchu.

W *On the Move*, wierszu, który Thom napisał, mając dwadzieścia kilka lat, są wersy:

> W najgorszym — jest się w ruchu, a w najlepszym razie,
> nie tykając absolutu, który w bezczyn kładzie,
> jest się go coraz bliżej, nigdy nie ustając.

I Thom był stale w ruchu, nieustannie pełen energii nawet jako siedemdziesięciolatek. Kiedy widziałem się z nim po raz ostatni, w listopadzie 2003 roku, wydawał mi się nie mniej, ale bardziej żywotny od młodego człowieka, którego poznałem czterdzieści lat wcześniej. Jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku pisał mi: „Właśnie wydałem *Jack Straw's Castle* i nie mam najmniejszego pojęcia, jaka będzie następna książka". W roku 2000 ukazał się *Boss Cupid*; teraz, usłyszałem od Thoma, jest już gotów do następnej książki, ale zupełnie nie wie jakiej. Na ile mogłem ocenić, nie zamierzał nie tylko stawać, lecz także nawet zwalniać. Myślę, że dążył przed siebie, był w ruchu aż do ostatniej chwili, chwili śmierci.

Kiedy w lecie 1979 roku wybrałem się na Manitoulin, dużą wyspę na jeziorze Huron, natychmiast się w niej zakochałem. Ciągle zmagałem się z nieszczęsnym *Stanąć na nogi* i postanowiłem zrobić sobie dłuższe wakacje, podczas których będę pływał, myślał, pisał i słuchał muzyki. (Miałem ze sobą tylko dwie kasety, na jednej była *Msza c-moll* Mozarta, na drugiej jego *Requiem*. Od czasu do czasu zdarza się, że fiksuję się na jednym, góra dwóch utworach muzycznych i odtwarzam je nieustannie, a przed pięcioma laty, kiedy mozolnie schodziłem z góry obciążony bezużyteczną nogą, właśnie *Msza* i *Requiem* rozbrzmiewały mi w głowie).

Dużo wędrowałem wokół Gore Bay, głównej miejscowości Manitoulin. Zwykle jestem nieśmiały, tutaj jednak sam nawiązywałem rozmowy

z nieznajomymi. Ba, poszedłem nawet do kościoła w niedzielę, gdyż cenię poczucie wspólnoty. Kiedy spędziwszy sześć idyllicznych, chociaż niezbyt produktywnych tygodni, szykowałem się do wyjazdu, od czegoś w rodzaju starszyzny Gore Bay otrzymałem zaskakującą propozycję. „Zdaje się, że dobrze tu panu było, pokochał pan wyspę. Nasz miejscowy lekarz po czterdziestu latach przeszedł na emeryturę; czy nie zechciałby go pan zastąpić?” Widząc moje wahanie, dodali, że władze prowincji Ontario zapewnią mi dom, a na wyspie — jak sam mogłem stwierdzić — żyje się całkiem nieźle.

Bardzo mnie ta propozycja poruszyła i zastanawiałem się nad nią kilka dni, pławiąc się w fantazjach na temat tego, jak to zostaję lekarzem na wyspie. Jednak z żalem doszedłem do wniosku, że to się nie uda. Nie nadaję się na lekarza ogólnego, potrzeba mi miasta, nawet gdy jest zatłoczone, i jego wielkiej, zróżnicowanej grupy pacjentów neurologicznych. Nie mogłem więc postąpić inaczej, jak podziękować starszyźnie Manitoulin i odmówić.

Minęło od tej chwili ponad trzydzieści lat, a ciągle niekiedy się zastanawiam, jak wyglądałoby moje życie, gdybym się wtedy zgodził.

*

Jeszcze w tym samym 1979 roku, tylko później, znalazłem dom na zupełnie innej wyspie. Jak tylko rozpocząłem pracę w Einsteinie na jesieni 1965 roku, wciąż słyszałem o stanowiącej część Nowego Jorku City Island. Długa na ponad dwa i szeroka na niecały kilometr, miała atmosferę wioski rybackiej w Nowej Anglii i wydawała się leżeć w innej części świata niż Bronx, chociaż odległa była raptem o dziesięć minut od Einsteina i mieszkało na niej kilkunastu kolegów. Z wyspy w każdym kierunku

rozciągał się piękny widok na morze, a obiad w jednej z licznych rybnych restauracji był przyjemnym urozmaiceniem dnia roboczego, który, jeśli trafiały się pilne badania, trwał nawet osiemnaście godzin.

City Island miała własną tożsamość, własne reguły i własne tradycje, a jej rodzimi mieszkańcy, wydawało się, ze szczególnym szacunkiem odnosili się do wszystkich ułomności — czy był to doktor Schaumburg, kolega neurolog, który w dzieciństwie miał chorobę Heinego-Medina i wolno przemieszczał się swym trójkołowym wózkiem w dół i w górę City Island Avenue, czy też szalona Mary, kobieta mająca ataki psychozy, w trakcie których wygłaszała płomienne kazania ze skrzyni swego pick-upu, traktowana jednak po prostu jako jedna z sąsiadek. Bo też w istocie w innych momentach dawała pokaz prawdziwego zdrowego rozsądku, hartującego się w napadach psychozy.

Kiedy musiałem opuścić lokum w Beth Abraham, w Mount Vernon wynająłem od miłej pary mieszkanie na najwyższym piętrze ich domu, często jednak jechałem na City Island czy Orchard Beach, aby rano przed pracą popływać nieco, a w weekendy wypuścić się na dłużej, na przykład opłynąć City Island, co zabierało mi około sześciu godzin.

To właśnie podczas jednej z takich wypraw w roku 1979 wypatrzyłem blisko końca wyspy bardzo zachęcająco wyglądającą altanę. Wyszedłem z wody, obejrzałem ją, a potem dotarłem do ulicy, gdzie przed małym domkiem zobaczyłem tablicę: „Na sprzedaż”. Ociekając wodą, zapukałem do drzwi, które otworzył właściciel: okulista z Einstein College. Kończyło mu się właśnie stypendium i razem z rodziną przenosił się na Wybrzeże Północno-Zachodnie. Oprowadził mnie po domu (pożyczyłem ręcznik, żeby nie zostawiać mokrych śladów), którym byłem urzeczony. W mokrych szortach podążyłem na bosaka City Island Avenue do biura agentki, której oznajmiłem, że chcę kupić ten dom.

Marzyłem, żeby mieć na własność taki dom, jaki wynajmowałem w Topanga Canyon w czasach UCLA. Chciałem też, by był nad wodą, tak aby wystarczyło tylko włożyć kąpielówki i sandały, żeby zejść do morza. Tak więc mały, obity czerwonymi deskami dom przy Horton Street, dwa kroki od plaży, był idealny.

Ponieważ jednak nie miałem żadnego doświadczenia jako właściciel domu, szybko doszło do nieszczęścia. Kiedy pierwszej zimy wyjechałem na tydzień do Londynu, nie wiedziałem, że nie powinienem wyłączać ogrzewania, żeby woda w rurach nie zamarzła. Gdy po powrocie otworzyłem frontowe drzwi, czekał mnie okropny widok. Rury na górze pękły i zalały piętro, więc w jadalni kawałki sufitu zwisały nad stołem. Meble były w ruinie, podobnie jak dywan.

Kiedy byłem w Londynie, ojciec zasugerował, że teraz, kiedy mam już swój dom, mógłbym wziąć jego fortepian, pięknego bechsteina, z którym byli równolatkami, gdyż powstał w 1895 roku. Ojciec miał go od ponad pół wieku i codziennie na nim grywał, ale teraz jego ponadosiemdziesięcioletnie ręce były powykręcane przez artretyzm. Dreszcz grozy, który poczułem na widok tych zniszczeń, nasilił się jeszcze, gdy uświadomiłem sobie, że właśnie tutaj stałby fortepian, jeślibym nabył dom trochę wcześniej.

Wielu moich sąsiadów na City Island było marynarzami. W następnym domu mieszkał Skip Lane z żoną, Doris. Skip przez większość życia był kapitanem marynarki handlowej, a w domu znajdowało się tyle kompasów, kół sterowych, lornetek, że sam przypominał statek. Ściany pełne były zdjęć jednostek, którymi dowodził.

Skip mógł godzinami opowiadać o życiu na morzu, ale teraz, jako emeryt, z wielkich statków przerzucił się na malutki jednoosobowy jachcik

„Sunfish”, na którym przepływał Eastchester Bay, a pożeglowanie na Manhattan było dla niego drobnostką.

Chociaż ważył, myślę, dobre sto piętnaście kilogramów, był nie tylko silny, lecz także zwinny. Często go widywałem, jak mocował różne rzeczy na dachu domu — dobrze chyba czuł się bliżej nieba — a raz zdarzyło się, że sprowokowany, tylko podciągając się na bicepsach rąk, wspiął się na dziewięciometrowy pylon City Island Bridge, by potem trochę się pokołysać na jednej z jego poprzeczek.

Skip i Doris byli znakomitymi sąsiadami; pełni energii i radości życia, nigdy się nie narzucali, ale jeśli poprosiło się ich o pomoc, nigdy jej nie skąpili. Na Horton Street stało kilkanaście domów, mieszkańców było trzydzieścioro, a jeśli mieliśmy jakiegoś przywódcę, człowieka od podejmowania decyzji, to był nim Skip.

Kiedyś na początku lat dziewięćdziesiątych ostrzeżono nas, że nadciąga wielki huragan i zbrojni w megafony policjanci wzywali do ewakuacji. Skip, dla którego burze i morza nie miały żadnych tajemnic, głosem potężniejszym od wszystkich megafonów wrzasnął: „Bzdura! Nie ruszać się!”, a potem wszystkich nas zaprosił w południe na huraganowego drinka do siebie na ganek, abyśmy obejrzeli oko cyklonu. Tuż przed południem, dokładnie tak, jak przewidział Skip, wiatr kompletnie ucichł i znienacka nastały cisza i spokój. Tu, w oku cyklonu, świeciło słońce, niebo było bezchmurne, panowała cudowna, magiczna sielanka. Skip opowiadał nam, że w oku cyklonu ptaki i motyle są niesione całe tysiące kilometrów, czasami aż z Afryki.

Na Horton Street nikt nigdy nie zamykał drzwi. Wszyscy nawzajem pilnowaliśmy swoich domów i wspólnej plaży. Szerokości miała najwyżej kilka metrów, ale była NASZA i w każdy Labor Day, pierwszy poniedziałek

września, urządzaliśmy małą biesiadę na piasku, z prosięciem piekącym się na rożnie.

Na dłuższe pływanie zabierałem często jednego z sąsiadów, Davida, wykazującego ostrożność i zdrowy rozsądek, których mnie często brakowało, i dzięki temu niepozwalającego mi pakować się w kłopoty. Sam bowiem często posuwałem się zbyt daleko; ot, chociażby raz popłynąłem aż do Throgs Neck Bridge, gdzie omal nie uśmiercił mnie jakiś stateczek. David był zszokowany, kiedy mu o tym opowiedziałem, i fuknął, że jeśli już koniecznie chcę („jak idiota") wypływać na tory żeglugowe, to przynajmniej powinienem ciągnąć za sobą pomarańczową boję ostrzegawczą.

W wodach wokół City Island spotykałem czasami niewielkie meduzy. Ignorowałem lekkie pieczenie, które było efektem delikatnego otarcia się ich o moją skórę, ale w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku zaczął się pojawiać znacznie większy gatunek, *Cyanea capillata* — przypominająca lwią grzywę bełtwa włosiennik (odpowiedzialna za tajemniczą śmierć w jednej z ostatnich przygód Sherlocka Holmesa). O tę już otrzeć się nie było dobrze: zostawiała na skórze bolesne pręgi, powodując też raptowny wzrost rytmu serca i ciśnienia krwi. Zdarzyło się raz, że dziesięcioletni syn jednego z sąsiadów miał po oparzeniu przez bełtwę bardzo niebezpieczną reakcję anafilaktyczną: twarz i język tak mu spuchły, że ledwie mógł oddychać, a uratowało go jedynie szybkie podanie adrenaliny.

Kiedy plaga wielkich meduz się nasiliła, zacząłem pływać w pełnym stroju płetwonurka, włącznie z maską na twarzy. Tylko usta miałem odsłonięte, więc smarowałem je wazeliną. Tak czy owak przestraszyłem się nie na żarty, kiedy pewnego dnia znalazłem pod jedną z pach *Cyanea*

wielkości piłki futbolowej — i na tym skończyło się dla mnie beztroskie pływanie.

Każdego maja i czerwca podczas pełni księżyca na naszej plaży — jak na wszystkich plażach północnego wschodu — odbywała się odwieczna i piękna ceremonia związana z tym, że na brzeg na swe doroczne gody wypełzały mieczogony, pamiętające jeszcze czasy paleozoiku staroraki. Obserwując ten dokonujący się od ponad czterystu milionów lat rytuał, miałem głębokie poczucie realności zamierzchłych czasów.

*

City Island była znakomitym miejscem na wałęsanie się bez celu, w górę i w dół City Island Avenue, na zbaczanie w przecznice, na których znajdowało się raptem po kilka domów. Było wiele budynków z attykami, sięgających jeszcze czasów wiktoriańskich, pozostało kilka doków, resztki okresu świetności, gdy był tu zakład budowy jachtów. Wzdłuż centralnej ulicy rozłożyły się restauracje rybne, poczynając od eleganckiej Thwaite's Inn, a kończąc na Johnny's Reef Restaurant, gdzie na wolnym powietrzu można było przekąsić *fish and chips*. Moim ulubionym lokalem było Spouter's Inn, gdzie na ścianach wisiały obrazy z wielorybami, a w każdy czwartek podawali zupę grochową. Także szalona Mary lubiła to miejsce.

W atmosferze małej miejscowości niemal zupełnie pozbyłem się nieśmiałości. Byłem po imieniu z właścicielem Spouter's, kierownikiem stacji benzynowej, urzędniczkami na poczcie (mówiły, że za ich życia nikt nie wysyłał ani nie otrzymywał tylu listów — które sypnęły się wręcz lawiną po wydaniu *Kapelusza*).

Kiedy w domu zaczynały mi ciążyć cisza i samotność, szedłem do Neptune, nie wiedzieć dlaczego mało popularnej, na ogół pustawej

restauracji na końcu Horton Street, i całymi godzinami siedziałem tam, pisząc. Myślę, że polubili cichego pisarza, który co pół godziny zamawiał inną rybę, gdyż nie chciał, by restauracja zbankrutowała.

*

Wczesnym latem 1994 roku zostałem adoptowany przez zbłąkanego kota. Wróciłem wieczorem i zobaczyłem go siedzącego na moim ganku. Wyniosłem z domu spodek z mlekiem, które łapczywie wychłeptał. Potem spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Dzięki, bracie, ale do zjedzenia też by się coś przydało”.

Nalałem raz jeszcze do spodka, a następnie wróciłem z kawałkiem ryby, co przypieczętowało milczącą, lecz klarowną umowę: zostanie u mnie, jeśli będziemy potrafili się dogadać. W piwnicy znalazłem stary koszyk i postawiłem na stoliku na ganku, a rano z przyjemnością zobaczyłem, że kot jest. Dałem mu więcej ryby, mleka zostawiłem całą miseczkę i zabrałem się do pracy. Na odchodne pomachałem mu, co kot chyba zrozumiał jako obietnicę mojego powrotu.

Wieczorem nie tylko czekał, lecz także powitał mnie mruczeniem, wyginaniem grzbietu i ocieraniem się o nogę, co napełniło mnie dziwnym wzruszeniem. Nakarmiłem kociaka i tak jak lubiłem, usiadłem przy wychodzącym na werandę oknie, aby coś zjeść. Mój nowy towarzysz wskoczył na swój stolik i z zewnątrz przypatrywał się mojemu posiłkowi.

Następnego wieczoru położyłem mu rybę na podłodze ganku, ale jej nie ruszył. Gdy przełożyłem ją na stolik, kot wskoczył na blat, ale z jedzeniem poczekał, aż i ja usadowię się na sofie przy oknie, którym rozdzieleni zabraliśmy się do swoich kolacji. Urzekł mnie ten rytuał synchronicznego jedzenia, który powtarzał się co wieczór. Myślę, że obu nam potrzebne było

towarzystwo, aczkolwiek prędzej oczekiwałoby się tego po psie niż po kocie. Ten lubił być ze mną, już po kilku dniach zaczął mi towarzyszyć w drodze na plażę, gdzie wskakiwał na ławkę obok mnie.

Nie wiem, co robił za dnia, chociaż kiedyś przyniósł mi małego ptaka, zrozumiałem więc, że kocim zwyczajem musiał polować, ale zawsze, gdy wracałem wieczorem, czekał na mnie na ganku. Byłem zachwycony i zafascynowany tą więzią międzygatunkową. Czy w taki właśnie sposób setki tysięcy lat temu spotkali się człowiek i pies?

Kiedy pod koniec września zrobiło się chłodno, oddałem Puss — tak nazwałem kota, a on to zaaprobował — przyjaciołom, u których żył szczęśliwie przez następne siedem lat.

*

Miałem szczęście, że zgodziła się przychodzić do mnie raz w tygodniu Helen Jones, wspaniała kucharka i gospodyni. Ilekroć zjawiała się w czwartkowy ranek, jechaliśmy na Bronx, aby zrobić zakupy, a zaczynaliśmy od sklepu rybnego przy Lydig Avenue, który prowadziło dwóch Sycylijczyków, braci podobnych jak bliźniacy.

Kiedy byłem chłopcem, co piątek przychodził do nas do domu sprzedawca ryb, niosąc w wiadrze karpie i inne gatunki. Matka gotowała ryby, przyprawiała i robiła z nich pulpety, układała w wielkiej misce, abyśmy oprócz sałatek, owoców i chałki mieli się czym posilić w sabat, kiedy nie wolno gotować. Sycylijczycy z Lydig Avenue bardzo radzi sprzedawali nam karpie, sieje i szczupaki, a ja nie mogłem się nadziwić, że Helen, praktykująca chrześcijanka, potrafiła tak znakomicie przyrządzać żydowskie przysmaki. Miała niezwykły dar improwizacji, a jej pulpety, musiałem przyznać, były nie gorsze od matczynych. Helen za każdym

kolejnym razem jeszcze je ulepszała, a zagustowali w nich także moi przyjaciele i sąsiedzi. Nie inaczej było ze współwiernymi Helen, a mnie bardzo radował widok, jak w towarzystwie innych baptystów na swoich kościelnych spotkaniach pałaszuje żydowskie pulpety.

*

Były lata dziewięćdziesiąte. Kiedy pewnego letniego dnia wróciłem z pracy, zobaczyłem na ganku dziwaczną postać z wielką czarną brodą i szopą włosów na głowie. Jakiś zwariowany włóczęga, pomyślałem odruchowo, kiedy jednak tramp przemówił, zorientowałem się, że mam przed sobą starego przyjaciela, Larry'ego. Nie widziałem go od wielu lat i jak w przypadku paru innych osób, zacząłem myśleć, że pewnie już nie żyje.

Poznałem Larry'ego w 1966 roku, kiedy usiłowałem się jakoś wykaraskać z pierwszych zaćpanych miesięcy w Nowym Jorku. Zacząłem wtedy dobrze się odżywiać, ćwiczyłem, odzyskiwałem siłę, regularnie odwiedzałem salę treningową w West Village, którą w sobotnie poranki otwierano o ósmej, a ja często byłem pierwszym chętnym. Pewnej soboty rozpocząłem od wyciskania nogami. W Kalifornii świetnie sobie radziłem z przysiadami i byłem ciekaw, czy wróciła mi siła. Zaatakowałem trzysta pięćdziesiąt kilogramów. Fraszka. Czterysta pięćdziesiąt kilogramów. Nieco trudniej, ale dałem radę. Pięćset pięćdziesiąt — kłopot. Wiedziałem, że to za duży dla mnie ciężar, ale nie chciałem się przyznać do porażki. Zrobiłem trzy wyciśnięcia, cztery, przy piątym siły mnie opuściły. Leżałem przygnieciony przez ponad pół tony, z kolanami wciśniętymi w klatkę piersiową. Ledwie mogłem odetchnąć, a co dopiero mówić o wołaniu o pomoc; zastanawiałem się, ile tak wytrzymam. Czułem, jak krew napływa

mi do głowy, obawiałem się, że lada chwila dostanę wylewu. W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież i wkroczył do sali muskularny młodzieniec, który widząc, co się dzieje, wybawił mnie z opresji. Rzuciłem mu się na szyję, wołając: „Uratowałeś mi życie!”.

W tym przypadku reakcja Larry’ego była natychmiastowa, ale generalnie był bardzo nieśmiały: z trudem nawiązywał kontakty, spoglądał niepewnie, nieustannie uciekał wzrokiem. Teraz, ledwie się poznaliśmy, mówił niemal bez przerwy. Podejrzewałem, że jestem pierwszą od tygodnia, może tygodni, osobą, do której otworzył usta. Dowiedziałem się, że ma dziewiętnaście lat i przed rokiem zwolnili go z armii, gdyż uznali, że jest psychicznie niezrównoważony. Żył z malutkiej państwowej renty. Żywił się chyba tylko mlekiem i chlebem, szesnaście godzin dziennie snuł się po ulicach (poza miastem biegał), a spał gdzie popadnie.

Nigdy nie poznał swoich rodziców, powiedział. Matka urodziła go, mając zaawansowane stwardnienie rozsiane, i nie była w stanie się nim opiekować. Ojciec, alkoholik, porzucił ich zaraz po tym, jak syn przyszedł na świat, a Larry zaczął przechodzić z rąk do rąk kolejnych przybranych rodziców; myślę, że nigdy nie zaznał prawdziwej stabilizacji.

Ani myślałem stawiać mu „diagnozę”, chociaż byłem wtedy za pan brat z psychiatrią. Myślałem tylko o tym, jak bardzo odmówiono mu miłości, troski, spokoju i poczucia własnej godności, dziwiąc się, że w ogóle wytrzymał to psychicznie. Był bardzo inteligentny, znacznie lepiej ode mnie poinformowany o najnowszych wydarzeniach. Wyszperane stare gazety studiował od deski do deski, a o wszystkim, co przeczytał czy czego się dowiedział, myślał uparcie, nieustannie. Niczego nie przyjmował na wiarę.

Nie zamierzał nigdy iść na etat, co, jak przypuszczałem, wymaga wielkiej konsekwencji i znacznego uporu. Ani myślał poddać się

bezsensownej harówce; potrzeba mu było niewiele i ze swojej niewielkiej renty potrafił nawet trochę odłożyć.

Ponieważ chodził całymi dniami, nie było dla niego niczym nadzwyczajnym przejść ponad trzydzieści kilometrów dzielących jego mieszkanie w East Village od mojego domu na City Island. Niekiedy zostawał na noc u mnie w saloniku, a pewnego razu na dnie lodówki znalazłem ciężkie sztabki złota, które przez lata kupował Larry. Uznał, że u mnie będą bezpieczniejsze niż u niego w domu. W tym rozchwianym świecie tylko złotu można ufać, powiedział; akcje, obligacje, ziemia, dzieła sztuki mogły z dnia na dzień stać się bezwartościowe, ale „pierwiastek 79” (jak mówił, aby sprawić mi przyjemność) zawsze będzie cenny. Po co miałby starać się o pracę, skoro bez tego mógł żyć swobodnie i niezależnie.

Larry, prostolinijny i miły, podobał się wielu kobietom. Przez kilka lat był mężem hojnie obdarzonej przez naturę mieszkanki East Village; na nieszczęście została ona zamordowana przez bandziorów, którzy włamali się do nich w poszukiwaniu narkotyków. Nie znaleźli żadnych, natomiast Larry znalazł ciało swojej żony.

W stresie po jej śmierci Larry, który najczęściej zadowalał się mlekiem i chlebem, ograniczył się już tylko do mleka. Nieustannie żył marzeniem o tym, że będzie podróżował po świecie z wielką, mleczną kobietą, która będzie go kołysać jak niemowlę i dawać piersi do ssania. Nigdy nie słyszałem o bardziej pierwotnym marzeniu.

Bywało, że nie widywałem go całymi tygodniami i miesiącami — nie miałem żadnej możliwości, by się z nim skontaktować — a potem nieoczekiwanie się pojawiał.

Był, jak jego ojciec, alkoholikiem. Alkohol wyzwalał w jego mózgu coś złowrogiego i autodestrukcyjnego. Wiedział o tym i dlatego starał się nie pić. W latach sześćdziesiątych parę razy przyjęliśmy wspólnie kwas.

Bardzo lubił, jadąc na tylnym siedzeniu mojego motocykla, odwiedzać moją kuzynkę, Cathy — jedną z córek Ala Cappa — która mieszkała w hrabstwie Bucks. Cathy, schizofreniczka, świetnie rozumiała się z Larrym i tworzyli osobliwą parę.

Także Helen lubiła Larry'ego, podobnie jak wszyscy moi przyjaciele, gdyż był wspaniałym uosobieniem niezależności, swego rodzaju współczesnym miejskim Thoreau.

W Nowym Jorku poznałem bliżej moich amerykańskich kuzynów, Cappów (oryginalnie nazywali się Caplin i byliśmy spokrewnieni dość daleko). Najstarszy był Al Capp, autor komiksów; miał dwóch młodszych braci — Bence'a, który także zajmował się komiksami, oraz Elliotta, który oprócz komiksów pisał też sztuki teatralne — oraz siostrę Madeline.

Żywo utkwił mi w pamięci pierwszy seder, który spędziłem z rodziną Cappów w 1966 roku. Miałem wtedy trzydzieści dwa lata, a mąż Madeline, Louis Gardner, był młodym, przystojnym, sprężystym czterdziestoośmiolatkiem, pułkownikiem rezerwy oraz architektem. Seder prowadził Louis, który siedział u szczytu stołu, a Madeline na drugim końcu, między nimi zaś zasiadło znaczne rodzinne grono, w tym Bence, Elliott i Al z żonami. Jeśli dzieci Louisa i Madeline nie musiały zadawać czterech pytań ani nie czekały na *afikomen*, dokazywały po całym domu.

Dla wszystkich nas był to znakomity czas. Al, twórca *Li'l Abner*, był ciągle uwielbiany i czytany jak Ameryka długa i szeroka. Elliotta, najbardziej rozważnego ze wszystkich braci, podziwiano za jego eseje i sztuki. Bence (Jerome) wciąż kipiał twórczą energią, ale w centrum uwagi znajdowała się Madeline, ulubienica braci. Wszyscy byli wspaniałymi, niezmordowanymi gawędziarzami, a mnie czasami przychodziło na myśl,

że Madeline jest najbardziej błyskotliwa z nich wszystkich (wylew, który miał wywołać u niej afazję, ciągle był jeszcze odległy o całe lata [94]).

Poznawszy Ala w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku, często go potem widywałem. Wszyscy bracia w latach trzydziestych byli komunistami lub sympatykami komunizmu, ale trzy dekady później Al, który był już po bardzo radykalnej zmianie poglądów politycznych, przyjaźnił się z Nixonem i Agnew (aczkolwiek podejrzewam, że nie ufali mu do końca, gdyż jego cięty dowcip mógł ugodzić każdego, kto znalazł się na szczytach władzy).

Al, który jako dziewięcioletni chłopiec stracił nogę w wypadku drogowym, miał masywną drewnianą protezę (która przypominała mi kapitana Ahaba). Nie wykluczam, że jego agresywność, umiłowanie rywalizacji, wybujały erotyzm płynęły w jakimś stopniu z jego kalectwa, gdyż musiał pokazywać, że pomimo upośledzenia jest kimś w rodzaju nadczłowieka, ja jednak nigdy nie doświadczyłem tych cech Ala — wobec mnie był zawsze przyjacielski i miły, wręcz przepadałem za nim, podziwiając jego twórczą witalność.

Na początku lat siedemdziesiątych Al — niezależnie od tworzenia komiksów — miał także wiele wykładów uniwersyteckich. Mówcą był znakomitym, słuchacze uwielbiali go, chociaż zaczęły się gromadzić nad nim chmury, gdyż krążyły plotki, że pozwala sobie na zbyt wiele wobec studentek. Chmury mroczniały, oskarżenia się mnożyły, aż wreszcie wybuchł skandal i setki gazet, z którymi Al współpracował przez całe życie, zerwały z nim współpracę. Uwielbiany autor komiksów, który stworzył Dogpatch i Shmoo, ktoś, kogo nazwałbym graficznym amerykańskim Dickensem, nagle stał się pozbawionym pracy obiektem zniewag.

Na jakiś czas przeniósł się do Londynu, gdzie zamieszkał w hotelu, od czasu do czasu publikując artykuły i rysunki. Słyszałem jednak, że był

człowiekiem złamanym, całkowicie go opuściły zawadiackość i żywotność. Coraz poważniej chorujący, pogrążony w depresji zmarł w roku 1979.

*

Inny z mych kuzynów, Aubrey „Abba” Eban, był dumą rodziny, znakomitym najstarszym synem mojej ciotki, Alidy. Już w dzieciństwie zdradzał niebywałe talenty. W Cambridge spisywał się wspaniale, przewodniczył Cambridge Union, był najlepszy na trzech kierunkach studiów, by potem zostać tam nauczycielem języków orientalnych. Pokazał, że pomimo antysemityzmu panującego w Anglii lat trzydziestych XX wieku żydowski chłopak, któremu nie pomagały bogactwo, urodzenie czy stosunki towarzyskie, a liczyć mógł tylko na swój wspaniały umysł, potrafi dotrzeć na szczyty jednego z najstarszych angielskich uniwersytetów.

Już jako dwudziestolatek dawał świadectwo wielkiej elokwencji i bystrości, wcale jednak nie było jasne, czy zwróci się ku polityce — jego matka, a moja ciotka, w roku 1917 przetłumaczyła na francuski i rosyjski deklarację Balfoura — czy też wybierze karierę akademicką. Zadecydowały wojna i wydarzenia w Palestynie.

Aubrey był ode mnie starszy o niemal dwadzieścia lat i aż do połowy lat siedemdziesiątych niewiele miałem z nim kontaktów. On żył w Izraelu, ja w Anglii, a potem w Stanach Zjednoczonych, przelotnie spotykaliśmy się przy okazji ślubów i innych rodzinnych wydarzeń. Kiedy zaś Aubrey zjawiał się w Nowym Jorku jako minister spraw zagranicznych czy wicepremier, zawsze otaczali go ochroniarze i mogliśmy co najwyżej zamienić kilka słów.

Zdarzyło się jednak w 1976 roku, że Madeline zaprosiła nas na obiad, a przy tej okazji stało się oczywiste dla nas obu i wszystkich innych, że

mamy zdumiewająco podobne ruchy i posturę: sposób siedzenia, gwałtowne, obszerne gesty, sposób mówienia i myślenia. W pewnej chwili poderwaliśmy się z przeciwległych miejsc przy stole i omal nie zderzyliśmy się przy ćwikle, za którą tylko my dwaj przepadaliśmy. Wszyscy przy stole roześmiali się na ten widok, a ja powiedziałem do Aubreya:

— Spotkaliśmy się raptem kilka razy, żyjemy zupełnie odmiennie, a przecież mam wrażenie, że więcej jest między nami genetycznego pokrewieństwa niż między mną a moimi trzema rodzonymi braćmi.

Także on wyznał, że dziwnie czuje bliższy związek ze mną niż z trojgiem własnego rodzeństwa. Kiedy spytałem, jak to możliwe, natychmiast odrzekł:

— Atawizm?

— Atawizm? — powtórzyłem z niedowierzaniem.

— Tak, *atavus*, dziadek — pokiwał głową Aubrey. — Ty nie mogłeś poznać naszego dziadka, Elivelvy (chociaż masz takie samo imię hebrajskie i w jidysz), gdyż zmarł, zanim przyszedłeś na świat, ale kiedy my przyjechaliśmy do Anglii, on się mną opiekował i był moim pierwszym prawdziwym nauczycielem. Ludzie wybuchali śmiechem na nasz widok i mówili, że nigdy nie widzieli takiego podobieństwa między starszym mężczyzną a chłopcem. W jego pokoleniu nie było nikogo, kto by się tak poruszał, mówił czy myślał, ale nie było też nikogo takiego w pokoleniu naszych rodziców. Ba, sądziłem, że tak samo jest w moim pokoleniu, ale tylko do chwili, gdy w drzwiach zobaczyłem ciebie, wtedy bowiem pomyślałem, że dziadek ożył.

Los Aubreya, który stał się w świecie znany jako „głos Izraela”, miał w sobie element dramatu i paradoksu. Jego wyrafinowana elokwencja i akcent z Cambridge były w młodszym pokoleniu uznawane za nadęte i staromodne, a jego płynne używanie języka arabskiego oraz pełna

sympatii znajomość arabskiej kultury (jego pierwszą książką była *Maze of Justice*, tłumaczenie autobiograficznej powieści Taufika al-Hakima *Yawmīyāt nā'ib fī al-aryāf*) w atmosferze rosnącej wrogości stawały się wręcz podejrzane. Ostatecznie wypadł z życia politycznego i znowu zajął się nauczaniem i historią (którą znakomicie prezentował w książkach i telewizji). Powiedział mi, że ma bardzo mieszane odczucia: czuł się wypalony po latach działalności politycznej i dyplomatycznej, zarazem jednak porzucenie jej dało mu nieoczekiwany spokój ducha. Pierwsze, co zrobił jako wolny już od dawnych zobowiązań, to poszedł popływać.

Gdy przy okazji odwiedzin Princeton, gdzie był wizytującym profesorem w Institute for Advanced Studies, spytałem, jak mu odpowiada życie akademickie, spojrzał na mnie melancholijnie i rzekł: „Tęsknię za areną polityczną”. Im bardziej jednak narastała na niej atmosfera burzowa, wojownicza i ograniczająca możliwości, tym mocniej słabła owa tęsknota. Na zadane przy innej okazji pytanie o to, jak chciałby być zapamiętany, odpowiedział: „Jako nauczyciel”.

Aubrey uwielbiał snuć różne historie, a wiedząc, jak interesuję się naukami przyrodniczymi, opowiedział o kilku swoich spotkaniach z Albertem Einsteinem. Kiedy w 1952 roku zmarł Chaim Weizmann, Aubreya wysłano do Einsteina, aby zaproponował mu funkcję następnego prezydenta Izraela (co spotkało się, rzecz jasna, z odmową). Kiedy indziej, wspominał z uśmiechem Aubrey, odwiedził Einsteina w jego domu w Princeton w towarzystwie kolegi z konsulatu izraelskiego. Usadziwszy gości, Einstein spytał, czy napiliby się kawy, na co Aubrey (sądząc, że przygotowaniem zajmie się asystent albo gospodyni) odpowiedział: „Tak”, wtedy jednak skonfundowany zobaczył, że fizyk sam drepcze do kuchni, skąd dobiegł brzęk filiżanek, spodków, odgłos upuszczanych sztućców, gdy miły gospodarz z lekka niezgrabnie zabrał się do robienia kawy. Aubreyowi

nic lepiej nie mogło ukazać ludzkiej i sympatycznej twarzy największego na świecie geniusza.

W latach dziewięćdziesiątych, wolny od służbowych ciężarów i ograniczeń, Aubrey zjawiał się w Nowym Jorku znacznie bardziej rozluźniony i odprężony i częściej go wtedy widywałem, niekiedy w towarzystwie żony, Suzy, a także młodszej siostry, Carmel, która także mieszkała w Nowym Jorku. Bardzo się teraz przyjaźniliśmy, a różnica dróg życiowych i wieku (był starszy ode mnie o prawie dwadzieścia lat) liczyła się coraz mniej i mniej.

Kochana, okropna Carmel! Była przedmiotem oburzenia całej rodziny, ale ja zawsze myślałem o niej z sympatią.

Przez wiele lat była postacią „mityczną”, aktorką gdzieś w Kenii, ale w latach pięćdziesiątych XX wieku zjechała do Nowego Jorku, gdzie wyszła za reżysera, Davida Rossa, z którym otworzyła niewielki teatr, aby grać w nim sztuki jego ulubieńców: Ibsena i Czechowa (chociaż sama przepadała za Szekspirem).

Poznałem ją w maju 1961 roku, gdy wyruszywszy z San Francisco na owym używanym motocyklu, który odmówił mi posłuszeństwa w Alabamie, resztę drogi musiałem odbyć autostopem, kiedy więc wchodziłem do ich eleganckiego apartamentu na Piątej Alei, byłem dość brudny i potargany. Skierowała mnie do łazienki i przygotowała jakieś ubrania, bo moje rzeczy powędrowały do prania.

Davidowi świetnie szło w tym czasie. Jego spektakle były chwalone przez krytykę i podobały się widzom. Carmel powiedziała, że jej mąż zaczyna być uważany za jedną z najważniejszych postaci nowojorskiego świata teatralnego. Podczas pierwszego naszego spotkania był bardzo ostentacyjny i krzykliwy, zabrał nas na wyjątkowo drogi obiad z sześciu

dań w Russian Tea Room. Wszystko wybieraliśmy z karty, a do wyboru mieliśmy prawie pół tuzina samych wódek. Wyglądało to na coś więcej niż tylko rozrzutność i zastanawiałem się, czy nie jest to jakiś rodzaj fiksacji.

Również Carmel była pełna energii. Nie widziała powodu, dla którego przy swoich językowych talentach nie miałaby w kilka tygodni na tyle opanować norweskiego i rosyjskiego, aby wystawiać własne przekłady Ibsena i Czechowa. Nie wykluczam, że to jej tłumaczenie mogło być w jakiejś mierze odpowiedzialne za klapę w Londynie reżyserowanej przez Davida sztuki Ibsena *John Gabriel Borkman*, co spowodowało znaczne straty. Większość tych pieniędzy wyciągnęła Carmel od rodziny i nigdy ich nie oddała. Kilka lat później David trafł do nowojorskiego szpitala — cierpiał na silne depresje — i wkrótce potem zmarł; nie jest jasne, czy było to przypadkowe przedawkowanie leku, czy samobójstwo. Głęboko wstrząśnięta Carmel powróciła do Londynu do swej rodziny i przyjaciół.

*

Spotkaliśmy się znowu z Carmel w 1969 roku, gdy byłem w Londynie, pisząc pierwsze opowieści, które złożyły się na *Przebudzenia*, a *Migrenę* ciągle jeszcze drukował Faber & Faber. Carmel poprosiła, żeby pokazać jej szczotki *Migreny*, a kiedy je przerzuciła, powiedziała: „Wow, z ciebie jest już prawdziwy pisarz!”. Jeszcze nigdy wcześniej nie usłyszałem czegoś takiego od nikogo. *Migrenę* wydawał dział medyczny Faber & Faber i wszyscy uważali ją za książkę medyczną, monografię na temat migreny, a nie żadną „literaturę”. Nikt też jeszcze nie czytał historii z *Przebudzeń*, nikt z wyjątkiem redaktorów z Faber & Faber, którzy uznali, że nie nadają się do publikacji. Dlatego też bardzo podbudowały mnie słowa Carmel,

a także jej sugestia, że *Migrenę* może ktoś uznać nie za pracę specjalistyczną, lecz właśnie za „literaturę”.

Kiedy wydawnictwo odwlekało wydanie *Migreny*, czułem coraz większą frustrację, na co Carmel zareagowała bardzo zdecydowanie: „Musisz mieć swojego agenta — powiedziała. — Kogoś, kto pilnowałby twoich spraw i nie pozwoliłby cię oszukać”.

I to właśnie ona poznała mnie z Innes Rose, agentką, która wywarła nacisk na Faber & Faber, żeby w końcu opublikowali książkę. Gdyby nie Carmel i Innes, *Migrena* być może nie ujrzałaby światła dziennego.

Carmel wróciła do Nowego Jorku w połowie lat siedemdziesiątych, po śmierci matki, i zamieszkała przy Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Pełniła funkcję agentki mojej i Aubreya, który przygotowywał właśnie serię książek i programów telewizyjnych poświęconych historii Żydów. Ani jednak to, ani aktorstwo nie pozwalały Carmel opłacać apartament w coraz droższym Nowym Jorku, więc obaj z Aubreyem część z naszych honorariów odstąpiliśmy jej, co robiliśmy przez następnych trzydzieści lat.

Były to czasy, gdy bardzo często spotykałem się z Carmel. Często chodziliśmy razem do teatru i wspólnie obejrzeliśmy *Wings*, w których Constance Cummings grała pilotkę tracącą mowę po udarze. Carmel w pewnej chwili zapytała, czy nie porusza mnie gra Constance, i była oburzona, gdy odpowiedziałem: „Nie”.

— Dlaczego? — spytała.

— Gdyż nie zachowuje się jak ludzie z afazją — odparłem.

— Ach, wy neurolodzy! — prychnęła. — Nie jesteście w stanie choćby na chwilę zapomnieć o tej swojej medycynie i dać się porwać sztuce, grze aktorskiej?!

— W każdym razie nie ja — odrzekłem. — Jeśli aktorka nie wygląda na osobę z afazją, cała sztuka jest dla mnie nierzeczywista.

Pokręciła tylko głową, ubolewając nad moim ograniczeniem i nieprzejednaniem [95].

Carmel była niesłychanie poruszona, gdy Hollywood zainteresowało się *Przebudzeniami*, a ja spotkałem się z Penny Marshall i Robertem De Niro, niemniej zawiodła ją intuicja podczas moich wyprawionych na City Island pięćdziesiątych piątych urodzin. Wziął w nich udział De Niro, któremu nie wiadomo kiedy udało się wśliznąć do mojego małego domku i niepostrzeżenie wejść na górę. Kiedy powiedziałem Carmel na ucho, że zjawił się De Niro, odrzekła na głos:

— Żaden tam De Niro, to sobowtór podesłany przez studio. Kto jak kto, ale ja wiem, jak wygląda prawdziwy aktor, więc mnie na coś takiego nie nabiorą.

Dobrze wiedziała, naturalnie, jak intonować głos, każdy więc usłyszał jej komentarz. Ja sam straciłem pewność, wymknąłem się więc do budki telefonicznej na rogu, skąd zadzwoniłem do biura De Niro. Nie na żarty zdumieni potwierdzili, że jest to najprawdziwszy De Niro, ale nikt nie był bardziej rozbawiony od niego samego, bo, rzecz jasna, i on słyszał autorytatywny komentarz Carmel.

*

Kochana, okropna Carmel! Uwielbiałem jej towarzystwo — jeśli nie przyprawiała mnie o furię. Była znakomitą, zabawną, złośliwą imitatorką; była impulsywna, prostoduszna, łatwowierna, ale potrafiła też być fanatyczką, histeryczką i zołzą, wyciągającą coraz więcej pieniędzy od wszystkich dokoła. Była (jak się miałem przekonać na własnej skórze)

niebezpiecznym gościem, gdyż podkradała z biblioteki gospodarza albumy z reprodukcjami i sprzedawała je w antykwariatach. Często myślałem o ciotce Linie, która szantażowała bogaczy, żeby wpłacali na Uniwersytet Hebrajski. Carmel nikogo nie szantażowała, ale pod kilkoma względami przypominała Linę. Także ona była monstrum znienawidzonym przez część rodziny, ale monstrum, do którego ja miałem słabość. Carmel była świadoma tego podobieństwa.

Kiedy zmarł ojciec Carmel, większość majątku odziedziczyła ona, gdyż w jego opinii ze wszystkich dzieci była w największej potrzebie. Urazę braci i siostry zrównywało w jakimś stopniu poczucie, że teraz jest już ustawiona na całe życie; jeśli tylko zachowa rozsądek i powstrzyma się od ekstrawagancji, nie będzie więcej wymagała od nich pomocy. Również ja byłem zadowolony, że nie będę już musiał wysyłać jej co miesiąc czeku.

Tyle że ona miała inne pomysły, w dużej mierze wynikające z tego, że z utęsknieniem wspominała czasy przed śmiercią Davida, gdy stanowiła ważną personę świata teatralnego. Mając teraz pieniądze, mogła wystawiać, reżyserować i grać w ulubionych sztukach. Na początek wybrała *Bądźmy poważni na serio* Oscara Wilde’a, gdyż mogła tu zagrać Laetitię Prism. Wynajęła teatr, zebrała obsadę, zadbała o reklamę i zgodnie z jej oczekiwaniami przedstawienie odniosło sukces, ale nie było pomyślnego dalszego ciągu. W jednym szaleńczym, idiotycznym geście przepuściła co do centa cały swój majątek. Rodzina była wściekła, ona zaś ponownie znalazła się na dnie.

Przyjęła to dość pogodnie, chociaż w jakimś sensie powtarzała się sytuacja sprzed trzydziestu lat, po klapie *Johna Gabriela Borkmana*. Teraz jednak nie miała już tamtego wigoru. Miała siedemdziesiąt lat, cukrzycę, której nie leczyła, a rodzina (z wyjątkiem Aubreya, który zawsze brał jej

stronę, nawet jeśli doprowadzała go do furii) nie chciała już z nią zamienić nawet słowa.

Razem z Aubreyem znowu zaczęliśmy ją co miesiąc wspomagać, ale coś jednak pękło w Carmel. Uznała, jak przypuszczam, że straciła ostatnią szansę na zostanie gwiazdą Broadwayu. To oraz pogarszające się zdrowie sprawiły, że musiała się zatroszczyć o znalezienie stałej opiekunki. Czasami w omamie spowodowanym postępującą demencją bądź cukrzycą, albo jednym i drugim, potarganą i zdezorientowaną, znajdowano ją na ulicy gdzieś w pobliżu Hebrew Home. Któregoś razu była przekonana, że wraz z Tomem Hanksem występuje w filmie reżyserowanym przez Stevena Spielberga.

Ale bywały też dni zupełnie spokojne, kiedy normalnie wychodziła do teatru — jej pierwszej i ostatniej miłości — i spacerowała po uroczych ogrodach Wave Hill nieopodal Hebrew Home. Postanowiła, że musi napisać autobiografię, pisała bowiem łatwo i dobrze, a do opowiedzenia miała historię życia niezwykłego i egzotycznego. Zaczynała ją jednak zawodzić pamięć „autobiograficzna”, a demencja nieustannie się pogłębiała.

Nietknięta natomiast pozostawała jej pamięć „aktorska”. Wystarczyło, że podrzuciłem jej początek którejkolwiek z kwestii Szekspirowskich, a w jednej chwili stawała się Desdemoną, Kordelią, Julią, Ofelią, całkowicie przesiąknięta daną osobowością. Pielęgniarki, które zazwyczaj miały do czynienia z gnębioną demencją staruszką, niezmiennie były zaskoczone tą transformacją. Carmel w rozmowie ze mną powiedziała kiedyś, że właściwie nie ma żadnej własnej podmiotowości, a tylko odgrywanych postaci. Była w tym pewna przesada, gdyż dawniej miała silny charakter i wyraziste ego, teraz jednak, kiedy jej tożsamość atakowała demencja, w tym rozpoznaniu było wiele prawdy: kompletną osobą stawała się na te chwile, gdy była Kordelią czy Julią.

Gdy ostatni raz ją widziałem, miała zapalenie płuc, oddychała szybko, nieregularnie, chrypliwie. Otwarte oczy nic nie widziały. Kiedy pomachałem przed nimi, nawet nie drgnęła jej powieka, pomyślałem jednak, że może słyszy i potrafi rozpoznać głos.

Powiedziałem: „Do widzenia, Carmel", a kilka minut później nie żyła. Zadzwoniłem do jej brata Raphaela z wiadomością o śmierci. „Niechaj Bóg zlituje się nad jej duszą, jeśli w ogóle ją miała" — odparł.

Na początku 1982 roku otrzymałem z Londynu przesyłkę zawierającą list od Harolda Pintera oraz rękopis jego zainspirowanej — jak napisał — *Przebudzeniami* sztuki, *Niby-Alaska*. W liście Pinter wspominał o tym, że czytał *Przebudzenia* w roku 1973, kiedy się ukazały, i zrobiły na nim wielkie wrażenie. Rozważał możliwości przeniesienia ich na scenę, ale nie widząc dobrego rozwiązania, zapomniał o nich, aż znienacka powróciły do niego po ośmiu latach. Poprzedniej wiosny zbudził się pewnego ranka, mając w głowie wyraźnie wypowiedzianą kwestię: „Coś się dzieje". W kilka dni, jak napisał, sztuka „napisała się sama".

Niby-Alaska to historia Deborah, kobiety, która przez dwadzieścia dziewięć lat trwając w osobliwym stanie zastygnięcia, pewnego dnia budzi się i nie wie, w jakim jest wieku i co się z nią stało. Uznaje, że siwa kobieta, którą widzi obok siebie, musi być jakąś kuzynką albo „nieznaną ciotką", prawdziwym szokiem staje się więc dla niej informacja, że to jej młodsza siostra, w ten bowiem sposób uświadamia sobie swoją sytuację.

Pinter nigdy nie widział naszych pacjentów ani dokumentalnych *Przebudzeń*, aczkolwiek pierwowzorem Deborah ewidentnie była moja pacjentka, Rose R. Wyobrażałem sobie, jak Rose czyta sztukę i mówi: „Mój Boże! Ależ mnie uchwycił!". Czułem, że Pinter odzwierciedlił więcej, niż

mi udało się zapisać, w jakiś trudny do wyjaśnienia sposób dotarł do głębszej prawdy.

W październiku 1982 roku byłem na premierze sztuki w londyńskim National Theatre. Judi Dench znakomicie zagrała Deborah, co dodatkowo przekonało mnie o głębi ujęcia Pintera, gdyż podobnie jak on, nigdy nie miała ona do czynienia z osobą po śpiączkowym zapaleniu mózgu. Ba, powiedziała mi, że Pinter zabronił jej w ten sposób przygotowywać się do roli, gdyż chciał, aby postać Deborah wyprowadziła całkowicie z tego, co napisał. Jej występ był przejmujący. (Potem jednak, gdy Dench obejrzała nie tylko dokumentalny film, lecz także kilkoro postencefalityków w Highlands Hospital, miałem wrażenie, że jej gra stała się może bardziej realistyczna, ale mniej przejmująca. Niewykluczone, że Pinter miał rację).

Aż do tego momentu z wielką rezerwą podchodziłem do pomysłu, aby w jakikolwiek sposób artystycznie przetworzyć moją książkę. *Przebudzenia*, myślałem, to rzeczywiste historie i nie można ich „odrealniać", a jak zagwarantować realność, jeśli nie ma się bezpośredniego doświadczenia z pacjentami? Tymczasem Pinter pokazał mi, że wielki artysta jest w stanie odtworzyć w wyobraźni rzeczywistość. Miałem wrażenie, że zawdzięczam mu tyle, ile on mnie: ja dostarczyłem mu realiów, a on mi zwrócił rzeczywistość, być może nawet wzbogaconą [96].

*

W roku 1986 skontaktował się ze mną w Londynie kompozytor, Michael Nyman, i spytał, co sądzę o wystawieniu „kameralnej opery" opartej na tytułowej opowieści z *Mężczyzny, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*. Odparłem, że absolutnie nie potrafię sobie tego wyobrazić, na co on, że wcale nie muszę, bo on to zrobi. Ba, już zrobił, więc następnego dnia

pokazał mi kompozycję i wspomniał, że jako librecistę chciałby Christophera Rawlence’a.

Długo rozmawiałem z Chrisem o doktorze P., a na koniec oznajmiłem, że nie mogę się zgodzić na operę, jeśli nie będzie pozwolenia wdowy. Zasugerowałem mu, by się z nią spotkał i delikatnie wypytał, jak by się zapatrywała na ewentualną operę. (I ona, i doktor P. śpiewali w operze).

Chris nawiązał bardzo ciepłe i serdeczne kontakty z panią P., która w operze ostatecznie odgrywa znacznie większą rolę niż w moim opowiadaniu. Bardzo spięty udałem się na nowojorską premierę i nieustannie zerkałem na panią P., w strachu niekorzystnie interpretując wyraz jej twarzy. Tymczasem po zakończeniu podeszła do naszej trójki — Michaela, Chrisa i mnie — mówiąc: „Oddaliście, panowie, honor mojemu mężowi”. Byłem zachwycony, gdyż jej słowa utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie wykorzystałem jej męża i nie przedstawiłem go niewłaściwie.

*

W roku 1979 skontaktowało się ze mną dwóch młodych producentów filmowych, Walter Parkes i Larry Lasker. Kilka lat wcześniej czytali *Przebudzenia* na seminarium antropologicznym w Yale i chcieli na ich podstawie nakręcić film fabularny. Udali się do Beth Abraham, poznali wielu pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu, a ja zgodziłem się, aby napisali scenariusz, potem jednak przez kilka lat nic więcej o tym projekcie nie słyszałem.

Niemal więc już o nim zapomniałem, a tymczasem po ośmiu latach odezwali się znowu. Otóż Peter Weir, który czytał *Przebudzenia* i oparty na nich scenariusz, jest bardzo zainteresowany nakręceniem filmu. Przysłali

mi scenariusz autorstwa młodego Steve’a Zailliana, a sami zjawili się na Halloween 1987 roku, w przeddzień mojego spotkania z Peterem Weirem. Tekstem byłem zdegustowany, zwłaszcza że pojawił się w nim wątek romansowy: lekarz zakochiwał się w pacjentce. Nie owijając w bawełnę, powiedziałem o tym Weirowi. Był zaskoczony, chociaż rozumiał moje stanowisko, ale po kilku miesiącach oznajmił, że wycofuje się z pomysłu, widząc bowiem wszystkie „rafy i mielizny”, nie czuje, by był w stanie podołać zadaniu.

Przez następny rok scenariusz ulegał różnym przeróbkom, gdyż Steve, Walter i Larry starali się stworzyć coś, co byłoby prawdziwe wobec książki i doświadczeń pacjentów. Na początku 1989 roku dowiedziałem się, że odwiedzą mnie Penny Marshall, przyszła reżyserka, i Robert De Niro, który miał się wcielić w pacjenta Leonarda L.

Scenariusz wzbudził we mnie mieszane uczucia, chociaż bowiem pod wieloma względami usiłował odtworzyć, jak rzeczy się miały, to zarazem pojawiły się również wątki zupełnie fikcyjne. Musiałem uznać, że nie będzie to w żaden sposób „mój” film: nie mój scenariusz, nie mój film, wszystko ostatecznie nie będzie już w moich rękach. Niełatwo było na to przystać, chociaż zarazem poczułem ulgę. Mogę wystąpić w roli doradcy i konsultanta, mogę zadbać o ścisłość medyczną i historyczną, zrobię wszystko, aby zapewnić autentyczność punktu wyjścia, nie będę jednak odpowiedzialny za ostateczny kształt filmu[97].

*

Pasja Roberta De Niro, aby dogłębnie zrozumieć odgrywane przez siebie postacie, aby przeprowadzić niesłychanie drobiazgowe badania, jest

legendarna. Nigdy przedtem nie widziałem, jak aktor zgłębia swoją postać, co ostatecznie prowadzi do tego, iż się nią staje.

W roku 1989 nie żył już żaden z postencefalitycznych pacjentów z Beth Abraham, ciągle jednak było ich dziewięcioro w Highlands Hospital w Londynie. Bob uważał, że powinien ich zobaczyć, więc udaliśmy się tam razem. Spędził wiele godzin na rozmowach z chorymi, filmując je, aby potem mógł spokojnie i metodycznie je studiować. Byłem poruszony i zafascynowany jego zdolnością obserwacji i empatii, a przypuszczam, że także pacjenci znajdowali się pod wrażeniem uwagi, którą wcześniej rzadko im poświęcano. Nazajutrz jeden z nich powiedział mi: „On naprawdę ci się przygląda, patrzy wprost na ciebie i tylko na ciebie. Chciał naprawdę zrozumieć, co się z tobą dzieje. Nikt tego nie robił od czasów doktora Purdona Martina".

Po powrocie do Nowego Jorku spotkałem się z Robinem Williamsem, który miał zagrać lekarza, czyli mnie. Chciał mnie zobaczyć w działaniu, zajmującego się pacjentami, z którymi pracowałem i żyłem w czasach opisanych w *Przebudzeniach*. Zaszliśmy więc do sióstr małych ubogich, gdzie nadal były dwie pacjentki, którymi opiekowałem się od lat, podając im L-dopę.

Kilka dni później udał się ze mną do Bronx State. Parę minut spędziliśmy na niespokojnym oddziale geriatrycznym, gdzie kilku pacjentów krzyczało i mówiło, wszyscy naraz. Kiedy wracaliśmy, Robin znienacka odtworzył sytuację na oddziale, znakomicie imitując wszystkie okrzyki i gesty. Wchłonął różne głosy i ich „kwestie" i zachował je w pamięci, teraz — w trakcie odtwarzania — będąc niemal nimi opętany. Robin posiadł w niesłychanym stopniu zdolność uchwytywania i odtwarzania, dla których „mimikra" jest zbyt słabym określeniem, gdyż było to naśladowanie przepojone wrażliwością, humorem, kreatywnością. Miałem się szybko

zorientować, że to dopiero pierwszy krok w jego aktorskich przygotowaniach [98].

Niebawem stwierdziłem, że sam jestem obiektem obserwacji. Po kilku pierwszych spotkaniach Robin zaczął naśladować niektóre elementy mojej postawy, chodu, mówienia, mnóstwo rzeczy, których byłem dotąd nieświadom. Z konsternacją patrzyłem na siebie w żywym lustrze, ale bardzo mi się podobało towarzystwo Robina — wspólne spacery, wyprawy do restauracji, zaśmiewanie z jego nieoczekiwanych dowcipów; imponowała mi jego rozległa wiedza.

Gdy kilka tygodni później rozmawialiśmy na ulicy, przyjąłem typową dla siebie — jak mi powiedziano — zamyśloną pozę i znienacka dostrzegłem, że Robin robi to samo, ale nie naśladował mnie, w pewnym sensie stał się mną, co było jak nieoczekiwane zyskanie młodszego bliźniaka. Obu nas to trochę skonfundowało i uznaliśmy, że musimy się postarać o większy dystans, tak aby sam wykreował odgrywaną postać, wzorowaną może na mnie, ale mającą własne życie i własną osobowość [99].

*

Kilka razy zabierałem aktorów i ekipę filmową do Beth Abraham, żeby poczuli atmosferę i rytm miejsca, ale przede wszystkim żeby poznali pacjentów i personel, którzy pamiętali wydarzenia sprzed dwudziestu lat. Przy pewnej okazji zaprosiliśmy wszystkich lekarzy, pielęgniarki, terapeutów i pracowników społecznych, którzy w roku 1969 zajmowali się pacjentami po śpiączkowym zapaleniu mózgu, aby raz jeszcze się spotkali. Niektórzy z nas dawno już rozstali się ze szpitalem, niektórzy od lat się nie widzieli, ale tego wrześniowego wieczoru godzinami zarzucaliśmy się wspomnieniami o pacjentach, a jedno natychmiast przywodziło następne.

Znowu uświadomiliśmy sobie, jak gigantyczne, jak przełomowe okazało się tamto lato, a także do jak zabawnych i głęboko ludzkich wydarzeń wtedy dochodziło. Był to wieczór pełen śmiechu i łez, nostalgii i smutku, który nie mógł się nie pojawić, gdy patrząc na siebie, uzmysławialiśmy sobie, że minęło dwadzieścia lat i żaden z tych niezwykłych pacjentów już nie żył.

Żaden z wyjątkiem Lillian Tighe, która w dokumentalnym filmie wykazała się niezwykłą elokwencją. Razem z Bobem, Robinem i Penny odwiedziliśmy ją, zachwycając się jej dziarskością, dowcipem, nieużalaniem się nad sobą i poczuciem rzeczywistości. Pomimo postępującej choroby i nieprzewidywalnych reakcji na L-dopę zachowała poczucie humoru, umiłowanie życia, bystrość.

Przez miesiące kręcenia *Przebudzeń* wiele czasu spędziłem na planie. Pokazywałem aktorom, jak siedzą parkinsonicy: nieruchomi, z twarzą zakrzepniętą jak maska, z oczyma bez jednego mrugnięcia, z głową niekiedy uniesioną do góry lub przechyloną na bok, wargami rozchylającymi się i ściekającą z nich strużką śliny (uznano, że ślinotok jest zbyt trudny do naśladowania i w filmie może wyglądać obrzydliwie, na to więc nie nastawaliśmy). Demonstrowałem dystoniczne ułożenie rąk i nóg, drgawki i tiki.

Pokazywałem aktorom, jak pacjenci z chorobą Parkinsona stoją lub usiłują powstać, jak się poruszają, często pochyleni do przodu, niekiedy z nagła przyspieszający, jak mogą się zatrzymywać, nieruchomieć i nie móc już zrobić ani kroku. Demonstrowałem im różne odmiany głosów parkinsoników, wydawanych przez nich dźwięków, ich pismo. Radziłem, by wyobrazili sobie, że zostali zamknięci w ciasnej przestrzeni lub utknęli w pojemniku z klejem.

Ćwiczyliśmy *kinesia paradoxa* — nagłe oswobodzenie z parkinsonizmu wskutek muzyki czy jako spontaniczną reakcję na przykład na rzucenie

piłki (aktorzy trenowali to z Robinem, który w naszej ocenie mógłby zostać świetnym futbolistą, gdyby nie poświęcił się aktorstwu). Ćwiczyliśmy katatoniczną grę w karty postencefalitycznych pacjentów: zastygła czwórka, karty w nieruchomych palcach, aż wreszcie ktoś (na przykład pielęgniarka) wykonywał pierwsze zagranie, a wtedy partia kończyła się w kilka sekund. (Widziałem to na własne oczy i w roku 1969 utrwaliłem na taśmie filmowej). Takie konwulsyjnie błyskawiczne ruchy występują też w zespole Tourette'a, więc na plan przyprowadziłem też kilku młodych tourette'owców. Te ćwiczenia niemal w duchu zen — trwające całymi godzinami to wpadanie w bezruch, to przechodzenie do niesłychanie szybkiej aktywności — były dla aktorów zarówno fascynujące, jak i przerażające. Z niezwykłą wyrazistością zaczynali rozumieć, co to znaczy być na stałe w takim na chwilę ustępującym gorsecie.

Czy aktor z normalnie funkcjonującym układem nerwowym i normalną fizjologią może naprawdę „stać się" osobą, której układ nerwowy jest poważnie uszkodzony? Pewnego razu Bob i Robin odgrywali scenę, w której lekarz bada odruchy postawy (przy parkinsonizmie nie ma ich albo są mocno zakłócone). Na chwilę zająłem miejsce Robina, żeby zademonstrować, jak staje się za pacjentem i lekko pociąga go do tyłu (normalna osoba natychmiast to koryguje, ktoś z chorobą Parkinsona lub po śpiączkowym zapaleniu mózgu może niczym kręgiel upaść na plecy). Kiedy pokazywałem to na Bobie, ten osunął się na mnie zupełnie bezwładnie, bez najmniejszego śladu odruchowej reakcji. Zaskoczony delikatnie popchnąłem go do przodu, ale wtedy zaczął upadać do przodu: nie byłem w stanie przywrócić go do stanu równowagi. Teraz do zdziwienia dołączyła panika i przez chwilę myślałem, że doszło do neurologicznej katastrofy i Bob faktycznie utracił odruchy postawy. Czy sama gra, przemknęło mi przez głowę, może rzeczywiście naruszyć układ nerwowy?

Kiedy nazajutrz rozmawiałem w garderobie przed rozpoczęciem sesji zdjęciowej, spostrzegłem, że prawą stopę miał dokładnie tak skręconą jak wtedy, gdy odtwarzał Leonarda L. Gdy zwróciłem mu na to uwagę, odpowiedział zaskoczony: „Nie zdawałem sobie sprawy. To musi być nieświadomość”. Bywało, że wcielał się w odgrywaną postać na całe godziny, a nawet dni. Niekiedy podczas kolacji czynił uwagi Leonarda, a nie swoje, zupełnie jakby nadal w nim trwały elementy umysłu i charakteru tamtego.

W lutym 1990 roku wszyscy byliśmy już wyczerpani czterema miesiącami kręcenia, nie wspominając o miesiącach przygotowań. Było jednak wydarzenie, które wszystkich nas zelektryzowało: ostatnia żyjąca postencefalityczka z Beth Abraham odwiedziła plan zdjęciowy, aby w scenie z De Niro zagrać samą siebie. Niesłychanie nas ciekawiło, co powie na otaczających ją aktorów odgrywających ofiary śpiączkowego zapalenia mózgu? Jak wypadnie ten test? Czuło się powszechną atmosferę bojaźni, kiedy się zjawiła, wszyscy bowiem pamiętali ją z filmu dokumentalnego.

Wieczorem zapisałem w swoim dzienniku:

> Jakkolwiek aktorzy mogą zlać się z postacią, utożsamiać się z nią, zawsze jednak tylko odgrywają chorych, tymczasem Lillian będzie chora już do końca życia. Oni mogą wyzwolić się z roli, ona nie. Jak się z tym czuje? (Jak ja się czuję, gdy Robin odgrywa mnie? Dla niego to jedna z wielu ról, dla mnie jedyne życie).
>
> Kiedy Bob wjeżdża i przyjmuje zastygłą, dystoniczną pozę Leonarda L., Lillian T., sama zastygła, mierzy go czujnym, krytycznym spojrzeniem. Co czuje Bob odgrywający coś, co dla odległej o metr od niego Lillian jest treścią życia? I co czuje ona, spoglądając jedynie na grę? Ale robi ledwie dostrzegalny gest, leciutki ruch kciuka: „Jest dobrze, złapał, wie, jak to jest!”.

[91] Znając moje botaniczne hobby, Thom przesyłał mi wszystkie swoje „roślinne” wiersze. Otrzymawszy jego *Nasturtium*, odpisałem: „Oczekuję, że będzie więcej takich Twoich wierszy, sławiących odwagę roślin, które nie cofają się przed miejscami opuszczonymi, rowami, szczelinami. Chyba pamiętasz, jak Lwu Tołstojowi widok stłamszonego, ale mimo to walczącego w przydrożnym rowie głogu podszepnął postać Hadżiego-Murata”.

[92] Na początku 1970 roku, kiedy Thom miał odwiedzić Nowy Jork, powiadomiłem go, że Auden jak zawsze wyprawia przyjęcie urodzinowe dwudziestego pierwszego lutego, i spytałem, czy chce wziąć w nim udział. Odmówił i dopiero w 1973 roku, po śmierci Audena, w liście z drugiego października wspomniał o nim: „Chyba poza Szekspirem żaden inny poeta nie wpłynął na mnie tak głęboko, umożliwiając mi w ogóle pisanie. Nie sądzę, by mnie lubił, tak w każdym razie słyszałem, ale ma to mniej więcej takie samo znaczenie, jakbym się dowiedział, że nie przepadał za mną Keats”.

[93] Thom nieco o tym pisał w swoim autobiograficznym szkicu *My Life up to Now*: „Dzisiaj nie jest już modne chwalenie LSD, nie wątpię jednak, że było bardzo ważne dla mnie i jako człowieka, i jako poety. (...) Jazdy po kwasie nie mają struktury; kwas otwiera na niezliczone możliwości, rozpoczyna pogoń za nieskończonym”.

[94] Doznała go, mając zaledwie pięćdziesiąt lat. Afazja już jej nie odstępowała, ale zachowała przy tym tyle dowcipu i pogody ducha, że nadała temu schorzeniu zupełnie nowe znaczenie.

[95] Po zakończeniu sztuki poszliśmy za kulisy, żeby porozmawiać z Cummings, którą spytałem, czy widziała kiedyś ludzi dotkniętych afazją. „Nie, ani jednego” — powiedziała, a ja tylko pomyślałem: „I to widać”.

[96] Potem miałem podobne doznanie przy innych dziełach inspirowanych moimi książkami, przede wszystkim przy olśniewających spektaklach teatralnych Petera Brooka *L’Homme Qui...* z roku 1993 oraz *The Valley of Astonishment* z roku 2014, a także przy nawiązującym do *Przebudzeń* balecie z muzyką Tobiasa Pickera.

[97] Wszyscy aktorzy, którzy mieli grać postencefalitycznych pacjentów, klatka po klatce przestudiowali dokumentalne *Przebudzenia*, które stały się pierwotnym źródłem materiału wizualnego dla filmu fabularnego, podobnie jak całe kilometry nagranych przez mnie w latach 1969 i 1970 taśm filmowych oraz magnetofonowych.

Dokument nigdzie nie był pokazywany poza Wielką Brytanią, więc wypuszczenie filmu fabularnego przez Hollywood wydawało się idealną wręcz okazją do tego, aby zaproponować ów wcześniejszy materiał PBS. Tymczasem Columbia zdecydowanie zaprotestowała, gdyż ich zdaniem podważyłoby to „autentyzm” ich filmu, co według mnie było absurdalne.

98 W tym kontekście przypomina mi się, jak kilka lat wcześniej odwiedził mnie Dustin Hoffman, który przygotowywał się do roli człowieka cierpiącego na autyzm. Obejrzał w Bronx State mojego autystycznego pacjenta, po czym wyszliśmy na spacer do ogrodu botanicznego. Idąc przodem, gawędziłem z reżyserem, on sam zaś szedł kilka metrów za nami. Nagle usłyszałem z tyłu mojego pacjenta. Kompletnie zaskoczony obejrzałem się i zobaczyłem zamyślonego aktora, który jednak myślał głosem i ciałem, myślał — odgrywając.

99 Przez następne dwadzieścia pięć lat blisko się przyjaźniliśmy, a ja coraz bardziej ceniłem nie tylko błyskotliwość jego umysłu i przychodzące znienacka improwizacje, lecz także wielkie oczytanie, głębię inteligencji i troskę o innych.

Miałem kiedyś wykład w San Francisco i z widowni padło dziwne pytanie:

— Jest pan Anglikiem czy Żydem?

— I tym, i tym — odparłem.

— To niemożliwe — ripostował pytający. — Może pan być tylko albo jednym, albo drugim.

Robin, który był jednym ze słuchających, nawiązał do tego podczas kolacji. Głosem ultraangielskim, z akcentem Cambridge, zaczął serwować dowcipy i aforyzmy w jidysz, demonstrując wyraziście, jak można być i jednym, i drugim. Szkoda, że nie byłem w stanie zarejestrować tego wspaniałego występu.

Podróże

Był czas, kiedy mój ojciec nosił się z zamiarem, by zostać neurologiem, ale potem wolał zostać lekarzem ogólnym, gdyż stały kontakt z pacjentami miał być według niego „bardziej realny”.

Tę ciekawość ludzi zachował do końca. Gdy ukończył dziewięćdziesiąt lat, namawialiśmy go z Davidem, aby wreszcie przeszedł na emeryturę, a przynajmniej skończył z wizytami domowymi. Odpowiedział, że takie wizyty są sednem praktyki medycznej i że prędzej zrezygnuje ze wszystkiego innego. Aż do dziewięćdziesiątego czwartego roku życia wynajmował na cały dzień taksówkę, aby jeździć od jednego pacjenta do drugiego.

W niektórych rodzinach leczył kilka pokoleń i zdarzało się, że zaskakiwał młodego pacjenta, mówiąc: „Pański pradziadek miał podobny problem w 1919 roku”. Znał osobowość swoich pacjentów nie gorzej niż ich ciała i uważał, że nie można leczyć tych ostatnich bez znajomości pierwszych. (Nierzadko powtarzano konstatację, że znał wnętrze lodówek swoich pacjentów tak jak wnętrze ich ciał).

Często zaprzyjaźniał się z pacjentami. Owo zainteresowanie całym ich życiem sprawiło, że — podobnie jak matka — ojciec był świetnym narratorem. Swymi lekarskimi opowieściami urzekał nas w dzieciństwie i z pewnością odegrały one ważną rolę w tym, że Marcus, David i ja poszliśmy w ślady rodziców.

Tata przez całe życie pasjonował się również muzyką, nieustannie chodził na koncerty, a szczególnie lubił Wigmore Hall, dokąd go zabrano

jeszcze w dzieciństwie (wtedy był to Bechstein Hall). Aż do ostatnich miesięcy życia dwa, trzy razy w tygodniu odwiedzał salę koncertową. Dłużej uczęszczał do Wigmore Hall, niż ktokolwiek pamiętał, i stał się wreszcie tak legendarny jak niektórzy z wykonawców.

Czterdziestopięcioletni Michael zbliżył się do taty po śmierci mamy i niekiedy chodził z nim na koncerty, czego nigdy dotąd nie robił. Od osiemdziesiątego roku życia ojciec coraz bardziej cierpiał na artretyzm, dlatego odpowiadało mu towarzystwo Michaela, a także on lepiej się czuł w roli pomocnika wiekowego ojca niż — jak wcześniej — schorowanego syna, zależnego od rodziców tak, jak pacjent jest zależny od lekarza.

Przez następnych dziesięć lat Michael prowadził względnie spokojne życie (które jednak trudno było nazwać szczęśliwym). Ustalono, jaka doza środka uspokajającego dławi jego psychozę, nie powodując zarazem zbyt silnych efektów ubocznych.

Nadal pracował jako posłaniec (odzyskał poczucie, że niektóre przesyłki są elementem jakiejś sekretnej korespondencji), ciągle lubił wędrować po Londynie (chociaż „The Daily Worker” i „cała reszta”, jak to określał, należały do przeszłości). Aż za dobrze wiedział, w jakim jest stanie. Kiedy był w podłym nastroju, mówił: „Jestem przeklętym człowiekiem”, aczkolwiek była w tym nuta mesjanistyczna, gdyż mesjasze są przeklęci. (Kiedy mój przyjaciel, Ren Weschler, odwiedził Michaela i spytał, jak się czuje, ten odparł: „Jestem w Niewygódce”, a widząc zdziwioną minę Rena, wyjaśnił, że Niewygódką nazywano celę w Tower tak małą, że nie dało się w niej ani stanąć prosto, ani się położyć, w każdej postawie było więc niewygodnie).

Przeklęty jednak czy wyróżniony, Michael po śmierci matki czuł rosnącą samotność; nasz wielki dom stał się pusty, gdy teraz zostali w nim jedynie tata i on, nawet bez pacjentów. (Tata miał gabinet poza domem). Michael

nigdy z nikim się nie przyjaźnił, a jego relacje z kolegami, nawet znanymi od dawna, były zawsze poprawne, nigdy jednak ciepłe. Jego największą miłością był nasz bokser, Butch, ale i on z wiekiem coraz bardziej cierpiał na artretyzm i nie mógł już dotrzymać kroku Michaelowi.

W 1984 roku założyciel firmy, w której Michael pracował od trzydziestu pięciu lat, przeszedł na emeryturę; przejęła ich większa spółka, która natychmiast zwolniła wszystkich starych pracowników. W ten sposób pięćdziesięcioszześcioletni Michael stał się bezrobotny. Usiłował wyćwiczyć pożądane umiejętności, uczył się pisania na maszynie, stenografii i księgowości, okazało się jednak, że te tradycyjne sprawności były coraz mniej cenione w gwałtownie zmieniającym się świecie. Pokonując nieśmiałość — nigdy dotąd nie ubiegał się o pracę — poszedł na dwie czy trzy rozmowy, ale próby zakończyły się fiaskiem i wtedy chyba pożegnał się z nadzieją na pracę. Zaprzestał długich spacerów, natomiast zaczął palić na potęgę. Całymi godzinami przesiadywał w saloniku i otoczony kłębem dymu papierosowego patrzył w przestrzeń. Takim go widywałem, kiedy wpadałem do Londynu w połowie i pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku. Po raz pierwszy w życiu — a w każdym razie pierwszy, gdy o tym mówił — zaczął słyszeć głosy. Owi „didżeje” (*dee-jays* wymawiał jak *Die-Jays*: „dżeje śmierci”[100]), jak mi powiedział, wykorzystując nadnaturalne fale radiowe, byli w stanie kontrolować jego myśli, emitować je, a także wmuszać mu swoje własne.

Oznajmił, że chce teraz innego lekarza ogólnego, nie ojca (który zawsze dotąd występował w tej roli). Lekarz, widząc jego niedowagę i bladość, uznał, że to nie powinny być tylko efekty „niezrównoważenia”; zrobił mu kilka podstawowych analiz i stwierdził anemię oraz niedoczynność tarczycy. Kiedy Michael zaczął przyjmować tyroksynę, żelazo oraz witaminę B12, po trzech miesiącach „didżeje” umilkli.

*

Tata zmarł w roku 1990, mając dziewięćdziesiąt cztery lata. Chociaż David i jego rodzina bardzo pomagali Michaelowi oraz tacie w ostatnich latach jego życia, wszyscy uznaliśmy, że nie ma mowy, aby Michael mieszkał sam w wielkim domu przy Mapesbury numer 37 czy też w mniejszym samodzielnym mieszkaniu. Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy przy tej samej ulicy, tyle że pod numerem 7, rezydencję dla wiekowych Żydów z problemami psychicznymi. Sądziliśmy, że dla Michaela, teraz w niezłej formie fizycznej, będzie to bardzo dobre rozwiązanie, gdyż będzie miał stałą pomoc, a na dodatek znał okolicę, wiedział zatem, gdzie znajduje się synagoga, gdzie bank i gdzie sklepy, do których przywykł.

David i Lili w piątkowe popołudnia zabierali Michaela na szabasową kolację; moja bratanica, Liz, regularnie go odwiedzała i dbała o podstawowe potrzeby. Michael przystał na to wszystko z taką pogodą, na jaką był w stanie się zdobyć. Później żartował czasem, że chociaż ma już ponad siedemdziesiąt lat, jego jedyna duża podróż polegała na przenosinach spod numeru 37 pod numer 7 przy ulicy Mapesbury. (Z nikim z rodziny Michael nie nawiązał tak bliskiej więzi jak teraz z Liz. Udawało jej się wyrywać go z ponurego nastroju. Bywało, że zaśmiewali się ze swoich żartów).

Owa rezydencja (Ealon House) funkcjonowała nadspodziewanie dobrze, zapewniając Michaelowi odrobinę życia towarzyskiego, a także wyrabiając pewne praktyczne sprawności. Kiedy go odwiedziłem, mógł mi u siebie w pokoju przygotować kawę lub herbatę (dotąd nawet sobie nigdy tego nie robił), sprowadził mnie do piwnicy i pokazał tam pralkę oraz suszarkę (przedtem raczej nie troszczył się o brudne ubranie, teraz nie tylko sam sobie prał, lecz także pomagał bardziej niedołężnym mieszkańcom).

Stopniowo zyskiwał w tej małej wspólnocie pewien status i zaczynał odgrywać w niej niepoślednią rolę.

Chociaż przestał, jak się zdaje, czytać („Proszę, nie przysyłaj mi już więcej książek” — napisał kiedyś do mnie), czerpał teraz wiedzę z przeczytanych w ciągu całego dotychczasowego życia lektur, gdyż stał się chodzącą encyklopedią, z której korzystali inni lokatorzy Ealon House. Dotąd czując się ignorowany czy niepotrzebny, teraz bardzo lubił swoją pozycję mądrego, wszystkowiedzącego starca.

On, który przez całe życie podejrzliwie traktował lekarzy, obecnie bezgranicznie ufał Cecilowi Helmanowi, który miał pod opieką jego i innych rezydentów[101]. Cecil często pisał mi (nasz korespondencyjny kontakt zamienił się z czasem w przyjaźń) o Michaelu, na przykład:

> Michael jest obecnie w bardzo dobrym stanie, który personel określa wręcz jako „znakomity”. To on w każdy piątkowy wieczór odmawia w Ealon House kidusz i jest w tym, zdaje się, bardzo dobry. W tej niewielkiej społeczności pełni funkcję niemal rabina, co, jak sądzę, bardzo korzystnie wpływa na jego samoocenę.

(„Mam, jak mniemam, Świętą Misję” — napisał do mnie Michael a podwójna majuskuła i staranne podkreślenie „mniemam” wskazywały na ironiczny dystans wobec siebie).

Michael był ogromnie przygnębiony, kiedy w 1992 roku David zmarł na raka płuc. „To ja powinienem był umrzeć” — wyrwało mu się, po czym po raz pierwszy w życiu podjął próbę samobójstwa, wypijając całą butelkę syropu na kaszel z dużą zawartością kodeiny. (Bardzo długo potem spał, ale nic gorszego mu się nie przytrafiło).

Piętnaście ostatnich lat jego życia było względnie beztroskie. Pomagał innym, nabrał znaczenia, którego nigdy nie miał w domu. Czasu swego nie ograniczał tylko do Ealon House, gdyż spacerował po okolicy, a jadał

w knajpce na Willesden Green (na kolację zdecydowanie bardziej wolał jajka na szynce od mdłego koszernego jedzenia w Ealon House). Na piątkowe wieczory zabierały go do siebie Lili i Liz, żona i córka Davida. Gdy przyjeżdżałem do Londynu, teraz, kiedy dom sprzedano, zatrzymywałem się w jakimś hotelu nieopodal i zapraszałem tam Michaela na niedzielny brunch. Parę razy Michael zaprosił mnie na kolację, z wyraźną przyjemnością odgrywając rolę gospodarza i płacąc rachunek.

Kiedy go odwiedzałem, prosił, żeby przynieść mu kanapkę z wędzonym łososiem i karton papierosów. Pierwszą prośbę spełniałem z wielką ochotą — wędzony łosoś należy także do moich przysmaków — drugą z o wiele mniejszą: kurzył jak lokomotywa, wypalał setkę papierosów dziennie (ich koszt pochłaniał niemal całą jego rentę [102]).

Ten uporczywy nałóg pogorszył zdrowie Michaela, wywołując u niego nie tylko kaszel palacza i bronchit, lecz także tętniaki na naczyniach krwionośnych nóg. W roku 2002 została zablokowana jedna z arterii podkolanowych, niemal całkowicie odcinając dopływ krwi do dolnej części nogi, która stała się zimna i blada, czemu musiał towarzyszyć ból — bardzo ostry, jak to przy niedokrwieniu. Michael jednak się nie skarżył i do lekarza został skierowany dopiero wtedy, kiedy zaczął wyraźnie utykać. Na szczęście chirurdzy byli w stanie uratować mu nogę.

Chociaż zwykł był powtarzać podniesionym, dudniącym głosem: „Jestem przeklętym człowiekiem!”, przy normalnych spotkaniach towarzyskich okazywał niewiele emocji, wyjątkowa więc z tego punktu widzenia okazała się wizyta naszego bratanka, Jonathana, z dziesięcioletnimi synami bliźniakami, którzy zaczęli obejmować nigdy dotąd niewidzianego dziadka stryjecznego i obsypywać go całusami. Michael najpierw zesztywniał, potem się rozluźnił, aż wreszcie wybuchł śmiechem i zaczął przygarniać swych wnuków stryjecznych z zapałem

i spontanicznością, których nie okazywał (i najpewniej nie czuł) od lat. Ogromnie poruszyło to Jonathana, który, urodzony w latach pięćdziesiątych XX wieku, nigdy nie widział Michaela „normalnego”.

W roku 2006 tętniaki zablokowały drugą nogę Michaela, na co znowu się nie uskarżał, chociaż był świadom niebezpieczeństw. Generalnie stał się bardziej nieporadny i wiedział, że jeśli straci nogę albo pogłębi się u niego bronchit, Ealon House nie będzie już go mógł u siebie gościć. W takiej sytuacji musiałby iść do domu opieki, gdzie utraciłby wszelką autonomię, tożsamość i godność. Takie życie stałoby się bezsensowne i nie do zniesienia. Zastanawiam się, czy nie pragnął śmierci.

Ostatnia scena z życia Michaela wyglądała mniej więcej tak: Na ostrym dyżurze w szpitalu czeka na operację, która tym razem, myślał, może pozbawić go nogi. Znienacka podnosi się z noszy na łokciach i mówi: „Muszę wyjść na dymka”, po czym pada na wznak martwy.

W roku 1987 poznałem Stephena Wiltshire’a, autystycznego chłopca z Anglii. W stan niemal osłupienia wprawiły mnie nieprawdopodobnie szczegółowe rysunki architektoniczne, które zaczął sporządzać jako sześciolatek. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na skomplikowany budynek czy nawet na panoramę miasta, aby z pamięci narysować obiekt. Obecnie trzynastolatek wydał już album ze swoimi rysunkami, chociaż nadal był wycofany i niemal w ogóle się nie odzywał.

Pasjonowało mnie, co leży u podstaw owej niezwykłej umiejętności takiego „uchwycenia” sceny, że potem może zostać odtworzona z najmniejszymi detalami, fascynowało mnie, jak pracuje jego umysł, jak postrzega świat. Ale nade wszystko interesowało mnie jego życie emocjonalne i więzi z ludźmi. W klasycznej wizji ludzie z autyzmem to „inteligentne automaty”, by użyć określenia Hansa Aspergera, dojmująco

samotni, niezdolni do rozumienia uczuć i punktów widzenia innych osób, wyzbyci poczucia humoru, zdolności do zabawy, spontaniczności, kreatywności. Wystarczyło jednak kilka pierwszych chwil ze Stephenem, bym odniósł zdecydowanie inne wrażenie.

Przez następne kilka lat sporo czasu spędziłem z nim oraz jego nauczycielką i mentorką, Margaret Hewson. Publikowane rysunki Stephena przyjmowano entuzjastycznie; odbył kilka podróży po świecie, aby sporządzić rysunki różnych budynków. Razem odwiedziliśmy Amsterdam, Moskwę, Kalifornię i Arizonę.

Poznałem licznych ekspertów od autyzmu, włącznie z Utą Frith w Londynie. Rozmawialiśmy głównie o Stephenie i innych sawantach, ale na pożegnanie zasugerowała, że powinienem poznać Temple Grandin, znakomitą badaczką mającą dużo łagodniejszą postać autyzmu, którą właśnie wtedy zaczęto nazywać zespołem Aspergera. Błyskotliwa Temple, mówiła, zupełnie nie przypomina autystycznych dzieci, które widywałem w szpitalach i klinikach. Obroniła doktorat o zachowaniu zwierząt i napisała autobiografię[103]. Wydaje się coraz bardziej oczywiste, ciągnęła Frith, że autyzm nie jest jednoznaczny z poważnym upośledzeniem inteligencji i niemożnością komunikowania się z innymi. Bywają autystycy, którzy mogą mieć pewne opóźnienia rozwojowe i trudności z interpretacją relacji między osobami, ale mimo to pozostają całkiem sprawni, a często także bardzo uzdolnieni w innych sferach.

Udało mi się zorganizować weekend z Temple w jej domu w Colorado, gdyż — myślałem — może to być interesujący przypis do eseju, który pisałem o Stephenie.

Temple starała się być bardzo gościnna i uprzejma, ale natychmiast było widać, że niezbyt dobrze orientuje się w tym, co może się dziać w umysłach innych ludzi. Sama bardzo podkreślała, że jej myśli nie mają charakteru

lingwistycznego lecz konkretno-wizyjny. Miała bardzo wiele sympatii dla bydła i sądziła, że „spogląda na świat z punktu widzenia krowy”. To w połączeniu z jej inżynierską pomysłowością uczyniło z niej światową ekspertkę w dziedzinie projektowania urządzeń bardziej przyjaznych dla bydła i innych zwierząt. Byłem pod wielkim wrażeniem jej inteligencji i pragnienia nawiązania kontaktu z innymi, w czym tak się różniła od pasywności Stephena i jego pozornej obojętności na innych.

Kilka tygodni po tym, jak wysłałem mój tekst o Temple do „The New Yorkera”, przypadkiem spotkałem Tinę Brown, nową redaktorkę naczelną czasopisma, która powiedziała mi: „Temple będzie amerykańską bohaterką”. I miała rację. Temple jest dziś bohaterką światowej wspólnoty autystyków, powszechnie cenioną za to, że zmusiła nas wszystkich, abyśmy przestali uważać autyzm i zespół Aspergera za deficyty neurologiczne, a uznali je za specyficzne sposoby bycia, o swoistych dyspozycjach i potrzebach.

We wcześniejszych książkach pokazywałem, jak pacjenci starali się (niekiedy niezwykle pomysłowo) przystosować do różnych neurologicznych zaburzeń i „deficytów”, ale dla Temple i innych osób, o których pisałem w *Antropologu na Marsie*, ich „zaburzenia” były treścią życia oraz bardzo często źródłem oryginalności i kreatywności. Opowieści o siedmiorgu bohaterach są prawdziwie paradoksalne; każdy z nich znalazł lub stworzył zupełnie niezwykły sposób na taką rekompensatę swoich niedomogów, aby pozwolić na rozkwit bardzo różnych talentów.

*

W roku 1991 zadzwoniono do mnie w sprawie mężczyzny (w *Antropologu na Marsie* nazwałem go Virgilem), który od dzieciństwa był właściwie

niewidomy na skutek uszkodzenia siatkówki i katarakty. Teraz, jako pięćdziesięciolatek, miał wziąć ślub, a jego narzeczona nalegała, aby chirurgicznie usunął kataraktę, bo co jeszcze było do stracenia — ona zaś miała nadzieję, że nowe życie rozpocznie z widzącym mężczyzną.

Kiedy jednak po operacji zdjęto Virgilowi bandaże, z jego ust nie wyrwał się pełen zachwytu okrzyk: „Ja widzę!”. Oszołomiony, wpatrywał się w twarz chirurga, ale był to wzrok pusty, niczego niepojmujący. Dopiero kiedy lekarz spytał: „No i jak?”, przez oblicze Virgila przemknął cień zrozumienia. Wiedział, że głosy pochodzą od twarzy, zatem, uznał, chaos światła, cieni i ruchów, które dostrzegał, to musiała być twarz lekarza.

Doświadczenie Virgila było niemal identyczne jak S.B., pacjenta opisanego trzydzieści lat wcześniej przez psychologa, Richarda Gregory’ego, z którym wiele godzin spędzałem na rozmowach o Virgilu.

Poznaliśmy się z Richardem w gabinecie Colina Haycrafta jeszcze w 1972 roku, kiedy Colin szykował się do wydania nie tylko *Przebudzeń*, lecz także książki Gregory’ego *Illusion in Nature and Art.* Bardzo postawny, wyższy ode mnie o głowę, ze swoją spontanicznością, rozmachem, energią fizyczną i duchową, miał w sobie tyle niewinności i pasji do żartów, że przywodził mi na myśl rosłego, rozdokazywanego dwunastolatka. Urzekły mnie jego wcześniejsze książki *Eye and Brain* oraz *The Intelligent Eye*, które były wspaniałym dziełem wnikliwego, dociekliwego umysłu potrafiącego łączyć zabawę z pasją. Zdanie Gregory’ego rozpoznaje się tak nieomylnie jak frazę Brahmsa.

Obaj pasjonowaliśmy się układem wizualnym w mózgu, a także tym, w jaki sposób zdolność rozpoznawania wzrokowego może zostać naruszona przez wypadek, chorobę lub zmylona przez iluzje wizualne[104]. Miał silne przekonanie, że percepcje nie są prostymi reprodukcjami danych zmysłowych dostarczanych przez oko czy ucho, lecz muszą być

„konstruowane” przez mózg, co zakłada współpracę licznych jego układów, nieustannie korzystających z pamięci, prawdopodobieństwa i oczekiwań.

W trakcie swej długiej, twórczej kariery Richard dowiódł, że iluzje wzrokowe dają znakomitą szansę na zrozumienie najróżniejszych funkcji neurologicznych. Kluczową rolę odgrywała dlań zabawa jako zarówno rozrywka intelektualna (był zapalonym kalamburzystą), jak i metoda naukowa. Jego zdaniem mózg bawi się ideami, a to, co nazywamy percepcjami, stanowi w istocie „percepcyjne hipotezy” konstruowane przez mózg i przezeń rozgrywane.

Mieszkając na City Island, często w nocy wskakiwałem na rower, aby pojeździć pustymi ulicami. Pewnego razu dostrzegłem dziwne zjawisko: wpatruję się w szprychy wirującego przedniego koła i nagle przychodzi moment, że wydają się nieruchome jak na zdjęciu. Zafascynowany zadzwoniłem do Richarda, zapominając o tym, że w Anglii musi być jeszcze bardzo wcześnie. Zareagował jednak przyjaźnie i od ręki przedstawił trzy robocze hipotezy. Może „zamrożenie” jest stroboskopowym efektem światła z dynama? Może było wywołane przez ruchy podskakujących z całym ciałem gałek ocznych? A może mózg istotnie „konstruuje” wrażenie ruchu z zastygłych „migawek” [105]?

Obaj pasjonowaliśmy się widzeniem stereoskopowym. Richard często wysyłał przyjaciołom na gwiazdkę stereoskopowe kartki, a jego podobny do muzeum dom w Bristolu pełen był wiekowych stereoskopów, a także najróżniejszych innych starych instrumentów optycznych. Często konsultowałem się z nim, pisząc o Susan Barry („Stereo Sue”), która — zupełnie pozbawiona widzenia stereoskopowego od bardzo wczesnego wieku — odzyskała je, mając pięćdziesiąt lat [106]. Zdarzenie takie uważano wówczas za niemożliwe, gdyż panowała opinia, jakoby widzenia stereoskopowego można było nabyć tylko w krótkim okresie dzieciństwa,

a jeśli nie nastąpi to przed uzyskaniem dwóch, trzech lat, potem będzie już za późno.

Następnie, jakby zmierzając drogą Stereo Sue, lecz w przeciwnym kierunku, ja sam zacząłem tracić tę władzę, aż wreszcie zupełnie mnie opuściła. Opisywałem Richardowi przerażające niekiedy rzeczy, które działy się z moim wzrokiem, oraz to, jak po życiu w świecie mającym bogatą, piękną głębię stereo teraz znajdowałem go tak płaskim i konsternującym, że niekiedy w ogóle traciłem poczucie odległości i głębi. Richard z niewyczerpaną cierpliwością odpowiadał na wszystkie moje pytania i formułował nieocenione uwagi. Miałem wrażenie, że nikt bardziej od niego nie pomógł mi zgłębić tego doświadczenia.

Był początek 1993 roku, kiedy Kate podała mi telefon ze słowami: „John Steele, dzwoni z Guamu”.

Guam? Nikt dotąd nie dzwonił do mnie z Guamu, a mówiąc szczerze, nie wiedziałem nawet dobrze, gdzie to jest. Dwadzieścia lat wcześniej trochę pisywałem z pewnym Johnem Steele’em, neurologiem z Toronto, który był współautorem artykułu o migrenowych halucynacjach u dzieci, a zasłynął przede wszystkim rozpoznaniem zespołu Steele’a-Richardsona-Olszewskiego, zwanego dziś postępującym porażeniem nadjądrowym. Wziąłem telefon i okazało się, że to ten sam John Steele. Pokrótce opowiedział mi, jak mu się żyje w Mikronezji, najpierw na Karolinach, a obecnie na Guamie. Dlaczego dzwoni? Pośród Czamorro, tubylców z Guamu, panowała dziedziczna choroba nazywana przez nich *lytico-bodig*. Wielu miało objawy bardzo podobne do tych, które opisałem i sfilmowałem u moich pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu. Ponieważ byłem już jedną z nielicznych osób, które miały bezpośredni kontakt z takimi

chorymi, więc czy nie zechciałbym obejrzeć jego pacjentów i podzielić się uwagami?

Jeszcze jako stażysta słyszałem o chorobie z Guamu, którą niektórzy uważali za kamień z Rosetty chorób neurodegeneracyjnych. Skoro bowiem ludzie nią dotknięci mieli objawy podobne jak przy chorobie Parkinsona, stwardnieniu zanikowym bocznym czy demencji, to ich badanie mogło rzucić światło także na te dolegliwości. Od dziesięcioleci neurolodzy wyjeżdżali na Guam, aby odkryć źródło choroby, ale najczęściej się poddawali.

Kilka tygodni później znalazłem się na wyspie. John czekał na mnie na lotnisku, a trudno go było nie rozpoznać, gdyż w koszmarnym upale, gdy wszyscy mieli na sobie kolorowe koszule i szorty, on jeden był elegancko ubrany w tropikalny garnitur, krawat i słomkowy kapelusz.

— Oliverze! — zawołał na mój widok. — Jak to dobrze, że przyjechałeś!

Wiozący nas potem czerwonym kabrioletem, przedstawił mi historię Guamu, a także pokazał reliktowe sagowce, wiedział bowiem, jak pasjonują mnie te i inne stare formy roślinne. Już w trakcie rozmowy telefonicznej zasugerował, że mogę przybyć na Guam jako „sagowcowy neurolog” albo „neurologiczny sagowcolog”, jako że nie brakowało ludzi, którzy podejrzewali, że za dziwną lokalną chorobę może odpowiadać mąka z ziaren tych palm, stanowiąca jeden z głównych artykułów żywnościowych Czamorro.

Przez kilka następnych dni odwiedzaliśmy z Johnem jego pacjentów, co przypomniało mi czasy chłopięce, gdy towarzyszyłem ojcu w wizytach. Rzeczywiście, wielu chorych, którymi zajmował się John, przypominało moich pacjentów z *Przebudzeń*. Uznałem, że muszę przyjechać na Guam na dłużej, ale tym razem z kamerą, aby sfilmować tych ludzi.

Wizyta na tej wyspie wydała mi się ważna także z głęboko ludzkiej przyczyny. O ile pacjenci postencefalityczni na dziesięciolecia wędrowali do szpitali, często porzucani przez rodziny, o tyle ludzie z *lytico-bodig* aż do końca uczestniczyli w życiu swej rodziny i wspólnoty. To uświadomiło mi barbarzyństwo medycyny i zwyczajów naszego „cywilizowanego" świata, który chorych czy zniedołężniałych ludzi spycha na margines i stara się o nich zapomnieć.

*

Podczas pobytu na Guamie rozmawialiśmy o innej z pasjonujących mnie kwestii, ślepocie na kolory. Interesowałem się tym wprawdzie od lat, ale właśnie trafił do mnie malarz, pan I., który po latach życia w świecie pełnym barw nagle utracił zdolność ich rozpoznawania. On wiedział, co stracił, ale ktoś, kto by się urodził pozbawiony w ogóle takiej zdolności, nie miałby bladego pojęcia o tym, czym może być kolor. Większość ludzi, którzy mają kłopot z barwami, nie jest na nie „ślepa": ma trudności z rozpoznawaniem niektórych, ale inne widzi zupełnie dobrze. Całkowita niezdolność spostrzegania kolorów, wrodzona na nie ślepota, występuje bardzo rzadko, może raz na trzydzieści tysięcy przypadków. Jak znajdujący się w takiej sytuacji ludzie dają sobie radę w świecie, który dla innych osób, ptaków, ssaków pełen jest wyrazistych, nasyconych informacjami barw? Czy ci, których dotknęła achromatopsja, będą — jak głusi — rozwijać swoiste kompensacyjne umiejętności i strategie? Czy podobnie jak niesłyszący mogą stworzyć odrębne wspólnoty i oddzielną kulturę?

Napomknąłem Johnowi o tym, że słyszałem opowieść — kto wie, może tylko romantyczną legendę — o zagubionej dolinie, zamieszkanej tylko przez ludzi zupełnie ślepych na kolory.

— Jaka tam legenda! — obruszył się John. — Znam to miejsce, chociaż nie dolinę, ale bardzo odizolowany, malutki atol, leżący nie tak daleko od Guamu, wszystkiego dwa tysiące kilometrów.

Pingelap leżała blisko Pohnpei, wulkanicznej wyspy, na której John pracował przez kilka lat. W tym czasie odwiedzali go pacjenci z Pingelap i na tej podstawie oceniał, że około dziesięciu procent populacji jest całkowicie ślepa na kolory.

*

Kilka miesięcy później Chris Rawlence, autor libretta do opery Michaela Nymana *Człowiek, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, zaproponował BBC, aby nakręciła serię filmów dokumentalnych ze mną[107]. Do Mikronezji wróciliśmy więc w roku 1994 w towarzystwie zaprzyjaźnionego okulisty, Boba Wassermana, oraz Knuta Nordby'ego, norweskiego psychologa, który sam był ślepy na kolory. Chris i jego ekipa załatwili nam zatrważająco mały samolot na Pingelap, a ja, Bob i Knut zagłębiliśmy się w niezwykłą kulturę i historię tych wysp. Odwiedzaliśmy pacjentów, rozmawialiśmy z lekarzami, botanikami i innymi przyrodnikami, chodziliśmy po lasach podzwrotnikowych, pływaliśmy pod wodą wokół raf, zbieraliśmy psychoaktywne *sakau*.

Dopiero jednak w lecie 1995 roku siadłem do spisywania wspomnień z wysp, co zaowocowało połączonymi w jeden tom dwiema opowieściami podróżniczymi: *Wyspa daltonistów* o Pingelap i *Wyspa sagowców* o dziwnej chorobie panującej na Guamie. (Do tej ostatniej dołączyłem opowieść o dawnych epokach geologicznych oraz moich ulubionych sagowcach).

Nie chciałem ograniczać się do tematów ściśle neurologicznych i nie cofałem się też przed innymi, czego efektem było kilkadziesiąt stron

przypisów, niekiedy będących małymi esejami na temat botaniki, matematyki i historii. Dlatego *Wyspy* różnią się od moich poprzednich książek: są bardziej liryczne, osobiste i w jakiejś mierze to właśnie je najbardziej lubię ze wszystkich swoich prac.

Rok 1993 to nie tylko nowe doświadczenia oraz podróże do Mikronezji i gdzie indziej, lecz także początek innej wyprawy: wyprawy w czasie, do wspomnień z moich najwcześniejszych lat.

Bob Silvers poprosił mnie o zrecenzowanie nowej biografii Humphry'ego Davy'ego, co mnie bardzo podekscytowało, gdyż Davy był moim idolem w chłopięcych latach: uwielbiałem czytać o jego dziewiętnastowiecznych eksperymentach chemicznych i powtarzać je w swoim małym laboratorium. Na powrót zanurzyłem się w historii chemii i poznałem chemika, Roalda Hoffmanna.

Kilka lat później Roald, pamiętając moją młodzieńczą fascynację chemią, przysłał mi paczkę z wielkim plakatem z układem okresowym i fotografiami wszystkich pierwiastków, katalog chemiczny oraz małą sztabkę z bardzo gęstego, szarawego metalu, w którym natychmiast rozpoznałem wolfram. Roald nie mógł nie wiedzieć, że w ten sposób wywoła we mnie wspomnienia stryja, którego fabryka produkowała sztabki wolframu oraz żarówki z wolframowym włóknem. Ten kawałek metalu był moją magdalenką.

Zacząłem pisać o latach chłopięcych, dojrzewaniu w Anglii przed II wojną światową, skazaniu podczas wojny na rygorystyczną szkołę z internatem, odkryciu niewygasającej fascynacji liczbami, a potem pierwiastkami, oraz o pięknie równań mogących przedstawić każdą reakcję chemiczną. Była to dla mnie książka zupełnie nowa, połączenie pamiętnika

z pewnego rodzaju historią chemii. Pod koniec roku 1999 miałem napisane już setki tysięcy słów, ale nie czułem, żeby książka miała się ku końcowi.

*

Zachwycałem się od dawna dziewiętnastowiecznymi dziennikami podróżnymi przyrodników, którzy potrafili element osobisty wiązać z naukowym — a pośród nich *Malay Archipelago* Wallace'a, *Naturalist on the River Amazons* Batesa czy *Notes of a Botanist* Spruce'a, ale przede wszystkim dziełem, które inspirowało ich wszystkich (także Darwina), *Personal Narrative* Alexandra von Humboldta. Jakże miło było pomyśleć, że w tych samych miesiącach roku 1849 drogi Wallace'a, Batesa i Spruce'a splotły się na tym samym odcinku Amazonki, a na dodatek wszyscy oni byli dobrymi przyjaciółmi. (Korespondowali ze sobą przez całe życie, a *Notes* Spruce'a wydał po jego śmierci Wallace).

Wszyscy trzej byli w pewnym sensie amatorami, samoukami działającymi w imię własnej pasji, a nie jako część jakiejś instytucji; niekiedy mi się wydaje, że żyli we wspaniałym świecie, gdyż nie musieli się zmagać w morderczej rywalizacji, która już niebawem miała ogarnąć świat coraz bardziej sprofesjonalizowany (a którą tak znakomicie odmalował H.G. Wells w opowiadaniu *Ćma*).

Ta urocza, nieskażona, przedprofesjonalna atmosfera, wyznaczana przez chęć przygody i ciekawość, nie zaś przez egoizm i uporczywe dążenie do prymatu i sławy, ciągle jeszcze zachowała się tu i ówdzie — zwłaszcza, jak mniemam, w niektórych towarzystwach przyrodniczych, o których istnieniu wielki świat nawet nie wie. Jednym z nich jest Amerykańskie Towarzystwo Paproci, organizujące comiesięczne spotkania, a od czasu do czasu wyprawy badawcze („paprociówki").

W styczniu 2000 roku, ciągle zmagając się z wątpliwościami, jak zakończyć *Uncle Tungsten*, z dwudziestoma członkami towarzystwa wyprawiłem się do Oaxaca, gdzie opisano ponad siedemset gatunków paproci. Nie zamierzałem prowadzić szczegółowego dziennika podróży, tymczasem okazała się ona tak pełna przygód i doświadczeń, że przez dziesięć dni pisałem niemal non stop [108].

Blokada, która nie pozwalała mi ruszyć dalej z *Uncle Tungsten*, nagle pękła w stolicy stanu noszącej taką samą jak on nazwę, kiedy na miejskim skwerze wsiadałem do autobusu, który miał mnie zawieźć do hotelu. Miejsca naprzeciwko mnie zajęli ćmiący cygara mężczyzna i jego żona, rozmawiający w szwajcarskim niemieckim. To połączenie autobusu z tym konkretnie językiem znienacka cofnęło mnie do roku 1946, co tak zapisałem w *Oaxaca Journal*:

> Wojna właśnie się skończyła i moi rodzice postanowili odwiedzić jedyny niezniszczony kraj Europy: Szwajcarię. Hotel Schweizerhof w Lucernie dysponował wysokim, cichym, elektrycznym broughamem, funkcjonującym gładko i pięknie od chwili, gdy powstał czterdzieści lat wcześniej. Z tym nagłym, na pół słodkim, na pół gorzkim wspomnieniem powraca moje trzynaście lat, na samym progu dojrzewania, świeżość i ostrość moich ówczesnych percepcji. I moi rodzice: młodzi, pełni wigoru, ledwie pięćdziesięcioletni.

Gdy wróciłem do Nowego Jorku, dalej napływały wspomnienia z dzieciństwa i rozwijał się *Uncle Tungsten*, gdyż elementy osobiste splatały się z historycznymi oraz chemicznymi — i tak powstawała ta książkowa hybryda, złożona z dwóch różnych historii i z wielości głosów.

Głęboką miłość do historii naturalnej i historii nauki dzieliłem ze Stephenem Jayem Gouldem.

Dokładnie przeczytałem jego *Ontogeny and Phylogeny*, a także comiesięczne artykuły w czasopiśmie „Natural History”. Szczególnie podobała mi się jego książka z 1989 roku, *Wonderful Life*, która daje znakomite poczucie tego, jak szczęście czy pech mogą wpłynąć na losy każdego gatunku roślinnego czy zwierzęcego, oraz wielkiej roli, jaką przypadek odgrywa w ewolucji. Jak pisał, gdybyśmy byli w stanie powtarzać jej bieg, za każdym razem działoby się to zupełnie inaczej. *Homo sapiens* to efekt szczególnego zbiegu okoliczności, który ostatecznie wydał nas — co nazwał „chwalebnym przypadkiem”.

Byłem tak podekscytowany, że spytany przez pewną angielską gazetę o to, jaka książka najbardziej mi się podobała w 1990 roku, natychmiast wymieniłem *Wonderful Life*, z jego olśniewającą ekspozycją zdumiewającego bogactwa form życia powstałych w wyniku eksplozji kambryjskiej przed ponad pięciuset milionami lat (wspaniale zachowanych w Burgess Shale w kanadyjskich Górach Skalistych), a także tłumaczeniem tego, jak wiele z nich zginęło na skutek porażki w rywalizacji, nieszczęśliwego wypadku czy po prostu pecha.

Steve dostrzegł tę maciupeńką recenzję i przysłał mi egzemplarz książki z dedykacją, w której mówił o „geologicznej wersji” tej właśnie przypadkowości, nieusuwalnej nieprzewidywalności, przeze mnie opisywanej w związku z pacjentami postencefalitycznymi. Podziękowałem mu, na co odpowiedział listem tętniącym energią i skrzącym się stylistycznie. Oto początek:

> Drogi doktorze Sacks!
>
> Byłem zachwycony, otrzymawszy Pański list. Czyż może być większa w życiu przyjemność, niż dowiedzieć się, że nasz bohater intelektualny ceni sobie także naszą własną pracę? Naprawdę myślę, że — w pewnym zespołowym sensie — istnieje grupa ludzi, którzy bezpośrednio się nie kontaktując, zmierzają jednak w kierunku wspólnego celu wyrastającego

z teorii przypadkowości. Pański opis przypadków chorobowych łączy się z pracami Edelmana o neurologii, z generalną teorią chaosu, tym, co McPherson pisze o wojnie secesyjnej, i z moimi tekstami o historii życia. Oczywiście sama przypadkowość jako taka to żadna nowość, tyle że albo ją traktowano jako coś, co nie należy do nauki („E, to tylko historia"), albo, co jeszcze gorsze, jako okazję czy wręcz podstawę do nienaukowego spirytualizmu. Rzecz zatem polega nie na tym, by w ogóle eksponować przypadkowość, lecz na tym, aby wskazywać ją jako centralny temat rzeczywistej, szanującej nieredukowalność przypadków jednostkowych nauki, by bronić jej przed statusem nienaukowości, dowodząc, iż jest niezbywalnym elementem tego, co nazywamy prawem przyrody, a więc i pierwotną daną nauki jako takiej.

Rozważywszy jeszcze kilka innych kwestii, Steve kończył:

To zabawne, że kiedy się wreszcie nawiąże kontakt z kimś, kogo od lat chciało się poznać, wszędzie zaczyna się dostrzegać rzeczy, które chciałoby się z nim przedyskutować.

Serdecznie pozdrawiam
Stephen Jay Gould

Spotkaliśmy się kilka lat później, kiedy holenderski dziennikarz telewizyjny zaproponował nam serię wywiadów. Na pytanie producenta o to, czy znam Steve'a, odrzekłem: „Nigdy się z nim nie spotkałem, aczkolwiek intensywnie ze sobą korespondujemy. Tak czy owak traktuję go jak brata".

Z kolei Steve napisał do producenta: „Ogromnie pragnę spotkać się z Oliverem Sacksem. Uważam go za brata, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy".

Łącznie była nas szóstka: Freeman Dyson, Stephen Toulmin, Daniel Dennett, Rupert Sheldrake, Steve i ja. Wywiad z każdym z nas przeprowadzono oddzielnie, a po kilku miesiącach przylecieliśmy do Amsterdamu, gdzie ulokowano nas w różnych hotelach. Żaden z nas nigdy

jeszcze nie spotkał się z pozostałymi i liczono na to, że jak już się zejdziemy, dojdzie do jakiejś wspaniałej (a może i gwałtownej) eksplozji. Trzynastogodzinna audycja telewizyjna zatytułowana „Chwalebny przypadek” odniosła w Holandii wielki sukces, a jej zapis stał się bestsellerem.

Steve ocenił tę reakcję w charakterystyczny dla siebie filuterny sposób: „Ze zdumieniem słyszę, że nasza holenderska seria została tak dobrze przyjęta. Ogromnie mi się podobało, że mogłem spotkać was wszystkich, ale nie bardzo wyobrażam sobie, że chciałbym całymi godzinami przesiadywać przed telewizorem, aby słuchać rozmów facetów współcześnie określanych jako »martwi biali europejscy mężczyźni«” [109].

Steve uczył na Harvardzie, ale mieszkał w centrum Nowego Jorku, byliśmy więc sąsiadami. Był bardzo wszechstronną osobą, pasjonowały go najróżniejsze rzeczy. Uwielbiał chodzić, miał gigantyczną wiedzę o architekturze Nowego Jorku i o jej postaci wiek temu. (Tylko ktoś tak wrażliwy na architekturę mógł użyć pendentywu jako metafory ewolucyjnej). Był też ogromnie muzykalny; śpiewał w bostońskim chórze, uwielbiał Gilberta i Sullivana, przypuszczam, że znał na pamięć wszystkie ich utwory. Kiedy pewnego razu odwiedziliśmy przyjaciela na Long Island, Steve przez trzy godziny delektował się gorącą kąpielą, przez cały czas podśpiewując Gilberta i Sullivana, ale ani razu się nie powtarzając. Znał także ogromną liczbę piosenek z obu wojen światowych.

Steve i jego żona, Rhonda, bardzo dobrzy, szczodrzy przyjaciele, uwielbiali wyprawiać urodziny. Steve piekł tort, korzystając z przepisu matki, a zawsze także towarzyszył temu napisany przez niego wiersz. Raz przedstawił wspaniałą wersję *Jabberwocky* [110], a przy innej okazji wyrecytował coś takiego:

NA URODZINY OLIVERA, 1997

To facet, który sagowce ukochał.
Acz, bywało nieraz, nad motorem szlochał.
Król wielorakości,
Urodziny Waszmości,
Co chwałę mistrza Freuda ogromnie podkopał.

Jednonogi, z migreną, na kolory ślepy,
Z Marsa gość, co kapelusz odróżni od rzepy.
Sława niech się szerzy Olivera Sacksa,
Co żyje na maksa,
A delfinom pływackiej da też pokaz krzepy.

Z okazji innych urodzin, znając moją predylekcję do układu okresowego, Steve i Rhonda poprosili gości, aby przebrali się za różne pierwiastki. Nie mam pamięci do nazwisk i twarzy, pierwiastków jednak nigdy nie zapominam. (Na przyjęcie Carol Burnett przyszła w towarzystwie mężczyzny, którego nazwiska nie pamiętam, nie byłbym w stanie przypomnieć sobie jego twarzy, ale już na zawsze pozostanie dla mnie argonem). Steve wystąpił jako inny gaz szlachetny, ksenon, liczba atomowa 54.

*

Namiętnie czytałem comiesięczne artykuły Steve'a w „Natural History" i często pisałem do niego w sprawach, które przy tej okazji podnosił. Rozważaliśmy najróżniejsze kwestie, od miejsca przypadku w reakcjach pacjentów na terapię po naszą obopólną miłość do muzeów (zwłaszcza starych, gabinetowych; obaj orędowaliśmy za zachowaniem wspaniałego Mütter Museum w Filadelfii).

Miałem też pasje, które sięgały jeszcze moich fascynacji biologią morską. Chciałem dowiadywać się więcej o prymitywnych układach

nerwowych i ich zachowaniach, tutaj zaś Steve odgrywał wielką rolę, nieustannie przypominając mi o tym, że w biologii sens ma tylko podejście, które uwzględnia ewolucję i przypadek. Steve na wszystko spoglądał w perspektywie gigantycznego czasu ewolucyjnego.

On sam oddawał się badaniu ewolucji ślimaków ziemnych na Bermudach i Antylach Holenderskich; jego zdaniem wielkie zróżnicowanie bezkręgowców lepiej niż w przypadku kręgowców ilustruje pomysłowość przyrody i jej geniusz w wynajdowaniu nowych zastosowań dla wcześniej powstałych struktur i mechanizmów, co nazywał egzaltacją. Łączyło nas więc także zamiłowanie do „niższych" form życia.

W roku 1993 pisałem do Steve'a o problemie łączenia kwestii szczegółowych z ogólnymi — w mojej sytuacji przypadków chorobowych i neurologii — na co odpowiedział: „Od dawna doświadczałem dokładnie tego samego napięcia, swojemu umiłowaniu rzeczy jednostkowych dając upust w esejach, a zainteresowaniu w kwestiach ogólnych — w tekstach bardziej specjalistycznych. Uwielbiałem tak bardzo pracę w Burgess Shale, gdyż pozwalała łączyć oba nastawienia".

Był tak miły, że przeczytał rękopis *Wyspy daltonistów*, i to na tyle uważnie, by uchronić mnie przed różnymi błędami.

Łączyło nas także zainteresowanie autyzmem. Pisał do mnie: „W moim przypadku to zainteresowanie ma także aspekt osobisty, gdyż sam mam autystycznego syna, który jest żywym kalkulatorem do wyliczania dat, i to w skali tysiącleci. Niewiele rzeczy poruszyło mnie bardziej od Twojego tekstu o mających tę samą zdolność bliźniakach".

Jeszcze bardziej porusza to, co napisał o Jessem, w eseju, który wszedł w skład *Pytań o millennium*:

> Człowiek jest stworzeniem obdarzonym naturą gawędziarza. Stara się ułożyć rzeczywistość w ciąg opowieści. W jaki zatem sposób osoba, która

> nie potrafi pojąć fabuły ani domyślić się ludzkich intencji, może ogarnąć złożoność tego świata? Najszlachetniejszym w dziejach przejawem heroizmu są dla mnie wysiłki ludzi, którzy za wszelką cenę starają się odkryć i wprowadzić w swoje życie kompensatę za najistotniejsze cechy człowieczeństwa, odebrane im nieszczęśliwym zrządzeniem losu[111].

Steve otarł się o śmierć, jeszcze zanim go poznałem, w wieku około czterdziestu lat. Miał bardzo rzadki i bardzo niebezpieczny nowotwór złośliwy — międzybłoniaka — ale mimo wyjątkowo złych rokowań udało mu się go pokonać. Należał do szczęśliwców, którym pomogły napromieniowanie i chemioterapia. Zawsze tryskał energią, ale jeszcze bardziej się to nasiliło po tym doświadczeniu. Nie ma ani minuty do stracenia; skąd można wiedzieć, co czeka za następnym rogiem?

Później, gdy Stephen miał sześćdziesiąt lat, wystąpił u niego nowotwór pozornie niepowiązany z tamtym: rak płuc, który szybko dał przerzuty do wątroby i mózgu, ale jedynym ustępstwem, na jakie sobie pozwolił w wyniku choroby, była możliwosc wygłaszania wykładów na siedząco, a nie na stojąco. Bardzo chciał zakończyć swoje *opus magnum — The Structure of Evolutionary Theory*, które ukazało się na wiosnę 2002 roku, na dwudziestą piątą rocznicę wydania *Ontogeny and Phylogeny*.

Kilka miesięcy później, po zakończeniu ostatnich zajęć na Harvardzie, Steve zapadł w śmiertelną śpiączkę. Wyglądało to zupełnie tak, jakby funkcjonował samą siłą woli, a kiedy zakończył ostatni semestr zajęć i zobaczył w druku swoją upragnioną książkę, był już gotów na pożegnanie. Umarł w domowej bibliotece, otoczony przez ukochane książki.

---

100 DJ to skrót od *disc-jockey*, samo *jay* to gaduła — przyp. tłum.

101 Cecil Helman, który pochodził z rodziny rabinów i lekarzy, był także antropologiem medycznym, znanym ze swych prowadzonych w Afryce Południowej i Brazylii międzykulturowych studiów nad narracją, medycyną i chorobą. Prawdziwy myśliciel

i nauczyciel, swoje medyczne doświadczenia z Afryki Południowej czasów apartheidu zebrał w książce *Suburban Shaman.*

102 Wielu lokatorów Ealon House także paliło na potęgę (co jest bardzo częste wśród „chronicznych" schizofreników). Nie wiem, czy robili to z nudów — w rezydencji niewiele było do roboty — czy też z racji farmakologicznych efektów nikotyny, bądź to pobudzających, bądź uspokajających. W Bronx State był kiedyś pacjent, który, najczęściej apatyczny i wycofany, zaciągnąwszy się kilka razy papierosem, najpierw nabierał wigoru, a potem stawał się wręcz hiperaktywny, niemal niczym tourette'owiec. Pielęgniarz nazywał go „nikotynowym Jekyllem i Hyde'em".

103 Pierwsza książka Temple: *Emergence: Labeled Autistic* ukazała się w roku 1986, kiedy dopiero zaczęto rozpoznawać zespół Aspergera. Autorka opowiadała w niej o tym, jak się „wyleczyła" z autyzmu, chociaż w tym czasie powszechny był pogląd, że nikt z autyzmem nie jest w stanie prowadzić twórczego życia. Kiedy poznałem Temple w 1993 roku, nie mówiła już o „kuracji" z autyzmu, lecz o silnych i słabych stronach tego stanu.

104 Wiele pokoleń Gregorych pasjonowało się wzrokiem i optyką. W swej książce *Hereditary Genius* Francis Galton, szukając przodków Richarda, dotarł do współczesnego Newtonowi Jamesa Gregory'ego, który usprawnił teleskop zwierciadlany uczonego. Ojciec Richarda był królewskim astronomem.

105 O możliwości takiego „migawkowego" widzenia dyskutowałem potem z Francisem Crickiem, a pisałem o nim w opublikowanym w roku 2004 w „The New York Review of Books" eseju *In the River of Consciousness*.

106 W *Oku umysłu* — przyp. tłum.

107 Seria zatytułowana *The Mind Traveller* traktowała o wielu kwestiach, którymi interesowałem się od dawna, w tym o zespole Tourette'a i autyzmie, ale także zapewniła mi nowe doświadczenia, takie jak kontakt z ludźmi z zespołem Williamsa (o których pisałem później w *Muzykofilii*), ze wspólnotą Cajunów niesłyszących i niewidzących, a także z głuchymi pozbawionymi jakiegokolwiek języka.

108 Po powrocie przepisałem notatki i wkrótce potem zaproponowano mi, żebym opublikował książkę w serii podróżniczej National Geographic. W *Oaxaca Journal* są całe partie identyczne z rękopisem, ale dołączyłem też sporo różnych innych uwag: o czekoladzie i chili, meskalu i koszenilach, kulturze mezoamerykańskiej oraz środkach halucynogennych Nowego Świata.

109 *Dead white European males* — termin używany krytycznie na charakterystyczną dla kultury Zachodu koncentrację na roli białych mężczyzn w dziejach — przyp. tłum.

110 Istnieją różnie zatytułowane polskie tłumaczenia wiersza Lewisa Carrolla; pozostaję przy oryginalnym tytule, żeby nie faworyzować żadnego z nich — przyp. tłum.

[111] S.J. Gould, *Pytania o millennium*, tłum. D. Kozińska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 132.

Nowa koncepcja umysłu

Na początku marca 1986 roku, wkrótce po opublikowaniu *Kapelusza*, otrzymałem list od pana I., malarza z Long Island.

> Właśnie skończyłem sześćdziesiąt pięć lat i odniosłem spory sukces artystyczny. Drugiego stycznia tego roku mała ciężarówka zderzyła się z moim samochodem od strony pasażera. W szpitalu oznajmiono mi, że miałem wstrząśnienie mózgu, a badania wykazały, że nie rozpoznaję liter ani kolorów. Przy tych pierwszych miałem wrażenie, że to grecki alfabet, a generalnie wszystko widziałem jak na ekranie czarno-białego telewizora. Po kilku dniach zacząłem rozpoznawać litery, a ostrość widzenia stała się orla: mogłem zobaczyć robaka o przecznicę dalej. To zupełnie nieprawdopodobne, NATOMIAST STAŁEM SIĘ ZUPEŁNIE ŚLEPY NA KOLORY. Byłem u okulistów, którzy nic nie wiedzieli o takiej ślepocie. Odwiedziłem neurologów — z takim samym efektem. Nie rozpoznaję też barw podczas hipnozy. Zostałem poddany wszystkim testom, jakie tylko mogą Panu przyjść do głowy. Mój brązowy pies jest ciemnoszary. Sok pomidorowy — czarny. Kolorowy telewizor to jakiś miszmasz.

Pan I. skarżył się, że we wstrętnym, „ołowianym” w swych czarno-białych odcieniach świecie, w którym teraz mieszka, ludzie są maszkarami, a malowanie stało się niemożliwe. Czy zetknąłem się już kiedyś z taką przypadłością? Czy potrafię ustalić, co się stało? Pomóc mu?

Odpisałem, że owszem, słyszałem o takich przypadkach nabytej achromatopsji, ale sam z żadnym nie miałem jeszcze do czynienia. Nie byłem pewien, czy będę w stanie coś poradzić, ale zaprosiłem pana I. na wizytę.

Pan I. po sześćdziesięciu pięciu latach normalnego widzenia barw oślepł na kolory, ale nie oślepł zupełnie — wszystko widział „jakby na czarno-białym ekranie”. Nagłość tego zdarzenia, zupełnie niepodobna do wolnego wyrodnienia komórek czopkonośnych siatkówki, sugerowała, że coś złego wydarzyło się na o wiele wyższym poziomie — w tych częściach mózgu, które specjalizują się w percepcji koloru.

Co więcej, okazało się, że pan I. utracił zdolność nie tylko widzenia barw, lecz także ich wyobrażania sobie. Sny miał teraz czarno-białe i nawet aury migrenowe były wyprane z kolorów.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej przebywałem w Londynie z okazji publikacji *Kapelusza*, kolega zaprosił mnie na odbywającą się w National Hospital przy Queen Square konferencję. „Wystąpi Semir Zeki” — zapowiedział — to spec nad specami, jeśli chodzi o percepcję kolorów”.

Zeki prowadził neurofizjologiczne badania nad postrzeganiem barw, wprowadzając elektrody do kory wzrokowej małp. Udało mu się zidentyfikować szczególny jej obszar (V4), który jest odpowiedzialny za konstrukcję koloru, i przypuszczał, że w ludzkim mózgu powinien występować analogiczny obszar. Zafascynowało mnie wystąpienie Zekiego, a zwłaszcza użycie przez niego terminu „konstrukcja” w odniesieniu do postrzegania barw.

Praca Zekiego kazała myśleć o tym w zupełnie nowy sposób; mnie w każdym razie skłoniła do spojrzenia na możliwą neuronową podstawę świadomości, czego nigdy dotąd nie robiłem, i uświadomienia sobie, że przy nowych narzędziach obrazowania mózgu i nowych możliwościach rejestrowania aktywności pojedynczych neuronów w żywym, funkcjonującym mózgu będziemy być może potrafili ustalić, gdzie i jak są „konstruowane” najróżniejsze doświadczenia. Była to myśl ekscytująca. Dopiero ona pozwoliła mi zobaczyć, jak wielkiego skoku dokonała

neurofizjologia od wczesnych lat pięćdziesiątych XX wieku, gdy zaczynałem się z nią zapoznawać i gdy było niemożliwe nie tylko do przeprowadzenia, lecz także nawet do wyobrażenia to, że dałoby się śledzić pojedyncze komórki nerwowe w mózgu żywej istoty, która jest świadoma, spostrzegająca i aktywna.

*

Mniej więcej w tym okresie poszedłem na koncert do Carnegie Hall. Na program składały się: *Msza c-moll* Mozarta i — po przerwie — jego *Requiem*. Traf chciał, że kilka rzędów za mną siedział młody neurofizjolog, Ralph Siegel, z którym poznaliśmy się przelotnie w ubiegłym roku, kiedy odwiedziłem Salk Institute, gdzie był jednym z protegowanych Francisa Cricka. Kiedy Ralph zobaczył, że ktoś przed nim trzyma laptopa na kolanach i pisze przez cały czas koncertu, natychmiast wiedział, że korpulentna postać przed nim to muszę być ja. Po koncercie podszedł do mnie i się przedstawił, ja zaś natychmiast go rozpoznałem: nie z twarzy (które w większości wyglądają dla mnie tak samo), lecz po płomiennie rudych włosach i kipiącym energią zachowaniu.

Ralpha bardzo ciekawiło, co takiego pisałem przez cały koncert. Czy zupełnie nie zwracałem uwagi na muzykę? Nie, odparłem, słuchałem, i to wcale nie tylko jako czegoś w tle. Zacytowałem Nietzschego, który także często pisał podczas koncertów, a że był miłośnikiem Bizeta, zanotował kiedyś: „Bizet czyni mnie lepszym filozofem”.

Trawestując tę wypowiedź, powiedziałem, że Mozart czyni mnie lepszym neurologiem. O czym zaś pisałem? O pacjencie, który mnie odwiedził, ślepym na kolory malarzu. Ralph był bardzo podekscytowany; słyszał już o panu I., gdyż wcześniej w tym roku pisałem o nim Francisowi

Crickowi. Sam Ralph badał wprawdzie układ wzrokowy małp, ale powiedział, że z chęcią zobaczyłby pana I., gdyż ten, w przeciwieństwie do małp, byłby w stanie opowiedzieć mu, co widzi (czy czego nie widzi). Przedstawił projekt kilku testów, które pozwoliłyby ustalić, na jakim szczeblu załamała się konstrukcja koloru w mózgu malarza.

*

Ralph zawsze myślał w kategoriach fizjologicznych, podczas gdy neurolodzy — włącznie ze mną — często zadowalają się fenomenologią choroby czy uszkodzenia mózgu, niewiele troszcząc się o uczestniczący w tym mechanizm, a już w ogóle nie zajmując się podstawową kwestią: w jaki sposób z aktywności mózgu wyłaniają się doświadczenie i świadomość. Natomiast dla Ralpha badania małpich mózgów, starannie gromadzone ustalenia wiązały się wszystkie z tym podstawowym problemem: relacją między mózgiem a umysłem.

Ilekroć rozmawiałem z nim o doświadczeniach moich pacjentów, Ralph natychmiast nadawał rozmowie kierunek fizjologiczny: O które części mózgu może chodzić? Co się w nich działo? Czy można przeprowadzić symulację komputerową? Miał bardzo dobre przygotowanie matematyczne, dyplom fizyka, zachwycał się neurobiologią obliczeniową, która opiera się na budowaniu modeli układów neurologicznych [112].

Przez następne dwadzieścia lat blisko przyjaźniliśmy się z Ralphem. Lato często spędzał w Salk Institute, gdzie go odwiedzałem. Jako naukowiec był bezkompromisowy, nierzadko aż brutalnie szczery, jako osoba zaś był jowialny, spontaniczny i radosny. Znakomicie się czuł w roli męża i ojca bliźniaków, a ja w ich życiu rodzinnym uczestniczyłem trochę na zasadzie ojca chrzestnego. Obaj uwielbialiśmy La Jolla, gdzie mogliśmy się

wypuścić na długi spacer albo przejażdżkę rowerową, oglądać szybujących nad urwiskami lotniarzy lub popływać w zatoce. Około roku 1995, kiedy do Salk Institute, Scripps Research Institute i UCSD dołączył Neurosciences Institute Geralda Edelmana, La Jolla stała się stolicą światowej neurologii. Ralph zapoznał mnie z wieloma zajmującymi się układem nerwowym badaczami z Salk i z czasem zacząłem się czuć częścią tej niezwykle zróżnicowanej i oryginalnej wspólnoty.

W roku 2011 Ralph zmarł — o wiele za wcześnie — na raka mózgu, mając ledwie pięćdziesiąt dwa lata. Bardzo mi go brakuje, ale jak w przypadku innych moich przyjaciół i mentorów, jego głos stał się integralnym składnikiem mojego myślenia.

*

W 1953 roku, kiedy byłem jeszcze w Oksfordzie, czytałem słynny list Watsona i Cricka o „podwójnej helisie”. Z chęcią powiedziałbym, że natychmiast dostrzegłem niezwykłe znaczenie ich odkrycia, ale wówczas było tak nie tylko ze mną, lecz także z większością ludzi.

Dopiero w 1962 roku, kiedy Crick przyjechał do San Francisco i miał wystąpienie w Mount Zion Hospital, zacząłem sobie uświadamiać nieprawdopodobne konsekwencje podwójnej helisy. Crick mówił wtedy nie o konfiguracji DNA, lecz o prowadzonych wspólnie z mikrobiologiem, Sydneyem Brennerem, badaniach nad tym, jak bazowa sekwencja zasad w DNA może określać układ aminokwasów w białkach. Po czterech latach intensywnej pracy wykazali, że kluczem do transkrypcji z genu na białko jest kod oparty na trójce nukleotydów: określona trójka zapisuje określony aminokwas. Było to dokonanie nie mniej znakomite niż odkrycie podwójnej helisy.

Ale Crick już myślał o innych kwestiach. Na zakończenie oznajmił, że w przyszłości czekają na rozwiązanie dwa gigantyczne problemy: zrozumienie narodzin i natury życia oraz zrozumienie relacji między mózgiem a umysłem, zwłaszcza biologicznej podstawy świadomości. Czy mówiąc to do nas w 1962 roku, przeczuwał, że to on sam zajmie się w następnych latach tymi kwestiami, kiedy już „da sobie spokój" z biologią molekularną, a przynajmniej wyniesie ją na taki poziom, że będzie mógł zostawić ją innym?

W roku 1979 w „Scientific American" Crick zamieścił artykuł *Thinking About the Brain*, który stanowił swego rodzaju uzasadnienie ujmowania świadomości w kategoriach neurologicznych, co było o tyle istotne, że dotąd uważano, iż kwestie świadomości są niezbywalnie subiektywne, a więc niedostępne naukowemu podejściu.

Kilka lat później — w roku 1986 — spotkaliśmy się na konferencji w San Diego. Tłum był wielki, mnóstwo neurologów, kiedy jednak przyszła pora kolacji, Crick odszukał mnie, pociągnął, żebym usiadł koło niego, i zażądał: „A teraz niech pan opowiada!". Przede wszystkim interesowały go historie o tym, jak na wzrok mogą wpływać choroby i uszkodzenia mózgu.

Nie pamiętam, cośmy wtedy jedli ani żadnych innych szczegółów kolacji, pamiętam natomiast, jak opowiadałem o swoich pacjentach, a każda historia natychmiast owocowała pękiem hipotez i sugestii co do dalszych badań. Pisząc do niego kilka dni później, wyznałem, iż miałem wrażenie, że „siedzę koło intelektualnego reaktora nuklearnego. (...) Nigdy jeszcze nie czułem takiego promieniowania". Niesłychanie podekscytowany słuchał opowieści o panu I., a także o pacjentach, którzy przez kilka minut aury migrenowej doświadczali migotliwych statycznych, „zamrożonych" obrazów zamiast normalnego, ciągłego widzenia. Spytał,

czy zdarza się, że takie „filmowe widzenie”, jak to nazwałem, nabiera charakteru permanentnego albo też może być w sposób przewidywalny wywoływane, aby można było je badać. (Odrzekłem, że nie wiem).

*

W 1986 roku wiele czasu spędziłem z panem I., a w styczniu 1987 napisałem do Cricka: „Właśnie skończyłem długą opowieść o moim pacjencie. (...) I dopiero w trakcie pisania zacząłem pojmować, w jaki sposób kolor może być konstruktem mózgowo-umysłowym”.

Przez większość mego życia zawodowego pozostawałem więźniem „naiwnego realizmu”, uważając na przykład percepcje wzrokowe za ledwie transkrypcje obrazów na siatkówce. Taki „pozytywistyczny” pogląd dominował w moich oksfordzkich czasach. Teraz jednak, gdy pracowałem z panem I., zaczynałem inaczej myśleć o relacji mózg–umysł, gdyż coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jest ona z istoty konstrukcyjna czy kreacyjna. Dodałem też, że zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle wszystkie jakości percepcyjne, włącznie z wrażeniem ruchu, nie są podobnie konstruowane w mózgu [113].

W liście wspomniałem, że nad przypadkiem pana I. pracuję razem z zaprzyjaźnionym okulistą, Bobem Wassermanem oraz z Ralphem Siegelem, który zaprojektował dla naszego pacjenta różne eksperymenty psychofizyczne i je przeprowadził. Napisałem też, że pana I. obejrzał i zbadał Semir Zeki.

Pod koniec października 1987 roku mogłem wysłać Crickowi *Przypadek malarza ślepego na kolory*, artykuł, który razem z Bobem Wassermanem napisaliśmy do „The New York Review of Books”, a na początku stycznia 1988 roku dostałem od Cricka zupełnie zdumiewającą odpowiedź: pięć

stron pisanych z pojedynczymi odstępami między wersami, pełnych pomysłów i sugestii, niekiedy będących — jak to sam określał — „zwariowanymi spekulacjami”. Pisał:

> Bardzo, ale to bardzo Panu dziękuję za Pański artykuł o malarzu ślepym na kolory. (...) Nawet jeśli, jak Pan podkreśla w liście, nie jest to artykuł ściśle naukowy, to wzbudził wielkie zainteresowanie moich kolegów, moich naukowych i filozoficznych przyjaciół. Mieliśmy kilka grupowych spotkań jemu poświęconych, a także sporo prywatnych rozmów.

Crick dodał też, że kopię artykułu i swego listu przesłał Davidowi Hubelowi, który wraz z Torstenem Wieselem podjął pionierskie prace nad korowym mechanizmem percepcji wzrokowej. Niesłychanie podnieciła mnie wizja tego, jak Crick nasz artykuł, nasz „przypadek”, traktuje jako zaczątek dyskusji. Dało mi to głębsze poczucie nauki jako wspólnego przedsięwzięcia, uczestniczenia w swoich pracach i dyskutowania o nich, a także podsunęło obraz Cricka jako swego rodzaju piasty, która w świecie neurologii łączy jednych z drugimi.

„Najbardziej pasjonująca” — pisał Crick:

> jest utrata przez pana I. własnego poczucia koloru, połączona z jego zniknięciem z wyobraźni ejdetycznej oraz ze snów, co wyraźnie sugeruje, że niezbywalna część aparatu potrzebnego do tych dwóch zjawisk jest też konieczna do percepcji koloru. A przecież zarazem jego pamięć nazw kolorów i barwnych skojarzeń pozostała całkowicie nietknięta.

Dalej streścił artykuły Margaret Livingstone i Davida Hubela, szkicując ich teorię trójpoziomowego wczesnego przetwarzania widzenia i sugerując, że u pana I. uszkodzenie mózgu pojawiło się na jednym z tych poziomów (układzie plamkowym w V1), na którym komórki są szczególnie wrażliwe na niedobór tlenu (spowodowany małym wylewem albo nawet zatruciem tlenkiem węgla). „Niech Pan mi wybaczy długość tego listu — kończył. —

Jak Pan wszystko już przetrawi, możemy o tym porozmawiać przez telefon”.

Dla Boba, Ralpha i mnie list ten był prawdziwym olśnieniem. Przy każdej kolejnej lekturze ujawniał swe kolejne głębie i w nowy sposób nas inspirował. Mieliśmy wrażenie, że trzeba by całej dekady, aby pójść tropem wszystkich sugestii Cricka.

Odezwawszy się parę tygodni później, Crick wspomniał o dwóch przypadkach opisanych przez Antonia Damasia. W jednym z nich pacjentka straciła wyobraźnię barw, ale śniła w kolorach. Pisał:

> Taki jestem rad (...) że dalej chce się Pan zajmować panem I. Wszystko, o czym Pan wspomniał, jest ważne, ale przede wszystkim skany. (...) Moi przyjaciele nie mogą się zgodzić w kwestii tego, co zostaje zniszczone czy uszkodzone w przypadku takiej mózgowej achromatopsji. Ja, dość wstrzemięźliwie, sugerowałem plamki w V1 plus jakieś nieprawidłowości na wyższych poziomach, ale na skanach widać zbyt mało (coś można byłoby dostrzec, gdyby wyłączona została większość V4). David Hubel powiada, że wstępnie obstawia V4, David van Essen — uszkodzenia na jeszcze wyższych poziomach.

„Morał z tego taki — konkludował Crick — że w przypadku takiego pacjenta pomocne mogą być tylko ostrożne i dokładne badania psychofizyczne oraz dokładna lokalizacja uszkodzonego miejsca. (Na razie nie bardzo wiemy, jak badać wyobraźnię wzrokową i sny u małp)”.

*

W sierpniu 1989 roku Crick pisał do mnie: „Zmagam się w tej chwili ze świadomością wzrokową, ale na razie kwestia ta pozostaje równie zagmatwana jak wcześniej”. Do listu dołączył rękopis *Towards a Neurobiological Theory of Consciousness*, jednego z pierwszych

synoptycznych artykułów, będących efektem jego współpracy z Christofem Kochem z Caltechu. Czułem się bardzo zaszczycony otrzymaniem rękopisu, w którym urzekła mnie starannie przeprowadzona argumentacja, że najlepszym sposobem na dotarcie do rzekomo niedostępnych sfer jest badanie zakłóceń percepcji wzrokowej.

Tekst Cricka i Kocha skierowany był przede wszystkim do naukowców badających układ nerwowy — na kilku stronach ogarniał bardzo rozległy zakres problemów, miejscami sięgając po zwięzłą terminologię specjalistyczną. Wiedziałem jednak, że Crick potrafi też pisać w sposób bardzo przystępny, wciągający i osobisty, o czym świadczyły chociażby jego dwie wcześniejsze książki — *Istota i pochodzenie życia* oraz *Of Molecules and Men*. Dlatego też miałem nadzieję, że zaprezentuje jeszcze w bardziej popularnej i łatwostrawnej postaci swoją neurobiologiczną teorię świadomości, wzbogaconą przykładami klinicznymi i z życia codziennego. (Co zrobił w wydanej w roku 1994 książce *Zdumiewająca hipoteza, czyli nauka w poszukiwaniu duszy* [114]).

*

W czerwcu 1994 roku ja i Ralph zaprosiliśmy Cricka na kolację podczas jego pobytu w Nowym Jorku. Rozmowa wędrowała we wszystkich kierunkach. Ralph opowiadał o swoich badaniach nad percepcją wzrokową u małp i przekonaniu o fundamentalnej roli chaosu na poziomie neuronowym, Francis o stałej i rozszerzającej się współpracy z Christofem Kochem oraz ich najnowszych koncepcjach neuronowych korelacji świadomości, ja natomiast o zbliżającej się podróży na Pingelap, gdzie niemal dziesięć procent populacji to ludzie od urodzenia ślepi na kolory. Mieli mi towarzyszyć Bob Wasserman i Knut Nordby, norweski specjalista

w dziedzinie psychologii percepcji, który tak jak mieszkańcy Pingelap urodził się bez receptorów barw w siatkówce.

W lutym 1995 roku przesłałem Francisowi egzemplarz wydanego właśnie *Antropologa na Marsie* z rozbudowanym esejem o malarzu, który oślepł na kolory. Nie tylko rozbudowanym, lecz także pogłębionym dzięki naszym rozmowom o tym przypadku. Trochę mu też opowiedziałem o moich doświadczeniach z Pingelap, a także o podejrzeniach moich i Knuta na temat zmian w mózgu stanowiących reakcję na jego achromatopsję. Czy skoro w jego siatkówce nie ma żadnych receptorów barw, to atrofii uległy też odpowiedzialne za konstrukcję kolorów centra w mózgu? Czy też zostały wykorzystane do innych funkcji wzrokowych? A może nadal oczekiwały na impuls, którym mógłby być bezpośredni bodziec elektryczny lub magnetyczny? W tym zaś ostatnim przypadku: Czy w efekcie takiego bodźca Knut po raz pierwszy w życiu zobaczyłby kolor? I czy w ogóle wiedziałby, że jest to kolor, czy też to doświadczenie wzrokowe byłoby zbyt nowe i konfundujące, aby dało się skategoryzować? Wiedziałem, że także Francis będzie zaintrygowany takimi pytaniami.

Korespondowaliśmy na najróżniejsze tematy; szczegółowo go informowałem o pacjencie, którego nazwałem Virgilem, a który po trwającej całe życie ślepocie odzyskał wzrok. Dzieliłem się z nim też swymi podejrzeniami co do języka migowego, a także funkcjonowania kory słuchowej u głuchych użytkowników języka migowego. Często również w duchu dyskutowałem z Francisem, ilekroć natrafiałem na trudne problemy związane z percepcją wzrokową czy świadomością. Co by na to powiedział, myślałem. Jak by to wyjaśnił? Jak chciałby to zbadać?

*

Nieustająca kreatywność Francisa, owo „promieniowanie”, które tak mnie urzekło, kiedy go po raz pierwszy spotkałem w roku 1986, a także to, że problemy stawiał w horyzoncie nie lat, lecz dekad, sprawiały, że myślało się o nim jako o nieśmiertelnym. Był już po osiemdziesiątce, a dalej jeden za drugim publikował błyskotliwe i prowokacyjne artykuły, nie wykazując najmniejszego zmęczenia, słabnięcia intelektu, popadania w starczą rutynę. Dlatego tak wielkim szokiem była informacja z początku 2003 roku, że Francis ma poważne problemy zdrowotne. Pewnie z taką myślą napisałem do niego w maju 2003 roku, ale była też inna, i to bardzo ważna przyczyna, dla której chciałem się z nim spotkać.

Wiele ostatnio myślałem o czasie: czas i percepcja, czas i świadomość, czas i pamięć, czas i muzyka, czas i ruch. Powracałem zwłaszcza do pytania o to, czy dostarczane nam przez oczy wrażenie ciągłości upływu czasu i ruchu nie jest złudzeniem, czy na doświadczenie wzrokowe nie składa się rzeczywiście ciąg aczasowych „momentów”, które są dopiero splatane przez jakiś wyższy mechanizm mózgowy. Ponownie odwoływałem się do „filmowej” sekwencji migawek, co opisywali mi pacjenci cierpiący na migrenę, a czego i ja sam miałem okazję doświadczyć. (Bardzo silnie, razem z innymi percepcyjnymi zakłóceniami; było to efektem odurzenia się w Mikronezji *sakau*).

Kiedy wspomniałem Ralphowi, że zacząłem coś o tym pisać, powiedział: „Musisz przeczytać ostatni artykuł Cricka i Kocha, w którym sugerują, że na świadomość wzrokową składa się ciąg »migawek«. Widać, że myślicie w bardzo podobny sposób”.

Napisałem do Francisa, dołączając szkic mego artykułu o czasie, egzemplarz mojej ostatniej książki *Uncle Tungsten*, a także kilka najnowszych artykułów poświęconych pasjonującym nas obu zagadnieniom

widzenia. Francis odpowiedział mi piątego czerwca 2003 roku — długim listem, pełnym intelektualnego żaru i radości, bez najmniejszych przejawów choroby.

> Z wielką satysfakcją czytałem, jak opowiadasz o swoich wczesnych latach. Chociaż i mnie stryj zachęcał do chemii elementarnej, nigdy jednak nie zainteresowałem się tak metalami. Podobnie jak Ty byłem zafascynowany układem okresowym oraz wizjami struktury atomu. Nawet w ostatniej klasie Mill Hill [szkoła średnia Francisa] miałem referat o tym, jak „atom Bohra" w połączeniu z mechaniką kwantową tłumaczą układ okresowy, chociaż nie wiem, ile z tego naprawdę wówczas rozumiałem.

Zaintrygowany reakcją Francisa na *Uncle Tungsten*, spytałem w kolejnym liście, czy widzi ciągłe przejście od nastolatka z Mill Hill, który rozprawiał o Bohrowskim modelu atomu, do fizyka, którym potem został, odkrywcy podwójnej helisy i jego obecnego „ja". Zacytowałem fragment listu, który Freud — wówczas sześćdziesięcioośmiolatek — napisał do Karla Abrahama w roku 1924: „Potrzeba znacznego wysiłku, abym potrafił utożsamić się z autorem artykułu o zwojach rdzeniowych *Petromyzon*. Tak czy owak nie ulega wątpliwości, że to byłem ja".

W przypadku Cricka pozorna nieciągłość okazywała się jeszcze większa, gdyż Freud od początku był biologiem, chociaż wcześniej interesującym się przede wszystkim anatomią prostych układów nerwowych. Francis natomiast magisterium zrobił z fizyki, podczas wojny pracował nad minami magnetycznymi, a doktorat pisał z chemii fizycznej. I dopiero jako trzydziestolatek, w wieku zatem, gdy większość badaczy ma już klarownie określone pole działania, przeżył nagłą transformację, „ponowne narodziny", jak to później nazwał, i zwrócił się ku biologii. W swej autobiografii *What Mad Pursuit* tak opisuje różnicę między fizyką a biologią:

> Dobór naturalny niemal zawsze wykorzystuje to, co już zaistniało. (...) czego efektem jest złożoność, która sprawia, iż organizmy biologiczne tak trudno rozszyfrować. Podstawowe prawa fizyki najczęściej można wyrazić w prostej formie matematycznej i najprawdopodobniej są takie same dla całego wszechświata. Natomiast prawa biologii są często tylko rozległymi generalizacjami, gdyż opisują skomplikowane mechanizmy chemiczne, które dobór naturalny rozwijał przez miliony lat. (...) Ja sam, zanim osiągnąłem trzydziestkę, bardzo niewiele wiedziałem o biologii, jeśli nie liczyć jakichś ogólników (...) Pierwszy stopień naukowy uzyskałem z fizyki. Potrzebowałem trochę czasu, aby przystosować się do innego sposobu myślenia koniecznego w biologii — na tyle innego, że można by to porównać do ponownych narodzin.

W połowie 2003 roku choroba Francisa bardzo się nasiliła, a ja zacząłem otrzymywać listy od Christofa Kocha, który teraz spędzał z nim po kilka dni tygodniowo. Zbliżyli się do siebie tak bardzo, że ich myślenie stało się dialogiczne, pomysły rodziły się we wzajemnych dyskusjach, a to, co Christof do mnie pisał, wyrażało opinie ich obu. Bardzo częste były takie na przykład formuły: „Razem z Francisem mamy jeszcze kilka pytań w sprawie Pana doświadczenia... Zdaniem Francisa... Ja natomiast nie jestem pewien...”.

W odpowiedzi na mój tekst o czasie (którego wersją był wydrukowany później w „The New York Review of Books” artykuł *In the River of Consciousness*) Crick zaczął mnie bardzo dokładnie wypytywać o częstotliwość migotania wzrokowego. O tych kwestiach dyskutowaliśmy podczas pierwszego spotkania kilkanaście lat temu, ale potem najwyraźniej o tym zapomnieliśmy, a w każdym razie żaden z nas o nich nie wspominał w późniejszych listach. Zupełnie jakby w roku 1986 nie nasuwała się żadna odpowiedź, więc każdy z nas na swój sposób odłożył problem na półkę i o nim zapomniał, a on w nieświadomości dojrzewał, by pojawić się ponad półtorej dekady później. Razem z Francisem atakowaliśmy teraz problem,

który ongiś nas pokonał, a wydawało się, że obecnie jesteśmy bliżej znalezienia odpowiedzi. Miałem tego tak silne poczucie, że w sierpniu 2003 roku postanowiłem odwiedzić Francisa w La Jolla.

Spędziłem tam tydzień, często odwiedzając Ralpha, który znowu pracował w Salk. Panowała tam świetna, wyzbyta rywalizacji atmosfera (tak mi się przynajmniej zdawało podczas krótkiej wizyty outsidera), która urzekła Francisa, kiedy po raz pierwszy zjawił się w Salk w połowie lat siedemdziesiątych, a która — po części za jego sprawą — tylko się następnie umacniała. Pomimo zaawansowanego wieku ciągle był tutaj centralną postacią. Ralph pokazał mi jego samochód, na tabliczce rejestracyjnej mający tylko cztery litery: A T G C — symbole czterech nukleotydów DNA — ja zaś bardzo się ucieszyłem, kiedy pewnego dnia zobaczyłem, jak wchodzi do laboratorium: wysoka postać, nadal wyprostowana, chociaż poruszająca się wolno i o lasce.

Jednego popołudnia miałem referat i ledwie go zacząłem, a drzwi się otworzyły, wszedł Francis i cicho zajął miejsce z tyłu sali. Zauważyłem, że przez większość czasu miał przymknięte powieki, pomyślałem więc, że pewnie zasnął, kiedy jednak skończyłem, zadał kilka pytań tak celnych, że natychmiast wiedziałem, iż nie umknęło mu ani jedno słowo. Jego senna mina zwiodła już wielu gości — usłyszałem — którzy często ze szkodą dla siebie dowiadywali się poniewczasie, że za tymi zamkniętymi powiekami skrywała się uwaga bardziej czujna i inteligencja bardziej przenikliwa, niż kiedykolwiek zdarzyło im się spotkać.

Ostatniego dnia w La Jolla, kiedy Christof przyjechał z Pasadeny, zostaliśmy przez Francisa i jego żonę, Odile, zaproszeni do nich do domu na obiad. Droga była wręcz karkołomna. Ja prowadziłem, ale także Ralph wpatrywał się z przejęciem w kolejne pętle wąskiej serpentyny, którą należało pokonać, zanim dotarło się do domu Cricków. Był wspaniały,

słoneczny dzień kalifornijski, zasiedliśmy przy stole ustawionym przed basenem. (Woda w nim była intensywnie błękitna, ale nie dlatego, poinformował Francis, że takimi wyłożono go kaflami, ani z racji odbijającego się nieba, lecz z tego powodu, że miejscowa woda zawierała drobinki, na których, niczym na ziarenkach pyłu, załamywało się światło). Odile podała różne smakołyki — łososia, krewetki, szparagi — ale także potrawy, których Francis — teraz w trakcie chemioterapii — nie mógł skosztować. Nie uczestniczyła wprawdzie w rozmowie, ale wiedziałem, że chociaż jest malarką, to bardzo angażuje się w prace Francisa. Wyraziło się to między innymi w tym, że to ona narysowała podwójną helisę w słynnym artykule z roku 1953, a pięćdziesiąt lat później — zastygłego biegacza, co ilustrowało hipotezę „migawkową" w artykule z roku 2003, który tak mnie zafascynował.

Siedząc obok Francisa, widziałem jego krzaczaste brwi, bielsze teraz i bujniejsze niż kiedyś, co jeszcze bardziej nadawało mu wygląd mędrca, ale wrażenie to natychmiast korygowały jego roziskrzone oczy i przewrotne poczucie humoru. Ralph z zapałem zaczął opowiadać Francisowi o swej obecnej pracy: pojawiła się nowa forma obrazowania optycznego, która pozwalała ukazać struktury aż do niemal komórkowego poziomu żywego mózgu. Nigdy dotąd nie można było w takiej skali oglądać struktury i funkcjonowania mózgu — i to właśnie na tym „pośrednim" szczeblu Crick i Gerald Edelman, przy wszystkich różnicach między nimi, lokalizowali teraz funkcjonalne struktury mózgu.

Francis był niesłychanie podekscytowany nową techniką Ralpha i jego obrazami, zarazem jednak zasypywał go drażliwymi, dociekliwymi pytaniami, bardzo szczegółowymi, a zarazem konstruktywnymi.

Teraz najbliższą dla Francisa — poza Odile — osobą stał się Christof, jego „naukowy syn". Byłem bardzo poruszony, patrząc, jak głęboką

miłością i szacunkiem darzyli się ci dwaj mężczyźni, niezależnie od prawie czterdziestu dzielących ich lat oraz różnic temperamentu i dróg życiowych. (Christof romantycznie, niemal krzykliwie eksponuje fizyczną stronę życia: uwielbia ryzykowne wspinaczki skalne i jaskrawokolorowe koszule; Francis niemal ascetycznie eksponuje myślenie, któremu nigdy nie pozwala ulec emocjom, przez co Christof nazywał go niekiedy Sherlockiem Holmesem). Francis z wielką, prawdziwie ojcowską dumą mówił o mającej się ukazać lada chwila książce Christofa *Neurobiologia na tropie świadomości*, a także „o pracy, która jeszcze nas czeka". Szkicował dziesiątki eksperymentów, całe lata wspólnych przedsięwzięć, tych zwłaszcza, które rodziły się na styku biologii molekularnej i neurobiologii systemowej. Zastanawiałem się, co może czuć Christof (i Ralph), gdyż dla wszystkich nas (jak i dla samego Francisa) było jasne, że jego zdrowie pogarsza się w dramatycznym tempie i że będzie mógł uczestniczyć co najwyżej na początku tego wielkiego programu badawczego. Miałem wrażenie, że Francis nie boi się śmierci, ale jej akceptacja zabarwiona była żalem, że nie będzie mu dane zobaczyć tych wspaniałych, niemal niewyobrażalnych osiągnięć, jakie nauka poczyni w XXI wieku. Był przekonany, że kluczowy problem świadomości i jej neurobiologicznej podstawy zostanie w pełni zrozumiany, a nawet „rozwiązany" około roku 2030. „Ty jeszcze to zobaczysz — powtarzał Ralphowi — a może i ty, Oliverze, jeśli dożyjesz moich lat".

W styczniu 2004 roku otrzymałem od niego list, który miał już być ostatnim, a który dotyczył *In the River of Consciousness*. „Czyta się to bardzo dobrze — pisał — tyle że lepszy byłby tytuł „Is Consciousness a River?" gdyż zasadnicza argumentacja artykułu podważa taką możliwość". (W tym się z nim zgadzałem).

„Musisz znowu wpaść do nas na obiad — napisał na zakończenie.

W połowie lat pięćdziesiątych XX wieku, gdy byłem dopiero w szkole medycznej, wydawało się, że istnieje niemożliwa do zasypania przepaść między naszą neurofizjologią a tym, jak pacjenci doświadczali zaburzeń neurologicznych. Neurologia dalej hołdowała kliniczno-anatomicznej metodzie opracowanej wiek wcześniej przez Brocę, która opierała się na lokalizacji uszkodzonych miejsc w mózgu i wiązaniu z nimi objawów. Kłopoty z mową wynikały więc z uszkodzenia ośrodka Broki, paraliż — z uszkodzenia obszarów ruchowych itd. Mózg uznawano za zbiór czy mozaikę malutkich organów — każdy odpowiedzialny za swoistą funkcję — ale niepowiązanych ze sobą. Mówiąc inaczej, nie stawiano sobie pytania o to, jak funkcjonuje mózg jako całość. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych pisałem *Mężczyznę, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*, ciągle jeszcze myślałem w granicach tego modelu, zasadniczo uznającego układ nerwowy za trwały i niezmienny, z funkcjami z góry przypisanymi do określonych ośrodków.

Kiedy miało się do czynienia na przykład z afazją, model ten pomagał zlokalizować uszkodzony obszar. Jak jednak zgodnie z nim wyjaśnić uczenie się i efekty praktyki? Jak wytłumaczyć dokonujące się przez całe życie rekonstrukcje pamięci i jej korekty? Jak wyjaśnić świadomość z całym jej bogactwem, całościowością, nieustannie zmieniającym się strumieniem i jej licznymi zakłóceniami? Jak wytłumaczyć jednostkowość i tożsamość „ja”?

Niezależnie od wielkich postępów, jakie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku poczyniono w badaniach nad układem nerwowym, niezmiennie towarzyszył im zasadniczy kryzys teoretyczny. Nie było ogólnej koncepcji, która nadawałaby sens niezliczonym danym, obserwacjom poczynionym w tak różnych dyscyplinach jak neurologia, psychologia rozwojowa dziecka, lingwistyka, a nawet psychoanaliza.

*

W roku 1986 przeczytałem w „The New York Review of Books” intrygujący artykuł Israela Rosenfielda, w którym omawiał rewolucyjne prace i poglądy Geralda M. Edelmana. Nie wiem, czy ktokolwiek mógł mu dorównać odwagą. „Jesteśmy u progu rewolucji w nauce o układzie nerwowym — pisał. — U jej kresu będziemy wiedzieć, jak działa umysł, co rządzi naszą naturą, a także, jak poznajemy świat”.

Kilka miesięcy później dzięki pomocy Rosenfielda udało mi się spotkać z samym Edelmanem w sali konferencyjnej Uniwersytetu Rockefellera, gdzie mieścił się wówczas Neurosciences Institute Edelmana.

Edelman wkroczył dziarskim krokiem, krótko się z nami przywitał, a potem mówił bez ustanku dwadzieścia, może trzydzieści minut, szkicując swoje teorie; żaden z nas nie śmiał mu przerwać. Następnie niespodzianie wyszedł, a ja przez okno zobaczyłem, jak idzie szybko York Avenue, nie rozglądając się na boki. „Tak idzie geniusz, monoman — pomyślałem. — Wygląda jak ktoś nawiedzony”. Poczułem jednocześnie i bojaźń, i zazdrość: jakże ja chciałbym mieć tak dziką siłę koncentracji! Potem jednak przyszło mi do głowy, że życie z takim umysłem może nie być łatwe; istotnie — miałem się dowiedzieć, że Edelman nie miał żadnych wakacji, spał bardzo niewiele i z namiętną pasją nieustannie myślał, niekiedy dzwoniąc do Rosenfielda w środku nocy. Może lepiej mi jednak było z moimi bardziej umiarkowanymi zdolnościami.

W roku 1987 Edelman wydał ogromnie inspirujące dzieło, *Neural Darwinism*, pierwszą z ciągu prac prezentujących i rozwijających jego nader radykalną teorię grupowego doboru neuronów, czyli w bardziej dobitnej postaci: darwinizmu neuronowego. Męczyłem się z tą książką, gdyż czasami nie mogłem jej zrozumieć, po części z powodu nowości idei Edelmana, po części z racji abstrakcyjności tekstu i braku konkretnych

przykładów. Darwin powiedział, że *O powstawaniu gatunków* to właściwie tylko „jeden długi argument”, ale inkrustował go niezliczonymi przykładami doboru naturalnego (i sztucznego), rozwijając je z prawdziwym talentem literackim. Natomiast *Neural Darwinism* prezentuje argumentację czysto intelektualną, od początku do końca. Nie tylko ja miałem kłopoty z tym dziełem: jego intensywność, śmiałość i oryginalność na wielu czytelników działały zniechęcająco.

Ja swój egzemplarz *Neural Darwinism* upstrzyłem przykładami klinicznymi, mając pretensje do Edelmana — neurologa i psychiatry — że sam tego nie zrobił.

*

W 1988 roku znowu spotkałem się z Gerrym, tym razem we Florencji, gdzie uczestniczyliśmy w konferencji o sztuce pamięci[115]. Kiedy po obradach udaliśmy się razem na kolację, zobaczyłem nie monologistę, którego poznałem, gdy dekadę intensywnego myślenia chciał streścić w dziesięć minut, lecz kogoś odprężonego i cierpliwie akceptującego moją ślamazarność. Rozmowa była swobodna i wielowątkowa. Gerry’ego ciekawiły moje doświadczenia z pacjentami: doświadczenia, które mogłyby potwierdzić jego koncepcje, kliniczne przypadki, które byłyby zgodne z jego teorią funkcjonowania mózgu i świadomości. Podobnie jak Crick w Salk, tak i on na Uniwersytecie Rockefellera był oddalony od praktyki klinicznej, obaj też łapczywie chłonęli wynikające z niej dane.

Na stole mieliśmy papierowy obrus, kiedy więc pojawiały się jakieś niejasności, kreśliliśmy na nim diagramy, aż wszystko stawało się jasne. Pod koniec miałem poczucie, że zrozumiałem, jeśli nawet nie całość teorii doboru grup neuronowych, to przynajmniej jej zasadnicze zręby. Zacząłem

się orientować, że obejmuje ona ogromne pole wiedzy neurologicznej i psychologicznej, formując dający się testować model percepcji, pamięci, uczenia się i tego, jak dzięki selekcyjnym i interaktywnym mechanizmom mózgowym istota ludzka zyskuje świadomość i staje się niepowtarzalną jednostką.

*

To prawda, że Crick (razem ze współpracownikami) złamał kod genetyczny — ujmując rzecz najogólniej: zespół instrukcji, jak zbudować ciało — ale Edelman natychmiast się zorientował, że kod genetyczny nie może wyznaczać ani kontrolować losu każdej komórki w ciele, zatem ich rozwój — a zwłaszcza komórek układu nerwowego — wystawiony jest na najróżniejsze przypadkowe czynniki: neurony mogą umierać, migrować (takie komórki Edelman nazywał „cyganami”), mogą się łączyć na trudne do przewidzenia sposoby. W efekcie już nawet w momencie narodzin delikatne obwody nerwowe w mózgach bliźniąt jednojajowych są odmienne. Już wtedy zatem, na początku życia pozałonowego, mamy do czynienia z innymi jednostkami, które w swoisty sposób reagują na doświadczenie.

Darwin, badając morfologię pąkli, stulecie przed Crickiem i Edelmanem, zauważył, że nigdy dwa skorupiaki tego samego gatunku nie są identyczne; populacje biologiczne nie składają się z dokładnych replik, lecz z różnych, odrębnych jednostek. Tylko w takich populacjach zróżnicowanych wariantów może działać dobór naturalny, jedne z nich utrwalając w łańcuchu potomstwa, inne zaś skazując na wyginięcie (Edelman lubił dobór naturalny nazywać „wielką maszyną śmierci”). Edelman niemal od początku swojej kariery uważał, że jakieś procesy analogiczne do doboru

naturalnego mogą odgrywać kluczową rolę w funkcjonowaniu jednostkowych organizmów — zwłaszcza tych wyżej zorganizowanych — gdyż ich życiowe doświadczenia mogą w układzie nerwowym wzmacniać pewne połączenia i konstelacje neuronalne, a inne osłabiać i unicestwiać [116].

Zdaniem Edelmana podstawową jednostką doboru i zmiany nie były pojedyncze neurony, lecz ich grupy liczące od pięćdziesięciu do tysiąca komórek, dlatego nazwał to teorią doboru grup neuronów. Uważał, że jego praca jest kontynuacją dzieła Darwina, która do naturalnego doboru trwającego przez pokolenia dodaje trwający w trakcie życia jednostkowego dobór na poziomie komórkowym.

Nie ulega wątpliwości, że częścią naszego genetycznego oprogramowania są pewne wrodzone dyspozycje czy umiejętności, bez nich bowiem niemowlę byłoby zupełnie bezwładne, nie miałoby żadnego bodźca, by robić cokolwiek, spoglądać na coś, trwać przy życiu. To ten ostatni podstawowy pęd (każący szukać pożywienia, ciepła, kontaktu z innymi ludźmi) kieruje pierwszymi ruchami i dążeniami małej istoty.

Na najbardziej fundamentalnym poziomie fizjologicznym występują różne dane sensoryczne i motoryczne, od automatycznych odruchów (na przykład ucieczka od bólu), aż po wrodzone mechanizmy w mózgu (na przykład kontrola nad oddychaniem i funkcjami autonomicznymi).

Według Edelmana niewiele więcej zostaje z góry zaprogramowane czy wbudowane. Mały żółw jest gotowy do marszu zaraz po wykluciu. Ludzkie niemowlę nie jest po urodzeniu gotowe do chodzenia: musi nabyć najróżniejszych kategoryzacji (percepcyjnych i innych) i wykorzystać je do rozumienia świata, do uczynienia go jego indywidualnym, osobistym światem, gdyż to dopiero pozwala mu wyszukiwać w tym świecie swoje

drogi. Tutaj kluczową rolę odgrywają doświadczenie i eksperyment: darwinizm neuronowy to ze swej istoty dobór oparty na doświadczeniu.

Zdaniem Edelmana mózg to funkcjonalna „maszyna", złożona z milionów grup neuronowych, które są zorganizowane w większe jednostki czy „mapy". Mapy te, nieustannie budujące niezwykle złożone, ale zawsze sensowne wzorce, mogą się zmieniać w ciągu minut, a nawet sekund. Przywodzi to na myśl poetyckie przyrównanie mózgu przez C.S. Sherringtona do „zaczarowanego krosna", w którym „miliony śmigłych czółenek splatają tkaninę zawsze sensowną, nigdy jednak ostateczną, stanowiącą wahliwą harmonię wątków".

Powstawanie map, które selektywnie odpowiadają określonym podstawowym kategoriom — jak na przykład ruch czy barwy w widzialnym świecie — może dochodzić do skutku dzięki synchronizacji tysięcy grup neuronowych. Niektóre z nich umiejscowione są w oddzielnych, anatomicznie zafiksowanych, predeterminowanych częściach kory mózgowej — tak jak rzecz się ma z kolorem, który jest konstruowany przede wszystkim w części oznaczanej jako V4. W swej zasadniczej większości kora jest jednak plastyczna, jest domostwem „wielofunkcyjnym", które może służyć dowolnym (w pewnych granicach) zadaniom. Na przykład to, co u słyszących ludzi jest korą słuchową, może zostać przeprogramowane na zadania wzrokowe u ludzi od urodzenia głuchych, podobnie jak obszar, który jest normalnie korą wzrokową, u ludzi niewidomych od urodzenia może zostać wykorzystany do innych funkcji sensorycznych.

Ralph Siegel, badający aktywność neuronów u małp, które realizowały zadania wzrokowe, był świadom różnicy między metodami „mikro", gdy elektrody wprowadza się do pojedynczych komórek, aby rejestrować ich aktywność, a metodami „makro" (funkcjonalny rezonans magnetyczny,

pozytonowa tomografia emisyjna), pokazującymi odpowiedzi dużych obszarów mózgu. Aby zapełnić tę lukę, zastosował bardzo oryginalną optyczną metodę „pośrednią”, która pozwoliła w czasie realnym śledzić, jak współdziałają i synchronizują swe działania dziesiątki i setki neuronów. Jednym z jego odkryć — nieoczekiwanym i początkowo zaskakującym — było to, że neuronowe konstelacje mogą się zmieniać w ciągu sekund, wraz z tym, jak zwierzę uczyło się pewnych sygnałów zmysłowych czy adaptowało do ich zmiany. Było to całkowicie zgodne z Edelmanowską teorią doboru grup neuronowych. Nad wzajemnymi relacjami między ich koncepcjami wiele godzin dyskutowaliśmy ja i Ralph, ale także sam Edelman, który podobnie jak Crick był zafascynowany pracą Ralpha.

W kwestii percepcji obiektów świat, jak to lubi ujmować Edelman, nie jest „skatalogowany” i nie dociera do nas „pokrojony” na przedmioty. Percepcje tworzymy przez nasze własne kategoryzacje. „Każda percepcja jest kreacją”, żeby zacytować inną z formuł Edelmana. Kiedy się poruszamy, organy zmysłowe pobierają próbki świata, na podstawie których w mózgu tworzone są mapy. Następnie wraz z bogacącym się doświadczeniem następuje selekcyjne wzmocnienie tych map, które odpowiadają percepcjom skutecznym w tym sensie, że są najbardziej użyteczne i solidne, jeśli chodzi o budowanie „realności”.

Edelman sugeruje tutaj istnienie wyższej, charakterystycznej dla bardziej złożonych układów nerwowych funkcji integracyjnej, którą nazywa „sygnalizacją reaktywowaną”. Otóż jego zdaniem spostrzeżenie na przykład krzesła wymaga najpierw synchronizacji grup neuronowych, aby utworzyły „mapę”, ale ta dopiero uruchamia koordynację map rozrzuconych po całej korze mózgowej, a związanych z różnymi zmysłowymi aspektami krzesła (rozmiar, kształt, kolor, liczba nóg, relacja do innych rodzajów krzeseł: fotel, fotel na biegunach, krzesełko dziecięce

itd.). W ten sposób dociera się do bogatej i elastycznej kategorii „krzesłowości”, za sprawą której jesteśmy w stanie natychmiast rozpoznać niezliczone odmiany krzeseł jako krzesła właśnie. Owa percepcyjna generalizacja jest dynamiczna, może więc być nieustannie aktualizowana, a zależy od aktywnej i nieprzerwanej koordynacji niezliczonych detali.

Taka korelacja i synchronizacja neuronowych „wystrzałów” w bardzo rozrzuconych regionach mózgu jest możliwa dzięki niezwykle bogatym połączeniom między mózgowymi mapami, połączeniom, które są wielostronne, a składają się z milionów włókien. Bodziec, którym jest, powiedzmy, dotknięcie krzesła, może aktywować jeden zestaw map; bodziec, którym jest widzenie krzesła — inny zestaw. Sygnalizacja reaktywowana dokonuje się między owymi zestawami i jest częścią procesu spostrzegania krzesła.

Kategoryzacja to kluczowe zadanie mózgu, a sygnalizacja reaktywowana pozwala mu kategoryzować własne kategoryzacje, potem je przegrupowywać itd. Proces taki jest początkiem stromej drogi pozwalającej wznosić się na coraz wyższe poziomy myśli i świadomości.

Ową reaktywowaną sygnalizację można porównać do swego rodzaju neuronowej ONZ, w której naraz rozlega się wiele głosów donoszących w swej rozmowie o stale zmieniających się raportach ze świata zewnętrznego i składających je w większy obraz, kiedy pojawia się nowa informacja i ujawniają nowe pomysły.

Edelman, który kiedyś chciał być koncertującym skrzypkiem, z chęcią korzysta z metafor muzycznych. W wywiadzie dla BBC powiedział:

> Proszę sobie tylko wyobrazić, że setki tysięcy drutów chaotycznie łączą członków kwartetu smyczkowego, a chociaż ci nie odzywają się do siebie, to na wszystkie strony rozchodzą się po bardzo różnych ukrytych drogach sygnały [jak to się zwykle dzieje z subtelnymi pozawerbalnymi

współoddziaływaniami między muzykami], a w efekcie brzmi zgodna całość. W ten sposób mapy mózgowe działają poprzez reaktywację.

Muzycy są ze sobą powiązani. Każdy z nich na swój sposób interpretuje muzykę, nieprzerwanie ją modulując i będąc modulowanym przez innych. Nie ma ostatecznego, „arcymistrzowskiego" wykonania: muzyka jest tworem kolektywnym i każde jej odegranie jest niepowtarzalne. Oto Edelmanowski obraz mózgu jako orkiestry, pozbawionego dyrygenta zespołu, który tworzy swoją własną muzykę.

*

Kiedy wieczorem wracałem do hotelu po kolacji z Gerrym, czułem się wręcz urzeczony. Księżyc nad Arno wydawał mi się najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem. Miałem wrażenie, że zostawiam za sobą dekady epistemologicznej rozpaczy: ze świata płytkich, mało znaczących analogii komputerowych wkraczałem w świat pełen bogatego biologicznego znaczenia, zgodny z rzeczywistością mózgu i umysłu. Koncepcja Edelmana była pierwszą naprawdę całościową teorią umysłu i świadomości, pierwszą biologiczną teorią indywidualności i autonomii.

Myślałem: „Bogu dzięki, że dożyłem tej teorii", a wyobrażam sobie, że wielu ludzi tak się poczuło w roku 1859, kiedy ukazało się *O powstawaniu gatunków*. Idea doboru naturalnego była szokująca, ale wystarczyło się zastanowić, aby ją uznać za oczywistą. Podobnie, kiedy wreszcie tego wieczoru uchwyciłem, o co chodzi Edelmanowi, pomyślałem: „Jakiż ze mnie głupiec, że sam na to nie wpadłem!" — tak jak powiedział Huxley po przeczytaniu *O powstawaniu gatunków*. W jednej chwili wszystko stawało się jasne.

Kilka tygodni po powrocie z Florencji miałem następną epifanię, dość jednak osobliwą i komiczną. Jechałem nad jezioro Jefferson przez zieleniące się hrabstwo Sullivan, radowałem się spokojem pól i rytmicznością żywopłotów, gdy nagle zobaczyłem krowę! Krowę jednak przekształconą za sprawą Edelmanowskiej wizji życia zwierzęcego: której mózg nieprzerwanie mapował wszystkie jej percepcje i poruszenia, której umysłowość polegała na mapowaniu i kategoryzacji dzięki grupom neuronowym, „iskrzącym się" i rozmawiającym z ogromną prędkością, Edelmanowską krowę przenikniętą cudem pierwotnej świadomości. „Cóż to za wspaniałe zwierzę — pomyślałem. — Nigdy jeszcze tak nie spojrzałem na krowę".

Dobór naturalny mógł mi wyjaśnić, jak w ogóle doszło do pojawienia się krów, ale darwinizm neuronowy był nieodzowny do tego, aby uchwycić, jak to jest być tą właśnie krową. Jej swoistość była możliwa dzięki doświadczeniu, które dokonywało w mózgu doboru konkretnych grup neuronowych i wzmacniało ich aktywność.

*

Ssaki, ptaki i niektóre gady dysponują, zdaniem Edelmana, „pierwotną świadomością", zdolnością, dzięki której tworzą umysłowe obrazy i za ich przyczyną dostosowują się do złożonego i zmiennego otoczenia. Jest to możliwe, powiada Edelman, dzięki wyłonieniu się w pewnym „transcendentnym momencie" obwodu neuronowego nowego typu, który pozwala na rozległe, paralelne, wielostronne powiązania między mapami neuronowymi, a także na nieprzerwane globalne mapowanie, integrujące nowe doświadczenia i rekategoryzujące kategoryzacje.

W jakimś drugim transcendentnym momencie ewolucji, sugeruje Edelman, możliwe stało się u ludzi (niewykluczone, że również u kilku innych gatunków, na przykład małp i delfinów) wystąpienie „świadomości wyższego rzędu”, w której dokonuje się wyższy stopień sygnalizacji reaktywowanej. Ta wyższa świadomość niesie ze sobą niemożliwą dotąd siłę generalizacji i refleksji, uchwytywania przeszłości i przyszłości, aż wreszcie wyłania się samoświadomość, wiedza o sobie i swoim byciu w świecie.

*

W roku 1992 uczestniczyłem wraz z Gerrym w urządzonej w Jesus College w Cambridge konferencji na temat świadomości. O ile książki Gerry’ego były często trudne w czytaniu, o tyle publiczność, obserwująca jego wystąpienia i słuchająca ich, miała poczucie objawienia.

Wtedy podczas dyskusji Gerry — nie pamiętam już z jakiego powodu — powiedział do mnie:

— Nie jest pan teoretykiem i tyle.

— Owszem — przyznałem — ale jestem zbieraczem faktów, których pan potrzebuje do swojej teorii.

I z tym Gerry się zgodził.

*

W codziennej neurologicznej praktyce trafiam na sytuacje, które kompletnie wymykają się klasycznym neurologicznym wyjaśnieniom, dramatycznie więc wymagają zupełnie innych wyjaśnień, ale liczne z nich dają się wytłumaczyć w kategoriach Edelmana jako zakłócenia w lokalnym

albo sięgającym wyższych poziomów mapowaniu, które są efektem uszkodzenia nerwów lub choroby.

Kiedy w efekcie uszkodzeń i bezruchu spowodowanych moim wypadkiem w Norwegii, lewej nogi doświadczałem jako „obcej”, moja wiedza neurologiczna nie na wiele się przydawała. Klasyczna neurologia nie ma nic do powiedzenia na temat relacji między wrażeniami a wiedzą i wiedzącym „ja”, o tym, jak w razie naruszenia przepływu informacji nerwowych kończyna może się „wymknąć” świadomości, „oddzielić” od „ja” i jak może się raptownie dokonać taka zmiana mapy reszty ciała, że kończyna zostaje z niej wykluczona.

W przypadku poważnego uszkodzenia sensorycznych (skroniowych) obszarów prawej półkuli chorzy mogą przejawiać anosognozję, czyli nieświadomość tego, że coś jest nie w porządku, chociaż lewa strona ciała pozbawiona jest czucia czy jest sparaliżowana. Może nawet dochodzić do tego, iż twierdzą, że lewa część należy do „kogoś innego”. Pacjenci tacy mają subiektywne poczucie całościowości swej przestrzeni i świata, chociaż żyją tylko w „półświecie”. Przez wiele lat anosognozję błędnie interpretowano jako dziwaczny — gdyż niezrozumiały w kategoriach klasycznej neurologii — objaw neurotyczny. Tymczasem dla Edelmana dolegliwość taka jest „chorobą świadomości”: występującym na wysokim szczeblu poważnym zakłóceniem sygnalizacji reaktywowanej i mapowania w jednej półkuli, co prowadzi do radykalnej reorganizacji świadomości.

Uszkodzenia neurologiczne powodują niekiedy zerwanie połączenia między pamięcią a świadomością, w efekcie więc pozostają tylko wiedza i pamięć pośrednia, wywnioskowana. Tak na przykład Jimmie, zagubiony marynarz, nie pamiętał zamachu na prezydenta Kennedy’ego, a zapytany, czy w XX wieku jakikolwiek prezydent USA zginął w zamachu, odrzekł: „Ja w każdym razie o niczym takim nie wiem”. Kiedy jednak nastawałem:

„A gdybyśmy hipotetycznie założyli, że chociaż nic pan o tym nie wie, to doszło jednak do takiego zamachu, jak pan sądzi, gdzie by do tego doszło: w Nowym Jorku, Dallas, Nowym Orleanie czy San Francisco?”, niezmiennie poprawnie „odgadywał” Dallas.

Podobnie pacjenci z całkowitą ślepotą korową, spowodowaną przez rozległe uszkodzenia pierwotnych obszarów w mózgu, oznajmiają, że niczego nie widzą, a jednak tajemniczo zgadują, co leży przed nimi (określa się to mianem ślepowidzenia). We wszystkich takich przypadkach zachowane zostają percepcje i kategoryzacje percepcyjne, odrywają się one jednak od świadomości wyższego rzędu.

Indywidualność jest w nas od samego początku głęboko zakorzeniona: na poziomie neuronów. Nawet na poziomie motorycznym — jak wykazały badania — niemowlę nie wykorzystuje gotowych już wzorców tego, jak nauczyć się chodzić czy sięgnąć po coś. Każde dziecko eksperymentuje z różnymi sposobami dotarcia do czegoś, a w trakcie kilku miesięcy odkrywa i wybiera własne rozwiązania motoryczne. Gdyby chcieć sobie wyobrazić neuronową bazę takiej indywidualnej nauki, można by ją przedstawić jako populację ruchów (i ich neuronalnych korelatów), które są wzmacniane i przykrawane przez doświadczenie.

Podobna interpretacja nasuwa się, gdy chodzi o rekonwalescencję i rehabilitację po udarach i innych obrażeniach. Nie ma tu reguły, jednej dokładnie wykreślonej ścieżki podnoszenia się z choroby. Każdy pacjent musi odkryć czy wytworzyć własne wzorce ruchu i percepcji, znaleźć własne rozwiązanie problemu, przed którym staje. Rola dobrego terapeuty polega na pomocy w ich znajdowaniu.

W najszerszym sensie darwinizm neuronowy powiada, że czy chcemy tego, czy nie, skazani jesteśmy na życie indywidualne i polegające na samorozwoju, na wyznaczaniu swoich własnych dróg życia.

*

Czytając *Neural Darwinism*, zastanawiałem się, czy książka ta do tego stopnia zmieni oblicze neurologii, jak dzieło Darwina zmieniło oblicze biologii. Odpowiedź krótka, choć nieadekwatna brzmi: nie, aczkolwiek bez liku jest teraz naukowców, którzy za oczywiste uznają różne pomysły Edelmana, jednak nie informują, a może nawet nie wiedzą, kto jest ich autorem. W tym sensie jego myśl, bardziej podskórnie niż jawnie, zatrzęsła podstawami neurobiologii.

W latach osiemdziesiątych XX wieku teoria Edelmana jawiła się jako tak nowa, że trudno było ją połączyć z istniejącymi modelami, paradygmatami neurobiologii — i stąd, jak sądzę, brak jej powszechnej akceptacji, na co nakładał się sposób pisania Edelmana: nierzadko pokrętny i trudny do zgłębienia. Koncepcja Edelmana była „niewczesna", tak wyprzedzała swój czas, tak była zawiła i wymagająca zmiany dotychczasowych torów myślenia, że w latach osiemdziesiątych kwestionowano ją lub ignorowano, ale w trakcie następnych dwóch, trzech dekad, dysponując nowymi technikami, będziemy w stanie potwierdzić (lub podważyć) jej zasadnicze tezy. Dla mnie w każdym razie pozostaje najpotężniejszym i najbardziej zgrabnym wyjaśnieniem tego, jak my, ludzie, i nasze mózgi konstruujemy swoje jednostkowe jaźnie i podmioty.

---

112 Niesłychanie go zafascynowały zawiłe wzorce widziane w aurze migrenowej: sześciokąty i bardziej jeszcze skomplikowane kształty geometryczne, włącznie ze wzorcami fraktalnymi. Był w stanie symulować niektóre z tych wzorców na modelu sieci neuronowej, co dołączyliśmy w roku 1992 do nowego wydania *Migreny*. Matematyczna i fizyczna intuicja Ralpha kazała mu podejrzewać, że chaos i samoorganizacja mogą odgrywać kluczową rolę we wszystkich rodzajach procesów przyrodniczych, dlatego winny być uwzględniane przez wszystkie nauki przyrodnicze: od mechaniki kwantowej po neurobiologię. To z kolei zaowocowało naszą współpracą, w wyniku której w nowym wydaniu *Przebudzeń* pojawił się dodatek „Chaos i przebudzenia".

[113] Po kilku dniach otrzymałem odpowiedź, w której Crick pytał o różnice między moimi pacjentami z migreną a pacjentką opisaną w roku 1983 w artykule autorstwa Josefa Zihla i kolegów. Kobieta ta nie potrafiła na przykład nalać herbaty do filiżanki: widziała tylko herbaciany „sopel" zwisający z czajnika. Niektórzy z moich migrenowców także doświadczali szybkiego ciągu takich „migawek", tymczasem w przypadku pacjentki Zihla, u której ślepota na ruch pojawiła się po wylewie krwi do mózgu, owe „kadry" trwały o wiele dłużej, niekiedy kilkanaście sekund. Crick w szczególności dopytywał się o to, czy u moich pacjentów z migreną kolejne migawki występowały w trakcie interwałów między ruchami gałek ocznych czy tylko pomiędzy tymi interwałami. „Bardzo chciałbym z Panem przedyskutować te kwestie, a także Pańskie uwagi o kolorze jako konstrukcie mózgowo-umysłowym".

W kolejnym liście do Cricka głębiej naświetliłem różnice między pacjentami z migreną a ślepą na ruch pacjentką Zihla.

[114] Polskie tłumaczenie ukazało się trzy lata później — przyp. tłum.

[115] Gerry miał dość niecierpliwą publiczność, która zakończenie sentencji: „Umysł nie jest komputerem, a świat nie jest kawałkiem taśmy" („...not a piece of tape") usłyszała jako „...not a piece of cake" („nie jest kawałkiem ciasta") i w kuluarach z ożywieniem dyskutowała nad tym, co mógł mieć na myśli wielki amerykański profesor.

[116] Edelman zaczął od zastosowania teorii doboru do przeciwciał i układu odpornościowego — za co w 1972 roku otrzymał Nagrodę Nobla, a potem, w połowie lat siedemdziesiątych, odniósł ją do układu nerwowego.

Dom

Czasami nawiedzało mnie uczucie, że opuściłem Anglię niegodnie. Otrzymałem najlepszą angielską edukację, poznałem najlepszą angielską poezję i prozę, nasiąknąłem tradycjami i zwyczajami, które odkładały się przez tysiąc lat, po czym z całym tym umysłowym ładunkiem, który mi powierzono, zabrałem się stamtąd, nie powiedziawszy chociażby „Dziękuję” albo „Do widzenia”.

Niemniej zawsze traktowałem Anglię jako swój dom, wracałem do niej tak często, jak tylko się dało, a za każdym razem, gdy dotykałem stopami rodzinnej ziemi, czułem się silniejszym człowiekiem (i lepszym pisarzem). Utrzymywałem ścisłe kontakty z rodziną, przyjaciółmi i kolegami w Anglii, nie tracąc wiary w to, że mój dziesięcio-, dwudziesto-, trzydziestoletni pobyt w Ameryce to tylko przedłużający się wyjazd, gdyż wcześniej lub później powrócę do domu.

Poczucie, że Anglia to mój dom, zachwiało się w roku 1990, kiedy zmarł ojciec i sprzedano siedzibę przy Mapesbury — miejsce, w którym się urodziłem, w którym dorastałem, w którym zjawiałem się, a często i zatrzymywałem przy każdym pobycie w Anglii; budynek, którego każdy cal nasączony był moimi wspomnieniami i emocjami. Nagle nie miałem dokąd wracać, moje przyjazdy stały się wizytami, a nie były już powrotami do ojczyzny i rodaków.

Niemniej stale byłem dumny z paszportu Zjednoczonego Królestwa, który (przed rokiem 2000) miał piękne, duże, sztywne okładki ze złotymi literami, bardzo się pod tym względem różniąc od miękkich, niepokaźnych

dokumentów wystawianych przez inne kraje. Nie ubiegałem się o amerykańskie obywatelstwo i bardzo byłem rad z posiadania zielonej karty, która czyniła mnie „zagranicznym rezydentem”. To dobrze przystawało do mojego poczucia utrzymującego się przez większość pobytu w USA, że jestem przyjaznym i uważnym obcokrajowcem, pilnie śledzącym wszystko, co dzieje się dookoła, ale bez ciążących na nim obywatelskich powinności — jak głosowanie, poddawanie się wymiarowi sprawiedliwości czy opowiadanie się po stronie jakiejś partii i jakichś strategii politycznych. Często czułem się (by użyć określenia, jakie odniosła do siebie Temple Grandin) jak antropolog na Marsie. (Niewiele było we mnie z tego poczucia w czasach kalifornijskich, gdy czułem jedność z górami, lasami i pustkowiami Zachodu).

I oto w czerwcu 2008 roku, ku swemu zdumieniu, dowiedziałem się, że moje nazwisko znalazło się na liście osób odznaczonych z okazji urodzin królowej Elżbiety II i że mam zostać komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego. Tytuł „komandora” połechtał mnie — choć nie byłem w stanie przedstawić sobie siebie na mostku niszczyciela czy pancernika — ale przede wszystkim czułem się bardzo zaciekawiony i zaszczycony tym wyróżnieniem.

Aczkolwiek nie nawykłem do wieczorowych strojów i ceremoniałów — chodzę zazwyczaj w rzeczach luźnych i podniszczonych i mam tylko jeden garnitur — to jednak bardzo podobały mi się formalności w pałacu Buckingham, wszystkie te instrukcje: jak się kłaniać, nie odwracać plecami do monarchini, jak czekać, aż sama wyciągnie rękę czy zwróci się do ciebie (bez zezwolenia królowej nie wolno jej dotknąć ani do niej przemówić). Miałem niezłego stracha, że zrobię coś rażąco nie tak, na przykład zasłabnę albo puszczę bąka, ale na szczęście wszystko poszło dobrze. W trakcie ceremonii zaimponowała mi postawa królowej: do chwili, gdy mnie

wywołano, stała już wyprostowana od ponad dwóch godzin (odznaczanych tego dnia było dwieście osób). Rozmawiała ze mną krótko, ale bardzo przyjaźnie; spytała, nad czym pracuję. Zrobiła na mnie wrażenie skromnej, przyjaznej osoby ze znacznym poczuciem humoru. Czułem, jakby ona — a wraz z nią cała Anglia — mówiła: „Wykonałeś pożyteczną, zaszczytną pracę. Wracaj do domu. Wszystko wybaczone”.

Pisanie *Zobaczyć głos*, *Wysp* czy *Uncle Tungsten* nie zastąpiło praktyki medycznej. W dalszym ciągu odwiedzałem pacjentów w Beth Abraham, u sióstr małych i w innych miejscach.

W lecie 2005 roku poleciałem do Anglii, aby odwiedzić Clive’a Wearinga, niezwykłego muzyka z amnezją, który był bohaterem filmu Jonathana Millera *Prisoner of Consciousness*. Żona Clive’a, Deborah (z którą korespondowałem od lat), wydała właśnie bardzo ważną książkę o nim i chciała, żebym go obejrzał dwadzieścia lat po katastrofalnym śpiączkowym zapaleniu mózgu. Chociaż nie pamiętał właściwie nic z dorosłego życia, a nowe zdarzenia rejestrował przez nie dłużej niż kilka minut, ciągle potrafił grać na organach i dyrygować chórem, jak w czasach, gdy był profesjonalnym muzykiem. Był żywym dowodem na wielką moc muzyki i pamięci muzycznej, o czym chciałem napisać coś więcej, gdyż ta kwestia i inne „neuromuzyczne” problemy rodziły we mnie chęć stworzenia całej książki o muzyce i mózgu.

Muzykofilia — taki był ostatecznie tytuł — rozpoczęła się od bardzo skromnego projektu. Sądziłem, że będzie to mała książeczka, może trzy rozdziały. Kiedy jednak zacząłem się zastanawiać nad ludźmi z muzyczną synestezją, nad nierozpoznającymi żadnej muzyki osobami z amuzją, ludźmi z demencją czołowo-skroniową, u których może dochodzić do nieoczekiwanego wybuchu talentów i pasji muzycznych, nad osobami

cierpiącymi na muzyczne napady lub napady spowodowane przez muzykę, nad ludźmi prześladowanymi przez natręctwa muzyczne czy wręcz muzyczne halucynacje — wiedziałem już, że nie będzie to króciutka książka.

Ponadto fascynowała mnie terapeutyczna moc muzyki, którą już czterdzieści lat wcześniej obserwowałem u pacjentów po śpiączkowym zapaleniu mózgu, nawet zanim rozbudziła ich L-dopa. Potem wielokrotnie miałem doświadczać niezwykłej siły muzyki, która pomagała pacjentom z najróżniejszymi schorzeniami: amnezją, afazją, depresją i nawet demencją.

Od publikacji *Kapelusza* w roku 1985 otrzymywałem coraz bardziej wzbierający potok listów od czytelników, którzy często dzielili się ze mną własnymi doświadczeniami. Dzięki temu moja praktyka wykroczyła daleko poza granice kliniki. *Muzykofilia*, a potem *Halucynacje* zostały wzbogacone przez te listy i raporty — i to w nie mniejszym stopniu niż przez korespondencję oraz spotkania z innymi lekarzami i badaczami.

Chociaż jednak w *Muzykofilii* pisałem o nowych pacjentach i nowych problemach, znowu odwiedzałem pacjentów, którzy pojawiali się we wcześniejszych książkach, tym razem jednak koncentrując się na ich reakcjach na muzykę oraz rozważając je w kontekście nowych form obrazowania mózgu, a także nowej koncepcji, jak mózg-umysł tworzy konstrukcje i kategorie.

*

Siódmą dekadę życia rozpoczynałem w świetnym zdrowiu; miałem trochę problemów ortopedycznych, nie były one jednak poważne, a już z pewnością nie zagrażały życiu. Niewiele myślałem o chorobie czy

śmierci, chociaż straciłem trzech starszych braci, a także wielu przyjaciół i znajomych w moim wieku.

Tymczasem w grudniu 2005 roku nagle i dramatycznie ujawnił się nowotwór: czerniak w prawym oku, który najpierw dał o sobie znać w formie płomiennego promieniowania z jednej strony, a potem częściowej ślepoty. Najprawdopodobniej powoli dojrzewał od jakiegoś czasu, aż wreszcie zbliżył się do plamki żółtej, malutkiego centralnego jej obszaru, w którym widzenie jest najostrzejsze. Czerniak ma bardzo złą sławę, kiedy więc usłyszałem diagnozę, uznałem ją za wyrok śmierci. Lekarz jednak szybko mnie uspokoił, że czerniak gałki ocznej jest w miarę łagodny, rzadko występują przy nim przerzuty, a co więcej, daje się go leczyć

Nowotwór został napromieniowany, następnie kilkakrotnie laserowo wycinano odrosty, które pojawiały się w niektórych obszarach. Przez pierwszych osiemnaście miesięcy kuracji siła wzroku w prawym oku zmieniała się niemal z dnia na dzień: od prawie ślepoty do stanu w miarę normalnego, a potem znowu do niemal niewidzenia, czemu towarzyszyło raptowne falowanie mego stanu emocjonalnego: od przerażenia do ulgi, a potem znowu w przerażenie.

O wiele trudniej byłoby to znieść (a jeszcze trudniej z tym żyć), gdyby nie fascynacja wzrokowymi fenomenami, które pojawiały się tak, jakby na skutek guza i lasera odrobinka po odrobince ubywało mi siatkówki: dzikie zniekształcenia topologiczne, perwersje barw, sprytne, choć automatyczne wypełnienia ślepych plamek, nieustanna percepcja obiektów i scen wtedy, gdy oczy były zamknięte, a także halucynacje, od których roiło się w moich coraz większych ślepych plamkach. W tej nowej sytuacji mózg uczestniczył w nie mniejszym stopniu niż oczy.

Bałem się ślepoty, ale jeszcze bardziej bałem się śmierci, więc poszedłem na swego rodzaju układ z czerniakiem: jeśli już musisz, bierz oko, ale resztę

zostaw w spokoju.

We wrześniu 2009 roku, po trwającej trzy i pół roku kuracji, w osłabionej przez napromieniowanie siatkówce prawego oka doszło do krwotoku, który ją całkowicie oślepił. Wszystkie próby usunięcia krwi z siatkówki okazały się daremne, gdyż natychmiast znowu zalewała się krwią. Pozbawiony dwuocznego widzenia, musiałem się teraz zmierzyć z wieloma nowymi, ograniczającymi (ale niekiedy fascynującymi) zjawiskami. Nie tylko jednak musiałem się z nimi zmierzyć, lecz także mogłem je obserwować. Utrata widzenia stereo to dla tak namiętnego stereofila ubytek tyle bolesny, ile niebezpieczny. Bez głębi widzenia stopnie i krawężniki wyglądały jak linie na ziemi, a dalekie obiekty zdawały się leżeć w tej samej odległości co bliższe. Wraz z utratą prawej strony pola wzrokowego miałem liczne sytuacje, gdy zderzałem się z obiektami lub ludźmi, którzy znienacka zjawiali się przede mną, nie wiadomo skąd. Oślepłem na prawą stronę nie tylko fizycznie, lecz także mentalnie: nie byłem w stanie nawet w y o b r a z i ć s o b i e obecności tego, czego nie mogłem teraz zobaczyć. Taki zespół zaniedbania stronnego, jak to określają neurolodzy, jest najczęściej efektem wylewu albo guza we wzrokowych (ciemieniowych) częściach mózgu. Dla mnie jako neurologa były to szczególnie fascynujące zjawiska, gdyż roztaczały zdumiewającą panoramę sposobów funkcjonowania mózgu (czy też jego dysfunkcji), kiedy brakuje danych zmysłowych albo są one zniekształcone. Wszystko to nie tylko odnotowywałem bardzo szczegółowo — mój „dziennik czerniaka” osiągnął dziewięćdziesiąt tysięcy słów — lecz także badałem, dokonując najróżniejszych eksperymentów percepcyjnych. Sytuacja ta, jak przedtem w przypadku nogi, stała się *experimentum suitatis*, eksperymentem na sobie samym.

Percepcyjne konsekwencje zniszczenia oka były znakomitym polem badawczym. Miewałem nieraz poczucie, że odkrywam cały świat

osobliwych zjawisk, aczkolwiek chwilę potem pojawiała się myśl, że wszyscy pacjenci, którzy mieli problemy z oczyma, z pewnością byli wystawieni na takie same doświadczenia, więc pisanie o mnie będzie zarazem pisaniem dla nich. Tak czy owak miałem podniecające wrażenie odkrywania, które bardzo pomagało brnąć przez lata pełne lęku i przygnębiające, podobnie jak stałe spotykanie się z pacjentami i pisanie.

*

Byłem już bardzo zaangażowany w nową książkę *Oko umysłu*, kiedy spadły na mnie kolejne nieszczęścia i konieczność ingerencji chirurgicznych. We wrześniu 2009 roku, zaraz po krwotoku w prawym oku, konieczna okazała się całkowita wymiana lewego kolana (co, oczywiście, stało się okazją do kolejnego dziennika). Powiedziano mi, że w ciągu mniej więcej ośmiu tygodni od operacji powinienem odzyskać całkowitą ruchomość kolana, jeśli jednak mi się nie powiedzie, już do końca życia będę miał sztywną nogę. Trenowanie kolana i gojenie się blizn mogą stać się nader bolesne. „Niech pan nie brawuruje — ostrzegał chirurg — może pan dostać wszystkie środki przeciwbólowe, jakie istnieją". Z kolei terapeuci mówili o bólu z prawdziwą miłością. „Niech pan go przygarnie, zatopi się w nim" — powtarzali, podkreślając, że jeśli mam się zmieścić w wąskim okienku możliwości, muszę sięgnąć aż do swoich granic.

Rehabilitacja przebiegała w miarę sprawnie, z każdym dniem kolano stawało się bardziej ruchome i zwrotne. Wtedy pojawił się następny nieprzyjemny kłopot: rwa kulszowa, z którą zmagałem się od lat, z wolna, ukradkiem poczęła się nasilać, aż doszła do takiego poziomu intensywności, jakiego w ogóle dotąd nie znałem.

Próbowałem nie rezygnować z rehabilitacji, zachować aktywność, ale rwa mnie powaliła i w okolicach grudnia związała z łóżkiem. Od operacji kolana zostało mi sporo morfiny — była nieoceniona jako pomoc przy „dobrym” bólu — ale co z tego, skoro okazywała się ona praktycznie nieużyteczna przy bólu neurologicznym, charakterystycznym dla uszkodzonych korzeni nerwowych. (Dotyczy to także wszystkich postaci bólu „neuropatycznego”). Siedzenie — nawet przez chwilę — stało się niemożliwe.

W efekcie nie mogłem grać na pianinie — co było poważną bolączką, gdyż w wieku siedemdziesięciu pięciu lat powróciłem do pianina i lekcji muzyki (skoro, myślałem, tyle razy pisałem, że nowych umiejętności mogą nabywać nawet ludzie w podeszłym wieku, to czas samemu zastosować się do swoich słów). Usiłowałem grać na stojąco, ale i to okazało się niemożliwe.

Pisałem teraz tylko na stojąco, urządziwszy na mym biurku specjalny pulpit, na którego podpory wykorzystałem dziesięć tomów *Oxford English Dictionary*. Okazało się, że koncentracja nieodzowna przy pisaniu działa nie gorzej niż morfina, a na dodatek nie ma skutków ubocznych. Nienawidziłem łóżka i rozgrywającego się na nim piekła bólu, dlatego przy moim zaimprowizowanym stanowisku pisarskim spędzałem tyle godzin, ile byłem w stanie wystać.

Teraz dużo myślałem, pisałem i czytałem o bólu, którym się dotąd zupełnie nie zajmowałem. Najświeższe doświadczenie, nabyte w ciągu dwóch miesięcy, pokazało mi, że są co najmniej dwa bardzo odmienne rodzaje bólu. Ból spowodowany operacją kolana był ściśle lokalny: nie wykraczał poza obszar kolana i całkowicie zależał od tego, jak bardzo obciążałem tkanki skrócone na skutek zabiegu. Łatwo mogłem jego intensywność zlokalizować na dziesięciostopniowej skali, ale przede

wszystkim był to — zgodnie z określeniem terapeutów — „dobry” ból, taki, który dawał się ogarnąć, nad którym można było pracować i go pokonać

Rwa kulszowa powoduje ból zupełnie odmiennego rodzaju. Nielokalny, rozchodzi się nieporównanie dalej niż naruszony prawy korzeń nerwowy na poziomie L5. Nie pojawiał się jako przewidywalne następstwo obciążania czy naciągania — jak to było z kolanem — natomiast uderzał w nagłych, zupełnie nieprzewidywalnych paroksyzmach, na które niepodobna się zatem przygotować, czekać na nie z zagryzionymi ustami. Jego intensywność zaś wykraczała poza skalę, nie dało się jej ocenić liczbowo, gdyż był to ból wszechogarniający.

Co gorsza, ma on zupełnie swoisty składnik afektywny, który trudno mi opisać. Takie słowa jak „cierpienie”, „męka”, „przerażenie” nie oddają jego istoty. Bólu neurologicznego niepodobna „ogarnąć”, nie podobna z nim walczyć ani się do niego przystosować. Czyni on z człowieka rozdygotaną, niemal bezmyślną miazgę. Kiedy naciera, nikną siła woli, poczucie własnej tożsamości.

Ponownie sięgnąłem po wielkie *Studies in Neurology* Henry’ego Heada, gdzie wrażeniom „epikrytycznym” — dokładnie zlokalizowanym, dającym się tłumić i proporcjonalnym do bodźca — przeciwstawia „protopatyczne”: rozlane, naznaczone afektywnie, nadchodzące w paroksyzmach. Ta dychotomia nieźle przylegała do dwóch typów bólu, jakie rozpoznałem, a ja zacząłem się zastanawiać nad niedużą, bardzo osobistą książeczką o bólu, w której między innymi przywołałbym dawno już zapomniane terminy Heada i jego rozróżnienia. (Pomysły swoje omawiałem z przyjaciółmi i kolegami, ale nie doszło do napisania zamierzonego eseju).

W grudniu rwa stała się przytłaczająca i wszechobecna, tak że nie potrafiłem już czytać, myśleć ani pisać i po raz pierwszy w życiu zacząłem myśleć o samobójstwie [117].

Operacja kręgosłupa została wyznaczona na ósmego grudnia. Byłem już wtedy na dużych dawkach morfiny, a chirurg ostrzegł mnie, że przez kilka tygodni po zabiegu ból może się jeszcze nasilić z powodu obrzęku pooperacyjnego, co się całkowicie potwierdziło. Grudzień roku 2009 był więc bardzo ponury, a najpewniej silne dawki środków przeciwbólowych wyostrzyły moje ówczesne stany emocjonalne, które z nadziei nagle przeradzały się w trwogę.

Nie mogąc znieść dwudziestu czterech godzin w łóżku, a będąc zarazem skazany na leżenie, zacząłem kuśtykać do gabinetu (jedna ręka wsparta na lasce, druga opierająca się na Kate), gdzie mogłem przynajmniej dyktować listy czy odpowiadać na telefony. Spoczywałem wprawdzie na kozetce, ale przynajmniej znowu byłem w pracy.

Zaraz po siedemdziesiątych piątych urodzinach, w roku 2008, poznałem Billy'ego, pisarza, który właśnie przeniósł się z San Francisco do Nowego Jorku. Zaczęliśmy wspólnie chodzić na kolacje, a ja, przez cale życie wstydliwy i pełen zahamowań, pozwoliłem, by przyjaźń i bliskość między nami pogłębiała się w sposób, którego nawet nie byłem świadomy. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero w grudniu 2009 roku, gdy ciągle jeszcze podnosiłem się z operacji kolana i pleców.

Billy wyjeżdżał do Seattle, aby święta spędzić z rodziną; przedtem odwiedził mnie i z wielką powagą, starannie dobierając słowa, rzekł: „Głęboko cię pokochałem". Słysząc to, uświadomiłem sobie to, czego dotąd nie wiedziałem albo co przynajmniej skrywałem przed sobą: że także ja go głęboko pokochałem, a wtedy do oczu napłynęły mi łzy. Pocałował mnie i wyszedł.

Przez czas jego nieobecności myślałem o nim niemal bez ustanku, ale nie chciałem mu się narzucać, kiedy czas spędzał z rodziną. Każdego telefonu

Billy’ego wyczekiwałem niecierpliwie, ale także z lękiem. Kiedy pewnego dnia nie mógł zadzwonić o ustalonej godzinie, przeraziłem się, że coś mu się stało, może miał wypadek samochodowy, więc gdy się odezwał godzinę czy dwie później, omal nie rozpłakałem się z ulgi.

Były to czasy wielkiego napięcia uczuciowego: ukochana muzyka czy długie popołudniowe promienie słońca przyprawiały mnie często o szloch. Nie byłem pewien, dlaczego łkam, zlewały się jednak ze sobą poczucie miłości, śmierci i przemijalności.

Leżąc w łóżku, starannie notowałem swoje wrażenia, tworząc notatnik poświęcony „zakochaniu”. Billy wrócił wieczorem trzydziestego pierwszego grudnia, przywożąc ze sobą butelkę szampana. Kiedy ją otworzył, wypiliśmy najpierw za siebie nawzajem, a potem za nowy rok, kiedy już nastał.

*

W ostatnim tygodniu grudnia ból zaczął słabnąć. Czy dlatego, że opuchlizna pooperacyjna się zmniejszała? Czy też — uporczywie nasuwała mi się hipoteza — radość miłości potrafiła przeciwstawić się bólowi neuralgii i złagodzić go nie gorzej niż dilaudid bądź fentanyl? Czy sam stan zakochania powodował nasycenie ciała opioidami, kannabinoidami i czym tam jeszcze?

W styczniu wróciłem do pisania na swym zaimprowizowanym podium z tomów słownika, zacząłem też odrobinę wychodzić, jeśli tylko mogłem stać tam, dokąd się udawałem. Stawałem więc z tyłu sali koncertowej czy konferencyjnej, odwiedzałem restauracje z barem, o który mogłem się oprzeć, znowu zacząłem odwiedzać psychoanalityka, chociaż rozmawiać

z nim musiałem na stojąco. Wróciłem do rękopisu *Oka umysłu*, który porzuciłem na biurku, gdy zostałem skazany na łóżko.

*

Niekiedy wydawało mi się, że żyłem, zachowując wobec życia pewien dystans, ale to się zmieniło, kiedy zakochaliśmy się w sobie z Billym. Mając dwadzieścia lat, zakochałem się w Richardzie Seligu, jako dwudziestosiedmiolatek miałem męczący romans z Melem, jako trzydziestodwulatek — dwuznaczny z Karlem, ale teraz, na miłość boską, miałem już siedemdziesiąt siedem lat!

Musiały się dokonać głębokie, geologiczne przemiany, w moim przypadku musiały się zmienić nawyki życia w samotności owocujące pewnym sobkostwem i koncentracją na sobie. Pojawiały się nowe potrzeby i nowe lęki: potrzeba drugiej osoby, strach przed porzuceniem. Musiało nastąpić głębokie wzajemne przystosowanie.

I Billy'emu, i mnie przychodziły one łatwiej z racji wspólnych zainteresowań i poczynań: obaj jesteśmy pisarzami i dzięki temu się poznaliśmy. Czytałem szczotki jego książki *The Anatomist*, która mi się bardzo podobała, napisałem więc, że moglibyśmy się spotkać, gdyby się kiedyś zjawił na Wschodnim Wybrzeżu (co stało się we wrześniu 2008 roku, kiedy Billy przyjechał do Nowego Jorku). Podobały mi się jego sposób myślenia, zarazem poważny i żartobliwy, wyczulenie na uczucia innych, prostolinijność, a zarazem delikatność. To było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie: leżeć w czyichś ramionach i rozmawiać, słuchać muzyki czy wspólnie milczeć. Nauczyliśmy się razem przygotowywać posiłki i jeść, dotychczas bowiem najczęściej zadowalałem się płatkami czy sardynkami wyjadanymi z puszki w ciągu pół minuty. Razem też

zaczęliśmy wychodzić na miasto: czy to na koncerty (mój priorytet), czy to na wystawy sztuki (jego priorytet), czy to do ogrodu botanicznego, którego alejkami dreptałem samotnie od ponad czterdziestu lat. Zaczęliśmy też razem podróżować: do mojego rodzinnego Londynu, gdzie zapoznałem go z moimi przyjaciółmi i krewnymi, do jego San Francisco, gdzie miał wielu przyjaciół, czy na Islandię, która fascynowała nas obydwóch.

Czy to w domu, czy w rozjazdach — często razem pływamy. Bywa, że odczytujemy jeden drugiemu fragmenty powstających tekstów, ale najczęściej, jak każda para, rozmawiamy o tym, co przeczytaliśmy, oglądamy stare filmy w telewizji, przygotowujemy sobie kanapki na lunch. Spokojnie i w wielu wymiarach prowadzimy wspólne życie: to wielki i nieoczekiwany dar dla osoby w moim wieku, która przez większość życia trzymała się na dystans.

Kiedy byłem chłopcem, nazywali mnie Kleksikiem i ciągle, jak przed siedemdziesięciu laty, bywam ubrudzony atramentem.

Dzienniki zacząłem prowadzić jako czternastolatek, a ostatnio doliczyłem się ich prawie tysiąca. Mają najróżniejsze kształty i rozmiary: od malutkich, kieszonkowych, które noszę ze sobą, po gigantyczne tomiszcza. Zawsze jakiś notatnik spoczywa na stoliku nocnym, abym mógł „księgować” w nim i sny, i późnowieczorne refleksje, zawsze też staram się pamiętać o jakimś notesiku na brzegu basenu, jeziora czy morza, gdyż pływanie rodzi we mnie myśli, które muszę zapisywać, szczególnie jeśli przyjmują postać — jak czasami bywa — gotowych zdań czy całych akapitów.

Kiedy pisałem *Stanąć na nogi*, obficie korzystałem ze szczegółowego dziennika, który prowadziłem jako pacjent. Także *Oaxaca Journal* to książka w znacznym stopniu oparta na odręcznych notatkach, najczęściej

jednak bardzo rzadko zaglądam do prowadzonych przez szmat życia dzienników. Wystarcza sam akt pisania, gdyż już on sam klaruje moje myśli i uczucia. Akt pisania jest integralnym składnikiem mojego życia umysłowego; w jego trakcie pojawiają się i kształtują idee.

Dzienników nie piszę dla innych, ale i sam zaglądam do nich nieczęsto, natomiast stanowią dla mnie swoistą i nieodzowną formę rozmowy z samym sobą.

Ta potrzeba myślenia na piśmie nie ogranicza się tylko do dzienników: zapiski pokrywają tylne strony kopert, menu restauracyjne, każdy kawałek papieru, który akurat znajduje się pod ręką. Bardzo często zapisuję też na skrawkach kolorowego papieru przeczytane frazy, które mi się spodobały. Kiedy mieszkałem na City Island, gabinet był upstrzony karteczkami z cytatami, spinanymi przez klamry, które przytwierdzałem do karniszów naprzeciw biurka.

Ważną częścią mego życia jest też korespondencja. Uwielbiam pisać listy i je otrzymywać — to jest jak rozmowa z innymi osobami, konkretnymi ludźmi; często zdarza się, że kiedy nie jestem w stanie Pisać (cokolwiek miałoby się kryć za tą wzniosłą majuskułą), mogę jednak prowadzić korespondencję. Zachowuję wszystkie otrzymane listy, ale i kopie własnych. Kiedy teraz staram się odtworzyć różne etapy mego życia — jak chociażby niesłychanie istotne i pełne wydarzeń moje początki amerykańskie w roku 1960 — owe stare listy okazują się nieocenioną pomocą, gdyż korygują niedostatki pamięci i przerosty fantazji.

Ogromna część moich tekstów to sporządzane przez lata opisy kliniczne. Przy pięciuset pacjentach w Beth Abraham, trzystu w domach prowadzonych przez siostry małe oraz tysiącach osób związanych z Bronx State — leżących w nim bądź szukających tam porady — przez kilka dekad sporządzałem mniej więcej tysiąc opisów rocznie, a robiłem to z prawdziwą

przyjemnością; są długie i szczegółowe, a ci, którzy do nich zaglądali, niekiedy powiadają, że czyta się je jak nowele.

Czy wychodzi mi to lepiej, czy gorzej, jestem urodzonym gawędziarzem. Przypuszczam, że potrzeba opowieści, narracji jest uniwersalną ludzką cechą, związaną z władzą mowy, samoświadomością i pamięcią autobiograficzną.

Jeśli pisanie idzie gładko, sprawia mi wielką przyjemność, radość trudną do porównania z czymkolwiek innym. Niezależnie od tematu, zawsze oznacza to podróż gdzieś „indziej”, gdzie całkowicie pochłania mnie rozwijana kwestia, i to do tego stopnia, że nikną rozpraszające myśli, troski, powinności, a ja tracę poczucie upływu czasu. W takich rzadkich, niebiańskich stanach umysłu jestem w stanie pisać non stop aż do chwili, gdy nie widzę już papieru i uświadamiam sobie nagle, że zapadł już wieczór, a ja na pisaniu strawiłem cały dzień.

W trakcie życia napisałem miliony słów, a przecież sam akt pisania w dalszym ciągu pozostaje równie niezwykły i ekscytujący jak wtedy, gdy po raz pierwszy się do niego brałem — przed niemal siedemdziesięcioma latami.

---

117 Mój przyjaciel i kolega po fachu, Peter Jannetta — byliśmy razem na stażu w UCLA — odkrył i udoskonalił technikę, która radykalnie zmieniła życie (nierzadko w ogóle je ratując) ludzi z neuralgią trójdzielną, paroksyzmami bólu w oczach i twarzy. Nie było na nie (przed dziełem Petera) ratunku, a ich nieznośność nierzadko prowadziła do samobójstwa.

Podziękowania

Poskładanie tej autobiografii byłoby zupełnie niemożliwe bez Kate Edgar. Kate odegrała w moim życiu rolę wyjątkową, przez ponad trzydzieści lat będąc moją prywatną asystentką, redaktorką, współpracowniczką i przyjaciółką (to jej zadedykowałem moją ostatnią książkę — *Halucynacje*). Tutaj, mając do pomocy dwie nasze oddane asystentki, Hallie Parker i Hailey Wojcik, przekopała się przez wszystkie moje teksty, opublikowane i nie, dzienniki, notatniki i listy, sięgając aż do lat pięćdziesiątych XX wieku.

Szczególną wdzięczność winien jestem przyjacielowi, również neurologowi, Orrinowi Devinsky'emu, z którym od ćwierć wieku toczę dyskusje fachowe i przyjacielskie. Orrin krytycznie ocenił naukową i kliniczną część tej książki, podobnie jak kilka wcześniejszych. (To jemu zadedykowałem *Muzykofilię*).

Dan Frank, mój redaktor u Knopfa, czytał wszystkie kolejne wersje książki, na każdym etapie nie szczędząc swych wartościowych uwag.

Billy Hayes, mój drogi przyjaciel, z którym oprócz innych rzeczy łączy mnie pasja pisania, ogromnie troszczył się o tę książkę od samego początku i miał wielki wpływ na jej ostateczny kształt. Jemu ją zadedykowałem.

W trakcie długiego i pełnego wydarzeń życia setki ludzi było mi drogich i dla mnie ważnych, ale tylko nieliczni zostali w tej książce wspomniani. Innych mogę jedynie zapewnić, że o nich nie zapomniałem i że póki żyję, pozostaną w mej pamięci i w moim sercu.

Fotografie

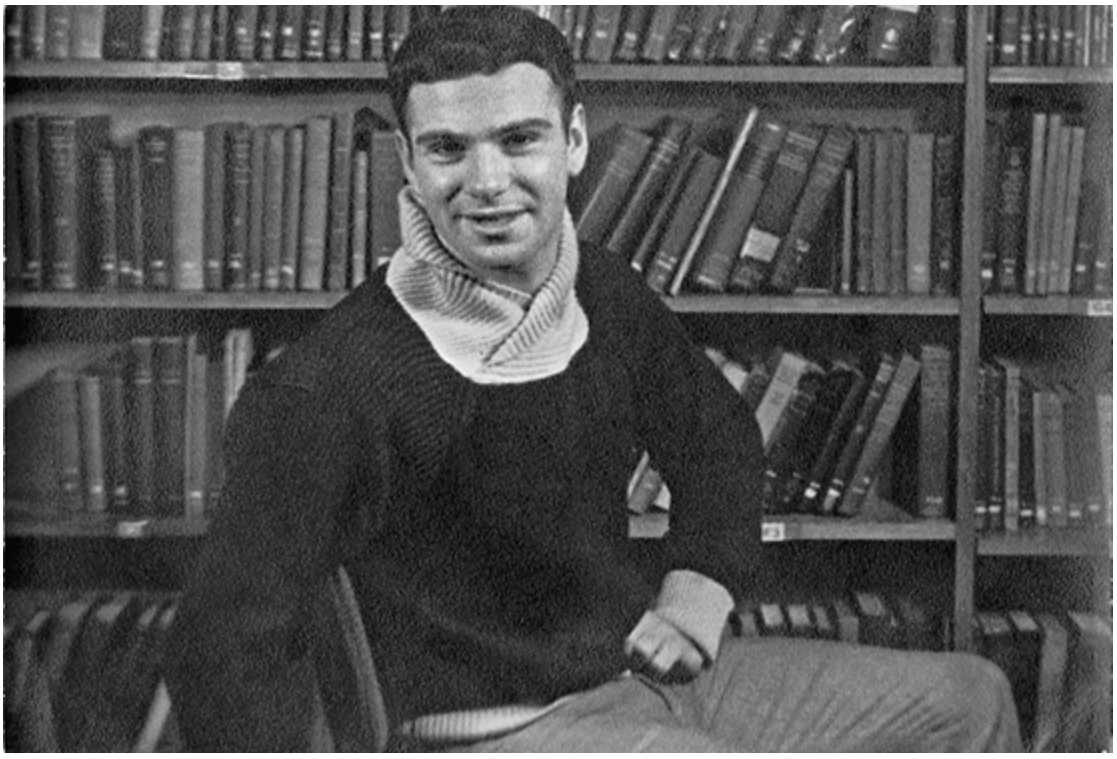

W Oksfordzie, około roku 1953

Z zaprzyjaźnionymi studentami medycyny w Central Middlesex Hospital, rok 1957

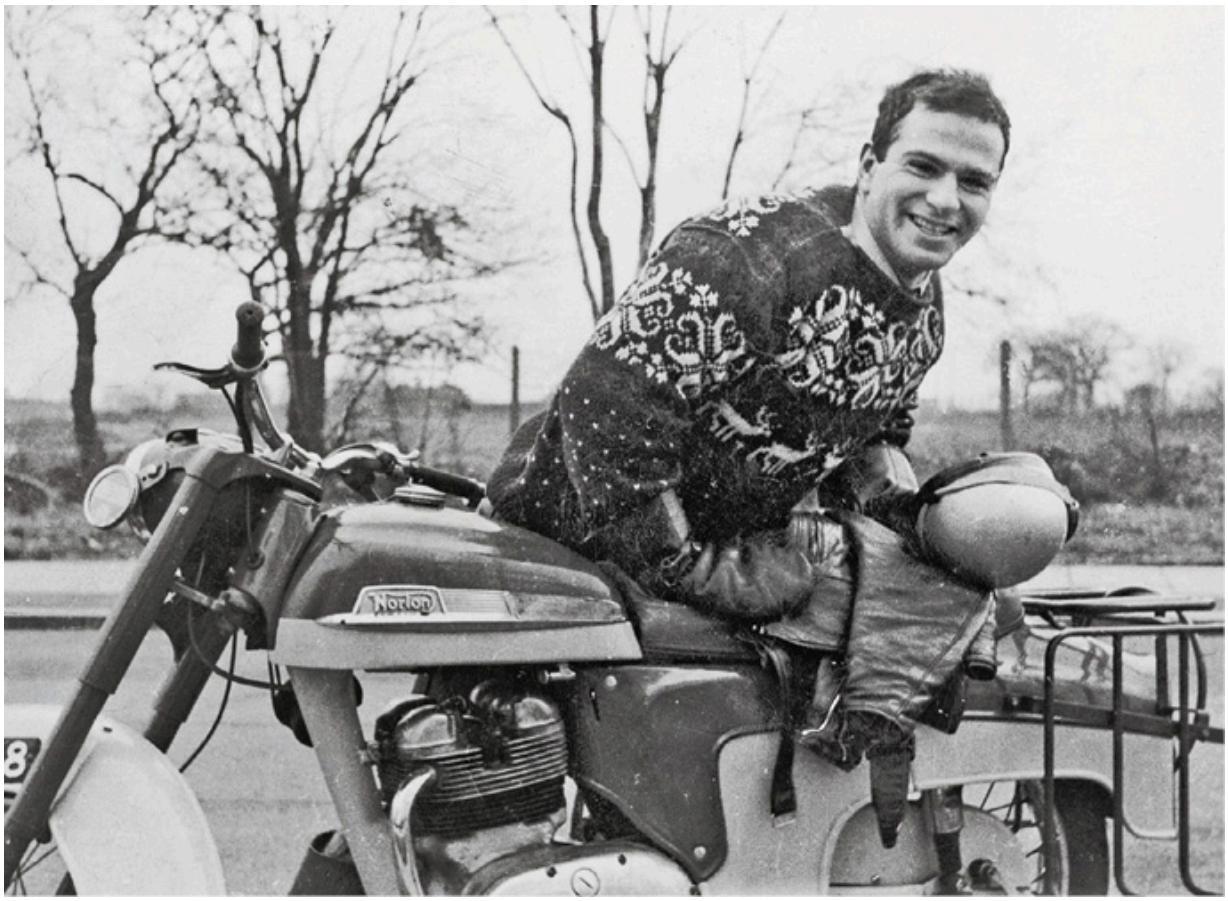

Z moim nowym nortonem „ćwierćlitrówką”, w 1956 roku

Podróż do Jerozolimy w 1955 roku; matka wita się z przyszłym premierem Levim Eshkolem, ojciec i ja stoimy za nią

Maj 1961 roku, w drodze z Makiem i Howardem, moimi kumplami z ciężarówki

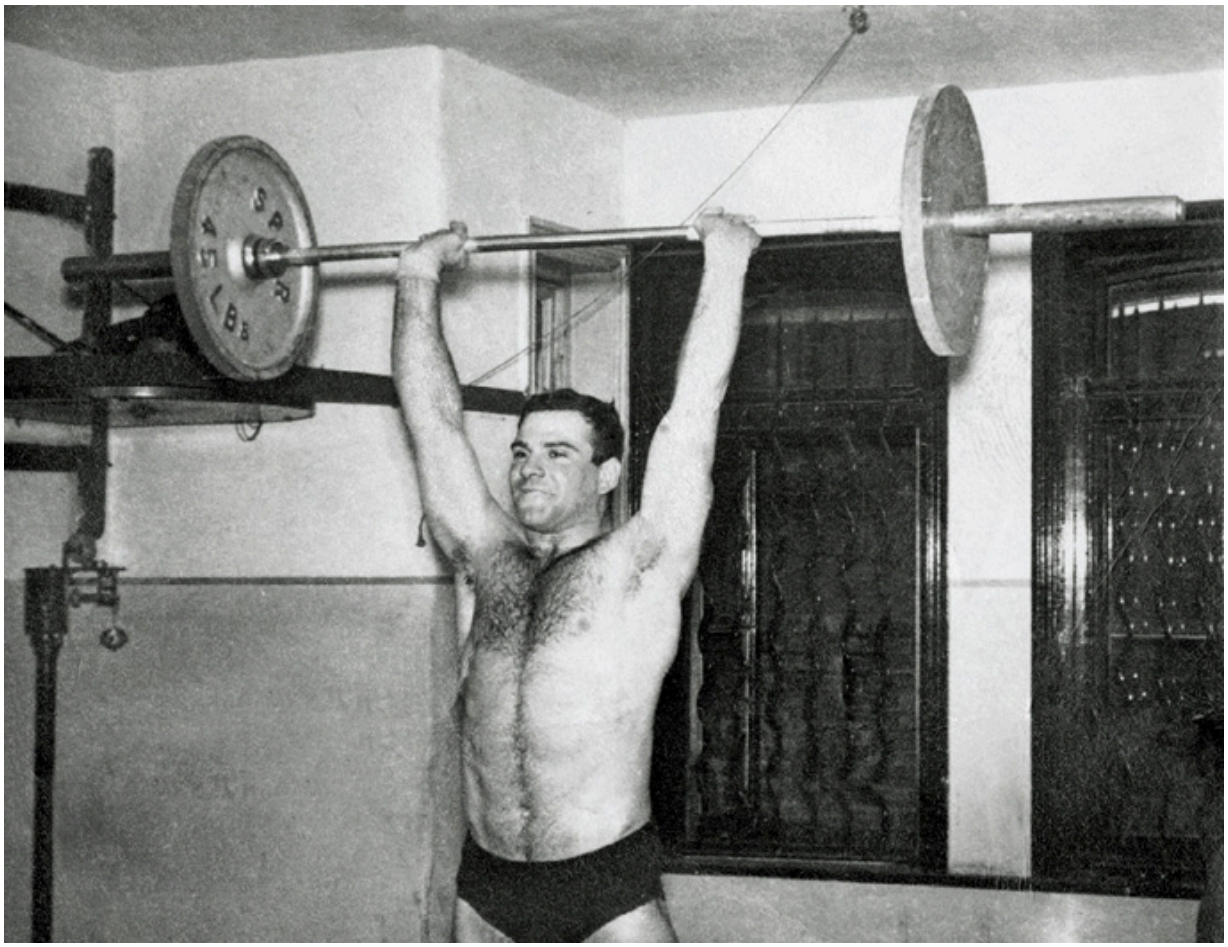

Rok 1956, jako początkujący ciężarowiec w londyńskim klubie Maccabi

Platforma ciężarowa w Muscle Beach, stoję z lewej

Dr. Oliver Sacks of the Mar-Vel Athletic Club of San Rafael holds the new California State record in weighlifting.
At the Pacific Coast Championships in San Francisco last Saturday, the British medical doctor interning at Mount Zion Hospital in San Francisco, performed a full squat with 600 pounds across his shoulders.

Rok 1961, pełny przysiad z 270 kilogramami na barkach — biję rekord Kalifornii

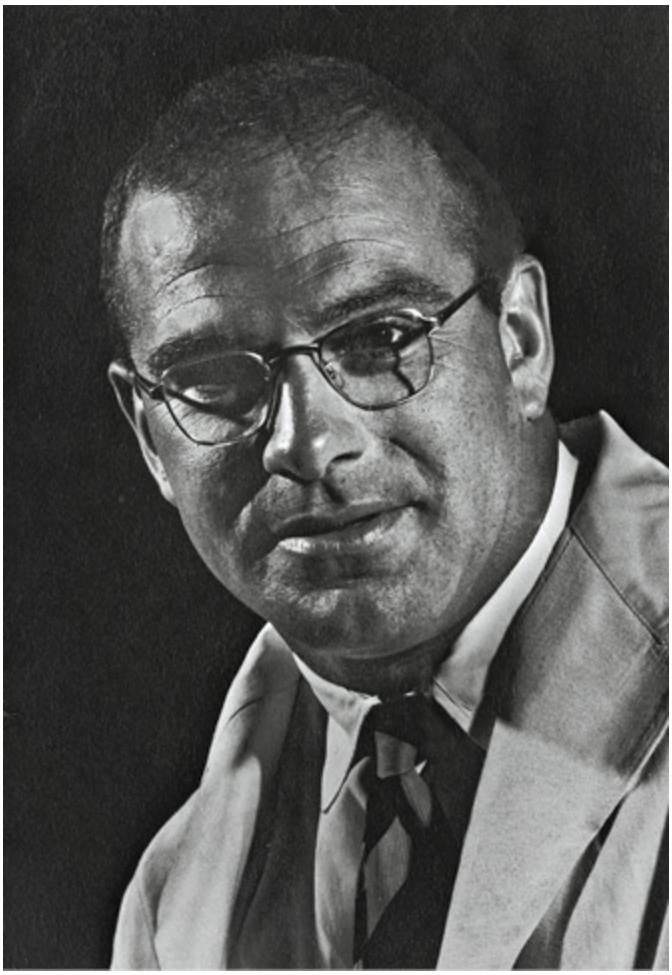

W laboratorium neuropatologicznym UCLA, rok 1964

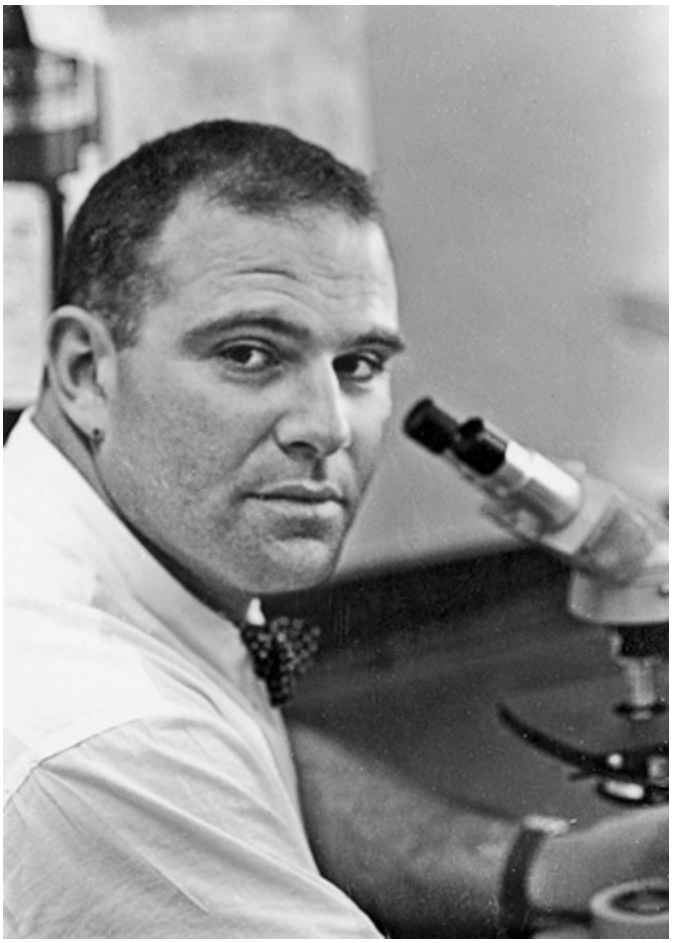

Mój oficjalny portret jako stażysty drugiego stopnia w UCLA

Mój domek w Topanga Canyon był liliputem w porównaniu z dębem, ale...

...znalazło się w nim miejsce na pianino

Ciotka Len

Matka

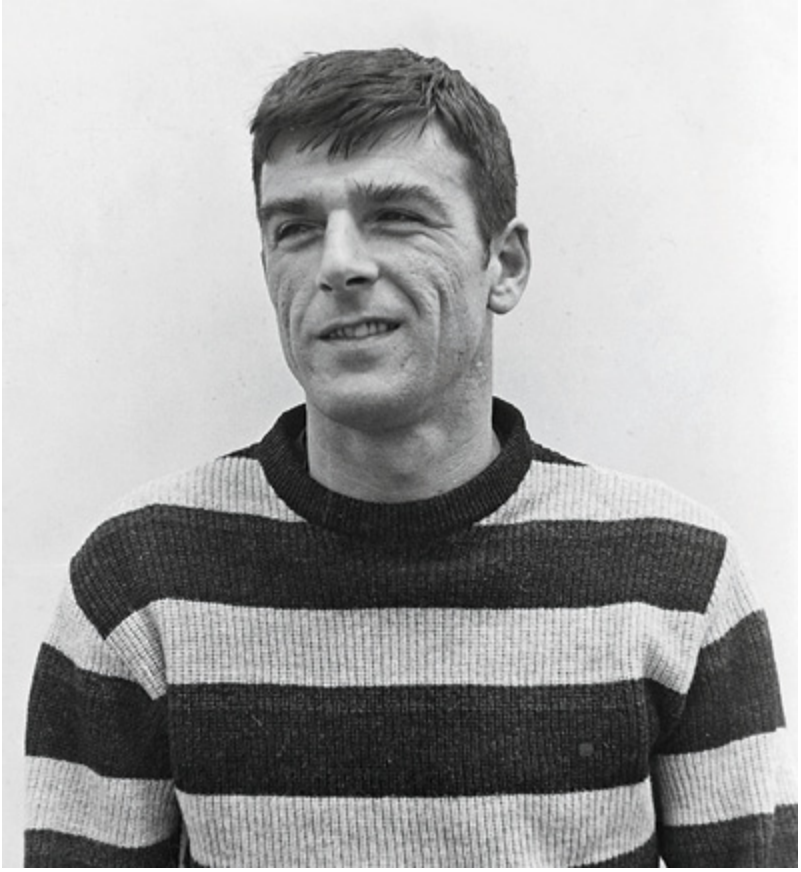

Thom Gunn, mniej więcej w roku 1961, kiedy się poznaliśmy

To zdjęcie zrobiłem mojej przyjaciółce Carol Burnett w Central Parku w roku 1966

Trzy ze zdjęć robionych około roku 1963: sklepik w Topanga Canyon...

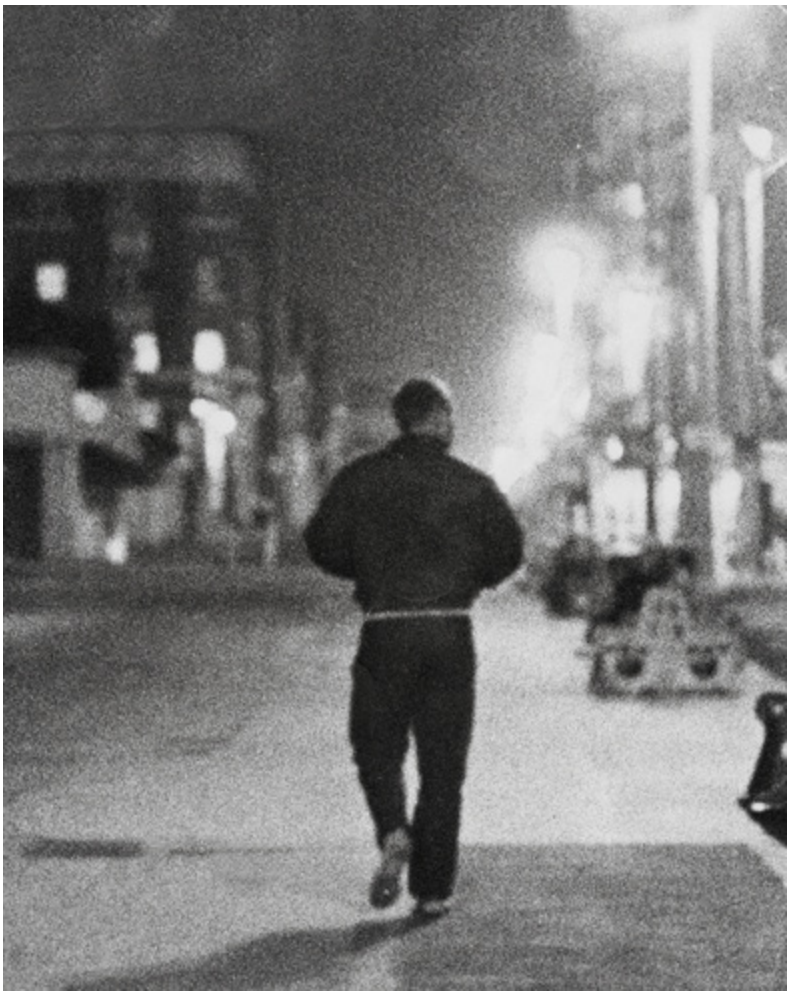

...Mel na przechadzce nieopodal Venice Beach...

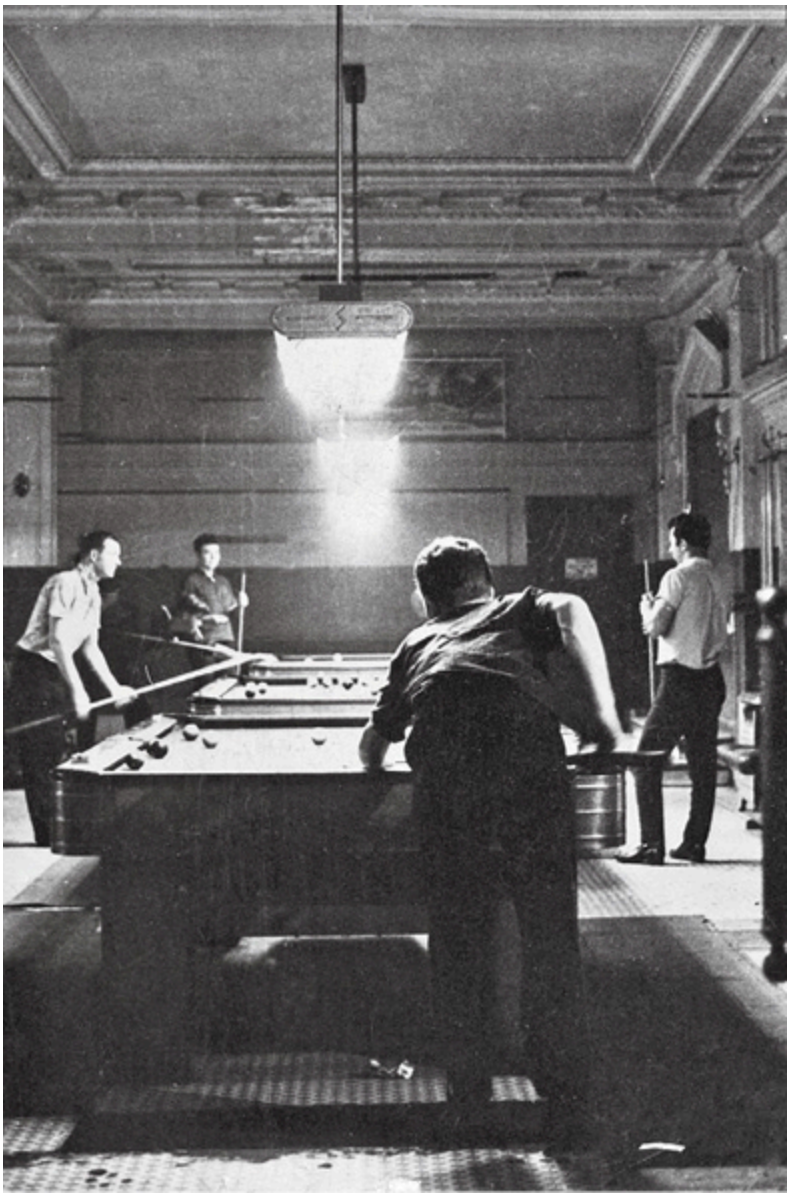

...sala bilardowa w Santa Monica

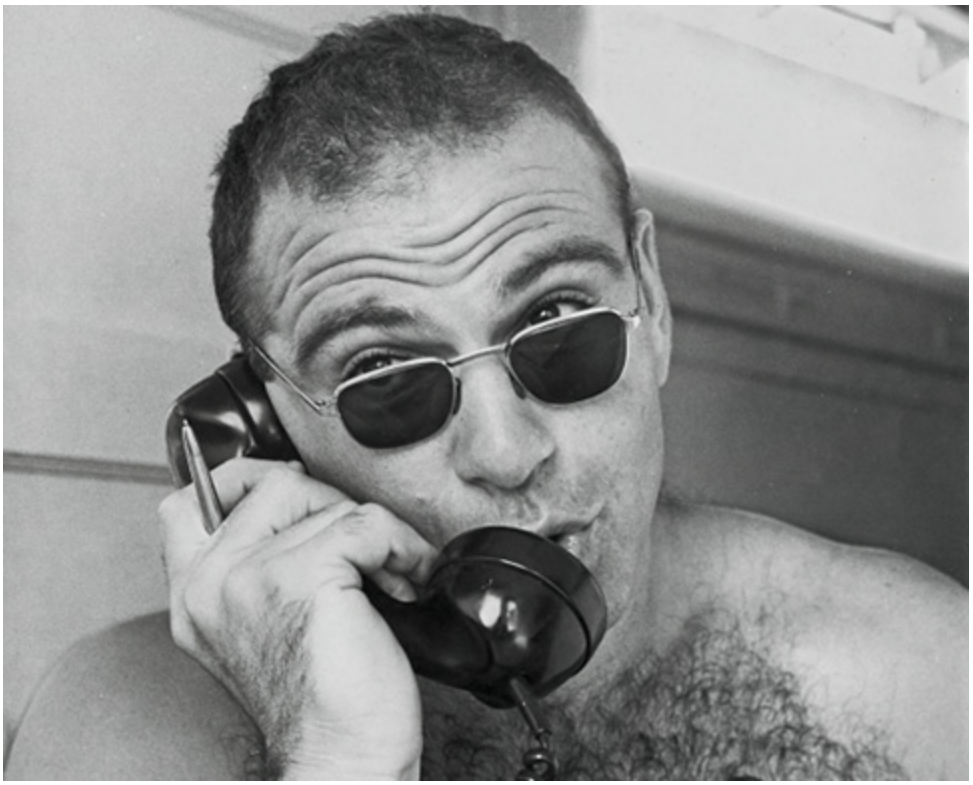

Nowy Jork, około 1970 roku

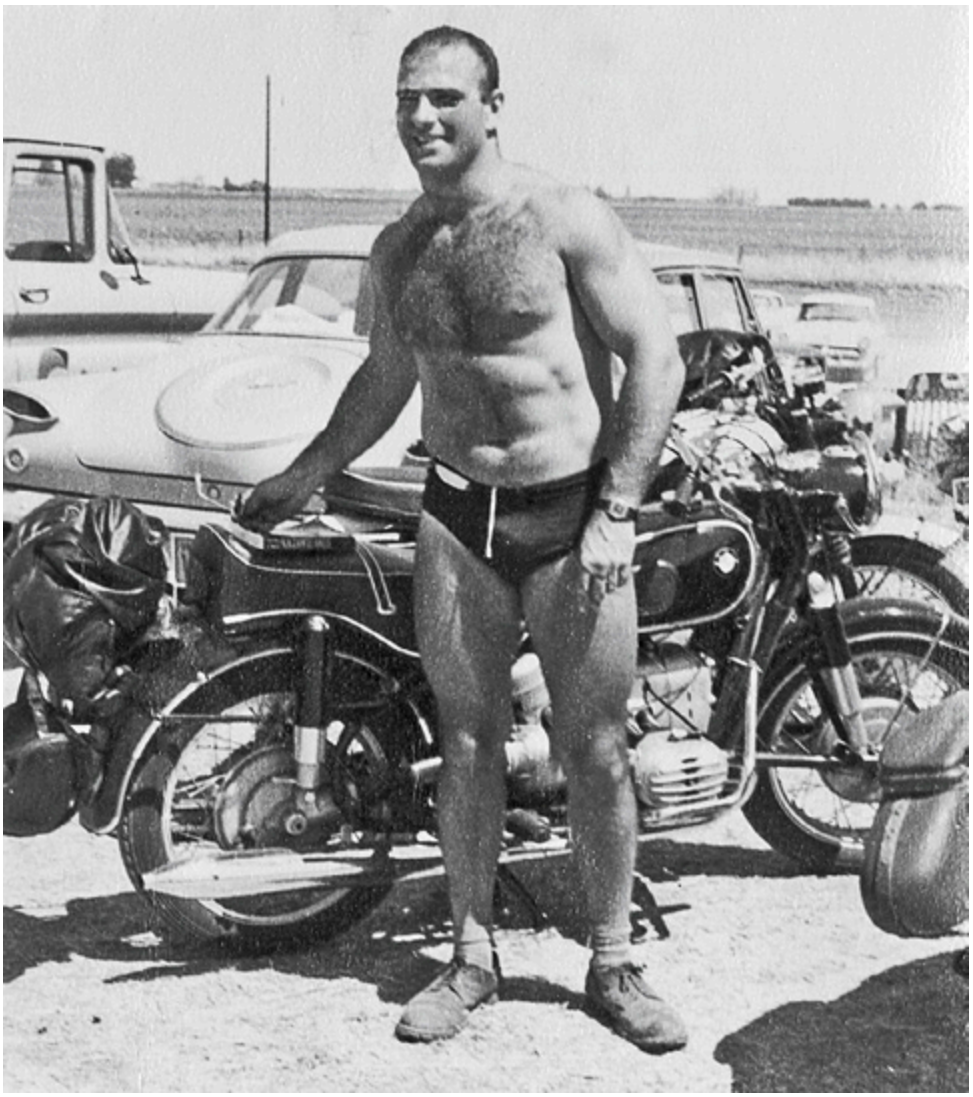

W Muscle Beach z moim ukochanym motocyklem BMW

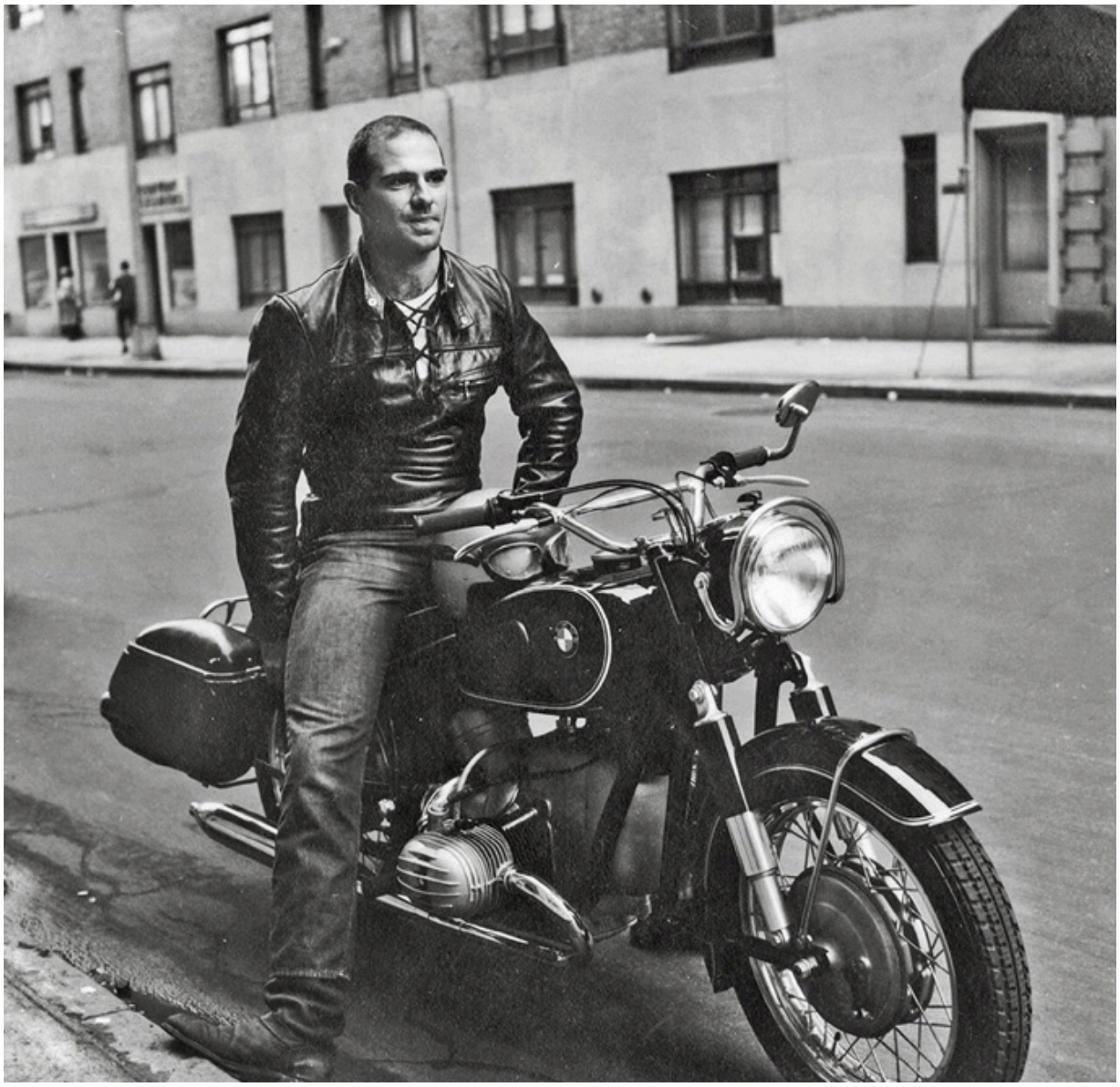

Rok 1961, Greenwich Village, na nowym motocyklu BMW R60

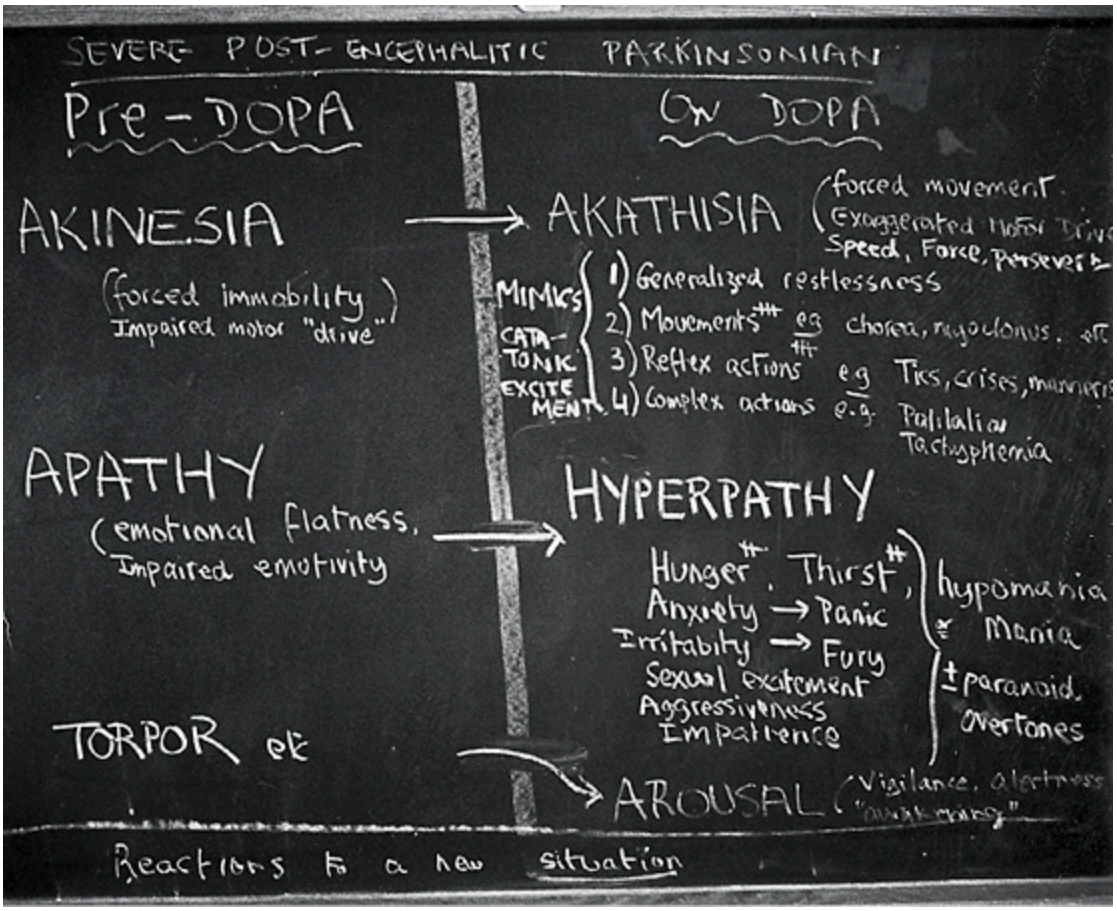

Dwie z moich „think boards” z czasów Przebudzeń

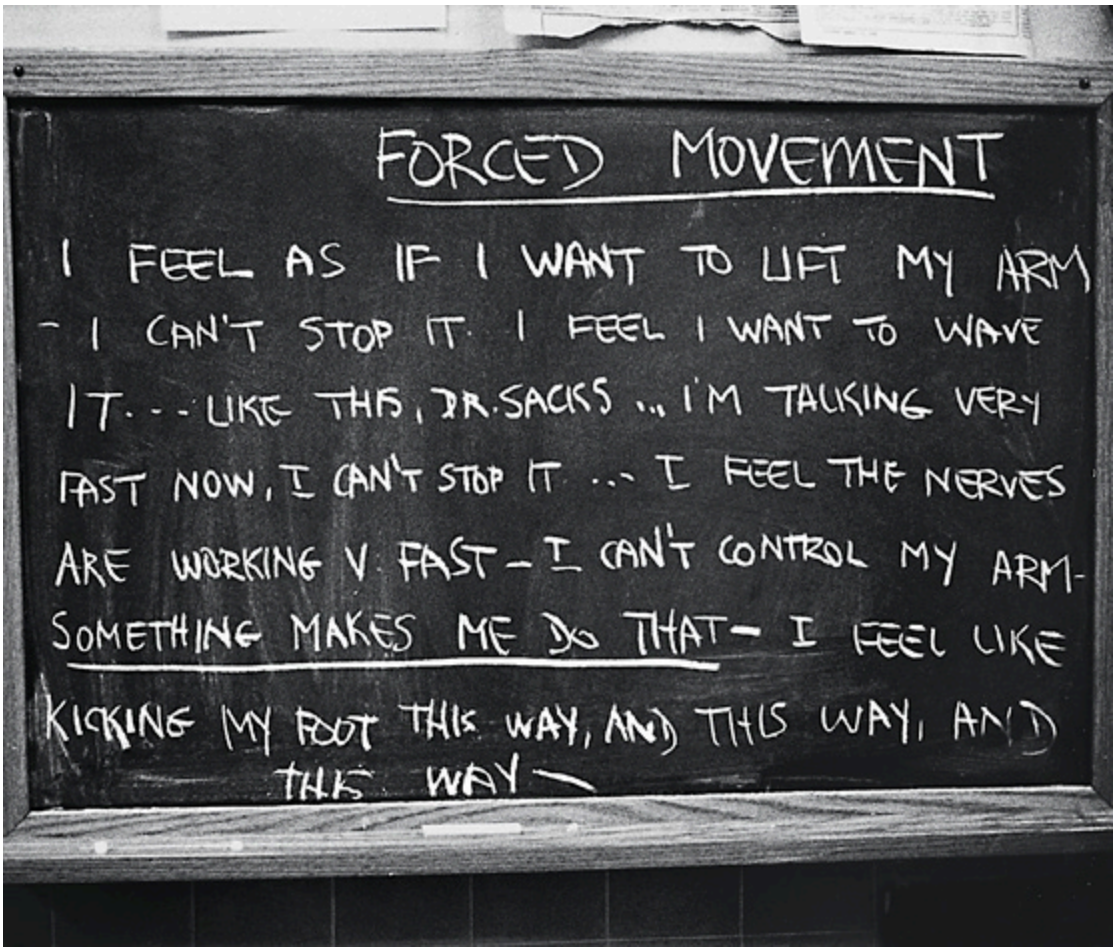
FORCED MOVEMENT
I FEEL AS IF I WANT TO LIFT MY ARM
- I CAN'T STOP IT. I FEEL I WANT TO WAVE
IT. . . LIKE THIS, DR. SACKS .., I'M TALKING VERY
FAST NOW, I CAN'T STOP IT ... I FEEL THE NERVES
ARE WORKING V. FAST - I CAN'T CONTROL MY ARM.
SOMETHING MAKES ME DO THAT - I FEEL LIKE
KICKING MY FOOT THIS WAY, AND THIS WAY, AND
THIS WAY —

Norwegia, rekonwalescencja po kontuzji nogi w 1974 roku

Piszę wszędzie: na dachu samochodu...

...na dworcu kolejowym w Amsterdamie i...

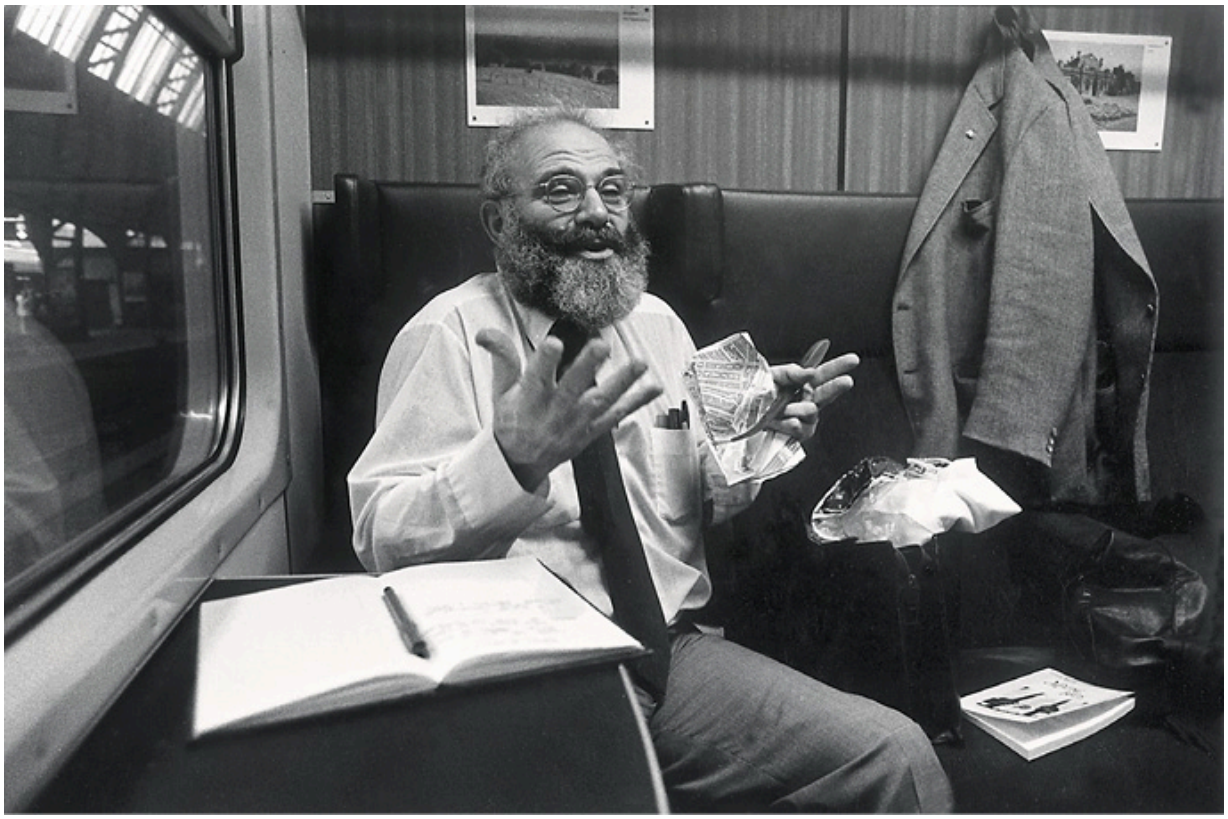

...w pociągu

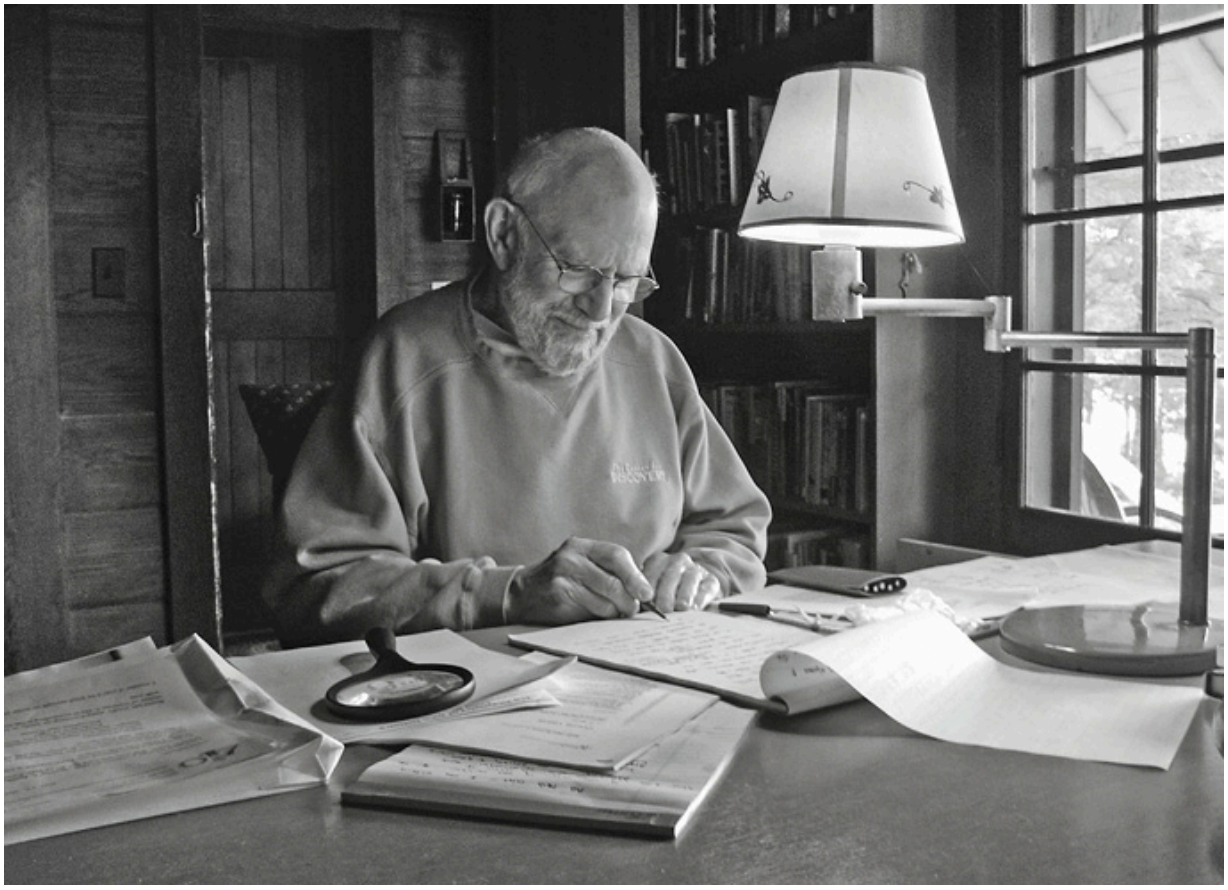

W Blue Mountain Center, rok 2010

OLIVER SACKS
Migraine
3M

Z pacjentami w Beth Abraham, około 1988 roku

Rok 1995, z Peterem Brookiem oraz naszym przyjacielem tourette’owcem, Shane’em Fistellem

Rok 1994, z Temple Grandin

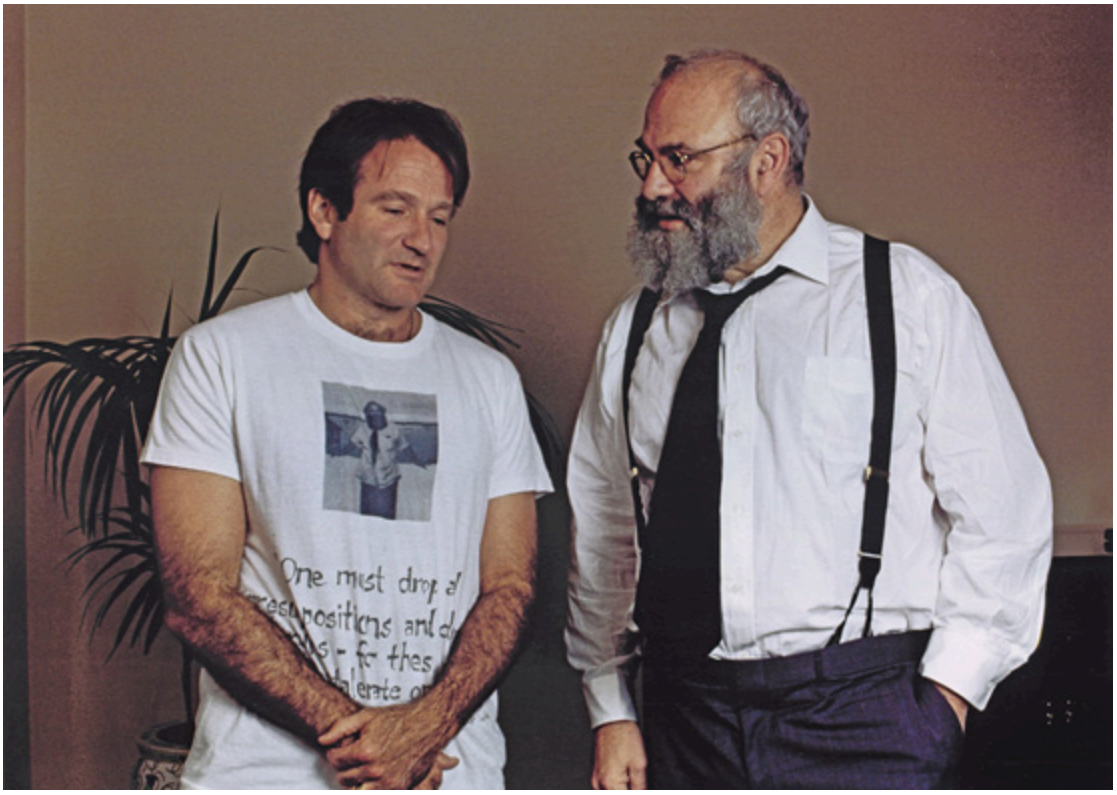

Z Robinem Williamsem na planie Przebudzeń w 1989 roku

Z Rogerem Hanlonem dzielimy miłość do kałamarnic, mątw i innych głowonogów

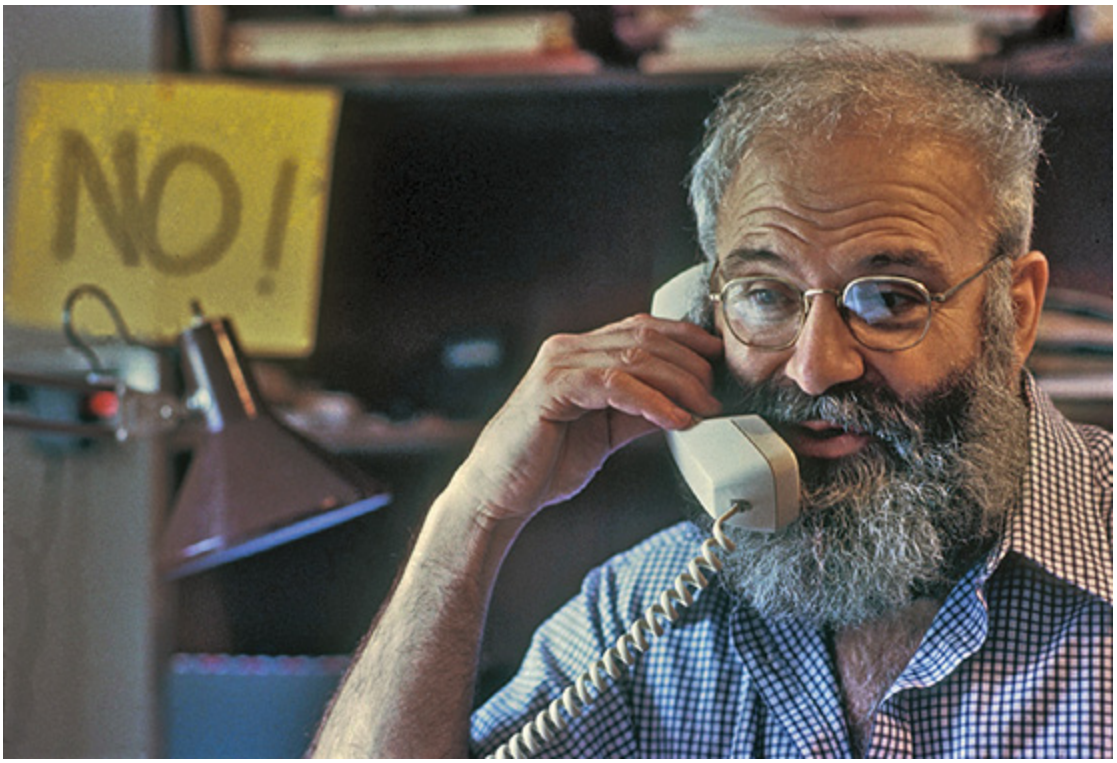

W domu na City Island umieściłem ostrzeżenie mające mi przypominać, abym nie przyjmował żadnych zaproszeń, gdyż z ich powodu tracę czas, który mógłbym poświęcić na pisanie

Kadr z filmu dokumentalnego Przebudzenia z 1974 roku

Ja i trzej moi bracia: David, Marcus i Michael na złotych godach moich rodziców w roku 1972

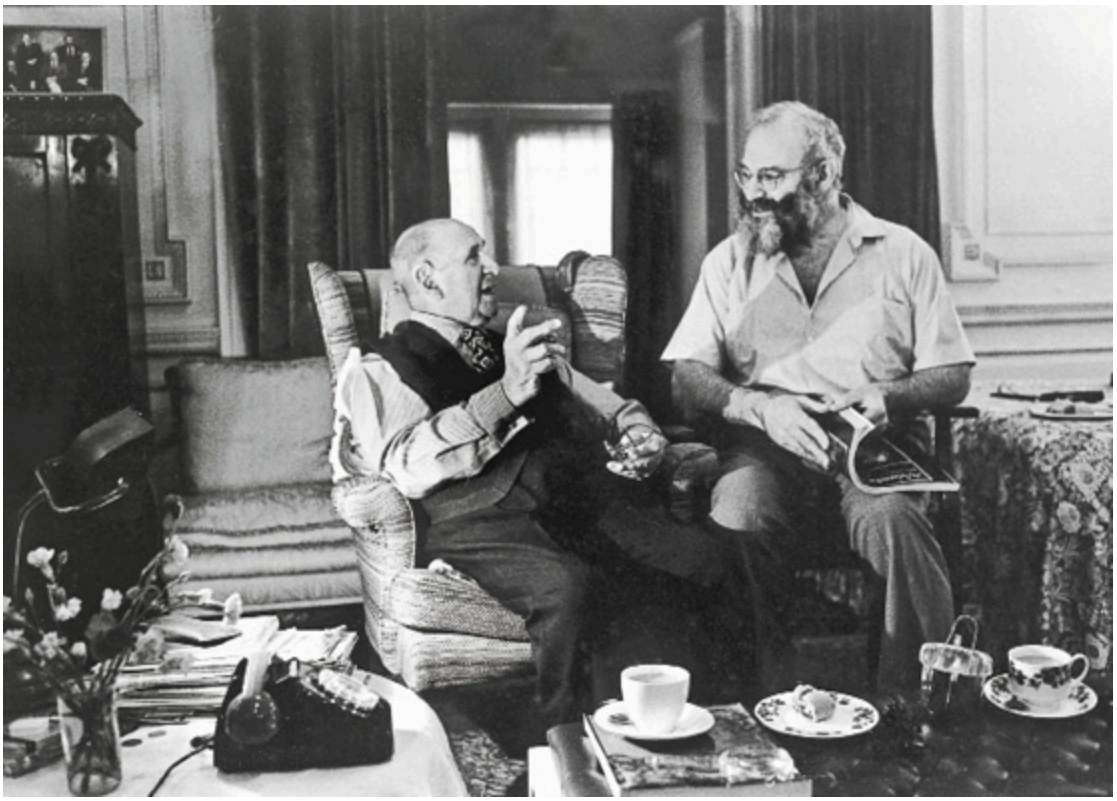

Rok 1987, z ojcem w dniu jego dziewięćdziesiątych drugich urodzin w domu przy Mapesbury 37

W roku 1988 we Florencji, gdzie odbyła się niezapomniana kolacja z Geraldem M. Edelmanem

Kilka lat później rozmawiam z Edelmanem na kolejnej konferencji, tym razem w Bolonii

Rok 1995, pracuję dla zgromadzenia Małe Siostry Ubogie

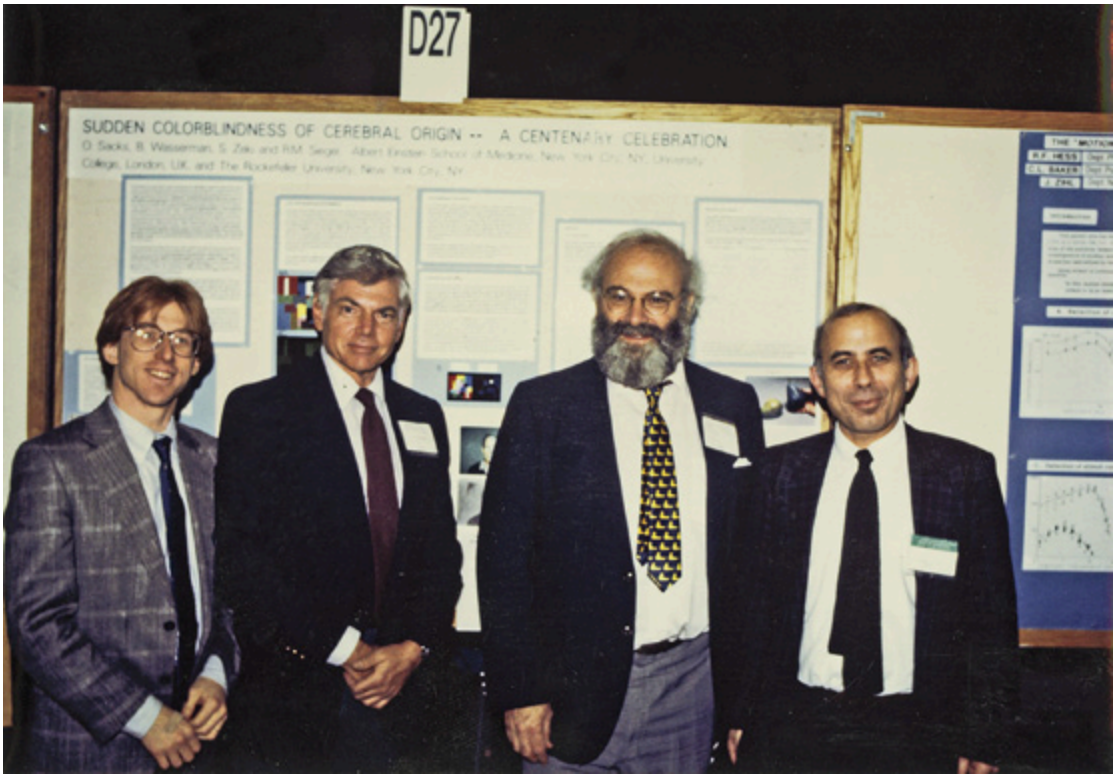

Ralph Siegel, Bob Wasserman, Semir Zeki i ja na tle ogłoszenia zapowiadającego referat o malarzu oślepłym na kolory, wygłoszony w roku 1992 podczas dorocznej konferencji „Society for Neuroscience”

Rok 2010, Downe pod Londynem, na spacerze „ścieżką Darwina” z moim najstarszym przyjacielem Erikiem Kornem

Rok 1987, odwiedzam Jonathana Millera w jego londyńskim domu

Rok 1995, z Kate Edgar, moją asystentką i współpracowniczką od trzydziestu lat

Z Ralphem Siegelem przy „Platypusary” koło Melbourne

...spacer po tej plaży...

Nad wodą i pod nią czuję się szczęśliwszy niż na lądzie: w stroju płetwonurka na plaży w Curaçao...

...właśnie wyszedłem z jeziora Tahoe...

...pod wodą

Przed ulubionym sagowcem w amsterdamskim ogrodzie botanicznym, rok 2014

Od królowej Elżbiety II otrzymuję komandorię Orderu Imperium Brytyjskiego

Z Billym Hayesem, rok 2014

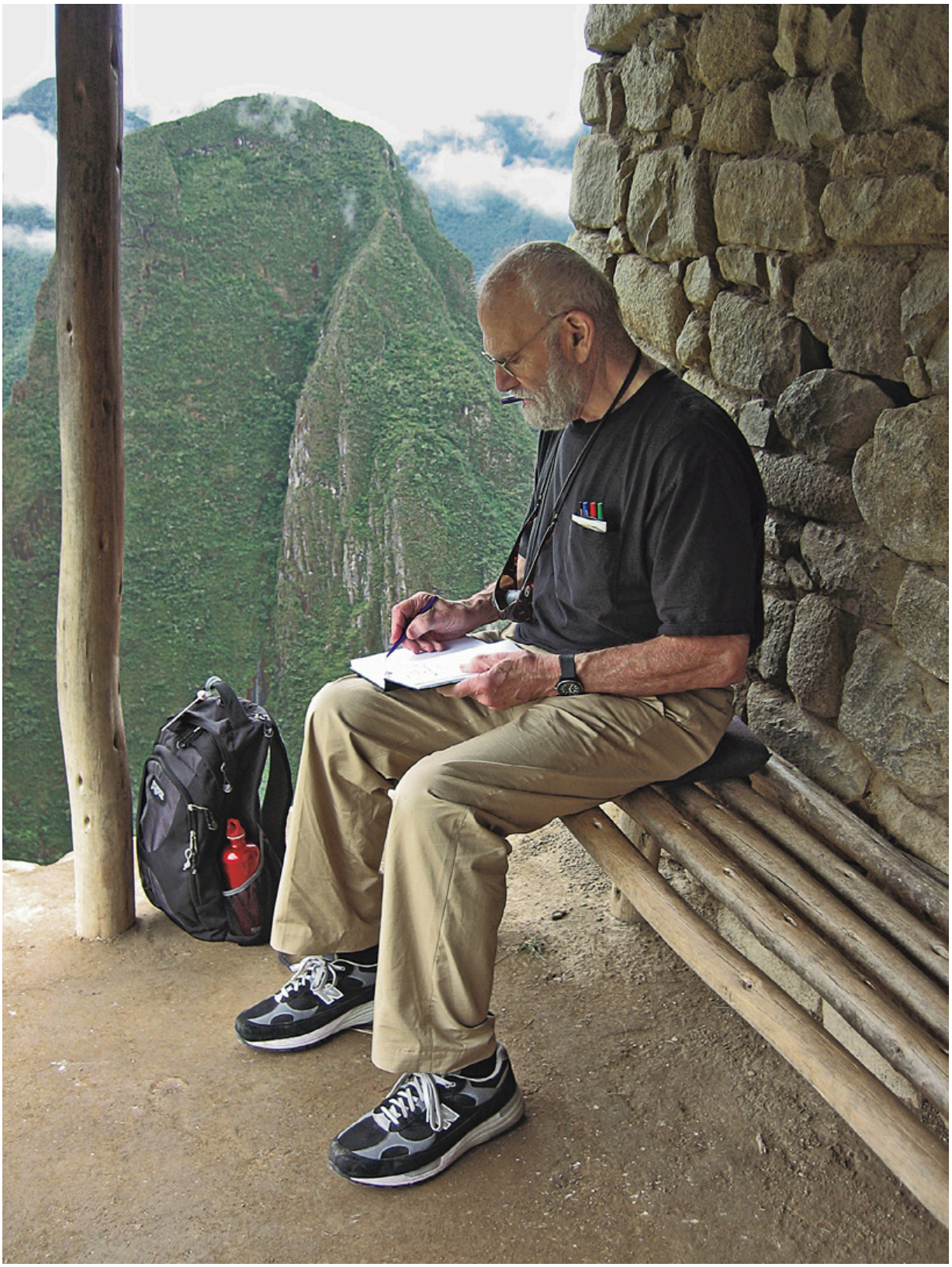

Rok 2006, notuję w dzienniku na Machu Picchu